

ELISABETH HERRMANN

OPIEKUNKA
DO DZIECI



Prószyński i S-ka

ELISABETH HERRMANN

OPIEKUNKA
DO DZIECI

PRZEŁOŻYŁ
BARTOSZ NOWACKI

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
Das Kindermädchen

First published in 2005
Copyright © Wilhelm Goldmann Verlag,
a division of Verlagsgruppe Random House GmbH,
München, Germany
All rights reserved

Projekt okładki
Wojciech Wawoczny

Vavoo (Wojciech Wawoczny)

Zdjęcie na okładce
© Oksana Ariskina/[Shutterstock.com](https://www.shutterstock.com);
Reinhold Leitner/[Shutterstock.com](https://www.shutterstock.com)

Redaktor prowadzący
Monika Kalinowska

Redakcja
Jan Koźbiel

Korekta
Maciej Korbaśiński

ISBN 978-83-8123-449-8

Warszawa 2017

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Dla Shirin

*Miarą naszych lat jest lat siedemdziesiąt
lub, gdy jesteśmy mocni, osiemdziesiąt;
a większość z nich to trud i marność:
bo szybko mijają, my zaś odlatujemy.*

Biblia, Psalm 90, 10

Samoloty.

Drżącymi rękami próbuje przymocować czarny papier w miejscu, gdzie odkleił się od okna. Wycie syren oznajmia przybycie jeźdźców Apokalipsy. Przenikający ciemność huk na razie jest ledwie wyczuwalny, ale zbliża się. Być może lecą w kierunku Neukölln. A może celem jest Spandau. Albo Köpenick. Być może jednak tym razem także Grunewald, ta ulica i ten dom. Gdzie też może być teraz Olga? Nie myśleć o tym. Byle tylko o tym nie myśleć. Cała nadzieja w wosku.

Gasi świecę i zanurza palec w gorącej cieczy. Rozsmarowuje ją na drewnianej ramie i znów próbuje szczelnie zaciemnić okno. Dźwięk syren napętnia przerażeniem ciało, które reaguje już tylko na jeden impuls: uciekać, ukryć się, szukać schronienia. Modlić się.

Bo tysiąc lat w Twoich oczach jest jak jeden dzień. Naucz nas, Panie, liczyć dni nasze. Ty dla nas byłeś ucieczką, z pokolenia na pokolenie.

– Paula?

Drzwiczki prowadzące do pawlacza nad piecem uchylają się. W świetle świecy majaczy złęknioma twarz dziecka.

– Paula!

Chłopiec żwawo wdrapuje się do ciasnego schowka, który nawet dla niego jest zbyt niski, żeby mógł w nim stanąć.

– Powinieneś spać.

Uśmiecha się, widząc jego twarz pod zmierzwionymi włosami. Chłopiec odstawia świecę, na czworakach wchodzi do pawlacza i zajmuje miejsce koło niej.

– Co tu robisz?

– Robię na drutach.

Zaintrygowany, wskazuje na liczne paczki gazy opatrunkowej. Jedna jest otwarta, akurat przerabiała białą nić na rękaw, kiedy zawyły syreny.

– To zabronione. Muszę to zgłosić.

Śmieje się i gładzi go ręką po włosach. Przed dwoma laty, kiedy trafiła do tego domu, słysząc te słowa, zamarłaby z przerażenia. Był to czas, kiedy w ogóle jej nie szanował, a jedyne słowa, jakie do niej kierował, były

rozkazami. Brakuje mu ojca. Matka nie ma czasu, by się o niego troszczyć. Często przebywa poza domem. Czasami przyprowadza mężczyzn, wtedy ona próbuje odwrócić uwagę chłopca.

Chłopczyk nienawidził jej za to, ponieważ wiedział, co robi jego matka. Nienawidził jej do czasu, aż dostał gorączki i niemal nic mu nie pomagało. Już tylko wilgotne okłady i chłodna dłoń na czole. Jej dłoń, a nie matki. Kiedy przyszedł kryzys, położyła się przy nim i mocno go przytuliła.

Nie odszedł. Od tej pory jest jej synem. Teraz ona ma czternaście lat, a on jedenaście, tysiąc dni stało się mrocznym dniem. Panie, kiedy on wreszcie minie?

– Ostatnia zima była mroźna.

Podciąga rękaw jego piżamy i sprawdza długość ręki.

– Tym razem nie powinieneś marznąć.

– Nadlatują – powiedział.

Oboje wpatrują się w zaciemnione okno. On odkłada robótkę i przyciąga go do siebie. On natychmiast wtula się w jej ramiona. Robi to tylko wtedy, kiedy nadlatują bombowce. Kiedy jest ciemno i matki nie ma w domu. Nie jest delikatnym dzieckiem. Czasami ją szczypie albo lekko boksuje. W ten sposób okazuje, że ją lubi.

– Maj prawie już minął – powiedział.

Przytakuje mu. Wie, o czym ludzie szeptali. Ma dobry słuch. Nikt nie pokazuje po sobie strachu, ale Niemcy stali się poważni. Najwyraźniej należy lada moment spodziewać się inwazji.

Nie wie dokładnie, co to ta inwazja. Chyba jakiś wyzwalacz od dawna oczekiwanej zemsty, za pomocą której chce się ukarać wroga. Terror bombardowań jest z każdym dniem coraz gorszy. Zaciemnienie sprawia, że ludzie robią się nerwowi i posępni. Chłopiec opowiada szeptem o przewadze powietrznej, jak gdyby wiedział, jak bardzo karygodne jest już samo choćby pomyślenie tych słów. Inwazja wszystko zmieni. Tak jak burza najpierw jest nieprzyjemna, a później oczyszcza powietrze. Wpuścimy ich, mówi chłopiec, poczują się pewnie, a wtedy ich zniszczymy.

Dźwięk syren brzmi przeszywająco i niedwuznacznie. Paula nie rozumie, dlaczego przynajmniej chłopczyk nie może schronić się w piwnicy. Dlaczego baronowa jednego dnia pozwala, a innego zabrania. Dźwięk syren jest dzisiaj inny. Nie wie, czy to tylko krew, która szumi jej w uszach, czy wiatr między drzewami w ogrodzie, czy może samoloty rzeczywiście wracają.

Panie, spraw, żeby poleciały gdzie indziej. *Zaiste, Twój gniew nas niszczy, trwoży nas Twe oburzenie, kończymy nasze lata jak westchnienie. Ześlij ogień do piekła, z którego się wydostał, ale nie tutaj, nie tutaj, Panie. Powróć o Panie, dokądże jeszcze...? I bądź litościwy dla sług Twoich!*

– Daj spokój z tymi modlitwami! Jeśli wkrótce coś się nie stanie, w tym roku znów będzie dla nas za późno.

Za późno na pokój, o zwycięstwie nikt już nie mówi. Tylko chłopiec w nie wierzy. Dzieci i szaleńcy.

– Musimy złapać oddech, żeby znów silniej uderzyć na wschodzie.

– Tak, tak.

– I wreszcie wprowadzić do akcji broń odwetową. Wraz z inwazją wszystko się zmieni. Najpierw ich wpuścimy, a następnie... – Mówiąc to, chłopiec przeciąga palcem po swoim gardle. Jej ręka wyskakuje do przodu i zatrzymuje go.

– Nie – mówi dziewczyna.

Piekarz z Roseneck stracił swój status zwolnionego ze służby wojskowej i znów musiał włożyć mundur. Podczas pierwszej wojny światowej został ranny, a ponadto jest z rocznika 1884.

– Przecież już mnie nie wezmą – mówił.

Teraz jest na Krymie. Powiedziała nam o tym jego żona. Krzepka, ufna kobieta. Ukradkiem osuszyła oczy fartuszkiem. Czy wszyscy są głusi i ślepi?

Rosjanie są już w Rumunii, Generalnym Gubernatorstwie, krok od Węgier i Słowacji. Wystarczy posłuchać meldunków Wehrmachtu, żeby się domyślić, jak to wszystko się skończy. Raptem pół godziny temu informowano, że obszar Rzeszy jest wolny od wrogów. A teraz to.

– Tym razem nadlatują od strony Poczdamu – szepnął.

Powietrze zaczyna drgać.

Można tylko mieć nadzieję, że Olga ma tam okop. Olga jest taka delikatna i smukła, a ona obiecała przecież jej matce, że będzie na nią uważać, Olga jest w końcu pół roku młodsza, to jeszcze niemal dziecko, które teraz zajmuje się całym gospodarstwem, jednak nie za bardzo daje sobie z tym radę. Ale przynajmniej podobno jest miły, ten chłop, u którego pracuje. Mają tam też kościół. Tylko ewangelicki, ale może uczestniczyć w mszach świętych.

– Nadlatują tutaj!

Panie, Ty dla nas byłeś ucieczką z pokolenia na pokolenie. Z roku na rok siejesz ludzi, jak trawę, co rośnie, rankiem kwitnie i jest zielona, wieczorem

więdnie i usycha...

– Przestań! Przestań!

Rozdziela jej złożone do modlitwy dłonie i zdziera karton z okna. Wtedy ona natychmiast zdmuchuje świecę. Tańczące światła opadają z kruczoczarne nieba i oświetlają ogród niczym fajerwerki. Bożonarodzeniowe choinki.

– Ależ to piękne!

Z rozmarzeniem patrzy przez okienko wielkości kartonu na buty ku górze, gdzie zguba w rozbłyskach sunie prosto na nich. Huk staje się coraz głośniejszy, aż w końcu pojawiają się niczym olbrzymie, czarne szerszenie.

Wycofuje się. Otwiera usta i chce coś powiedzieć. W tym momencie detonacja niemal rozrywa jej błony bębenkowe w uszach. Ściany drżą i pochylają się w jej stronę. Spadają na nią pył i bryły gruzu.

– Wychodź! – krzyczy i sama siebie nie słyszy. W największym pośpiechu schodzi z łóżka w pawlaczu, zeskakuje do kuchni i pomaga wydostać się chłopcu. Czuje rozbite szkło pod stopami, biegnąc do okna, które nie ma już szyb. Pochyla się i wygląda na ulicę. Przez gęstą chmurę pyłu dostrzega języki ognia. Musiało uderzyć dwa domy dalej, na rogu.

Ziemia znów zaczyna drżeć.

– Jest ich coraz więcej! – krzyczy chłopiec.

Łapie go za rękę i biegnie z nim przez sień. Dom wydaje się nienaruszony, tylko z okien wyleciały wszystkie szyby.

Następny bombowiec leci tak nisko, że niemal muska dachy. Być może właśnie spada, dokładnie tutaj, i zamieni wszystko w morze płomieni.

Wbiegają do wielkiej klatki schodowej i biegną po stopniach w dół, do chwili, aż wyrastają przed nimi drzwi do piwnicy. Są zamknięte. Coś wyje. Okropny dźwięk, czegoś tak przerażającego jeszcze nie słyszała. Jakby w niebie rozpętało się piekło. Jest coraz głośniejsze i głośniejsze, obejmuje drżącego chłopca, przyciska go do siebie i kuli się, robi się tak mała, jak to tylko możliwe, prawie niewidzialna, wtedy przychodzi nieprawdopodobne uderzenie.

Dom chwieje się i trzeszczy w posadach, ale trzyma się. To porządny dom, mocny i solidny. Może sporo wytrzymać. Ale z pewnością nie przetrzyma, jeśli zostanie ponownie trafiony.

– Nie damy rady dostać się do środka – mówi chłopiec, szczękając zębami. Kuca na ziemi. Na jego dziecięcej twarzy strach maluje się bladością. Patrzy na nią wytrzeszczonymi oczami. Ona zna to spojrzenie, wygląda zawsze tak

samo, gdy ogarnia go przerażenie.

– Musisz.

Biegnie do małego pomieszczenia obok drzwi wejściowych, w którym stoją miotły, wiadra i narzędzia ogrodowe. Wraca z siekierą. Odsuwa chłopca na bok i bierze zamach.

Wokół niej świat się wali. Bombowce lecą na północ, przypuszczalnie tym razem odwiedzą dzielnice Moabit i Wedding. To, co spada tutaj, to tylko zwiastun. Jedynie mały przedsmak tego, z czym tam przyjdzie zmierzyć się ludziom. Wysoko na niebie znów rozlega się wycie. Ona uderza, jeszcze raz i jeszcze raz, w końcu przechodzi przez drzwi, które nagle otwierają się do środka. Ciągnie chłopca za sobą, oboje spadają ze schodów i w tym momencie następuje uderzenie.

Rzuca się na niego i czeka. On leży pod nią, ze strachu, nie może złapać tchu, ale ona wciąż na nim leży i czeka.

Nic się nie dzieje. Huk słabnie, samoloty odlatują. Bogu dzięki, że zlitował się nad biednymi duszami.

Otwiera oczy. Powoli wstaje i otrzepuje kurz z koszuli nocnej. Także chłopiec podnosi się, kaszląc. Oboje spoglądają przez piwniczne okienko na ogród. A raczej na to, co z niego zostało.

Bomba tkwi między rzędami kartofli. Kilkutonowy potwór. Ciemny, dymiący, kryjący w swoim zaokrąglonym brzuchu śmierć.

Nie wie, jak długo może tak tkwić. Nie może odwrócić wzroku od potwora, jednocześnie boi się go sprowokować. Naraz dociera do niej potworność tej łaski, że mogą patrzeć na bombę i nie giną.

Chłopiec wspina się na umywalnię i wygląda na zewnątrz.

– A to dopiero. Zapalnik nie zadziałał.

Ona podchodzi do pieca i trzęsącymi się rękami sięga po zapalniczki, które zawsze leżą koło drewna. Zapala świecę i rozgląda się dookoła.

Dzisiaj piwnica była zamknięta. Tylko baronowa wie dlaczego. Pewnego razu, kiedy nie mogła spać, usłyszała samochód z uruchomionym silnikiem. Ukradkiem podeszła do okna i ostrożnie zerknęła zza zasłon. Nikogo nie było widać. Jednak po chwili z domu wyszła postać, a ona pośpiesznie się odsunęła.

– To Tommies, Brytyjczycy – powiedział chłopiec i pokiwał głową. Zeskoczył na podłogę i stanął obok Pauli. – Co to jest?

W rogu piwnicy przed regałami z marmoladą i kompotami stoją liczne

skrzynie i dwa duże przedmioty przykryte plandekami.

Bierze świecę i podchodzi do nich.

– Zostaw je – mówi dziewczyna. – Nie wolno ci.

Jednak on już odrzucił jedną z płacht.

– Eee. – W głosie dało się wyczuć rozczarowanie. – To tylko obraz.

Przykrywa go z powrotem. Potem oboje siadają na podłodze i czekają na odwołanie alarmu. Kiedy w końcu nadchodzi, milcząc, wracają na górę.

Przed jego pokojem jeszcze raz kładzie rękę na jego ramieniu. Na więcej już sobie teraz nie pozwala.

Chłopiec pochyla głowę i łagodnie uderza ją czołem w brzuch.

– Czy zginęlibyśmy, gdyby bomba eksplodowała?

Ona chwytą go pod brodę, unosi jego twarz w swoją stronę i oświetla ją blaskiem świecy.

– Nie – mówi. – Mury piwnicy są o wiele za grube.

On przytakuje, jakby uwierzył.

Rozdział 1

Zawsze się spóźniałem na pogrzeby.

Żałobnicy akurat opuszczali kaplicę Cmentarza Leśnego w Dahlem. Sigrun pojawiła się jako jedna z ostatnich i rzuciła lustrujące spojrzenie w kierunku wyjścia. Wystąpiłem kilka kroków naprzód, zauważyła mnie i dyskretnie na mnie skinęła.

– To nie było miłe z twojej strony.

Rozgniewana wciągnęła mnie do kaplicy. Z przodu, przy trumnie, stała rodzina zmarłego. Ciężki zapach lilii mieszał się z wonią palących się świec.

– Przecież prawie w ogóle go nie znałem – szepnąłem.

– Ja też nie – odpowiedziała. – Ale on był ostatnim przyjacielem mojej babci.

Odciągnęła mnie na bok, bo z półcienia wyłonił się jeden z tragarzy niosących trumnę i podniósł dużą poduszkę. Idąc miarowym krokiem, minął nas, niosąc ją przed sobą. Na aksamicie coś mieniło się wszystkimi kolorami.

– To jego ordery – szepnęła Sigrun. – Upchnęli tu nawet odznakę honorowego krwiodawcy.

Chodziło o Lehnsfeldów, którzy dziś składali do grobu patriarchę rodziny, Abła von Lehnsfelda, zmarłego w dziewięćdziesiątym pierwszym roku ziemskiego żywota, wielokrotnie odznaczanego oficera Wehrmachtu, współzałożyciela Republiki Federalnej Niemiec, wielbiciela sztuki i szczodrego dobroczyńcę. Na zewnątrz, zwróceniu do nas plecami, jego bezpośredni potomek Abraham i jego syn Aaron rozmawiali ściszym głosem z pastorem. Żona Abrahama Verena stała obok nich, jak zawsze milcząc.

Sigrun zaczęła węszyć w kierunku stojącej na uboczu grupki. Dochodził od niej zapach dymu papierosowego.

– Jednego – szepnęła. – Tylko jednego jedyne.

Rzuciła palenie, ponieważ nie pasowało do wizerunku znów kandydującej zastępczyni burmistrza Berlina i senator odpowiedzialnej za rodziny i sprawy

socjalne. Nie przyszło jej to łatwo. Podałem jej cukierka miętowego. Rozwinęła go i włożyła do ust. Przy tym wyszczerzyła do mnie zęby, zbyt radośnie, by można to było uznać za stosowne w czasie pogrzebu.

– Spóźniłeś się.

Utz, mój przyszły teść, podszedł do nas niepostrzeżenie. Uczepił się drugiego ramienia Sigrun i pociągnął ją do konduktu żałobnego. Chcąc nie chcąc puściłem ją.

– Za dużo pracuję.

Wciąż jeszcze byłem na stażu. Nie tylko w jego kancelarii, lecz także w jego rodzinie. Utz głąskał swoją córkę po rękę. Był to serdeczny gest, którym maskował, że go dyskretnie wspiera. Miał ponad siedemdziesiąt lat, mimo to jego wyprostowana sylwetka i wciąż gęsta, choć siwa już czupryna sprawiały, że prezentował się imponująco. Mógłby zostać patriarchą, gdyby coś nie przeszkadzało mu w pełni rozwinięciu jego wielkości.

I to coś sunęło teraz prosto na nas: jego matka, babcia Sigrun.

Irene von Zernikow, urodzona jako baronowa von Hollwitz, ustawiła swój wózek inwalidzki na stanowisku. A to oznaczało dla niej: w pierwszym szeregu. Na swoje siwiuteńkie, upięte wysoko włosy narzuciła czarną woalkę. Siedziała wyprostowana jak świeca, jej szczupła postać była otulona czarną wełnianą suknią, do tego miała czarne rękawiczki. Musiała być w podobnym wieku jak zmarły. Mając ponad dziewięćdziesiąt lat, mogłaby sprawiać wrażenie kruchej, gdyby nie ostentacyjny brak zainteresowania ludźmi i tym, co się wokół działo, sprawiający, że otaczała ją aura nietykalności, którą niektórzy mylili z siłą. Z nikim się nie przywitała, nawet z synem. Tylko Sigrun została zaszczycona nikłym skinieniem. Mnie niemalże przejechała wózkiem po czubkach butów.

– To niesamowite, jak ona to znosi – szepnęła Sigrun. – Abel był ostatni ze starej gwardii. Teraz nie ma już nikogo, kto dzieliłby z nią wspomnienia.

Za wózkiem baronowej stał, w niezwykle sposób niewidoczny, Walter. Był służącym do wszystkiego w tym osobliwym domu, do którego wdarłem się poprzez Sigrun. Jego ojciec pracował na kolei, dlatego miał w zwyczaju, w tych nielicznych sytuacjach, kiedy pytano go o zdanie, mówić zawsze to samo: „Pociąg jedzie po torach i nie opuszcza ich”.

Zresztą nie pytano go o opinię zbyt często.

Baronowa uniosła lewy palec wskazujący. Wystarczyło, żeby Walter zaczął łagodnie popychać wózek. Kondukt żałobny ruszył. Utz i Sigrun pochyliłi

głowy. Zrobiłem to samo, ale kątem oka dostrzegłem jakieś poruszenie.

Na skraju drogi przystanęła stara kobieta. Uważnie przyglądała się konduktowi, jakby kogoś w nim szukała. Wyglądała na biedną i nie na miejscu, zwłaszcza na tle pochodu szczęśliwych spadkobierców. Był to cmentarz dla prominentów, jeden z najlepszych adresów, jeśli ktoś przykładął do tego wagę. Dlatego większe pogrzeby przyciągały ciekawskich. Kobieta wycofała się, jakby nie chciała przeszkadzać żałobnikom swoją obecnością.

Kondukt dotarł do grobu na końcu długiego szeregu. Dziesiątki wieńców z malowniczo udrapowanymi szarfami już czekały. Pastor w wielkim skupieniu kartkował swoją Biblię, chociaż wszystko co najważniejsze zostało już powiedziane w kościele. Tak mi się wydawało. Wtedy zobaczyłem orkiestrę dętą i opuściła mnie wszelka nadzieja.

Baronowa też zauważyła muzyków i zareagowała wyjęciem swojego aparatu słuchowego. Oddała urządzenie Walterowi, który schował je, nie mrugnawszy powieką. Kiedy pracownicy zakładu pogrzebowego powoli opuszczali trumnę z Ablem do grobu, baronowa odchyliła głowę i zasnęła.

Utz spuścił wzrok i złożył dłonie. Pastor podszedł do grobu i chrząknął. Zaczął się ostatni akt długiego życia.

Rozdział 2

I jak było?

Każdy wchodzący do kancelarii musiał przejść obok Connie. Miała swoje biuro na pierwszym piętrze po lewej, tuż przy drzwiach. Dzisiaj była ubrana w różową kurtkę marki Escada, którą wylicytowała za osiem euro w serwisie eBay.

– Jak to na pogrzebach – odpowiedziałem. Lubiłem Connie.

Wiedziała o tym i uśmiechnęła się szerzej. Taki jej osobisty odruch. Panna na wydaniu, wyższa klasa zarobkowa.

– Jeszcze nigdy na żadnym nie byłem – powiedziała. – Wydaje mi się, że jeszcze nigdy nie umarł ktoś, kogo znałam.

– A Abel von Lehnsfeld?

– Nie znałam go. Nie tak naprawdę, tak mi się wydaje. Poza tym był stary.

Wybiórcza zdolność percepcji. Pochyliłem się nad jej biurkiem i postukałem w kalendarz z terminami.

– Pamiętaj o otwarciu testamentu. Jutro o piętnastej.

– Czy Aaron też przyjdzie?

Kawaler, zdolny do zawarcia małżeństwa, najwyższa klasa zarobkowa, zwłaszcza po śmierci dziadka.

– Specjalnie postarałam się o jego ulubione ciastka. Wafelki z kremem czekoladowym. Chcesz spróbować?

Wysunęła szufladę, w której zgromadziła pół tuzina opakowań. Przypuszczalnie wszystkie z nadzieją, że pewnego dnia nakarmi nimi Aarona.

– Nie, dziękuję – powiedziałem. – Poczta? Telefony?

Wstała i przesunęła się nieco za blisko mnie.

– Poczta tak, telefony tylko jeden. Od twojej matki. Chce wiedzieć, co z Reinickendorfem.

Nie miałem czasu, żeby zająć się teraz matką i wybrać się z nią do dzielnicy Reinickendorf. Wcześniej, kiedy moja kancelaria znajdowała się

w jednopokojowym mieszkaniu w Kreuzbergu i miałem mało, bardzo mało do roboty, nie był to żaden problem. Teraz miałem jednak bardzo, bardzo dużo pracy. Pracowałem tak intensywnie, że popołudnie przy brydżu wliczało się w roczny wymiar urlopu i nie było mowy o więcej niż jednym pogrzebie na kwartał. Ale tego moja matka nie rozumiała.

W drodze do biura kiwnąłem głową Hogersandowi, odpowiadającemu za ubezpieczenia i *offshore trusts*, i Meinerzowi od kontaktów z londyńskimi kancelariami doradztwa podatkowego. Byli ode mnie o dwadzieścia lat starsi, mądrzy, wstrzemięźliwi w wypowiedziach, stanowili kombinację figur ojca i przestępcy dżentelmena, jakiej życzyłbym sobie dla obsługi majątku od dziesięciu milionów w górę.

Wyszedł mi naprzeciw Harry Baumgarten. Kiedy już niemal się ze mną zderzył, zmarszczył czoło i spojrzał na mnie z powagą.

– Jak było? – spytał pośpiesznie. W wypadku Harry’ego wszystko musiało toczyć się w przyspieszonym tempie. Rozmowy, procesy, kariera.

– Tak jak to zwykle bywa na pogrzebach – odpowiedziałem.

Harry szybko kiwnął głową.

– Otwarcie testamentu. Jutro będziesz przy tym – rzucił.

Zacisnął wargi. Byłem kłodą rzuconą mu pod nogi. Gdyby nie ja, jutro to on brałby w tym udział. Gdyby nie ja, może za kilka lat zostałby partnerem Utza. Przypuszczałem, że Harry zbyt długo u nas nie zostanie.

– No tak, zajrzyj zatem do mojego biura. Dlaczego miałbym sam odwaląć całą robotę?

Poszedł przodem i otworzył szeroko drzwi do swojego gabinetu. Był urządzone podobnie jak inne pomieszczenia na pierwszym piętrze: kwadratowy, obłożony drewnem, z pięknym obrazem olejnym na ścianie za biurkiem, świetną kopią impresjonistycznego dzieła ukazującego staw z nenufarami.

Harry dołożył kilka teczek do sterty i przekazał mi ją.

– Poleć Georgowi, żeby zrobił kopie, i dołącz je. Jest tu kilka drażliwych spraw.

– Drażliwych?

Niewzruszony dołożył mi do stosu kolejne teczki.

– Lehnsfeld jest zawsze drażliwy.

Zadzwoił telefon. Harry odebrał i z kwaśną miną przekazał mi słuchawkę. To była Connie.

– Mógłbyś tu przyjść? – zapytała. – Znów ktoś stoi w ogrodzie.

Turystom i ciekawskim nieustannie zdarzało się zbłądzić do ogrodu. Willa Zernikowów należała do nielicznych, które przetrwały bez uszczerbku szal modernizacyjny lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku.

Zbudowana w 1896 roku jako jedna z pierwszych dużych posiadłości nowo utworzonej kolonii Grunewald, stała w mającym dwa tysiące metrów kwadratowych parku, który zapewne raczej z braku zainteresowania niż troski nigdy nie został zmieniony i dlatego z czasem sam stał się zabytkiem. Spacerowicze i turyści zwiedzający dawną kolonię willową chętnie się tu zatrzymywali. I tak pewnego spokojnego popołudnia, stojąc przy otwartym oknie, donośnym głosem umierającego z zawiści objaśniacza historii miasta zostałem poinformowany, że domy te, jak cała dzielnica zresztą, powstały w wyniku jednej z największych spekulacji gruntami epoki wilhelmińskiej.

Willi była stara, pochłaniała olbrzymie środki, pieniądze wyciekały przez spękania i zardzewiałe rury, ulatywały przez kominy i nieustannie nieszczelny dach. Nigdy w życiu dobrowolnie bym się do niej nie wprowadził. Zarówno w kontekście rodzinnym, jak i urbanistycznym było się tu zawsze wystawionym jak na tacy. W końcu było to nie tylko miejsce pracy. Mieszkaliśmy też tutaj.

Nieczęsto mieliśmy nieproszonych gości, ale stawali się coraz bardziej bezczelni. Nie powstrzymywała ich ani zamknięta brama, ani wysokie żywopłoty, ani kute secesyjne ogrodzenie.

Jednak kobieta, która skradała się przez ogród, nie była nim zainteresowana. Nie chodziło jej o park, stanęła bowiem przed jednym z okien biura i starała się zajrzeć do środka. Ruszyłem w jej kierunku i kiedy się odezwałem, wystraszona odwróciła się gwałtownie. Była drobna, bardzo stara i wyglądała na bardzo biedną.

– *Pożałujsta* – powiedziała i przycisnęła do piersi ciemną plastikową torebkę. – Szukam Utza.

Zdumiony zatrzymałem się.

– Pana von Zernikowa?

Przytaknęła.

– Czy jest tutaj?

Mówienie po niemiecku sprawiało jej trudność.

– Czego pani chce od niego?

Poszperała w swojej torebce i wyjęła kartkę, którą mi podała. Była to wielokrotnie złożona kartka papieru, kopia maszynowa, jakich u nas, w epoce

komputerów, nikt od dawna już nie używał. Dokument był spisany cyrylicą.

– Co to jest?

– Zaświadczenie – powiedziała kobieta. – Musi je podpisać.

– Przypuszczam, że raczej tego nie zrobi. O co chodzi?

Z powrotem poskładałem kartkę i podałem ją kobiecie. Jednak nie chciała jej przyjąć.

– O Natalię – wyszeptała. Była zdenerwowana. – Natalię Czeredniczenkową. To ważne.

– Dlaczego?

Uśmiechnęła się, eksponując cztery osamotnione przednie zęby.

– To sprawa między Utzem i Natalią.

Znałem niewielu ludzi, którzy zwracaliby się do Utza po imieniu. Stara Rosjanka była ostatnią, po której bym się tego spodziewał.

– Proszę mu to dać – poprosiła mnie. – To ważne.

– Potrzebuje pan pomocy, panie Vernau?

Na rogu stał Walter. Miał jeszcze na głowie czarny kapelusz z pogrzebu, a więc także baronowa musiała dopiero co wrócić.

– Nie – odpowiedziałem. – Pani właśnie nas opuszcza.

Podałem jej rękę i odprowadziłem do ogrodowej furki. Zatrzymała się nagle.

– Czy mogłabym... zobaczyć dom?

Popatrzyłem w stronę drzwi wejściowych. Walter stał niczym Cerber, z rękami splecionymi przy piersi, i z dezaprobatą obserwował nieproszonego gościa.

– Tylko rzucę okiem – powiedziała. – Chciałabym o nim opowiedzieć Natalii.

Puściłem tajemniczą przyjezdną i skinąłem na Waltera. Niechętnie odsunął się na bok. Kobieta weszła do holu i z uwagą rozejrzała się dookoła. Tak jakby chciała z fotograficzną precyzją zapisać wszystkie szczegóły w swojej pamięci. Ciężkie kryształowe żyrandole, szerokie schody, stare dywany. Wielkie obrazy z pejzażami na jedwabnych tapetach, secesyjne okna. Następnie jej wzrok spoczął na monitorze systemu nadzoru. Zaczęła wycofywać się do drzwi.

– Dziękuję – powiedziała. – Rzeczywiście jest tak piękny, jak zawsze opowiadała Natalia.

– Natalia?

Za nami stał Aaron von Lehnsfeld.

Kobieta szybko odwróciła się w jego stronę. Jej ramiona naprężyły się, spojrzenie wyostrzyło.

– Natalia Czeredniczenkova. Czy nikt już nie pamięta tego nazwiska? W tym domu?

Zdarzył się pierwszy i moim zdaniem jedyny moment porozumienia między Walterem, Aaronem i mną. Spoglądaliśmy na siebie bezradnie.

– Powinniśmy znać to nazwisko? – zapytałem.

Walter podszedł bliżej.

– Wydaje mi się, że powinna już pani sobie pójść. Zwiedzanie zakończone. Jeśli nie ma pan nic przeciwko, panie Vernau.

Popatrzył na mnie złośliwie, chwycił kobietę za ramię i wyprowadził na zewnątrz. Aaron wbiegał już po schodach na drugie piętro. Miał zatem umówione spotkanie u baronowej i przypuszczalnie zamierzał na gorąco opowiedzieć jej o tej osobliwej wizycie.

– Czego ona chciała? – Walter zdjął zakurzony płaszcz.

Przyjrzałem się niezdecydowanie kartce w mojej ręce, po czym schowałem ją do kieszeni.

– Nie mam pojęcia.

Z góry dało się słyszeć skrzypienie. Cień prześlizgnął się za drzwiami, które cicho się zamknęły.

– Przyjrzę się jej – powiedział Walter i zniknął w swoim królestwie.

Namacac kartkę palcami. Rosjanka była tą kobietą, którą widziałem wcześniej na cmentarzu.

Wieczorem opowiedziałem o niej Sigrun. Staliśmy obok siebie przed lustrem w łazience i szykowaliśmy się do opery; mieliśmy mało czasu, a chcieliśmy jeszcze około siódmej zabrać Utza.

– Może szpieguje dla rosyjskiej mafii, czy nie warto by było się włamać. A ty ją wpuściłeś do środka.

– Tylko do holu.

Obróciła się w moją stronę.

– To wystarczy. Każdy, kto wchodzi do budynku od frontu, od razu sobie myśli, że jesteśmy Rockefellerami.

Wyszczrzyłem się do niej.

– A to nieprawda?

Między brwiami Sigrun pojawiła się zmarszczka.

– Przecież wiesz bardzo dobrze. Wciąż mnie zastanawia, jakim cudem jeszcze nie splajtowaliśmy. Najwyraźniej babunia ma jeszcze jakieś atu w swojej skrzyni z posagiem. Dam znać ochronie. Powinni mieć oczy szeroko otwarte.

Jako senator i zastępczyni burmistrza Sigrun przysługiwał opłacany przez kraj związkowy Berlin samochód z kierowcą i całodobowa ochrona.

– Jutro przychodzą ludzie z „Berliner Tageszeitung” – powiedziała, sięgając po szczoteczkę do zębów. – Weźmiesz w tym udział?

– O której?

– Między trzecią a czwartą.

– Nie da rady... – Szukałem moich spinek do mankietów. – Mam otwarcie testamentu Lehnsfeldów.

Sigrun wypluła resztki pasty do umywalki.

– To dla mnie ważna sprawa.

– A dla twojego ojca jest ważne, żebym był przy otwarciu testamentu. To poważna spuścizna i już teraz są z nią problemy.

– A dla mnie to cholernie ważne wybory i chcę dostać sprawy wewnętrzne.

Stała na palcach i zlustrowała swoje lśniące białe uzębienie.

– Sprawy wewnętrzne – jęknąłem i wyciągnąłem w jej stronę pozbawione spinek do mankietów końce rękawów. – Mówiłem ci już sto razy, tego resortu kobieta nie dostanie. Rodzina, kultura, sądownictwo – nie ma problemu. Jednak spraw wewnętrznych na pewno ci nie oddadzą.

Sigrun wsunęła spinki w otwory mankietów.

– Możliwe. Skoro nie mam wsparcia nawet mojego partnera życiowego...

– A do czego ja ci jestem potrzebny na tych zdjęciach?

– Pokażą, że jestem w stanie godzić karierę polityczną i szczęśliwe życie prywatne.

– A nie wystarczy, że my o tym wiemy? – spytałem ją cicho.

– W tym wypadku nie.

Próbowałem uporać się z krawatem.

– Pięć minut. W międzyczasie. I to tylko kiedy uda się to zaaranżować.

Posłała mi promienny uśmiech.

– O więcej przecież nie proszę.

Chętnie bym ją pocałował, ale nie mieliśmy na to czasu.

– Porsche, jaguar, mercedes?

Zaśmiała się.

– Mercedes. Dziś wieczorem jesteśmy grzeczni.

Rozdział 3

Wciąż jeszcze ubrani na czarno, niczym rodzina pingwinów, z powagą na twarzach do pomieszczenia konferencyjnego wkroczyli kolejno Abraham, jego żona Verena i na końcu Aaron. Connie zaparzyła kawę i przygotowała wafelki czekoladowe. Harry ułożył akta. Może miał nadzieję, że jednak będzie mógł wziąć udział w tym posiedzeniu. Nawet Meinerz wetknął do środka swoją suchą głowę, by złożyć uszanowanie szacownym gościom. Nic im to nie dało. Chwilę później pojawił się Utz i dyskretnym ruchem głowy wyprosił obu.

– Proszę zająć miejsca – powiedział.

Lehnsfeldowie usiedli. Czekałem, aż Utz usadowi się u szczytu stołu, po czym zająłem krzesło po jego lewej stronie.

– Czy wszyscy są gotowi?

Pingwiny skinęły głowami. Wtedy Utz odczytał niezwykle skomplikowane ustalenia dotyczące spadku, zgodnie z którymi Abraham otrzymał wilę w Dahlem z wszystkimi ruchomościami, do tego profity z konserwatywnego funduszu inwestycyjnego oraz dom wakacyjny w szwajcarskich górach.

Verena nie dostała nic. Abraham położył jej rękę na ramieniu, ona spuściła wzrok i przez chwilę tak siedziała. W końcu Abraham złożył podpis i zadowolony spojrzał na Utza.

– Dziękuję ci.

Wstał, Verena także, Aaron wciąż siedział.

– Zapomniałem o czymś? – spytał Abraham, wyraźnie zirytowany.

Utz chrząknął.

– Twój syn. On także coś odziedziczył.

Abraham i Verena usiedli.

Spojrzenie Utza skoncentrowało się na Aaronie.

– Twój dziadek zostawił ci w spadku dom w Grüna. Piękną, choć groźną zaważeniem nieruchomość.

Aaron skinął głową. A zatem już o tym wiedział. Przypuszczalnie Utz jednak

co nieco wypaplał przy okazji nabożeństwa żałobnego. W każdym razie młodzieniec wyraźnie się ucieszył, okazując to bardziej niż jego ojciec.

– Jeszcze jeden dom? – zapytał Abraham. Rzucił żonie pełne dezaprobaty spojrzenie, tak jakby to ona była odpowiedzialna za tę niespodziankę. Verena wzruszyła ramionami i jak zawsze powstrzymała się od jakiegokolwiek komentarza.

Utz wyjął kilka dokumentów ze skórzanej teczki i starannie je ułożył na stole przed sobą.

– To posiadłość utracona w wyniku wojny, którą dopiero teraz ewentualnie można by było odzyskać. Należy zatem powiedzieć tak, Aaronie: twój dziadek nie zostawił ci w spadku domu, a jedynie roszczenie do niego.

Abraham sięgnął po plan budynku.

– Niepewne roszczenie do walącego się domu. Jak bardzo jest zrujnowany?

– Dość mocno.

Utz rozłożył dokumenty przed Aaronem. Wypisy z ksiąg wieczystych, różne pisma urzędowe.

– Jednak to wydaje mi się w sumie najmniejszym problemem. Spadkodawca za życia powierzył mi reprezentowanie swoich interesów. To skomplikowany przypadek, jednak sprawa tego domu bardzo leżała mu na sercu.

Aaron rzucił przelotne spojrzenie na dokumenty.

– Ile jest wart?

Utz uniósł dłonie.

– Trudno powiedzieć. Jeśli będziemy mieli pecha, nic.

– Nic?

– Mówiąc inaczej, nie jest do końca jasne, czy do was w ogóle należy.

Abraham, marszcząc czoło, przeglądał wypisy z ksiąg wieczystych.

– Tutaj mój ojciec jest wpisany jako prawowity właściciel.

Utz przytaknął.

– To prawda. Zwróć jednak proszę uwagę na datę.

– Tysiąc dziewięćset trzydziesty trzeci – wymamrotał Abraham. Złożył dokumenty w plik i przesunął je w stronę Utza.

– Nie chcemy mieć z tym nic wspólnego. Nie chcę się w tym babrać.

Ręka Aarona spadła z trzaskiem na stertę papierów.

– Chwileczkę! To jest mój dom. Chcę go mieć.

– Nie przyjmiesz go.

– Biorę go – powiedział cicho Aaron.

Zapadło pełne napięcia milczenie. Verena chrząknęła, Abraham położył ręce na stole.

– Jak zawsze nie masz pojęcia, o czym mówisz. Waląca się willa i roszczenie Jewish Claims Conference. Nie masz na to ani pieniędzy, ani wytrwałości. Nawet tego nie ogarniasz.

– A ty tak? Nawet nie widziałeś tego domu.

– A ty?

Aaron spojrział ukradkiem na Utza. Utz zachowywał się, jakby niczego nie słyszał.

– Tak – powiedział Aaron. – Dziadek zostawił mi osobisty list. Chce, żebym się zatroszczył o ten dom.

Abraham nachylił się w jego stronę.

– Chce, żebyś ty... Ty masz się o coś zatroszczyć?

Dobrze rozumiałem zdumienie Abrahama. Aaron, mając prawie trzydzieści lat, wyglądał świetnie, ale miał tylko śmieszna maturę, którą zdał w szkole z internatem, specjalizującej się w takich przypadkach jak on. Teraz próbował sił na trzecim kierunku studiów, co zapewne miało też tylko taki sens, żeby trzymać go z dala od ulicy, jak ujęła to moja matka. Nikt rozsądny nie zaufałyby temu młodzieńcowi, że zatroszczy się o coś więcej niż poziom oleju w swoim lexusie.

Jego ojciec także to wiedział. Zwrócił się do Utza:

– Jakie są szanse w przypadku tego roszczenia?

Utz chrząknął i sięgnął po swoje wieczne pióro.

– Niezłe, na ile udało mi się do tego momentu ustalić. Tylko... – spojrzął na Aarona – budynek powinien znów zostać udostępniony do użytku publicznego. Musi zostać wyremontowany, a następnie wynajęty organizacji użyteczności publicznej.

– Użyteczności publicznej? – pisnęła Verena. Najwyraźniej została skonfrontowana z zupełnie nowym wariantem egzystencji społecznej. – Użyteczności publicznej?

Abraham wstał i wzburzony przemaszerował do końca pomieszczenia i z powrotem.

– Aaronie, przejedziesz się na tym. Zostaw to. To jest jak zawsze kukułcze jajo, które nam podrzucił do gniazda. Willa kupiona w trzydziestym trzecim roku. Właściwie to od kogo kupiona?

Utz zaczął studiować dokumenty.

– Od Felixa Glicksberga. Właściciela cukrowni.
– Glicksberg – powtórzył Abraham. – Mój Boże, Aaronie, nie rozumiesz?
– No pewnie – odpowiedział syn. – Co mam nie rozumieć. Chcesz wygrać przetarg na Bibliotekę Żydowską w Madrycie. Nieco zmniejszyłyby się twoje szanse, gdyby opinia publiczna dowiedziała się, że ojciec znanego w świecie architekta wzbogacił się w wyniku przejęcia władzy przez narodowych socjalistów.

– Tak – powiedział Abraham. – To byłoby bardzo niezręczne. Ale nie chodzi tylko o to. Niezależnie od tego, czy w to wierzysz, czy nie, naprawdę nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– Ale ciebie to nie dotyczy. To mój spadek. I chcę go zachować.

Dziwiłem się, że Aaron tak zdecydowanie odrzucił radę ojca. Krótki rzut oka na dokumenty pokazywał, że poza nakładami pracy także koszty będą bardzo wysokie. Aaron rzeczywiście nie wiedział, co mu się trafiło. Przypuszczalnie był jeszcze głupszy, niż można się było wcześniej obawiać. Wstałem i otworzyłem okno, żeby do pomieszczenia wpadło nieco świeżego powietrza. Samochód Sigrun stał na podjeździe. Zdziwiło mnie to, ale przypomniałem sobie, że dzisiaj ma spotkanie z wysłannikami gazety. Za mną panowała cisza.

Aaron siedział przy stole niedbale oparty, niczym pan sytuacji, nieświadomy, że ona z pewnością w krótkim czasie go przerośnie.

Verena ukradkiem spojrzała na zegarek. Nudziła się. Czuła się swobodnie na polach golfowych i przy boiskach do gry w polo, a to otwarcie testamentu znosiła cierpliwie tylko dlatego, że tak rzadko widywała się ze swoim mężem.

Utz był niemal niewidoczny. Nic nie mówił, nie poruszał się, czekał, aż zostanie podjęta decyzja. Dopiero wtedy znów by się objawił. Źródłem jedyne go hałasu była tłusta mucha, która przeleciała obok mnie i zaczęła wirować pod żyrandolem.

Abraham chrząknął.

– A więc... Ile może być warta ta rudera?

– Trudno powiedzieć. Przy tym stanie budynku prawdopodobnie większa jest wartość działki. Ta mogłaby być ogromna, gdyby nie te zobowiązania. W tym momencie powiedziałbym, że działka jest nie do sprzedania.

Abraham wziął Verenę za rękę. Spojrzał na syna.

– Wypłacę ci z mojego spadku milion, jeśli nie przyjmiesz tego domu.

– Nie.

– Półtora miliona.

Verena wstrzymała oddech. Abraham wciąż mocno trzymał ją za rękę.

– Nie.

Abraham puścił rękę Vereny.

– Poddaję się. Czego ty chcesz?

– Domu. To jest... jak mam to wyrazić... mój rodzinny obowiązek, żeby go przyjąć.

Jego twarz rozciągnęła się w krzywym uśmiechu.

W tym momencie byłem naprawdę zadowolony ze swojej decyzji, żeby nigdy nie powoływać do życia dzieci. Aaron pogrywał w coś ze swoim ojcem, ale nikt poza nim samym nie miał pojęcia o regułach tej gry. Chciał się za coś zemścić? Chciał zaszantażować ojca? Było oczywiste, że ani Abraham, ani Verena nie potrafią sobie wytłumaczyć zachowania swojego syna. A w końcu to oni go spłodzili.

Abraham wstał.

– Niech więc tak będzie. Dzieje się tak wbrew mojemu jednoznacznemu życzeniu.

Powoli obszedł stół i na moment stanął za swoim synem. Następnie nachylił się ku niemu.

– Nie przyniesie ci szczęścia.

Verena obdarzyła nas niepewnym uśmiechem i także się podniosła. Oboje wyszli. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Utz podsunął Aaronowi dokumenty.

– Bardzo proszę.

Jednak Aaron przekazał mu je z powrotem.

– Proszę doprowadzić dla mnie tę sprawę do końca. Chcę dostać ten dom. Koszty nie grają roli.

Utz wskazał na mnie.

– Sprawę przejmie pan Vernau. To będzie długi i ciężki proces, a wynik niepewny. Młodszy lepiej się w tym sprawdzają.

Aaron uśmiechnął się do mnie szyderczo.

– Dobrze. To kiedy będę mógł zacząć remont?

– Muszę najpierw zapoznać się ze sprawą. Proszę dać mi kilka dni. Tymczasem nie podejmowałbym żadnych działań, które zaskoczyłyby urząd do spraw gospodarki nieruchomościami.

– W porządku.

Utz odkręcił pióro.

– Przyjmuje pan zatem spadek?

- Tak.
- Proszę podpisać w tym miejscu.
- Uniosłem rękę.
- Jeszcze momencik. Wie pan, co oznacza „użyteczności publicznej”?
- Proszę mi to wyjaśnić.
- Na przykład zrzeszenia osób niepełnosprawnych, zrzeszenia sportowe, schroniska dla zwierząt, schroniska dla kobiet, ofiar przemocy.
- Schroniska dla kobiet. – Aaron uśmiechnął się szyderczo. – W moich kręgach nazywa się je inaczej.
- Złożył podpis, po czym sięgnął po swoją marynarkę, wiszącą na krześle.
- Proszę się tym zająć. Odezwę się.
- Po tych słowach także on wyszedł.
- Utz uporządkował dokumenty i włożył je do skórzanej aktówki.
- O co tu chodzi? – spytałem. – Aaron von Lehnsfeld, strażnik spuścizny i opiekun wdów i starców?
- To było odejście dziecka od rodziców – powiedział cicho. Niczym widz w pustym teatrze, który jeszcze raz spogląda na scenę, omiół spojrzeniem stół i przesunięte krzesła. – Zawsze to dzieci są tymi, którzy odchodzą.

Rozdział 4

Sigrun siedziała z reporterem przy stole w ogrodzie; fotograf nudził się i pił białe wino z wodą gazowaną. Rzuciłem okiem na zegarek, było niedługo po trzeciej. W samą porę.

– Wspaniale, że mogłeś przyjść! – Scarlett O’Hara wstała i okrążyła stół z rozpostartymi ramionami. Przytuliła się do piersi Rhetta Butlera, położyła główkę na jego ramieniu i szepnęła: – Jeszcze minuta, a wbiłabym grubemu korkociąg w pierś.

Gruby sięgnął po swój aparat i bez wielkiego entuzjazmu zrobił nam kilka zdjęć, po czym, stękając, otarł pot z czoła.

Następnie podeszliśmy razem do stołu ogrodowego i przywitałem się z reporterem. Wstał i podał mi rękę.

– Brettschneider, z „Berliner Tageszeitung”. A to mój fotograf Alexander Dressler.

Fotograf gapił się osowiale w swój pusty kieliszek.

– Chciałbyś napić się wina? – spytała Sigrun.

– Raczej wody, dziękuję.

– Gdzie można by tutaj skorzystać? – zapytał Dressler.

Pokazałem mu drogę. Poczekalem w domu, aż skończy. W kuchni nalałem sobie szklankę wody. Przez okno widziałem, jak Sigrun żegna się z Brettschneiderem. Odprowadzała go do wyjścia i zniknęła z mojego pola widzenia.

– Piękne mieszkanie. – Dressler oparł się o futrynę. Uniósł prawą rękę, żeby się na niej podeprzeć, pod jego pachą wykwitła rozległa plama potu. Przytaknąłem i odstawiłem szklankę do zmywarki.

– Czy tutaj w ogóle płaci się czynsz? – Stał obok mnie przy oknie. Następnie zlustrował maszynę do espresso, wykonaną na zamówienie kuchnię ze stali szlachetnej i olbrzymią lodówkę. – A może to wszystko jest za darmo?

– Nie wiem, co pan ma na myśli – odpowiedziałem i ruszyłem do drzwi.

Ale Dressler wcale nie miał zamiaru pójść za mną. Wyjął paczkę papierosów z kieszeni spodni i zapalił jednego. Obserwował mnie przy tym spod przymkniętych powiek.

– Też chciałbym mieć tyle szczęścia. Jedyne córka z bardzo bogatego domu, kancelaria z tradycjami szanownego tatusia, stara posiadłość w Grunewaldzie w stanie oryginalnym. Wszystko do siebie dopasowane jak w albumie.

Splotłem ręce na piersi.

– Chciałby mi pan powiedzieć, co pana gnębi, zanim pokażę panu drogę do wyjścia?

Dressler zaciągnął się, popiół z papierosa opadł na podłogę.

– Chętnie bym to zrobił, ale nie wiem, co to jest. Wszystko jest nieco zbyt piękne. Zbyt czyste. Wspaniałe show, ale ja w to nie wierzę. Wyczuwam, czy ktoś postępuje uczciwie. W waszym wypadku wyczuwam tylko drogie perfumy.

– A bierze pan pod uwagę, że może odzywać się w panu zazdrość?

Dressler wrzucił niedopałek do zlewu i odkręcił wodę. Żar zgasł z cichym sykiem.

– Zazdrość? Nie znam uczucia zazdrości. Ale potrafię niezłe się wkurzyć. Kiedy ktoś próbuje zrobić ze mnie durnia. Miłego dnia.

Przecisnął się koło mnie i zostawił oprócz smrodu dymu papierosowego intensywny odór potu.

Wyszedłem za nim na zewnątrz i zobaczyłem, jak zdawkowo pożegnał się z Sigrun. Brettschneider przyglądał mu się przy tym podejrzliwie. Sigrun pomachała im, kiedy odjeżdżali.

– Jak poszło? – zapytałem.

– Dobrze.

Chciała, omijając mnie, wejść do domu, żeby zabrać torebkę. Jej samochód już na nią czekał. Zatrzymałem ją.

– Co jest z tym fotografem?

Przystanąła.

– A co miałyby z nim być?

– Powiedziałaś albo zrobiłaś coś, co mogłoby go zirytować?

– Dresslera? On zawsze jest taki. A co?

– Nic – odpowiedziałem. – Wyjaśnij mi proszę, dlaczego musiała to być koniecznie „Berliner Tageszeitung”.

Sigrun z czułością poprawiła mi węzeł krawata i pogładziła mnie delikatnie

po włosach.

– Ponieważ teraz w biurze prowadzę prywatną rozmowę z dwoma redaktorami szanowanych przez ciebie bardziej intelektualnych tytułów. Na warunkach trzeciego.

Na warunkach trzeciego, zgodnie z regulaminem Berlińskiej Konferencji Prasy, oznaczało absolutną dyskrecję, rozmowę definitywnie nie do publikacji.

– I z czego będziesz się im spowiadać?

– Z moich całkiem sekretnych tęsknot.

– Sprawy wewnętrzne.

– Dokładnie. To zacznie krążyć. A Brettschneider oszaleje, kiedy się o tym dowie, ponieważ nie usłyszał tego ode mnie. Naturalnie nie przedstawi swojej historii, nie rozpowszechniając pewnych spekulacji na temat mojej przyszłości. A zatem umieści w swoim artykule to, o czym inni szepczą w sekrecie. I to w rubryce: jak wiadomo z dobrze poinformowanych źródeł...

Objąłem ją ramieniem i przyciągnąłem do siebie.

– Jak się to nazywa?

Pocałowała mnie przelotnie w policzek.

– Lansowanie. Ale ostrożnie. Nie każdy to potrafi. Naśladowanie zalecane tylko warunkowo. Musisz móc w pełni polegać na swojej sieci kontaktów.

Uwolniła się z moich objęć.

– Muszę już lecieć.

Poszedłem do ogrodu, by posprzątać ze stołu. Służąca przychodziła tylko przed południem. Trzy puste butelki po Côte Chalonnaise. Takie wino mieszać z wodą gazowaną...

Rozdział 5

Sigrun była rannym ptaszkiem. Z nieznanego mi powodu oczekiwała, że ja też będę wcześniej wstawał. Tak więc krótko po szóstej staliśmy obok siebie w łazience i szorowaliśmy zęby. Dłużej myliśmy razem zęby, niż spaliśmy ze sobą.

– Artykuł pojawi się już w sobotę – wybulgotała, płuczac gardło.

Sięgające ramion włosy związała w koczek, następnie zrzuciła szlafrok. To, co zobaczyłem, uświadomiło mi, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni prawie się nie widywaliśmy.

– Będiesz dziś wieczorem w domu?

Sigrun wsunęła się pod prysznic.

– Posiedzenie frakcji.

Posiedzenia frakcji zwykle kończyły się o dziesiątej, o ile reszty wieczoru nie trzeba było poświęcić na umacnianie pozycji, rozbudowywanie sieci kontaktów i rozbijanie obozu przeciwnika. Sigrun w tym momencie była sprawdzana. Stanowisko dostała w ramach parytetu, a teraz nagle żądała, by ją traktowano poważnie. Już nie była ulubienicą, musiała walczyć. Każde posiedzenie frakcji było dramatem szekspirowskim, każda lokalna organizacja rzymskim senatem. Uśmiech dobrych przyjaciół był sztyletem skrywanym w szatach. To ją zmieniło. To nas zmieniło.

Woda zadudniła o szybę.

Sigrun wyszła spod prysznic i wytarła się do sucha. Była piękna. Szczupła, silna, wyglądała na wyższą, niż była w rzeczywistości. Miała delikatne ramiona i zapierającą dech w piersiach łabędią szyję. Tęskniłem za nią i za zagłębieniem u nasady szyi, do którego chciałem się przytulić, żeby wciągnąć w nozdrza zapach konwalii. Sigrun zaśmiała się.

– Nie teraz. Już prawie wpół do.

Włożyła szlafrok i chciała mnie minąć. Pochwyciłem ją, przyciągnąłem do siebie i pocałowałem.

Śpieszyła się i tylko zdawkowo odpowiedziała na mój pocałunek.

– Nie mam czasu – szepnęła.

Puściłem ją.

Poszła do sypialni i zaczęła się ubierać. Wszedłem pod prysznic. Lodowata woda stłumiła pożądanie i lekki ból. Szybko minął. Ale pojawiał się coraz częściej.

W kancelarii zbieraliśmy się w sali konferencyjnej. Inni byli już na miejscu, włącznie z Meinerzem, który miał umówione spotkanie w Londynie. Utz w skupieniu wysłuchał, jakie są plany na dzisiaj, i poczynił parę uwag. Kto miał rozprawę w sądzie, został przez niego jeszcze raz dokładnie poinstruowany. Około ósmej zostaliśmy odprawieni.

– Joachimie, zostań jeszcze na minutkę.

Kiedy zamknęły się drzwi za wychodzącymi, Utz poprosił, żebym usiadł.

– Wczoraj doszło do incydentu w kancelarii. Tak mi doniesiono.

– Incydentu? – Nie wiedziałem, co miał na myśli.

– Walter powiedział mi, że jakaś Rosjanka zakradła się na posesję.

– A tak. – Już całkiem zapomniałem o starszej kobiecie. – Spotkałem ją na tyłach domu. Chciała z tobą porozmawiać.

– Z jakiego powodu?

Przypomniałem sobie o kartce, która teraz znajdowała się w kieszeni mojej koszuli w pojemniku z brudną bielizną.

– Miała przy sobie dokument, który chciała ci dać. Przyniosę go. Zaczekaj minutę.

Zbiegłem po schodach na dół i pobiegłem żwirową ścieżką. Przeskoczyłem nad rabatkami, przekląłem schody przed wejściem gospodarczym i wbiegłem do naszego mieszkania. Służącej jeszcze tu nie było. Znalazłem koszulę w sypialni, wziąłem kartkę i pobiegłem z powrotem.

W kancelarii zderzyłem się z Georgiem, który stał przy kopiarce. Papier rozerwał się.

– Bardzo mi przykro – przeprosił. – Może to skleję...

– Nie, dziękuję.

– To może chociaż zrobię kopię?

Papier był niesamowicie cienki. Delikatna bibułka, którą tylko od czasu do czasu miewa się w palcach, na przykład podczas odwijania nowego zegarka. Skoro Utz był tak ważny dla Rosjanki, powinno się bardziej uważać na ten papier.

Georg oddał mi oryginał i jeszcze ciepłą kopię. Rzuciłem okiem do sali konferencyjnej i zauważyłem, że Utz już wyszedł.

Znalazłem go w jego biurze, wyłożonym ciemną boazerią pomieszczeniu z przeszklonymi, sięgającymi sufitu regałami książkowymi. Za biurkiem wisiał obraz jednego z członków Berlińskiej Secesji. Nie interesowałem się sztuką. Utz swojego czasu wyraził nawet ubolewanie.

– Proszę. – Podałem mu oryginał. Kopię położyłem przed sobą na biurku.

Utz ostrożnie wziął pismo do ręki i uważnie je obejrzał.

– Co to jest?

– Nie wiem. Trzeba zlecić jego przetłumaczenie. Może to roszczenie.

– Roszczenie?

– Rosjanka chciała, żebyś je podpisał.

Utz zagłębił się w obce litery. Jednak najwyraźniej był w konfrontacji z nimi równie bezradny jak ja. Wtedy zrobił coś osobliwego. Spojrzał na pismo pod światło, padające z okna.

Następnie poprosił, żebym podał mu ze stolika dla palących ciężką, oprawioną w marmurową kostkę zapalniczkę, po czym przysunął płomień do papieru tak, że wprawdzie się podgrzał, ale nie zapalił. Znow uniósł kartkę w stronę światła. Następnie, potrząsając z rezygnacją głową, opuścił ją.

– Co chciałeś zrobić? – zapytałem.

– Dziecięce zabawy – mruknął. – Bardzo stare dziecięce zabawy.

Starannie złożył z powrotem kartkę.

– Przypomnij sobie proszę jak najdokładniej, co powiedziała. Chciała się ze mną spotkać, tak? Jak się nazywała?

– Nie podała nazwiska.

– Musiała coś powiedzieć. Nie może przecież oczekiwać, że tak po prostu podpiszę dokument w obcym języku.

– Powiedziała, że to sprawa między tobą i... pewną kobietą.

Przyglądałem mu się uważnie. Wiedziałem, że w jego życiu nie brakowało pokus. Nie ulegał im jednak. Sigrun powiedziała mi, że najprawdopodobniej mógł kochać tylko raz. Dlatego nie ożenił się ponownie, dlatego miał też tylko jedno dziecko.

– Natalia – powiedziałem. – Miała na imię Natalia.

Na ułamek sekundy w jego oczach coś rozbłysło. Spojrzał na dokument i potrząsnął głową.

– To będzie list z prośbą o pomoc. Lepiej zapomnijmy o tym wszystkim.

Kilkakrotnie przedarł papier i niedbale wrzucił strzępki do kosza. Potem odprawił mnie delikatnym skinieniem głowy i zaczął studiować akta.

Wstałem i wziąłem ze stołu kopię. Wyciągnąłem ją w stronę Utza, ale już na mnie nie spojrział.

W swoim biurze odbyłem kilka pilnych rozmów telefonicznych z klientami i nową prokurator, po czym zająłem się sprawą domu Aarona; stwierdziłem, że brak planu. Musiałem skontaktować się z urzędem ksiąg wieczystych. Zadzwoił telefon.

– Jakaś natarczywa kobieta – wyjaśniła Connie. – Mówi, że jesteś jej przeciwnikiem w procesie karnym. Przeskrobałeś coś? – Zachichotała.

– A któż to taki?

– Nazywa się Marie-Luise Hoffmann i rzekomo reprezentuje kogoś, kto procesuje się z jednym z naszych klientów.

– Połącz ją.

Kliknięcie.

– Halo? Czy jest tam ktoś w końcu?

– Joachim Vernau – powiedziałem.

Na drugim końcu linii ktoś wypuścił powietrze, po czym zapadła cisza.

– Halo? Chciałaś ze mną rozmawiać?

Marie-Luise wzięła się w garść.

– Twój kapryśny kolega, z którym miałam już przyjemność rozmawiać, powiedział mi, że od niedawna ty odpowiadasz za tego typu sprawy. Moja klientka została przez was oszukana. Chodzi o spadek po dawnym aktorze Burgtheater, Gustavie Weinercie. Reprezentujecie jego bezdzietną wdowę i chciałabym cię uprzejmie poinformować, że moja klientka także zgłosiła w sądzie spadkowym wniosek o uznanie za spadkobierczynię.

Musiałem się uśmiechnąć. Marie-Luise samym głosem mogła tłuc szkło.

– Czy poza twoim wsparciem jest coś, co by uzasadniało te nadzieje?

– Muszę to teraz szczegółowo wyjaśniać? Przyślę ci całą stertę akt i ustalę termin rozprawy przed sądem spadkowym. I to by było na tyle.

– Jaka jest wartość przedmiotu sporu?

– Wedle szacunków dwa miliony, do tego kilka nieruchomości.

– Powinniśmy się spotkać.

Marie-Luise milczała. Bawiłem się kopią pisma, która przede mną leżała.

– Przy okazji musisz mi wyświadczyć przysługę.

– Muszę?

– Przefaksuję ci coś, rzucisz na to okiem i powiesz mi, co to jest.
– A jeśli nie?
Włożyłem kserokopię do faksu.
– Wtedy będę bezlitosny. A wiesz, że jestem w tym dobry.
– Ja jestem w tym jeszcze lepsza.
– Wyświadcz mi tę przysługę. Okej? Zapraszam cię na kolację. Omówimy wtedy całą tę historię ze spadkiem. Powiem ci otwarcie i szczerze, czego może oczekiwać. Jeśli nie...
– Co, jeśli nie?
– Mogę to też przeciągać w czasie. Możliwe, że wtedy nasi spadkobiercy procesowaliby się z jej spadkobiercami.
– Świnia.
– Ależ proszę.
– Słuchaj, nie jest dla mnie problemem, żeby się z tobą zobaczyć w sądzie. Ja po lewej, ty po prawej. Jak w prawdziwym życiu. Ale nic ponadto. Daj sobie spokój z faksem. Skoro jestem taka głupia, dlaczego potrzebujesz akurat mojej pomocy?
– Ponieważ znasz rosyjski.
– Jeszcze nigdy mi to nie pomogło. Gwiżdżę na twoje dobre rady.
– Termin przedawnienia, anulowanie, analiza DNA. Szacuję, że do postępowania sądowego da się w ten sposób śmiało zagospodarować trzy lata i wypełnić wiele metrów bieżących akt.
Wciąż jeszcze nie znała mnie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że mam rację. Byłem mistrzem podań, arcykapłanem przewlekłego dowodzenia, postrachem Federalnego Trybunału Sprawiedliwości, czarodziejem wyczarowującym niepodważalne odwołania niczym króliki z kapelusza.
– A więc?
– Na końcu numeru dwójka.
Spojrzałem na wyświetlacz mojego telefonu i wybrałem numer jej faksu.
– W przyszłym tygodniu? Zapraszam cię.
– Nie trzeba – powiedziała. – Już zapomniałeś? Wygramy. – Odłożyła słuchawkę.
Za drzwiami przemknął cień. Zbyt późno podniosłem wzrok, żeby rozpoznać, kto to był.
Mój wzrok spoczął na trzeciej już żółtej karteczce od Connie, na której było napisane: *matka – Reinickendorf*. Nie miałem pojęcia, kiedy miałbym jeszcze

i to załatwić. Może jutro. Sigrun miała być zajęta na licznych imprezach wyborczych, a ja musiałem zapoznać się ze spuścizną aktora Burgtheater. Może po południu uda mi się wygospodarować dwie godziny.

Odnutowałem spotkanie w kalendarzu, zgmiotłem żółtą karteczkę, wrzuciłem ją do kosza na papiery i poczułem się lepiej. Prawie jak syn.

Kserokopia wysunęła się z faksu i po wykonaniu kilku eleganckich akrobacji opadła na dywan. Podniosłem kartkę i schowałem do swojej szuflady.

Rozdział 6

Matka wciąż jeszcze mieszkała przy placu Mierendorffa. Po śmierci mojego ojca nie zmieniła mieszkania, chociaż stało się dla niej o wiele za duże, a sufity w starej kamienicy coraz bardziej pięły się w górę. Ale może miałem tylko takie wrażenie, bo matka coraz bardziej się kurczyła.

Zadzwoiłem do drzwi; upłynęła niemal wieczność, nim te lekko się uchyliły, tak że pojawiła się w nich wąska szczelina.

– Joachim! – Drzwi się zamknęły. Dało się słyszeć skrobanie i grzechotanie, w końcu matka zdjęła łańcuch zabezpieczający i otworzyła.

– Co za niespodzianka! – krzyknęła i rozpromieniła się, jakbym za dobre sprawowanie został wcześniej zwolniony z więzienia.

– Wejź do środka, wejź do środka. Nie, zostaw je!

Zdjąłem buty. Zawsze tak robiłem, kiedy jeszcze tu mieszkałem, a tym bardziej w drugiej połowie życia, kiedy już tu nie mieszkałem. Przedpokój był zastawiony zbieraniną osobliwości; przy ścianie piętrzyła się sterta nieuporządkowanych i niewycyszczonych butów. Wyglądało to jeszcze gorzej niż ostatnim razem.

– Czy pani Huth już dla ciebie nie pracuje?

– A jakże. Naturalnie. Teraz nawet cztery razy w tygodniu.

Poszedłem do pokoju dziennego, gdzie wspomniana osoba na mój widok szybko włożyła opróżnioną torebkę po słonych preclach między kartki książki telefonicznej i poderwała się z fotela. Na stoliku leżały stare czasopisma, kłębki wełny, rozrzucone karty, katalog Quelle i napoczęte pudełko pralinek.

– Panie Vernau! – krzyknęła. – Zrobię kawę.

Ominęła mnie i poszła do kuchni.

Matka patrzyła za nią z uśmiechem.

– Poczciwa dusza – powiedziała.

Byłem odmiennego zdania, nic jednak nie powiedziałem; rozglądałem się za fotelem niezanieczyszczonym przez panią Huth. Siadałem ostrożnie, ale i tak

nadziałem się na drut do robótek ręcznych.

Matka usiadła naprzeciwko mnie na tapczanie. Miała na sobie kwiecisty fartuch, na którym widać było jeszcze ślady jajka z przedwczorajszego śniadania.

– Jak ci się wiedzie? – spytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Dzwoniłam do ciebie. Ale ty nie odezwałeś się.

Pomyślałem o żółtych karteczkach i dopadły mnie wyrzuty sumienia.

– Marta nie żyje.

Nie wiedziałem, czy chodziło jej teraz o kotkę sąsiada, żonę szykownego oficera w stanie spoczynku z trzeciego piętra czy o coś poważnego.

– Marta. Moja przyjaciółka od brydża.

– Aa, Marta. Bardzo mi przykro.

Brydż był dla mojej matki wszystkim. Wyciągnęła zmiętoszoną chusteczkę i osuszyła sobie oczy. Marta była tą, która zawsze oszukiwała. Ale nie chciałem jej teraz o tym przypominać.

– Powiedziała jeszcze: Co dodałaś do kawy? A potem odeszła. Dokładnie tu, gdzie teraz siedzisz.

Pani Huth łokciem pchnęła drzwi i przyniosła do stołu tacę.

– Wylew krwi do mózgu – uzupełniła. – Dokładnie tu, gdzie teraz pan siedzi. Mleko i cukier?

Nalała kawy do filiżanki, w której osady z herbaty odkładały się niczym słoje roczne.

– Mleko. Dziękuję.

Pani Huth uniosła mleko skondensowane do nosa, powąchała i nalała mi odrobinę. Skosztowałem kawy. Obie kobiety lustrowały mnie wzrokiem. Chociaż wyraźnie smakowała domieszkami, jakoś udało mi się z zadowoleniem uśmiechnąć.

– Dobra. Bardzo dobra.

Pani Huth z ulgą zanurzyła się w drugim fotelu.

– To nie mogło mieć żadnego związku z kawą. Greta sobie to wyrzuca. Coś takiego przecież nie mogłoby się zdarzyć. Ktoś pije swoją kawę, siedzi tutaj w fotelu...

– Chętnie odwiedziłabym kiedyś innych – powiedziała moja matka. – Reinickendorf jest po prostu za daleko, teraz, kiedy tak mi się pogorszyło z moim biodrem.

– Od kiedy masz problemy z biodrem?

– Od pewnego czasu. To zaczęło się po twojej ostatniej wizycie tutaj.

Matka przyciągnęła do siebie kubek z herbatą, który musiał tu stać do połowy opróżniony od kilku dni, i z pełną rezygnacją miną upiła mały łyżeczek.

– Chodzi ci o to, żebym cię zawiózł.

– Naturalnie tylko jeśli masz na to czas. Jest przecież adwokatem... – zwróciła się wyjaśniająco do pani Huth, która doskonale знаła szczegółowy przebieg mojej kariery zawodowej od chwili, kiedy poszedłem do szkoły.

Reinickendorf.

Wizyta u starszych pań, które całymi godzinami grając w karty, nieustannie opowiadały sobie te same historie, w międzyczasie spoglądały w moim kierunku i chichotały: „Tak, tak, mały Joachim”.

W tym momencie zadzwoniła moja komórka.

– Vernau?

To była Connie.

– Miałam ci przypomnieć, kiedy upłynie pół godziny – powiedziała. – Czas wstać, wziąć prysznic i przyjść do biura!

– O mój dobry Boże – odpowiedziałem i okazałem lekkie zdenerwowanie. – Dziękuję. Już pędzę.

– Zanadto się nie śpiesz. Jest ładna?

Spojrzałem na moją matkę i postawiłem sobie to pytanie pierwszy raz w życiu. Jak mogłaby dzisiaj zapewne wyglądać, gdyby trochę bardziej o siebie dbała. Stała się taka niepozorna. Siwa. Nie tylko włosy.

– Uwzględniając wszystkie okoliczności towarzyszące, tak.

– Okej. Zadzwonię za dziesięć minut jeszcze raz.

Wstałem. Obie panie wpatrywały się we mnie.

– Już chcesz iść? Przecież jest sobota, nie masz wolnego?

Poprosiłem Connie o przysługę telefoniczną, ponieważ się śpieszyłem. Chciałem zajrzeć na chwilę, dopilnować porządku. Sterta niezadowolonych akt nie robiła się jednak mniejsza dzięki temu, że przekładałem je z jednego końca biurka na drugi.

– Ale my mamy jeszcze ciasto! – krzyknęła matka. – Upiekła je kochana pani Huth. Specjalnie dla ciebie.

Pani Huth delikatnie przytaknęła.

– Spróbuj. Jeden kawałek.

Usiadłem z powrotem i znów nabiłem się na drut do robótek. Pani Huth

wyciągnęła spod tapczanu pojemnik Tupperware i otworzyła go. Widok delikatniejsze dusze natychmiast wysłałby na tamten świat. Przypuszczalnie w przypadku Marty chodziło o ciasto, a nie o kawę.

– Jak to się stało?

Obie kobiety pochyliły się nad pojemnikiem. Szarlotka osiągnęła już etap zmiany stanu skupienia. Pani Huth podniosła wzrok i spojrzała na mnie z wyrzutem.

– W końcu miał pan zjawić się w ubiegłym tygodniu.

Matka zaczęła zdrapywać pleśń.

– Ale może jak się ją usunie...

– Grete! – oburzyła się pani Huth. Mimo wszystko odezwał się w niej honor gospodyni. – Trafi do śmieci!

– I tak muszę już iść – powiedziałem. – Dziękuję za kawę.

– Ale my mamy jeszcze ciasteczka... – stwierdziła bez przekonania matka.

Na pożegnanie wziąłem ją w ramiona. Zrobiła się chuda. Nic dziwnego, skoro ciasto nie zostało zjedzone, tylko spleśniało pod tapczanem.

– A jak się wiedzie twojej dziewczynie? – zapytała.

Nie była w stanie wspomnieć Sigrun po imieniu.

– Ma mnóstwo pracy. Wybory.

– Oboje macie zawsze tak wiele do zrobienia. – Popatrzyła mi w oczy. – Nie pracujcie tak dużo. Jesteście przecież jeszcze młodzi. W tym wieku trzeba cieszyć się życiem. Och!

Sięgnęła do moich włosów. Poczułem mocne szarpnięcie. Matka zaśmiała się.

– Znów siwy włos. Dołączę go do twojego pierwszego loczka. I do mlecznego zęba. Czas, to niesamowite.

Jeszcze raz ją objąłem.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Idź już. Nie martw się.

Obiecałem, że zadzwonię za kilka dni, żeby zorganizować wypad na brydża. Chyba ją to ucieszyło. Jeszcze większą radość sprawiło jej to, że specjalnie wszedłem do kuchni, żeby powiedzieć do widzenia drogiej pani Huth.

Pani Huth opłukała właśnie zimną wodą filiżankę, w której piłem kawę, i odstawiła ją na stertę mniej lub bardziej domytych naczyń, piętzącą się koło zlewozmywaka. Stałem obok niej i spojrzałem na nią życzliwie.

– Dziękuję bardzo za kawę.

Uśmiechnęła się niepewnie.

– A w przyszłości za każdą nieumytą filiżankę i każdy okruch na dywanie potrączę pani jedno z trzystu dwudziestu euro, jakie otrzymuje pani co miesiąc za sprzątanie. A nie za przekształcanie tego mieszkania w biotop. Zrozumieliśmy się?

Pani Huth nic nie odpowiedziała, w ustach miała ciastko. Przecierała tylko nerwowo grubymi palcami swoją spódnicę, która przez to wcale nie robiła się czystsza.

– I kiedy następnym razem przyjadę zobaczyć się z matką, chciałbym, żeby była ubrana w przyzwoite rzeczy.

Pani Huth przytaknęła i przełknęła.

Matka odprowadziła mnie do drzwi. Wkładałem buty, a wewnątrz gotowałem się z wściekłości.

– Musisz jej powiedzieć, że powinna posprzątać. Za to jej się płaci.

Matka zaśmiała się.

– Tak, tak.

– Jeśli ty tego nie zrobisz, ja to zrobię – zagroziłem. Byłem pewien, że krótka rozmowa w kuchni pozostanie pani Huth i moją małą tajemnicą.

– Nie – powiedziała matka. – Proszę, nie. Nie martw się o to.

– Potrzebna ci jeszcze ta gazeta?

Wziąłem do ręki poszarpany egzemplarz „Berliner Tageszeitung”, który leżał w korytarzu na komodzie. Był dzisiejszy i zapowiadał *Polityczny wywiad* na stronie trzeciej.

– Możesz ją sobie wziąć. Już ją przeczytałyśmy.

Dałem jej przelotnego buziaka na pożegnanie. Na klatce schodowej usłyszałem, jak zakłada łańcuch.

Rozdział 7

Trzymając pod pachą plik gazet, przechodziłem obok pokoju Harry'ego. Georg, nasz pomocnik do wszystkiego, akurat wertował kodeksy, zbiory luźnych kartek i segregatory z aktami. W ręce trzymał segregator, w którym, marszcząc czoło, coś bazgrał.

– Co pan tutaj robi?

Obrócił się szybko.

– Pan Vernau. Wystraszył mnie pan. Muszę jeszcze przeanalizować orzeczenie Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w związku ze sprawą pana Meinerza.

– Na poniedziałek?

Georg przytaknął.

– Dokładnie. Panu Meinerzowi przyszło to na myśl dopiero wczoraj wieczorem.

Nie było normalne, że na chwilę przed pierwszą częścią ustną postępowania jeszcze pracowano nad argumentacją. Zwłaszcza że robił to początkujący prawnik. Wydawało mi się, że Georg nie ma tutaj łatwo. Jednak wykonywał bez skargi najbardziej osobliwe polecenia, jakie z upodobaniem wydawał mu Harry.

Jego spojrzenie padło na gazety.

– Już czytałem artykuł. Cieszę się, że pani von Zernikow dobrze wypadła.

– Tylko Zernikow – powiedziałem przyjaźnie. – Bez von.

Sigrun poleciła usunąć ten arystokratyczny wyrostek robaczkowy w ramach quasi-operacji w służbie demokracji. Zrobiła to, kiedy odkryła politykę, na długo zanim się poznaliśmy. W międzyczasie doszedłem do wniosku, że skrycie tego żałowała.

– Tak, naturalnie. Proszę jej przekazać, że oddam na nią głos. Jest jednym z niewielu wiarygodnych polityków. Zresztą moja żona też tak uważa.

Było dla mnie nowością, że Georg jest żonaty. Sprawiał wrażenie tak

młodego. Może wynikało to jednak tylko z tego, że ja miałem już ponad czterdzieści lat, a Georg niespełna trzydzieści. Wszyscy ci ludzie na początku swojego życia nie stali się młodszy, po prostu ja stałem się starszy.

– To mnie cieszy – powiedziałem. – Przekażę jej.

W biurze otworzyłem gazety. Taktyka Sigrun dała efekty. Dobrze poinformowane kręgi wiedziały, że sprawujący rząd burmistrz ma zamiar po wygranych wyborach zaoferować Sigrun resort spraw wewnętrznych. Dla jej partyjnych przyjaciół Sigrun była kobietą najlepiej nadającą się do sprawowania tej funkcji.

Było to udane posunięcie. Ale nie przyniesie jej korzyści. Była najlepsza spośród kobiet, ale to nic nie znaczyło w obliczu całego szeregu nie tak całkiem dobrych mężczyzn.

Przekartkowałem „Berliner Tageszeitung”. Brettschneider w ogóle nie był dziennikarzem politycznym. Nie miał odpowiednich kontaktów. Jednak także do niego dotarły najnowsze plotki i zgrabnie wplótł je w tekst. Dressler pod wpływem Côte Chalonnaise zrobił świetne zdjęcia. Scarlett i Rhett byli parą przez duże P. Mogliśmy być zadowoleni.

Już chciałem złożyć gazetę, kiedy mój wzrok skupił się na zdjęciu. Starsza kobieta wpatrywała się w obiektyw beznadziejnego automatu do robienia zdjęć paszportowych.

Rosjanka utonęła w Landwehrkanal.

Poprzedniego ranka spacerowicz znalazł martwą Olę W. Wszystkie osoby, które w nocy były świadkiem czegoś nietypowego w okolicach kanału, są proszone o zgłoszenie się do najbliższego komisariatu policji.

Szybko przekartkowałem pozostałe gazety. Bez zdjęcia, dwa, czasami trzy wersy. Tylko „Tagesspiegel” podał informację, że Olga W. przyjechała do Berlina na zaproszenie katolickiej parafii Maria Hilf w Spandau. Nie była Rosjanką, tylko Ukrainką. Była dawną robotnicą przymusową.

Wyjrzałem na korytarz. Georg wciąż jeszcze pracował w pokoju Harry’ego. Zamknąłem drzwi. Następnie zadzwoniłem na informację i poprosiłem o numer telefonu katolickiej parafii Maria Hilf. Nikt nie odbierał. Kiedy już uznałem, że nikogo nie zastałem, słuchawkę podniósł mężczyzna o spokojnym, przyjemnym głosie.

– Dzwonię w sprawie Olgi W.

Mężczyzna zrozumiał natychmiast.

– To takie straszne. Przedwczoraj siedzieliśmy jeszcze wszyscy razem,

a teraz ten wypadek. Mieszkała u jednej z parafianek. Kobieta ta wciąż jeszcze jest w szoku.

– Czy to pan zaprosił Olgę do Berlina?

– Tak. Chcieliśmy razem wziąć udział w obchodach w Siemensstadt. Poza nią jeszcze pięć innych dawnych robotnic przymusowych wzięło na siebie ten trud. Nie jest to dla nich łatwe. Dla większości z nich wspomnienia są bardzo bolesne.

Pomyślałem o Utzu.

– Czy znała kogoś w Berlinie? Miała tu krewnych albo przyjaciół?

– A kim pan jest? Jest pan z prasy?

– Nie. Ja... – Spojrzałem przez okno na trawnik i kwitnący rododendron. – Spotkałem ją w ogrodzie.

– Olga kochała kwiaty – powiedział mężczyzna i zamilkł.

Powinienem zakończyć tę rozmowę, nie naprzykrzać się dłużej temu życzliwemu człowiekowi. Olga i ja poznaliśmy się i było to bardzo przelotne spotkanie. Do tej pory już bym o nim zapomniał, gdybym przez przypadek nie trafił na to zdjęcie.

– Jestem proboszczem – powiedział w końcu mężczyzna. – Ta śmierć bardzo mnie poruszyła. Tak daleko od ojczyzny, w kraju, który wyrządził jej tak wielką krzywdę. Przyjechała w dobrej wierze z pragnieniem, by się pojednać. Nie, nie sądzę, by jeszcze kogoś tutaj znała. To znaczy... – Urwał. – To rzeczywiście zagadkowe. Miała przecież jakieś spotkanie.

Oby tylko nie z Utzem von Zernikowem. Miejmy nadzieję, że nie jest to nowa odsłona zapomnianego od sześćdziesięciu lat flirtu.

– Ktoś przysłał po nią samochód.

– Taksówkę?

– Nie, samochód.

– Może miała jeszcze coś do załatwienia? Wizyta w urzędzie? Poświadczenia?

– Też nie. Była uznana.

– Uznana?

– To znaczy, że Ukraińska Fundacja Narodowa i niemiecki fundusz sprawdziły jej przypadek i zostało jej przyznane odszkodowanie. To naprawdę nie są wielkie sumy, te pieniądze, które są wypłacane, raptem kilka tysięcy euro. I kilka euro więcej emerytury. O ile wiem, to zostało załatwione już ponad dwa lata temu. Kim pan jest?

Odłożyłem słuchawkę.

Olga W., spacerowiczka nad Landwehrkanal, była robotnica przymusowa, która pojednała się ze swoją przeszłością, której akta zostały opracowane, roszczenia zaspokojone, była martwa.

Śmierć była jak dotąd łaskawym gościem w moim życiu. Z wyjątkiem mojego ojca nikogo mi nie odebrała. Łagodnie odprowadziła Abła von Lehnsfelda, a teraz cichutko skradała się przez pokoje baronowej. Była obecna, ale nie natrętna.

W przypadku Olgi W. uderzyła mocno i nagle. Nikt się z czymś takim nie liczył. Proboszcz parafii był szczerze zasmucony. Ta niemal nieznana osoba miała tutaj kogoś, kto opłakiwał jej śmierć. To mnie poruszyło. Ale nie dotyczyło. Mogłem spokojnie zutylizować kserokopię w niszczarce.

Wysunąłem szufladę i zacząłem jej szukać. Szukałem długo. Tak długo, aż uświadomiłem sobie, że ktoś już za mnie tę sprawę załatwił.

Rozdział 8

Sigrun utknęła w południowej części dzielnicy Mariendorf. Chciałem z nią porozmawiać i pomyślałem, że nie byłoby źle po nią pojechać.

Około wpół do dziesiątej dotarłem do Gartenkrug, knajpy położonej bezpośrednio przy jednej z nowych tras wylotowych z Berlina, które jeszcze nie do końca uporały się z przemianami. Małe domy jednorodzinne stawiały czoło coraz większemu nasileniu ruchu. Właściciele, którzy zbudowali je na drogich parcelach w okresie przed przemianą, pomijając dodatek solidarnościowy, mieli teraz jeszcze jeden powód, by rzewnie wspominać stary Berlin Zachodni. Domy były niewiele warte, dopóki cały ruch w południowej części Berlina pędził ich opłotkami.

Wszedłem cicho do pomieszczenia, w którym odbywała się impreza. Mariendorf-Południe to twierdza partii Sigrun, lokalna organizacja była kontrolowana przez skrzydło konserwatywne. Musiała długo targować się z przewodniczącym, nim w końcu zaprosił ją na jeden z wieczorów dyskusyjnych, żeby mogła zaprezentować się członkom. Jej wystąpienie skupiało się co prawda na szansach edukacyjnych, w ciągu ostatnich dni zostało jednak przez nią nieco przeredagowane, tak że znalazły się w nim także aspekty związane ze sprawami wewnętrznymi.

Meyer, przewodniczący lokalnej organizacji partii i orędownik polityki rodzinnej we frakcji, z zaciśniętymi ustami siedział niczym na tronie u szczytu ustawionych w podkowę stołów. Obok niego siedziała Sigrun i z pozornym zainteresowaniem przysłuchiwała się wywodom kolegi partyjnego, który nie był zachwycony jej ofensywą edukacyjną. Kiedy wszedłem, uśmiechnęła się do mnie. Potem znów zaczęła słuchać z uwagą. Przyjaźnie kiwała głową, odnotowywała sobie zagadnienia, do których chciałyby się odnieść w swojej odpowiedzi, wypila łyk wody i ukradkiem pocierała sobie dłonią skroń. W pomieszczeniu było duszno, niektórzy z obecnych palili papierosy, w powietrzu unosił się zapach zwiędzłego piwa. Postanowiłem, że zaczekam

na zewnątrz, skinąłem jej i wyszedłem do sali restauracyjnej, a stamtąd z małym piwem w ręce na werandę.

Minęło jeszcze niemal pół godziny, nim impreza się skończyła. Niektórzy opuścili w pośpiechu Gartenkrug, inni stali jeszcze w małych grupkach i rozmawiali. Sigrun przystanęła przy nich. Zauważyła mnie, została jednak zasypana przez Meyera krytycznymi uwagami. Kiedy w końcu do mnie podeszła, było już wpół do jedenastej.

– Odwieszysz mnie? – dała mi szybkiego buziaka w policzek.

Skinąłem na obsługę, a Sigrun zamówiła sobie wino z wodą gazowaną. Meyer przeszedł obok naszego stolika, pozdrowił mnie, a następnie zszedł po schodach werandy na dół.

– Czy udało ci się w końcu przeciągnąć go na swoją stronę? – zapytałem.

Sigrun odprowadzała go wzrokiem i marszczyła czoło.

– Nie wiem. Być może.

Kelner postawił przed nią z rozmachem wino z wodą gazowaną, tak że zaczęło się pienić i przelewać.

– Dla niektórych z nich już kobieta senator do spraw rodzinnych jest podejrzana. Inni mogą sobie wyobrazić nawet kobietę kanclerza federalnego. Głupie jest, że wcale nie mogę się specjalizować w polityce wewnętrznej. Jeszcze nie. To wszystko musi poczekać do czasu po wyborach.

Nerwowo starła serwetką wilgoć ze stołu. Wiedziałem, że ostatnio niewiele jadła.

– Jesteś głodna?

– Nie. – Uśmiechnęła się do mnie. – Będę dopiero we wrześniu.

Wypiłem moje piwo.

– Rosjanka nie żyje.

– Jaka Rosjanka?

– Ta, która była u nas w ogrodzie. Ona wcale nie jest – nie była – Rosjanką, lecz Ukrainką. Z Kijowa.

– Hmm. – W zamyśleniu potarła sobie skronie. – Dlaczego nie żyje?

– Utonęła.

– A więc to wypadek.

– Możliwe.

– I? – Upiła łyk musującego napoju.

– Była dawną robotnicą przymusową. Została zaproszona do Berlina przez parafię katolicką.

– Dziwne. Czego w takim razie szukała u nas?
– Też zadaję sobie to pytanie.
– Robotnica przymusowa. – Sigrun potrząsnęła głową. – Nie dostrzegam żadnego związku. Chciała spotkać się z moim ojcem, nieprawdaż?

Przytaknąłem.

Przejechała palcem po krawędzi swojego kieliszka.

– Nie. Tu nie ma żadnych powiązań. Mój ojciec w maju czterdziestego piątego roku miał jedenaście lat. A mój dziadek stacjonował w Belgii. Babcia dbała o dom, na ile to było możliwe. Nikt nie miał związków z przemysłem czy rolnictwem. Nawet majątek na Pomorzu był raczej gospodarstwem rodzinnym.

Utracone latyfundia baronowskiej gałęzi rodziny już wiele razy pojawiały się w rozmowie, zawsze wspomniane z wielkim smutkiem.

– Czy ona w ogóle nie powiedziała, o co jej chodzi?

– Mówiła o tym, że Utz powinien coś podpisać. Kartkę. Nie dla niej, lecz dla kobiety o imieniu Natalia. Dałem mu tę kartkę.

– I?

– Podarł i ją wyrzucił.

– Sam widzisz. – Z ulgą opróżniła swój kieliszek.

– Odniosłem jednak wrażenie, że imię Natalia coś mu mówiło.

– Wmawiasz to sobie. – Wzięła mnie za rękę. – Zapomnij o tym. To była pomyłka. Albo jeszcze gorzej, oszustka. Może chciała pieniędzy. Albo starała się wybadać dom. Nigdy się tego nie dowiemy.

Skinąłem na obsługę, by zapłacić.

Sigrun nachyliła się w moją stronę.

– Ale jeśli biedne, samotne kobiety leżą ci na sercu i chcesz zrobić coś miłosiernego...

– To co?

Sigrun się odchyliła. Kelner podszedł do stolika, zainkasował pieniądze, Sigrun splotła ręce na piersi.

– To co? – zapytałem jeszcze raz.

– Chcę wyjść za mąż.

– Za kogo? – spytałem i zrobiłem wściekłe spojrzenie. – Kiedy?

– Niebawem. Przed wyborami.

– To nie powód.

Bębniła paznokciami o blat stołu.

– Okres po wyborach także nie. Nosimy się z tym zamiarem od dłuższego czasu. Status zameężnej kobiety może mi się przydać. A zatem?

– Powód cały czas mnie nie przekonuje.

– A co powiesz na taki: ponieważ cię kocham?

Przyglądałem się jej dłuższą chwilę. Nie używaliśmy takich słów od wieków. Byliśmy po prostu zbyt zajęci. Miłość cały czas była obecna, brakowało jednak czasu, żeby ją także okazywać.

– Okej – powiedziałem. – Pod jednym warunkiem.

– A mianowicie jakim?

– Że się wyprowadzimy.

Sigrun otworzyła usta i je zamknęła. Z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

– Po co szukać innego mieszkania? Przecież nasze jest piękne.

– Tak, ale dla mnie nieco zbyt familijne. To nie jest mój dom, rozumiesz?

– Przecież to całkiem obojętne, czy możesz nam kupić własny dom, czy też nie.

– Właśnie. Na początek wystarczy przecież mieszkanie. Jeśli dla ciebie, jako senatora, nie jest to zbyt mało.

Zapieniła się z wściekłości.

– Naturalnie, że nie! Czy musimy to zrobić od razu, czy mogę się w spokoju spakować?

– Mamy czas. Nie musimy podejmować pochopnej decyzji. Nie chcę się tylko tam zestarzeć, rozumiesz mnie?

– A ja chcę wyjść za mąż.

– To jesteśmy umówieni – powiedziałem cicho i wyciągnąłem do niej rękę.

Zastanawiała się przez chwilę, nim podała mi swoją.

– Okej. Czy masz już jakieś plany na jutrzejszy wieczór?

– Nie. A dlaczego pytasz?

– Ponieważ zaręczamy się – powiedziała.

Następnego dnia wieczorem rzeczywiście nieoczekiwanie wcześniej wróciła z festynu straży pożarnej, wzięła prysznic, poperfumowała się Apergé i zmieniła kostium na małą czarną z perłami babci.

Zabrała się do tego na poważnie.

– Tam? – spytałem, a on przytaknęła.

Tam oznaczało w jadalni, na którą sześćoosobowe rodziny potrzebowały

zaświadczenia uprawniającego do korzystania z mieszkań wybudowanych dzięki dotacjom państwowym. Tam oznaczało: szwajcarski len, francuski kryształ, rosyjska porcelana. Tam oznaczało: stara Europa.

Utz zaordynował pełny program. W kuchni zabrał się do pracy kuchmistrz specjalnie wezwany z kilkunastu gwiazdkowej restauracji w dzielnicy Mitte. Walter, który umiał znaleźć się w każdej sytuacji życiowej, podawał do stołu. Baronowa siedziała u szczytu i od czasu do czasu przytakiwała, podczas gdy Utz wyrażającym zadowolenie wzrokiem wpatrywał się w Sigrun i we mnie. Odnosiłem wrażenie, że wiedział, co miało się wydarzyć tego wieczoru.

– No i – spytał po pieczonym filecie z barbaty na soczewicy z kolendrą – kiedyż to się stało?

Zakaszlałem, nieco zakłopotany.

Utz spojrział na Waltera.

– Poproszę o jeszcze jedną butelkę tego rieslinga z dziewięćdziesiątego szóstego roku. W piwnicy.

– Mój panie... – Walter zniknął.

W tym domu obowiązywały kanały komunikacyjne, których nigdy nie zdołałem pojąć. Szepnąłem do Sigrun, że po ślubie także życzyłbym sobie, by tak się do mnie zwracano, a ona kopnęła mnie w goleń.

Utz znów całą swoją uwagę skupił na mnie.

– Jestem stary – powiedział. – Dopadnie mnie zmęczenie. Może nie takie jak moją panią matkę...

Z ust baronowej rozległo się donośne chrapnięcie.

– ...ale sił mam coraz mniej. Chcę przekazać mój dom. Wiesz, że miałem swoje zastrzeżenia co do twojej osoby. Nic dziwnego, ponieważ twoje poglądy i twoje zachowanie były nieco niedojrzałe. Jednak Sigrun – czułe spojrzenie spoczęło na głowie czerwieniącej się córki – nie dała się przekonać do zmiany zdania. Zachowała się jak Zernikow z prawdziwego zdarzenia. Uparta, obstająca przy swoim zdaniu, a jednak zauważająca to, co istotne. Wcześniej dostrzegła, jaki kryje się w tobie potencjał. Wcześniej niż wszyscy inni.

– Wcześniej – wymamrotała baronowa i przebudziła się na chwilę. Nieco mętnym wzrokiem szukała kieliszka na wino. Był pusty.

– Walter przyniesie jeszcze jedną butelkę. – Utz uspokajająco pogłaskał ją po rękę. Skinęła z zadowoleniem i znów przywarła plecami do wysokiego oparcia. Nawet nie musiała starać się o uwagę, i tak dostawała wszystko.

– Nawet wcześniej niż ja. – Utz skinął w moim kierunku. – Ale jeszcze nie jestem tak uparty, by nie umieć dostrzec błędów. A zatem... Chcę mieć partnera, zięcia, a następnie także wnuka. Czy to oferta?

– Mylisz się – odpowiedziałem. – To żądanie.

Utz zaśmiał się, także Sigrun przyłączyła się do niego, choć nieco nieszczerze.

– Nie jesteśmy przecież tutaj na targu wielbłądów – powiedziała.

Rozległo się pukanie. Wszedł kucharz. Ulżyło mi, że nasze pertraktacje zostały przerwane.

– Czy wszystko było w porządku? – zapytał z austriackim akcentem. Utz przytaknął.

Sprzątanie zastawy, przynoszenie następnego dania – piersi gołębia z Bresse w cieście sękacza z gęsią wątróbką – oraz głośne przebudzenie baronowej dały mi okazję, by szeptem skonsultować się z Sigrun.

– Czego on chce? – zapytałem.

– Przekazać swój dom – odpowiedziała. – Chce wiedzieć, że będę w dobrych rękach, kiedy on kiedyś odejdzie.

– Ale przecież nie w jego wieku.

– A jednak. Zawsze. W każdym wieku. Wszystko musi mieć ręce i nogi.

Zaśmiałem się.

– Ale czy tobie to wystarczy? Tylko ręce i nogi?

W kącikach jej oczu błysnął uśmiech.

Kucharz zniknął po skończonej pracy, wspomniał tylko coś o deserze, brzmącym jak chipsy gruszkowe z musem kwiatowym, który został później podany przez Waltera, a Utz chciał wiedzieć, o czym tak szepczemy.

– O niczym, o czym nie mógłbyś wiedzieć. Zaręczyliśmy się.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Zaoferował mi zarówno swoje ręce, jak i nogi.

Ta interpretacja jednak nieco mnie zaskoczyła. Ale nie miałem czasu, by wymyślić coś innego – Utz rozpromienił się na całej twarzy, okrążył stół i przycisnął mnie do swojej piersi.

– To mnie cieszy – powiedział. – Wszystkiego najlepszego. Synu. – Następnie wziął w ramiona swoją córkę.

Baronowa popatrzyła zdezorientowana i usłyszała krótkie wyjaśnienie.

– Zaręczona? – zapytała. – Ale chyba nie z tym tam?

– Mamo! – zawołał Utz.

Sigrun zaśmiała się.

– A jednak, babciu. Ale nie martw się. Zachowam swoje nazwisko.

– Twoje nazwisko! Twoje piękne nazwisko! Zepsułaś je i już nigdy nie będzie lepsze!

Mówiła z aktorską emfazą, niczym gwiazda przedwojennego kina. Sigrun jednak zawsze gwałtownie zaprzeczała, by kiedykolwiek miała występować na scenie. Mnie sposób, w jaki niekiedy zaczynała deklamować, zdecydowanie przypominał zapomniane diwy.

Wszedł Walter. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że przez cały czas podsłuchiwał pod drzwiami i czekał na strategicznie korzystny moment, żeby wrócić. Został niezwłocznie odesłany z powrotem do kuchni.

– Szampana! – krzyknął za nim Zernikow.

Walter wrócił z szampanem. Kiedy kieliszki zostały napełnione, na moment zapadła cisza. Sigrun spojrzała na mnie. Utz zdawał się na coś czekać. Walter trzymał się z tyłu; ściskając kurczowo kieliszek, czekał z zapartym tchem, aż coś powiem. Baronowa nawet nachyliła się do przodu, żeby lepiej słyszeć.

– A zatem... – powiedziała Sigrun.

Wszyscy podnieśli kieliszki w górę i wpatrywali się we mnie. Czas jakby się zatrzymał. Utz unióśł brwi. Baronowa regulowała swój aparat słuchowy. Sigrun spojrzała mi w oczy; w jej, głęboko na dnie, połyskiwały teraz lody Antarktyki.

– A zatem... – powiedziałem i również uniosłem kieliszek – ...za nas.

Dało się wyczuć ulgę. Sigrun zawiesiła się na mojej szyi i pocałowała mnie tak jak jeszcze nigdy w obecności swojego ojca albo innych osób. Staruszka potrząsnęła głową i powiedziała grobowym głosem:

– Zaręczyny!

Utz był w pełni usatysfakcjonowany, a kiedy Sigrun skończyła mnie obcałowywać, z zaczerwienioną twarzą podszedł do mnie Walter.

– A więc, panie Vernau, wszystkiego najlepszego! Co za zwrot w życiu!

Przy tym stuknął obcasami i nadstawił swój kieliszek, żebyśmy razem wznieśli toast.

– Panienko Zernikow!

W przypadku Sigrun gratulacje ograniczyły się do ukłonu.

– Wesele! – krzyknęła teraz baronowa. Zabrzmiało to, jakby po dżumie i choleryze teraz zjawili się jeszcze i Hunowie. – W tym domu!

Zernikow zaczął planować, Sigrun wpadła w zachwyty.

– Jak by to było, gdybyśmy ogłosili nasze zaręczyny w moje urodziny? –
Spojrzała na mnie promiennym wzrokiem.

– A kiedy to jest?

Jej uśmiech zgasł.

– Za dwa tygodnie. Cieszyłabym się, gdybyś znów o nich nie zapomniał.

– Nie zapomni – wtrącił się Utz. – Zadbam o to. – Puścił do mnie oko.

– A ślub? – zapytałem. O ile mi wiadomo, zaręczonym można być całkiem długo. I tylko w nielicznych przypadkach ma to przykre konsekwencje psychiczne.

– W sierpniu – wypaliła Sigrun niczym z pistoletu.

Lato. Żółte pola, skowronki śpiewające na tle błękitnego nieba. Wieńce z kwiatów na kręconych włosach.

– Podczas parlamentarnych wakacji letnich.

Rozdział 9

Marie-Luise wciąż jeszcze jeździła volvo. Nie wiedziałem, czy to ten sam samochód co wtedy. Ale wystroiła się w szary kostium, miała czólenka na średnim obcasie, upięte wysoko włosy, świeżo umyte i zafarbowane. Wyglądała lepiej, niż ją zapamiętałem.

Kiedy wysiadła z samochodu, upuściła kluczyki. Ten gest był mi na tyle dobrze znany, że musiałem się uśmiechnąć. Marie-Luise zawsze wszystko upuszczała: klucze, szklanki, serwetki, surowe jajka. Była i pozostała niezdara. Klęknęła, znalazła pęk pod samochodem, następnie dostrzegła mnie. Siedziałem przy oknie restauracji, w której się umówiliśmy. Natychmiast się obróciła i zamknęła samochód. Potem przebiegła przez Gendarmenmarkt.

Kelner przyprowadził ją do stolika. Wstałem i podałem jej rękę. Po krótkim wahaniu uścisnęła ją.

– Miło cię zobaczyć – powiedziałem.

Usiadła.

– Mnie to spotkanie zdecydowanie nie sprawia przyjemności. Dziękuję, nie będę niczego jadła. – Wcisnęła zdumionemu kelnerowi menu z powrotem do ręki.

– A pan?

Zamówiłem talerz spaghetti. Kelner poszedł sobie.

– Świetnie wyglądasz – powiedziałem. – Jesteś odmieniona.

W jej uszach dyndały wciąż jeszcze oprawione w stare srebro turkusowe osobliwości. Miała słabość do wytrzymałych obiektów demonstrujących światopogląd.

– To bezcelowe. Nie kładź mi. Ograniczmy się do spraw służbowych, okej?

Wyjąłem akta z teczki, gdy kelner otwierał wodę mineralną. Musiałem się postarać, by powstrzymać szyderczy uśmiech.

Skontaktowałem się z wdową i tak łagodnie, jak to tylko możliwe, przygotowałem ją na to, że być może istnieje jeszcze jeden członek rodziny.

Na łożu śmierci Gustav Weinert poinformował o swoim nieważnym kroku pielęgniarkę. Ta zwróciła się do pierwszego lepszego pisma ilustrowanego i z zyskiem sprzedała historię. To sprawiło, że temat córki z pozamałżeńskiego związku zaistniał. Testy genetyczne wykazały, co miały wykazać. Córka poczuła krew i teraz miała zamiar przywłaszczyć sobie willę, akcje, mieszkanie wakacyjne i aktywa gotówkowe. Dlaczego wylądowała z tym akurat u Marie-Luise, pozostawało dla mnie zagadką. Była wszystkim innym, tylko nie cwany adwokatem procesowym z praktyczną znajomością prawa spadkowego. Dotąd trzymała się spraw dotyczących pól, lasów i łąk.

Jednak wykonała kawał solidnej roboty. Pismo procesowe sformułowała precyzyjnie i na ile to było w jej przypadku możliwe, unikała zwrotów w osobistym tonie. Podczas czytania odniosłem wrażenie, że ktoś jej pomógł.

– Jeśli zamierzasz przeforsować ją jako dziedziczkę, może otrzymać zachówek. Nie więcej.

– To za mało. – Marie-Luise zademonstrowała pokerową twarz, pewnie podpatrzoną w jakimś telewizyjnym serialu sądowym. – Willa, dom wakacyjny, jeden przecinek dwa miliona w akcjach i pięćset tysięcy w gotówce.

Przyniesiono jedzenie, a ja przez kilka minut skupiałem się na wyśmienitym spaghetti vongole. Jak na adwokata kogoś pozbawionego praw Marie-Luise była dość zachłanna. Zaoferowałem domek wakacyjny.

– Willa, akcje i do tego pięćset tysięcy.

Potrząsnąłem głową.

– Nie wiem, co oznacza dla ciebie słowo negocjacje. Ja coś oferuję, ty coś oferujesz. I tak wspólnie dochodzimy do pomyślnego rozwiązania sprawy.

– Błąd. Moja klientka ma rację, twoja nie ma racji. Tak to wygląda. Dostaniemy wszystko.

Spojrzałem jeszcze raz do moich akt, z z troskaniem pokręciłem głową, a następnie zamknąłem teczkę.

– Nie jeśli chodzi o wymuszenie.

Podąłem jej kartkę. Wdowa nie była głupia. Umiała czytać wyciągi z konta i zrobiła dla mnie kilka kopii.

– Zestawienie sum, jakie w ciągu ostatnich dwudziestu lat już zostały wypłacone.

Marie-Luise przeleciała wzrokiem liczby i oddała mi kartkę.

– Zadatek, okej. Ale to niczego nie zmienia.

Odczekałem sekundę, ale Marie-Luise wcale nie przygotowywała się do tego, by schować kartkę do swojej dokumentacji. Schowałem ją zatem do swojej.

– Dla mnie wygląda to raczej tak, jakby oskubała starszego pana do ostatniej koszuli. Wyjdiesz z tego z zachowkiem. Więcej nie uzyskasz.

Wyraźnie rozzłoszczona spakowała dokumenty.

Odsunąłem talerz na bok.

– A może spróbowałibyśmy w końcu rozsądnie porozmawiać?

Wyjrzała przez okno, potem odwróciła się w moją stronę.

– Wiesz, co mnie najbardziej wkurza? Że kiedyś naprawdę w ciebie wierzyłam.

– Marie-Luise, to tutaj to sprawa. Nie petycja do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

Chciała wstać, jednak coś jeszcze się jej przypomniało. Znów otworzyła teczkę z dokumentami i wyciągnęła z niej wydruk z faksu. Na pierwszy rzut oka rozpoznałem rosyjski dokument. Cholera, z tym się nie liczyłem.

– Nie wiem, czy jeszcze ci to potrzebne.

– Nie – powiedziałem, może nieco za szybko. – Sprawa już się rozwiązała.

Chciałem sięgnąć po faks, jednak odsunęła go.

– Świetnie, w takim razie mogę go zatrzymać.

– Nie – powiedziałem. – Daj mi go proszę.

Oddała mi go. Podarłem papier na drobne strzępki i wrzuciłem do popielniczki.

– Co prawda jest to zupełnie nieistotne – powiedziałem, gdy skrawki się paliły – ale co tam było napisane?

– Och, nic – odpowiedziała. – Tylko tyle, że rodzina twojej dziewczyny powinna coś poświadczyć. Ale skoro mówisz, że sprawa się rozwiązała...

– Co poświadczyć?

Uśmiechnęła się do mnie.

– Odgrzewany kotlet. – Wzięła swoją teczkę. – A skoro to nieistotne, na pewno nie będziesz miał problemu z tym, że podarłeś tylko kopię. Oryginał faksu zachowam. Na wypadek gdybyś miał zamiar mnie wyrołować. W przeciwieństwie do ciebie uważam, że to pismo jest bardzo interesujące.

Patrzyłem za nią, jak niepewnym krokiem zmierza do samochodu i odjeżdża.

Marie-Luise zmieniła się bardziej, niż wydawało mi się to w ogóle możliwe. Sprytnie skłoniła mnie do popełnienia poważnego błędu. Mogła mnie

zaszantażować i nawet nie wiedziałem czym.

W którymś momencie musiałem wypowiedzieć się Utzowi ze sprawy z faksem. Wydawało mi się, że dobrą okazją będzie koniec krótkiej roboczej narady. Utz miał jednak inne plany. Nim nadszedł odpowiedni dla mnie moment, powiedział: – No, już czas. – Podeszedł do sejfu ukrytego za dużym obrazem. Ekspresjonista, przypisałbym go do grupy artystycznej Błękitny Jeździec. Albo z grupy Brücke. Ukazywał oś widokową parku Wörlitz koło Dessau i był datowany na 1937 rok, ale niepodpisany.

– Sygnowany byłby wart majątek – powiedział Utz, uruchamiając mechanizm odsuwający obraz od ściany. – Malarz niedługo później wyemigrował. Mój ojciec miał nosa do sztuki. Tego rodzaju sztuki. Wszystkiego, co później zostało uznane za wynaturzone. Pomógł wielu osobom. Kupował obrazy, ukrywał. To tutaj to praca na zlecenie. Ten człowiek nie mógł już pracować. Dlatego obraz nie jest sygnowany.

Było to studium jesiennego parku, drzewa pokryte czerwonożłotymi liśćmi wokół spokojnego, ciemnego jeziora. Niebo zachmurzone, nastrój łagodnej, wieczornej ciszy. Tylko na horyzoncie chmury rozświetlała zwiastująca nadzieję czerwień.

– Nie zachowaliśmy zbyt wielu. Ale tego Amerykanie nie zdołali zdjąć ze ściany. Bogu dzięki, że go nie zniszczyli. Jestem do niego przywiązany. Przypomina mi o nim.

Obraz odchylił się, a my zwróciliśmy się w stronę sejfu.

– Przekręcić – polecił Utz. Pokrętko cicho klikało, kiedy zaskakiwało przy wybieraniu kombinacji cyfr.

– Gotowe.

Otworzył stalowe drzwiczki, które miały mniej więcej pięćdziesiąt na pięćdziesiąt centymetrów. W sejfie znajdowały się tylko akta. Nie mogłem niczego odczytać, ponieważ Utz wszystko, co było dla niego ważne, zapisywał pismem Sütterlina. Wydawało mi się, że na jednym z grzbietów dostrzegłem napis *Lehnsfeld*, nie chciałem jednak wpatrywać się w teczkę ze zbytnim zaciekawieniem.

– Są różne formy dyskrecji. – Utz wyjął z sejfu kilka teczek. – Ta, do której zmusza nas prawo. Dochowując jej, zarabiamy nasze pieniądze. I ta, którą jesteście winni rodzinie. I przyjaciołom, którzy należą do naszej rodziny. Ona buduje nasz honor i godność. Jednak nie jest to łatwe.

Podał mi teczkę z aktami. Otworzyłem i przeleciałem wzrokiem po

pierwszych stronach. Sprawa przeciwko Aaronowi von Lehnsfeldowi, który wbrew poleceniom urzędu do spraw gospodarki nieruchomościami rozpoczął prace budowlane w willi w Grünau. Wielkie dzięki.

– Dlaczego ten dureń zaczął przebudowę?

Utz westchnął.

– Przebudowa to za dużo powiedziane. Dzień po otwarciu testamentu wynajął koparkę i z dwoma pomocnikami zaczął odkopywać fundamenty. Naturalnie zarządzono natychmiastowe zatrzymanie prac. Otrzymujesz ode mnie zlecenie, by doprowadzić tę sprawę do porządku. W przeciwnym razie zabiorą dom.

– Może o to mu chodzi. Wzbudzić jak największe poruszenie, żeby wyrzucić presję na ojca. Tylko idiota zaczyna roboty bez pozwolenia na budowę. Przecież został wyraźnie pouczony, żeby tego nie robił.

– Nie wiem, nie wiem. – Utz usiadł za swoim biurkiem. – Nie wiem, co dzieje się w tych głowach. Dzieci. Myślisz, że je znasz, a potem stwierdzasz, że stały ci się obce.

Patrzył na zdjęcie w srebrnej ramce, stojące na biurku. Pokazywało Sigrun z jej matką. Sigrun miała warkocze, nosiła aparat na zębach i białe podkolanówki. Siedziała na huśtawce i promieniała z radości. Piękna blondynka stojąca za nią popychała ją. Pogodne zdjęcie, zrobione krótko przed śmiercią Reginy.

– Znasz ją naprawdę?

Podszedłem do stołu.

– Sigrun? Mam nadzieję.

– Ale chcecie mieć dzieci?

Wydawało mi się, że to Sigrun powinna z nim o tym porozmawiać. Byliśmy zgodni co do tego, że nie będziemy mieli dzieci. Ani teraz, ani później.

– Przecież nie musimy ich mieć natychmiast – powiedziałem niepewnie.

Utz kiwnął głową.

– Ale zbyt wiele czasu nie macie. Sigrun ma już trzydzieści siedem lat.

– Wiem – odpowiedziałem. – Jest już na tyle dorosła, że sama musi zdecydować.

– Z pewnością. – Wskazał na akta. – Pamiętaj o tym: dyskrecja.

– Oczywiście – powiedziałem. – Powiniennem ci je oddać wieczorem?

– Nie. Na razie zamknij je w swoim biurku. U ciebie także trzeba zainstalować sejf. Ale nie taki piękny!

Roześmiał się, ja też. Zamknął sejf i na powrót zasłonił go obrazem. Przeciągnął ręką jeszcze raz po jego ramie, a następnie spojrzał na czarne ślady na swoich palcach.

– Coś takiego – wymamrotał. – Walter powinien zrobić z tym porządek.

Rozdział 10

Byłem już w szlafroku i miałem ręcznik na ramionach, kiedy usłyszałem dzwonek. Było późno i pomyślałem, że Sigrun zapomniała klucza, więc bez wahania lekko uchyliłem drzwi. W tym momencie ktoś pchnął je mocno, uderzając mnie nimi w sam środek twarzy.

Leżałem na plecach i starałem się złapać powietrze. Z nosa ciekła mi krew. Pomyślałem o wykładzinie podłogowej i o tym, że kosztowała siedemdziesiąt dziewięć euro za metr kwadratowy. Drzwi zostały zatrzaśnięte. Napastnik z całej siły kopnął mnie w plecy na wysokości nerek, po czym stanął nade mną na szeroko rozstawionych nogach.

– Zernikow.

To było stwierdzenie. Akurat miałem się zdziwić, że głos jest kobiecy, kiedy napastniczka uniosła prawą nogę i nadepnęła mnie dokładnie tam, gdzie mężczyźni najbardziej boli.

Poczułem w sobie jakby eksplozję fajerwerków. To było na poważnie. Choć z powodu bólu oszołomiony, zrozumiałem, że ktoś naprawdę wziął się na mnie.

Podniosła mnie za klapy szlafroka i opluła, wykrzykując słowa, których nie rozumiałem. Ton głosu był jednak jednoznaczny: Zrobiłeś ze mnie idiotę, Zernikow!

Ledwie zdążyłem zrozumieć nazwisko, walnęła mnie z prawej tak, że zatrzeszczały kości. Próbowałem odczołgać się do tyłu, ale jej uda trzymały mnie w żelaznym uścisku.

Próbowałem krzyknąć „Nie!”. Zabrzmiało to jak „Nyyyyy!”.

Puściła mnie, moja głowa walnęła o podłogę. Dziwiłem się, że jeszcze żyję. W jakiś sposób musiałem przekonać ją, że zaszło nieporozumienie. Nie nazywałem się Zernikow. I wcale nie chciałem się z nim zamieniać.

Spróbowałem ruszyć szczęką. Kobieta wstała, minęła mnie i przeszła do pokoju dziennego. Po chwili wróciła i chwyciła mnie pod ramiona.

Krzyknąłem z bólu. Zaciągnęła mnie do grzejnika. Usłyszałem szczęk, kiedy przykuwała mnie kajdankami do rury. Następne, co do mnie dotarło, to wiadro wody, które na mnie wylała. W międzyczasie przestałem martwić się o wykładzinę. Już tylko się bałem.

– Popatrz na mnie, świnio.

Aha, mówi po niemiecku. Nie bez akcentu, ale wydawało się, że istnieje droga do porozumienia. W cudowny sposób ręcznik wciąż jeszcze wisiał na moich ramionach. Sięgnąłem po niego wolną ręką i starłem sobie krew z oczu.

Miała trzydzieści, trzydzieści pięć lat, ciemne włosy do ramion, wąską talię i okrągłą, symetryczną twarz. Nigdy w życiu jej nie widziałem.

Chciałem powiedzieć: „Nie jestem Zernikow”. Z moich ust wydobyło się jednak tylko: „Nyyemzychow”.

Odebrała mi wilgotny ręcznik, wzięła zamach i uderzyła mnie z całej siły w twarz.

– Odebrało ci mowę? – powiedziała z wyrzutem.

Sprawdziłem językiem, czy mam jeszcze w ustach jakieś zęby, i wydusiłem z siebie z wysiłkiem:

– Nie... jestem... Zernikow!

Znów uniosła ręcznik. Zrobiło mi się niedobrze. Pobity na śmierć mokrą szmatą – mój koniec nie mógł tak wyglądać. Potrząsnąłem głową, chociaż bolało tak, jakby w mojej czaszce ciesielskie gwoździe tańczyły polkę.

– Nie Zernikow! – krzyknąłem. – Vernau. Joachim Vernau! Kim pani jest?

– Milla, córka Natalii Czeredniczenkowej. – Opuściła ręcznik. – Gdzie jest Zernikow?

Spotkania z nią Utz by nie przeżył.

– Czego pani od niego chce?

Klęknęła przede mną i wpatrzyła się w to, co zostało z mojej twarzy. Musiałem wyglądać potwornie, ponieważ skrzywiła usta.

– Nie chciałam wierzyć w to, co mówią starzy. Jednak to prawda. Wy wszyscy macie dryg do mordowania.

Uniosłem się do pozycji w połowie wyprostowanej. Napastniczka wydawała się gotowa do pertraktacji.

– Jak to do mordowania?

Uniosła rękę i złapała mnie pod brodę. Potwornie bolało. Następnie przekręciła moją głowę z jednej strony na drugą i przyjrzała się, jak mnie urządziła.

– Boli?

Przytaknąłem.

Wzięła zamach i wymierzyła mi dwa siarczyste policzki.

– Powinno – powiedziała.

Kiedy znowu się zamierzyła, wyrzuciłem nagle wolną rękę do przodu, szarpnąłem nią, aż trzasnęły kości, uderzyłem jej głową w grzejnik, oplotłem nogą i chwyciłem ramieniem za szyję. Miałem ją. Nie mogła oddychać, próbowała zaczerpnąć powietrza, wierzgała, w końcu jednak się poddała. Poluzowałem chwyt dopiero wtedy, kiedy wyczułem, że za chwilę się udusi. Całym ciałem przyparłem ją do ściany.

– No – powiedziałem. – Teraz zostaniemy w tej pozycji, aż wróci do domu moja żona. Ona wezwie policję, a potem cześć pieśni. Rozumiesz?

Zwiotczała. Wciąż trzymałem ją wystarczająco mocno, żeby nie mogła uciec.

– Co to znaczy cześć pieśni? – zapytała. – Mnie też chcecie zabić?

– Też? – spytałem. – Ja jeszcze nikogo nie zabiłem. Ale zawsze jest ten pierwszy raz.

W tym momencie zadzwonił telefon. Usłyszałem swój głos na automatycznej sekretarce, następnie piknięcie.

– Joachim?

Matka.

– Joachim, jesteś tam? Chcielibyśmy jednak udać się na przejażdżkę samochodem. Odezwiiesz się?

Wysłuchiwała się jeszcze przez chwilę w ciszę, a potem odłożyła słuchawkę.

– Moja matka – powiedziałem. – A czy pani matka wie, co pani tutaj wyprawia?

Oboje pociliśmy się jak świnie. Jęknęła i wymamrotała coś.

– Co?

– Olga była jedyną przyjaciółką mojej matki. Ostatnią, którą znała jeszcze ze wsi Prowery. Co z nią zrobiliście?

Teraz zrozumiałem. Kobieta. Rosjanka.

– Nic. Była tu przez chwilę i poszła sobie. Gdzie jest klucz?

Odpowiedziała po rosyjsku.

– Gdzie?

– Z tyłu po lewej.

Musiałbym ją puścić, żeby sięgnąć do kieszeni jej spodni. Też o tym wiedziała. Sytuacja patowa.

– Niech pani posłucha – powiedziałem. – Przedstawię pani pewną propozycję: ja panią teraz puszczę, otworzymy kajdanki, a następnie usiądziemy i opowie mi pani, dlaczego jest pani na nas taka wściekła.

– Dobrze – wyrzęziła.

Puściłem ją i zacząłem szukać w jej kieszeni klucza. Kiedy go znalazłem, popchnąłem ją delikatnie do przodu i otworzyłem kajdanki.

Milla Czeredniczenkowa nie odwróciła się. Cały czas leżała skulona przy grzejniku.

– Co zrobiliście z Olgą? – spytała ponownie.

Podszedłem do telefonu. Niech kogo innego obarczy swoimi opowieściami, ja w każdym razie dzwoniłem na policję.

– Dobry wieczór – powiedziałem, kiedy po drugiej stronie ktoś podniósł słuchawkę. – Chciałbym zgłosić włamanie.

– Odłóż – powiedziała za moimi plecami.

– Pańskie nazwisko?

Wtedy powiedziała:

– Proszę.

Odwróciłem się. I odłożyłem słuchawkę. Każdy by to zrobił. Każdy, kto zobaczyłby wycelowany w siebie mały czarny pistolet.

Zapytałem, czy mogę pójść do łazienki. Musiałem w jakiś sposób zyskać na czasie. Kiedy zobaczyłem się w lustrze, sam siebie nie poznałem. Milla też nie wyglądała najlepiej. Nad jej prawą kością jarzmową tworzył się obrzęk. Pewnie tam, gdzie pocałowała się z grzejnikiem. Ostrożnie się obmyłem. Kiedy skończyłem, spytałem, czy chciałyby się czegoś napić.

– Wody.

Wskazała na kubek na szczoteczki do zębów. Napełniłem go i ostrożnie jej podałem. Przez cały czas wymachiwała pistoletem.

– Niech pani to odłóż – powiedziałem. – Bo będzie pani tego żałować.

Opróżniła szklankę jednym haustem.

– Moja matka okłamywała mnie przez trzydzieści sześć lat.

Ponownie napełniłem kubek. Może chciała tylko się wygadać. Obserwowałem ją w lustrze. Znów wypięła i opuściła rękę. W drugiej wciąż trzymała broń. Nie znałem tego modelu. Przypuszczalnie rosyjski, kupiony gdzieś w okolicy Dworca Wschodniego.

– Dlaczego? – spytałem.

– Bo się wstydziła.

Przemieściłem się ostrożnie do korytarza, poszła za mną. Znow weszliśmy do pokoju dziennego.

Usiadła naprzeciwko i w końcu opuściła broń. Niestety, teraz lufa była skierowana prosto na moje podbrzusze. Tak do końca odprężyć się więc nie mogłem.

– Wstydziała się, bo była u Niemców robotnicą przymusową. Wstydziała się, bo musiała za to odpokutować w gułagu. Wstydziała się, ponieważ nie odebrała sobie życia, zamiast pracować dla Niemców, jak polecił Stalin. Wstydziała się, kiedy wróciła i straciła zęby oraz młodość. Wstydziała się tego, że sąsiedzi nas nie pozdrawiali i że tak długo nie mogłam dostać się na studia. Tego wszystkiego wstydziała się przed swoją własną córką.

– Przynajmniej mówi pani świetnie po niemiecku – powiedziałem. – Ale co z tym wszystkim ma wspólnego Utz von Zernikow?

– Moja matka była jego opiekunką do dziecka.

– Jak miło – powiedziałem. Ledwie wymówiłem te słowa, już ich gorzko pożałowałem.

Oczy Milli zwięziły się.

– Miło? W wieku dwunastu lat wywieziona w bydłym wagonie, niemalże udręczona na śmierć w fabrykach, wykorzystywana jako darmowa siła robocza i pogardzana. Miło?

– Przepraszam – odpowiedziałem.

– Moja matka odpokutowała za swoje, a wy żyjecie tutaj jak pączki w maśle. Jestem taka wściekła. Wy, wnuki.

– Czy pani matka także jest wściekła?

– Nie. Ona nie.

– Od kiedy zna pani prawdę?

– Powiedziała mi dopiero po śmierci Olgi. Ona była jedyną osobą, która знаła prawdę.

– Policja założyła, że to wypadek.

– Policja. Niemiecka policja. Olga miałaby utonąć? – Uderzyła w ton, który mógłby być śmiechem, gdyby nie był tak pogardliwy. – Olga była ósma na spartakiadzie w pięćdziesiątym drugim. Dwieście metrów stylem motylkowym.

– Była stara.

– Codziennie pływała w Dnieprze. Najchętniej, kiedy najpierw musiała wyrąbać dziurę w lodzie. – Uniosła pistolet. – Już się nagadałam. Niech mnie

pan prowadzi do Zernikowa.

– I co wtedy?

– Wtedy podpisze zaświadczenie dla mojej matki.

– A potem?

– Nie wiem. Może pojedziemy na przejażdżkę. Nad piękny kanał. – Zaśmiała się, jakby to był uroczy pomysł dla dwojga miłych ludzi, takich jak my.

W tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi. Skoczyła na równe nogi i zaczęła – zbyt gorączkowo, jak na mój gust – majstrować przy pistolecie. Przy tym syczała do mnie polecenia, których nie rozumiałem.

– Spokojnie! Tylko spokojnie! – Uniosłem ręce. – To z pewnością tylko moja żona. Zdarza jej się zapomnieć kluczy.

Ktoś od zewnątrz z łoskotem uderzył w drzwi. Męski głos krzyknął:

– Tutaj policja. Halo! Czy wszystko w porządku?

– Muszę podejść – powiedziałem.

Milla oddychała głośno i jak szalona majstrowała przy swoim pistolecie. Zbliżyłem się do niej o krok.

– Proszę otworzyć! W przeciwnym razie wyważymy drzwi!

W końcu udało jej się odbezpieczyć broń. Teraz była tykającą bombą z opóźnionym zapłonem.

– Millo, niech pani pozwoli mi podejść. Odeślę ich z powrotem.

– Policja? Niemiecka policja?

– Obiecuję pani, o wszystko się zatroszczę.

Wycelowała w moją lewą małżowinę uszną.

– Obietnica? Jak miałabym w nią uwierzyć? – niemal krzyczała. Przy drzwiach domu narastał harmider. Jej ręka zaczęła się mocno trząść.

– Daję pani moje słowo. Więcej nie może pani otrzymać. Nie dzisiaj wieczorem, nie jutro, w ogóle nie. Ma pani mało atutów w ręce. Ale może mogę pani pomóc dojść do prawdy.

– W takim razie niech mi pan to obieca. Niech pan przysięgnie. Że on to podpisze!

Uniosłem rękę i powiedziałem: – Przysięgam – po czym wyszedłem na korytarz. Sądząc po poziomie hałasu, panowie akurat próbowali wyważyć drzwi. Wyjrzałem przez judasza. Na zewnątrz rzeczywiście stało dwóch mundurowych. Swój samochód zostawili na drugim pasie, niebieskie światło ostrzegawcze wciąż się kręciło. Otworzyłem.

– Wszystko w porządku? – Młody mężczyzna, starszy posterunkowy,

lustrował mnie wzrokiem. – Dzwonił pan.

– To była pomyłka. Natychmiast odłożyłem.

– Mimo wszystko moglibyśmy wejść? Pani senator Zernikow jest objęta rozszerzoną ochroną osobistą. Telefon jest połączony bezpośrednio z naszym posterunkiem. Dlatego każdy telefon traktujemy poważnie. – Bacznie mi się przyjrzał. – Każdy.

Zrobiłem przejście. Więcej nie mogłem uczynić. Postanowiłem trzymać się z dala od linii strzału. Obaj mężczyźni weszli. Rozejrzeli się w korytarzu i przeszli do pokoju. Nic się nie stało. Nadal panował spokój.

W końcu wyjrzałem zza rogu i zobaczyłem, że Milla, trzęsąc się, siedzi na tapczanie i grzebie w swojej torebce.

– Niech się pani uspokoi – powiedział do niej przyjaźnie starszy posterunkowy numer jeden. – Przecież nic pani nie zrobimy. Chcemy tylko zobaczyć pani paszport.

Podła mu swoje dokumenty, a on przeglądał je bez większego zainteresowania.

– Czy to krew? – zapytał starszy posterunkowy numer dwa. Wskazał na ciemną plamę przed grzejnikiem i zmięty, niegdyś biały ręcznik. Pytanie było zbyteczne, ponieważ dobrze widział moją twarz.

– Doszło między nami do drobnego nieporozumienia – powiedziałem.

Pierwszy posterunkowy zwrócił się do Milli.

– Czy jest pani ranna?

– Nie – odpowiedziała. – Tylko mam złamane serce. Obiecał, że się ze mną ożeni. Przywiózł mnie do Niemiec, a tu okazuje się, że ma inną. Świnia.

Odetchnąłem głęboko. Milla zamrugała do mnie porozumiewawczo. Miała rację. Powinienem zachowywać się bardzo, bardzo spokojnie.

– Pani senator w domu?

– Nie – powiedziałem. – Bogu dzięki. Byłoby nieco... skomplikowane wyjaśnienie jej tej sytuacji.

Starszy posterunkowy numer jeden wyciągnął typowy dla policjantów mały notatnik.

– Tylko notatka do akt – powiedział do Milli. Następnie zwrócił się do mnie.

– Jak to się stało, że pan zadzwonił?

– Ach... – Podrapałem się po czole. – Ona napadła na mnie i, no tak... trochę mnie obija.

Posterunkowy numer dwa kiwnął głową.

- Na niewinnego nie trafiło, co?
- Zazwyczaj – dodał posterunkowy numer jeden – spotyka to kobiety. To piękne, że czasami można też zobaczyć odwrotny przykład.
Zaśmiałem się, na ile pozwalała mi moja twarz.
- Cieszy mnie, że uratowałem pański wieczór. Milla, czy nie chciałaś już wyjść?
- Jeszcze nie skończyliśmy – odpowiedziała Milla w nagle żalonym niemieckim. – Mieliśmy jeszcze pomówić o podróży powrotnej i wydatkach, mój skarbie.
- Policjanci numer jeden i dwa spojrzeli po sobie.
- Powinniśmy już iść. Nie mieszamy się w sprawy prywatne. Otrzyma pan rachunek za tę akcję.
- Chwileczkę! – krzyknąłem. – Odłożyłem słuchawkę!
- Tym gorzej. – Starszy posterunkowy numer jeden znów wyjął notatnik. – Przyznaje pan zatem, że dla żartu zaalarmował pan policję, a żeby ukryć swoją tożsamość, odłożył pan słuchawkę?
- Odpuściłem.
- Nie ma problemu. Zapłacę rachunek.
- Starszy posterunkowy numer dwa na pożegnanie dotknął czapki.
- Kontynuujemy patrol, panno Cze... Czer...
- Czeredniczenkowa. – Milla zaśmiała się słodko. – Dziękuję bardzo. I proszę się nie martwić.
- Usłyszałem trzask zamykanych od zewnątrz drzwi.
- Dziękuję – warknąłem. – To było naprawdę bardzo miłe. Już słyszę te plotki na posterunku: facet przywozi ją sobie do Niemiec, a tutaj już jedną ma! A może powinniśmy szepnąć słówko pani senator?
- Mam inne problemy.
- Ja też. Ale najpierw musiałem rozwiązać problem z panią Kałasznikową.
- Słuchaj. Dotąd miałaś lepsze karty, ale teraz jest pół na pół. Ci dwaj feminiści już wiedzą, kim jesteś. Jeśli coś mi się stanie, jesteś na celowniku. To mamy z głowy.
- A co z twoją obietnicą?
- Zajmę się tym. – Wyprowadziłem ją na korytarz. – Gdzie mieszkasz? Także w kościele w Spandau?
- W kościele?
- W parafii Maria Hilf?

Przytaknęła.

– Dobrze, odwiozę cię.

Nie chciałem dopuścić do tego, żeby przez całą noc kręciła się wokół naszego domu. Poszliśmy do garażu. Kiedy z niego wyjechałem porsche, widziałem, że po raz pierwszy była pod wrażeniem.

Kościół znalazłem na skraju starego miasta w Spandau. W miejscu tym zaczynała się już strefa tylko dla pieszych, dlatego nie mogłem podjechać do samego celu. Jeszcze przez moment siedziała w samochodzie.

– Mam tylko twoją obietnicę.

Dyskrecja. Honor. Godność. Obietnica. Zaczynałem mieć tego dość. Ale przytaknąłem.

– Nie zapomnij o tym.

Wysiadła. Patrzyłem za nią, dopóki nie upewniłem się, że doszła do kościoła i weszła do znajdującego się tuż obok domu parafialnego. Wtedy pojechałem z powrotem.

Moje całe ciało domagało się aspiryny. W domu pozbyłem się ręcznika, posprzątałem i położyłem na płamie krwi przed grzejnikiem jeden z tych doskonale wyłapujących mole perskich dywaników. W którymś momencie przed oczami zaczęły mi tańczyć małe żarzące się kręgi. Padłem na łóżko.

Rozdział 11

Mimo szczytu do sądu rejonowego dotarłem punktualnie, krótko przed dziewiątą. Kiedy Georg mnie zobaczył, usłużnie zerwał się z miejsca, jednak słowa powitania dosłownie utknęły mu w gardle. Wiedziałem, jak wyglądam. Poranne spojrzenie w lustro było porażające. Mój nos stał się ciemnofioletowy, na brodzie malował się imponujący krwiał. Moje oczy wciąż jeszcze były zapuchnięte.

– Spadłem ze schodów – powiedziałem.

Georg przytaknął.

– Już się o pana martwiłem. Zwykle jest pan przecież tak bardzo punktualny.

– Za nami zastukały niczym karabin maszynowy obcasy. Zbliżyła się pani mecenas Hoffmann. Odwróciłem się do niej plecami. Zatrzymała się na moment, potem odgłos jej kroków przybliżył się.

– Dzień dobry. – Marie-Luise stała za mną i czekała.

Obróciłem się.

– Dzień dobry. Nim cokolwiek powiesz: spadłem ze schodów. Okej?

Zlustrowała mnie uważnie i skinęła głową.

– Schody. Uhm. Moim klientkom często się to zdarza. A to schody uderzą je w śledzionę, a to noga krzesła odskoczy i walnie prosto w nos. W twoim wypadku stawiałabym na to, że ekspres do kawy poczęstował cię ciosem podbródkowym, a toster odskoczył prosto w twarz. Musiał to być dla ciebie cholernie zły poranek.

Za mną Georg zaczął wydawać z siebie parsające odgłosy, których nie umiałem sklasyfikować. Obróciłem się w jego stronę, ale on tylko smarkał w chusteczkę higieniczną i patrzył na mnie swoimi krowimi oczami. Rozległ się dzwonek.

– Wydaje mi się, że nasza kolej. Czy to twój przypadek osoby wymagającej pomocy społecznej?

Wskazałem głową w kierunku ufarbowanej na blond osoby z trwałą, która

dla uczczenia tego dnia wcisnęła się w śnieżnobiały kostium, dla niej co najmniej o jeden numer za mały. Spoglądała niepewnie w naszą stronę.

Marie-Luise przytaknęła.

– Życzę ci wszystkiego dobrego. Nie jeśli chodzi o proces. Raczej o stosunki z twoimi sprzętami domowymi. Albo z twoją żoną.

Zaczął się posiedzenie i zgodnie z oczekiwaniami lista z wyszczególnieniem już wypłaconych sum wywołała wielkie poruszenie. Sędzia Kaminski zastukał młotkiem i przywołał Marie-Luise i mnie do swojego stołu.

– Dlaczego dopiero teraz dowiaduję się o tym dokumencie?

Próbowałem, mimo swojej zmaltretowanej twarzy, patrzeć oczyma niewiniątka.

– Adwokat strony przeciwnej została przeze mnie o nim poinformowana. Ponadto przedstawiłem jej kopię i złożyłem bardzo szczerą ofertę.

Dołożyłem do tego jeszcze pismo procesowe Georga.

Kaminski zmierzył wzrokiem Marie-Luise.

– Czy to prawda?

– Ależ to nie tak! – powiedziała wzburzona. – Facet pokazuje mi w restauracji świstek, a ja miałam uwierzyć w to, co mi opowiada?

– Czy zarządziła pani sprawdzenie dowodów zapłaty?

Marie-Luise głośno wypuściła powietrze. Następnie powiedziała dzielnie:

– Nie.

Kaminski oparł się rękami o blat stołu.

– Więc proszę to zrobić. Jak najszybciej. I następnym razem proszę nie denerwować mnie tymi wygłupami. Pana to też dotyczy.

Uniosłem ręce w przeproszającym geście. Kaminski dał nam do zrozumienia, że już nie życzy sobie tutaj naszej obecności. Wróciliśmy zatem na swoje miejsca.

– Rozprawa zostaje przeniesiona na... środę za trzy tygodnie. Chyba że, pani Hoffmann, pani klientka wycofuje powództwo.

Ubrany na białą potwór wszczął szeptem nerwową dyskusję. Marie-Luise patrzyła w moją stronę z nienawiścią. Wstała.

– Oczywiście dokładnie sprawdzimy rzekome wypłaty. Powództwo nie zostanie wycofane.

Biała z wściekłością spakowała swoje dokumenty i wybiegła. Marie-Luise za nią. Zdołałem ją dogonić dopiero na schodach.

- Masz cholernie złe karty. Pod każdym względem.
- Będę sprawdzać te przelewy pod mikroskopem.
- Zapomnij o przelewach. Faks. U rodziny Zernikow pracowali robotnicy przymusowi. Czy to prawda?
- Uniosła brwi.
- I to mnie o to pytasz?
- Prawda czy nie?
- Pięćset tysięcy, dom wakacyjny i dwieście tysięcy w akcjach.
- Co za niewdzięczność – odpowiedziałem. – Szantaż. Oskarżenie. Być może dwa lata w zawieszeniu.
- Cholerne gówno! – zakląła. – Co to ma być?
- Drobnе pouczenie o konsekwencjach prawnych. Poza tym nie można mnie zaszantażować.
- A czy ja tego kiedykolwiek próbowałam?
- Spojrzałem jej głęboko w oczy. Przełknęła.
- Chcę dostać oryginał faksu. I wszystkie istniejące kopie.
- Obróciła się na pięcie i zaczęła schodzić po schodach.
- Hej! – krzyknąłem za nią.
- Na ostatnim stopniu obróciła się.
- Powinniśmy się zobaczyć. Zadzwoń do ciebie.
- Uśmiechnęła się przymilnie. I właśnie to nie wróżyło niczego dobrego.

Droga na Guntherstrasse przebiegała w milczeniu. Georg lustrował mnie wprawdzie ukradkiem, przyswoił jednak myśl przewodnią kancelarii wystarczająco dobrze, by nie zadawać głupich pytań.

Connie była bardziej bezpośrednia.

- Boże drogi, co ci się stało?
- A tobie? – zapytałem, żeby odwrócić uwagę.
- Kazała sobie obciąć włosy na linii żuchwy. Jakby tego było mało, nową fryzurę na pazia ozdobiły liczne blond, czerwone i niebieskie pasemka. Miała sztuczne rzęsy i opinający ciało biały T-shirt, na którym były wypisane gotyckimi literami słowa *biurowa zdzira*.
- Zainspirował mnie Londyn – wyjaśniła. – A twój nowy *look*? Przypomina mi nieco szyk ulicznego gangu z São Paulo. Potrzebujesz zielonej herbaty?
- Potrzebuję kawy – burknąłem i zabrałem pocztę.

– Na oczy – wyjaśniła. – Pan von Zernikow chce z tobą rozmawiać.

Poszedłem do swojego biura i chwilę później otrzymałem od Connie dwie wyciśnięte torebeczki herbaty, które położyłem sobie na oczy. Wyglądałem potem tak samo jak przedtem, ale ból nieco zelżał. Connie bez słowa postawiła przede mną szklankę wody i położyła obok niej dwie aspiryny. Zebrałem się w sobie i poszedłem.

– Boże drogi! – powitał mnie Utz. – Co się stało?

Zamknąłem drzwi.

– Wczoraj wieczorem miałem odwiedzin.

– Włamywacz? Wezwałś policję...

– Żadnej policji – wszedłem mu w słowo. – Pozwolisz?

Pozwoliłem sobie spocząć w fotelu chesterfield, stojącym przed jego biurkiem. Torebeczkę herbaty przyciskałem sobie na zmianę raz do jednego, raz do drugiego oka. Powinien na spokojnie usłyszeć, co przeżyłem w imię jego honoru rodzinnego. Kiedy napięcie osiągnęło punkt szczytowy, powiedziałem:

– Była u mnie córka Natalii.

– Czyja córka?

Wpatrywałem się w niego przez szpary moich opuchniętych oczu. Sprawiał wrażenie gotowego i opanowanego.

– Córka Natalii, Milla Czeredniczenkowa.

– To... to kobieta tak cię urządziła?

Rzuciłem mu ostre spojrzenie. Pęknięcie mojej kości nosowej było więcej niż pewne. Niezależnie od tego, czy spowodowała to kobieta, mężczyzna czy stado lodówek na wyprawie łupieżczej.

– Co powiedziałaś Sigrun?

– Że ktoś chciał mi ukraść porsche i że zmusiłem facetów do ucieczki. Niechętnie ją okłamałem. Uważam jednak, że powinniśmy trzymać ją z dala od tej sprawy.

Utz długo mi się przyglądał.

– Jakiej sprawy?

Próbowałem możliwie dokładnie streścić mu tę historię. Nie przyszło mi to łatwo. Kiedy Utz usłyszał słowa „robotnica przymusowa”, wzdrygnął się.

– Z mojego punktu widzenia powinieneś napisać jej kilka miłych wersów i bez żadnego ale potwierdzić fakt. Nie ma co prawda żadnych prawnych możliwości, ale jest naprawdę wściekła.

– Nie – usłyszałem za sobą sprzeciw Zarah Leander. Torebeczka herbaty wypadła mi z ręki. Baronowa siedziała w swoim wózku inwalidzkim w wykuszu i wszystko słyszała.

– Matko! – krzyknął Utz. – Jak często mam ci mówić, że to jest mój pokój?

Zmierzyła go wzrokiem.

– To pokój twojego ojca, nie zapominaj o tym. Będę siedzieć tutaj tak długo, jak zechcę.

...tutaj, tak dłuugo, jak zechcę. Brzmiało, jakby wyuczyła się tej kwestii na potrzeby sceny Reinhardta.

– Idź na górę – fuknął na nią Utz, całkowicie ignorując jej kalectwo.

Dobrze go rozumiałem. Było niesamowite, gdzie i jak baronowa nagle pojawiała się na swoim bezgłośnym wózku. Mnie pewnego wieczoru niemalże przeraziła na śmierć, kiedy ślęcząc nad aktami, niespodziewanie usłyszałem za plecami chrapanie. Wślizgnęła się niezauważenie i zasnęła w środku obserwacji.

– Powinniśmy później jeszcze raz...? – Podniosłem się.

– Nie. Matko. Proszę. Nie lubię tego.

Baronowa podjechała bliżej. Najchętniej bym sobie poszedł. Wiek sprawił, że stała się prawie przezroczysta. Mimo to pod wszystkimi fałdami, zmarszczkami i plamami zachowała niesamowitą siłę woli.

– A ja nie lubię, kiedy mi się przeciwstawiasz – powiedziała. – Moja odpowiedź brzmi: nie. Do widzenia, panie Vernau. Proszę pozdrowić ode mnie pańską uroczą matkę.

Spojrzałem zdumiony na Utza. Baronowa nigdy nie spotkała się z moją matką.

Utz okrążył biurko i popchnął wózek matki w kierunku drzwi.

– To mój pokój – powiedział.

– To pokój twojego ojca!

Utz puścił wózek, nacisnął przycisk telefonu i porozmawiał z Walterem. Kiedy znów podniósł wzrok, jej już nie było. Obaj szukaliśmy jej w wykuszu i za zasłonami, następnie wyszedłem na korytarz i zobaczyłem, jak zamykały się drzwi windy. Byliśmy sami.

– Będzie coraz gorzej – powiedział. Podeszedł do bocznego stolika, na którym obok pięknych szklanek stała butelka whisky. – Też chcesz jednego?

Potrząsnąłem głową. Nalał sobie na wysokość dwóch palców i wziął porządnego łyka.

– Wiesz, co myślę? Być może to zaplanowane oszustwo. Ktoś chce mnie zaszantażować. Kiedy wojna się skończyła, miałem dwanaście lat. Dlaczego miałbym czuć się winny?

– Ona mówi, że była twoją opiekunką do dziecka.

– Miałem wiele opiekunek. Niemki, Polki, być może i Rosjanka. Niewiele pamiętam z tego okresu. Ta cała wojna... – Wypił drinka do dna.

Chrząknąłem.

– O ile się orientuję, nie można cię za nic pociągnąć do odpowiedzialności ani jeśli chodzi o odszkodowanie, ani pod względem moralnym. Tym wszystkim zajmuje się fundusz odszkodowawczy. Musisz tylko podpisać.

– Tak łatwo to nie pójdzie. Natalia Czeredniczenkowa zmarła w listopadzie czterdziestego czwartego roku w Berlinie. – Trzasnął szklanką o blat stołu. Niespodziewanie wróciła mu zatem pamięć. – Powiedz jej, że niczego ode mnie nie dostanie. Nie pozwolę wodzić się za nos. Kobieta, która rzekomo jest jej matką, nie żyje. Z trudem mi przychodzi wracanie do tej sprawy myślami i nie dzieje się to bez bólu, ale jej już nie ma. A zatem nie mogę jej też już pomóc.

Okręcił się na swoim skórzanym fotelu i zapatrzył w okno. Miał rację, jej nie mógł już pomóc. Ale to w jego ogrodzie stała kobieta, która teraz była martwa.

Znow poprosiłem przez telefon o połączenie z parafią Maria Hilf. Utz znał kobietę, która nazywała się Natalia Czeredniczenkowa. Ta kobieta już nie żyła. Zmarła w 1944 roku. Nie mogła zatem mieć też żadnej córki. A tym bardziej żadnej o imieniu Milla.

Tym razem odebrała starsza kobieta.

– Nie, księdza proboszcza nie ma.

– Czy mógłbym zatem rozmawiać z Millą Czeredniczenkową?

– Z kim?

Powtórzyłem imię i nazwisko.

– Bardzo mi przykro. Ale tutaj nie ma żadnej pani Czeredni...

Zniecierpliwiłem się.

– W państwa pokoju gościnnym. Od wczorajszej nocy. Sam odprowadziłem ją przed państwa drzwi.

– W naszym pokoju gościnnym? Nie mamy pokoju gościnnego.

Odłożyłem słuchawkę.

W ostatnim czasie dość często kobiety wyprowadzały mnie w pole. Jak na zawołanie otworzyły się drzwi i weszła następna.

Connie. Trzymała w dłoni żółtą karteczkę. Rzuciłem długopis na dokumenty. Jeszcze tylko matki mi teraz brakowało.

Zrezygowany wyciągnąłem rękę, jednak Connie z przygnębieniem popatrzyła na kartkę, cicho zamknęła drzwi i stanęła przede mną.

– KaDeWe – odczytała.

– Co?

– KaDeWe.

– A czegoż to chce dom towarowy KaDeWe? – zapytałem, angażując w to całe rezerwy spokoju, jakie jeszcze miałem.

Connie znów odczytała notatkę, która, o ile było mi wiadomo, nie zawierała niczego poza sześcioma literami, a następnie wyciągnęła ją w moją stronę.

– Ale gust jej się poprawił. Ostatnim razem był to jeszcze Tengemann, prawda?

Connie miała rację. Moja matka robiła karierę.

Uwielbiam KaDeWe.

Ale na zakupy nigdy tam nie poszedłem. Kocham jego mit, ponieważ dorastałem wraz z nim. To kawałek zachowanego Berlina Zachodniego, który od czasu do czasu chętnie wspominam. Niewiele już zostało po Berlinie Zachodnim i czasami za nim tęsknię. Wtedy chętnie wybieram się do KaDeWe. Tylko wtedy.

Ale nie wtedy, kiedy muszę oglądać własną matkę siedzącą niczym półtora nieszczęścia przed biurkiem, za którym znudzony referent gryzie długopis, położywszy przed sobą metkę rügenwaldzką.

– Czy to wszystko? – zapytałem. Powinienem liczyć się co najmniej z ciepłym szalem. Albo parą rękawiczek. Z czymś praktycznym, co może być przydatne zimą. Matka zawsze kupowała wbrew porze roku. Załatwiała sobie, powinienem raczej w tej sytuacji powiedzieć.

– Kradzież to kradzież – odpowiedział okrutnik i odłożył długopis. – Może pan ją teraz zabrać. Mamy przecież spisane jej dane personalne. To będzie drogo kosztowało, ta kanapka.

Opuściłem biuro z matką na holu. Kiedy zjeżdżaliśmy schodami ruchomymi z czwartego piętra do przejścia na parking, próbowałem przemówić jej do sumienia. Co ona sobie przy tym myślała, jak okropne to było, jak w ogóle mogło do tego dojść i tak dalej, i tak dalej. Milczała. Dopiero kiedy znalazła się w samochodzie, zauważyłem, że cały czas się śmieje.

– A więc. Dlaczego?

– Odwieź mnie po prostu do domu, mój chłopcze.

Ruszyłem i na piskzących oponach odstawiłem ją na plac Mierendorffa. Wsiadła, podeszła jednak jeszcze do mnie, do okna samochodu. Dała mi serdecznego buziaka w czoło i spojrzała w górę, w kierunku trzeciego piętra. Firanka poruszyła się.

– Pani Huth nie wierzyła, że pojedziemy na przejażdżkę. Teraz wygrałam zakład.

Odwróciła się i chciała odejść, ale przytrzymałem ją za rękaw.

– Chcesz mi powiedzieć, że ukradłaś tę cholerną metkę tylko po to, żebym przywiózł cię do domu?

Przytaknęła.

– Trudno cię złapać – powiedziała. Następnie pomachała mi jeszcze raz i poszła do domu.

Rozdział 12

Stałem przy kuchennym oknie i słuchałem prognozy pogody. Od prawie dwóch miesięcy nie padało. Wyż nazywał się Nina i przyniósł do Europy gorące powietrze subtropikalnego pochodzenia. Jediną pociechą było to, że nie tylko my się pocimy. Miało być ponad czterdzieści stopni. W Brandenburgii żołnierze na poligonie bawili się zapałkami i wywołali pożar lasu. Stężenie ozonu osiągnęło niebezpieczny, czerwony poziom.

Pięć po szóstej wiadomości się skończyły. Byłem nagi. Stałem nieruchomo z kubkiem kawy w ręce i patrzyłem przez otwarte okno na zadbane prywatny park, w którym akurat włączyło się nawadnianie. Słuchałem *Zombie* zespołu Cranberries. Kiedyś pieprzyłem się przy tej piosence niemal do utraty zmysłów.

Dobry moment, żeby skoczyć. Trzeba by tylko wylądować gdzie indziej, nie na tym angielskim trawniku. Spojrzałem w górę. Niebo było bladoniebieskie, bez jednej chmurki.

– Wyłączy ten hałas!

Sigrun stała w drzwiach. W ubiegły weekend, nie licząc snu, widzieliśmy się przez dwadzieścia siedem minut. Był to czas spędzony w łazience. Wyglądała na niewyspaną. Wziąłem do ręki pilota i w pomieszczeniu rozszedł się przytłumiony głos spikera wiadomości. Info-Radio albo Radio Paradiso. Rano nie mogła znieść niczego innego.

– Chcesz najpierw wziąć prysznic? – zapytałem.

Zamiast mi odpowiedzieć, poszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

Usłyszałem lecącą wodę i wyobraziłem sobie, jak stoi pod strumieniem i namydla się energicznymi, oszczędzającymi czas ruchami. W tym wyobrażeniu niewiele było erotyki.

Chris de Burgh. Teraz naprawdę grali Chrisa de Burgha. Zamknąłem okno i poszedłem do łazienki dla gości.

Ponieważ Marie-Luise nie zgłosiła się, zadzwoniłem do niej. Wezwała mnie

do sądu kryminalnego. Wykorzystałem okazję, by osobiście oddać pismo procesowe i powiedzieć nowej prokurator dzień dobry. Następnie znalazłem Marie-Luise w drodze do kantyny na pierwszym piętrze.

Stała na końcu korytarza i rozmawiała ze starszym kolegą, który wciąż jeszcze nie pojął, że po przekroczeniu pięćdziesiątki nosi się nieco krótsze włosy. Jego były siwe, kręcone i sterczące, jednak dopiero poniżej poziomu zaawansowanej łysiny. Sprawiał wrażenie jednego z tych cwanych mnichów, którzy właśnie odkryli nowy sposób, jak przechytrzyć nakaz poszczenia. Jednak wzrok, jakim lustrował Marie-Luise, świadczył o wszystkim innym, tylko nie o celibacie. Pouczał ją mentorskim tonem, ona się przysłuchiwała, położył jej rękę na ramieniu, ona skwitowała ten znak ojcowskiej przychylności szelmowskim pochyleniem głowy. Oboje przeszli kilka kroków i znów się zatrzymali. Mistrz i Małgorzata, zagłębieni w plany prawniczych rozgrywek dla ratowania świata.

Nie widzieli mnie. Podchodziłem powoli. Marie-Luise obróciła się plecami w moją stronę i pozwoliła sobie na łagodny sprzeciw. Mnich surowo potrząsnął głową.

– ...w żadnym razie. Nie ustępuj ani na krok! Zażądaj oświadczenia majątkowego i zabierz jej ostatnią koszulę. Naucz się w końcu być twardą!

– Proszę wybaczyć – przerwałem konspiracyjną rozmowę.

Marie-Luise obejrzała się i zaczerwieniła.

– A to spotkanie – powiedziała i nerwowo zamknęła teczkę. Kątem oka zdołałem dostrzec nazwisko córki aktora.

– Najpierw nie widzimy się przez całe lata, a potem nagle co dwa dni. Mogę przedstawić? Eckhardt Schmiedgen.

Schmiedgena nie trzeba było nikomu przedstawiać. We wczesnych latach siedemdziesiątych zdobył sławę jako obrońca prześladowanej lewicy. Kiedy międzynarodowa solidarność zwietrzała, przez kilka lat robił furorę jako prawnopolityczny rzecznik Zielonych. Jego kancelaria dobrze funkcjonowała. Kiedy porzucił swoje funkcje, ale nie partię, dalej walczył na pierwszej linii frontu w imieniu pozbawionych praw. Dla wydziedziczonych pracował tylko, kiedy mogli mu zapłacić. Schmiedgen uściśnął mi dłoń.

– Joachim Vernau – powiedziała Marie-Luise. Zabrzmiało to jak: on nosi bokserki Calvina Kleina, jada ośmiorniczki i czyta powieści Johna Sinclaira.

Schmiedgen kiwnął głową.

– Kancelaria Zernikowa, zgadza się? Koleżanka opowiedziała mi o pańskiej

strategii. Wielka niewdzięczność. W ten sposób nie osiągnie pan celu.

Uniosłem brwi i z rozbawieniem spoglądałem na koleżankę. Chętnie wysłałbym jej faksem akapit o adwokackim obowiązku zachowania tajemnicy. Posłała Schmiedgenowi pełen uwielbienia uśmiech.

– Ale nieźle – kontynuował. – Nieźle. Powinniśmy kiedyś pójść razem na obiad.

Marie-Luise opadła szczęka. Najchętniej dałbym jej serdecznego klapsa w brodę, żeby wsunąć ją na właściwe miejsce. Schmiedgen wziął ją w ramiona, pocałował trzy razy w policzki i oddalił się. Marie-Luise patrzyła, jak odchodził. Przypuszczalnie miała nadzieję na jakąś dowcipną reakcję.

– Słyszałeś! – naskoczyła na mnie. Chciała zapakować dokumenty do swojej torby, przy tym wyslizgnęła jej się jednak połowa kartek i poszybowały nad podłogą niczym jaskółki.

– O, cholera – powiedziała.

Pomogłem jej w zbieraniu i demonstracyjnie unikałem patrzenia na nie.

– W tym momencie wszystko leci mi z rąk. Kluczyki samochodowe, szklanki, dokumenty. Nie rozumiem tego. A więc?

– On chce tylko pójść ze mną na obiad. Nie musisz być zazdrosna.

Popukała się w czoło.

– Czy to on jest przyczyną twojego nagłego zainteresowania prawem karnym? Zresztą w ostatnich czterech procesach nie zdołał wywalczyć wyroku w zawieszeniu. W piłce nożnej nazywa się to złą passą.

Wepchnęła dokumenty do teczki i chciała mnie minąć.

Przytrzymałem ją za rękaw.

– Mieliśmy umowę.

– Ach tak? – Odwróciła się i popatrzyła w dół schodów. Schmiedgen akurat dotarł na dolny podest i ciągnął za kłamkę ciężkie drzwi. Obrócił się jeszcze i spojrzał w jej stronę. Uniosła rękę, a kiedy zniknął, opuściła.

– A ja jestem innego zdania. To dokument. W dokumencie jest mowa o pracy przymusowej, czego, jak mniemam, w międzyczasie już się dowiedziałeś. Nie jest to miły temat na kampanię wyborczą dla twojej przyszłej. Ale może dla opozycji?

Zrozumiałem.

– To, co masz, to kopia, która jest kopią kopii. Zapomnij o tym po prostu.

Powoli potrząsnęła głową i był to gest zbyt dobrze mi znany.

– Wymagasz ode mnie, żebym zapomniała o losie robotnicy przymusowej,

która pracowała w domu twojej przyszłej, która za sześć tygodni chce wygrać wybory, a po nich zostać pierwszą senator odpowiedzialną za sprawy wewnętrzne? Czy to możliwe, że muszę sprawdzić, czy aby nie chodzi tutaj o działanie we własnym interesie? Czy to ona cię wysłała?

– Nie – odpowiedziałem. – Nikt mnie nie przysłał. Ale złości mnie, że ci zaufałem.

Długo mi się przypatrywała, a ja wytrzymałem jej spojrzenie. Zaufanie to coś, czym można ją skusić.

– W piątek wieczorem u mnie. O dziewiątej. Wcześniej nie dam rady. Adres zdołasz sobie jakoś przypomnieć.

Wzięła torbę i poszła korytarzem na dół. Moje spojrzenie spoczęło na jej pupie. Nie powinienem był rano słuchać Cranberries.

Rozdział 13

W kancelarii odebrałem telefon od matki. Otrzymała nieprzyjemne pismo od KaDeWe i pytała, czy w razie procesu mógłbym ją reprezentować. Uspokoilem ją. Do tego na pewno nie dojdzie. Była, o ile mi wiadomo, niekarana.

– A może jest inaczej?

Sapała do telefonu. Im dłużej zwlekała z odpowiedzią, tym bardziej nieswojo się czułem.

– Mamo?

– Nie – odpowiedziała w końcu. – Nie sądzę.

Poradziłem jej, żeby do mnie zadzwoniła, kiedy już sprawdzi swój rejestr grzechów, i poprosiłem Connie, żeby przez następną godzinę nikogo ze mną nie łączyła.

Zająłem się samowolą budowlaną Aarona i udało mi się w końcu w spokoju przestudiować ten cały przypadek przeniesienia zwrotnego.

Felix Glicksberg, żydowski producent cukru, zaraz po przejęciu władzy przez nazistów wyemigrował do Meksyku. Willę w Grünau sprzedał Ablowi von Lehnsfeldowi za niesłychanie okazijną cenę. Ostatecznie jednak całe trzydzieści tysięcy reichsmarek zmieniło właściciela i zostało pokwitowane. Suma była wystarczająco wysoka, żeby nie została zakwalifikowana jako rabunek.

Abel von Lehnsfeld nie cieszył się jednak zbyt długo swoim okazijnym zakupem. Bezpośrednio po zakończeniu wojny Rosjanie grzecznie wyprosili go z willi. W 1953 przeszła na własność państwa i od tej pory była wykorzystywana jako antyfaszystowski klub wioślarski. Klub okazał się upartym lokatorem i zdołał zatrzymać dom także po przemianach 1990 roku, potem popadł jednak w tarapaty finansowe. Roszczenia Lehnsfelda o przywrócenie stanu poprzedniego dopełniły reszty. Klub musiał ustąpić i Lehnsfeld odzyskał swoją własność. Od tej pory upłynęło osiem lat.

Jednak historia znów pokrzyżowała plany odzyskania domu. Pojawili się bowiem spadkobiercy Glicksberga. Dawna cena zakupu domu wydała im się podejrzenie niska i zwrócili się o pomoc do Jewish Claims Conference.

Koniec końców doprowadzono do rozstrzygnięcia, które dla wszystkich jest najbardziej niekorzystne: potomkowie Glicksberga nie otrzymali ani pieniędzy, ani domu, Abel zachował co prawda posiadłość, w skład której wchodzi wiele hektarów gruntów nad jeziorem, musiał jednak podporządkować się zobowiązaniom. Użyteczność publiczna. Akurat nie jest to dewiza rodowa Lehnsfeldów.

Do tego momentu była to sprawa między trzema. Jednak teraz pojawił się także kraj związkowy Berlin. Przez chwilę nad kruchą umową zawisł miecz Damoklesa: anulowanie. Wtedy zaczęłyby obowiązywać stan prawny z okresu przed sprzedażą, co znów umożliwiłoby dostęp do nieruchomości spadkobiercom Glicksberga. Wiele zależało teraz od tego, czy Aaron będzie zachowywał się spokojnie, cicho i przede wszystkim społecznie.

Po dwóch godzinach i łyknięciu kilku tabletek na ból głowy poczułem się na tyle zaznajomiony ze sprawą, żeby skontaktować się z Lehnsfeldami. O ile wiedziałem, Aaron nie miał własnego biura. Dlatego nie byłem zdziwiony, kiedy słuchawkę podniosła Verena.

– Muszę porozmawiać z Aaronem. Jak mógłbym się z nim skontaktować?

– W sprawie tej willi? – zapytała. – Nie mógłby pan czegoś z tym zrobić? On musi to sobie wybić z głowy. Mój mąż wychodzi z siebie. W przyszłym tygodniu ma umówione spotkanie w Madrycie i kiedy wygra przetarg...

– Jeśli Aaron będzie się zachowywał spokojnie, cała sprawa będzie za kilka tygodni załatwiona.

– Nie wiem, o co temu chłopcu chodzi. – Westchnęła. – Mieszka teraz przy Potsdamer Platz. I potrzebuje pieniędzy. Coraz więcej pieniędzy. Daję mu tyle, ile mogę. Mój mąż nie może się o tym dowiedzieć, złożył mu przecież szczerą ofertę. Niekiedy odnoszę wrażenie, że Aaron chce celowo zaszkodzić ojcu. Dlaczego? Co on mu zrobił?

– Duże dzieci, duże zmartwienia – zacytowałem mądrość z bogatego źródła własnych doświadczeń. – Gdzie mógłbym się z nim skontaktować?

– W naszym miejskim mieszkaniu. W Beisheim Center. Ale mamy tam tylko apartament od strony parku.

Tylko apartament od strony parku. I z odrobiną szczęścia dojdzie do tego zapewne „nasz domeczek na wschodzie”.

Podać mi numer. Podziękowałem, rozłączyłem się i wybrałem numer. Nie odebrał, zostawiłem więc na automatycznej sekretarce wiadomość, że powinien niezwłocznie się do mnie odezwać.

Poszedłem do Connie, która akurat oddawała się pielęgnacji i uprawie stojących na parapecie roślin o trudnych do wymówienia nazwach.

– Brakuje mi jeszcze w aktach wypisów z ksiąg wieczystych.

Odstawiła konewkę.

– W których aktach?

Connie była jedyną osobą zorientowaną we wszystkim, naprawdę we wszystkim.

– Lehnsfeldów. Przeniesienie zwrotne.

Connie potrząsnęła głową.

– Wydaje mi się, że otrzymaliśmy już komplet akt sprawy z urzędu katastralnego. Poczekaj.

Poszła do biura Utza. Zostawiła otwarte drzwi. Robiła tak tylko wtedy, gdy staruszka tam nie było.

– Możesz tu przyjść?

Wejście do pokoju, gdy nie siedział za biurkiem, było czymś niezwykłym. Popołudniowe słońce padało ukośnie na biurko i sprawiało, że ciemne drewno tajemniczo lśniło. Oś widokowa parku Wörlitz była widoczna w półmroku. Trudno uwierzyć, że Amerykanie przeoczyli ten obraz. Przymuszalnie ich szef był ignorantem w dziedzinie sztuki, a reszta kompanii nie odważyła się zwrócić mu na to uwagę.

Connie podała mi segregator i ponownie odwróciła się w kierunku szafy.

– Poszukaj w tym. A jeśli tego tutaj nie ma...

Odłożyłem segregator na biurko. W tym momencie zadzwonił telefon Connie. Pobiegnęła do swojego biura i wdała się w rozmowę z telefonującym, który najwyraźniej popadł w jakieś tarapaty, ponieważ starała się go uspokoić. Otworzyłem segregator i przeszukiwałem kolejne rejestry. W środku znalazłem to, czego szukałem. Chciałem zaznaczyć to miejsce i zacząłem szukać wzrokiem kawałka papieru, żeby go włożyć między strony. Jednak biurko Utza było perfekcyjnie uprzątnięte. Connie wciąż rozmawiała przez telefon. Schyliłem się i wyjąłem z kosza na papiery jedną z żółtych karteczek Utza. Wtedy to zobaczyłem.

Jego kosz na papiery był uporządkowany tak samo jak jego biurko. W domu pracował tylko przed południem i nie należał do osób wyrzucających dużo

śmieci. Leżała, niewinna, zmięta, w towarzystwie innych żółtych karteczek i jednej banderoли z cygara, po lewej, w rogu angielskiego skózanego kosza i czekała na wywiezienie. Kopia. Moja kopia. Ta, która zniknęła z mojego biurka.

Spojrzałem w stronę Connie, która nadal gimnastykowała się, by udzielić pomocy telefonującemu.

– Zaraz kogoś do pana przyślemy. Nie, pan von Zernikow w tym momencie nie może przyjechać osobiście, najwcześniej za godzinę... Tak... Nie, rozumiem już, że sprawa jest bardzo pilna. Czy chciałby pan porozmawiać z jednym z jego współpracowników?

Popatrzyła w moim kierunku, energicznie pokręciłem głową.

Po cichu prześlizgnąłem się obok wciąż rozmawiającej Connie i poszedłem do toalety na parterze. Była mniejsza niż ta na moim piętrze, miała jednak czarujący przedsionek, rozjaśniony przez owalne okienko.

Rzuciłem okiem do oddzielonej kabiny i przekonałem się, że jestem sam. Spojrzałem w lustro.

Zostałem przyłapany i okradziony. Co było większym nadużyciem zaufania? To, że zrobiłem kopię, czy to, że ta kopia została mi skradziona?

Drzwi toalety otworzyły się i do małego przedsionka wszedł Walter. Zdziwił się i podszedł do umywalki.

– Dzień dobry, panie Vernau.

Obaj dokładnie umyliśmy ręce.

– Jak wiecie się pani baronowej? – zapytałem. To był jedyny temat, jaki na szybko przyszedł mi do głowy.

– Dobrze – odpowiedział Walter.

Potem skinął głową w moją stronę, wszedł do kabiny i zamknął się w niej, zanim zdołałem zastanowić się nad kolejnością jego działań.

Apartament Lehnsfeldów znajdował się naprzeciwko kompleksu Sony Center, na trzecim piętrze liczącego osiem kondygnacji budynku. Jakoś cieszyło mnie to. A więc jednak poczyniono pewne oszczędności. Ceny mieszkań na górnych piętrach zaczynały się od sześciu tysięcy euro za metr kwadratowy. Wjeżdżając do garażu podziemnego, rozmawiałem z monitorem. Portier wyglądał jak prezenter telewizyjny i kiedy przekonał się o legalności mojej wizyty, skinął głową. Mogłem wjechać.

Aaron oczekiwał mnie przy drzwiach i puścił przodem. Przez oświetlony halogenami korytarz wchodziło się bezpośrednio do dużego pomieszczenia. Przed oknem z widokiem na fasadę Marriotta stało monumentalne biurko.

– Chwileczkę. – Wyszedł i wrócił chwilę później z krzesłem. – Nie miałem jeszcze czasu, żeby zatroszczyć się o umeblowanie. Właśnie zmieniam wystrój.

Wyszczерzyłem do niego zęby.

– Moja matka co prawda bardzo chętnie sprezentowałaby mi jadalnię w stylu chippendale, ale te meble nie do końca odpowiadają mojemu gustowi. Proszę usiąść. Kawy?

– Chętnie.

Znów pośpiesznie wyszedł, z kuchni dobiegło stukanie naczyń.

Przy dłuższej ścianie pokoju stały oparte o nią dwa obrazy, odwrócone tyłem. Naprzeciwko znajdowała się witryna ozdobiona kilkoma skorupami i obiektami z fajansu. Przyjrzałem się im dokładniej. Wyglądały na stare i prawdziwe.

– Mleko? Cukier? – zapytał od drzwi.

– Tylko mleko, dziękuję.

Przyniósł tacę z cyzelowanego srebra, na której były ustawione dwa antyczne angielskie dzbanki, na kawę i na mleko, oraz dwie filiżanki z kostnej porcelany. Zastawa kontrastowała z surowością tego pomieszczenia.

– To serwis dziadków – wyjaśnił Aaron. – Bez niektórych rzeczy po prostu nie potrafię się obyć.

Podał mi filiżankę, która, budząc moje obawy, chwiała się na spodku. Szybko odstawiłem ją na biurko.

– Zrozumiał pan chyba, że dziadek był mi bardzo bliski.

Przytaknąłem, otworzyłem aktówkę i wyjąłem dokumenty.

– Willa... – zacząłem.

Aaron skinął głową.

– Właśnie, spadek. Mój ojciec podjął próbę przekupienia mnie.

Uniósł filiżankę z kawą w stronę ściany.

– Jest oportunistą. W tym momencie poci się w Madrycie. Zupełnie niepotrzebnie. I tak wygra przetarg. Zawsze wygrywa.

Znów upił niewielki łyk i niemal niezauważalnie odchylił przy tym mały palec. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie jest gejem, ale natychmiast wyrzuciłem tę myśl z głowy. Aaron zaliczał jedna po drugiej noszące sznury

perę, swetry i kamizelki dziedziczki. Jeśli teraz przyszło mu do głowy zostać gejem, to nie była to kwestia tożsamości, tylko kolejna przykrość w skomplikowanych i bolesnych stosunkach z jego ojcem.

– To dobrze, że zachowuje się pan spokojnie – odpowiedziałem. – Może pan ujawnić się opinii publicznej, jak tylko zostanie pan pełnoprawnym właścicielem posiadłości. Tyle że sprawa nie jest jeszcze przesądzona. Co się wydarzyło w ubiegłym tygodniu?

Ostrożnie odstawił filiżankę i złączył koniuszki palców.

– Jestem budowniczym. A więc chciałem zacząć.

– Kto jest architektem? Gdzie są plany przebudowy? Czy zostały przedstawione urzędowi budowlanemu i zaakceptowane? Jakie ma pan zamiary, jeśli chodzi o użytkowanie?

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Przecież nic się nie wydarzyło. Wypróbowałem tylko koparkę. Chciałem zobaczyć, jak taka maszyna działa. – Wyszczrzył się do mnie. – Trochę pokopać.

– Panie von Lehnsfeld – powiedziałem. – Nie jesteśmy na placu zabaw. Tymczasowe zarządzenie, natychmiastowe zatrzymanie budowy, groźba grzywny, której wysokość może być wyrażona pięciocyfrową liczbą, ewentualne odebranie prawa użytkowania i anulowanie zakupu. Wie pan, co pana czeka?

Obrócił się na swoim nowiutkim fotelu prezesa wokół własnej osi. Oczywiście nie wiedział.

– Czy ta nieruchomość należy do mnie czy nie? – zapytał.

– Nie do końca.

– Nie można być trochę w ciąży. Po co zatrudniam szczerze opłacanych specjalistów takich jak pan?

– Potrzebujemy czasu. Trochę cierpliwości.

– Jak długo? Ile?

– Miesiące – odparłem. – Być może lata.

Uderzył pięścią w stół i poderwał się. Przez chwilę obawiałem się, że się na mnie rzuci.

– Miesiące? Lata? Nie mam tyle czasu! Ja chcę zacząć teraz! Zrozumiał mnie pan? Teraz! Chcę wejść do środka! Chcę wejść do mojego domu!

Znów uderzył w stół. Moja filiżanka przewróciła się i potoczyła ku krawędzi. W ostatniej chwili zdołałem ją złapać.

– Tak proste to nie będzie. – Trudno jest wytłumaczyć to komuś, dla kogo całe dotychczasowe życie było łatwe. – Jeśli pan nie okaże cierpliwości, dom przepadnie. Zostanie panu odebrany, rozumie pan?

Uspokoił się. Zdecydowanym gestem odgarnął sobie włosy z czoła.

– Jeszcze kawy? – zapytał, jakbyśmy przed chwilą wymienili się przepisami na szarlotkę. – Mam też wafle z kremem czekoladowym. Pańska sekretarka wręcz mnie nimi bombarduje. Musiała gdzieś przypadkowo usłyszeć, że je lubię. A ja ich nie cierpię. Nienawidzę wszystkiego, co jest słodkie.

Wysunął szufladę i wyciągnął opakowanie wafli.

Podziękowałem za nie.

– Wnoszę sprzeciw wobec tymczasowego zarządzenia i groźby grzywny. Czy mogę założyć, że tymczasowo nie będzie pan niczego zmieniał w lub wokół domu? Panie von Lehnsfeld?

Prawie mnie nie słuchał. Jego spojrzenie w dal za oknem odbiegło tak daleko jak jego myśli.

– Aaron?

Ocknął się.

– Tak, naturalnie, niech pan to zrobi. Ale mogę wchodzić na posesję czy to także jest zabronione?

Wchodzić. Aaron na brzegu Langer See, podziwiając zachód słońca w Grünau. Romantyk z silną skłonnością do wybuchów gniewu.

– Wydaje mi się, że do tego nikt nie będzie miał zastrzeżeń. Jest normalne, że dostęp mają także architekci i technicy. W którymś momencie muszą przecież przedstawić koncepcję remontu.

– Tak, naturalnie. Remont. Ściany. I piwnica. Przede wszystkim piwnica. Wydaje mi się, że jest wilgotna. Tam trzeba zacząć. Wkrótce.

– Nie. Nie wkrótce. Później.

Przedłożyłem mu pełnomocnictwo. Podpisał je. Następnie spakowałem dokumentację i wstałem.

– Jakie w zasadzie ma pan zamiary? – spytałem. – Czy tutaj będzie znajdowało się pańskie biuro?

Aaron zaśmiał się.

– Nieruchomości. Wykonawca budowy. Inwestycje. Albo handel sztuką. Rzyko i zyski są podobne w obu dziedzinach. Jeszcze się nie zdecydowałem.

Skinąłem głową, starając się nie okazać zdumienia.

– A zatem życzę sukcesów.

– Odprowadzę pana.

Zatrzymałem się na chwilę przy witrynie.

– Skorupy – powiedziałem. – Przynoszą szczęście. Ma pan już w takim razie najlepsze warunki wstępne.

Nagle całe zblazowanie zniknęło z twarzy Aarona i ustąpiło dziecięcemu śmiechowi. Otworzył drzwiczki witryny i wyciągnął z niej fragment talerza.

– Sam go wydobyłem. Podczas nurkowania. Uwielbiam nurkowanie. Jestem poszukiwaczem skarbów, rozumie pan?

Chciałem potrzymać skorupę, jednak szybko cofnął rękę.

– Dziewiąty wiek przed naszą erą. Aleksandria.

Ostrożnie odłożył ją znowu na miejsce.

Podziwiałem dwie małe amfory i majolikowy talerz.

– Żadnych koralii? – zapytałem.

Aaron szybkim ruchem zamknął witrynę.

– Nie robię tego dla przyjemności – wyjaśnił.

Zjechałem do podziemnego garażu.

Już z Wilhelmstrasse spojrzałem jeszcze raz na funkcjonalną fasadę, ku trzeciemu piętru. Pozostał sam za szybami pancernymi centymetrowej grubości, samotny nurek, poszukujący skorup, i to nawet nie dla przyjemności.

Rozdział 14

Mainzer Strasse w dzielnicy Friedrichshain stała się idylliczna. Ledwie kilka lat temu miały tu miejsce zacięte walki o ostatnie zajmowane domy. Czuło się tu zapach węgla, ścieków, kurzu i przełomu. Teraz domy miały nowych właścicieli i ślicznie odnowione fasady. Posadzone z nadzieją małe drzewka i sympatyczna mieszanina drobnego biznesu, bud z kebabem i kiosków z gazetami roztaczały zadowoloną z siebie atmosferę „nasze sąsiedztwo stało się piękne”.

I spokojne. Odgłos moich kroków rozbrzmiewał między ścianami. Ulica pozostała wąwozem, koszarami na wynajem o ściśle określonej przez władze Berlina maksymalnej wysokości, dwoma rzędami kamienic budowanych w okresie grynderskim niczym z taśmy.

Zadzwoiłem. Nie było jeszcze całkiem ciemno. A jednak, pomijając migotliwy błękit ekranów telewizorów w salonach i kilka przytłumionych lamp kuchennych, niewiele okien było rozświetlonych. Tutaj wcześniej chodziło się do pracy albo w ogóle.

Włączyło się światło na klatce schodowej i usłyszałem kroki, które robiły się coraz głośniejsze. Otworzyła drzwi i zamiast mnie powitać, popatrzyła na zegarek.

– Idziemy na drugą stronę.

Wskazała na bar z kebabem na skos po drugiej stronie ulicy, w którym samotny Libańczyk nudził się przed telewizorem.

Kiedy weszliśmy, w nozdrza uderzył mnie intensywny zapach pieczonego mięsa. Grillowana baranina. Steki na wystawie świeciły na różowo. Biała fasolka z pietruszką, pieczona cukinia i krążki bakłażana, szaszłyki, kotlety i faszzerowana papryka. Natychmiast nabrałem wilczego apetytu.

Byliśmy jedynymi gośćmi. Zamówiłem piwo, mieszane przystawki i talerz mięs z grilla, Marie-Luise wodę mineralną.

Zajęliśmy miejsca przy małym plastikowym stole, który od razu zaczął się

niebezpiecznie chwiać. Marie-Luise wyjęła paczkę papierosów i zaoferowała mi jednego. Wiedziała, że nie palę. Kiedy potrząsnąłem głową, sama zapaliła, głęboko się zaciągnęła i wygodnie oparła się na krześle.

Była ubrana w oliwkowy top i rozciągnięte spodnie do joggingu. Włosy związała z tyłu głowy. Wyglądała, jakby przebiegła właśnie na luzie piętnaście kilometrów, a to był tylko krótki postój techniczny. Top był bardzo obcisły. Kiedy tak siedziała swobodnie odchyłona do tyłu, z jedną ręką bujającą się nonszalancko, z plecami tak wyprostowanymi, że nikomu nie mogło umknąć, iż nie ma biustonosza, sprawiała wrażenie amazonki w zrelaksowanej pozycji. Po raz pierwszy miałem trudności z rozluźnieniem się.

– Sporo czasu minęło – powiedziała. – Zdumiewające, ile potrafisz na siebie wziąć, kiedy chcesz.

Zabrzmiało to, jakby szerzyła się tutaj niebezpieczna epidemia. A Marie-Luise, uodporniona lekarka, specjalistka od dżumy, przyjmowała przerażonego burżuja ze znużeniem kogoś, kto już wszystko widział.

– Nie jestem pewny, kto tutaj od kogo czegoś chce – powiedziałem.

Libańczyk przyniósł ostrożnie tacę, na której stały dwa małe kieliszki sznapsa, butelka piwa i puszka wody mineralnej.

– Serdecznie witamy – powiedział i wskazał na sznapsa. Nalał piwo, następnie nakrył stół. Marie-Luise przysunęła ku sobie powleczoną pozłotą popielniczkę.

– Za nas – powiedziała. – I za to, że kochamy.

Wypiłem, łyzy stanęły mi w oczach. Smakował jak wódka z ziemniaków i działał jak strzał bolcem w głowę. By znów złapać oddech, sięgnąłem po piwo i wypiłem duszkiem połowę.

Marie-Luise lustrowała mnie, milcząc, następnie sięgnęła do kieszeni w spodniach i wyciągnęła kartkę.

– Załatwmy to lepiej, zanim padniesz pod stół. Wiesz, co to w ogóle jest?

– Nie byłaś tak łaskawa, żeby mi to wyjaśnić.

– Skąd to masz?

W moim żołądku płonęło akurat kilka sążni drewna. Ugasilem pożar drugą połową piwa bezpośrednio z butelki. Teraz poczułem się dobrze.

– Powiedzmy, że przyleciało do mnie. – Jeszcze jeden sznaps i mógłbym z moimi dowcipami występować w ogródku zimowym.

Marie-Luise uniosła brwi i czekała, aż przyjdzie mi coś lepszego do głowy. Kiedy nie przyszło, z westchnieniem znów skupiła się na papierze.

– To jest kopia pisma Ukraińskiej Fundacji Narodowej Porozumienie i Pojednanie z siedzibą w Kijowie.

Czekałem. Na ile ją znałem, powinna sama z siebie mówić dalej. Po trzech sekundach powiedziała:

– To jedna z narodowych organizacji osób prześladowanych, które podczas pertraktacji z fundacją niemieckiego przemysłu objęły funkcję negocjatora. Mają pełnomocnictwo do negocjowania wysokości kwot odszkodowań dla dawnych robotników przymusowych. – Na chwilę się zatrzymała. – Są jednak także tymi, które muszą oddzielić plewy od ziarna. Decydują, kto otrzymuje odszkodowanie, a kto nie.

Wypiła łyk wody mineralnej. Kropla potoczyła się jej w dół szyi do dekoltu. Wyglądało to podniecająco i przypominało hiszpańską reklamę wina musującego. Dlaczego to robiła?

– Jak to, kto nie? – zapytałem. Najchętniej podałem jej swoją serwetkę, żeby osuszyła tę kroplę. Starła sobie spływającą kroplę i roztarła przypadkowo resztę wody nad dekoltem. Zadawałem sobie pytanie, gdzie się tego nauczyła. Ode mnie nie.

– Tylko ktoś, kto może udowodnić, że był robotnikiem przymusowym, może liczyć na wypłatę odszkodowania. Nie zawsze daje się to bezsprzecznie stwierdzić. Kim jest ta kobieta?

– Natalia? – Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki moja pusta butelka piwa została zastąpiona pełną, obok znów pojawił się sznaps. – Nie wiem – powiedziałem. – Niewykluczone, że w czasach nazistowskich pracowała w gospodarstwie domowym Zernikowów. Jednak nie jestem tego pewny.

Marie-Luise cicho gwizdnęła, następnie upiła maleńki łyżeczek sznapsa.

– Robotnica przymusowa we własnym domu – powiedziała. – Czysto, czysto.

– Nie przesadzasz troszeczkę? Była opiekunką do dziecka. To zapewne nie ma nic wspólnego z pracą przymusową.

– To było modne, jeśli można tak rzec – odpowiedziała. – Przede wszystkim w wielodzietnych rodzinach, kiedy mężczyźni akurat dawali z siebie wszystko na froncie. I w rodzinach wysokich rangą nazistów. Brakowało po prostu siły roboczej. Przede wszystkim do takich mało istotnych spraw jak wychowywanie dzieci i gospodarstwo domowe. Damy z lepszego towarzystwa dałyby sobie co prawda dla Adolfa uciąć rękę, ale rzadko zdarzało się, by chciały samodzielnie złapać za szmatę. Chętniej zostawiały to

Polkom i Ukrainkom.

Na szczęście w tym momencie pojawiła się przystawka. Wystarczyłoby, żeby czteroosobowa rodzina mogła przetrwać zimowy tydzień. Zacząłem od fasoli i wskazałem widelcem na papier.

– Co tu jest napisane?

– To zapytanie, czy Natalia Czeredniczenkova rzeczywiście pracowała u Zernikowów, ponieważ nie została przedłożona książeczka pracy, a nazwisko nie zostało odnotowane w centralnej kartotece. Albo bezpośrednio po zakończeniu wojny jako kolaborantka trafiła do obozu karnego na Syberii, albo chciała uniknąć tego losu i zniszczyła książeczkę. Wtedy mogą pomóc tylko wiarygodne zeznania świadków, by uprawomocnić jej roszczenia.

Marie-Luise zamówiła jeszcze jedną wodę mineralną, ja dostałem trzecie piwo. Od tygodni nie jadłem niczego tak dobrego. Moim jedynym życzeniem było tylko, by zbyt szybko się nie najeść.

– Gdyby Zernikow albo jego matka teraz poświadczyli, że ta Natalia dla nich pracowała...

– Harowała – przerwała mi Marie-Luise. – W niedopuszczalnych warunkach. Wywieziona, stale obawiając się o życie, napiętnowana jako podczłowiek...

– Gdyby zatem to podpisali, czy miałoby to jakieś konsekwencje dla niego albo dla jego matki? Z prawniczego punktu widzenia, o to mi chodzi. Finansowe.

– Nie – odpowiedziała. – Przypuszczam, że baronowa poleciła należycie się zdenazyfikować. Nie może już zostać pociągnięta do odpowiedzialności. I jej syn także nie. Twój przyszły teść, jak można usłyszeć – tu i ówdzie.

Z zaciśniętymi ustami przyglądała się, jak kawałkiem pity wycieram do czysta talerz.

– A kto płaci?

– Fundusz odszkodowawczy. Niemiecka gospodarka, jeśli wolisz. Część z tych, którzy swoje niewyobrażalne majątki zrobili na plecach robotników przymusowych. Jednak niestety tylko część.

Spojrzałem na nią pytająco.

– Wielu po prostu nie czuje się już odpowiedzialnymi. Spadkobiercy, którzy negują odpowiedzialność rodziny za czyny jej członków. Rozumiesz: jest mi obojętne, skąd wzięły się pieniądze, które wydaję, jestem przecież tylko synem. Albo wnukiem. Przypominasz sobie?

Nawiązywała do szwajcarskiego miliardera, który używając tego argumentu, długo odmawiał dołożenia się do funduszu. Jego dziadek zawdzięczał niewyobrażalny majątek przemysłowi zbrojeniowemu i należał do ścisłego kręgu koneserów sztuki skupionych wokół Hitlera.

– Zernikow także jest synem.

Zapaliła następnego papierosa.

– I odmówił podpisania dokumentu. Zgadza się?

Dotarłem do punktu, w którym albo musiałem ją wtajemniczyć, albo dać sobie z tym wszystkim spokój.

Słowa Marie-Luise sprawiły, że nie musiałem podejmować decyzji. Wskazała na moje fioletowe oko.

– Czy to ma z tym coś wspólnego?

– To były schody. Koniec tematu.

Po raz pierwszy od kilku dni znów pomyślałem o Milli i mojej złożonej bez przekonania przysiędze. Zadawałem sobie pytanie, gdzie się zatrzymała.

– Utz kategorycznie odmówił, choćby przeczytania listu.

– Dlaczego?

– Ma wrażenie, że ktoś chce się jego kosztem wzbogacić.

Marie-Luise zrobiła wielkie oczy.

– Wzbogacić? – zapytała.

– Natalia nie żyje. Od sześćdziesięciu lat. Może ktoś posługuje się jej nazwiskiem, żeby otrzymać pieniądze.

– Kto miałby coś takiego zrobić?

– Na przykład osoba przynosząca tę wiadomość. Albo ludzie ukrywający się w cieniu.

Zapewne zorientowała się, że nie byłem zadowolony z tej odpowiedzi. Skierowałem podejrzenia akurat na Olgę i to nie trzymało się kupy. Jej ubóstwo i skromność, prośba, by przekazać tę kartkę Utzowi. Kartkę, która oficjalnie była zniszczona i której kopię Utz ukradł z mojego biurka. Jedynym świadectwem wizyty Olgi był już tylko pognieciony wydruk faksu w ręce Marie-Luise.

– Kto zatem przekazał tę wiadomość? Można z nim porozmawiać?

– Z nią – powiedziałem. – To była kobieta.

– W takim razie powinniśmy z nią niezwłocznie porozmawiać, o co chodzi z tym zaświadczeniem.

– To nie wchodzi w rachubę.

– Dlaczego nie?

Zaczerpnąłem powietrza.

– Ponieważ ona nie żyje.

Marie-Luise wytrzeszczyła oczy.

– Co proszę? Od kiedy?

– Wypadek. Tego samego wieczoru.

– To jest... zdumiewające. – Zapaliła trzeciego papierosa.

Libańczyk postawił przede mną talerz przysmaków z grilla. Wyglądały smakowicie, ale więcej nie byłem już w stanie zjeść. Byłem syty. Poprosiłem go, żeby mi to wszystko zapakował, i zamówiłem kolejne piwo.

Marie-Luise zmarszczyła czoło.

– Może byś się trochę zastanowił, zamiast się upijać.

– Nie ma się nad czym zastanawiać. To była pomyłka. Albo fundacja popełniła błąd. A kobieta, która zmarła, była tylko posłańcem. – „Proszę dać mu zaświadczenie. To ważne. Sprawa między Utzem a Natalią”. Nie, to nie była pomyłka. A Marie-Luise wciąż jeszcze znała mnie na tyle dobrze, żeby się zorientować, że sam w to nie wierzę. Wyciągnąłem rękę w jej kierunku.

– Daj mi to.

– Co zamierzasz?

– Wyrzucę to. Po prostu zapomnij, że kiedykolwiek przefaksowałem ci to pismo.

– Dlaczego?

– Co?

– Dlaczego mi je przefaksowałeś?

Wciąż trzymałem wyciągniętą rękę. Marie-Luise powoli złożyła kartkę i wetknęła ją sobie w dekolt. Być może uważała go za miejsce, w które moja ręka z największym prawdopodobieństwem by nie zabłądziła. Nie doceniała widać sznapsa z ziemniaków. I abstynencji seksualnej. I porannego zombi, kiedy człowiek nie wie, jak dać upust testosteronowi.

– Ponieważ znasz rosyjski.

Wyszczrzyłem się do niej w najbrudniejszym uśmiechu, jaki miałem w repertuarze. Ale to wcale jej nie wystraszyło.

– Czy to wszystko?

– Wszystko – odpowiedziałem. – A więc kończmy z tym.

Znów oparła się wygodnie. A mianowicie tak, że teraz nie tylko jej piersi napinały materiał jej topu, lecz także wyraźnie zarysowywała się pod

materiałem karteczka. Gdybym jej tak dobrze nie znał, mógłbym uznać ten gest za zaproszenie do zerwania koszulki z jej ciała i wzięcia tego, co...

Wziąłem się w garść, napiłem się. To było niemal nie do wytrzymania. Zasypiałem co noc przy nagiej kobiecie, a teraz przede mną przeciągała się antyfaszystowska pin-up, a ja nie mogłem. Po prostu nie mogłem. Ani tu, ani tu.

– Przecież chcesz tego – powiedziała.

Poczułem ściskanie, nie tylko w gardle.

– Co? – spytałem ochrypłym głosem.

– Chcesz wiedzieć. Co się za tym kryje. Doprowadza cię do szału, kiedy nie mówi ci się prawdy. Masz tylko jeden problem: nie wiesz, jak sobie z tym poradzić. Niektóre prawdy po prostu cię przerastają.

Przez chwilę obawiałem się, że ona wie wszystko. Jednak potem zaśmiała się tylko i powachlowała.

– A kiedy robi się zbyt ciasno i w swoim nowym życiu nie masz niemal nikogo, z kim mógłbyś porozmawiać, przychodzisz do mnie.

– Nie przypominam sobie, kiedy podczas ostatnich sześciu lat coś takiego miałyby się wydarzyć.

– Na przykład teraz.

Położyła ręce na stole. Znów uzyskałem głęboki wgląd. Zmusiłem się, by patrzeć jej w oczy.

– Czy naprawdę wciąż jeszcze potrzebujesz kogoś, kto ci mówi, co jest słuszne, a co niewłaściwe? Czy ty nigdy nie dorośniesz, Joachimie?

Jeszcze tylko brakowało mi rozmowy o stosunkach międzyludzkich. Przede wszystkim rozmów o stosunkach, bo ta dziedzina od połowy dekady była zaniebawiana.

– Coś tu się nie zgadza. Wyczuwam to. I ty też to wiesz. Ale ty nawet nie możesz o tym z nią porozmawiać. Co za nędzne, żałosne życie w takim wielkim, pięknym domu.

Skinąłem na Libańczyka.

– Rachunek poproszę.

Następnie spojrzałem na nią.

– Błędem było wtajemniczenie cię w tę sprawę. To ty musisz najpierw dorosnąć, Marie-Luise. Walka klas dobiegła końca.

Zaśmiała się.

– Wciąż jeszcze rycerz na białym koniu pod sztandarem największej możliwej wolności dla jednostki. Dziękuję. Znam twoje hasła. Ale tutaj chodzi

o coś więcej. Możliwe, że chcesz chronić tę zgraję, wielką burżuazję. Ale ten numer z rzekomym oszustwem u mnie nie przejdzie. Zasięgnęłam informacji. Dokument jest prawdziwy. Że tak powiem, niepodważalny.

Libańczyk przyniósł rachunek z dwoma kieliszkami sznapsa, których teraz koniecznie potrzebowałem.

– Komu go pokazałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Nieistotne. – Nabazgrała coś na wydruku z kasy.

Wychyliłem pierwszego sznapsa.

– Kopię kopii zrobionej z kopii.

– Dokumentu, będącego dokumentacją dokumentu – powiedziała. – Natalia Czeredniczenkowa żyje. *Voilà*. Ulica Artekowskaja, Kijów.

Najpierw spojrzałem jej w twarz, następnie przeczytałem adres, który zapisała mi na tylnej stronie rachunku.

– To jeszcze o niczym nie świadczy. – Wypiłem drugiego sznapsa. Pismo rozmazywało się przed moimi oczami.

Marie-Luise wzięła rachunek, przyłożyła do niego ogień i spaliła go w popielniczce. Libańczyk przyglądał się temu podejrzliwie.

– Skąd wzięłaś ten adres?

– Nieważne.

– Dawne kontakty rodzinne w Moskwie?

Zwęziły jej się oczy.

– Spokojnie możesz mnie prowokować. Rób, co chcesz. Ale zanim wyjdziemy, chcę ci krótko powiedzieć, co myślę o tej całej sprawie.

W tym momencie Libańczyk zjawił się ze zdecydowaną miną przy naszym stoliku. Marie-Luise położyła na stole monetę, dwa euro, ja przeszukałem kieszenie w spodniach i wyciągnąłem banknot. Kiedy rachunek został zapłacony, Libańczyk uśmiechnął się do nas i wrócił za ladę.

Marie-Luise patrzyła za nim. Dwaj młodzi mężczyźni czekali na swoje zamówienia na wynos. Libańczyk wprawnymi ruchami okrawał kebab. Nikt nie zwracał na nas uwagi.

Powiedziała cicho:

– Szanowana rodzina ma drobną, mroczną tajemnicę. Głęboko zakopaną pod osadami młodszej niemieckiej historii. I nagle pojawia się ktoś i przypomina o tym. Straszne, straszne. Bądź co bądź zniedołężniała głowa rodziny jest urodzoną baronową, a podstarzały senior ma jedną z najbardziej szanowanych

kancelarii prawniczych w mieście. W końcu jego córka, najmłodsza latorośl, występuje publicznie w świetle reflektorów. Chce zostać senatorem od spraw wewnętrznych. Przypomnienie o tej drobnostce byłoby bardzo nieprzyjemne. Opiekunka do dziecka. I jak miło, że nagle zdarza się wypadek, który sprawia, że problem znika.

– Oszalałaś. Nikt ci nie uwierzy.

Zaczęła bawić się swoim dekoltem.

– To jest nic niewarte – powiedziałem. – To kopia...

– ...która jest kopią kopii. Wiem. Jesteś pijany. – Podniosła się.

– Chcesz już iść? – Było już wpół do jedenastej. Zaplątałem się w nogi krzesła, niemal straciłem równowagę. Marie-Luise chwyciła mnie pod ramię. Zrobiło mi się gorąco. Bardzo gorąco.

– Właściwie to od kiedy masz taką słabą głowę?

Starłem się jak najszybciej odzyskać równowagę. Razem podeszliśmy do drzwi i wyszliśmy na chodnik. Rozświetlone łuną zachodzącego słońca letnie niebo świeciło z niesamowitą intensywnością. Ciemna ochra na zachodzie spotykała się pośrodku z aksamitnie granatową nocą wschodu, a ta tworzyła sklepienie nad dachami domów niczym kurtyna w teatrze, na której tle rysowała się wyraźna sylwetka miasta. Latarnie uliczne migotały niczym brylanty, a wierzchołki drzew niczym ciemnozielone wycinanki kleiły się do widocznego w oddali horyzontu, który zaczynał się jako jasnoniebieski, a wysoko u góry kończył nieprzeniknioną czernią. Do tego słodko pachniało, jak kwieciami lipy. Albo bzem. Albo jak włosy Marie-Luise.

– Marie-Luise...

Obróciła się i popatrzyła na mnie.

– Jedź do domu, Joachim.

– I co teraz dalej będzie?

– Z czym?

– Z kartką i z nami przede wszystkim.

– Z nami zupełnie nic. Z kopią – nie wiem. Coś jeszcze?

W jej mieszkaniu paliło się światło.

– Wydaje ci się, że taka jak ja po tobie nie znajdzie już żadnego. Po tobie może już tylko nastać pustynia, z ostem we włosach i w podartych ubraniach, zgadza się? Błąd. Nie jestem sama. Jestem kochana. Ty też?

Być może powinienem ją pocałować, żeby wreszcie przestała opowiadać te banialuki. Już chciałem ją chwycić, kiedy pojawił się Libańczyk. Niestety, nie

wyniósł na ulicę sznapsa ani nie przyniósł reszty, lecz zapakowane w aluminiową folię moje danie z grilla. Stałem tam jak dostarczyciel pizzy. Marie-Luise odwróciła się i przeszła na drugą stronę ulicy.

– To wszystko?

Pobiegłem za nią. Dogoniłem ją przed drzwiami jej domu, a ona naturalnie znów upuściła klucze.

– Zostaw mnie w spokoju – powiedziała gdzieś w ciemności. Potem nagle pojawiła się przede mną. Jej twarz była bardzo blisko mojej. Mogłem zobaczyć złote punkciki w jej oczach. Chociaż było tak ciemno. A w jej dekolcie świeciło jasno coś, za pomocą czego mogła zmienić życie Sigrun w piekło. Byłem idiotą.

– Jakie masz zamiary?

– Idź do Zernikowa i powiedz, że powinien podpisać.

– Nie mogę tego zrobić.

– W takim razie nie mam ci nic więcej do powiedzenia. – Przepchnęła się obok mnie i otworzyła drzwi.

Musiałem ją zatrzymać. Gdyby teraz weszła do środka, coś by przepadło. Nie wiedziałem tylko, czy strata dotknęłaby mnie, Utza, Sigrun czy po prostu dobra w człowieku. Miałem w sobie wystarczająco dużo sznapsa, by zdezynfekować najczarniejszą duszę.

– Pomóż mi – powiedziałem. Nie wiedziałem, w czym. Ale kobiety chętnie słyszą takie słowa.

Drzwi powoli zamknęły się. Koniec. Zrobiło mi się niedobrze. Danie z grilla wystygło. W drzwiach pojawiła się Marie-Luise i zlustrowała mnie.

– Proszę – powiedziałem. Więcej się nie dało. Naturalnie mógłbym jeszcze paść na kolana.

– Znam kogoś, kto pomoże nam posunąć się do przodu.

Miejmy nadzieję, że nie chodzi o terapeutę małżeńskiego.

– Zgłoszę się w przyszłym tygodniu. Wcześniej nie dam rady. Mam dużo pracy.

Jeszcze raz skinęła mi głową. Bardzo zdystansowana, bardzo profesjonalna. Drzwi z hukiem zatrzasnęły się.

Libańczyk z przeciwka znów nie miał nic do roboty. Popatrzył na mnie i pokiwał głową.

– Kobiety! – krzyknął. – Nie można nic zrobić.

Rozdział 15

W przypadku czosnku smród nie jest najgorszy. Ten muszą znosić inni. Najgorsze jest pragnienie po posiłku. Mógłbym podłączyć się bezpośrednio do kranu.

Harry zostawił mi duże opakowanie Fisherman's Friends, Connie ledwie nadążała z dostarczaniem mi wody z lodem, a ja próbowałem zorientować się, co działo się w naszym ogrodzie. Kilku obłąkanych, robiąc ogłuszający hałas, rzucało na kupę żelazne pręty. Towarzyszył temu piekielny wrzask. Albo akurat ćwiczyli przed Highland Games, albo mordowali się wzajemnie. Teraz zza rogu wyszedł jakiś mężczyzna w roboczym kombinezonie, ustawił się za złotokapem i zaczął sikać. Otworzyłem okno.

– Co tu się właściwie dzieje?

W najmniejszym stopniu go to nie spieszyło ani mu nie przeszkodziło.

– Urodziny. Dwustu gości. Cztery pawilony i namiot kuchenny. Miejmy nadzieję, że wkrótce spadnie deszcz. – Z przeciągłym wizgiem zapiął rozporek – Pewnie pan nie jest zaproszony, co?

Urodziny Sigrun. Jeszcze i to.

Connie przyszła z żółtą karteczką.

– Wypróbuj natkę pietruszki – poradziła mi. – Ładnie, starannie przeżuwać. To pomaga. Czasami. A poza tym dzwoni pan Mittelhöfer. Już cztery razy o ciebie pytał.

– Kto proszę?

– Proboszcz – odpowiedziała łagodnie i położyła karteczkę przede mną na stole. – Mówił, że to ważne.

– Chodzi o panią Czeredniczenkową. – Głos proboszcza Mittelhöfera wydał mi się mgliście znajomy. – Czy mógłbym z panem porozmawiać minutkę?

– Proszę – odpowiedziałem i zerknąłem na zegarek. Za dziesięć dwunasta. Musiałem postarać się jeszcze o prezent dla Sigrun.

– Czy zna pan tę panią?

- Starszą czy młodszą? – spytałem.
 - Panią Millę Czeredniczenkową. Młodszą. Poprosiła mnie, żebym się z panem skontaktował. Mam zadać panu tylko jedno pytanie, nie więcej.
 - I jak ono brzmi?
 - Czy już podpisał?
- Zdenerwowany zgmiotłem karteczkę. Temat był zamknięty. Tylko Marie-Luise krążyła jeszcze po okolicy jako pojedynczy kamikadze przeciwko lepiej zarabiającym. Poza tym nie wiedziałem, dlaczego cały świat uważał, że można się mnie bezkarnie czepiać.
- Nie. I nie robi tego. Nie, dopóki matka pańskiej łagodnie usposobionej podopiecznej nie stanie przed nim osobiście.
 - Jej matka jest ciężko chora. Nie może odbyć tak długiej podróży.
 - W takim razie bardzo mi przykro.
- Na zewnątrz rozległ się straszliwy łomot. Przypuszczalnie świąteczny namiot akurat się zawalił.
- Niech pan się zatroszczy o tę kobietę, panie Vernau – powiedział proboszcz. – Obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi. Ale jedno mogę panu powiedzieć: niech się pan o nią zatroszczy.
 - Proszę powiedzieć, o którą?
 - O młodszą – odpowiedział cierpliwie. – Wiem, że w zasadzie nie ma pan z tym wszystkim nic wspólnego. Ale po śmierci Olgi był pan tak zatroskany... Usiadłem.
 - Przypuszczam, że z kimś mnie pan myli.
- Jednak pan Mittelhöfer miał dar łączenia uporu z łagodnością. Jego głos brzmiał jak głos świętego.
- Także biedne parafie dysponują już teraz urządzeniami ISDN. Naturalnie zanotowałem sobie pański numer.
- Błąd, błąd, błąd.
- Milla jest bardzo wzburzona. Przecież pan jej obiecał, że zatroszczy się o jej sprawę. Czeka już prawie od tygodnia. Jestem daleki od tego, by mieszać się w pańskie sprawy rodzinne, ale proszę to wyjaśnić jak najszybciej. Milla Czeredniczenkowa nie jest właściwą osobą, żeby rozmawiać z rodziną Zernikow. Osobiście uważam ją za nieobliczalną.
- Znów spojrzałem na zegarek. Za moment dwunasta. Po prostu nie miałem już więcej czasu na tę sprawę.
- Tego rodzaju wyjaśnienia pozostawię raczej policji – powiedziałem. –

Proszę jej to przekazać.

– O nie, nie – powiedział proboszcz szybko. – Proszę zrobić to osobiście.

Moja misja została wypełniona.

Tchórz.

– Jak zatem mógłbym się z nią skontaktować?

– Tego nie mogę panu powiedzieć.

Moja cierpliwość wyczerpała się.

– W takim razie proszę jej przekazać, że rodzina Zernikow nie jest zainteresowana dalszymi kontaktami z nią.

– Och.

– A ja mam ważne spotkanie.

Pan Mittelhöfer zamilkł.

– A zatem...

– Mógłbym panu polecić pensjonat w bardzo atrakcyjnej cenie. Bardzo atrakcyjnej.

Przez moment myślałem, że proboszcz ma jakieś problemy umysłowe. Po chwili jednak zrozumiałem, o co mu chodzi.

– Gdzie? – zapytałem i wyciągnąłem papier i ołówek.

– W samym centrum, a mimo to bardzo spokojnie. Niemal familiarnie.

– Gdzie?

– Na Meinekestrasse. Pensjonat Adler. Tylko na wypadek, gdyby przytrafiły się panu niespodziewane odwiedziny. Ma bardzo czyste pokoje. I cieszy się wielką popularnością u Europejczyków ze Wschodu. Bardzo chętnie go polecamy.

– Dziękuję – powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Nie angażując w to Connie, poprosiłem operatora o połączenie z pensjonatem. Łączenie trwało dłuższą chwilę. W końcu odezwał się melancholijny głos.

– Pensjonat Adler, w czym mogłabym państwu pomóc?

Narkoleptyczka w stadium klinicznym.

– Pani Czeredniczenkova – poprosiłem.

Bez odpowiedzi zostałem połączony i upłynęło czternaście dzwonek, nim połączenie zostało przerwane. Wybrałem numer ponownie.

– Czy nie orientuje się pani, gdzie mogłaby być teraz pani Czeredniczenkova?

Na drugim końcu linii dało się wyczuć moment głębszego zastanowienia.

- Nie – rozległo się w końcu.
- W takim razie chciałbym, o ile pani pozwoli, zostawić dla niej wiadomość. – Podałem jej swoje nazwisko i numer telefonu, który przyjęła do wiadomości podejrzenie szybko i bez dopytywania. Przypuszczalnie nie zapisała go.
- Czy to pańska przyjaciółka?
- Zagotowałem się. Obok krzesła, na którym siadywał Georg, czaiła się baronowa.
- Paani Czeredniczenkoff?
- Zabrzmiało to niczym trzask bicza.
- Odłożyłem słuchawkę.
- Nie – odpowiedziałem. – Ale najwyraźniej dla pani to nazwisko brzmi znajomo.
- Przechyliła głowę na bok, a potem na drugą stronę, tak jak robią kruki. Obserwowała mnie przy tym z opanowaniem ambitnej, zdeterminowanej badaczki, pracującej w laboratorium, w którym przeprowadza się testy na zwierzętach.
- Zadałam pytanie.
- A ja na nie odpowiedziałem.
- Jej usiane niebieskimi żyłkami szczupłe palce stukały niecierpliwie w poręcz wózka inwalidzkiego. Miała na palcu olbrzymi pierścień z ametystem, kamień był oprawiony w zabytkowe srebro. Pierścień majtał się luźno wokół palca i ktoś inny, kto nie zważa tak bardzo na utrzymanie swojego stanu posiadania, już dawno by go zgubił.
- Mój przyjacielu, nie jest pan do końca szczery. Potrafię to wyczuć.
- Aha. Chcielibyśmy wymiany zdań.
- Może mi pan wierzyć, zrobię wszystko, by zapobiec wplątaniu nas w tę sprawę.
- A dlaczego, jeśli wolno spytać?
- Ściągnęła wąskie, zarysowane cienką ciemną kreską brwi.
- Rzadko się pan sprawdza, nieprawdaż?
- Naraz zaczęła mówić zupełnie normalnie. Manieryczna, efekciarska wymowa zniknęła.
- Nie pasuje pan do nas. Sigrun jest silną kobietą. Potrzebuje silnego mężczyzny.
- A ja nim nie jestem?

Zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół i zatrzymała się dopiero na krawędzi biurka, które zasłaniało wszystko, co było poniżej paska. Jej spojrzenie było tak jawnie oceniające, że zyskałem jakieś pojęcie o tym, jaka zapewne była w swoich młodszych latach. Kobieta, która nie czeka, tylko bierze.

– Nie wątpię, że spełnia pan oczekiwania Sigrun w określonych dziedzinach. Musiałem się roześmiać. Nikt nie powinien twierdzić, jakoby dziewięćdziesięciolatkiem całkiem zapomnieli o seksie.

– Co zatem tak bardzo panią irytuje?

Baronowa zapewne przez całe swoje życie wybierała mężczyzn tylko według ich umiejętności w owej nienazwanej dziedzinie. Jednak teraz potrząsnęła głową.

– Łóżko, ba. Czymże jest duży fiut. Wielu go ma. Jest dobry, dopóki jest się młodym. Ale później? Kiedy to cudo już się skurczy? A takie telefony stają się częstsze?

Wskazała pogardliwie na telefon.

– Proszę mi pokazać fiuta, który jest wart małżeństwa z kobietą z rodziny Zernikow.

– Nie chciałbym pani przestraszyć. – Wyszczrzyłem się do niej. – Poza tym mnie i Sigrun łączy o wiele więcej niż łóżko.

Oparła się wygodnie.

– Tradycja? Pochodzenie? Przecież nawet nie służył pan w wojsku.

– Jestem berlińczykiem – odpowiedziałem, zupełnie niedręczony wyrzutami sumienia. – Poza tym raczej odmówiłbym służby wojskowej.

Zaśmiała się i pokazała swoje nieskazitelne, promiennie białe uzębienie, wykonane według najlepszych amerykańskich tradycji rzemieślniczych.

– Tak myślałam. Ale dzisiaj w nocy widziałam pana. Ja widzę wszystko. Nie śpię, rozumie pan? Nigdy nie śpię. I dlatego widzę wszystko.

Okazując największy brak zainteresowania, na jaki było mnie stać, porządkowałem papiery na biurku.

– I? Są jakieś powody do skargi?

– Niech pan uważnie słucha, młody człowieku. Jeśli pan nie przestanie...

Nie było mi dane dowiedzieć się, z czym powinienem skończyć, ponieważ w tym momencie rozległy się szybkie kroki na korytarzu i w drzwiach pojawiła się sprężysta sylwetka Waltera.

– Łaskawa pani! – Podeszedł do wózka inwalidzkiego. – Życzy sobie pani, żebym ją odwiózł na górę?

Baronowa nie zareagowała. Walter uprzejmie mi się skłonił. Obrócił wózek i wypchnął go na zewnątrz.

– Pani von Zernikow?

Wydawało się, że już mnie nie słyszy. Albo nie chce mnie słyszeć.

Pobiegłem za nią.

– Pani ją znała. Natalię Czeredniczenkową.

Spojrzała na mnie zmęczonymi, przymkniętymi oczami. Jej zwykle wciąż jeszcze napięte, zdecydowane rysy twarzy rozluźniły się. Znów stała się starą, już nie do końca poczytalną kobietą, miewającą niespodziewane napady snu.

– Proszę pozdrowić pańską panią matkę – wyszeptała.

Walter chciał odjechać wózkiem, jednak stanąłem im na drodze.

– Natalia Czeredniczenkova – powiedziałem.

Walter widocznie nie pozwolił sobie na ingerencję w jeszcze niewyjaśnione domowe stosunki i hierarchie oraz na upomnienie mnie. Próbował mnie objechać wózkiem.

– Do domu – szepnęła.

Jej głowa opadła do tyłu. Zasnęła. Albo tylko udawała.

– Pan wybaczy. – Walter popchnął mnie niedelikatnie i przejechał wózkiem obok mnie. Na końcu korytarza przywołał mahoniową windę, zdobioną mosiądzem kabinę z małą ławeczką wyłożoną jedwabiem. Jeszcze raz się obejrzał, zapewne żeby się upewnić, czy wciąż jeszcze stoję w drzwiach mojego biura, następnie wepchnął wózek z baronową do środka i nacisnął jeden z przycisków. Nim drzwi się zamknęły, wpatrywał się we mnie. W jego oczach widziałem nienawiść.

Miałbym pozdrowić moją matkę. Ostatnie dni były stosunkowo spokojne. Zbyt spokojne. Powinienem w końcu zadbać o porządek.

Korytarzem zeszła Connie.

– A ty jeszcze tutaj?

Spojrzałem na zegarek i cicho zakląłem pod nosem. Mieliśmy spotkanie u senatora odpowiedzialnego za rozwój miasta i budownictwo.

Aż do wieczora prawie wcale się nie ochłodziło. Kiedy wróciłem krótko przed siódmą, nieznośna duchota unosiła się nad ogrodem, który zmienił się w plac zabaw z tysiąca i jednej nocy. Białe namioty tworzyły orientálną atmosferę, wszędzie w parku porozstawiano wysokie stoliki. Atrakcyjne

dziewczyny w białych fartuszkach ustawiały kieliszki na tacach. W długim namiocie przygotowano już miejsce na bufet. Podgrzewano bemaury, kucharze w wysokich białych czapach wydawali swojej ekipie szczepliwe polecenia. Po robotnikach nie było już śladu. Przypuszczałem, że poczekają z demontażem do wschodu słońca, by wtedy jeszcze raz pozwolić, żeby się to wszystko z hukiem zawaliło.

Ledwie znalazłem się w mieszkaniu, poszedłem pod prysznic. Gdy już się ogoliłem i po raz czwarty tego dnia umyłem zęby, włożyłem ciemny garnitur, do tego białą koszulę i krawat. Byłem gotowy, kiedy Sigrun bez tchu wpadła do sypialni.

– Cholera! – Podbiegła do okna i wyjrzała przez nie. – Dlaczego zawsze znajdują się ludzie, którzy przyjdą za wcześnie? Tylko popatrz! Kaufmannowie. Zawsze ci sami. Wiesz, co mi się wydaje?

– Nie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą, próbując wsunąć spinki w otwory mankietów.

– Oni kradną. Ostatnim razem brakowało misy na szampana.

Podszedłem do niej i zerknąłem przez firanki. Kaufmannowie, para w średnim wieku, otoczeni aurą spektakularnego dobrobytu, stali przy wejściu do namiotu i coś szeptali.

– Ale jak mieliby to zrobić?

– Nie mam pojęcia. No, nareszcie. W samą porę.

Jedna z delikatnych elfek zaoferowała obojgu coś do picia. Sigrun odwróciła się i westchnęła.

– Potrzebuję co najmniej dwóch godzin, nim będę mogła pojawić się wśród ludzi. Nie znoszę tego przewodniczącego frakcji. Teraz musiałam oglądać tę twarz przez całe popołudnie, a za pół godziny on się tu zjawi i pocałuje mnie w rękę.

– Dlaczego w ogóle go zaprosiłaś?

Sigrun popatrzyła na mnie z politowaniem.

– Przynieś mi coś do picia.

Rozebrała się. Przyniosłem lód i nalałem jej whisky. Kiedy jej ją podałem, wziąłem ją w ramiona i pocałowałem.

– Wszystkiego najlepszego.

W tym momencie coś mi się przypomniało: zapomniałem obrączek.

Wyswobodziła się z moich objęć i wypła łyżeczek.

– Co jest? Zbladłeś.

Szukałem słów, żeby jej przedstawić moją katastrofalną sytuację, jednak ona odwróciła się ode mnie.

– Wyjdź już. Potrzebuję jeszcze kilku minut dla siebie.

Sprawiła wrażenie kompletnie wyczerpanej.

– Sigrun, bardzo mi przykro.

Nie odpowiedziała. Moment wydawał się rzeczywiście nadzwyczaj niekorzystny na przyznanie się, że zapomniałem o obrączkach zaręczynowych.

W międzyczasie zjawili się kolejni goście. Przed wjazdem tłoczyły się ciemne limuzyny, z których pośpiesznie wyskakiwali kierowcy, otwierali drzwi i po wysadzeniu pasażerów odjeżdżali. Rozpoznałem współpracowników wielu ambasad, polityków obu dużych partii ludowych, menedżerów, klientów, kolegów oraz dwóch aktorów berlińskiej ery przed przemianą. Nieustannie błyskały lampy błyskowe. Odkryłem Dresslera, który akurat zmieniał rolkę filmu.

– Mój drogi pan Vernau!

Znałem już śpiewny trel tego głosu. Przede mną stanęła Verena von Lehnsfeld i pozdrowiła mnie wylewnie, przy czym wielokrotnie roztarła swoją szminkę na moim policzku.

– Gdzie jest Sigrun?

Wskazałem na dom. Z samochodu wygrzebywał się Aaron; z szerokim uśmiechem podszedł do mnie, złapał za ramię i przywołał stojącą najbliżej kelnerkę. Miejmy nadzieję, że była pełnoletnia. Verena chwyciła moją rękę i śmiała się szeroko w innym kierunku. Popatrzyłem w tę samą stronę i spojrzałem bezpośrednio w obiektyw Dresslera. Błysnął flesz. Odwróciłem się.

– A pani mąż?

Dressler znalazł inną ofiarę. Zgasiła uśmiech i spochmurniała.

– W Madrycie. Przesłuchania przedłużają się. Tak, jak to bywa. – Przez sekundę gryzła się w wargę, następnie nagle wzięła mnie pod rękę. – A zatem dziś wieczorem nie odstąpię już pana na krok. Zakładając, że Sigrun się zgodzi.

– Verena – zacząłem i pod wpływem natchnienia pociągnąłem ją za rododendron. – Potrzebuję pani pomocy. Pilnie.

Żeby uczcić ten dzień, sięgnęła głęboko do swojej szkatuły z biżuterią. Kosztownie oprawione czarne perły przy płatkach uszu, gruby na palec wenecki złoty łańcuch wokół szyi, na nadgarstkach liczne bransolety

o ciężarze, który u nienawykłej do ich noszenia osoby tego wieczoru spowodowałby co najmniej zapalenie pochewki ścięgna. Gdzie tylko pożądliwie spoczęło moje spojrzenie, widać było co innego.

– Tak, słucham? – zapytała. Zapewne przyglądałem się jej nieco intensywniej, niż zamierzałem. Wziąłem jej prawą rękę, popatrzyłem na nią i złożyłem na niej pocałunek. Nie było to do końca *comme il faut*, ale było to coś, co damom w pewnym wieku sprawia prawdziwą przyjemność. Przy tym ukradkiem zerknąłem jej w dekolt, akurat na tyle długo, że mogła to zauważyć.

Ten trik nie był nowy, ale niezawodny. Zawsze działa. Verena uśmiechnęła się naraz, okazując zrozumienie bardziej, niżbym sobie życzył.

– Panie Vernau, Joachimie...

Nachyliłem się nad jej ręką.

– Potrzebuję tego pierścionka.

Wzdrygnęła się, jak gdybym oświadczył, że odrąbię go wraz z palcem. Najpierw spojrzała na inkrustowane szmaragdami monstrum, potem na mnie.

– Nie rozumiem.

Wciągnąłem ją jeszcze trochę głębiej w zarośla. Przy tym położyłem jej poufale rękę na ramieniu i zapewniłem ją, że jest jedyną osobą, której mogę się zwierzyć. Co w pewnym sensie było prawdą. Odniosłem wrażenie, że zadziałało to przynajmniej nieco łagodząco. Nie uciekła, krzycząc, ani nie zaalarmowała dozorczy.

– Zapomniałem o pierścionku. Sigrun urwie mi głowę. Dziś wieczorem to nie są zwykłe urodziny.

– Czyżby trzydzieste piąte? Czterdzieste? Okropna data. Robi się pod górkę, pod każdym względem.

Rzuciła tęskne spojrzenie w swój dekolt. Poszedłem w jej ślady, a ona uśmiechnęła się.

Wziąłem się w garść i dla odmiany spojrzałem jej głęboko w oczy.

– Nie potrzebuję prezentu urodzinowego. Potrzebuję czegoś odpowiedniego na zaręczyny.

– Zaręczyny! – wyrwało jej się. – Pańskie? Z Sigrun?

Instynktownie zaczęła rozglądać się za znajomymi twarzami, z którymi na gorąco mogłaby podzielić się nowościami.

– Oszaleje, jeśli nie będę miał dla niej pierścionka. Dojdzie do brutalnego mordu. Zostanę zanurzony w smołę, wytarzany w pierzu i przegnany z dworu.

– Skandal! – krzyknęła z błyszczącymi oczami, w których jakoś nie mogłem

dostrzec zrozumienia dla mojej sytuacji.

– To będzie egzekucja. Proszę mi tego nie robić.

Przywołała się do porządku i spojrzała na mnie surowo.

– Wie pan w ogóle, ile ten pierścionek jest wart?

– Dla mnie jest bezcenny. Ratuje pani nim życie.

Znów uniosłem ważniejszą dłoń do ust. Tym razem bez zagładania w dekolt. Kiedy ją opuszczałem, Verena zlustrowała szmaragdy z zagadkowym spojrzeniem.

– Sardynia. Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty. Eleonora.

Przepiękna robota. Kamienie lśniły w pełnym spektrum odcieni zieleni, były oprawione w nieco staromodny sposób, ale to sprawiało, że biżuteria jeszcze zyskiwała na wartości.

Verena wskazała na inne pierścienie na swoich dłoniach.

– Podróż w interesach do Gdańska, dziewięćdziesiąty drugi, Paulina. Rzym, osiemdziesiąty ósmy, Beatrice. Hotel zamkowy Cztery Pory Roku, Grunewald, osiemdziesiąty dziewiąty, Zofia. Urodziny Maksymiliana, osiemdziesiąty szósty. – Opuściła rękę.

Milczałem przez chwilę. No, nieźle.

– Ma pani jeszcze jednego syna? – spytałem.

– Ja nie – odpowiedziała. Uniosła rękę. – Wszystkie te pierścienie. I on do dzisiaj wierzy, że o niczym nie wiem.

Kwartet smyczkowy tuż obok nas grał Mozarta. W koronach drzew śpiewały ptaki, park rozświetlały bengalskie pochodnie. Inauguracja letniej uroczystości. Zaśmiała się nostalgicznie.

– Proszę, niech pan go weźmie.

Z trudem zdjęła pierścień z palca i położyła na mojej dłoni. Był ciepły i ciężki. Ze zdumieniem przyglądała się pustemu miejscu.

– Powinna je wszystkie zdjąć. Ale nie robię tego. Nie tylko mnie przypominają o jego wybrykach. Także jemu. Każdego dnia, każdej nocy. Do dzisiaj nie zdjęłam żadnego z nich. I żadnego nie wybaczyłam.

Wzięłam ją za rękę i popatrzyłem w oczy. Udało jej się mną wstrząsnąć. Zauważyła to. Za bardzo się odśloniła.

– Pójdziemy? – powiedziała nieco za głośno. – Wydaje mi się, że się zaczyna.

Puściłem ją przodem. Kilka kroków dalej dostrzegłem Utza, rozmawiającego cicho z dwoma ochroniarzami. Kiedy podszedłem, przywołali pokerowe

twarze i z zainteresowaniem przyglądali się kolorowemu zamieszaniu.

Utz rozejrzał się z zadowoleniem. Ogród wypełnił się, goście w wieczornym świetle spacerowali po trawnikach. Nigdzie nie było widać Waltera. Przypuszczalnie na górze bardzo, bardzo mocno trzymał za rękę baronową. Najpierw trzeba się było z tym uporać. Sto lat najdoskonalszego angielskiego chowu.

Dziewczęta w białych fartuszkach przenosiły przed sobą wypełnione mchem terakotowe skrzynki na kwiaty, w które jakiś dekadentki kucharz powbijał szaszłyki. Homarce, daktyle ze słoniną, sushi, kuleczki krabowe. Widziałem, że Aaron nie odstępował na krok smukłej jak topola hostessy.

– Doskonałe. Naprawdę doskonałe. – Dressler stanął za mną i mlaskał z pełnymi ustami. Zarezerwował tylko dla siebie jedną z dziewcząt wraz ze skrzynką na kwiaty.

– Cieszę się, że panu smakuje. – Chciałem go wyminąć, ale swoim wielkim brzuchem zagroził mi drogę.

– Na pewno kosztowało to wszystko niezłą sumkę. Dwustu gości, szampan, przystawki. W zasadzie to jest jeszcze coś ciepłego?

Wskazałem na namioty przy końcu parku.

– O ile jest jeszcze czas przed mowami?

– Na pewno, na pewno. – Wetknął sobie do ust śliwkę owiniętą w słoninę i popchnął ją sushi z tuńczykiem. – Skąd właściwie ta forsa? Budynek się wali, na ogrodnika nie możecie sobie pozwolić, ale świętujecie. Świętować możecie.

– Proszę bardzo – powiedziała hostessa i wyciągnęła w moją stronę skrzynkę na kwiaty. Pokręciłem głową. Chciała się oddalić, ale Dressler przytrzymał ją za rękaw i wziął jeszcze garść szaszłyków.

– Może na jeden wieczór zapomni pan o swoich troskach i będzie po prostu z nami świętował? – zaproponowałem. Najchętniej zabroniłbym mu wstępu do domu. Sigrun miała doskonałe stosunki z prasą. Ale ten człowiek wyraźnie posuwał się za daleko.

Dressler rzucił objedzone patyczki na trawnik.

– Przecież chyba można zapytać. O, przepraszam.

Wetknął pozostałe szaszłyki osłupiałej hostessie z powrotem do skrzynki. Następnie chwycił aparat i uwiecznił na zdjęciu Sigrun, urzędującego burmistrza, a także wydawcę jego gazety.

– Piękna mała uroczystość! – Urzędujący burmistrz wznosił kieliszek

szampana. – Wybaczą mi państwo, jeśli za kilka minut sobie pójdę.

– Zawsze na służbie. – Utz pokręcił głową z podziwem. – Ale zostanie pan chyba do naszej małej przemowy. Są nowiny.

Obaj uśmiechnęli się. Odkryliśmy Sigrun słuchającą z zapartym tchem znanego kolekcjonera sztuki, który w wąskim kręgu cichym głosem dawał bezcenne rady, w którego artystę należało teraz koniecznie inwestować.

– Wydaje mi się, że już są wszyscy.

– Afrykanie – szepnęła do mnie Sigrun w drodze ku podium. – Oni znów stają się modni! Mówiłam ci, że było błędem, że nie pojechaliśmy na Documenta.

– Masz katalog – przypomniałem jej.

– Ale nigdy do niego nie zajrzałam. A teraz stoję tam, wszyscy byli w Kassel, tylko ja jak głupia krowa...

– Musiałaś przeforsować nową ustawę dotyczącą przedszkoli, wyremontować szkoły Berlina i uchronić przed zamknięciem dwadzieścia cztery biblioteki.

– Dwadzieścia pięć.

Podniosłem ją trzy stopnie do góry. Orkiestra smyczkowa zmieniła swój repertuar z klasyki na swing i zagrała zaimprovizowany tusz. Utz podszedł do mikrofonu i dmuchnął w niego.

– Wielce szanowne panie, szanowni panowie. – Zrobił krótką przerwę. Pomruk rozmów ucichł. Wszyscy zwrócili się w stronę podium stojącego w środku ogrodu. Utz rozpostarł ramiona. – Drodzy przyjaciele!

Frenetyczny aplauz. Zwrócił się w naszą stronę i skinął do Sigrun.

– Trzydzieści osiem lat. Moja córka. Gdyby nie było to odnotowane w spisie deputowanych, nikt by w to nie uwierzył.

Sigrun zaśmiała się promiennie i radośnie, wszyscy zaśmiali się wraz z nią. Utz spoważniał.

– Jesteś największym szczęściem mego życia. I oddałbym wszystko, żebym nie musiał dziś wieczorem stać na tym podwyższeniu sam, lecz żeby była z nami także Regina. Byłaby z ciebie dumna. Wzięłaby cię w ramiona, moja mała, i powiedziała: Spójrz na mnie. Złego diabli nie wezmą. W wieku trzydziestu ośmiu lat wszystko dopiero się zaczyna!

Regina zmarła w wieku trzydziestu sześciu lat na raka piersi. Oczy Sigrun zaszkliły się. W ogrodzie zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– Jestem pewny, że siedzi tam teraz u góry i mamrocze: Człowieku, starcze,

zaczynajcie w końcu imprezę!

Sigrun śmiała się, kilkoro gości także. Utz obrócił się w stronę córki.

– Kochanie, podejdź tutaj. Dziś wieczorem chodzi o coś więcej niż tylko urodziny. Dzisiaj wieczorem świętujemy coś szczególnego. Coś, co ojciec, który ma tylko jedną córkę, może świętować tylko raz. A przynajmniej na jednym razie powinno się skończyć.

Serdeczny śmiech. Z podium można było lepiej mieć na oku wejście. Wszystko wyglądało normalnie. Wjazd był zastawiony limuzynami, obok których stali znudzeni kierowcy i palili papierosy. Przed wejściem do naszego mieszkania stał zaparkowany samochód policyjny. Nie było to niezwykle. Jednak kontrola przy wejściu została wzmocniona. Zamiast dwóch teraz stało przy bramie czterech ubranych na czarno muskularnych mężczyzn.

Utz przytulił Sigrun. Brawa. Oboje spojrzeli na mnie. Coś mi musiało umknąć, zrobiłem jednak to, co należało zrobić: z uśmiechem na ustach podszedłem do nich.

– Większość z was już zna Joachima Vernaua. Drogi Joachim... Kiedy Sigrun cztery lata temu powiedziała mi: Za tego chcę wyjść – nie uwierzyłem w jej słowa. W międzyczasie oboje udowodniliście, że się myliłem. Co oznacza: teraz bacz, kto się na zawsze łączy, nie odnosi się w żadnym razie do związku dwojga młodych ludzi. Raczej takiego między teściem a zięciem!

Położyłem rękę na ramieniu Sigrun. Patrzyła na mnie z błyszczącymi oczami. Wszystkie troski i niepokoje ostatniego okresu, odbijające się wcześniej na jej twarzy, teraz zniknęły. Była taka piękna w tym momencie.

– I dlatego – kontynuował Utz – chciałbym móc powiedzieć do ciebie coś więcej niż synu.

Nie rozumiałem.

– Partnerze!

– Tatusiu! – krzyknęła Sigrun i objęła go ze łzami w oczach. Goście bili brawo. Utz patrzył na mnie. Podszedłem krok bliżej.

– W przyszłości zatem Zernikow & Vernau. Zgoda?

Sigrun odwróciła się do mnie i wtuliła się we mnie. Wziąłem ją w ramiona i popatrzyłem ponad jej głową do ogrodu. Stała tam Milla.

Nie mam pojęcia, jak jej się udało wejść do środka. Stała w odległości około trzydziestu metrów od podium. Ludzie nie zwracali na nią uwagi. Wszyscy byli oczarowani podniosłą chwilą.

– Zernikow! – krzyknęła.

Wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę. Utz ostrożnie balansował tacą, na której stały trzy kieliszki szampana.

– Zernikow! – krzyknęła Milla jeszcze raz. Tłum rozstąpił się. Utz uniósł wzrok znad tacy i spojrzał na kobietę.

– Morderca! – krzyknęła.

– Cholera – wymamrotałem.

– Kto to jest? – spytała szeptem Sigrun. Spojrzałem w lewo, gdzie ostatnio widziałem Dresslera podczas opróżniania skrzynek na kwiaty. Już go tam nie było.

Milla podeszła bliżej. Miała przy sobie małą, ciemną torebkę. Zdjęła ją teraz z ramienia, otworzyła i zaczęła czegoś w niej szukać.

– Za wasze szczęście! – krzyknął Zernikow. – Za moją córkę! Za...

Zeskoczyłem z podium i próbowałem przedrzeć się do Milli. Usłyszałem Sigrun wydającą okrzyk i brzęczące szkło. W tym zamieszaniu zajęło mi kilka kosztownych sekund, nim znalazłem Millę. Złapałem ją za ramiona i wepchnąłem między zarośla.

– Co tu robisz? – zbeształem ją. – Zwariowałaś? Co tu masz?

Wyrwałem jej torebkę i wysypałem zawartość na ziemię. Grzebień, tania szminka, mała portmonetka. Kartka.

– Powinien ją podpisać! – Znów ruszyła do przodu. Zdołałem ją przytrzymać za przegub do chwili, gdy pojawiło się przy nas trzech ochroniarzy.

Milla szalała.

– Zernikow! – wrzeszczała. – Pokaż się. Morderca!

– Proszę jej zamknąć usta! – poleciłem strażnikowi, który właśnie próbował ją poskromić. Jedna z hostess upuściła skrzynkę na kwiaty i rzuciła się do ucieczki.

– Ona ma broń! – wrzasnął ktoś. Ostatni świadkowie rozpierzchli się na wszystkie strony, byle dalej od miejsca zdarzenia.

– Morderca! – krzyczała Milla.

– Zrób coś człowieku, żeby zamilkła!

Strażnik uniósł broń i uderzył rękojeścią Millę w głowę. Wierzgnęła nogami i zwiotczała.

– Ale nie tak! – wrzasnąłem.

– Można to zrobić tylko tak – odpowiedział spokojnie strażnik.

Pojawiło się dwóch policjantów. Milla została odprowadzona albo, mówiąc bardziej precyzyjnie, odciągnięta. Zmroziło mnie. Z trudem unosiłem ręce,

żeby przesunąć nimi po oczach. Poszedłem za grupką. Milla była akurat umieszczana w samochodzie policyjnym.

Zjawiała się Sigrun.

– Co to było?

Bezpośrednio za nią jej obaj ochroniarze szybkimi spojrzeniami lustrowali wierzchołki drzew i teren pod samochodami.

Jeden z policjantów zabrał przedmioty należące do Milli i podał koledze. Rozpoznałem go. Obrońca praw kobiet.

– Czy ktoś poza tą panią został ranny albo poszkodowany?

– Nie... nie – wydukała Sigrun. – Kim ona jest?

Starszy posterunkowy numer jeden popadł w kłopoty. Ja zresztą też.

– Milla Czeredniczenkowa. Ukrainka. – Popatrzył na mnie. Kiedy nic nie powiedziałem, zwrócił się do Sigrun. – Pewnie miała coś przeciwko waszym zaręczynom. Czy chce pani złożyć doniesienie?

Sigrun wpatrywała się w samochód policyjny, z którego otwartych drzwi wystawały nogi Milli. Z daleka dochodził przytłumiony odgłos syreny. Przy wejściu do ogrodu tłoczyli się ciekawscy, byli jednak trzymany na dystans.

– Czy chce pani złożyć doniesienie? – zapytał jeszcze raz starszy posterunkowy numer jeden.

Sigrun obróciła się powoli.

– Milla Czeredniczenkowa? – zapytała mnie.

Przytaknąłem.

Starszy posterunkowy niecierpliwie przyklepał dokument tożsamości na swojej dłoni.

– Dokładnie. Pani, którą ostatnio spotkaliśmy w pani mieszkaniu.

– W... moim mieszkaniu?

Starszy posterunkowy numer jeden zwietrzył, że został wybrany przez los, by zreferować nieświadomym zdradzającym potworne niegodziwości. Czynił to z wyraźną przyjemnością.

– Dama ta twierdziła, że pan Vernau obietnicą ślubu zwabił ją do Niemiec. Doszło do niewielkiej sprzeczki i rękoczynów.

– Obietnicą ślubu? – Sigrun mogła już tylko powtarzać. Zrozumieć nie była w stanie. Chciałem uspokajająco położyć jej rękę na ramieniu, jednak szybko cofnęła się o krok.

Starszy posterunkowy patrzył ze współczuciem.

– Proszę posłuchać, nie jesteśmy tu po to, aby rozwiązywać państwa

przedmażeńskie problemy. Wyjaśnijcie to między sobą. Ja chcę tylko dowiedzieć się, czy chce pani złożyć doniesienie.

Karetka pogotowia skręciła za rogiem. Wyjąca syrena zaalarmowała także resztę ulicy, że u Zernikowów coś się dzieje.

– Doniesienie – wymamrotała Sigrun. Odetchnęła głęboko. – Jasne. Proszę je odnotować. Naruszenie miru domowego, czynny atak, zakłócenie ciszy nocnej, zniewaga. No tak, czynny opór i wszystko. I proszę ją zabrać. Jak najdalej.

Wyprostowana i zdrętwiała przeszła obok gapiów i weszła do domu. Rozbłysły flesze. Domyślałem się, że z takiego rodzaju rozgłosu Sigrun chętnie by zrezygnowała.

Dwaj sanitariusze przynieśli nosze i ustawili je przed samochodem policyjnym. Następnie wydobyli z niego Millę. Starszy posterunkowy numer jeden wyciągnął, jednak teraz raczej niepewnie, swój notatnik.

– Bardzo mi przykro. Ale skoro pani von Zernikow tak mówi...

– Zernikow – powiedziałem. – Bez von.

Zostawiłem go i podszedłem do Milli. Akurat odzyskała przytomność. Kiedy mnie zobaczyła, uśmiechnęła się. Jednak następnie zauważyła, że ma założone kajdanki. Szarpnęła się.

– Zapomniałeś o mnie i oszukałeś mnie, Jo-jo – wysyczała. – Trzy razy o ciebie pytałam, a ty się nie zgłosiłeś.

Nachyliłem się w jej stronę. Nie było powodu, żebym był dla niej szczególnie miły.

– Gdzie niby miałbym się zgłosić? Okłamałaś mnie. Nie mieszkasz w parafii. A twoja matka nie żyje. Prowadzisz jakąś grę, a ja nie mam zamiaru grać z tobą.

Sanitariusz podszedł do nas.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał.

– Nie, wcale nie – odparła.

– No jasne – mruknął i poszedł do swoich kolegów.

Tłum zaczął się powoli przeredać. Tylko Dressler stał jeszcze przy bramie do ogrodu i od czasu do czasu pstrykał fotkę.

– Moja matka nie zmarła. Zapytaj Utza o krzyż. Wtedy sobie przypomni. A jeśli tego nie robi, przysięgam, że mu w tym pomogę.

– Koniec zabawy! – Sanitariusz bez ceregieli przypiął Millę pasami do noszy i wsunął ją do karetki. Niechętnie pogodziła się z tym. Jednak nim

zamknęły się drzwi, krzyknęła jeszcze:

– Krzyż! Powiedz mu!

Poszedłem do parku, by poszukać Sigrun i Utza. Sigrun nie znalazłem. Utz stał sam za namiotem i trzymał w rękach pusty kieliszek. Podeszedłem, ale nie obrócił się w moją stronę.

– Kto to był? – zapytał.

Dostrzegłem stół z kieliszkami obok wejścia do namiotu. Wziąłem jeden i nalałem sobie z butelki, która leżała nietknięta w jednej ze srebrnych mis.

– Nie wiesz czy nie chcesz wiedzieć?

– Nie było jej na liście gości. To się przytrafia z ludźmi, którzy nie są zaproszeni.

– Krzyż, Utz. Chciała, żeby ci przypomnieć o krzyżu.

Obrócił się powoli i spojrzał na mnie. Nie musiał niczego mówić. Mogłem wyczytać odpowiedź z jego twarzy.

– Ona żyje, Utz. Natalia Czeredniczenkowa żyje. Otwórz w końcu drzwi.

Kieliszek rozbił się z trzaskiem na drewnianej podłodze. Utz bez słowa obrócił się i odszedł.

Goście stali w grupkach i zastanawiali się, czy zaręczyny odbyły się, czy też nie. Nie wspominając o partnerstwie w kancelarii. Muzycy postanowili unisono, by nie grać ostatniego walca, i wycofali się. Smutni kucharze nakrywali potrawy pokrywkami i gasili palniki. Z tyłu w namiocie dziewczęta wyciągały szaszłyki ze skrzynek na kwiaty i wyrzucały. Jedna z nich sprawiała wrażenie wytarמושzonej, jej włosy rozsypały się, szminka na ustach była roztarta. Emanowała sennym zadowoleniem: gdzie Aaron zdołał ją zaciągnąć do łóżka?

To, że Marie-Luise odebrała, było nagrodą za nieustępliwość. Po dwunastym dzwonku usłyszałem w końcu jej głos:

– Wszystko jedno, kim jesteś, odczep się, to nie jest ważne.

– Milla została aresztowana.

– A kim, do diabła, jest Milla?

Wcisnąłem się za worki ze śmieciami i wyjaśniłem jej powagę sytuacji tak krótko i precyzyjnie, jak tylko umiałem.

– Jej córka? – Marie-Luise zdawała się bardzo rozbawiona. – Na waszym party? Szacunek.

– Potrzebuje adwokata. Sigrun na pewno wycofa doniesienie, ale z pewnością nie dziś w nocy.

– Piękny prezent zaręczynowy – zauważyła. Następnie pozwoliła sobie wyjaśnić, na który posterunek policji Milla została odwieziona.

– Czy ona ma ważne dokumenty i wizę?

– Zakładam, że tak.

– W takim razie za godzinę powinna wyjść.

Obiecała, że się odezwie. Schowałem telefon do kieszeni i udałem się na poszukiwania mojej w połowie zaręczonej narzeczonej.

Znalazłem ją w końcu w sypialni. Siedziała w ciemności z podwiniętymi nogami na łóżku, naciągnęła na siebie kołdrę i paliła papierosa. Ani mi do głowy nie przyszło, żeby jej tego zabraniać. Nie powiedziałem też nic, widząc, że używa mojej srebrnej miseczki na spinki do mankietów jako popielniczki. Ledwie zgasła papierosa, od razu zapaliła następnego. Odblask zapalniczki na jej twarzy migotał. Tusz do rzęs rozmazał się. Płakała.

Jeszcze nigdy nie widziałem, by Sigrun płakała.

– Czy do czegoś doszło? Między tobą i Rosjanką?

– Ukrainką – powiedziałem cicho.

– Cholera, jest mi wszystko jedno, skąd pochodzi. Wszystko popsuła. – Zaszlochała i starła sobie łzy z twarzy. – Przed wszystkimi ludźmi. Jeszcze nigdy nie zostałam tak upokorzona. W obecności mojego ojca, prasy, burmistrza. To było takie straszne. W zasadzie mogę sobie już tylko odebrać życie. – Głośno pociągnęła nosem i przez nieuwagę strzepnęła popiół na pościel. – Jutro mam posiedzenie w Izbie Deputowanych.

Milczeliśmy. Nie mogłem jej teraz powiedzieć, że są gorsze rzeczy od wykonywania swojej pracy po nieudanym przyjęciu.

– Czego ona w sumie chciała? To znaczy, poza chęcią zgłoszenia swoich pretensji do ciebie.

– Tego nie zrobiła – powiedziałem.

– A teraz jeszcze będziesz jej bronił.

– Chciała publicznie zmusić twojego ojca, żeby przyznał, że jej matka pracowała w waszym domu, świadcząc pracę przymusową.

Sigrun patrzyła na mnie, robiąc wielkie oczy.

– Pracę przymusową? – zapytała. – Jaką pracę przymusową? Wszystkie te dziewczyny mają przecież porządne umowy.

– Nie ta dziewczyna. Była opiekunka do dziecka twojego ojca. Była robotnicą przymusową. Podczas wojny.

– Podczas wojny – powtórzyła Sigrun. – A co ja mam z tym wspólnego?

W ostatniej chwili podłożyłem miseczkę na spinki do mankietów pod spadający popiół.

– Obawiam się, że nie chodzi jej o ciebie. Chce podpisu Utza albo twojej babci. Dopiero wtedy będzie mogło zostać wypłacone odszkodowanie z funduszu odszkodowawczego.

– O mój Boże.

– Porozmawiaj z ojcem. Ciebie posłucha. Ten podpis to nie jest przecież wielkie nieszczęście. Ta kobieta dostanie swój świstek, wyjedzie i wszystko znów będzie w porządku.

– W porządku? – szepnęła Sigrun ochryple. – Są wybory. Dziś wieczorem wśród dwustu gości było stu dziewięćdziesięciu dziewięciu, którzy tylko marzą, by mnie rozszarpać na strzępy. W porządku? Czy nie zauważyłeś, że kancelaria ojca wcale nie prosperuje tak dobrze? Nie słyszałeś, że ostatni wielcy klienci wymierają? I to nazywasz w porządku?

Wstałem i rozebrałem się.

– Nie wiem, dlaczego taki podpis miałby wam tak bardzo zaszkodzić. Naprawiacie dawny błąd. To, co zrobili kiedyś Siemens, Mercedes i Krupp, co mógł zrobić nawet Flick, to samo moglibyście przecież i wy.

W słabym blasku zapalniczki dostrzegłem twarz Sigrun. Po raz pierwszy, od kiedy ją znałem, sprawiała wrażenie obcej.

– Nie rozumiesz mnie – powiedziała.

Nagle zacząłem się bać. O nas. O to, czym byliśmy. Między dwoma zaciągnięciami się papierosem odrzuciła kołdrę. Z trudem wystawiła nogi poza krawędź łóżka i zdjęła buty.

– Okej, Książę Waleczny. W takim razie powiedz mi, co wydarzyło się w tym mieszkaniu. O odważnym obrońcy porsche możemy już chyba zapomnieć.

Krótko streściłem jej wydarzenia i nie przemilczałem, że poinformowałem o tym jej ojca. Wstała i zaczęła się rozbierać. W międzyczasie moje oczy przyzwyczyły się do ciemności. Mogłem dostrzec jej sylwetkę na tle rozsuwanych drzwi garderoby i trudności, jakie miała przy zrzucaniu z siebie kostiumu, bluzki, jedwabnych pończoch i bielizny bez wyjmowania palącego się papierosa z ust.

Zadzwoił mój telefon. Marie-Luise.

– Siedzi obok mnie. Zawiozę ją teraz do jej hotelu. Moglibyśmy zobaczyć się w poniedziałek wieczorem?

– Tak – odpowiedziałem i przerwałem połączenie.
– Kto to był? – spytała Sigrun.
– Koleżanka – powiedziałem. – Milla znów jest na wolności.
– W takim razie miejmy nadzieję, że nie zjawi się tutaj ponownie nocą.
Włączyła lampkę na nocnym stoliku i wysunęła szufladę. Natychmiast
poznałem ciche kliknięcie. Odbezpieczyła pistolet.
– Daj sobie z tym spokój – powiedziałem.
Z hukiem zamknęła szufladę i zgasiła światło.
– Nie masz prawa mówić mi, co mam robić, a czego nie powinnam.
I ostrzegam cię. Moja szuflada jest dla ciebie tabu.
Leżeliśmy obok siebie, ale nie poruszaliśmy się. W półśnie słyszałem, jak
gdzieś rozszczękał się pies. Szczęknęła zapalniczka i przez kilka sekund za
moimi zamkniętymi powiekami zarzyło się światło. Sigrun paliła papierosa.
Jednego za drugim. Następnie usłyszałem, przez grube drewniane belki
i kasetonowy sufit, kroki. Z kąta w kąt. W tę i z powrotem. Ktoś w tym domu
nie mógł spać tak samo jak my. W naszej sypialni tym, co nie pozwalało nam
zasnąć, był strach przed przyszłością. W pokoju nad nami – strach przed
przeszłością.

Rozdział 16

W poniedziałek odczułem, że coś się zmieniło.

Walter uklonił mi się tylko uprzejmie, a potem szybko złapał za telefon. Wbiegałem na górę, biorąc po dwa stopnie naraz. Najwyraźniej Walter ostrzegł Harry'ego, który, kiedy dotarłem na korytarz, właśnie opuszczał moje biuro.

– Dzień dobry! – rzuciłem w jego stronę.

Nie zatrzymał się, bez słowa poszedł dalej. Postanowiłem, że rozmówię się z nim później. Zamknąłem drzwi i rozejrzałem się dokładnie. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało po staremu. Ale umiałem dodać dwa do dwóch. Harry nigdy nie pojawiłby się dobrowolnie za pięć siódma w kancelarii. I z całą pewnością nie weszłyby w biurze kolegi.

Przekartkowałem akta. Córka aktora, kilka spraw podatkowych, rozliczenia i notatki. Wyjąłem moje klucze, by otworzyć biurko. Było otwarte.

Oczekiwałem, że nie znajdę przypadku przeniesienia zwrotnego. Jednak wszystko leżało starannie poukładane w teczkach i koszulkach. Czego, do diabła, szukał Harry?

W domu było wystarczająco cicho, by z dużej odległości usłyszeć gong zegara. Zamknąłem wszystko i poszedłem do Utza.

Widząc go, przeraziłem się nie na żarty. Nigdy nie uwierzyłbym, że to możliwe, ale on naprawdę w ciągu jednej nocy postarzał się o całe lata. Żywe barwy jego twarzy nagle zostały wyparte przez chorobliwą szarość. W milczeniu wskazał mi krzesło przed biurkiem. Jego ręka lekko drżała.

– No tak – zaczął i chrząknął. W jego głosie dało się słyszeć ochrypy falset wieku. – Przynajmniej była to uroczyść, o której się mówi.

Wskazał na poranne gazety.

Na szczęście nie pisano o nas na pierwszych stronach. Stosowne informacje można było znaleźć w rubrykach W Berlinie, Plotki z miasta, Barwne życie lub Pssst! Wydzwięk był wszędzie ten sam: zaręczyny pani senator nie udały

się, bo pojawiła się druga kobieta jej narzeczonego. Już otwierałem usta, by zadeklarować moją niewinność, kiedy zapytał:

– Jak Sigrun to znosi?

– Źle – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Utz złożył gazety i starannie umieścił je w koszu na papierach.

– Wygląda na to, że powinienem ci podziękować. Mogła się z tego zrobić bardzo nieprzyjemna sytuacja. Wszystkiego tego... niegodna. Ale wątpliwości pozostają. To rzeczywiście ona? Są na to jakieś dowody?

Przygarbiony, ciężkim krokiem podszedł do okna. Przez długą chwilę wpatrywał się w ogród.

– Jaką grę ze mną prowadzisz?

– Słucham? – zapytałem.

Obrócił się w moją stronę.

– Jaką grę ze mną prowadzisz? – powtórzył.

Dopiero wtedy zrozumiałem.

– Żadnej. Nie chcę cię szantażować ani niczego przed tobą nie ukrywam. – Mówiłem powoli i miałem nadzieję, że moje słowa brzmią na tyle szczerze, że nie pozostanie mu nic innego, jak mi uwierzyć. Że dostrzeże, jak absurdalne było podejrzewanie mnie o knucie intryg z Millą.

Utz podszedł chwiejnym krokiem do swojego fotela i usiadł w nim ciężko. Zasłonił twarz dłońmi i niespodziewanie zapłakał. Tego było już za wiele. Dwoje członków rodziny Zernikow zalanych łzami w ciągu dwudziestu czterech godzin? Brakowało tylko szlochającej baronowej. Zajrzałem szybko do wykusza. Był pusty.

– Natalia Czeredniczenkova nie żyje. Została stracona w Berlinie.

Usiadłem i spojrzałem na niego. Czas na spowiedź.

– Załatwiła na czarnym rynku lekarstwa. Dla mnie. Miałem dyfteryt. Gdyby nie ona, dawno bym nie żył. Oddała za nie swój krzyżyk. Taki mały, złoty. Jedyna cenna rzecz, jaką miała.

– W takim razie nie mogę pojąć, dlaczego nie możesz zdobyć się na to, żeby podpisać to zaświadczenie.

– Boże drogi! Nie słyszysz? Ona nie żyje! – Utz patrzył na mnie gniewnie. – Zmarła w czterdziestym czwartym, mając czternaście lat. Nie umiesz liczyć? Nawet gdyby wcześniej urodziła córkę, to ile musiałaby mieć teraz lat?

– Jesteś absolutnie pewny, że nie żyje?

Utz zbladł jeszcze bardziej. Z wysiłkiem podniósł się, otworzył sejf

i wyciągnął z niego ciemną kopertę. Z jej wnętrza wyjął kartkę. Była stara, pożółkła, często składana. Oryginał. W nagłówku było widać orła Rzeszy, pod nim gotyckimi literami: *Trybunał Specjalny*.

Było to powiadomienie skierowane do Irene von Zernikow, urodzonej baronowej von Hollwitz, że 15 listopada 1944 roku o godzinie 5.42 wykonano karę śmierci na Natalii Czeredniczenkowej.

– A zatem – szepnął – powiedz mi: kim jest kobieta, która podaje się za jej córkę?

Wpatrywałem się w dokument. Nagle zrozumiałem stoicką odmowę, ból, złość, wszystko to, co wyczuwałem u niego, a czego nie rozumiałem wcześniej.

Martwe nie rodzą dzieci.

– Nie wiem – powiedziałem. – Ale obiecuję ci, że się tego dowiem.

Odkryłem ciemną stronę Zernikowów. To znaczyło: przynależałem do nich. Byliśmy jedną rodziną.

– Przyprowadź do mnie tę kobietę – powiedział Utz za moimi plecami. – Chcę z nią porozmawiać.

Bogu dzięki, że nie miałem przy telefonie lunatyczki. Młody mężczyzna próbował wielokrotnie połączyć mnie z pokojem Milli, ale nie udało nam się jej zastać. Poprosiłem go, by sprawdził jej pokój. Coś w moim tonie skłoniło go, żeby rzeczywiście to zrobić. Powiedział mi, że przypuszczalnie w ogóle jej tam nie było, ponieważ łóżko pozostało nienaruszone. Wsiadłem do porsche i popędziłem na Meinekestrasse.

– Nie mogę pana wpuścić – powiedział. Przed nim leżało naukowe opracowanie z dziedziny fizyki teoretycznej. – Jestem tylko pomocą studencką.

– Jestem tutaj na zlecenie parafii Maria Hilf – powiedziałem tak łagodnie, jak tylko umiałem. – Pomyliła swoją Biblię z egzemplarzem proboszcza, w którym znajdują się notatki wielebnego dotyczące jutrzejszego kazania. To sytuacja awaryjna.

– Proszę pokazać mi pański dowód tożsamości – zażądał ekspert od cząstek elementarnych: sam najchętniej rozłożyłbym go na owe pojedyncze cząstki. Oceniał mój zabezpieczony przed fałszerstwami dokument tożsamości i dał mi z ciężkim westchnieniem klucz.

Pokój Milli wyglądał na niezamieszkały. W szafie na ubrania znalazłem jej

skromny dobytek. Dwa swetry, džinsy, trochę bielizny. Dwie sukienki. Przeszukałem kieszenie spodni, nie znalazłem jednak niczego poza gumą do żucia zawiniętą w papierek. Wszedłem do łazienki.

Ręczniki wisiły, suche i schludne, na swoim miejscu. Pomijając szczoteczkę do zębów i mały słoiczek kremu, nie znalazłem tutaj niczego osobistego.

Sprawdziłem zawartość szuflady stolika nocnego. Nowy Testament po niemiecku, angielsku i francusku. Świeczka na wypadek braku prądu. Walizkę odkryłem pod łóżkiem. Pusta. Żadnego notesu, żadnego podwójnego dna z ukrytymi sfałszowanymi dokumentami. Torebki ani żadnej wskazówki, gdzie mogłaby być, też nie znalazłem. Obok telefonu leżał zwykły blok i ołówek.

Marlowe wziął ołówek i szybkimi ruchami delikatnie zakreskował papier. Na kartce pojawił się numer telefonu. Niezrównany detektyw był z siebie dumny. Kreskował dalej. Numer telefonu wydał mu się znajomy. Marlowe wybrał numer.

– Tak, słucham? Kto mówi?

Znałem dwie osoby, które z czterech słów potrafiły zrobić teatralną scenę. Jedną z nich była słynna aktorka Zarah Leander. Drugą miałem w tym momencie przy telefonie. Rozłączyłem się.

Wyrwałem kartkę i schowałem ją do kieszeni. Młodemu człowiekowi wcisnąłem do ręki dwadzieścia euro i poprosiłem, żeby do mnie natychmiast zadzwonił, gdyby miał jakieś nowe informacje.

– Ale o osiemnastej przychodzi zmiana nocna – powiedział.

Dałem mu jeszcze jeden banknot, żeby przekazał wiadomość także koledze.

Złapałem Marie-Luise, dzwoniąc na jej komórkę w czasie wydawania posiłków w kantine sądowej.

– Zawiozłaś Millę do hotelu? – zapytałem.

– Nie – odpowiedziała – proszę bez sosu myśliwskiego. Bez frytek. Tak, naturalnie, przecież ci to powiedziałam.

Usłyszałem dzwonienie zastawy i pogodną konwersację w czasie przerwy.

– Solone ziemniaki, chętnie. Dlaczego?

Czekałem, aż zapłaci. Następnie wyjaśniłem jej, że nie udało mi się skontaktować z Millą.

– A ostatniej nocy nie spędziła w swoim hotelowym pokoju.

– Na pewno się pojawi – powiedziała Marie-Luise. – Poza tym jestem teraz głodna. A sznycel po myśliwsku na pewno nie robi się lepszy, kiedy się go je na zimno. A zatem do dziś wieczorem. Pasuje ci ósma? W lokalu

Schimmelreiter za mostem Gotzkowsky'ego.

– Co zamierzasz?

– Mam zamiar doprowadzić do porządku twój stan wiedzy. Wydaje mi się to konieczne.

– A Milla?

– Zgłoś zaginięcie. Najlepiej u tego żartownisia z wczoraj, który ją aresztował. W pierwszej kolejności będzie jej szukał pod twoim łóżkiem. Jeśli w ogóle.

Rozłączyła się, zanim zdążyłem życzyć jej smacznego.

Poszedłem do Harry'ego i wkroczyłem do jego pokoju bez pukania. Akurat rozmawiał przez telefon i spojrzał zdumiony, kiedy nagle przed nim stanąłem. Wyjąłem mu słuchawkę z ręki i odłożyłem ją.

– Ej! Co to ma znaczyć?

– Co to było dzisiaj rano w moim biurze?

– Co?

Obróciłem jego krzesło w moją stronę i usiadłem na krawędzi biurka.

– To małe przeszukanie pokoju. Bardzo mi przykro, mój drogi, ale widziałem cię.

Twarz Harry'ego ściągnęła się w zdradzającym winę grymasie.

– Szukałem czegoś do pisania.

– Do pisania. Tak. Co jeszcze mogłoby to być? Papier do kserokopiarki?

Niestety, nie mam. Jest u Connie.

Patrzył na mnie jak na objawienie Maryi Panny. Następnie potrząsnął głową. Wysunął szufladę biurka i wyjął z niej długopis, który mi podał.

– Proszę. Przepraszam cię. To się nigdy więcej nie zdarzy.

Rzeczywiście należał do mnie. Schowałem go do kieszeni.

– Czy to wszystko?

– Joachim! Nie wiedziałem, że potraktujesz to tak osobiście. Przepraszam cię.

Brzmiał szczerze z dokładnie taką szczyptą cichego oburzenia, jaką demonstrowali niesłusznie podejrzani. Przynajmniej tak długo, dopóki nie udowodniło się im czegoś przeciwnego. Wstałem.

– Następnym razem po prostu spytaj.

Celowo przewróciłem mały skórzany futerał, w którym tkwiło około dwunastu pisaków. Potoczyły się po podkładce do pisania. Spojrzał na nie, jak gdyby wydarzył się właśnie drugi cud.

Z Harry'ego nie dało się nic więcej wydobyć. Milla zniknęła. Sigrun aktualnie stawiała czoła szeptom i plotkom. Utz szukał spokoju duszy. Chwilowo nie mogłem nic zrobić.

Zadzwoiłem do swojej matki. Chciałem tylko usłyszeć jej głos. Ale jej nie było w domu.

Rozdział 17

Schimmelreiter chwalił się na zewnątrz doskonałą kuchnią. Na płycie były wypisane białą kredą absolutne hity okolicy: golonka, rolada wołowa, kotlety mielone. Dwa stopnie prowadzące do wejścia flankowały białe donice na kwiaty z plastiku. Z wnętrza przedzierało się słabe światło. W oknach ciemniały karmelowobrązowe szyby, przed nimi sterczały jaskraworóżowe róże obok intensywnie żółtych słoneczników.

Na długim barze stała skarbonka w formie żagłowca, świnki i popielniczki w olbrzymich ilościach, i kolejne kompozycje ze sztucznych kwiatów. Za kontuarem niska, pulchna kobieta nalewała piwo. Spojrzała na mnie w górę, ale ja tylko pozdrowiłem ją pośpiesznie i próbowałem wypatrzeć w półmroku Marie-Luise.

Z ośmiu stołów trzy były zajęte. Przy dwóch grano w karty. Przy trzecim siedział starszy mężczyzna, który akurat dał czułego kopniaka jeszcze starszemu psu siedzącemu pod stołem.

– Szuka pan kogoś? – zapytała gospodyni, na co wszyscy odwrócili głowy i zagapili się na mnie.

Usiadłem przy barze.

– Jestem umówiony.

Mała kobieta kiwnęła głową.

– Piwko?

– Chętnie.

Znów zajęła się nalewaniem.

– Już czas, żeby spadł deszcz. Ten upał. To jest nie do wytrzymania.

Drzwi otworzyły się, Marie-Luise wpadła do środka. Za nią weszła kobieta w średnim wieku, która najwyraźniej musiała być tutaj dość dobrze znana. Ze wszystkich stron odpowiedziano na jej słowa powitania, mała kobieta wytoczyła się z baru i wzięła ją w ramiona.

– Ekaterina Mahler – przedstawiła mi kobietę Marie-Luise.

Podałem jej rękę. Miała czterdzieści kilka lat, sięgające ramion ciemne włosy, twarz bez makijażu i drobne zmarszczki śmiechowе wokół oczu. Uścisk jej dłoni był mocny i suchy.

– Chodź, usiądziemy tam.

– Mieszkam za rogiem – wyjaśniła Ekaterina. Gospodyni przyniosła moje piwo, obu paniom z własnej inicjatywy wodę mineralną i herbatę miętową.

– Chcecie coś zjeść? – zapytała.

– Raczej nie – odpowiedziała Marie-Luise. Także Ekaterina potrząsnęła głową.

– A pan? Nasze rolady wołowe są rewelacyjne.

W zasadzie było za gorąco na rolady. Jednak nie chciałem jej odbierać radości. Skinąłem. Gorliwie zapisała zamówienie w małym notesiku i poszła sobie.

Ekaterina uśmiechnęła się do mnie.

– Jak słyszę, interesuje się pan losem deportowanych opiekunek do dzieci w czasach Trzeciej Rzeszy?

To by było dla mnie coś nowego, chciałem powiedzieć. Jednak przytaknąłem. Dowiedzenie się czegoś na ten temat nie mogło mi zaszkodzić. Może mógłbym dzięki temu łatwiej zdemaskować Millę.

– Mój przyjaciel miał ostatnio wizytę pewnej pani, która twierdziła, jakoby pracowała jako robotnica przymusowa u rodziny.

Ekaterina przytaknęła.

– Jedna z około stu sześćdziesięciu tysięcy.

Byłem zdumiony. Dotąd wydawało mi się, że Natalia to szczególnie przypadek.

– Żebyśmy się błędnie nie zrozumieli – powiedziałem. – Mówimy o opiekunkach do dzieci. Nie o robotnicach przymusowych w fabrykach albo w rolnictwie.

Ekaterina przytaknęła.

– To nie nieporozumienie, lecz prawda. Te dziewczęta, często same będące jeszcze dziećmi, przyjeżdżały do Niemiec transportami z Polski i z Ukrainy. Niemieckich pomocy domowych już nie było, wszystkie kobiety i dziewczęta pracowały w przemyśle zbrojeniowym. Wielodzietne rodziny, ale także rodziny wysokich funkcjonariuszy partyjnych korzystały z pomocy robotnic ze Wschodu.

– I jak to funkcjonowało? – zapytałem. – Czy one mówiły po niemiecku?

Były wykształcone?

– Ależ skąd. Miały być tylko młode i silne, by mogły dużo pracować.

Ekaterina wyjęła chusteczkę i porządnie wysmarkała nos.

– Katar sienny – powiedziała przeprasząc. – Do czterdziestego drugiego roku wiele przyjeżdżało jeszcze dobrowolnie. Obiecywano im łatwą pracę i stałą pensję. Nie dotrzymano tych obietnic. Kiedy przestały się zgłaszać dobrowolnie, były wyłapywane. W drodze do szkoły, w kościele. Wywożono całe klasy szkolne. Kiedy tu przybywały, miały buty z cholewami, grube kurtki i plecak. Spędzano je dziesiątkami, żeby niemieckie kobiety mogły sobie wybierać pomocnice.

– Jak na targu niewolników – dodała Marie-Luise.

Ekaterina przytaknęła.

– Często nie zachowywały nawet swojego imienia. Dla jaśnie państwa było łatwiejsze nazywanie służącej zawsze tylko Anna lub Marie, zamiast ciągle uczyć się nowych imion.

– To jak u pewnego rodzaju mężczyzn. W ich wypadku kobieta zawsze ma na imię „skarbie”.

Jeśli Marie-Luise miała zamiar dalej komentować każde słowo Ekateriny, to marne szanse, żebyśmy daleko zaszli.

– A zatem przyjeżdżały, były rozbierane, odwszawiane, fotografowane. Pobierano im odciski palców i od razu nadawano nowe imię. Często nie mówiły ani słowa po niemiecku, ale szybko się uczyły. Po wojnie niemal wszystkie znów zapomniały niemieckiego. Zachowały w pamięci jedynie „ruska świni” i „na ziemię”.

Ekaterina ostrożnie wyjęła torebkę herbaty ze swojej szklanki i popatrzyła na mnie uważnie. Chyba chciała zobaczyć, jakie wrażenie zrobiły na mnie jej słowa. Marie-Luise nieco jej pomogła.

– Ekaterina zna te kobiety. Jeździ kilka razy do roku na Ukrainę i próbuje pomóc tym, które miały tak samo miłych państwa jak twoja rodzina Zernikow.

Spojrzałem na Ekaterinę, czy to nazwisko coś jej mówi. Ale nawet jeśli je znała, nie dała tego po sobie poznać.

– Prowadzę kwerendę – powiedziała łagodnie.

Byłem jej wdzięczny za miły, przyjazny sposób rozmawiania ze mną. Zupełnie inny niż u Marie-Luise, która najwyraźniej znów podjęła trop swojego wroga.

– Zaczęło się niewinnie. Kiedy odwiedzałam moich rodziców w Kijowie,

pewna kobieta poprosiła mnie, żebym poszukała rodziny, u której pracowała podczas wojny. Miałam szczęście. Rodziny nie znalazłam już w Berlinie. Ale dziecko tak.

Zaśmiała się.

– On miał prawie siedemdziesiąt lat. Kiedy opowiedziałam mu o kobiecie z Kijowa, zaczął płakać. Nigdy o niej nie zapomniał. Ale nie wiedział już, jak się nazywała i co się z nią stało. Napisali do siebie, a w ubiegłym roku nawet się spotkali. To było piękne.

Ekaterina znów się wysmarkała.

– Ale nie wszyscy tacy są. Jest wielu, którzy nie chcą o tym pamiętać albo nie mogą. Sprawcy nie żyją, ich dzieci stały się starymi ludźmi. Tak to jest.

– Nie zapomniał jej? – spytałem.

Gruba gospodyni przyniosła rolady. Pachniały wspaniale i były gigantyczne.

– Niech pan spokojnie je – poprosiła Ekaterina. – Mogę przecież opowiadać dalej, jeśli to panu nie przeszkadza.

Przytaknąłem z pełnymi ustami. Rolady były wyśmienite.

– To prawdopodobnie najbardziej zdumiewający rozdział tego mrocznego czasu – zaczęła – że w warunkach straszliwej nędzy rodziło się coś, co...

Spojrzała na Marie-Luise. Ta kiwnęła głową i Ekaterina kontynuowała:

– ...było miłością? Niektóre dziewczęta miały szczęście. Znam wiele rodzin, w których utrzymywano bliski kontakt jeszcze wiele lat po wojnie. Jednak wiele, bardzo wiele dziewczynek doświadczyło innego losu. Miały dwanaście, trzynaście lat, zostały wyrwane ze swojego domu, odseparowane od swoich rodzin. Pracowały od świtu do wieczora, często ponad swoje siły. Przybyły do ludzi, dla których były podludźmi. Maltretowano je. Bito. Gwałcono. A mimo to robiły więcej, niż należało do ich obowiązków. Więcej, niż od nich wymagano i kiedykolwiek można by było wymagać. Kochały dzieci swojego wroga.

– Dlaczego nikt o tym nie wie? – zapytałem Ekaterinę.

Ale to Marie-Luise udzieliła mi odpowiedzi.

– Ponieważ przemilczano ten temat. Ponieważ nikt nie chciał tego przyznać. Opiekunki do dzieci milczały, ponieważ po wojnie jako kolaborantki natychmiast zostałyby wysłane na Syberię. Jaśnie państwo milczeli, ponieważ tatuś był w SS, a mamusia nie zdołała wystarczająco szybko schować Krzyża Matki. Robotnice przymusowe? W naszym pokoju dziecięcym? Nigdy!

– A dzieci? – spytałem.

– Nie mówi się o czymś, co przez całe dekady było przemilczane. Co te kobiety znaczyły dla dzieci? Jedne to wyparły, inne zapomniały. Jednak wiele osób cierpi do dzisiaj z powodu tego, że wychowywały się w bliskości z obcą osobą i ta bliskość została wymuszona.

Zauważyłem, jaką trudność sprawiało jej dobieranie właściwych słów.

– Poznałam kilkadziesiąt osób, które były dziećmi w tamtym okresie. Wszystkie one życzyły sobie ponownie zobaczyć te kobiety. Często towarzyszy temu poczucie winy, które nigdy nie zostało przepracowane. Które osoby te musiały głęboko schować. Bo wielu podopiecznych było związanych z tymi opiekunkami do dzieci bardziej niż z własną matką.

Nie umiałem wyobrazić sobie baronowej jako kochającej matki. Czy zatem Natalia była tak bardzo ważna dla Utza?

Ekaterina popatrzyła na zegarek.

– Jak mogłabym panu pomóc?

– Mamy do czynienia z dokładnie takim przypadkiem – powiedziała płonąca pochodnia sprawiedliwości obok mnie. – Rodzina nie chce przyznać, że zatrudniała robotnicę przymusową, i dlatego...

– Moment – przerwałem jej. – W międzyczasie ten przypadek zaczął wyglądać nieco inaczej.

Wyjąłem z teczki wyrok Trybunału Specjalnego. Utz pozwolił mi zrobić kopię. Podałem ją Marie-Luise. Przeleciała wzrokiem tekst, opuściła kartkę i bez słowa komentarza przekazała Ekaterinie.

– Ktoś chce, podszywając się pod zmarłego, uzyskać odszkodowanie – wyjaśniłem.

Ekaterina potrząsnęła głową.

– To się nigdy nie zdarzyło.

Marie-Luise po raz pierwszy sprawiała wrażenie bezradnej.

– W takim razie Milla nie jest córką Natalii? Nie wierzę. Sprawiała wrażenie absolutnie godnej zaufania.

Kobieca solidarność. Poznała ją przecież w nieco innych okolicznościach niż ja.

– Sprawdź to. Mogę? – zapytała Ekaterina i uniosła kartkę. Przytaknąłem, ona złożyła ją i schowała. Następnie wstała.

– Niestety, muszę się pożegnać. Zajmuję się tym nieodpłatnie, w moim czasie wolnym.

Ja również się podniosłem.

- Jest jeszcze jedno nazwisko.
- Tak?
- Olga Warszenkowa. Przyjaciółka tej kobiety. Być może to pani jakoś pomoże.
- Ekaterina zanotowała imię i nazwisko na tylnej stronie kserokopii. Następnie pożegnała się.
- Usiadłem koło Marie-Luise.
- Coś tu się nie zgadza – powiedziała. – Coś tu się nie zgadza.
- Ulżyło mi, że i ona tak to widziała.
- Powinniśmy jeszcze raz porozmawiać z Millą – ciągnęła dalej.
- Dobry pomysł. Wpadliśmy już na niego. Ale ptaszyna wyfrunęła.
- Naprawdę zniknęła?
- Przypuszczalnie jest już w drodze do Kijowa, żeby spróbować szczęścia z kimś innym.
- Przecież sam w to nie wierzysz.
- Niecierpliwie bębniła portmonetką po stole.
- Niemal sześćdziesiąt lat temu wydarzyło się kosmiczne świństwo, które do momentu przed kilkoma tygodniami było starannie zamiecione pod dywan. Aż pojawiła się ta starsza kobieta. I nagle ta jedna nie żyje, a druga jest powiązana z ruską mafią wywłoką? – Pokręciła głową. – Po prostu bardzo szybko zaatakowano kogoś jego własną bronią. A ty dałeś się nabrać. Typowe.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Marie-Luise nachyliła się w moją stronę. Tak blisko, że czułem na swojej twarzy jej oddech.
- Rzucili ci tyci kawałek liny. Poszli na mikroskopijne ustępstwo. Okej, mój drogi, wprawdzie kazaliśmy tej Natalii u nas harować, ale nie bierz nam tego za złe. Przecież to może się zdarzyć. A teraz przyjmij to wyjaśnienie i skończ z tym ujadaniem. Niesamowite, że dajesz się na to złapać. Przypuszczalnie twoje zawodowe, jak i prywatne perspektywy kariery przytępiły twój umysł.
- Ta kobieta nie żyje.
- Kto tak uważa?
- Trybunał Specjalny.
- Piękni świadkowie.
- Marie-Luise zaśmiała się pogardliwie i położyła na stole dwa euro. Ja zapłaciłem resztę.
- Skończ z tym – powiedziałem. – Dla mnie ten przypadek jest załatwiony.

Chciałem wstać, ale teraz to Marie-Luise mnie przytrzymała.

– Starsza kobieta została zamordowana...

– Ty tak twierdzisz.

– A Milla zaginęła. Na twoim miejscu poruszyłabym piekło i niebo, żeby ją znaleźć. Nim będzie za późno.

Ścisnęła moje przedramię. Znowu poczułem ciepłą falę przetaczającą się przez moje ciało. Ostatnim razem byłem pijany. Tym razem było inaczej.

– Jeśli sprawiedliwość i prawda oraz wszystko, co dzisiaj olewasz, kiedykolwiek były ważne... – Zniżyła głos. – Jeśli to, w co kiedyś oboje wierzyliśmy, jeszcze cokolwiek dla ciebie znaczy, zrób coś.

Puściła mnie. Wstałem.

Nim doszedłem do samochodu, zadzwoniła moja komórka. Zgłosił się portier nocny z hotelu przy Meinekestrasse. To, co powiedział, spowodowało, że obróciłem się na pięcie i wróciłem do lokalu. Marie-Luise popatrzyła na mnie zdumiona, kiedy znowu przed nią stanąłem.

– Jeszcze coś? – zapytała.

– Chodź ze mną.

– Dokąd?

Nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że Milla wczoraj w nocy odjechała wielkim, ciemnym samochodem. I że dokładnie taką samą historię już słyszałem – krótko po tym, jak starsza pani z Kijowa została wyłowiona z Landwehrkanal.

Najpierw pojechaliśmy do hotelu. Portiera nocnego jeszcze nie poznałem, ale po lunatycze i ekspercie w dziedzinie fizyki teoretycznej nic mnie już nie mogło zaskoczyć. Tak sądziłem.

Miał ponad pięćdziesiąt lat, nosił fryzurę zbliżoną do afro, nazywał się pan Wilhelm i miał dobrotliwą twarz człowieka, który już wiele widział i sporo musiał wybaczyć.

– Dokładnej godziny naturalnie nie mogę sobie przypomnieć – powiedział.

– Czy było to zatem przed północą czy po?

Marie-Luise uśmiechnęła się do niego, robiąc tak wielkie oczy, że nawet ja kupiłbym od niej odkurzacz. Portier zastanawiał się i robił to gruntownie.

– Tak – powiedział w końcu.

– Co tak? – spytała.

– Wydaje mi się, że było to krótko po północy. Mam obok telewizor. Chwileczkę.

Przyniósł gazetkę telewizyjną i najwyraźniej znalazł to, czego szukał. Spojrzał na nas szczęśliwy i uśmiechnięty.

– Romy Schneider. *Max i ferajna*. Fantastyczny film. Boscy aktorzy! Michel Piccoli, zimny i wyrachowany, rozsypuje się z powodu swojej obsesji skupionej na tej cudownej, świętej dziwce...

Pan Wilhelm chrząknął.

– Wcześniej pisałem recenzje filmów. Dla magazynu „Tip”. I jeden scenariusz. Pewnego razu nocował tu Holender, podczas festiwalu filmowego. Dałem mu go. Ale nigdy więcej już o nim nie usłyszałem. Mają państwo coś wspólnego z filmem?

Zaprzeczyliśmy. Pan Wilhelm wyszedł z za swojego kontuaru i stanął w otwartych drzwiach. Wychodziły bezpośrednio na Meinekestrasse. Było tuż przed jedenastą, miasto akurat wydychało upał dnia, ludzie wciąż jeszcze byli w drodze, przywabieni przez Kurfürstendamm i jego nigdy niedotrzymywaną obietnicę.

– Było dwadzieścia po dwunastej – powiedział i obrócił się w naszą stronę.
– Nocą chętnie trochę przesuwać godziny rozpoczęcia. Musi to wynikać ze schematu programu. Nadrobić czas, znów cały przebieg przywołać do porządku. Podczas ferii zimowych częściej pracowałem w kontroli nadawania rozgłośni Wolny Berlin. Wtedy to nazywało się jeszcze rozgłośnia Wolny Berlin. Znam się.

Znów wyjrzał na ulicę. Marie-Luise rzuciła mi spojrzenie, w którym zawierała się cała niecierpliwość Zachodu. Zanim pan Wilhelm uraczył nas kolejnymi szczegółami ze swojego życiorysu, podszedłem do niego.

– A zatem dwunasta dwadzieścia. A potem?

– Zeszła z góry na dół. Zawsze to słyszę. To stary dom, słyhać mimo grubych dywanów. Oddała klucz i wyszła.

– A potem?

– Potem czekała. Jakies dziesięć minut. W tym czasie zaczynał się film, a ja nie za bardzo mogłem pójść na zaplecze i oglądać. A więc także czekałem.

Wyjął z kieszeni paczkę ze wszystkimi niezbędnymi rzeczami i zaczął sobie skręcać papierosa.

– Była zdenerwowana. I kiedy potem podjechał samochód, ucieszyła się. Pojawił jej się szeroki uśmiech na twarzy. Może w samochodzie był jej

przyjaciel. Jej kochanek?

– Co to był za samochód? – przerwałem mu. – Jak wyglądał? Jaka marka?

Pan Wilhelm zaśmiał się i polizał bibułkę. Następnie zrobił zręczny ruch ręką i po chwili trzymał w ręce papierosa. Wyszarpał z niego teraz tytoń wystający na końcach i okruszki starannie schował do paczki.

– Nie znam się na takich dużych samochodach.

Zapalił papierosa i zrobił krok w kierunku drzwi.

– To nie był mercedes, bmw. Coś innego. Drogiego.

– Jaguar? – spytałem. Marie-Luise spojrzała na mnie zaskoczona.

– Nie mam pojęcia. Nie umiem odpowiedzieć.

– W takim razie kto siedział w środku?

Pan Wilhelm wzruszył ramionami.

– Była ciemna noc. Przyciemniane szyby. Jeszcze tylko uśmiech i już jej nie było.

Nic dziwnego, że nigdy więcej nie usłyszał o swoim scenariuszu. Marie-Luise wzięła swoją torebkę.

– Bardzo nam pan pomógł – powiedziała i wyciągnęła ku niemu rękę.

Pan Wilhelm pochylił się nad nią i złożył na niej pocałunek. Dopiero wtedy usunął okruszek tytoniu z kącika swoich ust.

– Dlaczego państwa to interesuje? – zapytał. – Rosjanka. Nigdy nie miała męskich wizyt. Zawsze sama.

Marie-Luise uśmiechnęła się do niego.

– Interesują nas ludzie, którzy znikają.

– Czy ona wróci? – zapytał pan Wilhelm.

– Nie wiem – odparła Marie-Luise. – Najlepiej niech pan zostawi pokój tak, jak jest.

– A rachunek?

Spojrzała na mnie.

– Ten pan weźmie to na siebie. Na biednego nie trafiło.

– Proszę mi opowiedzieć tę historię, jeśli będzie miała jakieś zakończenie. Piszę książkę. *Ludzie w hotelu*. Szukam wydawcy. Nie zna pani jakiegoś?

Pozegnaliśmy się. Pan Wilhelm stał w drzwiach, palił papierosa i patrzył za nami.

– Wygląda na to, że dokonałaś podboju – powiedziałem cicho.

Marie-Luise poczekała z wsiadaniem, aż otworzę jej drzwi samochodu. Usiadłem za kierownicą.

– Tak wiele iluzji. A potem zostają już tylko historie, które przeżywają inni. Odwiedzę go jeszcze, kiedyś.

Marie-Luise na zawsze pozostanie dla mnie zagadką.

– Jaguar – powiedziała. – Ta marka nie przysłała ci ot tak po prostu do głowy.

Nie odpowiedziałem.

– Kto jeździ takim samochodem? Sigrun?

Potrząsnąłem głową.

– Okej – powiedziała w końcu. – A zatem to był błąd. Jadę do domu.

– O co ci teraz chodzi? Myślałem, że chcesz mi pomagać – powiedziałem. No dobrze, to zabrzmiało trochę jak obrażanie się i pretensje, ale byłem naprawdę bezradny.

Unikała mojego wzroku. Czuła, że jestem wściekły.

– Pomagać – powiedziała w końcu. – Przecież tylko robisz ze mnie idiotkę. Od A do Z. Męcz się dalej z tą sprawą sam. Wcale nie muszę za ciebie wyjmować kasztanów z ogniska.

– Przecież wcale nie o to mi chodziło.

– W takim razie łaskawie ze mną porozmawiaj.

– Przecież to robię!

– Nie! Kłamiesz, jak tylko otwierasz usta. Niezależnie od tego, czy w sali sądu, czy w życiu prywatnym, jesteś nikim więcej jak stosującym się do norm towarzyskich optymistą sytuacyjnym.

To były wyrażenia, które u niej tak bardzo kochałem. Musiałem się uśmiechnąć i odwróciłem się, żeby to przed nią ukryć. Kiedy znowu się odwróciłem, uśmiechała się także Marie-Luise.

– Bęcwał – powiedziała.

– Baronowa.

Wpatrywała się we mnie.

– Baronowa?

Nie patrzyłem na nią. Zdrajcy nie podnoszą wzroku, kiedy zradzają.

– O cholera. To jest mocne. To jest... Natychmiast zgłaszam zaginięcie. Znasz numery rejestracyjne. Jaki to dokładnie model?

– Przestań! – Już zaczynałem żałować, że w ogóle coś powiedziałem. – To jest nic, słyszysz? To nawet nie jest jeszcze przypuszczenie. Nie ma żadnego powiązania. Koniec.

Marie-Luise przytaknęła i spojrzała na mnie ze współczuciem.

– Jasne. Wszystko z sufitu. Dwie kobiety, dwa samochody, jedna nieżywa,

jedna zaginiona. Wszystko to fantazja. Pranie mózgu to jednak coś fantastycznego. Czego użyli, że osiągnęli tak doskonały wynik? Posmarowali? Stanowiska? Ach, no przecież. Całkiem zapomniałam. Zaoferowano ci córkę domu.

– Przestań – powiedziałem cicho.

Marie-Luise miała rację. Tak wiele przypadków nie mogło się skumulować. I wszystko, co mogłoby wyjaśnić numer telefonu baronowej w notatniku Milli, byłoby teraz naciągane.

Zadzwoił mój telefon komórkowy. Jak zawsze dokładnie we właściwym momencie.

Zgłosił się doktor Haberstall. I nie brzmiał sympatycznie.

– Tęsknił pan ostatnio za kimś?

Przywołałem gestem Marie-Luise. Przysunęła ucho do aparatu.

– Tak – powiedziałem. – Znalazł ją pan?

Serce zaczęło mi bić szybciej. Bałem się tego, czego mogłem się teraz dowiedzieć. Poza tym łaskotały mnie włosy Marie-Luise.

– Ogólnie rzecz biorąc, można by tak powiedzieć – odpowiedział doktor Haberstall.

– Gdzie?

– W pańskim łóżku. Z jasnym zamiarem.

– W moim łóżku?

Marie-Luise parsknęła śmiechem.

– W pańskim łóżku – powtórzył doktor Haberstall niecierpliwie. Mimo najlepszych chęci nie rozumiałem, co chciał przez to powiedzieć.

– Ma pan na myśli u mnie w domu?

– U niej w domu! Na pańskim miejscu jak najszybciej bym się o nią zatroszczył. A może chce pan, żeby pańska matka została skierowana do izolatki o miękkich ścianach.

Rozłączył się.

– Muszę lecieć – powiedziałem. – Moja matka. Znowu coś zbroiła.

– Nie ma problemu. Następny autobus przyjedzie już za dwadzieścia minut.

Pokręciłem głową.

– Wysadzę cię przy zoo.

Z piskiem opon pojechałem Meinekestrasse z powrotem na Kurfürstendamm. Światła przed wjazdem na dworzec kolejowy zmieniły się na czerwone. Marie-Luise otworzyła drzwi i pośpiesznie wysiadła.

– Zadzwoń jeszcze raz do naszego przyjaciela w rewirze czternastym.
Powinien mieć oczy szeroko otwarte. Może ją znajdą.

Światła zmieniły się na zielone.

– Wszystkiego dobrego dla twojej matki. Odezwę się.

– Marie-Luise...

– Nie martw się. Do jutra nie podejmę żadnych działań.

Trzasnęła drzwiami. Dodałem gazu. W lusterku wstecznym widziałem, że patrzyła za mną.

Rozdział 18

Przed domem matki przy placu Mierendorffa stała karetka pogotowia. Dla rozrywki sąsiadów z włączonym niebieskim światłem błyskowym. Zadyszany wpadłem na trzecie piętro. Dzwoniłem do drzwi jak szalony, otworzyła mi pani Huth.

– Wreszcie! – krzyknęła z teatralną przesadą. Odsunąłem ją na bok i wszedłem. Matka stała w koszuli nocnej w pokoju dziennym, wspierana przez sanitariusza z pogotowia joannitów, który cierpliwie ją prowadził. Kiedy mnie zobaczyła, oklapła.

– Nie siadać! – powiedział głośno joannita. – Proszę dalej ładnie iść. Cały czas być w ruchu!

– Joachim! – krzyknęła matka. Podeszedłem do niej, wtuliła się we mnie. Sanitariusz puścił ją, cofnął się o krok i rękawem otarł sobie pot z czoła.

– Wymiotowała – wyjaśnił. – Ale powinna pić dużo kawy i jeszcze przez pół godziny chodzić.

– Nie dam rady! – zapłakała. – Nie mam już siły.

– Już dobrze. Zobacz pani, że da radę.

Trzymałem ją mocno i zacząłem drobnymi kroczkami okrążyć stolik. Weszła pani Huth i rozsiadła się w fotelu ustawionym przed telewizorem. Fotelu, który kupiłem matce dwa lata temu. Piekielnie droгим fotelu. Dla seniorów. Z elektrycznym mechanizmem, który powinien ułatwiać wstawanie. Zupełnie niepotrzebnie. Droga pani Huth ewidentnie miała zamiar nie wstawać z tego fotela przez najbliższych kilka lat.

– Doktor Haberstall pojechał już do następnego przypadku.

Zmieniłem pozycję na lewą stronę.

– A tak właściwie to co się tutaj stało?

Matka zaszlochała, ale nie wydała z siebie nic więcej.

– Tabletki nasenne i trankwilizator – wyjaśnił sanitariusz lakonicznie.

– Przez pomyłkę! – zakwiliła matka. – To była pomyłka.

Pani Huth sięgnęła do paczki chipsów. Leżała w misie z owocami, z której poderwała się chmara muszek owocowych. Banany leżały od mojej ostatniej wizyty. Miałem ochotę naciągnąć babie na głowę foliową torbę i przyglądać się, jak powoli się dusi.

– Pani Huth nas zaalarmowała.

Pani Huth przeżuwała i powoli skinęła głową.

– Zwykle nigdy tego nie robi. Potrójna dawka.

Puściłem matkę. Zachwiała się przez moment, potem jednak złapała równowagę i popatrzyła niepewnie najpierw na panią Huth, potem na sanitariusza, a następnie na mnie. Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Zapewne zdarza się pani trochę zapominać, co, mamusiu? – Poklepał ją po ramieniu. Wziął swoją torbę i wyszedł. Poszedłem za nim na korytarz.

– Jeszcze chwileczkę – poprosiłem go. – Czy to była próba samobójcza?

Miał jakieś czterdzieści pięć lat, silne ręce rzemieślnika i ochrypliwy, uspokajający głos. Zmarszczył czoło.

– Trudno powiedzieć. Niech sam pan ją spyta. – Otworzył drzwi. – W razie wątpliwości proszę ją traktować tak, jakby to była próba.

Puknął się w czoło i z tupotem zbiegł po schodach. Znajdujące się naprzeciw drzwi do mieszkania otworzyły się, jakby podsłuchiwacz tylko czekał na rzucone przez niego hasło. Gapił się na mnie spocony i nieogolony mężczyzna w średnim wieku. Za nim pojawiła się spartaczona trwała ondulacja, pod którą można było dostrzec markotną kobiecą twarz. Popatrzyłem obojgu prosto w oczy. Mężczyzna bez słowa zamknął drzwi.

Matka siedziała wyczerpana na tapczanie.

– Wstawać! – krzyknąłem. – Noc jeszcze młoda! Będziemy tańczyć!

Włączyłem radio. *Movie Star*. Akurat *Movie Star*.

– Czy mogę prosić?

Moja matka podniosła się z uśmiechem i pozwoliła się wziąć w ramiona. Tapczan, stolik i ścianka meblowa zajmowały tyle miejsca, że w pokoju dziennym pozostawały wolne raptem jakieś trzy metry kwadratowe. Poruszaliśmy się na nich z gracją licealistów na balu maturalnym. Matka chichotała i mrugała do drogiej pani Huth, która śledziła nasze poczynania, kiwając głową. Pokierowałem mamą na korytarz i krokami walca skierowałem się do sypialni. Następnie zamknąłem drzwi.

– A więc – powiedziałem. – Co tu jest grane?

Jej uśmiech znikł jak wyłączony, powłócząc nogami zrobiła dwa kroki do

łóżka i usiadła na nim.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Uklęknąłem przed nią, żeby musiała patrzeć mi w oczy.

– Kradzież w sklepie, próba samobójcza. Co będzie następane? Założyłaś się z nią, jak szybko się tutaj zjawię? Dobrze się bawiłyście?

Położyła się na łóżku i zamknęła oczy.

– Jestem zmęczona.

– Ja też! – krzyknąłem. – Jest krótko przed północą! Mój dzień zaczyna się o szóstej. Mam na głowie wiele niewyjaśnionych przypadków prawnych, nieudane zaręczyny i zmierzające ku przepaści partnerstwo w kancelarii. A wy dwie bawicie się tutaj w rosyjską ruletkę? A tak w ogóle to co wzięłaś?

Zacząłem grzebać w szufladzie jej stolika nocnego.

– To tutaj? Baldriparan? – Rzuciłem buteleczkę na podłogę. – A może to tutaj? Voltax? Homeopatyczny preparat na ból żył? – Cisnąłem opakowaniem o ścianę.

Zaszlochała.

Grzebałem dalej.

– Oho! Silnie trujące i szybko działające kapsułki z dziurawca zwyczajnego!

– Wyrzuciłem buteleczki i opakowania na łóżko.

– Przestań! – zakwiliła. – Joachim! Nie rób tego...

Poczułem rękę na moim ramieniu. Następnie jej ramiona. Chwyciły mnie mocno, odwróciłem się do niej i nie czułem już pudru lawendowego i przez wiele dni niezmiętej koszuli nocnej. Poczułem płatki owsiane z cukrem i mlekiem, świeżo zaparzoną kawę w altance ogrodowej, pastę do podłogi na linoleum oraz oryginalną wodę kolońską 4711, której jedna buteleczka musiała wystarczyć aż do następnych urodzin. Ten zapach znów mnie dopadł i już mnie nie opuści. Nie uda się go zagłuszyć za pomocą Apergé.

– Przepraszam – szepnęła. – Że ci to robię. Że w środku nocy...

– Już dobrze.

Wyzwoliłem się z jej objęć i zacząłem zbierać opakowania i buteleczki.

– Dlaczego po prostu nie powiesz, że chcesz się ze mną zobaczyć?

Żeby ukryć swoją bezradność, matka zaczęła rozpinąć i zapinać górne guziki koszuli nocnej.

– To nie tak, nie, to nie tak. To było zasłabnięcie. Przewróciła się szklanka i rurka z tabletkami do żucia z wapnem, na osteoporozę. Może i wyglądało to nieco dramatycznie. Kochana pani Huth to widziała i nie mogła mnie

przywrócić do przytomności.

– Dlaczego nie?

Matka spojrzała w kierunku drzwi. Wrodzony talent pani Huth do niepojawiania się zapobiegł w tym momencie ciężkiemu uszkodzeniu ciała.

– Dlaczego?

Matka sięgnęła pod poduszki i wyciągnęła kolejne opakowanie.

– Dlatego.

Valium, zawierające dwadzieścia tabletek. Opakowanie było prawie puste.

– Zwykle biorę takie trzy. Ale może coś mi się pomyliło.

Wziąłem od niej pudełko.

– Trzy? Tego środka?

– Jak nie wezmę, nie mogę spać.

– A jak udaje ci się potem obudzić?

Zaśmiała się.

– Na to też jest coś fajnego. Ten środek nawet wprawia w bardzo dobry nastrój. Lepiej niż szampan. I to na receptę. Stoi w łazience.

Nie mogłem w to uwierzyć. Moja matka ćpunką.

– Dzisiaj w nocy zostaję tutaj – powiedziałem.

Potrząsnęła głową, jakby mnie dobrze nie zrozumiała.

– Zaparzę teraz świeżą kawę, potem porozmawiam z kochaną panią Huth, a następnie zostanę tutaj. Tylko dzisiaj. Tylko na tę noc.

Poszedłem do pokoju dziennego. W korytarzu strzeliłem kostkami w dłoniach. Tylko tak, dla wprawienia się w nastrój.

Pani Huth opróżniła torbę chipsów i rzuciła ją pod fotel, gdzie znalazła się w licznym towarzystwie innych opróżnionych opakowań.

– Pani Huth.

Próbowała ukryć coś pod stertą czasopism telewizyjnych. Mimochodem usiadłem na tapczanie, trochę na ukos naprzeciw niej, i uniosłem stertę. *Feralne zaręczyny – piękna pani senator przed gruzami swojego życia.*

Artykuł widziałem już rano na biurku Utza. Nie za bardzo zastanawiałem się nad tym, że poza nami czytało go jeszcze ze sto tysięcy berlińczyków. Między innymi moja matka.

– Niech się pani tym za bardzo nie przejmuje.

Odłożyłem gazetę do innych.

– Muszę pani podziękować, pani Huth. Moja matka nie jest zbyt stabilną osobą. Gdyby nie pani spostrzegawczość...

– Ależ nie ma o czym mówić. Zawsze do niej zaglądam, nim zaśnie.

– Kiedy tak naprawdę pani kończy? – spytałem.

Pani Huth wpatrywała się pilnie w swoje dłonie.

– Raz tak, raz tak – powiedziała w końcu.

Skinąłem.

– Zawsze na służbie, nieprawdaż?

Droga pani Huth zaśmiała się.

Sięgnąłem do portfela i wyjąłem trzy banknoty po sto euro. Położyłem je przed nią.

– Panie Vernau, nie. – Nie patrząc na mnie, odsunęła pieniądze w moim kierunku. – To nie jest konieczne. Zrobiłam to przecież z ochotą.

– To pani pensja do końca miesiąca. Chcę, żeby pani wzięła pieniądze, wstała, opuściła to mieszkanie i nigdy więcej się tu nie pojawiała.

Pani Huth uniosła głowę.

– Teraz?

– Teraz.

– No tak, ale dlaczego to?

Wstałem i otworzyłem drzwi na korytarz. Bardzo uprzejmie, bardzo przyjaźnie. Droga pani Huth stęknęła, chciała się unieść i wielokrotnie znów się zapadała. Jeszcze w ogóle nie odkryła mechanizmu ułatwiającego wstawanie. W końcu zdołała się unieść i stała teraz w pokoju, oddychając ciężko i delikatnie szukając równowagi.

– Nie sądzę, żeby to się spodobało pańskiej matce.

– Możliwe. Ale to nie ona płaci. Dlatego w tym momencie pani przecucia mają niewielkie znaczenie.

Wyszedłem na korytarz i pod stertą starych ubrań poszukałem czegoś, co mogłoby być jej płaszczem. Podałem go jej, a ona wzięła go bez sprzeciwu.

– Jest pan złym synem.

Pomogłem jej włożyć płaszcz. Ktoś przecież musiał być winny. Przypuszczalnie była to rola, którą jakiś mściwy, małoduszny bóg w tej chwili mi przydzielił. Pani Huth wskazała na gazetę leżącą na stole w pokoju dziennym.

– Wie pan, dlaczego pańska matka to zrobiła? – Jej małe źrenice patrzyły na mnie gniewnie.

– Ze wstydu z powodu moich nieudanych zaręczyn? Niech pani nie będzie śmieszna, pani Huth. Tam jest wyjście.

Odprowadziłem ją do drzwi mieszkania. Jeszcze raz obróciła się do mnie.

– Nie zaprosił jej pan.

Z tymi słowami na ustach wcisnęła mi do ręki swój pęk kluczy.

Patrzyłem za nią. Na półpiętrze rzuciła mi jeszcze spojrzenie śmiertelnie zranionej zwierzyny, potem słyszałem już tylko jej ostrożnie stawiane kroki, stopień po stopniu w dół.

Nonsens. Oczywiście, że ją zaprosiłem.

Nie zaprosiłem.

Dopadły mnie wyrzuty sumienia. Oparłem się na moment o ścianę. Stałem tak, dopóki nie ogarnęła mnie złość. Otworzyłem drzwi do sypialni i znalazłem ją na łóżku, już niemal zasypiającą. Uniosłem ją i potrząsałem. Nie wiem już, co krzyczałem. Wrzeszczałem, szalałem, powiedziałem, że nie mogę pozwalać sobie na te sztuczki, nie jeszcze raz, raz wystarczy, nie do wytrzymania, właściwy byłby zamknięty zakład, powinno się ją tam skierować, to wszystko tutaj nie jest normalne... Ona próbowała zasłonić twarz rękami. Ten odruch sprawił, że w końcu się opamiętałem.

– Nie rób tego więcej – szepnąłem.

Naciągnęła na siebie kołdrę i przesunęła się w łóżku tak daleko ode mnie, jak to możliwe.

– Przecież to było przez pomyłkę – lamentowała.

W końcu poszliśmy do kuchni. Usiadła przy stole, ja zaparzyłem świeżą kawę i zacząłem zmywać naczynia. Następnie posprzątałem. Ona siedziała i sączyła kawę. Ustawiłem w radiu stację, która działała podobnie jak Baldrian z szuflady jej stolika nocnego. *Lady in Red, Sexual Healing, Sailing*. Tak jakby nie było ostatnich dwudziestu lat historii muzyki.

– A gdzie jest kochana pani Huth? – zapytała, kiedy już skończyłem porządkować kuchnię.

– Poszła sobie – odpowiedziałem. – Zwolniona.

– Ale... dokąd w takim razie poszła?

– Nie wiem. – Z zadowoleniem, jakie ogarnia człowieka po zakończeniu nielubianej pracy, wrzuciłem gąbkę do zlewozmywaka.

– Czy coś mówiła? Dokąd poszła?

– Mamo – powiedziałem. – To cię już nie powinno interesować. Zwolniłem ją. Rano poszukam kogoś innego.

Poszedłem do pokoju dziennego i zacząłem wrzucać do starej reklamówki Aldi banany i inne niejadalne pozostałości. Matka przyszła za mną.

– Ale ja nie chcę nikogo innego.

Przesunąłem ją na bok, żeby oczyścić zakamarki fotela ze zmiętych torebek i serwetek papierowych. Pełną garść tych śmieci podsunąłem jej pod nos.

– Co miesiąc otrzymywała ponad trzysta euro. Na czarno. Do ręki. Ale być może podczas rozmowy kwalifikacyjnej coś poszło nie tak. Powiedziałem: proszę wyrzucać śmieci! A ona zrozumiała: proszę je tu przynosić i zostawiać!

– Ze złością wrzuciłem odpadki do torby.

Matka nie ustępowała.

– Tak nie można, Joachim. Tak nie można. Nie możesz jej tak po prostu wyrzucić!

– A jednak.

Bezradnie przysiadła w narożniku tapczanu, który akurat sprzątnąłem.

– Ale gdzie ona się podzieje?

– To mnie nie interesuje.

To, co właśnie odkryłem pod tapczanem, zdusiło jakiekolwiek współczucie. Byłbym szczęśliwy, mając parę rękawiczek na dłoniach.

– Ale ona nie ma dokąd pójść. Przecież tu mieszka.

Powoli wysunąłem się spod tapczanu.

– Czy mogłabyś to powtórzyć?

– Ona tu mieszka – szepnęła matka.

– Od kiedy?

Znów zasłoniła twarz rękami.

– A więc. Od kiedy pani Huth mieszka w mieszkaniu, za które ja płacę czynsz?

– Od roku.

– A gdzie?

– W twoim pokoju.

Skoczyłem na równe nogi, pobiegłem do drzwi na końcu korytarza i otworzyłem je.

Mój pokój dziecięcy. Pomieszczenie, do którego od dobrych dziesięciu lat nie wchodziłem. Na ścianie wisiał jeszcze mój plakat Kim Wilde. Na szafie z ubraniami stał mój tor wyścigowy Carrera. Łóżko wciąż jeszcze stało przed oknem. Ale ktoś z niego korzystał. Otworzyłem drzwi szafy i znalazłem przemieszana stertę starych ubrań, z których unosił się przenikliwy zapach. Otworzyłem szeroko okno. Musiałem kilka razy głęboko odetchnąć, aby minęły duszności. Odwróciłem się i zobaczyłem tapetę, lampę z Ikei, biurko

pomalowane na jasnoniebieski kolor ze stojącym przed nim rozchwierutanim krzesłem. Przez dziesięć lat nie odczułem potrzeby, by wejść do mojego pokoju. Przypuszczalnie wierzyłem, że już nie istnieje. Teoretycznie moja matka mogła zgodzić się, by ktoś tu mieszkał, jeśli chciała.

Ktoś. Byłe nie pani Huth. Usiadłem na stercie niezasałanej pościeli.

Matka stała w drzwiach. Sięgnęła do włącznika i wyłączyła lampę. Po ciemku przeszła przez pokój i usiadła obok mnie na łóżku, tak jak robiła to kiedyś przed moim zaśnięciem.

– To jest mój pokój! W zasadzie to chciałem tutaj dzisiaj spać.

– Ach, chłopcze. Jakbyś znów miał dziesięć lat.

– I dlaczego akurat pani Huth? Dlaczego nie ktoś młody, krzepki, pełniący służbę cywilną?

– Ona jest chora. Ma najcięższą postać artrozy. Biodra i stawy. Dwa lata temu została zoperowana. Tylko jej się pogorszyło. Gdzie miałyby pójść?

– Nie ma nikogo?

Matka milczała. Powtórzyłem moje pytanie.

– A jakże – powiedziała w końcu. – Ma syna.

Dzięki. Cios doszedł. Noc prawdy, godzina wyjawień.

– Mieszka daleko stąd. Od lat nie odwiedził jej w Berlinie. Wydaje mi się, że o niej zapomniał. – Położyła rękę na moim kolanie. – Ty jesteś zupełnie inny. Na tobie można polegać. Kiedy jesteś potrzebny, zjawiasz się.

Poklepała mnie mocno po udzie. Nie chciałem wiedzieć, czy mówiła to ironicznie. Wstałem. Z okna można było wyrzeć na wewnętrzne podwórko. Cztery duże pojemniki na śmieci, stojak na rowery, dwie ustawione jedna na drugiej pralki, śniące o lepszych czasach. Było to ponowne spotkanie z bezsennymi nocami, kiedy tuż obok w sypialni rodziców szalała wojna, w której byli tylko przegrani, a ja zastanawiałem się, czy Pia z równoległej klasy płakałaby po mnie, gdybym teraz wyskoczył z okna. Nigdy nie wyskoczyłem, ponieważ bałem się bólu w momencie zderzenia z ziemią. Ale często o tym myślałem. Po prostu skoczyć. Kim Wilde śpiewała o raj.

Gdzieś niedawno przeczytałem, że otrzymała nagrodę za ogród. Kim, nie Pia. Uprawiała teraz róże i zioła. Ale wybaczyłem jej. Kim mnie uratowała. Być może powinienem jej to kiedyś napisać.

Matka wyłączyła małą lampkę. Duchy zniknęły. Poszliśmy z powrotem do pokoju dziennego.

Kiedy pobierałem największe śmieci, przyniosłem odkurzacz. Nie

interesowało mnie, że tymczasem zrobiła się trzecia w nocy. I kiedy facet z naprzeciwka zadzwonił do drzwi i wyjaśnił mi, że jego sypialnia przylega bezpośrednio do pokoju dziennego matki i on w takich warunkach nie ma co myśleć o śnie, zaproponowałem mu pomoc w zaśnięciu uderzeniem w potylicę.

Matka od dawna już spała na tapczanie, kiedy skończyłem sprzątanie pokoju dziennego i wziąłem się za łazienkę. Nie myślałem o terminach rozpraw i Marie-Luise, nie myślałem o Milli ani nawet o Sigrun. Chciałem tylko doprowadzić to mieszkanie do porządku. Kiedy o czwartej zaczęły śpiewać ptaki, zakończyłem pucowanie łazienki. O piątej wziąłem na ręce moją matkę i zaniósłem do świeżo posłanego łóżka, przy czym nie byłem pewien, czy pościel rzeczywiście była czysta, czy tylko porządnie poskładana i schowana do szuflady. O wpół do szóstej skończyłem sprzątać korytarz. Nie mogłem się tylko przemóc, by uprzątnąć także pokój dziecięcy. Napełniłem po raz trzeci pralkę i postanowiłem, że będę tu zaglądał. Następnie zakradłem się na palcach, wziąłem pęk kluczy pani Huth z komody na korytarzu i cicho zamknąłem za sobą drzwi.

W drodze do samochodu przechodziłem obok przystanku autobusowego. Na ławce leżała śpiąca osoba. Było w niej coś znajomego. Schowałem kluczyki samochodowe do kieszeni i podszedłem do niej, nachyliłem się i łagodnie poruszyłem jej ramieniem.

– Neeee – wymamrotała.

– Pani Huth, proszę wstać!

Potarła oczy i zamrugała; rozpoznała mnie i z trudem usiadła.

– Przecież już sobie poszłam – wymamrotała. Pogładziła swój płaszcz, następnie poszukała po omacku swojej torebki, która służyła jej za poduszkę. – Jak się ma pana matka?

– Dobrze – powiedziałem. – Ale niech pani pozwoli jej jeszcze przespać kilka godzin.

Popatrzyła na mnie pytająco, skinąłem więc głową i dałem jej klucze. Uśmiechnęła się. Poszedłem do swojego samochodu. Kiedy zawróciłem i jechałem Kaiserin-Augusta-Allee, widziałem w lusterku wstecznym, jak otwiera drzwi domu i znika za nimi zwinnie i szybciej, niżby to było możliwe w końcowym stadium artrozy.

Rozdział 19

O siódmej rano moja świadomość osiągnęła ten stan zawieszenia, jaki dopada człowieka po bezsennej, spędzonej na ciężkiej pracy nocy. Od lat nie zdarzyło mi się, żebym o tej porze, zamiast wstawać, kładł się do łóżka. Anarchia małego człowieka. Dorzuciłem do tego jeszcze jedno i zaparkowałem samochód w poprzek wjazdu.

Poranek był słoneczny. Świeży i czysty, jeszcze nieskalany niecznymi czynami i fatalnymi doświadczeniami. Otworzyłem drzwi bezdomnej i wysprzątałem mieszkanie matce. Jak niewiele trzeba, by móc się uważać za dobrego człowieka.

Zakradłem się cicho do domu, by nie budzić Sigrun, i włączyłem ekspres do kawy. Był to prezent zarządu krajowego z okazji ostatnich wygranych wyborów. Urządzenie zmieliło ziarna, przepuściło przez kawę wrzątek i na koniec ozdobiło arcydzieło złotożółtą pianką. Wsypałem do filiżanki dwie łyżeczki cukru i zamieszałem.

Sigrun stanęła w drzwiach kuchni. Miała zaczerwienione oczy, zmierzwiłone włosy i była nie do końca pozapinana.

– Dla mnie też jedną – szepnęła.

Włączyłem ekspres. Sigrun wzięła filiżankę i poczłapała do stołu kuchennego. Przy nim opadła na fotel i potarła sobie obiema rękami twarz. Wyglądała na potwornie zmęczoną. Potem wzięła filiżankę w dłonie, jakby chciała je ogrzać, i piła małymi łyżkami.

– Dopiero przyjechałeś?

Wpatrywała się w punkt na ścianie za moimi plecami, żeby nie patrzeć mi w oczy.

– Tak – odpowiedziałem. – Ale nie jest tak, jak ci się wydaje.

– Zdanie wszystkich zdań. Przebija ją tylko: ale to nic dla mnie nie znaczy.

Przysiadłem się do niej.

– Byłem u matki.

Sigrun zaczęła histerycznie chichotać.

– To jest zawsze lepsze. I co, przez całą noc trzymaliście się za rączki?

– Próbowала odebrać sobie życie.

– Naprawdę? – Odstawiła filiżankę z kawą i po raz pierwszy tego ranka naprawdę na mnie spojrzała. Przytaknąłem. – Bardzo mi przykro. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

Próbowałem jej wyjaśnić, jaki przebieg miała ta noc. Sigrun słuchała z ciemnymi, smutnymi oczami. Kiedy skończyłem, wstała. Najpierw pomyślałem, że ma zamiar bez słowa opuścić kuchnię. Jednak chrząknęła i obróciła się jeszcze w moją stronę.

– Szkoda, że dopiero teraz mi o tym opowiadasz. Że tak wielu rzeczy nie wiem.

Poszła do łazienki, a ja do sypialni, gdzie padłem na łóżko. Chwilę później weszła Sigrun. Ubrana, umalowana, z papierosem w kąciku ust. Tylko włosy były jeszcze wilgotne. Usiadła przy mnie. Kiedy chciałem ją objąć, nie pozwoliła na to.

– Powinniśmy porozmawiać – stwierdziła. – Przemawiam dziś wieczorem na zebraniu mieszkańców w Neukölln. Od dziewiątej będę wolna.

Kiwnąłem głową.

Słyszałem ją jeszcze przez chwilę, jak suszy sobie włosy w łazience, następnie trzasnęły zamykające się drzwi. Sięgnąłem po telefon. W kancelarii odezwała się automatyczna sekretarka, zgłosiłem, że jestem chory. Następnie obudziłem Marie-Luise.

– Jak czuje się twoja matka? – zapytała na początku.

Opowiedziałem jej w trzech zdaniach, co się wydarzyło.

– A Milla? – zapytałem.

– Nic. Tak jak można było się spodziewać, gliniarze wyśmiali mnie. Dziewczyny z Europy Wschodniej w wieku poniżej trzydziestu lat pewnie rzadko zgłasza się jako zaginione. Ponieważ z reguły podczas kolejnej obławy policyjnej znów się pojawiają w następnym burdelu.

– I co teraz?

– Musimy czekać. Ekaterina chce, żebyśmy później do niej przyszli. Możliwe, że coś znalazła.

Chciałem się już rozłączyć, kiedy powiedziała:

– Joachim?

– Tak?

- Jeśli stoi za tym baronowa albo ktokolwiek inny z tej rodziny, wtedy...
- Co wtedy?
- Nic.

Rozłączyła się.

Zimny powiew powietrza wpadł przez otwarte okno. Miałem dreszcze. Wstałem i zamknąłem okno.

Pościel była jeszcze ciepła. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego miłość ani się nie anonsuje, ani nie żegna. Tak jakby mogła przychodzić i odchodzić, kiedy jej pasuje.

Mieszkanie Ekateriny znajdowało się na drugim piętrze, w takim samym domu, w jakim znajdował się Schimmelreiter. Otworzyła natychmiast i zaprosiła mnie do środka. Korytarz był wąski, regały wypełnione książkami i segregatorami z aktami sięgały sufitu.

– Pierwsze drzwi po prawej – powiedziała. Wszedłem. Słońce przebijało się przez okno w połowie zarośnięte bluszczem. Marie-Luise siedziała przy stole kuchennym i tylko rzuciła mi krótkie spojrzenie, kiedy wszedłem.

– Wszystko w porządku?

– Z nią wszystko dobrze – odparłem. Kiedy późnym popołudniem obudziłem się, miałem trzy wiadomości na automatycznej sekretarce. Pierwsza była od pani Huth. Z matką wszystko znów było dobrze. Druga była od Sigrun. Przesunęła nasze spotkanie na dziesiątą. Jako trzecia nagrała się Ekaterina Mahler. Ściągnąłem marynarkę i przewiesiłem ją przez oparcie starego krzesła z wyświechtaną skórzaną tapicerką.

Ekaterina wzięła z pieca czajnik i zaparzyła herbatę.

– To nie była łatwa sprawa – powiedziała. – Trzeba wiedzieć, czego się szuka.

Przede mną leżała kopia gazety „Berliner Illustrierte Nachtausgabe” z 16 listopada 1944 roku.

– Zdumiewające, że jeszcze nikt porządnie nie przeanalizował tego gówna – powiedziała Marie-Luise. – Można co prawda przejrzeć w Centralnej Bibliotece Krajowej we Frankfurcie wszystkie gazety, jakie ukazały się przed tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym, ale jak dotąd nikt nie zadał sobie trudu, by je zarchiwizować według słów kluczowych.

– Cukier? Śmietanka? – zapytała Ekaterina.

Odmówiłem.

– Co pani znalazła?

Ekaterina mieszała łyżeczką w swojej filiżance. Następnie wskazała nią na mały komunikat w dolnym lewym rogu gazety. *Z powodu prac porządkowych Prinz-Albrecht-Strasse jest tymczasowo nieprzejezdna* – przeczytałem.

– Jeden z moich kolegów pracuje jako współpracownik naukowy na Wolnym Uniwersytecie – powiedziała Ekaterina. – Udało mu się ustalić, że noc wcześniej doszło do wyjątkowo silnego ataku bombowego na Berlin. Podczas bombardowania mocno ucierpiało Więzienie Ludowe przy Prinz-Albrecht-Strasse. Jest całkiem możliwe, że w ogólnym zamieszaniu powiodła się jedna lub nawet kilka ucieczek. W żadnym wypadku aż do następnego przedpołudnia nie mogły tam odbywać się egzekucje.

– Ale nie ma żadnych wiarygodnych poszlak. Nikt nigdy stamtąd nie uciekł.

Marie-Luise i Ekaterina wymieniły spojrzenia, ale nic nie powiedziały.

Sięgnąłem po marynarkę i włożyłem ją.

– Chcicie mnie przekonać, że Natalia Czeredniczenkowa po tym, jak została skazana na śmierć za kradzież i paserstwo, w ostatniej sekundzie uciekła z najpilniej strzeżonego więzienia Gestapo w Berlinie dzięki gradowi bomb? To absurd. To niemożliwe.

– Jest jeszcze coś – powiedziała Ekaterina. – Olga Warszenkowa. Pracowała u chłopca, w powiecie Havelland. Czterdzieści kilometrów za miastem.

– Olga nie żyje – mruknęłam.

– Ale chłopak żyje – odparła Marie-Luise.

Rozdział 20

Gdy Marie-Luise zobaczyła porsche, zdecydowanie odmówiła pojechania nim do landu, w którym stopa bezrobocia przekracza dwadzieścia procent; wzięliśmy jej samochód.

Prowadziła płynnie, ale ruch był spory, dopiero koło Döberitz zrobiło się lepiej, kiedy szosa rozszerzyła się do czterech pasów. Samochody ciężarowe dudniły, mijając balkony i okna przystrojone geranium. Na dachach dawnych koszar radzieckich rosły brzoźki. Zagracone balkony, potłuczone szyby, powyrywane okna. Niektóre budynki przypominały wielkie stare wille; dźwigały one swoje w połowie zerwane dachy ze stoickim opanowaniem podupadającego pomnika, który służy już tylko jako miejsce spoczynku gołębiom.

Za Nauen zaczęła się wieś.

– Zobacz! Bociany!

Byliśmy niemal trzydzieści kilometrów od Berlina. W Ribbeck zatrzymaliśmy się przy większym skrzyżowaniu, ponieważ wypatrzyłem namalowany ręcznie szyld zachwalający galaretę z pieczonymi ziemniakami. Marie-Luise zaparkowała, wyjęła mapę ze schowka na rękawiczki i wysiadła.

– Jestem głodny – oświadczyłem.

Zamówiłem u znudzonego i chyba lekko wstawionego wątego mężczyzny stojącego za kontuarem samochodu z przekąskami dwa razy polecane danie. Chyba nie liczył już na klientelę i wydawał się mieć nam za złe to zamówienie. Marie-Luise usiadła przy jednym z dwóch chybotliwych stolików barowych i rozłożyła mapę.

– Klemmen – powiedziała. – To nawet na tej mapie tylko maleńka kropeczka. Zapaliła papierosa. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

– Jeszcze kawałek w stronę Brandenburga, a potem w lewo do Retzow.

– Grusza – powiedziałem.

– Co? – spytała.

– Z tyłu. Grusza starego Ribbecka.

Uniosła wzrok i zaśmiała się. Nad nami kilka jaskółek odbywało wieczorne loty.

– *Pan von Ribbeck na Ribbeck w Havelland miał gruszę w swym ogrodzie.*

– *I przyszła piękna jesień, a gruszki złociły się wszem wobec...*

– *Kiedy dzwony dzwoniły na dwunastą, pan von Ribbeck czekał z kieszeniami pełnymi gruszek. A gdy dróżką przechodził chłopiec, wołał...*

– *„Chłopcze, chcesz gruszkę?”*

– *A gdy przechodziła mała dziewczynka, wołał „Podejdź tu dziewczę...”*

– Dwa razy galareta z pieczonymi ziemniakami.

Talerze zadźwięczały na stole, zagoniony do roboty tuż przed końcem dnia pracy kucharz popatrzył na nas i pokręcił głową.

– Już mi się niedobrze robi, jak słyszę ten wierszyk.

Wśliznął się z powrotem do swojego samochodu i straszliwie łomocząc, zaczął zmywać. Marie-Luise parsknęła w swoje pieczone ziemniaki, ja także musiałem się zaśmiać. Były smaczne. Chrupiące, świeże, z dużą ilością cebuli i słoniny. Także galareta była wyśmienita. Kiedy skończyliśmy, postanowiliśmy, dla czystej przyjemności, jeszcze nieco podręczyć faceta i zamówiliśmy dwie kawy. Następnie zapłaciłem, zabraliśmy plastikowe kubki i poszliśmy w dół ulicy.

– Potomkowie robią dzisiaj sznapsa z gruszek – wyjaśniła Marie-Luise i upiła łyżeczek gorącej kawy. Staliśmy przed dumnym, starym dworem; łatwo mogłem sobie wyobrazić, że mógł on zainspirować Fontanego do napisania słynnej ballady.

– *Mijają lata raz lepiej, raz gorzej, nad grobem wyrosła ogromna grusza...* To bajka. Parabola. Stary prosi, żeby mu włożyć gruszkę do grobu, i dekady później dobro znów przynosi owoce.

Przystawiła do ust plastikowy kubek i wypięła ostatni łyk kawy. Słońce akurat postanowiło zrobić wszystko, by niebo nad Ribbeck uczynić prawdziwie romantycznym. Było cicho, tylko liście drzew szumiały lekko, poruszane ciepłą wieczorną bryzą. Próbowałem wyobrazić sobie, jak by to było, gdybyśmy byli na zwyczajnej wycieczce w piękny wiosenny wieczór. Nie byłoby w okolicy żadnych dawnych obozów robotników przymusowych, a pola, na których kwitł rzepak i dojrzewała kukurydza, nie były uprawiane przez Francuzów, Ukraińców oraz Polaków, i życzyłem sobie, żebyśmy byli krajem bez przeszłości.

– Wszystko wraca – powiedziała cicho Marie-Luise. – Dobro i zło. Można na nie narzucić hałdy ziemi i głęboko zakopać, a i tak wyjdzie na wierzch.

– Nie chcę już tego drążyć – odparłem.

Marie-Luise ścisnęła usta i wydała przez nos pogardliwy dźwięk.

– Już nie chcę grzebać się w prywatnych sprawach ludzi, którzy są mi bliscy – powiedziałem.

– No tak, w takim razie masz pecha. Od tej chwili będę uważać się za adwokata Natalii Czeredniczenkowej. Dowiem się, co się wtedy wydarzyło. Niezależnie od tego, czy to pasuje rodzinie Zernikow, czy też nie. – Podeszła do mnie o krok bliżej. – Czy tobie to pasuje, czy nie.

Przejeżdżaliśmy przez wsie, w których szkolne internaty nazywały się Czerwona Gwiazda, a druga wojna światowa, sądząc po pomnikach na głównych placach, została wygrana wyłącznie przez Armię Czerwoną. Klemmen składało się, jak większość brandenburskich wsi, z głównej ulicy, która na środku obiegała kościół, a trzy tuziny parterowych domków opuszczała równie niespektakularnie, jak do nich docierała. W rozproszonym świetle granatowego zmierzchu zatrzymaliśmy się przed niskim domem, który po lewej i po prawej był flankowany przez wysokie mury, uniemożliwiające zajrzenie na posesję. Kiedy wysiedliśmy i podeszliśmy do drzwi, zaczął za nimi ujadać owczarek. Zadzwońłem.

Nic się nie poruszyło. Zadzwońłem jeszcze raz. Trzy domy dalej zaczął ujadać kolejny czworonóg, potem włączały się kolejno wszystkie kundły z sąsiedztwa. Za oknem poruszyła się firanka. Marie-Luise minęła mnie zdecydowanie i położyła palec na przycisku dzwonka. W domu dało się słyszeć głośnie dzwonięcie.

– Milord! Dość!

Pies rzucił się na drzwi.

– Milord! – W głosie mężczyzny wyczuwało się złość.

W tym momencie drzwi otworzyły się. Starszy mężczyzna w gumowcach i kombinezonie roboczym trzymał mocno za obrozę psa, który niemal dusił się ze złości.

– Pan Kährnich?

– Tak.

– Proszę wybaczyć, że niepokoiimy o tak późnej porze. Ja... My...

Zgubiłem wążek. Co powinienem mu powiedzieć? Milord rzeził.

– Nie zechciałby pan puścić psa? – spytałem, żeby zyskać na czasie.

– Do rzeczy, czego chcecie?

Milord skomlał, zapewne chcąc przypomnieć panu, że chętnie usłyszałby komendę: Bierz!

– Tak, a zatem... – Marie-Luise zacięła się.

Oczy Kährnricha zwięziły się w wąskie szparki. Nachylił się do psa.

– Przyjaciel.

Milord nagle stał się sympatycznie machając ogonem przytulanką, która przyjaźnie obwąchiwała nasze buty. Nie chciałbym, by w jego obecności komuś przeszło przez usta słowo „wróg”.

– Czego więc chcecie się państwo dowiedzieć?

– Czy pod koniec drugiej wojny światowej pracowała u pana Olga Warszenkowa? Robotnica cudzoziemska?

Kährnrich podrapał się po głowie. Wstrzymałem oddech.

– Robotnica cudzoziemska? – zapytał. Przytaknęliśmy równocześnie. – Brednie.

Zatrzasnął nam drzwi tuż przed nosem.

– Chodź. To nie ma sensu – powiedziałem.

Jednak ona wyciągnęła rękę i ponownie zadzwoniła. Milord, wspierany przez kumpli, znów wściekle ujadał. Miałem nadzieję, że wszystkie mury Berliner Strasse są tak wysokie jak ten tutaj.

– Odejdźcie, bo wypuszczę psa! – Kährnrich brzmiał poważnie. Wzdłuż drogi otwierały się okna, zainteresowani sąsiedzi zajmowali dogodne pozycje.

– A Natalia? – zawołała Marie-Luise głośno, by przekrzyczeć Milorda. – Czy pamięta pan jeszcze Natalię Czeredniczenkową, którą pan tutaj ukrywał?

Milord ucichł.

– Ona ma teraz córkę. Potrzebuje naszej pomocy. Pańskiej pomocy.

Byłem już w połowie drogi do samochodu, ale teraz zatrzymałem się i obróciłem w stronę domu. Drzwi uchyliły się na szerokość dłoni, pojawiła się w nich kanciasta czaszka.

– Jej córka? – spytał Kährnrich. – Ta mała ma córkę?

Marie-Luise przytaknęła. Kährnrich cofnął się i otworzył szerzej drzwi. Mogliśmy wejść.

Znaleźliśmy się w pokoju dziennym przy okrągłym stole, na którym błyskawicznie wylądowały wiejska wątrobianka i kaszanka, grube pajdy

chleba i dzbanek cydru. Córka właściciela domu, zaokrąglona kobieta w wieku ponad pięćdziesięciu lat, o zdrowym kolorze twarzy, namawiała nas do jedzenia. Sam Kährnich grzebał w drewnianej szafie, aż w końcu wyciągnął z niej stary album ze zdjęciami. Zamaszystym ruchem ręki zrobił miejsce na stole i położył go.

– To ja i moja żona. Dość wcześnie wzięliśmy wtedy ślub. Dzisiaj już nikt nie chce o tym pamiętać, ale połowa wsi mówiła po polsku. Później doszli do tego Francuzi. A potem Rosjanie. Wtedy nazywało się ten region Małą Rosją.

Dwie młode, szczere twarze w czarno-białym ujęciu. Odświętny strój na wizytę u fotografa. Przerzucił kilka kartek. Zaprzęg koński na polu ze zbożem, tuzin mężczyzn i kobiet przy pracy.

– Nie mieliśmy dużo, ale u nas nikt nie musiał głodować. A przy drodze do Samtowitz znajdował się obóz, latem zawsze można było znaleźć puste muszle ślimaków. Tak bardzo głodowali. Muszle ślimaków, to byli Francuzi.

Marie-Luise przebiegł dreszcz. Nie wiedziałem, czy brzydziła się ślimaków. Być może po dwóch kanapkach z kaszanką potrzebowała teraz dobrego sznapsa.

– Czy Olga Warszenkowa u pana pracowała? – spytałem. Chciałem w końcu przejść do sedna.

Kährnich skinął głową.

– Jak długo?

– Dość długo. Od czterdziestego pierwszego do końca wojny. Moja żona mogłaby państwu więcej o tym opowiedzieć. Ona była naprawdę blisko z Olgą. A potem zjawiała się jeszcze ta mała z Berlina...

– Natalia? – zapytała Marie-Luise.

Kährnich rzucił spojrzenie córce, które ta bez słowa zrozumiała. Uprzątnęła naczynia ze stołu i opuściła pomieszczenie.

– Moja żona zmarła w ubiegłym roku. – Kährnich zamilkł wpatrzony w swój jabłecznik. – To była ciężka zima na przełomie czterdziestego czwartego i piątego – podjął. – Dzisiaj czasami pokazują coś na ten temat w telewizji. O uciekinierach, jak przechodzili po lodzie. Ale o tych, którzy byli tutaj, nic nie pokazują. To nie interesuje nikogo.

Marie-Luise nachyliła się w jego stronę.

– Mnie interesuje. Co się wtedy wydarzyło? I jak to się stało, że Natalia zjawiała się u pana?

Kährnich znów milczał. Następnie potarł sobie starymi, silnymi dłońmi oczy.

– Moja żona nie chciała mi tego powiedzieć. Ale to się daje zauważyć. Kiedy w domu panuje głód, daje się wyczuć, że jest dodatkowa osoba do wyżywienia. Pewnej nocy zaskoczyłem je na strychu z sianem. Wszystkie trzy. Najchętniej bym ją zatłukł, jak dzikie koty, które wszędzie się pałętały. Mała trzęsa się ze strachu, Olga nagle chwyciła za widły, a moja żona... ona mnie powstrzymała. Nie chciała żadnego nieszczęścia. A więc jej nie zatłukłem. I dobrze się stało. Kiedy przyszli Rosjanie, obie wyszły i porozmawiały z nimi. Dowódca powstrzymał swoich ludzi. U nas nie plądrowano. – Kährnich nie patrzył na nas. Jego spojrzenie uciekało na bok, przez ciemny prostokąt okna na podwórze. – Kilka dni później jednak dorwali moją żonę... Rosjanie. W Retzow. To wszystko w niczym nie pomogło. Olga i ta mała już sobie poszły.

Otworzyły się drzwi i weszła córka, niosąc tacę z czterema małymi kieliszkami. Nareszcie. Kährnich spojrział na nią i uśmiechnął się. Kiedy postawiła przed nami kieliszki, przez moment przytrzymał ją za rękę. Kobieta przyjaźnie skinęła głową i znów wyszła. Kährnich wznosił kieliszek i za jednym zamachem wychylił całą jego zawartość. Zrobiliśmy to samo. Gruszkówka.

– Ona niczemu nie jest winna – powiedział i odstawił kieliszek. – Dla mnie jest moją córką.

W końcu zrozumiałem.

Marie-Luise uśmiechnęła się i pociągnęła dalej.

– Ta mała, jak ją pan nazywa, to była Natalia Czeredniczenkowa?

Kährnich wzruszył ramionami.

– Całkiem możliwe. To było tak dawno temu. Trzeba by pokopać.

Wstał i podszedł do drzwi domu. Wahając się, poszliśmy za nim. Milord poderwał się ze swojego miejsca i czekał na polecenia. Kährnich wziął kurtkę i wyszedł.

– Gospodarstwo ma dwieście lat – powiedział. – Typowa dla powiatu Havelland czworoboczna zabudowa. To, co tu jest, to teraz prawdziwe antyki.

Wskazał na sprzęty na środku podwórka. Pług, kopaczka do kartofli, motyka do buraków, kultywator. Wziął do ręki szpadel. Otworzył drzwi do niskiej obory. Marie-Luise bez wahania poszła za nim, ja jeszcze raz obejrzałem się za siebie. Pomyślałem o samochodzie i wielu świadkach, którzy nas tu widzieli. Kährnich chyba nie miał zamiaru zrobić z nami tego, co z dzikimi kociętami. Ponadto był wprawdzie silnym, ale jednak już starym mężczyzną.

Tylko Milord trochę mnie niepokoił.

Powitało nas dzikie beczenie. Słaba żarówka oświetliła wnętrze obory. Owce i kozy przebudziły się.

– Zróbcie nam tu miejsce. – Kährnich uspokoił je uniesionym szpadlem. Temu wezwaniu, gdybym był owcą, natychmiast bym się podporządkował. Następnie poszedł do narożnika obory i zaczął opukiwać ziemię. Podeszliśmy bliżej. Odgłos stukania zmienił się. Zadudniło pustką.

Kährnich wyprostował się.

– Nie znam rosyjskiego. Ale kiedy ktoś się boi, chociaż widzi na zewnątrz rodaków przejeżdżających ze zwycięskimi czerwonymi flagami, to coś musi być nie tak. Moja żona widziała, jak te dwie tutaj kopały. Opowiedziała mi o tym. Ale przez sześćdziesiąt lat nie chciałem się dowiedzieć, co tu zostało zakopane.

Przekazał szpadel Marie-Luise.

– Teraz też nie chcę. Zostawcie go przy ścianie domu, kiedy skończycie.

Poszedł.

Marie-Luise podała mi szpadel. Postukałem w ziemię, dokładnie tak samo, jak robił to Kährnich. Pod deskami znajdowała się pusta przestrzeń. Uklęknąłem i próbowałem unieść deski. Kiedy to się nie udało, użyłem szpadla jako dźwigni. Kozy nieprzerwanie komentowały moje wysiłki. Nie sądziłem, że „beee” może brzmieć tak ludzko.

– Dajesz radę? – zapytała Marie-Luise.

– Potrzebuję więcej światła.

Rozejrzała się dokoła, ale nie znalazła niczego, co mogłoby się przydać. Jedna z desek ruszała się. Włożyłem pod nią szpadel i całym ciężarem nacisnąłem na styliśko. Deska oderwała się i poleciała łukiem w sam środek beczącego stada, które się rozpierzchnęło.

– Tutaj.

Marie-Luise trzymała zapalniczkę nad otworem. Miał mniej więcej wielkość kartonu na buty i był głęboki na łokieć. Na ziemi leżało coś ciemnego. Wyjąłem to. Owinięta w tkaninę mała paczuszka, przewiązana wstążką. Próbowałem rozsupłać węzeł, ale był zbyt mocno zaciągnięty. Marie-Luise wzięła z moich rąk paczuszkę.

– Ostrożnie! – krzyknąłem, jednak ona już przyłożyła płomień do wstążki, która w tym miejscu się nadtopiła, a następnie rozerwała. Marie-Luise oddała mi zapalniczkę i pośpiesznie rozwinęła pakunek. Po chwili trzymała w ręce

dwa cienkie zeszyty. Przyświeciłem jej tak dobrze, jak tylko się dało. Były to książeczki pracy. Pierwsza wystawiona na Olgę Warszenkową. Zanim otworzyła drugą, Marie-Luise krótko na mnie spojrzała. Przełożyła pierwszą kartkę i zobaczyłem twarz Milli. Bardziej poważną i węższą, z dużymi oczami, podobną i obcą, dziecięcy portret starej kobiety. Natalia Czeredniczenkowa, urodzona 14 czerwca 1931 roku w Kijowie. Marie-Luise przerzucała kolejne kartki. Jej praca zaczęła się w Schöneberg przy budowie bunkra telekomunikacyjnego, potem była zatrudniona przy obróbce surowca podstawowego prochu w fabryce amunicji w Spandau, a następnie u Wilhelma i Irene von Zernikow jako opiekunka do dziecka.

Płomień zadrgał jeszcze raz i w końcu zgasł. Gaz skończył się. Przy przytłumionym świetle żarówki zakryłem dziurę w podłodze deską. Następnie rozsypałem na nią słomę. Szpadel oparłem o drzwi obory. Milord gwałtownie uniósł głowę, ale pozwolił nam przejść.

W samochodzie Marie-Luise przeszukała swoją torebkę, wyjęła papierosy i nacisnęła przycisk samochodowej zapalniczki. Po kilku sekundach wyskoczył. Chociaż żar był słaby, oślepił mnie.

– Przeklinam nasze czasy, wiesz? Nasze nieskończone możliwości wyboru. Dziecko albo bez dziecka. Małżeństwo albo stan wolny. Praca zawodowa albo rodzina. I zawsze kiedy coś idzie nie tak, musimy skonfrontować się z faktem, że sami jesteśmy sobie winni. Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Prawie nic nie widzę – odpowiedziałem rozdrażniony. Prysnałem płynem na szybę, która natychmiast została przemieniona przez wycieraczki w nieprzeniknione mazidło.

– Życzyłabym sobie tylko jednego losu – powiedziała cicho. – Wiesz, czego się najczęściej boję? – zapytała. Wzruszyłem ramionami. – Że w jakiś idiotyczny sposób Bóg jednak istnieje.

– Dlaczego?

– Wyobraź sobie, że prawdą jest wszystko, co ci opowiadano. To wtedy trafiłabym do piekła.

– Dlaczegoż to akurat ty miałabyś trafić do piekła?

– Ponieważ... Ponieważ wiem. Wiem, że poszłabym do piekła, gdyby Bóg istniał. Mogę się zatem tylko modlić, żeby jednak nie istniał.

– To anachronizm.

– To moje całe życie – powiedziała.

Rozdział 21

Po tym, jak odwiozłem Marie-Luise na Mainzer Strasse, kłóciliśmy się jeszcze chwilę o to, kto powinien zatrzymać książeczki pracy. Zdołałem postawić na swoim i pojechałem z nieczystym sumieniem do domu. Przez moment, kiedy zobaczyłem mercedesa w garażu podziemnym, poczułem ulgę. Następnie przyszło mi na myśl, że pewnie odwiózł ją kierowca. Ciemne mieszkanie nie wyglądało zbyt obiecująco. Mimo to zamknąłem drzwi tak cicho jak to tylko możliwe i nie włączyłem światła na korytarzu. Po ciemku zdjąłem buty i podreptałem do sypialni. Nacisnąłem klamkę – zamknięte.

Sięgnąłem do włącznika światła. Przez chwilę byłem oślepiiony, następnie spróbowałem jeszcze raz, ale drzwi pozostały zamknięte. Obróciłem się. Ktoś rzucił moją pościel na tapczan. Uniosłem rękę i chciałem zapukać w drzwi, ale potem zrezygnowałem i opuściłem ją.

Nie teraz. Nie dziś wieczorem.

Nasłuchiwałem, jednak z sypialni nie dochodził żaden dźwięk. Przypuszczalnie Sigrun już spała mocno i głęboko. Mam nadzieję, że bez koszmarów z potworem w roli głównej, wyglądającym jak ja.

Przyniosłem sobie kostki lodu z zamrażalnika i nalałem do szklanki wódki na wysokość dwóch palców. Następnie ułożyłem sobie miejsce na sofie.

Wyciągnąłem z kieszeni marynarki książeczki pracy. Zastanawiałem się, gdzie byłyby najbezpieczniejsze. Naturalnie mieliśmy w mieszkaniu sejf. Przechowywaliśmy w nim papiery wartościowe Sigrun, umiarkowaną kwotę pieniędzy na wszelki wypadek oraz kilka szkatulek z rodzinną biżuterią. Ja nie posiadałem niczego, co warto by było przechowywać w sejfie. Prawdę mówiąc, nie miałem nawet wystarczająco dużo, by opłacało się włamanie. Wszystko, co posiadałem, to pewna liczba kart kredytowych, rachunek oszczędnościowo-rozliczeniowy na plusie i przyzwoita garderoba. Nie pracowałem w kancelarii wystarczająco długo, by dorobić się bogactw.

Wcisnąłem książeczki pracy w szparę między oparciem a poduszką. O ile mi

wiadomo, jeszcze nigdy sprzątaczką nie zdobyła się na tak gruntowne porządki, by tam zajrzeć.

Jednym haustem wypłem wódkę i próbowałem sobie przypomnieć, jak się nazywa nasza pomoc domowa. Nie wiedziałem. W każdym razie była to dziewczyna. Zatrudniona legalnie, na kartę podatkową i dobrze opłacana, ale bezimienna. Nie była to opcja wiele lepsza niż Anna, Paula lub skarbie.

Powinniśmy rozmawiać. Wszyscy. O wiele więcej rozmawiać. Odpowiednio rozmawiać.

Przyniosłem sobie jeszcze jedną wódkę, następnie rozebrałem się. Nago opadłem na sofę i zastanawiałem się, kiedy i gdzie mógłbym najlepiej przechwycić Sigrun.

Poszedłem na korytarz. Jej torebka stała tam gdzie zawsze, kiedy przychodziła do domu. Sigrun była pierwszą kobietą spośród tych, jakie poznałem, która nie robiła ze swojej torebki zestawu survivalowego. Kiedy dzień pracy się kończył, po prostu już jej nie potrzebowała. Sięgnąłem do niej i wyciągnąłem jej organizer. Potem wróciłem do pokoju dziennego i zapaliłem świeczkę na stoliku pomocniczym. Nie miałem wyrzutów sumienia. W tym schludnym notatniku zapisywała tylko terminy spotkań służbowych. Sprawy prywatne już od dawna do niego nie trafiały. Otworzyłem na sobocie. *Pocz. wal. wyb., plak., godz. 10.00, RE*. W rozwinięciu oznaczało to: początek walki wyborczej, rozlepianie plakatów, Roseneck.

Wziąłem długopis i dopisałem do tego: *godz. 11.00, rozm. się z J. Uwierzyć. Wybaczyć*. W nawiasie dodałem do tego: *(seks)*. Z powodu późnej godziny wydało mi się to dowcipne i chciałem właśnie zamknąć kalendarz, kiedy wypadł mi z ręki i upadł na wykładzinę podłogową. Miałem zamiar dopisać za słowem „seks” znak zapytania. To, że tak powiem, miało ująć mojemu wpisowi ostrości i zademonstrować niezdecydowanie, tak żeby ona mogła z humorem i wspianiałomyślnością przymknąć oczy na moje wady. Szukałem odpowiedniej daty. Kalendarz otworzył się na wtorku w tym tygodniu. *9.30 pos. kom. społ. 11 j świet. d. młod. Grünau (Ulag.). 13 h Wittk. Vau*. Wittkowski był rzecznikiem do spraw polityki kulturalnej frakcji. Wpisy były skrócone tak bardzo, że nie sposób się było zorientować, o co chodzi. Przypuszczalnie tylko Sigrun wiedziała, co kryło się za *RfO/Schwztz*. albo za *FSpWi. § 9! – su.Rtg.* albo *00.00 h. M. Czer*.

Północ. Wtorek. *M. Czer*.

Zaschło mi w ustach. Wlałem w siebie resztę wódki ze szklanki, następnie

zdmuchnąłem świeczkę i odniosłem organizer z powrotem do torebki Sigrun. Znalazłem się przed zamkniętymi na klucz drzwiami do sypialni. Czy powinienem wejść i natychmiast zapytać, co ma znaczyć ten wpis? *M. Czer. godz. 00.00.* We wtorek. Mocne czerwone wino, by lepiej zasnąć? Mężni Czerkiesi? Miasto Czerkasy?

A może spotkanie z młodą kobietą, nazywającą się Milla Czeredniczenkova, która potem zniknęła?

Nie spało mi się zbyt wygodnie na sofie. Nie miałem piżamy, było mi zimno. I wiedziałem, że nie mogę już ufać absolutnie nikomu.

Rozdział 22

Roseneck. W samym sercu okręgu wyborczego Sigrun.

Zostało zorganizowane małe spotkanie z prasą. Nawet nie dziesięć kroków od słupa latarni jej partia rozstawiła niewielki punkt informacyjny, z którego w ciągu nadchodzących tygodni Sigrun miała kompetentnie i optymistycznie uśmiechać się do mnie. Pięciu członków lokalnej organizacji wyposażonych w argumenty i gadzety reklamowe było gotowych dać się poćwiartować za swoją kandydatkę numer jeden. Pojawił się niecały tuzin dziennikarzy, by zrelacjonować ten godny zapamiętania moment. Poczęstowano ich kawą. Bułeczek nie było, jak poinformowano niezadowolonego fotografa, kasy świecą pustkami, więc nie będzie też kanapek. Skierowano go do znajdującej się nieopodal Cukierni Wiedeńskiej.

Tym fotografem był Dressler. Brettschneider stał kilka kroków dalej i szukał czegoś w folderze.

Trzymałem się z tyłu. Kiedy Sigrun miała spotkanie o dziesiątej, była na nogach co najmniej od ósmej. Zastanawiałem się, czy przeczytała już moją notatkę. Miałem nadzieję, że nie. Wolałbym mieć możliwość wykorzystania atutu zaskoczenia.

Dressler przyczłapał z powrotem z torbą bułeczek, wziął sobie kawę i kręcąc głową, oglądał wannę do mycia nóg na wystawie sklepu z artykułami gospodarstwa domowego. Zjawiła się ekipa telewizji ZDF i zajęła dogodną pozycję. Praktykantka agencji prasowej z wyciągniętym notesem i niesłychanie brzydkimi okularami przywitała się z koleżanką zbyt wylewnie, żeby ją rzeczywiście lubić. Było kilka minut po dziesiątej.

W tym momencie pojawił się samochód wyborczy. Renault mégane oklejony trzema wielkimi literami jedynej prawdziwej partii środka i podobiznami Sigrun. Jeździł nieco chaotycznie w tę i z powrotem, ponieważ tak się głupio złożyło, że bezpośrednio przed latarnią nie było parkingu. Prasa zajęła pozycje, samochód wyborczy włączył światła awaryjne i ustawił się na

drugim pasie.

– Nie, nie, nie – jęczał Dressler obok mnie. – To nie wypada.

Obróciłem się ku niemu, ale mnie nie zauważył. Oczarowała go bowiem praktykantka w okularach. Wyszła z gromady i tak jak my zatrzymała się nieco na uboczu. Zapisywała coś w swoim notesie.

Z samochodu wysiadł mężczyzna i otworzył Sigrun drzwi. Wyskoczyła na ulicę, wyczęta, uśmiechnięta, kompetentna aż po koniuszki starannie ułożonych włosów, i poszła na tył, by otworzyć bagażnik.

Sigrun wyjęła aluminiową drabinę, którą jeden z członków lokalnej organizacji niemal wyrwał jej z rąk. Mężczyzna, który otworzył jej drzwi, podał pierwszy plakat. Uniosła go w górę, prostując ramiona w geście zwycięskiego gladiatora. Następnie wspięła się na drabinę, podano jej obcęgi i drut, odcięła z niego kawałek i przymocowała plakat do słupa latarni.

Więcej przyszłości! – Sigrun Zernikow.

Naturalnie „von” w nazwisku pominęła. Było to najbardziej znane pominięcie „von” w całym Berlinie.

– Więcej przyszłości! Nic lepszego nie przyszło im do głowy. – Dressler z niechęcią kilka razy nacisnął na wyzwalacz. – Miasto jest bankrutem, kraj butwieje, nasze dzieci idiocieją, to jest terażniejszość. Jak zatem będzie musiała wyglądać przyszłość?

Praktykantka uniosła rękę do okularów i rzuciła na Dresslera trudne do rozgryzienia spojrzenie.

– Pan wybiera zapewne Partię Demokratycznego Socjalizmu, co?

– Tutaj! – krzyczeli koledzy. – Uśmiech!

– W ogóle nie biorę udziału w wyborach.

– Tym samym zostawia pan kraj radykałom – powiedziała praktykantka. Dressler bez entuzjazmu zrobił kilka kolejnych zdjęć.

– Ci tutaj są dla mnie wystarczająco radykalni. Wszyscy mają nieczyste sumienia. Nie ma przecież wśród nich nikogo...

Przyklęknął i przyjął pozycję zaglądnącego pod spódnicę. Cieszyłem się, że Sigrun nie włożyła dzisiaj kostiumu. Była ubrana w wyprasowane džinsy i koszulkę polo w kolorze różowym. Włosy opadały jej luźno na ramiona. Wyglądała krzepko. Pięknie. Optymistycznie. I musiała pozować do zdjęć przed czymś takim, co akurat tuż przede mną tarzało się w kurzu. Dysząc dramatycznie, Dressler znów stanął na prostych nogach. Pięćdziesiąt kilka lat, nadwaga, nadciśnienie. Wolny strzelec, splukany z pokładu podczas jednej

z fal zwolnień w ostatnich latach, wyrzucony na mieliznę, żałosna egzystencja.

– Nie ma wyjątków – powiedział.

Praktykantka podeszła do grupy dziennikarzy. Sigrun odpowiadała na pytania dotyczące programu wyborczego, różnych oszustw związanych z darowiznami, które wszystkie, Bogu dzięki, wydarzyły się w innych krajach związkowych, zamykania przedszkoli i stawek podatkowych dla przedsiębiorców. Uśmiechała się przy tym i promieniała, dzięki czemu cały brud i błoto spływały po niej.

– Także ona ma swojego trupa w piwnicy.

Dressler rozejrzał się za swoją rozmówczynią. Mnie wciąż jeszcze nie dostrzegł. Tymczasem podszedł do niego Brettschneider. Zobaczył mnie natychmiast i uklonił mi się. Następnie stanął obok swojego fotografa.

– No i co, wszystko pstryknięte?

– To wzbudza we mnie obrzydzenie, brzydzi mnie – mamrotał Dressler. – Popatrz tylko na tę kobietę. Chronicznie niewydymana. Zrobiłaby przecież wszystko dla grubego kutasa. Prawdopodobnie codziennie ciągnie rządzącemu, żeby po wyborach...

Poklepałem go po ramieniu, a kiedy obrócił się, trzasnąłem go pięścią w szczękę. Najpierw spojrzał na mnie zdumiony, następnie na chodnik upadł jego aparat, a potem on sam. Dziennikarze odwrócili się, obiektywy aparatów zwróciły się w tę samą stronę co ich spojrzenia i skupiły się na mnie.

– Joachim!

Sigrun przecierała sobie drogę przez tłum.

– A co ty tu robisz?

Fotograf złapał się za podbródek i przyglądał się kropelce krwi. Następnie spojrzał na aparat, który przetrwał upadek w stanie równie nieuszkodzonym jak on.

– Zapłaci mi pan za to! – darł się. – Pozwę pana! O zadośćuczynienie za ból!

Brettschneider pomógł podnieść się swojemu fotografowi, a potem zwrócił się do mnie.

– Tego nie wolno było panu zrobić, panie Vernau. Tego nie.

Masowałem sobie prawą rękę. Wśród obecnych rozległy się pomruki.

– Pan jest partnerem życiowym pani Zernikow? – zapytał reporter radiowy i już wyciągał w moim kierunku mikrofon.

Sigrun chwyciła mnie pod ramię i pociągnęła w kierunku samochodu wyborczego.

– To koniec, moje panie i panowie. Macie już swoją historię.

Wołano za nami i pstrykano. Sigrun otworzyła drzwi samochodu i wepchnęła mnie do środka. Następnie wgramoliła się za mną. Zamykając drzwi, przytrzasnęła wciskającego się w szparę Dresslera.

– Wszyscy mają nieczyste sumienie. Także ty! – syknął. Mężczyzna, który wcześniej otworzył Sigrun drzwi, i jeden z rozdających ulotki pociągnęli go do tyłu. Ten się nie dawał, miał niespodziewanie dużo siły. Sigrun obwarowała się w rogu samochodu, ja zamknąłem drzwi. Dressler wyrwał się.

– Rosjanka – plunął. Drobne kropelki śliny osiadły na mojej twarzy. – Wy wiecie, gdzie ona jest. Gdzie ją wywieźliście?

Teraz wreszcie dobrze go złapali i odciągnęli. Drzwi zostały zatrzaśnięte, auto ruszyło i przejechało przez skrzyżowanie na żółtym świetle. Popędziliśmy siedemdziesiątką w dół Hubertusallee.

Sigrun odetchnęła głęboko i odgarnęła włosy do tyłu. Drżała.

– O co mu chodzi z tym, że zniknęła? Bogu dzięki, że już jej tu nie ma! Wszyscy chcieli, by zniknęła! Czy to się nigdy nie skończy?

Grzebała przy zapięciu swojej torebki. W końcu udało jej się wyjąć małe lusterko kieszonkowe i przejrzeć się w nim. Z wściekłością zamknęła je i z powrotem schowała.

– Prawdopodobnie wróciła tam, skąd przyszła.

– Sigrun...

– Co on jeszcze powiedział?

– Nic.

Westchnęła jeszcze raz.

– Nie opowiadaj bzdur. Co on powiedział? Przecież musiał coś powiedzieć. Chcę to wiedzieć.

Milczałem. Poczekała chwilę, następnie uderzyła pięścią w oparcie fotela.

– Proszę stanąć!

Kierowca natychmiast wcisnął hamulec. Poleciałem nieco do przodu. Sigrun otworzyła drzwi i nie zważając na ruch uliczny, wysiadła wprost na jezdnię. Rozległo się ogłuszające trąbienie. Wysiadłem za nią i pociągnąłem ją za ramię na chodnik.

– Okej. Utałem mu nosa. Z rycerskości. I z tego samego powodu nie zdradzę ci, co powiedział.

– Spadaj!

Kierowca nieco niezgodnie z przepisami zaparkował samochód i z z troskaniem patrzył na nas.

– Chciał cię przelecieć.

– Co?

– Tak. Powiedział, że... no...

– Ta tłusta świnia chciała mnie...

Odwróciła się i zakryła sobie usta ręką. Zaczęła się śmiać. Wydawało mi się to nieprawdopodobne. Zachowywała się jak nastolatka, której ktoś właśnie powiedział komplement.

– Byłeś zazdrosny?

Gapiłem się na nią i zdecydowałem się na jedyną słuszną odpowiedź: przytaknąłem. Dała kierowcy znak, by bez niej pojechał dalej. Następnie podeszła do mnie, chowając ręce do kieszeni swojej kurtki.

– Zazdrość.

Stała naprzeciwko i wpatrzyła się we mnie.

– To nic dobrego. Trzeba próbować uwolnić się od tego uczucia. Ale nie zawsze się udaje. Mnie na przykład w ogóle się nie udaje. Tylko dlaczego nieustannie mam uczucie, że robisz ze mnie głupka?

Patrzyłem na nią w milczeniu. Mogłem ją zrozumieć. Ale nie mogłem jej niczego wyjaśnić.

– Gdzie byłeś wczoraj wieczorem?

– W drodze – odpowiedziałem. Nie zabrzmiało to przekonująco, ale jak być szczerym i nie powiedzieć prawdy? Sigrun wyczuła to i w jej głosie pojawiła się pogarda:

– A dokąd i z kim, jeśli wolno spytać?

Zmierzyła mnie ostrym spojrzeniem. Ponieważ zwlekałem z udzieleniem jej odpowiedzi, sama sobie odpowiedziała.

– Z twoją przyjaciółką adwokat? A może z tą Rosjanką?

Odwróciła się, jakby chciała ukryć uczucia malujące się na jej twarzy, i przeszła kilka kroków w tę i z powrotem.

– Musisz się zdecydować. Jedna, druga albo ja. Zanim twoje życie prywatne stanie się zbyt nieprzejrzyste.

– Sigrun...

– Nie myślisz... – krzyknęła, urwała i zaczęła jeszcze raz ciszej. – Myślisz, że nie wiem, co się dzieje za moimi plecami? Że coś jest przygotowywane przeciwko mnie, przeciwko mojej rodzinie? Myślisz, że nie wiem, że ty,

jedyny człowiek, któremu całkowicie ufałam, w tym uczestniczysz? Że ostrzysz nóż, który ktoś chce mi wbić w plecy?

Wyjęła z kieszeni spodni zgniecioną paczkę papierosów. Wprawnym rucham wyciągnęła jednego i zapaliła. Zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym na żar, który nie tlił się odpowiednio.

– Trzydzieści sztuk dziennie. Z zera na trzydzieści. Dzięki, Joachim. Jak daleko jesteście?

– Znaleźliśmy książeczki pracy. Poświadczają, że twoja babcia zatrudniała Natalię jako robotnicę przymusową.

Sigrun kiwnęła głową.

– Kto ma książeczki?

– Ja.

– Gdzie one są?

Milczałam.

– Co chcecie z nimi zrobić?

– Przestań w końcu mówić w liczbie mnogiej!

– Co ty chcesz z nimi zrobić?

– Nie wiem.

Sigrun rzuciła niedopałek na ziemię i starannie zdeptała.

– Daj mi je.

Pokręciłem głową. Na chwilę jej jasne, niebieskie oczy zrobiły się całkiem ciemne.

– Proszę – szepnęła.

– Nie mogę.

Westchnęła głęboko i znów wyjęła paczkę papierosów. Tych kilka sekund między wyjmowaniem a zapalaniem papierosa dało jej sposobność, żeby się uspokoić.

– Trzydziesty pierwszy – powiedziałem.

Uśmiechnęła się słabo.

– Robisz błąd.

Długo na mnie patrzyła. Moralną poprzeczkę zawiesiła sobie bardzo wysoko. I teraz zamierzała z dumnie uniesioną głową przemaszerować pod nią. Wiedziała to. Najgorsze dla niej było, że to akurat ja jej o tym przypominam.

– Muszę chronić swoją rodzinę, Joachim. Nawet przed tobą.

– Możesz też postąpić inaczej. Zmierz się z tym otwarcie. Co jest złego

w przyznaniu się do błędu, którego nawet sama nie popełniłaś?

– Moment. Za trzy tygodnie są wybory, arogancki, kierujący się sumieniem skurczybyku. Proszę cię po raz ostatni: daj mi te dokumenty. Jeśli w ogóle ci na mnie zależy, na mojej przyszłości, na naszym związku, oddaj je.

Sigrun spojrzała w kierunku następnego skrzyżowania. Tam parkował jej kierowca. Uniosła rękę. Kierowca włączył wsteczny bieg, poczekał, aż pojawi się przerwa w strumieniu samochodów, i podjechał do nas.

– W przeciwnym razie masz się do wieczora spakować.

Podeszła do samochodu.

– Sigrun – powiedziałem.

Uniosła rękę i spróbowała się uśmiechnąć. Nie było już emanowania pewnością zwycięstwa ani wiarą w przyszłość, lecz już znikający z policzków uśmiech, słaby jak to niewiele, które nas jeszcze łączyło. I jakbym jeszcze chciał wymazać także i to niewiele, powiedziałem:

– Wiem, co zrobiłaś we wtorek.

Zrobiła się blada jak kreda. Wsiadła do samochodu, nie spoglądając już na mnie ani razu. Przez szybę widziałem, jak wydaje kierowcy polecenie. Samochód włączył się do ruchu i pojechał w kierunku Rathenauplatz.

Nie wiedziałem, co opowiedziała swojemu ojcu. Ale w ciągu pięciu minut, jakie minęły, nim dotarłem z Roseneck do willi, świat zupełnie się zmienił.

Jego płaszcz wisiał w garderobie. Ponieważ pukanie w tapicerkę nie miało sensu, a wiedziałem, że jest w środku, po prostu wszedłem.

Utz siedział sam przy okrągłym stole w wykuszu i studiował akta. Spojrzał tylko krótko na mnie, odkręcił swoje pióro i złożył podpis na dokumencie. Ruchem głowy pokazał mi, bym zajął miejsce. Zgodnie z jego sugestią usiadłem i czekałem. Starannie znów zakręcił pióro, a następnie zdjął z nosa okulary, które nosił tylko podczas studiowania dokumentów.

– Tego się nie spodziewałem – powiedział. – Dla mnie byliście piękną parą. Ale, jak widać, ojcowska miłość zaślepia.

– Doszło między nami do różnicy zdań. Ale to chętnie omówiłbym z Sigrun przy wyłączeniu opinii publicznej.

– No tak.

Utz splótł ręce. Nic w jego twarzy nie pozwalało domyślić się, co sobie myślał.

– Życzysz sobie zatem wyłączenia opinii publicznej. Żeby nie powiedzieć: dyskrecji.

Stękając, podszedł do swojego biurka. Było to tylko siedem kroków, jednak musiał zadać sobie trud, by je pokonać. Otworzył środkową szufladę i wyjął z niej książeczkę czekową.

– Sto tysięcy. W gotówce. Poinformowałem już bank. Możesz je natychmiast podjąć. Zapewne w ten sposób twojemu życzeniu stanie się zadość.

Wypisał czek, wyrwał go i powoli podszedł do mnie. Machał przy tym papierem, aby osuszyć atrament.

– Proszę bardzo.

Położył czek przede mną na stole.

Popatrzyłem na sumę, na Utza.

– Nie jestem żigolakiem, jeśli to chciałeś w ten sposób wyrazić. To sprawa między Sigrun i mną.

– I panią Czeredniczenkową, prawda? Ewentualnie kobietą, która się za nią podaje.

Podniosłem czek, obejrzałem, a następnie podarłem na strzępy. Potem wstałem i wrzuciłem je do kosza na papiery.

– Kwota jest zbyt niska?

– Nie chcę pieniędzy.

– Czego zatem? – Utz lekko zachwiał się, oparł o oparcie krzesła. – Kopiesz. Szukasz czegoś, z czego mógłbyś ukręcić stryczek. A my cię przyjęliśmy, otworzyliśmy przed tobą drzwi. Mogłeś należeć do mojej rodziny, do kancelarii. Dlaczego, Joachim?

Pomyślałem o Marie-Luise, o Dresslerze i o tym, co może się stać, jeśli ta sprawa nie zostanie natychmiast wyjaśniona i załatwiona.

– Natalia żyje – powiedziałem. – Zdołała uciec. Ukryła się u chłopca w Brandenburgii i tam doczekała końca wojny. Potem wróciła na Ukrainę. Dzisiaj mieszka w Kijowie.

– To nieprawda.

Nie był w stanie dłużej stać. Opadł na krzesło, które niemal się załamało pod wpływem nagłego uderzenia.

– Wszystko, czego chcę, to żebyś sobie przypomniał.

Pokręcił głową i zamknął oczy.

– Tego nie zrobię. Moje wspomnienia należą do mnie. Nikt ich nie dostanie. Drzwi są zamknięte. Na zawsze.

Najchętniej potrząsnąłbym nim. Cholernie mi to utrudniali. Wszyscy członkowie rodziny Zernikow.

– W takim razie chciałbym trochę pomóc twojej pamięci. Mam dowody, że Natalia uciekła.

Utz wyjął z którejś ze swoich kieszeni chusteczkę i otarł nią sobie twarz.

– Dowody?

– Jej książeczkę pracy.

– No tak. – Schował chusteczkę. – Książeczkę pracy. Zdobyłeś ją na targu staroci? Czy może coś takiego sprzedają na czarnym rynku, żeby szantażować niewinnych ludzi?

– Znalazłem ją u chłopca, który wtedy ukrywał Natalię. Od zimy czterdzieści cztery/czterdzieści pięć do końca wojny.

– Przypuszczam, że ten chłopak nie jest wielkim właścicielem ziemskim i cieszy się z każdej formy wsparcia.

– Utz! Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– A ta złowieszczą córka z jej fantastycznymi historiami także się już nie pojawiła. Wniosek: chodzi o szantaż. Dlatego powtarzam jeszcze raz: ile?

Przez moją głowę przebiegło pytanie, które przez cały czas czekało na dalszym planie, a teraz, w decydującym momencie, pojawiło się gotowe do zadania.

– Dlaczego jesteś gotów zapłacić?

Na ustach zaskoczonoego Utza zagościł niepewny uśmiech.

– Byłeś dzieckiem. Korzystanie z pracy przymusowej w prywatnych gospodarstwach domowych nie było po wojnie ścigane. Twoja matka nie może być co prawda uznana za wcielenie dobroci, ale to także nie jest okoliczność pozwalająca kogoś szantażować. Pytanie: dlaczego jesteś gotowy tak wiele zapłacić za moje milczenie?

Patrzył na mnie gniewnie. Przez chwilę wydawało mi się, że w jego przygarbione ciało znów wstępuje siła, i przez moment obawiałem się nawet, że się na mnie rzuci.

– Ponieważ ja, w przeciwieństwie do ciebie, robię wszystko, by nie stała się krzywda mojej córce.

– Wybory – powiedziałem.

Utz wzruszył ramionami i powlókł się do drzwi, żeby je otworzyć.

– Martwa starsza kobieta.

Utz chwycił za klamkę.

– Ciemny jaguar. Wtorkowa noc na Meinekestrasse. Taki samochód zabrał Millę Czeredniczenkową spod hotelu. Wtedy zniknęła.

Jego ręka puściła klamkę, opadła.

– Jeszcze jedna martwa? – Podszedłem do niego i szepnąłem mu do ucha: – Żadne drzwi nie zostają zamknięte na zawsze. Znajdę klucz, obiecuję ci to.

Poszedłem do mieszkania i czekałem, aż minie mi złość. Utz znaczył dla mnie więcej, niż dotąd myślałem. Być może dlatego, że był ucieleśnieniem czegoś, czego zawsze brakowało mi u mojego ojca: niezawodności i lojalności. Był figurą ojca z albumu, którą zdemontowałem nieoczekiwanym atakiem. Byłem mordercą albumowo-papierowego wizerunku ojca. U Utza wyczułem strach. Słabi ojcowie nie boją się tak bardzo jak ich synowie.

Rozdział 23

Nie miałem wiele rzeczy do zabrania. Wszystko, czego potrzebowałem, zmieściło się w zestawie trzech walizek Samsonite. O wiele bardziej problematyczne było pytanie, dokąd powinienem się z nimi udać. Kiedy opuszczałem mieszkanie, zastanawiałem się, czy nie powinienem zostawić swoich kluczy. To byłby taki piękny, ostateczny gest. W końcu jednak wsadziłem cały pęk do kieszeni garnituru. Zawsze dobrze mieć pretekst, żeby jeszcze raz wrócić tam, skąd nas wyrzucono.

Jeszcze lepiej mieć w pęku kluczyki od porsche. Walizki były ciężkie i dawno, dawno temu zjawiałem się tu w końcu także z samochodem. *Quid pro quo.*

Z impetem ruszyłem w górę wjazdu i w ostatniej chwili wcisnąłem hamulec, kiedy dostrzegłem cień. Powoli toczyłem się do wyjazdu. Przede mną stał Walter z siekierą, którą ciężko ważył w rękach. Zatarasował mi drogę. Nosilem się już z myślą, żeby go po prostu potrącić. Jednak on w tym momencie odsunął się na bok z posępną miną. Skinąłem mu wesoło i przetoczyłem się obok niego.

Było wczesne popołudnie. Nie miałem już żadnych rozpraw sądowych w terminarzu, pracy, mieszkania ani narzeczonej. I jeśli miałbym być szczery, to wcale nie byłem w tym momencie taki totalnie nieszczęśliwy. Przełom. Nowe perspektywy. Wciąż jeszcze było wystarczająco dużo czasu na zastanowienie. W niecałe trzydzieści minut znalazłem się na Mainzer Strasse.

Zaparkowałem na drugim pasie i już chciałem wysiąść, kiedy otworzyły się drzwi domu Marie-Luise i na ulicę wyszedł Schmiedgen. Musiałem przyjrzeć mu się dwa razy, ponieważ obraz pijącego tokańskie czerwone wino obrońcy centrolewicy nie pasował mi do drzwi domu Marie-Luise. Jednak to był on. Kręcone siwe włosy powiewały nad jego ramionami jak świeżo umyte, zaróżowione policzki błyszcząły, kulisty brzuch dumnie wypinał się w stronę słońca. Na moment obrócił się – klatka schodowa była ciemna jak piwnica na

węgiel. Następnie poprawił sobie krawat. Obniżyłem się za kierownicą i usilnie zaklinałem los, żeby jego skośne oczy nie zatrzymały się na moim samochodzie. Schmiedgen był krótkowidzem i w sądzie zawsze nosił okulary. Wyjął je teraz z kieszonki na piersi i założył je sobie na nos. Płynnie przeszedł kilka kroków dalej, otworzył drzwi granatowego audi i odjechał. Zająłem jego miejsce.

Nie upłynęła minuta, a znalazłem się pod drzwiami Marie-Luise i zadzwoniłem. Usłyszałem odgłos stąpania bosych stóp, drzwi otworzyły się gwałtownie.

– Zapomniałeś! – krzyknęła. Ze zmierzwionymi włosami i ubrana w kimono machnęła jedwabną poszetką. Zamarła w środku ruchu.

– Już poszedł – powiedziałem i złapałem chusteczkę. – Później mam coś do załatwienia w sądzie, to mu ją oddam.

Marie-Luise teraz już wolną ręką ściągnęła brzegi kimona nad piersiami, by lepiej zasłonić dekolt. W gruncie rzeczy zupełnie niepotrzebnie, znaleźmy się przecież wystarczająco długo.

– A co ty tutaj robisz? – spytała. Nie zabrzmiało to jak serdeczne „wejść śmiało do środka”.

Przecisnąłem się obok niej na korytarz, a ona zamknęła drzwi. Wciąż trzymając rękę na dekolcie. Mój Boże, wydawało jej się, że co mógłbym tam wypatrzeć?

– Jest wpół do trzeciej. W biały dzień. O ile wiem, on jest żonaty.

– Kpisz sobie? Czego właściwie chcesz? Wpadłeś na kawę?

Poszła do kuchni. Znałem dokładnie stół ze startą farbą, cztery krzesła, stary kredens z drewna orzechowego jej babci z Kaulsdorf, plakat z Che Guevarą, który przywiozła sobie z wycieczki na Kubę, kiedy jeszcze należała do nosicieli nadziei socjalistycznej części Niemiec. Wszystkie te dewocjonalia światopoglądu, który odzwierciedlał się nawet w wyborze zasłon: grubo tkany indyjski len.

Nastawiła czajnik – nieomylna zapowiedź kawy parzonej tak, jak robiło się to w Kaulsdorf, z dwóch łyżeczek grubo mielonych ziaren na filiżankę, do tego wrząca woda, gotowe. Zapomniała o trzymaniu ręki na dekolcie, a ja zapomniałem, że nie chciałem tam zaglądać.

– Ach tak. – Zauważyła moje spojrzenie. – Narzucę coś na siebie.

Miałem wiele do przetrawienia w ciągu ostatnich dni. Dotąd uważałem, że trzymam się całkiem dobrze. A teraz to. Schmiedgen i Marie-Luise. W moich

oczach najmniej atrakcyjny mężczyzna po Bertim Vogtsie i młoda, słuchająca go z zapartym tchem i wpatrzona w niego adwokatka procesowa oboje razem w łóżku. Moja wyobraźnia zawzięcie się broniła, by nie przedstawiać mi tego w obrazach.

Zalałem kawę, przy czym uważałem, żeby wrzącą wodą nie poparzyć sobie rąk. Następnie wyciągnąłem jedwabną chusteczkę. Schmiedgen musiał być ode mnie ze dwadzieścia lat starszy. Dlatego zapewne chodziło tu nie o aspekt erotyczny, lecz o ideologiczny. Co innego mogłoby ją nakłonić do pieprzenia się z grubym, starym facetem, który w łóżku nie mógł nawet w przybliżeniu zaoferować jej tego, co...

– Zazdrosny?

Pojawiła się w kostiumie, który miała na sobie podczas wysłuchania.

– Daj to.

Chwyciła chusteczkę i schowała ją do kieszeni swojej marynarki.

– A zatem?

Było ważne, żeby wielokrotnie zamieszać kawę, by nasiąknięte drobiny kawy mogły osiąść na dnie. Mimo to podczas picia i tak pod powierzchnią unosiło się ich jeszcze tyle, że oklejały zęby niczym wióry. Uznałem, że życie prywatne Marie-Luise nie jest teraz dla mnie istotnym tematem.

– Rozmawiałem z Sigrun. I z jej ojcem. To bezcelowe. Nigdy niczego otwarcie nie potwierdzą. Nie nawiążą kontaktu ani z Natalią, ani z Millą, o ile ona jeszcze żyje. Tym samym sprawa się rozwiązała.

– A gdzie są książeczki pracy?

Spojrzała na mnie ostro.

– W bezpiecznym miejscu – odparłem. O ile niezamykany schowek na rękawiczki można uznać za bezpieczne miejsce. W czarnym porsche, które w tej okolicy było serdecznym zaproszeniem do redystrybucji dobrobytu. Nachyliłem się w stronę okna i stwierdziłem, że wciąż stoi w miejscu, w którym je zaparkowałem. Jeszcze.

– Ekstra – powiedziała. – Masz dowody i podejmujesz decyzję, że pozwolisz na to, żeby gdzieś zbutwiały. Czy jesteś w pełni świadomy, co robisz? Sto sześćdziesiąt tysięcy rodzin do dzisiaj odmawia wypłacenia odszkodowań. Rodziny jak Zernikowowie. Politycy z rękami tak czystymi jak twoja Sigrun.

Wskazała na latarnię po drugiej stronie ulicy. Nie zauważyłem jeszcze plakatu. *Przyszłość teraz. Sigrun Zernikow.* Premie dla ludzi pomagających

jej sztabowi wyborczemu, to było szybkie tempo.

– Jak by to było, gdyby przed przyszłością ściągnęła do swej terażniejszości przeszłość?

Chciałem dodać do kawy nieco mleka, by poprawić jej smak. Wciąż jeszcze stało w małym dzbanku Hedwig Bollhagen na szklanej półce w lodówce. Wyjąłem je i z nostalgią popatrzyłem na obtłuczone miejsce na dzióbku.

– To nie jest jej przeszłość.

– Krycie sprawców czyni współwinnym.

– Daj spokój. – Odstawiłem dzbanek. – Przecież nie chodzi ci o prawdę. Wina i zadośćuczynienie są ci całkowicie obojętne.

– A o co w takim razie mi chodzi?

– Chcesz trafić we mnie. Ja jestem celem. Reszta to straty kolateralne.

Wyjrzała na zewnątrz w stronę Sigrun.

– Przyszło ci już na myśl, że zemsta i sprawiedliwość wyrastają z tego samego pnia? Niezależnie od tego w porównaniu z tą bryłą lodu jestem wulkanem. I znam cię jeszcze wystarczająco dobrze. Wiem, że wolisz się topić, niż zamarzać.

Obdarzyła mnie uwodzicielskim uśmiechem.

Wyplułem drobinę kawy na podłogę.

– Nie dostaniesz mnie.

Kobietę syjającą ze Schmiedgenem można było tylko zostawić. Jak kieliszek, do którego wcześniej ktoś napluł.

Jej uśmiech zgasł.

– Ty mnie też nie.

Marie-Luise wciąż jeszcze była siedemnastolatką. Ale nie byliśmy na szkolnym podwórku.

– Ci dwoje wiedzą już zatem o książeczkach. Z pewnością nie potrwa długo, nim urzędzą ci piekło na ziemi.

– To już się stało. – Wytrząsnąłem fusy kawy do zlewu i spłukałem je, żeby Marie-Luise nie mogła później wyczytać z nich jakichś przepowiedni dotyczących przyszłości. – Zostałem zwolniony. Przez niego i przez nią.

Odwróciła się i podeszła do okna. Długo wpatrywała się w plakat. Następnie obróciła się w moją stronę.

– Ta kobieta wyprzedza mnie przynajmniej w jednym punkcie: dostaje to, czego chce. Nie zostawi cię w spokoju. Nie zadowoli się utrzymaniem tego, co zostało osiągnięte. Nie zniesie nikogo, kto mógłby zakłócić spokój jej

środowiska.

Wziąłem swoją marynarkę z oparcia krzesła.

– Dokąd się wybierasz? – spytała.

– Odezwę się.

Na ulicy słońce zaświeciło mi prosto w oczy. Musiałem je zmrużyć jak Schmiedgen. Libańczyk akurat otwierał swój lokal i spojrzał w moją stronę.

Być może Marie-Luise miała rację i to był dopiero początek. W jednym jednak się myliła: Sigrun nie była zimna. Tylko akurat toczyła walkę swojego życia. I wcale nie chodziło o wybory.

Rozdział 24

To ty?

Moja matka ze zdenerwowania zaplątała łańcuch przy drzwiach.

– Do głowy mi nie przyszło, że to mógłbyś być ty! Co się dzieje?

– Mogę?

Przytaszczenie trzech walizek na górę było wystarczająco trudne. Wciśnięcie się z tym wszystkim do mieszkania mojej matki graniczyło z cudem. W korytarzu potknąłem się o porozrzucone buty, rozłożony do wyschnięcia parasol, a gdy starałem się precyzyjnie koło przeładowanego stojaka na ubrania, ten runął na ziemię. Hałas zwabił drogą panią Huth, która akurat zajadała się czymś w pośpiechu i wychynęła z kuchni z wypchanymi policzkami.

– Uwaga!

Pani Huth wydała z siebie stłumiony odgłos. Dopóki nie przełknęła, musiała pomagać sobie potrząsaniem głową i bezradnym wymachiwaniem rąk.

– Co to ma znaczyć? – spytała moja matka.

– Znowu się wprowadzam – odpowiedziałem. Pani Huth na moment zapomniała o przeżuwanym, matka milczała. Te dwie rzeczy naraz były wyjątkowym zdarzeniem.

Zaniósłem walizki do mojego starego pokoju i od razu otworzyłem okna. Następnie otworzyłem szafę i w oparach wydostającego się z niej zapachu pomyślałem o Schmiedgenie, co pozwoliło mi dojść do wniosku, że nie jest już aż tak źle.

– Co ty tutaj robisz?

Głos matki prawie się łamał. Za nią stała droga pani Huth.

– Trochę miejsca – odparłem radośnie. – Oboje chcemy mieć tutaj przecież wygodny kącik.

Mówiąc to, puściłem oczko do pani Huth. Matka pokręciła głową.

– Tak nie może być. Przecież... Przecież tutaj jest zdecydowanie za mało

miejsca!

Poklepałem moją starą wersalkę i zmierzyłem ją badawczym wzrokiem.

– Da radę na parę dni, prawda? Oboje się trochę ściśniemy.

Pani Huth przejechała rękami po biodrach i skierowała wzrok na moją matkę. Zróbże coś, mówiły jej oczy. Matka w dwóch krokach znalazła się przy szafie i wyjęła z niej naręczne ubrań.

– Droga pani Huth pójdzie do mnie. Skoro już tak musi być.

– Tak musi być.

Moja matka odwróciła się i już miała wyjść. Spojrzała na mnie przeciągle, jak to miała w zwyczaju. Następnie bez słowa przycisnęła ubrania do brzucha pani Huth. Najpracowitsza z gospodyń domowych wzięła swoje rzeczy i znikła w sypialni.

– Możesz zostać tak długo, jak chcesz. To w końcu twój pokój.

Zabrała kolejny stos kitli, podomek i niezdefiniowanej odzieży i opuściła pokój.

– Mamo?

Odwróciła się.

– Dzięki.

Uśmiechnęła się niepewnie i kiwnęła głową w moją stronę. Nie czuła się nieswojo w tej sytuacji. Od lat tęskniła za swoim synem. Teraz znowu się wprowadził. Dla niej sprawy miały się prawie aż za dobrze. Postanowiłem obchodzić się z nią trochę ostrożniej.

Chwilę później siedzieliśmy w kuchni przy kolacji. Pani Huth otworzyła puszkę mięsnego dania jednogarnkowego Pichelsteiner i aby należycie uczcić ten dzień, umyła trzy talerze. Ten nietypowy wysiłek irytował ją, tak samo jak moja stała obecność oraz brak chęci zmiany tego stanu rzeczy. Siedziała naprzeciwko mnie i nie spuszczała mnie z oka. Matka usiadła po mojej prawej stronie.

– Nie liczyliśmy się z twoją obecnością. – Skruszona wskazała na talerz, w którym pływały nieokreślone kawałki pochodzenia zwierzęcego i roślinnego.

– Ja też nie – odpowiedziałem. Pichelsteiner śmierdział jak mokre buty. Odsunąłem od siebie talerz.

– Nie smakuje? – spytała pani Huth. Jeżeli liczyła na to, że uda jej się mnie zagłodzić, to grubo się myliła.

– Muszę jeszcze wyjść – powiedziałem.

– Teraz? – Matka z dezaprobatą zerknęła na zegar na ścianie.

Było w pół do siódmej. Otwierały się lokale, baseny na świeżym powietrzu, ludzie spotykali się w ogródkach i knajpach piwnych. Jednak w przekonaniu matki powinienem iść do łóżka. Jeśli nie postawiłbym od razu na swoim, nasze wspólne pokojowe współżycie szybko by się skończyło. Właśnie w tym momencie zadzwoniła moja komórka. Wyszedłem do pokoju dziennego.

– Vernau – przedstawiłem się. Po drugiej stronie słuchawki przez chwilę panowała cisza. Moje serce zaczęło bić mocniej. Sigrun?

– Mówi Aaron von Lehnsfeld. Czy rozmawiam z Joachimem?

Potwierdziłem i usiadłem w fotelu z podnóżkiem, nie upewniwszy się wcześniej, czy między poduszkami nie ma na wół pustych pojemniczków po jogurcie.

– Sprawa, w jakiej dzwonię, jest nieco delikatna. Moja matka poprosiła mnie, bym się do pana zgłosił. Swego czasu pożyczył pan coś od niej. Nie wiem, o co dokładnie chodzi. Mama chciałaby dostać to z powrotem. Jak najszybciej.

Minęły dobre trzy sekundy, zanim zrozumiałem, o czym mówił: szmaragdowy pierścionek. Trochę potrwa, zanim go znajdę. Nie pamiętałem, gdzie go zostawiłem.

– Oczywiście – odparłem. – Następny tydzień?

– Dzisiaj – odpowiedział Aaron.

Zauważyłem ruch na ekranie wyłączzonego telewizora – było w nim widać odbicie mojej matki. Stała w drzwiach i podsłuchiwała.

– Przykro mi, ale to niemożliwe – odpowiedziałem szybko. – Mam jeszcze jedno spotkanie. Możemy umówić się jutro?

Aaron zawahał się. Nie był przyzwyczajony do pertraktacji.

– W porządku. Może mi go pan przynieść jutro o osiemnastej do klubu tenisowego.

– Którego? – zapytałem.

Aaron rozłączył się. Moja matka czmychnęła z powrotem na korytarz. Dni spędzone tutaj będą wyczerpujące. Nie miałem odwagi myśleć o tygodniach.

Przesiedziałem w knajpie na brzegu Sprewy aż do zmierzchu. Dziesiąta trzydzieści. Czwartek wieczór. Posiedzenie lokalnej organizacji. Sigrun nie będzie w domu.

Willa była oświetlana do północy. W oknach jednak nie paliło się światło. Wyciągnąłem klucz i otworzyłem bramę. Powoli, bardzo powoli, tak żeby nie

zapiszczała, otworzyłem ją odrobinę i precysnąłem się przez szczelinę. Czułem się jak włamywacz, zatrzymałem się, nasłuchując, ale nie zarejestrowałem żadnego ruchu. Zamknąłem bramę i zacząłem skradać się dróżką prowadzącą do drzwi naszego mieszkania. Żwir zachrząścił, przez parę sekund stałem w bezruchu, po czym wszedłem po schodach, najszybciej, jak tylko mogłem, otworzyłem drzwi i wślizgnąłem się do jej – mego – mieszkania. Cisza.

Do korytarza przez zakratowane czworokątne okienko drzwi wpadało słabe światło. Od razu skierowałem się w stronę schodów prowadzących do piwnicy. Pranie odbierano zawsze w śróde. Musiałbym mieć dużo szczęścia, żeby jeszcze znaleźć w pralni worek, który zaniósłem tutaj po zaręczynach. Duże pomieszczenie znajdowało się dokładnie pod salonem. Ściany były wyłożone glazurowanymi płytkami w delikatnym beżowym kolorze. Umywalki były duże, wykonane z materiału imitującego ceramikę. W kątach przytwierdzono klapy wyciągów kominowych z kutego żelaza – nie były już potrzebne, odkąd zainstalowano centralne ogrzewanie olejowe. Jednak klapy wyciągów nadal tu były, jak i wąskie przyłącza kominowe, które ciągnęły się przez cały dom.

Pojemniki na brudną bieliznę stały na widoku. Zacząłem w nich grzebać, jednak niczego nie znalazłem. Szukałem w brudnej pościeli, też bez sukcesu. Niedobrze.

Starąłem się przypomnieć sobie mój każdy krok, każde wypowiedziane zdanie, każdy ruch. Wszystko, co zrobiłem tego wieczoru między wejściem do sypialni w ubraniu a położeniem się do łóżka bez ubrania. Łzy Sigrun, jej papierosy, dręczącą rozpacz, przed którą nie mogłem jej uratować. Wszedłem na górę do sypialni. Chciałem właśnie zapalić światło, kiedy usłyszałem hałas. Dochodził od drzwi wejściowych. Ktoś otworzył je cicho. Zbyt ostrożnie jak na kogoś, kto miał prawo tutaj wejść.

Kiedy chciałem już uznać, że tylko mi się wydawało, usłyszałem kroki. Dochodziły z korytarza i kierowały się w stronę salonu. Powolne, prawie niesłyszalne i zdecydowanie nieśpieszne. Po ciemku odszukałem stolik nocny Sigrun i otworzyłem szufladę. Pistolet.

Zaskoczył mnie ciężar broni. Była za duża, bym mógł schować ją w wewnętrznej kieszeni mojej marynarki. Postanowiłem trzymać ją w dłoni. W tym momencie usłyszałem ciche głosy. Było ich więc przynajmniej dwóch. Otworzyłem trochę drzwi, jednak nie byłem w stanie rozpoznać czegokolwiek

w tych ciemnościach.

– Zapal światło. Nie ma jej.

Dwie sekundy później zapaliła się lampa sufitowa. Na środku pokoju stał wózek baronowej. Z nią oczywiście.

– To ten obraz – powiedziała.

Walter kiwnął głową i zdjął ze ściany kopię Maneta, dopracowaną do ostatniej kropki. Za obrazem znajdował się nasz – Sigrun – sejf.

– Trzy-jeden-zero-siedem-sześć-cztery – rozkazała baronowa. Zadziwiająco było to, ile wiedziała i z jaką obojętnością korzystała z tej wiedzy. Walter otworzył sejf i spojrzął na nią. Potwierdziła kiwnięciem głowy, a on zaczął opróżniać schowek. Akcje i papiery wartościowe jej nie interesowały. Tak samo szkatułka z biżuterią, chociaż kazała ją sobie otworzyć i zbadała jej zawartość.

– Ach, mój sznur pereł! – powiedziała, bardziej obojętnie niż z radością. Obejrzała paszporty i cienki pliczek gotówki, którą Sigrun zawsze chciała mieć w domu, i kazała sobie pokazać kopertę z jej testamentem. Nie otworzyła go, tylko dokładnie zbadała. Marszcząc brwi, odłożyła go na bok.

– To już wszystko?

Walter przytaknął. Wydała z siebie niezadowolony skrzek i ruchem głowy dała Walterowi znak, żeby włożył wszystko z powrotem do sejfu.

– Nie tak – zganiła go. – Krawędź do krawędzi. Schludnie.

Następnie zawróciła wózek i zatrzymała się przed telefonem. Dała Walterowi znak, żeby przesłuchał automatyczną sekretarkę. Były na niej trzy wiadomości. Pierwsza od Georga, zaadresowana do mnie. Dostał sprawę Weinerta i teraz w jak najgrzeczniejszy sposób chciał uzyskać dostęp do akt. Druga wiadomość była dla Sigrun. Dziennikarz z „Tagesspiegla” chciał przeprowadzić z nią wywiad. Trzecia wiadomość znowu była przeznaczona dla mnie. Marie-Luise.

„Może w końcu znowu będziesz dostępny przez twoją komórkę? Zaginiona osoba została skierowana na oddział intensywnej terapii w klinice Rudolfa Virchowa. Pęknięcie podstawy czaszki. Przyjedź jak najszybciej”.

Milla Czeredniczenkova.

Baronowa wyprostowała się nagle i zwróciła wózek w moją stronę. Natychmiast zamknąłem drzwi. Serce zaczęło mi szybciej bić. Co się stanie, jeśli będą chcieli szukać dalej, jeśli zajrzą pod moją poduszkę? Podszedłem do łóżka, położyłem się pod kołdrę i podciągnąłem ją pod samą brodę. Ani

sekundy za wcześnie.

– Stój!

Walter chciał najwidoczniej zapalić światło. Wydałem z siebie cichy odgłos pochrapywania i pomrukując, przekręciłem się na drugi bok, udając niespokojny sen.

Oboje stali w otwartych drzwiach, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. W końcu Walter nie wytrzymał.

– Myślałem, że go wyrzuciła? – wyszeptał.

Baronowa milczała. Poruszyłem się jeszcze trochę bardziej niespokojnie.

– Za grosz dumy – powiedziała w końcu cicho.

– Mam to zrobić? – zapytał Walter.

Za żadne skarby świata nie chciałem się dowiedzieć, co też Walter ma lub nie ma zrobić. Ponownie zacząłem się wiercić i wsunąłem rękę pod poduszkę. Nie miałem pojęcia, czy pistolet jest odbezpieczony i naładowany, ale miałem nadzieję, że przynajmniej zrobi wrażenie.

– Nie – wyszeptała baronowa.

Drzwi zamknęły się. Dałem obojgu jeszcze minutę, po czym odrzuciłem kołdrę i wyszedłem na zewnątrz. Poszli sobie.

Worek na brudne ubrania leżał w szafie sypialni. Przeszukałem kieszenie i z ulgą odkryłem, że pierścionek nadal tam jest. Okaz wart dwadzieścia tysięcy euro. Zadośćuczynienie za ciągle powtarzany błąd. Wygładziłem pościel i wyciągnąłem pistolet spod poduszki. Sig sauer. Porządna broń. Przez moment wahałem się, czy jej nie zabrać. W końcu włożyłem ją z powrotem do szuflady. Zdecydowanie lepiej mi się spało bez niej.

Uruchomiłem porsche i najciszej, jak tylko mogłem, doturlałem się aż do następnego skrzyżowania. Wtedy depnąłem. O tej godzinie potrzebowałem mniej niż kwadrans, by dojechać do kliniki Rudolfa Virchowa. Portier nie potrzebował długich wyjaśnień. Oddział intensywnej terapii to określenie, które implikuje zarówno pośpiech, jak i troskę.

Musiałem dostać się na trzecie piętro, więc wsiadłem do windy. Kiedy drzwi się otworzyły, wyszedłem na duży, kwadratowy korytarz. Przy oknie stała Marie-Luise i paliła papierosa. Koło niej znajdowała się wypełniona popielniczka na stojaku. Odwróciła się i podała mi gazetę.

– No i masz.

Wieczorne wydanie „Berliner Tageszeitung”. Gazeta była otwarta na szóstej stronie. Od razu zauważyłem jej zdjęcie. „Przy Landwehrkanal znaleziono

ciężko ranną Rosjankę – mafia? Handel ludzkim towarem? Próba samobójcza?”.

Opuściłem gazetę.

– To nieprawda.

– Jak najbardziej. Głupio wyszło, nie? Narażono kolejne życie ludzkie. Grunt, że Zernikowom dobrze się powodzi.

– Co z nią?

– Nie wiem. Znaleźli ją wczoraj i od razu operowali. – Marie-Luise zgasiła papierosa w popielniczce. – Nikogo do niej nie wpuszczają.

– Ktoś jeszcze u niej był?

– Nie mam pojęcia. Ja przyszedłem godzinę temu.

Czyli od siódmej to miejsce było otwarte dla każdego, kto chciałby dokończyć tę brudną robotę. Musieliśmy jak najszybciej dostać się do Milli.

– Czy tutaj jest klatka schodowa?

– Na pewno, ale dlaczego...

– Chodź.

Wziąłem ją pod ramię i poprowadziłem do szklanych drzwi. W przejściach stały wielkie kosze na brudną pościel w aluminiowym kolorze. Po naszej lewej stronie, w oszklonym biurze, siedziała pielęgniarka, pochylona nad jakimiś papierami. Cicho grało radio. Na wprost znajdowały się pokoje pacjentów, z prawej strony była sala operacyjna. Przesunąłem Marie-Luise do ściany i nakazałem jej być cicho. Usłyszeliśmy dzwonek alarmowy, uruchomiony gdzieś przez pacjenta. Pielęgniarka wstała i szybkim krokiem przeszła przez korytarz. Poczekałem, aż znikła, i pognałem do jej biura. Lista pacjentów wisiała na wysokości oczu po lewej, obok komputera. Szybko przebiegłem ją wzrokiem, ale nie było na niej żadnej Czeredniczenkowej. *Niezidentyfikowana*. *Niezidentyfikowana* leżała w pokoju 42–07. W ostatniej sekundzie opuściłem biuro. Pielęgniarka wyszła z za rogu i z powrotem usiadła przy biurku.

Poczekaliśmy minutę, jednak pielęgniarka spokojnie robiła swoje i wydawała się niczego nie zauważyć. Dałem Marie-Luise znak, że ma iść za mną, i ruszyłem korytarzem. Był bardzo długi, a normalnych pokoiów nie było. Tylko przestrzeń podzielona na wpół opuszczonymi żaluzjami, za którymi można było dostrzec łóżka, w których leżeli pacjenci. Drzwi do pokoju 42–07 musiały znajdować się na samym końcu po prawej stronie. To właśnie one otworzyły się w tym momencie.

Przylgnęliśmy do ściany. Z pokoju wyszedł potężnie zbudowany mężczyzna i przez moment miałem wrażenie, że to Walter. Rozejrzył się.

– Co pan tutaj robi? – zawołałem.

Mężczyzna zaczął uciekać.

– Zobacz, co z Millą! – krzyknąłem do Marie-Luise. Mężczyzna znikł za drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową. Kiedy otworzyłem je z impetem, znajdował się już prawie piętro niżej. Mimo swej masy był zwinny i szybki. Pobiegnęłam za nim, przeskakując po kilka stopni naraz. Mężczyzna dotarł do parteru i zbiegł do piwnicy. Skręcił w korytarz po lewej stronie. Usłyszałem hałas otwieranych drzwi i parę sekund później znalazłem się w podziemnym garażu. Ambulansy i karetki pogotowia ratunkowego, między nimi wózki inwalidzkie i mnóstwo wózków na brudną bieliznę. Mężczyźni mimo ciasnoty udawało się między nimi przecisnąć. Ale był gruby. A ja byłem szybki.

Złapałem go chwilę przed tym, zanim dotarł do wyjścia.

– Nie! – wrzasnął, kiedy chwyciłem go za kark. Obezwładniłem go z łatwością, aż dygotał ze strachu. Przycisnąłem go do ściany parkingu i uderzyłem go lekko w krótko ostrzyżony czerep.

– Kim pan jest? Co pan tu robi?

Nadal trzymałem go w kleszczach, na wszelki wypadek, bo nie stawiał oporu.

– Cahlow – wyjęczał. – Horst Cahlow. Byłem u mojej narzeczonej.

Puściłem go. Cahlow był mężczyzną mniej więcej czterdziestoletnim, o pąsowych, miękkich rysach twarzy i godnej współczucia niewinnej minie.

– Dowiedziałem się z gazety.

Z wewnętrznej kieszeni jego skórzanej kurtki wystawała „Berliner Tageszeitung”.

– Jest pan zaręczony z kobietą, która leży w tamtym pokoju?

– Tak. Błagam, niech mi pan nic nie robi. I jej też nie.

Horst przygryzł wargę i swoimi chytrymi oczyma przeczesywał znajdujące się za mną pomieszczenie, szukając możliwości ucieczki. Wzruszył ramionami, widząc, że jego sytuacja nie przedstawia się zbyt obiecująco, i spojrzał wreszcie na mnie.

– Kim pan jest? – zapytał.

Zaczynał myśleć, do czego zdecydowanie nie mogłem dopuścić.

– Pilnuję jej, jeśli wie pan, co mam na myśli.

Teraz powinien uważać mnie za stręczyciela. Znowu zaczął się bać, nagle

jednak zdecydowanie podniósł swój podwójny podbródek.

– Ja też.

Uśmiechnąłem się do niego zachęcająco.

– W takim razie jest nas dwóch. Proszę pójść ze mną na górę.

Kiedy dotarliśmy na górę, okazało się, że sprawy przybrały zły obrót. Lekarz i dwie pielęgniarki trzymali w szachu Marie-Luise, która bezskutecznie próbowała wytłumaczyć nasze najście.

– Tutaj jesteś! – wykrzyknęła, kiedy do nich doszliśmy. Wskazała na Horsta.

– To on! On jej zagrażał! Chciał ją za...

– Siedź cicho! – warknąłem.

– Ale...

– Czy możemy się dowiedzieć, co się tutaj dzieje? – Lekarz stanął przed Horstem Cahlowem, który ponownie się skulił. Dość solidnie zbudowany pielęgniarz zamknął wyjście na klatkę schodową. – Siostró, proszę poinformować policję i ochronę.

– Tak – odezwała się Marie-Luise. – Im szybciej, tym... Auu, co to ma znaczyć?

Wymierzyłem jej lekkiego kuksańca w zębra.

– Ten pan jest narzeczonym młodej damy, która znajduje się w tym pokoju. Jesteśmy jego adwokatami. Marie-Luise Hoffmann i Joachim Vernau. Wasza pacjentka została uprowadzona i poważnie zraniona. Jesteśmy tutaj, ponieważ istnieją podstawy, aby podejrzewać, że sprawcy znowu się pojawią.

– Sprawcy?

Lekarz zerknął w stronę pielęgniarek.

– Z tego, co wiemy, był to wypadek samochodowy, ucieczka z miejsca wypadku.

– Kto tak twierdzi? – zapytałem.

– Policja – odpowiedziała pielęgniarka, która wcześniej siedziała w biurze.

– To był wypadek. Są nawet świadkowie, ale nie możemy powiedzieć wam nic więcej. A ten gdzie się wybiera?

Obejrzeliliśmy się za Horstem, który wycofywał się po cichu. Stanął w miejscu.

– Ja tylko chciałem ją zobaczyć – wyjąkał. – Nigdy jej jeszcze nie widziałem. Tylko na zdjęciu z paszportu. A teraz to pojawiło się w gazecie.

– I twierdzi pan, że jest z nią zaręczony? – włączyła się pierwsza pielęgniarka.

– No tak. – Horst poczerwieniał jeszcze bardziej. – Mam ją z Internetu. Poprzez agencję. Wszystko poszło jak z płatka, z wizą i lotem. Ale kiedy przyjechałem ją odebrać...

Typowa Milla. Oczami wyobraźni widziałem tego biedaka, jak stoi na lotnisku z bukietem czerwonych goździków w dłoni w momencie, w którym jego narzeczona już dawno rozpoczęła swoją kampanię zemsty.

Marie-Luise otworzyła usta, po czym znowu je zamknęła. Popatrzyła na mnie, ja jednak nie mogłem jej pomóc. Odwróciła się w stronę Horsta Cahlowa.

– Czy dobrze podejrzewam, że mamy w tym wypadku do czynienia ze swego rodzaju zakupem żony?

– To nieprawda! – zaprotestował Cahlow. – Warunkiem było, że musi jej się u mnie spodobać. Dopiero wtedy wnoszę opłatę manipulacyjną. Ale już zapłaciłem zaliczkę i kiedy przeczytałem, że jest tutaj, to chciałem...

– Chciał pan zobaczyć towar, zgadza się?

Lekarz spojrzał na zegarek.

– Proszę państwa, jest już późno. Proszę przyjść jutro.

– Chciałbym ją zobaczyć – powiedziałem. – Proszę.

– To nie wchodzi w rachubę.

– To jest dla nas bardzo ważne. – Marie-Luise wypowiedziała swoje pierwsze sensowne zdanie, to jednak też nie pomogło.

– Przykro mi. Proszę przyjść jutro albo poczekać na dole.

Cahlow, Marie-Luise i ja nie ruszyliśmy się z miejsca.

Lekarz zniknął, trzepocząc kitlem. Młodsza z dwóch pielęgniarek położyła palec na ustach i dała nam do zrozumienia, że mamy podejść do okna. Po czym weszła do pokoju 42-07 i odsłoniła nieco żaluzje.

Postać leżąca na łóżku była nie do poznania. Głowę miała ukrytą pod wielkim bandażem, ręce i nogi pod kołdrą. Żaluzja opadła w dół, pielęgniarka wyszła z pomieszczenia. Horst przetarł oczy, Marie-Luise przełknęła ślinę.

– Przeżyje? – zapytałem.

– Tego nie mogę państwu obiecać – odparła pielęgniarka. – Ale wygląda to całkiem dobrze. Proszę mi teraz podać personalia tej pani.

– Tego nie zrobimy – powiedziała szybko Marie-Luise, która w końcu zrozumiała. – To ułatwiłoby niektórym ludziom dotarcie tutaj.

– Komu? – spytała pielęgniarka.

– Tym, którzy tak ją załatwili.

Spojrzała w kierunku, w którym zniknął lekarz.

– Muszę to zrobić. Proszę to zrozumieć. Dlaczego nie zatrudnicie państwo ochrony?

Znałem Marie-Luise na tyle dobrze, aby móc właściwie zinterpretować zmarszczkę, która pojawiła się między jej brwiami. Mnie też nie uśmiechało się proszenie o pomoc skarżypyty numer jeden.

– Mogę jej popilnować – odezwał się Horst Cahlow. – Usiądę tutaj przed drzwiami. Nikt koło mnie nie przejdzie.

– Tak nie można – odpowiedziała pielęgniarka. Rozejrzała się za swoją starszą koleżanką, która w międzyczasie rozpoczęła obchód na oddziale i raz po raz pojawiała się na korytarzu, żeby czuwać nad sytuacją. Teraz zbliżyła się do nas.

– To zdecydowanie była ucieczka z miejsca wypadku – powiedziała cicho. – Świadkowie widzieli, jak ta pani przechodziła przez ruchliwą ulicę i jak nagle została potrącona przez samochód. Nic więcej nam nie powiedziano. Zresztą nie chcemy też wiedzieć więcej. Wszyscy są tutaj pacjentami. Chorzy, niewinni, sprawcy.

– Czy mogę... czy mogę tutaj wrócić? – zapytał Cahlow.

Pielęgniarka zlustrowała go z góry na dół, po czym poddała się z westchnieniem.

– Przed drzwiami. Nie wchodzić. Wystarczy jedno moje słowo i zostanie pan wyrzucony za drzwi. Zrozumiano? A teraz przez następne pół godziny nie chcę widzieć tutaj nikogo.

Automat na parterze wypluł nescafé ze śmietanką w proszku. Trzy razy. Doniosłem kawę do ławki w poczekalni, klnąc z powodu plastikowych kubeczków, które nadzwyczaj dobrze przewodziły temperaturę. Cahlow właśnie zaferował Marie-Luise papierosa. Odmówiła i wyciągnęła własnego. Kubeczek podałem najpierw jej, później Horstowi.

– Dzięki, wielkie dzięki. Jak się panu odwdzięczę?

Machnąłem ręką. Potem usiadłem między nimi. Dmuchałiśmy w kubeczki, Marie-Luise i Horst kopcili. Duży zegar ścienny wskazywał, że jest pięć po pierwszej.

– Będę jej pilnować – powiedział Horst. – Pilnować będę...

– Proszę mi powiedzieć – przerwałem mu – jak właściwie udało się panu

niespostrzeżenie zakraść do jej pokoju?

– Ja chciałabym się dowiedzieć dokładnie tego samego – powiedziała Marie-Luise. – Od zawsze chciałam wysłać takiego dupka jak pan na intensywną terapię. Tyle że w pozycji horyzontalnej.

Cahlow spuścił oczy. Według mnie wcale nie wyglądał niesympatycznie.

Jednak wielka inkwizytorka nie dawała mu spokoju.

– Zakup kobiet z katalogu. Czy istnieje prawo do wymiany egzemplarza? Można przetestować towar?

Odsunął się od niej trochę.

– A w razie niezadowolenia z produktu dostaje się zwrot pieniędzy? Czy może dałeś się wykiwać i musisz brać, co dają? Popatrz na mnie. Ile byś za mnie dał, co?

Cahlow wbił wzrok w swój plastikowy kubeczek.

– Czyżby wielki człowiek ze wspaniałego Zachodu zapomniał języka w gębie? Nie potrafisz mówić? Z Niemkami już nie wychodzi, bo przestałeś być w pełni mężczyzną, co? Nie staje ci?

– Przestań – mruknąłem.

Cahlow odwrócił się i przyłożył rękę do twarzy.

– Mój Boże, co za miękki chujek. Żenujące. – Marie-Luise wypła łyk kawy i zapaliła następnego papierosa. Otaczali mnie sami nałogowi palacze. W milczeniu wpatrywaliśmy się w linoleum.

– Od pięciu lat nie spałem z kobietą – wyszeptał Horst Cahlow.

Marie-Luise zakrztusiła się dymem i dostała napadu kaszlu. Klepałem ją po plecach do czasu, aż jej się polepszyło.

– Tylko z kurwami.

Marie-Luise dyszała. Trudno było ocenić, czy przez śmiech, czy kaszel.

– Napisałem jej, że jej nie dotknę. Chyba że sama tego zechce.

– To mogłoby trochę potrwać. – Marie-Luise zebrała się w sobie. – Mimo że kryzys jest bardzo poważny.

– Nie obchodzi mnie to. Chcę się ożenić. – Horst także zapalił kolejnego papierosa. – Moja matka umarła sześć miesięcy temu. Odnowiłem mieszkanie. I dobrze by było, gdyby zamieszkała w nim kobieta.

Marie-Luise pokiwała głową.

– Więc teraz szukasz nowej mamusi, która będzie dla ciebie gotować i sprzątać, a jak będziesz bardzo, bardzo smutny, da ci cycusia...

– Miała alzheimera. Od siedmiu lat. Dlatego się do niej wtedy

wprowadziłem. Moja pierwsza żona nie pogodziła się z tym. – Cahlow zaciągnął się głęboko.

– Daj już spokój – powiedziałem do Marie-Luise.

Wysyczała coś niezrozumiałego, wstała i wyjątkowo zgasiła swojego papierosa w popielniczce zamiast na podłodze.

– Mimo wszystko. Przecież jesteś... – otaksowała Cahlowa od góry do dołu – no, atrakcyjnym mężczyzną, o ile można tak powiedzieć. Najlepsze lata. Kobiety to uwielbiają. Życiowe doświadczenie. Dojrzałość. Dobrze zbudowany. Dałbyś radę bez kupowania sobie żony.

– To tylko opłata manipulacyjna!

– Jak wysoka?

Wzruszył ramionami.

– Trzy tysiące – powiedział cicho.

– Trzy tysiące? Euro? Bez ruchanka?

– Przecież nie o to tu chodzi.

– To o co chodzi?

Wstałem i przeciągnąłem się.

– Słuchaj, to może poczekać do jutra. Padam na twarz. Proponuję, żeby pan Cahlow tutaj został, a my pojedziemy do domu i się położymy. Jutro przed południem ktoś z nas go zastąpi. W porządku?

Marie-Luise wygładziła swoją skórzaną kurtkę.

– Uważaj na nią. Jeśli coś jej się stanie, będziesz miał ze mną do czynienia. I zostaw ją w spokoju. Nie dotykaj, kapujesz?

Cahlow wstał.

– Możecie na mnie polegać. Swoją drogą: jestem Horst.

Wyciągnął w moją stronę swoją miękką łapę, którą uściśnąłem.

– Joachim.

Następnie zwrócił się do Marie-Luise, która westchnęła.

– No dawaj – powiedziałem.

– Marie-Luise.

Horst uśmiechnął się do niej.

– Ładne imię! Moja ciocia tak się nazywała.

Marie-Luise tylko tego brakowało. Odeszła bez pożegnania.

Horst machał nam jeszcze, kiedy już dawno byliśmy na ulicy. Noc była chłodna, powietrze lekko wilgotne. Pachniało ziemią i dziwnie słodkim zapachem, który czuć tylko w letnie noce.

– To lipy – powiedziała Marie-Luise, zauważywszy, że głęboko zaciągam się powietrzem.

– Podwieźć cię kawałek? – zapytałem.

– Nie trzeba. Zaparkowałam na zewnątrz.

Jeszcze raz obejrzelismy się na trzecie piętro.

– To dobrze, że on tutaj jest. Będzie jej pilnować.

Zrobiła nieokreślony ruch i chciała odpowiedzieć, potem jednak zmieniła zdanie i tylko uniosła rękę.

– To poważna sprawa – powiedziała. – Do dzisiaj była to abstrakcyjna gra wojenna. Ty coś robisz, oni reagują. Tak się to potoczyło. Można było przewidzieć, co się stanie. To nasza wina, że ona tutaj leży. Wydawało mi się, że tak daleko, jak myślałam, nikt się jednak nie posunie. A oni dokładnie to zrobili.

Spojrzała na mnie. W jej spojrzeniu była swego rodzaju miękkość, niemal czułość.

– Oni jeszcze raz zabiją. Rozumiesz?

– Chciałbym, żebyś od teraz wyłączyła się z tej sprawy.

– Nie zrobię tego.

– A jednak – powiedziałem łagodnie. – Sam doprowadzę to do końca. Obiecuję ci.

– Jak? – zapytała. – Co chcesz zrobić?

Jechałem przez ciemne śródmieście i łamałem sobie głowę, by znaleźć odpowiedź na to pytanie. W tej chwili mogłem zapewnić sobie najlepszą ochronę, chowając tak dobrze, jak to tylko możliwe, książeczki pracy. Zatrzymałem się przed dworcem Zoo.

Strażnicy z owczarkami niemieckimi przy nodze wolnym krokiem patrolowali okolice wejścia. Na samym dworcu wszystkie sklepy były zamknięte. Tablica informacyjna wyświetlała informacje o kilku pociągach regionalnych do Cottbus, Poczdamu i Buckow. Zrezygnowane kobiety w plastikowych fartuchach zamiatały śmieci. Przemierzyłem halę główną i na końcu skręciłem w korytarz wyłożony żółtymi kafelkami. Prawie wszystkie mniejsze skrytki na bagaż były zajęte. Znalazłem jedną wolną w najniższym szeregu. Dopiero kiedy wrzuciłem monetę i wyjąłem kluczyk, poczułem się nieco lepiej. Coś zrobiłem. Niewiele, ale wystarczająco, aby

zmniejszyć ich przewagę nade mną.

Rozdział 25

Dzień dobry! Pora wstawać!

Znowu miałem dwanaście, siedemnaście czy też osiem lat. Przez połowę mojego życia śmiertelnie bałem się tego okrzyku. Moja matka niczym podczas ćwiczeń na dziedzińcu koszarowym przemierzyła pokój w trzech krokach, z wielkim rabanem odsunęła zasłony i z impetem otworzyła okno na oścież. Otoczona aureolą wpadającego światła wrzasnęła: – Śniadanie gotowe! – po czym przemaszerowała koło mnie, ściągając ze mnie kołdrę. Wyszła na zewnątrz, zostawiając mnie, obnażonego i bezbronnego, na pastwę zimnego poranka. Z klejącymi się oczami wymacałem mój zegarek i szukałem optymalnej odległości, z której mógłbym coś na nim dostrzec. Wpół do ósmej. Znajdowałem się wśród wariatów.

– Oddaj mi w tej chwili moją kołdrę! – wrzasnąłem. Wybiegłem nago na korytarz. – Gdzie jest moja kołdra?

– Tu-utaj!

Gwałtownie otworzyłem drzwi do sypialni mamy. Droga pani Huth stała przy oknie i wymachiwała moją kołdrą.

Wyrwałem jej ją z ręki.

– Nigdy więcej – warknąłem do niej.

Musiała zauważyć chęć mordy w moich oczach, ponieważ przestraszona cofnęła się o krok i próbowała uśmiechnąć się zachęcająco.

– Czyżbyśmy pana przestraszyły? Pana mama powiedziała, że zawsze tak robiła.

– Zgadza się – odpowiedziałem, owijając kołdrę wokół bioder. – Jak pani sądzi, dlaczego taki się stałem?

– Pijesz chyba kawę? Czy nie?

W drzwiach stanęła uśmiechnięta matka. Jest oczy błyszcząły, wydawała się pełna energii. Umyła włosy i włożyła czystą spódnicę i nieco pogniecioną bluzę. Z kołdrą ograniczającą moje ruchy podszedłem do niej, ona nadstawiła

policzek, a ja ostrożnie ją pocałowałem. Wyczułem bijący od niej zapach Toski. Perfumy dni świetności.

– Dzień dobry. Słuchaj, późno wczoraj wróciłem...

– To nie powód, żeby paradować tutaj na wpół nago. Ubierz się, usiądź przy stole, a ja opowiem ci, kto się tutaj wczoraj zjawił.

Spojrzała na drogą panią Huth; obie sprawiały wrażenie, jakby miały za chwilę wybuchnąć. Nie ulegało wątpliwości, że odzyskam spokój dopiero wtedy, gdy zastosuję się do tych dokładnych wskazówek.

Na opróżnionej do połowy porcelanowej półce nad umywalką w łazience odkryłem opakowanie z sześcioma golarkami jednorazowymi. Obok zobaczyłem nową szczoteczkę do zębów, grzebień, piankę do golenia i płyn po goleniu, który dotychczas uważałem za produkt kupowany jedynie przez totalnych alkoholików. Wszedłem do wanny i wziąłem prysznic.

Dwadzieścia minut później byłem prawie obudzony. Umyty, ogolony, z wyszorowanymi zębami, pachnąc jak American Gigolo, poszedłem do kuchni. Pani Huth nakryła do stołu i wspomagając się śliną, ścierała teraz szlaczek pozostawiony przez herbatę w jej filiżance do kawy. Nalałem mleka do mojej na wpół pełnej filiżanki.

– Jest bezkofeinowa – odezwała się pani Huth.

Była zadowolona z wykonanej roboty i zaprezentowała filiżankę mojej mamie. Na stole pyszniły się trzy gotowane jajka, dwa klejące się słoiki z marmoladą i liczne plasterki sera, których krawędzie błagalnie wznosiły się ku niebiosom. Droga pani Huth wsypała chrupkie pieczywo do misy.

– Niestety, nie zdążyliśmy już zrobić zakupów – wyjaśniła moja matka.

– Nie, nie zdążyliśmy – powtórzyła za nią pani Huth.

Oskubałem twarde jak kamień, lodowate jajko i wziąłem kawałek chrupkiego pieczywa.

– No tak, miałyśmy przecież gości.

Ugryzłem pieczywo i zacząłem przeżuwać.

– Kiedy wyszedłeś? Wydaje mi się, że o wpół do ósmej. Było wpół do ósmej, prawda, kochana pani Huth?

Pani Huth przytaknęła.

– Wpół do ósmej.

Wziąłem łyk kawy.

– Wtedy nagle zadzwonił dzwonek do drzwi.

– Tak, zadzwonił dzwonek – potwierdziła pani Huth.

– Najpierw pomyślałam sobie: czyżby mój chłopiec zapomniał kluczy? Ale wtedy przypomniałam sobie, że przecież ty zawsze masz je przy sobie. W razie potrzeby.

Matka spojrzała na swój talerz, tak jakby nagle przypomniało jej się coś nieprzyjemnego. Pani Huth poklepała ją po ręku.

– Zawsze ma je przy sobie. Dokładnie.

Matka kiwnęła głową.

– Tak, więc ktoś zadzwonił po raz drugi.

Obie patrzyły teraz na mnie i czekały na ponaglenie z mojej strony, żeby mówiły dalej. Przetrzyzymałem je chwilę w niepewności, dolałem sobie jeszcze kawy i dopiero wtedy kiwnąłem w ich stronę.

– Przycisnęłam brzęczyk domofonu – powiedziała moja matka. – Po czym stanęła przed nami w drzwiach.

Pani Huth ścisnęła jej rękę.

– Stanęła przed nami.

– Kto? – spytałem.

– Sigrun.

Zakrztusiłem się z ustami pełnymi suchego pieczywa. Pani Huth i mama były w pełni usatysfakcjonowane moją reakcją. Sigrun. Tutaj. Na trzecim piętrze nadającej się do remontu kamienicy czynszowej przy placu Mierendorffa.

– Ładnie wyglądała – powiedziała pani Huth. – Taka elegancka dama. Jeszcze ładniejsza niż na plakatach, ta pani von Zernikow. Pana narzeczona.

– Oczywiście zaprosiłam ją do środka – ciągnęła moja matka. – Od razu zaczęła podziwiać widok z okna. Powiedziała, że nie ma takiej przestrzeni za oknem.

Trudno mi było sobie wyobrazić Sigrun paplającą wesoło z mamą i drogą panią Huth. Wtedy jednak matka powiedziała coś, co sprawiło, że jej historia stała się realna.

– Powiedziała, że żałuje, że nie widywałyśmy się częściej. I pamiętała moją sukienkę z tamtego razu w restauracji. Tę niebieską z białymi kropkami. I że miałam do tego kolczyki z pereł.

Sigrun zdradziła mi kiedyś swój sposób pomagający jej w rozpoznawaniu ludzi i zapamiętywaniu ich nazwisk. Zapisywała w pamięci wzory krawatów i kolory ubrań. Następnie przyporządkowywała im pojęcia, które miały związek z nazwiskiem danej osoby. Pani Sobotka miała na sobie sorbetowo-bordową sukienkę i kaleczyła wymowę. Pan Steinheuer nosił stalowoniebieski

(*Steinblau*) krawat, w którym czuł się nieswojo (*geheuer*). Prosta, stara metoda. Dzięki niej nigdy nie zapomniała nazwiska. A że w przypadku mojej mamy nie musiała zapamiętywać nazwiska, odnotowała w pamięci kolczyki.

– Że też jeszcze to pamięta...

– Dalej – powiedziałem.

– Pytała o ciebie, Joachimie. Chciała się dowiedzieć, gdzie jesteś. Ale ty przecież o niczym nam nie mówisz.

– Nic więcej? – spytałem.

Mama i pani Huth spojrzały przelotnie na siebie.

– A więc mam ci coś przekazać.

– Słucham.

Pani Huth wskazała na moje jajko i spojrzała na mnie pytająco. Przesunąłem je w jej stronę.

– Jeśli chcesz, powiedziała, a więc jeśli chcesz, to chętnie by się z tobą spotkała w poniedziałek koło południa. Jeśli masz czas. Chciałaby pójść z tobą na obiad.

Pójście w ciągu tygodnia w południe do restauracji w celu zjedzenia czegoś było dla mojej matki symbolem luksusu. Powiem Ameryki: Doris Day w białym kostiumie z dopasowanymi rękawiczkami i kapeluszem, rozpromieniona, zmierzająca ku barczystemu mężczyźnie w ciemnym garniturze. Zachowanie z obcych krajów czy też obcego jej życia, które ja z czasem zacząłem prowadzić.

– Do... restauracji. Jak ona się nazywała? – zapytała droga pani Huth.

Matka wstała.

– Zapisała nazwę. Poczekaj.

Wyszła i wróciła po paru sekundach.

– Do... Nie mogę rozczytać. Masz.

Podła mi karteczkę. Pismo Sigrun. *Godzina 13, Borchardt. P. m. Sigrun.* Złożyłem i schowałem karteczkę.

– Dzięki. – Dopilem moją kawę.

– Chłopcze, co się stało? – zapytała moja matka. – Pokłóciliście się?

Może jej samej bym powiedział. Ale obok niej siedziała pani Huth, cała nabuzowana od żądzy wiedzy, uszy urosły jej już dwukrotnie, więc nie mogłem. Nachyliłem się do matki i pocałowałem ją w policzek.

– Położę się jeszcze – powiedziałem. – Kiedy chciałaś pojechać do Reinickendorfu?

Trudno mi było wyobrazić sobie moją matkę w porsche, ale mogliśmy przecież spróbować.

– No, my... – spojrzała na panią Huth. – Może jutro?

Moja matka i pani Huth w porsche nie wchodziły w rachubę.

Wpatrywały się we mnie dwie pary oczu. Skinąłem. Jakoś to będzie.

Leżąc na wersalce, jeszcze raz rozłożyłem karteczkę. *P. m.* Przykro mi. Mnie też. Chciało mi się płakać. Jednak nie do końca wiedziałem dlaczego. Być może dlatego, że niewinność jest bardzo względnym pojęciem. Można było je tak bardzo rozciągnąć, że nic już z niego nie zostawało.

Rozdział 26

Przyszła prawie prywatnie, bez ochrony. Wymieniła samochód kampanijny na bardziej dyskretne auto służbowe i najpierw wysłała swojego asystenta. Jego zadanie polegało na sprawdzeniu rezerwacji i zobaczeniu, czy partner rozmowy był już obecny. Porozmawiał szeptem z szefem restauracji i spojrzał w moim kierunku. Skinąłem w jego stronę. Uspokojony wyszedł na zewnątrz i pomógł Sigrun wyjść z samochodu.

Kiedy ją zobaczyłem, ogarnęła mnie czułość, której nie odczuwałem od dawna. Miała na sobie ciemnoniebieski damski garnitur i okulary przeciwsłoneczne. Blond włosy upięła wysoko. Kosmyki włosów po obu stronach opadały na uszy. Wyglądała niewiarygodnie dobrze. Weszła po schodach, trzymając aktówkę pod ramieniem. Ludzie siedzący przy przednich stolikach jednocześnie podnieśli głowy.

– Dzień dobry.

Stała przede mną i zdjęła okulary. Wstałem, nie wiedząc, czy mam wziąć ją w ramiona, czy mówić per pani.

– Miło z twojej strony, że przyszedłeś.

Usiadła, ja zrobiłem to samo. Przyniesiono dwie karty dań, które odłożyliśmy na bok nieotwarte. Przyjrzałem się jej dokładniej i zrozumiałem, dlaczego miała okulary: wyglądała na potwornie zmęczoną.

– To przecież oczywiste.

Rozejrzała się szybko i pochyliła się trochę do przodu, by móc mówić ciszej.

– Nic nie jest oczywiste. Nic nie jest takie, jakie być powinno.

Wzruszyłem ramionami. Nachyliła się do mnie jeszcze bardziej.

– Nie wiem już, co się dzieje. Notowania w sondażach są katastrofalne. Jeśli tak dalej pójdzie, to będziemy mieli prawie o jeden punkt procentowy mniej. Z całą pewnością stracimy absolutną większość. Opozycja nigdy nie była silniejsza przez ostatnie cztery lata. W następnym tygodniu jest kolej Nadrenii Północnej-Westfalii. Jeżeli Hornmeyerowi się nie uda, oddźwięk będzie

katastrofalny.

Hornmeyer rzucił akurat wyzwanie premierowi i był nową nadzieją partii na poziomie federalnym. To wszystko niewątpliwie było interesujące i trzymało w napięciu, zdecydowanie jednak nie był to temat, który mieliśmy między sobą omówić.

– Sigrun... – Położyłem dłoń na jej dłoni. Była lodowata. Cofnęła ją w mgnieniu oka. Wyjęła papierosy z aktówki i zapaliła. Dopiero wtedy zauważyłem, że się trzęsie.

– Mam dzisiaj osiemnaście umówionych spotkań. Komisja kampanii wyborczej. Posiedzenie frakcji. Posiedzenie zarządu krajowego. Trzy wywiady radiowe. I Meyerowi udało się zmusić Ullricha do wycofania się. Teraz Werner przejmie po nim stanowisko.

Meyer, rzecznik do spraw polityki rodzinnej z Mariendorfu. Pięć lat temu kandydował przeciwko Sigrun jako reprezentant konserwatywnego skrzydła i przegrał. Od tego czasu poświęcił wiele energii na to, żeby tylko jego kandydaci byli forsowani do Izby Deputowanych. Minimalna większość Sigrun wewnątrz frakcji zaczęła się chwiać. To mogło oznaczać, że Sigrun nawet przy wygranej w wyborach nie musiała zostać nominowana.

Sigrun ukryła twarz w dłoniach.

– Nie daję już rady. Nie wytrzymam tego. Przez ostatnie tygodnie nie przespałam prawie żadnej nocy. Na śniadanie połykam percofedrinol z mieczem Damoklesa. I nie ma ciebie. Po prostu odszedłeś.

Było to lekkie przeinaczenie faktów, ale przecież miałem przed sobą panią polityk. Do tego kobietę, która była o krok od postradania zmysłów.

– Wybrali państwo?

Sigrun odwróciła się. Najwidoczniej w tym momencie przerażała ją wszystko, co wiązało się z wybieraniem w najszerszym tego słowa znaczeniu. A może po prostu nie chciała, żeby kelner zobaczył jej czerwone oczy.

– Jeszcze chwileczkę.

Mężczyzna zniknął.

– Nie odszedłem – powiedziałem cicho. – Dla ciebie jestem zawsze dostępny.

– Zauważyłam.

Wyjęła chusteczkę z aktówki i wydmuchała nos.

– Przepraszam. Przepraszam cię. Nie przyszedłam tutaj po to, żeby robić ci wyrzuty.

– Nie ma problemu.

– Po prostu... Kiedy dzisiaj w nocy wróciłam do domu, miałam wrażenie, jakbyś tam był. A jednak cię nie było. Leżałam całą noc, nie mogąc zasnąć, i przy każdym odgłosie wydawało mi się, że to ty idziesz. Że to wszystko, co się dzieje, to nieprawda. Akurat teraz. Nie jestem przyzwyczajona do tego, że nie mogę zasnąć.

– Zimno ci. – Znowu przykryłam jej dłoń moją. Tym razem nie cofnęła ręki.

– Lodowato – wyszeptała.

– Czy chcieliby już państwo czegoś się napić?

Zamówiłem wodę mineralną. Kelner był na tyle profesjonalny, że ukrył przed nami swoje głębokie niezadowolenie. Przy wejściu odesłano właśnie gości, którzy przyszli bez rezerwacji.

– Już podaję.

– Być może to nie był najlepszy pomysł, żeby się tutaj spotkać. – Sigrun spojrzała na swój zegarek. – O drugiej muszę być w parlamencie. To miejsce było dla mnie wygodne, bo znajduje się po drodze.

Dwie szklanki zostały napełnione wodą. Kelner włożył butelkę do wiaderka do chłodzenia szampana.

– Czy życzą sobie państwo czegoś jeszcze?

Oboje pokręciliśmy głowami. Dał za wygraną i odtąd skupił uwagę na bardziej obiecujących gościach.

– To dobrze, że ze sobą rozmawiamy.

– Tak? – Popatrzyła na mnie.

– Interesują mnie przede wszystkim dwie rzeczy. Po pierwsze: co oznacza wpis *M. Czer.* w twoim terminarzu?

– Grzebiez w moich rzeczach?

– To przypadek. Wpisałem tylko jedną notatkę. Pewnie jeszcze jej nie przeczytałaś.

– Kiedy?

– W sobotę.

Wyjęła terminarz z aktówki i otworzyła go. Kiedy znalazła wiadomość, spojrzała na mnie szybko. Następnie zamknęła kalendarz i włożyła go z powrotem do aktówki.

– *Seks.* Niezłe założenie. Ale jak zwykle prześcignięte przez aktualne zdarzenia. *M. Czer.* to Manfred Czerny. Zastępca przewodniczącego organizacji lokalnej w Marzahn-Hellersdorf. Chodziło o ostatnie posiedzenie,

w którym nie mogłam wziąć udziału. Polityka komunalna w polu napięć między konsolidacją finansową, wymaganiami politycznymi i usługami przyjaznymi obywatelom. O mały włos uchwaliliby beze mnie wnioszek wysunięty przez zarząd, dotyczący krajowego zjazdu partii. Do tego ustawa w sprawie polityki oświatowej jest pierwszą, która zostanie zamieciona pod...

Przerwała.

– Przepraszam cię. Chciałeś omówić ze mną dwie sprawy.

– Muszę pogadać z Utzem.

Zasznurowała usta i wyrzała przez okno na tętniącą życiem Französische Strasse, jednak jej wzrok tego nie rejestrował. Utknął w jednym punkcie, jakby o czymś śniła. W końcu wzięła głęboki wdech.

– Dlaczego?

– Czy nigdy nie opowiadał ci o swoim dzieciństwie?

Powoli pokręciła głową.

– Mało. Ucieczka, tak. Ale raczej posługiwał się hasłami. Taki skrócony życiorys. Urodzony i wychowany w Berlinie, pod koniec wojny wyjechał na Pomorze, później wrócił. Ruiny, odbudowa. Nic więcej.

– A twoja babcia?

– Babunia? Nic. Ani słowa.

– Nic o swojej młodości, wielkiej miłości, rozstaniu w czasie wojny, samotnym wychowywaniu dziecka, zaginionym mężu, nic a nic?

– O Boże, tak. Kilka powiedzonek. Krew jest gęstsza od wody i tym podobne. Komiśniak to dar boży. Nie mamy wielu rzeczy z tego okresu. Stare czarno-białe zdjęcia podupadłych posiadłości ziemskich. Łeba, korona modrego kraiku. Dzisiaj to polskie wybrzeże Morza Bałtyckiego, dwie godziny drogi od Gdańska. Zawsze chciałam tam pojechać i zobaczyć, co z tego zostało. Ale nigdy nie mam na to czasu.

Wypiła łyk wody i znowu popatrzyła przez okno. Być może przyszło jej na myśl, że najważniejsze rzeczy w życiu to te, które najszybciej pozwalają się wyprzeć mniej ważnym sprawom.

– Czekaj, coś było. Teraz sobie przypomniałam. Mój ojciec był chory. Jakaś ciężka infekcja. Tyfus plamisty albo dur brzuszny. Musiał się nim zarazić w jakimś bunkrze albo schronie przeciwlotniczym. Stąd jego choroba serca i układu krążenia.

– Wiesz, kiedy został wysłany z Berlina do Łeby?

– Nie wiem. W Grunewaldzie nie było wielkich zniszczeń. Pewnego razu w naszym ogrodzie spadła bomba, która nie wybuchła. Dokładnie w miejscu, gdzie teraz rośnie rododendron.

– Kiedy twój ojciec wrócił do Berlina?

– W lutym czterdziestego piątego roku. Wraz z jedną z ostatnich kolumn uciekinierów. O tym opowiadał nie raz. Przecież znasz te opowieści.

– A dlaczego został wysłany do Łeby?

– Nie mam zielonego pojęcia. W którymś momencie wszystkie dzieci zostały wysłane. Przecież w Berlinie i innych dużych miastach prawie nie było dzieci. Wszystkie były na wsi.

– Czy był jeszcze jakiś powód? Pomyśl!

Uderzyła dłonią o stół. Zabrzęczały szklanki. Ludzie przy sąsiednim stoliku zwrócili na nas uwagę.

– Nie wiem – wysyczała. – Czy bomby nie są wystarczającym powodem? Nieprzespane noce, strach przed śmiercią? Może nie chce już o tym pamiętać.

– To ważne.

– Z powodu tych książeczek pracy? Tego ukraińskiego ducha? Natalia Czeredniczenkowa nie żyje. To niezwykle smutne. Ale mój ojciec nie ma z tym nic wspólnego, zupełnie nic. Zostaw go wreszcie w spokoju. Chciałam się z tobą zobaczyć, ponieważ...

Zacięła się i popatrzyła na mnie. Pomóż mi, mówiły jej oczy. Nie zmuszaj mnie do wypowiadania tych sentymentalnych słów, tęsknię za tobą, potrzebuję cię.

Dałbym się dla niej poćwiartować. Jeszcze nie tak dawno temu poszedłbym za nią w ogień. Teraz jednak chciałem wiedzieć, czy zrobiłaby to samo dla mnie. Musiałem wiedzieć, po czyjej stronie stanie, kiedy zrobi się gorąco.

– Twoja babcia – powiedziałem powoli. – Czy ma coś do ukrycia? Coś, co wyszłoby na światło dzienne z powodu istnienia tej opiekunki do dziecka?

Sigrun uniosła oczy.

– Babcia? Nie wierzę. Nie chce mi się w to wierzyć. Jest silna i twarda, ale potrafi też kochać bez umiaru. Na przykład swojego syna. Mnie. Przecież nawet pogodziła się z tobą ze względu na mnie.

Znowu wypróbowała swój smutny uśmiech.

– Tu nie chodzi o miłość, Sigrun.

Popatrzyliśmy sobie w oczy.

– Chodzi o czyn. Ten czyn został spowodowany przez coś innego. Przez

chciwość albo strach. Może też zazdrość.

– Chyba nie myślisz... – Sigrun odchyliła się do tyłu i spojrzała na sufit. Przez moment pozostała tak bez ruchu. Następnie złapała swoją torebkę i dała kelnerowi znak, że chce zapłacić. Znowu była w stu procentach opanowana.

– Zapominasz o jednym – powiedziała. – Jesteśmy pruską szlachtą oficerską. Maleńkie światełka na samym dole skali. Rolnicy. Zdecydowanie nie ma niczego, z czego moglibyśmy być słusznie dumni. Oprócz jednej rzeczy: honoru. W czasie wojny Zernikowowie mogą masakrować, ale nie mordują.

Brzmiało to absurdalnie, ale była to prawda. Kto poznał baronową, wiedział, że kodeks postępowania był dla niej wszystkim. Westchnąłem niepocieszony.

– Przyjmijmy, że masz rację. Przyjmijmy, że twoja babcia umywa ręce i jest niewinna. A twój ojciec cierpi na częściową amnezję. Z tego wynika, że musiał być ktoś trzeci. Ktoś, kto wziął Olę za Natalię i ją zabił.

– Starczy tego, Joachim, starczy. Nie widzisz, że w coś się tutaj angażujesz? Chodzi o córkę? A może o twoją przyjaciółkę adwokatkę? Zmieniłeś się.

– Chodzi o starą kobietę w Kijowie, która czeka na to, żeby ktoś sobie o niej przypomniał.

Sigrun milczała. Zastanawiała się, jak długi jest cień, przez który musiałyby przeskoczyć.

– Wiesz, czego ode mnie oczekujesz?

Skinąłem głową.

– Wiesz, że to może przetrącić kark mojej karierze zawodowej. Co tam może. To mi zrujnuje karierę zawodową.

Podniosłem jej zimną dłoń do ust i pocałowałem.

Cofnęła ją powoli.

– Jak można cię złapać?

– Jeszcze nie wiem. Próbuj na komórkę.

Patrzyła na mnie długo.

– Twoja mama jest miła. Chętnie poznałabym ją lepiej. Zawsze ją chowałeś.

– Pomachała w stronę kelnera. – Poproszę o rachunek.

Kelner z widoczną ulgą przyniósł nam rachunek. Zrobiło się tłoczno, wszystkie stoliki były zajęte. Wyciągnąłem dziesięć euro i dałem mu do zrozumienia, że może zachować resztę.

Sigrun wepchnęła chusteczkę do aktówki i zamknęła ją jednym ruchem.

Na zewnątrz przed drzwiami stał jej samochód, w miejscu, gdzie był

absolutny zakaz parkowania. Ale senackie numery rejestracyjne zawsze działają. Rozluźniony kierowca, oparty o błotnik, kierował twarz ku słońcu. Oboje wyjrzelśmy na zewnątrz przez szklane drzwi i nie mogliśmy się zdobyć na to, żeby je otworzyć.

– Kiedy to się stało? – zapytała cicho.

– Przestań zadawać sobie takie pytania. Normalne pary nazywają to kryzysem.

– A ty? Jak to nazywasz?

Przytuliła się do mnie. Moja tęsknota za tym, co straciliśmy, sprawiła, że przyciągnąłem ją do siebie. Kierowca zrozumiał, że to może potrwać trochę dłużej. Otworzył tylne drzwi, a sam przezornie usiadł już za kierownicą. Sigrun otoczyła moją talię wolną ręką. Poczułem mrowienie. Puściłem ją.

– Nie wiem, czy to, co tutaj robimy, jest w porządku.

Kiwnęła głową.

– Przepraszam. Przykro mi.

Podeszła do samochodu i rzuciła torbę na tylne siedzenie. W dwóch krokach znalazłem się przy niej i odwróciłem ją do siebie.

– Przestań ciągle przeproszać.

– A co mi pozostaje? Straciłam ciebie, przegram wybory, a moja rodzina... Nie wiem już, w co mam wierzyć. Nie ufam już nawet własnemu cieniowi. – Znowu miała łzy w oczach. – Nie wiedziałam, że jestem taka samotna.

Było trochę po drugiej. Kierowca odwrócił się do niej i wskazał na swój zegarek.

– Masz.

Podąłem jej klucz.

– Co to jest?

– Otwiera skrytkę na dworcu Zoo.

Wzięła go i dokładnie obejrzała.

– Co jest w tej skrytce?

– Książeczki pracy.

Jej dłoń instynktownie zacisnęła się wokół klucza.

– Dlaczego mi go dajesz?

– Bo może będę następny. Przy tobie jest bezpieczniejszy.

Przyłożyła dłoń z kluczem do piersi.

– Jeśli ci uwierzę, to nie mam rodziny. A jeśli naprawdę jesteś następny...

– To wtedy to dokończysz.

Spojrzała najpierw na klucz, później na mnie.

– Ufasz mi w tej sprawie?

– Jakoś musimy w końcu znów zacząć. No, dawaj. Bo się spóźnisz.

– Joachim...

– Do środka.

Usiadła na tylnym siedzeniu i popatrzyła na mnie. Uśmiechnęła się. Zamknąłem drzwi, ale zanim samochód ruszył, zastukałem jeszcze w szybę. Otworzyła okno.

– Sigrun?

– Tak?

– Meyer to dupek.

Wyszczrzyła do mnie zęby. Z czułością klepnałem samochód w dach. Odjechał z warkotem. Pomachałem jej, choć nie mogłem jej już dostrzec. Szyby były za ciemne.

Poczułem ciężar w kieszeni mojej marynarki. Pierścioneł. Miałem jeszcze dużo czasu do spotkania z Aaronem w klubie tenisowym w Grunewaldzie. Mogłem pójść na spacer i w tym czasie uświadomić sobie, jak wyglądałaby moja przyszłość. Mogłem też od razu zacząć od niej. Zadzwoiłem do Marie-Luise i powiedziałem, że chętnie zerknę na niektóre jej sprawy związane z uszkodzeniami karoserii.

Rozdział 27

Kancelaria znajdowała się niedaleko Helmholtzplatz, zaraz za rogiem Dunckerstrasse, w domu, który do tej chwili skutecznie bronił się przed masową renowacją otaczającego go ciągu ulic. Swoje najlepsze lata przeżywał zapewne zaraz po wkroczeniu aliantów. Tynk odpadał wielkimi płatami, pozostawiając jasne, szpetne przebarwienia na szarej fasadzie. Płytki w korytarzu zostały uznane za godne obtluczenia. Stiuki na łukowatym suficie były zasłonięte przez kable wysokiego napięcia, które niczym liany wiły się przez wejście na wyższe kondygnacje. Wszystkie skrzynki pocztowe były wiele razy wyłamywane, z niektórych wysypywały się reklamy. Dowodem na to, że dom nie jest opuszczony, były okna – nowe, jeszcze bez obróbek tynkarskich. Cały kompleks wyglądał tak, jakby został porzucony w połowie roboty. Jakby robotnicy właśnie zrobili sobie przerwę i mieli zaraz wrócić. Nie było domofonu, była za to mała tabliczka informacyjna: *Biuro adwokackie Hoffmann, podwórze, 2. klatka po prawej*.

Marie-Luise otworzyła mi drzwi z telefonem zakleszczonym pod brodą i kubkiem herbaty w dłoni. Wolną ręką wskazała drogę do pokoju z oknem otwartym na oścież, przez które dobiegały wibracje niczym nieprzytłumionej muzyki z naprzeciwka. Do tego dołączył głos kobiety śpiewającej po francusku.

Przy oknie przed monitorem komputera siedział dwudziestoletni chłopak w zdecydowanie za szerokim, spranym podkoszulku. Kiedy wszedłem, podniósł wzrok tylko na chwilę, po czym znów skupił się na monitorze.

– Okej – powiedziała Marie-Luise. Wiele razy nabierała powietrza, by przerwać swojemu rozmówcy, nie mogła jednak dojść do słowa. Dopiero po paru minutach dostała swoją szansę.

– Proszę się nie martwić. Nie mar-twić, rozumiemy się? Proszę po prostu przyjść tutaj jutro o dziewiątej i wszystko spokojnie nam opowiedzieć. O dziewiątej. Godzina dziewiąta.

Spojrzała na mnie, a ja skinąłem jej głową.

– Proszę się zwrócić do pana Vernaua. Nie, nie prowadzi grupy samopomocy. Jest adwokatem. Pańska córka będzie w najlepszych rękach.

Odłożyła słuchawkę.

– Siedemnaście lat. Libański gang dziewcząt. Złapana po raz szósty, znana policji z powodu popełnienia dwudziestu czterech czynów karalnych. Pewnie znowu przestępstwo narkotykowe. Może być ciężko.

– Jest libańską, niepełnoletnią, uzależnioną od narkotyków...

– ... prostytutką. Taak.

Marie-Luise przesunęła na bok kilka stosów akt i usiadła na biurku.

– To nie jest świat pól golfowych i trzecich samochodów w gospodarstwie domowym.

Odwróciła się do swojego współpracownika.

– Zaparz nam jeszcze herbaty, Kevin.

Kevin wstał posłusznie i wyszedł z pokoju. Marie-Luise zamknęła za nim drzwi.

– Czyli ty tak na poważnie.

– Z czym?

– Naprawdę chcesz tu pracować?

Rozejrzałem się. Stare szafy, szare ściany, na drzwiach plakat zaszlachtowanej foczki. Wskazałem na niego.

– O ile będę mógł to zdjąć.

– Proszę. Mnie zawsze inspirował. Proponuję, żebyś pracował na własny rachunek. Pod koniec miesiąca płacisz proporcjonalnie koszty. Oraz czterdzieści na sześćdziesiąt od obrotu. To jest właściwie nasz pokój, gdzie trzymamy akta. Ale jak cię znam, już niedługo będziesz się tutaj czuł jak u siebie.

Wyszczrzyła do mnie zęby.

– Kim jest młodzieniec parzący herbatę?

– Kevin? Spokojnie, nic nas nie łączy.

– Podpada pod ustawę o ochronie młodzieży.

– Ach tak? – Marie-Luise wstała. – Jakoś znów mnie wydostaniesz z tarapatów. Studiuje prawo i robi tutaj praktykę. Zadowolony?

– Kto jeszcze tu pracuje?

– Pani Binder przychodzi na zawołanie. Pisze wszystko, co jest potrzebne. Jeżeli będziesz jej potrzebował, musisz zapłacić. Moim zdaniem szuka czegoś,

żeby wypełnić czas przed pierwszym dzieckiem. Ale znajdź mi dzisiaj kogoś, kto potrafi poprawnie napisać własne imię.

Odchyliłem się.

– Dopóki niemiecki w bronionej przez ciebie z takim ferworem wielokulturowej szkole zbiorczej jest tylko trzecim językiem obcym...

– Może nie powinniśmy od pierwszego dnia odgrzewać naszej zasadniczej dyskusji ideologicznej?

– To tylko mała wskazówka co do przyczyny i skutku.

Podeszła do drzwi.

– Jeszcze jedno – powiedziałem. – Jestem tutaj partnerem, nie pracownikiem.

Odwróciła się i spoglądała na mnie przez sekundę.

– Jesteś niczym, jeżeli ci nie pomogę.

– Mylisz się. Następnego pierwszego nie będziesz w stanie zapłacić za czynsz.

– Chyba się przesłyszałam.

– Partner albo stąd idę.

Wstałem. Marie-Luise zastanowiła się przez chwilę.

– Pięćdziesiąt pięć na czterdzieści pięć.

– Pół na pół. Na wspólne konto. Ty też.

– Nigdy w życiu.

Otworzyłem drzwi.

– Do widzenia!

– Okej. – Westchnęła, podeszła do szafy z aktami i wyciągnęła z niej kilka teczek, które wcisnęła mi w dłoń.

– Zobacz, czy potrzebują jeszcze pomocy. I... moment...

Wyszła i po chwili wróciła z kolejnym segregatorem.

– Proszę. Możesz zacząć od razu.

Otworzyłem oprawę. Libańska gangsterska laska. Wielkie dzięki.

Kevin przyszedł z herbatą. Nalał mi, a ja wypłem łyk.

– Co to jest, do diabła?

– Herbata Yogi – odpowiedział niewzruszony Kevin. – Klausdorfski styl.

Powinienem jednak wziąć ze sobą ekspres do kawy. Byłem po prostu za porządny.

Do popołudnia zapoznawałem się z prawdziwie godnym pożałowania losem siedemnastolatki, która już w wieku dziewięciu lat wybijała innym uczniom

zęby, a w wieku jedenastu lat kradła im buty Nike. Francuska śpiewaczka z naprzeciwka cały ten czas ćwiczyła ze swoim zespołem, ale nie zaczęła dzięki temu śpiewać lepiej. W pokoju zrobiło się ciemniej, choć słońce musiało się jeszcze znajdować wysoko na niebie.

Spojrzałem na Kevina, który akurat skręcał sobie papierosa.

– To jest biuro dla niepalących.

– Od kiedy? – mruknął. Zmył się jednak na zewnątrz, najwidoczniej całkiem zadowolony z przerwy.

Zadzwoiła moja komórka. Sigrun.

– Możesz dzisiaj wieczorem?

– Kiedy?

– Po prostu wpadnij. Od ósmej jestem w domu.

– A twoje spotkania?

Pauza.

– Potrzebuję wolnego wieczoru. Wszystko odwołałam.

Miałem dużą nadzieję, że nie liczyła na pogodzenie się. Chciałem pogadać z Utzem. Jednak zamiast wyjaśnić ten punkt, powiedziałem:

– Okej.

Rozłączyłem się.

W tym momencie weszła Marie-Luise.

– Właśnie zgłosił się nasz internetowy narzeczony. Milla się obudziła.

– I? Powiedziała cokolwiek?

– Niczego nie pamięta.

Usiadła na miejscu Kevina i zapaliła papierosa.

– To jest biuro dla niepalących – powtórzyłem.

– Już się tak nie zgrywaj.

Mimo wszystko jednak wstała i podeszła do okna, przy którym wydmuchiwała dym na podwórko, z którego zaczęła już dolatywać mieszanka zapachów właściwych dla mieszczańskich berlińskich kolacji. Długo tutaj nie wytrzymam. Zapachy, nieprzyjemne zapachy były bliskie znamionom czynu przestępczego, jakim jest uszkodzenie ciała.

– Sprawę Weinerta przejmuje teraz niejaki Harald Baumgarten. Znasz go?

Harry przynajmniej w tym zakresie wszedł w moje buty.

Kiwnąłem głową.

– To on jest twoim przeciwnikiem? Może i jest sprytny, ale nie najbystrzejszy.

– Przeciwno tobie nie miałabym pewnie żadnej szansy?

– Żadnej.

Palila, starając się wywiedzieć tego i owego.

– Jaką obrałeś strategię?

– Chyba nie oczekujesz, że zdradzę ci tajemnice firmy.

– W takim razie zdecyduj się, dla kogo chcesz pracować. Jesteśmy partnerami. Czy może źle zrozumiałam?

– Rażąca niewdzięczność. Szantaż. Ewentualnie jeszcze z zawiadomieniem prokuratury.

Co prawda zawiadomienie było wyjątkowo niepewne, ale miałem ogólnikową zgodę na przychylne rozpatrzenie sprawy. Prokurator była kobietą. Młoda, niezamężną, nową w mieście. Obiecałem jej pokazać nocne życie w Berlinie. Marie-Luise wydawała się podejrzewać coś podobnego.

– Nieźle pomyślane. Ale chyba bez fizycznego kontaktu?

– Nigdy. Znasz mnie.

– Właśnie.

Znowu spojrzała na podwórko.

– Jak długo trwa, zanim ktoś z podobnymi obrażeniami będzie mógł być przesłuchany?

– Nie mam pojęcia.

– Gdyby była w stanie coś sobie przypomnieć, mielibyśmy pierwsze porządne zeznania świadka.

– Między możliwością przypomnienia sobie a faktycznym zobaczeniem czegoś jest niekiedy dość duża różnica.

– Też zdaję sobie z tego sprawę.

Strzepnęła popiół przez okno, nie zwracając uwagi na to, czy ktoś akurat nie przyczepił na dole swojego roweru lub nie odstawił wózka dla dzieci. W codziennym życiu najwięksi przyjaciele ludzkości często byli też i najbardziej bezwzględni, kiedy chodziło o ich własną wolność.

– Jesteś głodny? Moglibyśmy pójść coś zjeść.

– Przykro mi.

Wstałem i chwyciłem swoją marynarkę. Zaraz po ekspresie do kawy miałem zamiar sprawić sobie także ścienny wieszak na ubrania i liczne inne dobre wieszaki.

– Muszę jeszcze skoczyć do klubu tenisowego. A później mam spotkanie. Prywatne.

– Uhm – zgodziła się ironicznie. – Klub tenisowy, a potem jeszcze jakieś prywatne spotkanie. Ja w takim razie pewnie odgrzeję sobie coś w mikrofalówce i zajmę się sprawdzaniem autentyczności twoich tak zwanych dokumentów wymuszających.

Zbiegałem po schodach, usiłując nie oddychać zbyt głęboko. Ktoś na pierwszym piętrze właśnie starał się zrobić gołąbki. Już z daleka zauważyłem, że coś jest nie tak z moim porsche. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, o co chodzi: szyba po stronie pasażera została wybita. Zrobiłem jedno okrążenie wokół samochodu, ale nie zauważyłem żadnych innych szkód. Otworzyłem drzwi i uważnie wyrzuciłem resztki szkła do rynsztoka. Schowek na rękawiczki był w porządku. Radio z odtwarzaczem CD też było na miejscu. Wtedy zauważyłem złamaną wycieraczkę. Najwidoczniej ktoś wyładował swój gniew wobec niesprawiedliwości tego świata. Porsche dla wszystkich! W pełni podzielałem jego zdanie i poczyniłem pierwszy krok ku realizacji tego postulatu. Jednak samochodowy aktywista pewnie nie miał zrozumienia dla takiego awangardowego podejścia.

Podszedłem do drzwi od strony kierowcy i chciałem je otworzyć, jednak nie udało mi się to. Miłośnik szybkich samochodów włożył zapalną do dziurki od klucza. Przecisnąłem się do środka od strony siedzenia pasażera i zauważyłem, że coś tkwi pod dywanikiem. Podniosłem go. Papier. Gazeta. „Berliner Tageszeitung” z wczorajszego wieczoru. Otwarta na czwartej stronie. Zdjęcie Milli.

To nie była zazdrość. To było ostrzeżenie. Złożyłem gazetę i wsadziłem ją do schowka na rękawiczki. Potrzebowałem paru minut, nim odważyłem się zapalić silnik. W złych serialach był to właśnie ten moment, kiedy samochód wylatywał w powietrze. Jednak odwaga powróciła, kiedy pomyślałem o policyjnym skarżypycie numer jeden oraz o reakcji, jaką wywrę, gdy spowoduję alarm bombowy. Uruchomiłem silnik. Jeszcze nie znalazłem się w niewłaściwym filmie.

Zostawiłem silnik na wolnych obrotach i poczekałem minutę. Kiedy nic się nie stało, odjechałem.

Rozdział 28

Trudno powiedzieć, czy była to kwestia sentymentalizmu, czy przyzwyczajenia, w każdym razie jadąc do klubu tenisowego, nagle znalazłem się na starym szlaku. Zaparkowałem przy chodniku po drugiej stronie i popatrzyłem na pałacyk Zernikowów, w którym spędziłem przecież ładnych kilka lat w kwiecie mojego wieku.

Stał spokojnie, lekko senny pod liściastym dachem starych dębów. Na górnym piętrze już zapaliło się światło. Baronowa zapewne już za dobrze nie widziała w tym wiecznym półmroku gęstwiny listowia, którego drzewa pozbywały się jedynie na czas zimy. Może miała po prostu awersję do półcienia, który malował na ścianach postacie i wspomnienia.

Ktoś poruszył zasłonami. Pojechałem dalej.

Klub tenisowy znajdował się niemalże za rogiem. Dobrze wykorzystał napływ klasy średniej i zainwestował ciągle rosnące składki członkowskie w budowę nowoczesnego budynku. Klub ukrywał się za żywopłotami i drzewami. Można było go zobaczyć dopiero, gdy wjechało się na ten rozległy teren przez bramę z kutego żelaza. Już z ulicy słychać było głuchoe odgłosy odbijanych piłeczek tenisowych. Instynktownie chciałem zamknąć drzwi samochodu. Dałem sobie jednak spokój. Nie było co się wysilać, zważywszy na brak bocznej szyby i zepsuty zamek.

Aaron jeszcze grał. Usiadłem na ławeczce przy krawędzi boiska i kiwnąłem w jego stronę, kiedy podbiegł do mnie i odbił piłkę. Powitał mnie krótko i skupił się na swoim uderzeniu.

Grał dobrze, ale niepewnie. Starał się grać fair, jednak czuło się, że uwiera go to, że jest tylko jednym z wielu. Jednym z wielu, którzy muszą walczyć o zwycięstwo. Jego przeciwnik był o kilka lat starszy od niego i miał wyraźnie więcej wprawy. Aaron zbyt zażarcie walczył o każde uderzenie i ze zbyt dużą twardością, by czerpać z gry przyjemność. Pod koniec wygrała kondycja. Starszy przeciwnik opadł z sił i nie mógł już złapać tchu. Aaron podziękował

mu za grę obojętnym uściskiem dłoni. Teraz podszedł do mnie, kręcąc rakieta na ramieniu.

– Ładnie, ładnie – przywitał mnie. Po czym osuszył swoją spoconą twarz ręcznikiem. – Pan też gra?

– Jedyne jeśli stawka jest wysoka.

Aaron zaśmiał się.

– A więc mamy tu hazardzistę. Może taka mentalność jest potrzebna na sali rozpraw. Ja wolałbym jednak mieć poważniejszego reprezentanta.

Założył torbę na ramię.

– Idę wziąć prysznic. Nie ma pan nic przeciwko poczekaniu na mnie przy wyjściu?

– Mam. – Wyciągnąłem pierścionek z kieszeni i podałem mu go. Aaron wziął go i obrócił w dłoniach. Po czym opuścił torbę i jeszcze dokładniej przyjrzał się pierścionkowi. W końcu obejrzał wytłoczony stempel i pokręcił głową.

– Chce mnie pan zrobić w balona? To nie ten.

– To ten. A teraz proszę nie marnować więcej mojego czasu.

Odwróciłem się i poszedłem w stronę wyjścia.

Jednak Aaron był szybszy. Zastąpił mi drogę.

– To nie ten.

Oczywiście, że to był ten pierścionek. W końcu sam wyłowiłem go z worka na brudy. Aaron miał zapewne problemy z kieszonkowym.

– Proszę się nie ośmieszać.

Chciałem koło niego przejść. Teraz jednak złapał mnie za ramię i zawołał dozorcę.

Potężny łysielec ruszył w naszą stronę.

– Co jest?

– Tutaj. – Pokazał mężczyźnie pierścionek. Ewidentnie był to eksponat pożyczony od Vereny. Lśniące kamienie w ładnej, nieco staromodnej oprawie. Nietypowy okaz, którego nie można było podmienić. Dozorca dokładnie przyjrzał się pierścionkowi, po czym spojrział na Aarona, a następnie na mnie.

– Chciałbym, żeby pan poświadczył, że dostałem ten pierścionek od tego pana.

– Będzie ślub czy co?

– Ten albo żaden – powiedziałem. – Niczego innego ode mnie pan nie dostanie.

– Ależ tak! – wysyczał Aaron. – Dwadzieścia tysięcy euro. A tę podróbkę

zachowam w ramach zastawu.

Wymachiwał pierścionkiem przed moim nosem. Dozorca skrzyżował ręce na piersi.

– Radziłbym najpierw pokazać pierścień pańskiej matce. Może też ma w tej sprawie coś do powiedzenia.

– To nie jest pierścionek mojej matki.

– W każdym razie to jest pierścionek, który mi dała.

– Mogę zobaczyć?

Odwróciliśmy się. Za nami stała Verena von Lehnsfeld. Ubrana w olśniewającą biel, z figlarnym daszkiem przeciwsłonecznym na głowie. Wyciągnęła rękę, a Aaron oddał jej *corpus delicti*. Przyglądała mu się równie uważnie jak jej syn.

Przypomniało mi się jej wyznanie, wtedy w ogrodzie willi. To, co powiedziała o błędach i o tym, że nie potrafi wybaczyć. Abraham miał jeszcze jednego syna. A ona tylko tego jednego.

Kiedy na mnie spojrzała, zauważyłem po raz pierwszy, że ma zielone oczy. W jej wzroku nie było żadnej nerwowości czy niepewności. Przeciwnie: sprawiała wrażenie opanowanej, prawie jakby to wszystko jej nie dotyczyło.

– On ma rację – powiedziała.

– Kto? – zapytał dozorca.

– Mój syn oczywiście.

Po czym przeszła koło nas, nie odwróciwszy się choćby raz. Aaron wyszczerzył zęby.

– No proszę. Teraz zawijaj dupę w troki, Vernau, i przynieś dwadzieścia tysięcy euro. Albo oryginał. Wtedy dostaniesz to z powrotem.

Z zadowoleniem turlał pierścionek na wyprostowanej dłoni. Uderzyłem prawą ręką od dołu w dłoń i pierścionek poleciał w górę, niczym zielona, mieniąca się piłka tenisowa, Aaron wykrzyknął „Hej!”, ja złapałem klejnot w locie i schowałem do kieszeni. Dla dozorca wszystko wydarzyło się za szybko. Nasunął sobie tylko czapkę na kark i podrapał się za uchem.

– Dziękuję, kochanie – powiedziałem.

Aaron ryknął jak byk, którego ściśnięto za jaja. Uniósł raketę i uderzył naciągami w swoją pięść. Na wszelki wypadek cofnąłem się o krok.

– Ta, teraz go ma – skonstatował dozorca.

– Jest pan świadkiem! – krzyknął Aaron. – Okradł mnie! Dwadzieścia tysięcy euro. Inaczej...

Kiwnąłem w stronę dozorczy.

– Oni już tacy są. Zawsze tylko pieniądze. A kiedyś była jeszcze miłość.

Aaron był o krok od rzucenia się na mnie. Zdołał jednak się opanować i znów przywołał swój zwyczajny zblazowany wyraz twarzy.

– Oczywiście ustalę stosowny termin. Słyszałem, że pod względem zawodowym nie jest pan w tym momencie po stronie zwycięzców. Prywatnie pewnie też nie, prawda?

– Czy jestem panom jeszcze potrzebny? – zapytał dozorca.

– Nie. Będę panu wdzięczny, jeżeli dobrze zapamięta pan sobie to, co się tutaj stało. Będą konsekwencje.

Mężczyzna odszedł.

Ja również odwróciłem się, gotów odejść.

– Dalsze kwestie wyjaśnię osobiście z pańską matką.

– Niczego nie będzie pan z nią wyjaśniał – powiedział Aaron. – Nie przejdzie pan koło mnie. Ma pan czas do jutra. Pieniądze albo...

– Miłość? – zapytałem go.

Aaron pogardliwie wykrzywił usta.

– Nawet pan nie wie, jak bardzo brzydzą się pedałami. Ale skoro już o tym mowa, to znajdę już coś odpowiedniego dla pańskiego dupska, proszę mi wierzyć. Widzimy się.

Przynajmniej jedno stało się jasne. Byłem tak samo bliski sercu Lehnsfeldów, jak Zernikowów.

Rozdział 29

Niedaleko Hagenplatz w cichej, bocznej uliczce, w suterenie willi z okresu grynderskiego, od lat funkcjonował dom aukcyjny. Był tam już, kiedy wprowadziłem się do Sigrun, ale znałem go tylko z widzenia. Z rzadka zdarzało się, żebym schodził po schodach i oglądał wystawę. Po prostu się tym nie interesowałem.

Miałem jeszcze trochę czasu do ósmej, a dom aukcyjny znajdował się zaledwie o dwie przecznice od klubu tenisowego.

M. Ducasse. Aukcje / Sprzedaż, brzmiał napis na drzwiach. Obejrzałem wystawę. Trochę wyłożonej na aksamicie biżuterii, chyba secesyjnej. Do tego liczne akwaforty jakiegoś artysty, który wyspecjalizował się w malowaniu brzydkich nagich ludzi w nienaturalnych pozach. Jakiś plakat informował o kolejnej podwyżce i zachęcał do dostaw. *M. Ducasse, rzeczoznawca, wyceny i wskazówki dotyczące pochodzenia.*

Za drzwiami ze szkła antywłamaniowego stał strażnik i nie spuszczał mnie z oka. Był zdecydowanie lepiej ubrany niż ja. Powinienem oddać mój garnitur do czyszczenia. Jak najszybciej.

Zadzwoiłem. Minęły długie sekundy, zanim mężczyzna zmienił swoją pozę i zdecydował się mi otworzyć.

Minąłem go bez słowa powitania i podszedłem do kobiety w nieokreślonym wieku, która akurat nudziła się za ladą z drewna korzeniowego. Wyjrzała zza jakiegoś katalogu i zobaczywszy mnie, zamknęła go. Jej klasyczne rysy pokrywał perfekcyjny makijaż, śnieżnobiała bluzka nie miała żadnej zmarszczki i była zapięta tak, że można było zauważyć wypukłość jej biustu. Nie nosiła żadnej biżuterii poza małutkimi brylantowymi kolczykami. Kiedy się do mnie uśmiechnęła, uczyniła to z profesjonalną mieszanką kobiecości i inteligencji.

Wyciągnąłem pierścionek z kieszeni i podałem go jej.

– Ile jest wart? – zapytałem.

Wyjęła spod lady obitą aksamitem tacę i delikatnie położyła na niej pierścionek. Następnie odrzuciła do tyłu swoje rozjaśnione, gładkie włosy i przyjrzała mu się dokładnie.

– Dobra robota – powiedziała w końcu. – Ale nie zdobędzie pan dzięki temu Liz Taylor.

Teraz uśmiechnęła się inaczej i od razu stała się dzięki temu sympatyczniejsza.

– Skup czy sprzedaż?

– Skup – odparłem.

Zmarszczyła czoło.

– Nie przyjmujemy tego rodzaju biżuterii. Początek dwudziestego wieku, jest zbyt staroświecki dla naszej klienteli. Może powinien pan pójść do jakiegoś antykwariatu, który specjalizuje się w antykach.

– Pytanie tylko, czy to jest oryginał, czy nowsza kopia?

Wyciągnęła lupę i przyjrzała się dokładnie pierścionkowi.

– Sądząc po stemplu i grawerunku, ale także po stylu i stopniu zużycia, jest to oryginał.

– Czy ma uzasadnienie zainwestowanie w to dwudziestu tysięcy euro?

Roześmiała się i schowała kolejny kosmyk włosów za uchem.

– Powiedziałabym, że dając dwa tysiące, już by pan przepłacał. Sprawa ma się jeszcze gorzej, jeśli chce pan go sprzedać. Być może osiemset. Zależy to od tego, jak bardzo się panu śpieszy.

Popatrzyła na mnie i przejechała końcem języka po lekko otwartych ustach.

Podziękowałem. Aż tak mi się nie śpieszyło.

– Proszę poczekać.

Pochyliła się i wyjęła małe etui.

– Nie może go pan tak nosić. Może go oczyścimy? Wtedy będzie wyglądał na nieco nowszy.

– Nie ma takiej potrzeby.

Wcisnęła mi etui do ręki.

– Czy mogłabym jeszcze coś dla pana zrobić?

Z jej wzroku dało się wyczytać, że propozycja nie ograniczała się jedynie do sprzedaży zegarków i biżuterii.

Puściłem jej rękę.

– Dziękuję. Już bardzo mi pani pomogła.

Tym razem strażnik trochę przyjaźniej przytrzymał mi drzwi. Jeszcze raz

uśmiechnąłem się do niej i wszedłem po schodach na ulicę. Pierścionek znowu schowałem do kieszeni marynarki. Osobiście oddam go Verenie.

Zostawiłem porsche na podjeździe i niepewnie poszedłem zwirowaną ścieżką w górę. Chciałem, żeby przyspieszone bicie serca było skutkiem spaceru, nie tego, że za chwilę zobaczę przed sobą Sigrun. Miałem już palec na dzwonku, kiedy usłyszałem za sobą głos.

– Baronowa pana oczekuje.

Walter. Widać nauczył się skradać równie cicho jak jego chlebodawczyni.

Odwrociłem się w jego stronę.

– To jakaś pomyłka. Nie przyszedłem...

– Baronowa nie lubi czekać. – On też nie, to było oczywiste. Wskazał na drzwi do kancelarii. Postanowiłem spotkać się z Sigrun później i przyjąć to przyjazne zaproszenie. W milczeniu wszedłem do pustego holu, w milczeniu wjechaliśmy windą dwa piętra w górę.

– Czy zechciałby pan chwilę poczekać? – Walter musiał naogładać się angielskich seriali o lokajach. Przede wszystkim ten zblazowany wyraz twarzy, w który uzbroił się teraz, prowadząc mnie do czegoś w rodzaju przedpokoju. Gruby orientalny dywan zagłuszał skrzypienie desek podłogowych. Przy oknie stał stoliczek do palenia, na którym znajdował się alabastrowy zestaw, składający się z pojemnika na zapałki i popielniczki. Dookoła stały cztery foteliki. Stałem. Kroki oddaliły się i po krótkim czasie znowu powróciły.

– Pani von Zernikow prosi.

Przeszedłem obok niego. Walter pośpieszył na przód i poprowadził mnie przez drzwi na samym końcu korytarza po lewej stronie. Znalazłem się w salonie.

– Pani von Zernikow prosi o chwilę cierpliwości. – Zamknął drzwi od zewnątrz.

Pokój był wyłożony chińskimi tapetami w żółto-pomarańczowych tonach. Wzór – rajskie ptaki – powtarzał się też na zasłonach. Oczekiwałem blad różowego albo beżowego, ten dobór kolorów mnie zaskoczył. Podłoga była wyłożona dywanami Aubusson. Ozdobione perłami lampy w stylu secesji dawały ciepłe, przytłumione światło. Zostały ustawione w czterech kątach pokoju na stolikach pomocniczych, stolikach z fotografiami, stolikach na karafki i stolikach na koronki. Na środku pokoju, na okrągłym stole pyszniła

się orgiastyczna kompozycja lilii, które roztaczały ciężki, zmysłowy zapach. Było nienaturalnie ciepło. W bogato dekorowanym kominku od strony frontowej pokoju płonął ogień. Podeszedłem do okna i uchyliłem je odrobinę. Widziałem stąd bezpośrednio Guntherstrasse. Moje porsche niepoprawnie zaparkowałem, ale przynajmniej stąd nie wyglądało na bardzo uszkodzone.

– Witam w moim małym światku.

Mooim małym swiaaatu. Przetoczyła się przez przedpokój, w którym znajdowało się wejście do jeszcze jednego pomieszczenia.

– Proszę zamknąć okno. Nie znoszę przeciągów.

Zrobiłem, jak mi kazano.

– Dobry wieczór – odpowiedziałem. – Skąd ten zaszczyt?

– Proooszę usiąść.

Usiadłem w fotelu obok stolika z fotografiami. Baronowa podjechała do drzwi pokoju i wcisnęła przycisk prawie niewidocznego dzwonka. Walter pojawił się niczym królik z kapelusza.

– Czego chce się pan naapić? Damy w moim wieku rozgrzewają się dobrą sherry. Dla pana może whisky? Dżin? A może piwo?

– Piwo byłoby niezłe. Dziękuję.

Walter zniknął, lekko skinąwszy głową. Baronowa podjechała do stolika z karafkami i nalała sobie do jednego z przygotowanych wcześniej dwóch kieliszków na wysokość dwóch palców. Następnie podjechała do mnie i zatrzymała się metr przede mną. Wpatrywała się we mnie nieruchomo, milczała. W związku z tym, że ostatnio byłem przyzwyczajony do gorszych rzeczy, dałem jej czerpać tę przyjemność z patrzenia i czekałem, aż zacznie mówić. Tak minęła bardzo długa minuta, aż w końcu pojawił się Walter ze srebrną tacą, na której niósł butelkę piwa i kryształową szklankę. Dobre. Piwo przeznaczone na ucztę zaręczynową i inne podniosłe dni, podczas których obwieszczano nowiny. Walter postawił tacę koło mnie i znowu zniknął.

– Na zdrowie – powiedziała baronowa. Skinąłem głową.

Wypiła na raz swoje sherry i wydała z siebie porządne „Ah”. Postawiła kieliszek koło mojej tacy i zdecydowanie splotła dłonie.

– Czego pan chce od mojego syna?

Bawiłem się szklanką w dłoniach. Na zewnętrznej ścianie pojawiła się delikatna warstwa kondensacyjna, którą wycierałem kciukiem.

– Chcę mu zadać parę pytań.

– Nie odpowie panu na nie.

Znowu mówiła normalnie, co trochę ułatwiało komunikację. Nie miałem już wrażenia, że stoję na scenie i jestem jedyną osobą, która zapomniała swojego tekstu.

– Z tego, co wiem, to pani syn jest pełnoletni. Wolałbym omówić to z nim osobiście.

– Nie ma powodu, żeby zadawał mu pan pytania, więc nie ma też powodu, żeby na nie odpowiadał. Pański pobyt w naszym domu trwał wystarczająco długo. I proszę mi wierzyć, że nie pozostawił pan po sobie trwałego wrażenia. U nikogo.

– Jest pani tego pewna?

Przytaknęła z naciskiem.

– Bardziej niż pewna.

Odstawiłem szklankę i chciałem już wstać. Jednak to mogła być mimo wszystko ostatnia okazja, żeby się czegoś dowiedzieć. Nie od Utza. Od niej.

– Kiedy przyjechała ta stara kobieta z Ukrainy, dlaczego po prostu nie podpisała pani tego papierka, żeby mieć tę sprawę z głowy?

– Tylko to pana interesuje? Fakt nieprzyznania się do małej, nieistotnej winy? Winy, która zaistniała w czasach, w których grzechy śmiertelne należały do codzienności? Nie ma pan nic lepszego do roboty?

– Myślę, że chodzi o coś zdecydowanie większego niż ta mała wina. Chcę się dowiedzieć, co doprowadziło wtedy do aresztowania Natalii Czeredniczenkowej. Jaką rolę odegrał w tym Utz.

Podniosła swoją pustą szklankę i podała mi ją. Dolałem jej porządną porcję.

– Co pan będzie z tego miał? – Lustrowała mnie surowo swoimi wodnistymi oczami. Nawet kiedy podniosła kieliszek i opróżniła go do połowy, nie spuściła ze mnie oka.

– Żadnej bezpośredniej korzyści – odparłem. – Chodzi raczej o rozterki moralne. W naszej rodzinie bardzo zwraca się uwagę na dobre imię. Proszę to potraktować jako test waszej reputacji.

Zaśmiała się. Z trudem i zgrzytliwie, jakby nie śmiała się od dawna.

– Pan... testuje... naszą reputację? – Wytarła sobie łzę z kącika oka i widocznie ciężko jej było się pozbierać. – Nie, a więc... – Opróżniła kieliszek i powoli się uspokajała. – Sigrun z natury też nie jest wesoła. Ma to po mnie. Zawsze marzyła o mężczyźnie, który będzie umiał ją rozbawić. Powoli zaczynam dostrzegać, że przeliczyłam się co do rodzaju pana nielicznych zalet. Chyba jednak po części są one ulokowane powyżej pasa.

– Jeszcze jednego? – zapytałem.

Od razu spoważniała. Bratanie się było w naszym wypadku zdecydowanie niemile widziane. Dlatego też jej kiwnięcie głową było jeszcze bardziej majestatyczne. Tym razem wziąłem karafkę ze sobą i postawiłem ją między nami na podłodze. Popatrzyła na mnie z dezaprobatą, ale nic nie powiedziała.

– Olga Warszenkowa nie żyje. Milla Czeredniczenkowa leży ciężko ranna na oddziale intensywnej terapii. W Kijowie pewna kobieta czeka na kilkaset euro odszkodowania za stracone lata swojego życia. Jednak najgorsze w tym wszystkim jest to, że moje porsche zostało zdemolowane. W tym momencie zabawa definitywnie się dla mnie skończyła. Te wszystkie zdarzenia mają jeden mianownik: czas, który Natalia spędziła w waszej rodzinie. Czas, który spędziła z Utzem. Powód, dla którego trafiła do więzienia. Coś, czego Utz nie chce sobie przypomnieć.

Baronowa chwyciła karafkę i nalała sobie kolejny kieliszek.

– Dowiem się, co się stało, proszę mi wierzyć. I jeśli odkryję, że ma to coś wspólnego z grzechem śmiertelnym, zadbam o to, żeby pani odpokutowała. Jeżeli nie odkryję tego ja, zrobią to inni.

Nie patrzyła na mnie.

Nachyliłem się w jej stronę.

– Sigrun jest wrażliwsza, niż się pani wydaje. Akurat teraz. Prasa chce wiedzieć wszystko na jej temat. I jeśli w historii rodziny są jakieś czarne karty, to na pewno zostaną odkryte. Sigrun nic pani nie powiedziała o fotografii?

Cofnęła się pół metra.

Wyprostowałem się.

– Natalia nic panią nie obchodzi. Ale Sigrun?

Żadnej reakcji. Baronowa patrzyła na rajskiego ptaka poprzez stół z karafkami. Dałem za wygraną i ruszyłem do drzwi.

– Proszę usiąść – powiedziała szorstko.

Zatrzymałem się.

Zręcznie odwróciła swój wózek w moją stronę.

– Powiedział pan, że chce wiedzieć, dlaczego Utz nie chce sobie przypomnieć.

Przytaknąłem.

– Tutaj nie chodzi o wolę. On nie może pamiętać. Proszę usiąść. Postaram się panu to wyjaśnić.

Co prawda mogła powiedzieć to w miłszy sposób, ale jeżeli porównałoby się tę wypowiedź z opryskliwością wcześniejszych, było to ewidentne wyciągnięcie ręki w moją stronę. Kiwnąłem głową i usiadłem.

Jej wzrok zatrzymał się na stoliku z fotografiami. Srebrne ramki. Chrzt, śluby, rodzinne zdjęcia. Sigrun jako mała dziewczynka z zadartym noskiem, na huśtawce i szczerbą po zębie. Blondyn w mundurze obok zimnej piękności: baronowa i jej mąż. Utz w ubranku marynarskim. Pożółkłe zdjęcia różnych przodków. Matka i syn.

Przyjrzałem się dokładnie ostatniemu zdjęciu. Baronowa stała za Utzem, położyła ręce na jego ramionach, jakby chciała go przytrzymać. Utz jako członek Hitlerjugend patrzył przekornie w obiektyw, zacisnął usta, oczy miał nieruchome.

Baronowa zauważyła, że dłużej przyglądałem się temu zdjęciu.

– Szuka pan idylli? Bezpieczny dom, bawiące się dziecko? Muszę pana rozczarować. Byliśmy nazistowską rodziną.

Wzięła zdjęcie i popatrzyła na nie obojętnie.

– Kochająca matka nie była mile widziana przez partię. Ideałem była matka rodząca liczne dzieci. A ja po Utzu nie mogłam już mieć więcej dzieci. Ale i tak nie miałabym z tego wiele. Nie byłam uprawniona do tego, by wychowywać dzieci, od tego był Jungscharführer¹.

Odłożyła zdjęcie na miejsce.

– Niech pan ode mnie nie oczekuje, że będę mówiła cokolwiek o swoich uczuciach. Poza dumą. Byłam dumna z Utza. Był przekonany, dzielny chłopcem. Chętnie uczestniczył w zajęciach Hitlerjugend. Wierzył we wszystko, co mu się mówiło. Nie powiem panu nic nowego, mówiąc, że wierzyły w to nie tylko dzieci.

Podsunęła mi kieliszek, a ja jeszcze jej nalałem.

– Przez pewien czas utrzymywaliśmy dobre relacje z dyrektorem fabryki łożysk kulkowych. Dziewczynki przychodziły w południe i żadna się nie skarżyła. Było im u nas dobrze. Dostawały jedzenie, ubrania. Pewnego dnia napatoczył się zawistny sąsiad i zaczął głośno się skarżyć. Wtedy dziewczynki zniknęły. Mój mąż stacjonował w tym czasie w Belgii, więc nie mógł mi pomagać przy wynoszeniu śmieci. Jeśli myśli pan, że nasze nazwisko pomogło nam w urzędzie pracy, myli się pan. To wszystko jednak miało swoją rację i swój porządek. To wszystko.

Z mojego piwa uciekły wszystkie bąbelki. To jednak nie tłumaczyło do końca, dlaczego czułem niesmak w ustach.

– Trudno było dostać kogoś do pomocy. W urzędzie pracy oferowali już tylko felerny personel. Jeśli dobrze pamiętam, pańska Natalia była silną dziewczyną. Potrafiła ciężko harować. I miała ten słowiański sposób obchodzenia się z dziećmi. Oni wszyscy mieli podejście do dzieci. Polacy, Rosjanie, Ukraińcy. Bardzo troszczyła się o Utza. Pasowało mi to, miałam pod dostatkiem roboty. Nie zauważyłam, że w pewnym momencie chłopczyk przestał wierzyć we wszystko, co mu się mówiło.

– Co na przykład?

Machnęła lekceważąco ręką.

– Nieważne. Propaganda. Gadanina o podludziach. Zawsze traktowałam moje dziewczęta jak ludzi. Byłam surowa, ale sprawiedliwa. Dobra robota, dobre wynagrodzenie. Dostawała dziesięć marek tygodniowo. Wie pan co? Niech pan nie wierzy we wszystko, co próbuje się wam dzisiaj wmówić. Trzecia Rzesza nie była okresem bezprawia. Były reguły, przepisy, zasady. Trzymano się ich. Kiedy dziewczyny pracowały, miały też co jeść. I jadły dokładnie to, co można było dostać za ich kartki żywnościowe. Nie więcej, ale też nie mniej. U rodzin i tak było im lepiej niż w obozach. Nie chciały wcale odchodzić. Ta Natalia też nie. Mówiliśmy na nią Paula. Tak było łatwiej. Wszystkie nasze dziewczyny nazywały się Paula. Dopiero my pokazaliśmy jej, jak funkcjonuje klozet ze spuszczaną wodą. I że kładziemy się pod kołdrą, nie na niej. Wydaje mi się, że ta Paula chętnie by u nas została. Ale za późno zrozumiałam dlaczego. Zdecydowanie za późno.

Zamknęła oczy. Przez moment wyglądała tak, jakby miała zasnąć. Tego jeszcze tylko brakowało.

– Dlaczego? – zapytałem głośniej.

Wzdrygnęła się, wydawała się lekko zagubiona.

– Co?

– O co chodziło z Natalią?

Odnalazła wątek i napięła kościste ramiona.

– Co pan przed sobą widzi?

Widziałem rajskie ptaki, fotografie i opróżnioną do połowy karafkę z sherry.

– Widzę panią, baronowo.

– Nie! – Zaśmiała się gorzko. – To tutaj to już tylko pomarszczona, pusta powłoka. Nie widzi pan jednak, kim byłam kiedyś.

– A jednak.

Wskazałem na zdjęcie.

– Była pani piękną kobietą.

– Było nas wiele pięknych kobiet w kraju bez mężczyzn. Czy naprawdę wierzy pan, że byłyśmy cnotliwe i czekałyśmy, aż dostaniemy list z kondolencjami? Nie. Chodziłyśmy na łowy. Wszędzie. Szukałyśmy na dworcu kolejowym, w pobliżu obozów, w barach i restauracjach, kręciłyśmy się wokół uniwersytetów niczym wilczyce na polowaniu. Było niebezpiecznie, ale to tylko zwiększało podniecenie. Niektóre robiły to tylko z Francuzami. Inne miały oko na Polaków. Niektóre zasadały się na Chińczyka. Brało się to, co akurat było dostępne. Zaskoczony?

– Niespecjalnie – odpowiedziałem.

– Ja osobiście preferowałam Niemców. Ale trudno było jakiegoś znaleźć. Kobiety, którym udało się złapać jakiegoś Niemca, przechodziły reedukację. Mniejsze zło. Bo mężczyźni nie widzieli się później zbyt szybko.

Wypiła mały łyżeczek. Spojrzałam na karafkę. Na moje oko ubyło dobre pół litra sherry.

– Był oficerem, który przyjechał z frontu na urlop. W cywilu był fotografem. Robił fotosy w Babelsbergu dla UFA GmbH. Robił niezwykłe fotografie. Chce pan je zobaczyć?

Kiwnąłem głową. Przejechała do sąsiedniego pokoju. Usłyszałem, jak otwiera szufladę, po czym pojawiła się znowu. Na jej kolanach leżało duże, płaskie pudełko. Podała mi je.

Otworzyłem je, a serce zaczęło kołatać mi w piersi. Sigrun. Naga. Młoda, zachwycająco piękna i zimna jak źródłana woda, z czającym się pod spodem wulkanem.

Fotografie były czarno-białe. Pokazywały ją w różnych pozach: jedne jako amazonkę błyszczącą od potu na tle burzliwego nieba, inne zaś były klasycznymi aktami w buduarowym stylu. To były cholernie dobre zdjęcia. I miały ponad sześćdziesiąt lat, ponieważ pokazywały baronową.

Te zdjęcia zmieszały mnie i zawstydziły. Rozpoznanie twarzy Sigrun w młodych rysach baronowej nie było najgorsze. Nie chodziło też o podobieństwo obu ciał. Chodziło o wyzywające pozy i lubieżne spojrzenia baronowej. Najgorsze było jednak to, że te zdjęcia na mnie działały. Podniecały mnie.

Oddałem je.

– To nie był tylko pani fotograf.

Uśmiechnęła się zadowolona, widząc moją reakcję na ciało, które bezpowrotnie wpadło w ramiona starości. Jej kwitnąca, zmysłowa piękność zagubiła się na zawsze pod zmarszczkami, wystającymi kośćmi i niebieskawymi żyłkami. Jedynie jasne, jastrzębie oczy pod wąskimi, pociągniętymi na czarno brwiami przypominały, kim kiedyś była. Przypominały też Sigrun.

– Był moją wielką miłością

Popatrzyłem na nią.

– Miłością?

Podniosła się trochę na swoim wózku, strzyknęły różne kostki i stawy.

– W tamtych czasach miłość była szybka. Nie skupialiśmy się zbyt długo na romantyzmie. Od razu przechodziliśmy do rzeczy. Kiedy można dużo stracić, trzeba się śpieszyć. Każde spotkanie mogło być tym ostatnim. Czy jestem wobec pana zbyt szczerą?

– Nie. – Zebrałem się w sobie. Nie mogłem uwierzyć, że rozmawiam o seksie z prawie pięćdziesięcioletnią kobietą.

– Przychodził z wizytą dwa, trzy razy w tygodniu. I za każdym razem była to uczta. Wie pan, jak to jest, jak się chce kogoś pochłonąć? Pożreć, wmusić tę drugą osobę w siebie? Byliśmy jak zwierzęta. To było...

Popatrzyła na mnie. Wytrzymałem to spojrzenie. Dłużej, niż powinienem, dłużej, niż to było wskazane. Te oczy chciały sprowokować mnie do walki i teraz rozumiałem już, że na pewno bym ją przegrał. Krew pulsowała mi w żyłach i kiedy rozumiałem, co się stało, było już za późno. Miała mnie dokładnie tam, gdzie chciała: pożądałem i nie wiedziałem już kogo. Sigrun czy młodej baronowej, obrazy nakładały mi się na siebie.

Użyłem całej mojej siły woli, aby wydostać się z wiru emocji i znowu znaleźć się na płaszczyźnie salonowej konwersacji.

– Rzeczywiście – powiedziałem. – Jak zwierzęta?

Chciałem wręczyć jej z powrotem zdjęcia. Jednak zamiast je wziąć, odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy. Teraz dopiero rozumiałem, że osiągnęła to, co chciała osiągnąć. Chciała, żeby mężczyzna jeszcze raz tak na nią spojrzeć, chciała mieć znowu władzę i zamącić mu w głowie. Odłożyłem zdjęcia do pudełka i po raz pierwszy poczułem się pokonany w jej obecności.

– Utz o tym wiedział?

Otworzyła oczy.

– Proszę się nim nie przejmować. Był wtedy dzieckiem. Chorym dzieckiem, uczepionym swojej opiekunki. Nie ma tu nic do dodania.

– A Natalia?

– Kradła jak kruk. To przywiodło ją do zguby. Nawet Utz musiał się z tym pogodzić. Był świadkiem tego, jak kradła. I to też wtedy zeznał. Byłam z niego dumna.

Wstałem. Czy dla Utza faktycznie więcej znaczyła duma jego matki niż miłość do Natalii? Nie mogłem pojąć, jak udało jej się wyprowadzić mnie w pole. Ona jednak jeszcze nie skończyła. Przejechała koło mnie i pociągnęła za sznur od dzwonka. W ułamku sekundy Walter otworzył drzwi.

– Wie pan... z mojego biurka.

Po twarzy Waltera przemknął uśmiech, zanim znowu zniknął za zasłoną.

– Zanim pan pójdzie, chciałabym jeszcze coś pokazać. Żeby pan mniej więcej zrozumiał, jaką rangę ma pan w tym domu.

Walter wrócił z małą skrzyneczką. Otworzył ją i wyjął z niej kluczyk. Chciałem go przechwycić, on jednak błyskawicznie go zabrał. To był klucz od skrytki na dworcu.

– Pozwoliliśmy sobie przeszukać zawartość skrytki. Była pusta.

Uniosłem rękę.

– Może ktoś już tam przed wami był?

– Ma pan na myśli Sigrun? Młodzieńcze, nic z tego, co próbuje pan zrobić, nie podzieli tej rodziny. Dziękuję za urróżną rozmowę. Życzę panu szczęścia.

Przekrzywiła głowę i słuchała. Z pokoju na tyłach dochodziła cicha muzyka. Stare nagranie *Carewicza* Franza Lehára, *Pieśń o Władze... sam, samotny jak zawsze...* Jej rysy rozjaśnił uśmiech.

– Richard Tauber.

I wtedy, tak jakby wpadła jej do głowy ostatnia perfidia, podniosła rękę.

– Niektórych Żydów bardzo ceniłam.

Sam znalazłem drogę do wyjścia.

¹ Jungcharführer – stopień w nazistowskiej organizacji młodzieżowej Hitlerjugend, dowódca zastępu, czyli *Schar* (przyp. tłum.).

Rozdział 30

Wyspany?

Marie-Luise musiała czaić się na mnie za drzwiami kancelarii. Jak tylko je otworzyłem, machnęła mi od razu aktami przed nosem.

– Szczeńciarz z ciebie, że przyszedłam dzisiaj tak wcześnie. Miałeś spotkanie!

Sprawa Libanki. Przecisnąłem się koło niej i wszedłem do mojego biura.

– Mam w tej chwili inne zmartwienia.

– Czy ja dobrze słyszę? – Marie-Luise weszła za mną do pokoju. – Poleciłam cię jako eksperta w sprawach o kradzież. Nie życzę sobie, żebyś zwyczajnie zapominał o moich rekomendacjach.

– Dobrze, już dobrze! – krzyknąłem. – Miałem wyczerpujący wieczór.

– Ach – zawyrokowała. – Przesadziłeś z grą w tenisa? A może to prywatne spotkanie tak cię wymęczyło? Słuchaj no: jesteśmy partnerami. Nie oczekuję od ciebie stuprocentowego zaangażowania. Masz z siebie dawać sto dziesięć procent.

Włączyłem komputer, otworzyłem Google i wpisałem hasło „akta Narodowosocjalistycznego Trybunału Specjalnego”. Wyskoczyło pięćset wyników, z czego wszystkie były artykułami z gazet i pracami naukowymi na nieatrakcyjnych stronach uniwersyteckich. To było deprymujące. Wszystko. Najbardziej Marie-Luise, która nie przestawała nadawać.

– Jakiś kryminalista wybił mi szyby w moim porsche.

Zabolało mnie, gdy dzisiaj rano zobaczyłem swój samochód. Moje porsche nie było co prawda małą foczką, ale gorąco i głęboko je kochałem.

– Co? – zapytała.

Spojrzałem na zegarek.

– Jest dwadzieścia po dziesiątej. Jeśli od razu stąd wyjdę, będę w łóżku o jedenastej. Pośpię do trzeciej, później wypiję podaną mi filtrowaną kawę i pojedę z moją matką na brydża do Reinickendorfu. Na kolację będzie ravioli z Aldiego. I jeśli mógłbym ci coś powiedzieć – nie mogę się go doczekać. Bo

będą to pierwsze godziny od dobrych paru tygodni, podczas których nikt nie będzie mi psioczył nad uchem, nikt nie będzie mnie zapędzał w kozi róg, nikt nie będzie mi groził i przede wszystkim nikt nie będzie mnie robił w balona. Okej?

– Cóż, przykro mi – powiedziała i obeszła biurko, żeby do mnie podejść. – Nie znam się dobrze na samochodach. Masz coś jeszcze do dodania?

– Nie.

Chciałem koło niej przejść, ale mnie przytrzymała. Trzymała mnie mocno! Byłem tak zaskoczony, że aż stanąłem.

– Sigrun?

– Puść mnie.

Chciałem pójść do domu. Pierwszy raz od dwudziestu lat uważałem, że ten ośmiometrowy pokój z płamą na ścianie, na której kiedyś wisiał plakat z Kim Wilde, jest moim domem. Opuściła rękę, tak jakby sama przestraszyła się tego, że mnie dotknęła.

– Okej, w takim razie idź. Dzisiaj tak, jutro nie. Trzymanie się danego słowa nie ma już znaczenia. A już na pewno słowa danego mnie.

Dopiero teraz zauważyłem, że ma sińce pod oczami.

– Co z tobą?

– Nic.

Przez moment staliśmy w milczeniu.

– Schmiedgen?

Przygryzła wargi.

– Czasami dobra kawa działa cuda – powiedziałem.

– Czasami – odparła cicho.

Marie-Luise nastawiła wodę. Wyjąłem dwa czyste kubki, po czym usiedliśmy przy stole i czekaliśmy, aż zagotuje się woda.

– Nie chce się rozwieść – powiedziała i wsypała sproszkowaną kawę do kubków. – Mówi, że jego żona przechodzi ciężki kryzys i że nie może tego teraz od niej wymagać.

– To prawda?

Roześmiała się krótko i wlała wodę do kubków.

– Zależy, co rozumie się przez kryzys. Akurat otworzyła swoją drugą galerię i zarezerwowała rejs z okazji ich dwudziestej rocznicy ślubu. Oczywiście za jego kasę.

Mechanicznie mieszała swoją kawę.

- Może powinnam z nią pogadać?
Delikatnie zabrałem jej łyżeczkę.
- Lepiej nie.
- Ale ona ciągle wynajduje nowe rzeczy, za pomocą których wywiera na niego presję. Najpierw ta galeria. Później wielka uroczystość z okazji srebrnej rocznicy w Poczdamie. Teraz ten cały rejs. Nigdy nie ma odpowiedniego momentu. Czasami wydaje mi się, że nigdy jej nie powie.
- Jest trochę starszy od ciebie.
- No i co?
- Powiem inaczej: jesteś trochę młodsza od niego.
- Coś takiego! Twoim zdaniem to tylko nic nieznacząca przygoda seksualna, prawda? W głowie ci się nie mieści, że ma to coś wspólnego z miłością. Miłością, rozumiesz? To się rozgrywa tu i tu... – stuknęła się w głowę i uderzyła w pierś – ...i niekoniecznie tylko tam, gdzie według ciebie znajduje się jedyny ośrodek motywacji.
- No, od czasu do czasu... – Roześmiałem się mimowolnie.
- Marie-Luise niespodziewanie przyznała mi rację. Zaśmiała się, kręcąc przy tym głową.
- Czasami zabiera mnie ze sobą, kiedy wyjeżdża w delegacje.
- Jak cię wtedy przedstawia?
- Jako swoją asystentkę.
- Uhm. Zapewne macie pokój dwuosobowy?
- Nie – odparła. – Oddzielne pokoje. Wczesnie rano, o szóstej, przekradam się do siebie przez korytarz. Żeby nikt nie zobaczył. To jest... To jest...
Bez uprzedzenia ukryła twarz w dłoniach i zaszłochała.
- To jest takie poniżające. – Opuściła głowę i zwiesiła ramiona. – Czasami dzwoni do niej, kiedy z nim jestem. Zawsze od razu odbiera telefon, żeby broń Boże nie pomyślała, że jest z kimś innym. Raz nawet faktycznie był z kimś innym. Fachowiec nazwałby to *coitus interruptus telefonensis*. – Podniosła oczy. – Prawie wytrąciłam mu słuchawkę z ręki. Powiedział jej, że to nic, tylko telewizor. Nic, rozumiesz? Jestem niczym! – Znowu zaszłochała.
- Podszedłem do szafy i wziąłem garść serwetek do wycierania, które podetknałem jej pod nos. Wydymuchała porządnie.
- Daj spokój z tymi bzdurami. Nie jesteś niczym. Dlaczego w ogóle z nim jesteś?
- Rozchyliła papier i popatrzyła na rozmazany, nieapetyczny rezultat w swojej

dłoni.

– A ty dlaczego jesteś z Sigrun?

– To co innego.

– Też robi cię w konia, nie? Jak potoczyło się milutkie prywatne spotkanie wczoraj wieczorem?

– Nie spotkałem się z nią, tylko z jej babcią.

Podniosła głowę.

– Z panią dobrze urodzoną?

Przytaknąłem.

– No i?

– Przyznała się do wszystkiego.

– Do czego? Morderstwa Olgi? I ataku na Millę?

– Nie – odparłem. – Jak dziewięćdziesięcioletnia kobieta na wózku miałaby zaatakować dwie zdrowe osoby na ulicy?

– Mogłeś ją o to zapytać.

– Zapytałem ją o Natalię. Przyznała się, że ją zatrudniała. Po czym opowiedziała mi dosyć zagmatwaną historię o opiekunce kleptomance i seksownym fotografie specjalizującym się w aktach.

– Och. W wieku dziewięćdziesięciu lat? – Marie-Luise dopiła kawę, nie krzywiąc się ani razu. Spróbowałem mojej i uznałem, że osad już opadł.

– Nie znam żadnej innej dziewięćdziesięciolatki, która mówiłaby więcej o seksie.

Zrobiło mi się zimno, kiedy pomyślałem o moich mieszanych uczuciach z wczoraj. Ewidentnie nie doceniłem podbramkowej sytuacji, w jakiej znalazło się moje życie seksualne. Abstynencja zaczynała mi powoli doskwierać. Być może powinienem coś z tym zrobić. Pójść do burdelu. Kupić parę gazetek pornograficznych. Inni robili to dzień w dzień. Jednak to, co faktycznie mnie martwiło, to była zdrada Sigrun. Rodzina von Zernikow załatwiła mnie.

– Gdzie był wtedy jej mąż?

Potrzebowałem chwili, aby wrócić do Marie-Luise.

– Wilhelm von Zernikow? Z tego, co wiem, to w Belgii. Poległ w Ardenach. Ale rzadko bywał w domu już od początku wojny. Sigrun twierdzi, że jej ojciec prawie w ogóle go nie pamięta. Obcy człowiek w mundurze.

– Tak, więc oprócz Utza von Zernikowa, który wtedy miał dziewięć lat...

– Jedenaście. Miał jedenaście lat, kiedy to się stało. Natalia była u tej

rodziny od półtora roku.

– Jedenaście – powtórzyła Marie-Luise. – Mający jedenaście lat chłopcy z Hitlerjugend byli już prawie dorośli. Dwunastolatkowie obsługiwali przecież działka przeciwlotnicze. Coś tam się stało. I chodziło o coś więcej niż tylko o parę srebrnych łyżek. Skradziono coś więcej. Może serce. A stara to zauważyła. Jedenastoletni chłopczyk, czternastoletnia dziewczynka... Pamiętasz, co powiedziała Ekaterina? O miłości do dzieci wroga?

– To bzdura.

– Nie – odparła z werwą. – Na początku masz chłopca z Hitlerjugend i robotnicę ze Wschodu. Następnie, kiedy on zaczyna chorować, chłopiec staje się synem, ona matką. A na końcu... brat i siostra? A może zdrajca i ofiara?

– Nie dramatyzujesz za bardzo? Przez większą część bitwy o Berlin Utz był na Pomorzu.

Marie-Luise podeszła do okna. Wyrzała na zewnątrz, na łuszczącą się ścianę ognioodporną, która nadal wyglądała tak, jakby została zniszczona podczas wojny.

– Kiedy wrócił do Berlina?

– Sigrun twierdzi, że w lutym czterdziestego piątego.

– A kiedy skazano Natalię?

– W listopadzie czterdziestego czwartego roku.

– A nie powiedziałaś przed chwilą, że baronowa mówiła o jakimś zeznaniu Utza podczas procesu przeciwko Natalii? Jak to się ma do siebie?

Miała rację. Czas się nie zgadzał. Próbowałem przypomnieć sobie, co dokładnie powiedziała baronowa.

– W takim razie Utz wrócił wcześniej. Luty czy listopad, front wschodni był coraz bliżej. To były wielkie kolumny uchodźców, przecież wiesz o tym.

Marie-Luise wymamrotała coś pod nosem. Powtarzała coś i kiedy w końcu wszystko sobie poukładała, otworzyła oczy i zapytała:

– Gdzie Utz przebywał jesienią czterdziestego czwartego?

– W Łebie, sto kilometrów od Gdańska.

– Nie wiem, czy uważałeś na lekcjach historii. Być może wy na Zachodzie tylko musnęliście ten temat. U nas w każdym razie do znudzenia wałkowano spektakularne zwycięstwo Armii Czerwonej. Z tego, co pamiętam, Gdańsk nie poddał się w styczniu czterdziestego piątego. Trzynastego stycznia czterdziestego piątego rusza wielka ofensywa Frontu Białoruskiego w kierunku Elbląga i Zalewu Wiślanego. Musieliśmy uczyć się tego na pamięć.

Dwudziestego szóstego stycznia: ostrzał Kaliningradu.

– Ale ewakuacja rozpoczęła się przecież dużo wcześniej.

– Trzydziestego marca czterdziestego piątego. Druga Radziecka Armia Uderzeniowa wyzwala Gdańsk. W marcu, słyszysz? Wielka ofensywa na Berlin rozpoczęła się w kwietniu. Dopiero wtedy Niemcy zdali sobie sprawę z tego, że było to właśnie najkrótsze tysiąclecie w historii ludzkości. Jednak w listopadzie czterdziestego czwartego członkowie rodziny von Zernikow przebywający na Pomorzu z pewnością wierzyli jeszcze w cudowną broń, końcowe zwycięstwo i odwet. Dlatego zadaję ci pytanie: z jakiego powodu jedenastoletek wyrusza wtedy do Berlina? Dlaczego zdąża do miasta, które jęczy pod gradem bomb? Żeby zeznawać w procesie przeciwko komuś, kogo kocha?

Utz często opowiadał historię wędrówki w kolumnie do Berlina. Po drugim razie przestałem słuchać. Sigrun uśmiechała się pobłaźliwie. Pozwalaliśmy staremu mówić. Niech sobie opowiada o mrozie i długich marszach, łunach ognia na horyzoncie i osmolonych ruinach. Znosiliśmy te wspomnienia z taką samą niecierpliwością, z jaką znosi się nieistotne wykłady, niekończące się debaty parlamentarne i koncerty młodych kompozytorów. Tak się robi, trzeba być grzecznym, nie przerywać, ale tak naprawdę się nie słucha.

Nigdy nie zadałem Utzowi na ten temat żadnego pytania. Sigrun także wystarczało to, co jej ojciec uznał za warte opowiedzenia. A moja mama? Była za młoda, urodzona w trzydziestym ósmym. Ona także od czasu do czasu opowiadała o nocach bombardowań. O latających choinkach i dzieciach wysyłanych na wieś. O głodzie. Ale jej historią była ta o odbudowie. Należała do dzieci z ruin, bawiących się na gruzach. Te dzieci widziały, jak ukrywano czerwono-czarne flagi, palono książeczki partyjne, zakopywano odznaki i ordery. Po czym s pluwało się w dłonie i wracało do pracy. Później od razu doszło do cudu gospodarczego. Kraj zakopał swoją przeszłość pod gruzami i zbudował sobie nową twarz. Następnie przyszły na świat dzieci Republiki Federalnej, które po prostu już nie pytały swoich rodziców i dziadków o to, co robili wcześniej. Opowieści zostawiali zawodowcom. Historycy telewizyjni zbierali widzów zaraz po kolacji i serwowali im Trzecią Rzeszę w kolorze.

Moja matka miała siedemdziesiąt lat. Niedługo nie będę już mógł jej zadać żadnego pytania.

– To musi nam opowiedzieć sam Utz – powiedziałem.

Marie-Luise kiwnęła głową.

– Odpowiedź może być kluczem do tego, co się wtedy stało. Kazano mu to zrobić czy zjawił się dobrowolnie? Czy przyszli z nim jego krewni, czy też puszczono chłopca samego? Niezależnie od odpowiedzi, jednej rzeczy nie da się nie zauważyć: Utz zjawił się dokładnie w odpowiednim momencie.

– Jak to?

– Natalia Czeredniczenkowa została skazana czternastego listopada czterdziestego czwartego. Zapewne przez Trybunał Specjalny, a tam się nie ociągali. Utz przyjeżdża i staje się świadkiem kradzieży, za którą jego opiekunka zostaje skazana na śmierć. Jeżeli przyszedł na piechotę, znaczy to, że był w drodze przez, powiedzmy, sześć tygodni. To znaczy, że wyruszył na początku października. Początek października...

Zadzwoił telefon i Marie-Luise wyszła do pomieszczenia obok. Nie wiedziałem, co zrobić ze wskazówkami, które właśnie udało jej się zgromadzić. Im więcej dowiadywaliśmy się o tej sprawie, tym bardziej się gmatwała.

Nagle poczułem, że chcę się poddać i po prostu o wszystkim zapomnieć. Poprosiłbym Sigrun o wybaczenie i wpędziłbym baronową do grobu samą moją obecnością w willi. Byłbym dobrym zięciem dla Utza. Verena dostałaby z powrotem swój pierścionek i oczywiście byłby to dokładnie ten sam pierścionek, który pożyczyła mi wcześniej. Budziłbym się każdego ranka koło kobiety, która nawet w głębokim śnie była piękną, a wieczorem przykrywałbym się kołdrą, która byłaby codziennie trzepana i której poszewki byłyby zmieniane przez delikatne ręce. Te ręce należałyby do pomocy domowej, której imienia bym nie znał, coś polskiego, jakiejś kobiety, o której nie wiedziałbym nic, gdzie mieszka i czy ma rodzinę. I już za tydzień mógłbym odebrać moje porsche z warsztatu.

– Trzeba by obejrzeć akta procesowe Trybunału Specjalnego. Czy to możliwe?

Marie-Luise wróciła. Bezlitosna adwokatka dawno przedawnionych, na wpół zapomnianych spraw, których wyjaśnienie nigdy nie wniosło choćby centa do pustej kasy.

– Nie mam pojęcia.

– Zapytam Ekateriny. – Podała mi swój kubek, a ja umyłem go razem z moim.

– Schmiedgen chce się ze mną zobaczyć. Powinam iść?

– Kopnij go w dupę.

– Skradzione serca. – Westchnęła. – Gdzie się spojrzy, tam skradzione serca.

– Prezentu nie można ukraść.

Nic na to nie powiedziała. Chwyciłem ścierkę i zacząłem wycierać kubki, a później polerować zlew. Z jakiegoś powodu zmieniłem się właśnie w idealnego pana domu.

Marie-Luise spojrzała na mnie.

– Znowu wpuściła cię w maliny, prawda?

Milczałem.

– Masz jeszcze książeczki pracy?

– Jasne.

Weszliśmy do swoich biur. Godzinę później Marie-Luise wystawiła głowę przez drzwi.

– Zupełnie zapomniałam ci powiedzieć, że on tutaj przyjdzie.

Popatrzyłem na nią.

– No i? Co to ma znaczyć? Nie będę mógł przez godzinę wejść do kuchni, bo będziecie potrzebować stołu?

Popatrzyła na mnie błagalnie. Ze złością zamknąłem dokumenty, nad którymi pracowałem dla dobra ludzkości i – nie zapominajmy – dla dobra Marie-Luise. Wziąłem moją marynarkę i bez pożegnania wyszedłem z mieszkania.

Bez samochodu droga do kliniki Rudolfa Virchowa trochę trwała. Musiałem przesiadać się wiele razy i zgubiłem się, bo pomyliłem metro z kolejką miejską. Nie byłem stworzony do korzystania z transportu miejskiego. Było już wczesne popołudnie, kiedy dotarłem wreszcie na oddział intensywnej terapii i zapytałem pielęgniarkę, jak czuje się pacjentka z pokoju 42–07. Sięgała już po telefon, żeby uprzedzić lekarza, kiedy zza rogu wyszedł Horst.

– O masz, Joachim! Świetnie, że wpadłeś.

Kiwnął głową w kierunku pielęgniarki.

– Wszystko w porządku.

Odłożyła słuchawkę. Najwidoczniej Horst zdobył już zaufanie całego oddziału.

– Jak ona się czuje?

– Dopiero co się wybudziła.

Pociągnąłem go na korytarz, żeby pielęgniarka nie mogła usłyszeć naszej rozmowy.

– I? Powiedziała coś?

Horst pokręcił głową.

– Nie. Zobaczyła mnie i znowu zasnęła.

Zły znak dla planowanego małżeństwa.

– Co mówią lekarze?

– Nic nie można zrobić. Czekać, czekać.

Przeszliśmy przez korytarz i zatrzymaliśmy się przed szybą. Milla leżała w łóżku dokładnie tak, jak ją zapamiętałem. Można było rozpoznać jedynie jej ręce, głowa nadal była zabandażowana. Na stoliku nocnym stał gigantyczny bukiet czerwonych róż.

– Był tutaj jakiś fotograf.

W mojej głowie od razu zapaliła się czerwona lampka.

– Czego chciał?

– Zrobić zdjęcia oczywiście – odpowiedział Horst. – Od razu mu powiedziałem, że źle skończy, jeżeli jeszcze raz spróbuje.

Zapalony czytelnik gazet bulwarowych zmieniał się powoli we wroga dziennikarzy.

– No i?

– I nic. – Horst unikał mojego wzroku.

– Nie dał się chyba tak łatwo spławić?

Horst wyciągnął z kieszeni spodni kartonik i podał mi. Wyglądał przy tym tak, jakby wypił pół litra octu.

– Dał mi to.

Wizytówka. Alexander Dressler, dziennikarz niezrzeszony. Żadnego adresu, tylko dwa numery komórkowe.

– Czego od ciebie chce?

– Dostanę dwa tysiące euro, jeśli powiem, kim ona jest i co ma wspólnego z tobą.

Wzięłem głęboki oddech. Więc jednak Dressler to wyniuchał. Śledził Sigrun, śledził Horsta i jeśli nie będę bardzo uważny, wyśledzi mnie aż do fotela drogiej pani Huth.

– No i? Co mu odpowiedziałeś?

Horst milczał. Dwa tysiące euro to mnóstwo kasy. Brałem udział w procesach o morderstwo, w których poszło o zdecydowanie mniejszą sumę.

– Powiedziałem mu, że się zastanowię. – Horst popatrzył na mnie. – Chciałem go tylko przytrzymać, rozumiesz? Chciałem się najpierw dowiedzieć, co ty na to powiesz. Nigdy bym...

Urwał.

– Dzięki – powiedziałem i schowałem wizytówkę. Nie miało znaczenia, czy ktoś zastanawiał się nad niemoralną propozycją. Ważne było to, czy się ją przyjęło, czy odmówiło.

– Może warto byłoby go puścić na fałszywe tory – zastanawiał się Horst. – Ty jako adwokat zawsze możesz mieć jakieś powiązanie ze sprawą. Może przysłał cię tutaj kierowca z wypadku, bo chce zobaczyć, czy mógłby się dogadać z Millą. Albo ja cię wynająłem, bo może teraz zostanie odesłana, a ja tego przecież nie chcę...

Znow miał wilgotne oczy. Powinniśmy go zmienić, żeby mógł spędzić jedną noc w swoim łóżku i się przebrać. Zwyczajnie nie miał nerwów do tego, aby strzec swojej narzeczonej i jeszcze prowadzić moją prywatną wojenkę.

– Idź do domu – powiedziałem. – Połóż się. Ja przez ten czas tutaj zostanę.

– Nie, to nie wchodzi w rachubę. A co, jeśli się obudzi, a mnie tutaj nie będzie?

Milla na pewno nie miałaby od razu wrażenia, że coś poszło bardzo nie tak. Tego jednak nie mogłem powiedzieć Horstowi.

– Zadbam o wszystko. I dopóki tutaj jestem, nic jej się nie stanie. Obiecuję ci.

Horst patrzył długo i tęsknie przez szybę. Następnie westchnął.

– Tylko dwie godziny. Później od razu wracam.

– Nie śpiesz się.

Odprowadziłem go aż do windy.

– To miło z twojej strony, że przyniosłeś jej kwiaty – powiedziałem, kiedy już do niej wsiadł.

– Kwiaty? – Horst zmarszczył czoło. Nagle sobie przypomniał. – Ach, róże. Nie są ode mnie.

– A od kogo?

Winda zamknęła się, zanim usłyszałem odpowiedź.

Rozpocząłem moją wartę. Bukiet stał na stoliku nocnym koło łóżka Milli. Mogłem ułatwić sobie sprawę i uznać, że przyniósł go Dressler. Ale to były piękne, prawie metrowe ciemnoczerwone róże. Drogie róże. Takich kwiatów nie wysłałby żaden dziennikarz. Nie było żadnego liściku, a pielęgniarka nie wiedziała, kto je odebrał.

Wiadomość była jasna nawet bez liściku: *Wiemy, że tu jesteś. Nie zapomnieliśmy o tobie.*

Rozdział 31

Już sto metrów od domu usłyszałem basowe akordy i wyjątkowo podłe sprzężenie. Kiedy wszedłem na podwórko, powitało mnie nerwowe solo perkusyjne.

– *Alors, encore une fois...*

Rockowa piosenkarka. No to teraz będzie się działo. Czy nie mieszkał tutaj nikt, komu by przeszkadzały tego rodzaju zachowania? Niektóre okna były lekko otwarte. Jedynie na trzecim piętrze po skosie jakaś sprawiająca wrażenie zalęknionej kobieta spoglądała w dół. Kiedy mnie zobaczyła, od razu zamknęła okno.

Wszedłem na górę do kancelarii. Marie-Luise wyszła, był za to Kevin, który siedział i palił przy swoim biurku. Kiedy mnie zobaczył, wstał i przeszedł koło mnie bez słowa, kierując się do kuchni.

– Gdzie jest Marie-Luise?

Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Spróbowałem zadzwonić na jej komórkę, ale włączyła się jedynie poczta głosowa. Pozostawiłem jej krótką wiadomość z prośbą, żeby do mnie oddzwoniła, jeśli to nie ona wysłała kwiaty Milli. Następnie zabrałem się do swojej roboty. Wrócił Kevin, tryskając złym humorem.

– Powiedziała, gdzie idzie?

– A co ja jestem, jej opiekunka?

Nie wyrzał z za komputera. Obszedłem biurko. Kevin nie zdążył zamknąć strony na czas. Witryna bojówki, która nawoływała do ataku na jakiś światowy szczyt gospodarczy, który miał odbyć się w jakimś uroczym miejscu na ziemi.

– Masz ochotę na urlop?

Kevin apatycznie klikał po swoim koncie mailowym.

– I ty tak tutaj przez cały dzień?

– Bo co? – spytał.

– Potrzebuję kogoś, komu będę mógł podyktować parę listów. Zaczynamy. –

Wróciłem na swoje miejsce.

Kevin patrzył na mnie bez słowa. Po chwili pokręcił głową.

– Nie ze mną – burknął.

– Nie widzę tutaj nikogo innego. Najpierw pismo do Prokuratury Krajowej w Berlinie, Sądu Kryminalnego Dzielnicy Moabit itepe, itepe, dotyczy sygnatura akt numer... Co jest?

Uniosłem wzrok. Kevin siedział naprzeciwko z rękami splecionymi na piersi i patrzył na mnie, szczerząc zęby.

– Nie jestem maszynistką.

– Z tego, co wiem, to jesteś tutaj na stażu. Właściwe prowadzenie korespondencji sądowej należy do zadań, którymi obciążona jest kancelaria. Możesz też parzyć herbatę i planować swoje podróże do Davos, ale dopiero po tym, jak uporamy się z tymi obowiązkami.

– Nie możesz mi niczego kazać.

Spojrzałem mu głęboko w oczy.

– A jednak. Masz dwie opcje. Albo piszesz, albo spadasz.

– Marie-Luise też ma w tej kwestii coś do powiedzenia.

– W całości zaakceptuje moje decyzje. To jak, zaczynamy?

Kevin wlepił we mnie oczy. Po czym odwrócił się do komputera, a ja zacząłem dyktować. Podyktowałem mu całą zaległą korespondencję z ostatnich dni, a nie było tego mało. Po dwóch godzinach chłopak był u kresu sił. Od czasu do czasu poprawiałem jego literówki i uczyłem go poprawnego układu strony. Specjalnie usunąłem w całości jedno z pism, żeby go zdenerwować. Następnie wszystko podpisałem i kazałem mu zanieść gotowe listy do najbliższej skrzynki pocztowej.

– No – zaświergotałem radośnie – od dzisiaj każdy dzień będzie tak wyglądał.

Kevin zaklejał koperty.

– Właściwie dlaczego tutaj jesteś? – zapytał mrukliwie.

– A dlaczego nie?

– Nie pasujesz tutaj. To wszystko jest takie... – polizał znaczek pocztowy i nakleił go na kopertę – ...takie zimne.

Patrzyłem na niego, kiedy frankował resztę kopert. Powoli zbliżałem się do wieku, w którym zwrot „mógłby być moim synem” nie odbiegałby od prawdy z biologicznego punktu widzenia. Miał półdługie, potargane włosy, modną fryzurę „prosto z łóżka”. Jego podkoszulek miał odpowiedni znaczek

popularnej marki, a buty sportowe kosztowały co najmniej sto euro. Miał wszystko, o czym marzyłem w jego wieku. Jednak przekora sprawiła, że jego twarz była pochmurna, przez co wyglądał na mrukliwego i cwanego.

– Zimne? – zapytałem. – To jest w całości poprawna, fachowa korespondencja. Tak to wygląda w świecie sprawiedliwości.

– Ach, ty się uważasz za sprawiedliwego?

– Nie – odparłem. – W najmniejszym stopniu. Ale potrzebujemy wspólnego mianownika, by móc decydować o winie i niewinności, prawie i bezprawiu.

– Ty pewnie broniłbyś każdego, co nie?

Pokręciłem głową.

– Nie. Nie każdego. Nie wiem, jaką drogę wybierzesz pewnego dnia, jeśli będziesz miał zamiar skończyć studia. Ale jeśli zdecydujesz się zostać obrońcą w sprawach karnych, nie będziesz walczyć o prawa bezprawnie prześladowanych. Będziesz zajmować się sprawami morderców, gwałcicieli, handlarzy narkotykami, wszystkimi szumowinami.

– Oszuści podatkowi, kanciarze inwestycyjni i cała hołota z Berliner Bank. Wiem, skąd przyszedłeś. Rzygać się chce. Przyprawiasz mnie o mdłości.

Kevin musiał się jeszcze dużo, bardzo dużo nauczyć.

Kiedy sobie poszedł, spróbowałem połączyć się z Sigrun. Nie było jej w biurze. Następnie zadzwoniłem do mojej mamy i powiedziałem, że z powodu braku samochodu wyprawa do Reinickendorfu nie wchodzi w rachubę. Rozczarowanie po drugiej stronie słuchawki było wyczuwalne. Obiecałem jej, że niedługo wrócę do domu. To poprawiło jej trochę humor. Akurat chciałem wyjść z pokoju, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Otworzywszy drzwi, zobaczyłem przed sobą Connie.

– Mogę wejść?

Connie minęła mnie i z zainteresowaniem otaksowała korytarz od góry do dołu. Zafascynowały ją przede wszystkim poźółkłe i trochę nowsze ulotki wzywające do pokojowych demonstracji oraz plakat z żurawiem oblepionym ropą naftową.

– Interesujące. To twoja nowa klientela?

– O co chodzi?

Zamknąłem drzwi, ale nie ruszyłem się z korytarza. Miała na sobie niewiarygodnie krótką minispódniczkę, do tego kurtkę Chanel i skórzano-welurowe czółenka noszone najwyżej raz. Jej ciemne włosy opadały niczym aksamitny szal niemalże do samej talii. Kiedy odgarnęła ich pasemko,

zaświeciła złota bransoletka. Connie wyglądała drogo. Tak jakby znalazła kogoś, kogo było na nią stać. Uśmiechnęła się do mnie swoimi dokładnie i delikatnie wyszminkowanymi ustami.

– Tęsknota – odpowiedziała. – Masz coś do picia?

Poszedłem do kuchni.

– Woda z kranu, herbata w saszetkach i kawa po kaulsdorfsku.

– Serio? Z osadem? Taką chcę.

Nastawiłem czajnik z wodą i poprosiłem, żeby usiadła.

Usiadła ostrożnie tak, aby plecionka na starych krzesłach chippendale nie podarła jej rajstop. Uśmiechnęła się do mnie promiennie.

– Jestem zakochana – powiedziała. – A zakochani robią najdziwniejsze rzeczy. Na przykład spotykają się z tobą.

Wyjąłem dwa kubki i zmieloną kawę.

– Kto jest tym szczęśliwcem?

Nadal się uśmiechała niczym małe słońeczko.

– Tego nie powiem. To świeża sprawa. Nie chcę tego zepsuć. On nie wie, że tutaj przyszedłem. Ale znacie się.

Skinąłem głową.

– Cukier? Mleko?

– Czarna – wyszeptała.

Usiadłem naprzeciwko niej. Nie chodziło tylko o te drogie ubrania, które nosiła. Zmieniła się jej gestykulacja i sposób bycia. Connie siedziała wyprostowana jak struna, elegancko i ze skromnie założonymi nogami. Długo by nie wytrzymała w tak niewygodnej pozycji. Baletnice musiały utrzymywać tę pozę od najwcześniejszej młodości. Ale nie Connie. Jednak przez pół godziny powinna dać radę. Wystarczająco, aby odegrać przede mną małą maskaradę.

Odłożyła na stół swoją oburzająco drogą torebkę i wyjęła z niej paczkę cartierów.

– Mogę? Usiądę jak najbliżej okna.

Kiwnąłem głową, a ona zapaliła papierosa elegancką złotą zapalniczką. Ktokolwiek był jej wybrankiem, na pewno nie skąpił na podstawowym wyposażeniu. Zapewne miała już malutki zestaw walizek Vuitton. Zagotowała się woda na kawę. Wstałem i wlałem ją do kubków.

– A więc? – zapytałem. – Przecież nie chodzi tylko o tęsknotę.

– Gdzieś w pobliżu jest jakaś impreza, prawda? Idziesz tam później?

– Nie. Muszę wrócić do domu. Mama czeka na mnie z kolacją.

Connie zachichotała, przesłaniając usta dłonią w trochę zbyt afektowany sposób. Gdyby miała jeszcze kapelusz na głowie, mogłaby bez problemu siedzieć w głównej loży klubu tenisowego.

– Dostałaś podwyżkę? Świetnie wyglądasz.

Uśmiechnęła się.

– Widać, prawda? Harry’emu łzawią oczy, jak mnie teraz widzi. A Meinerz nie waży się nawet spojrzeć na mój tyłek. Śmieszne, jak różnie reagują mężczyźni.

– A Utz?

Jej uśmiech zgasł.

– Pan von Zernikow? Nie ma go.

Wstała i rozglądała się, dopóki nie podstawiłem jej talerzyka. Kevin używał go już jako popielniczki. Usiadła z powrotem.

– Co się z nim dzieje?

Wzruszyła ramionami.

– Wydaje mi się, że jest chory. Ta sprawa z tobą mocno nim wstrząsnęła. Harry twierdzi, że to szantaż. Szantażowałeś pana von Zernikowa?

– Nie – odparłem.

Spojrzała na mnie, a następnie powoli skłoniła głowę. Zgasła papierosa i wzięła łyk kawy.

– Oj – jęknęła, jej twarz wykrzywiła się w grymasie.

– Najpierw zamieszaj i poczekaj, aż opadnie.

– Nie musisz mi tego wyjaśniać. – Energicznie zamieszała w lurze.

– Czy jest poważnie chory?

– Tego nie wiem. Od dwóch dni nie pojawił się w biurze. Czegoś takiego jeszcze nigdy nie zrobił.

Mimochodem przejechała ręką po szlachetnym zamku swojej torebki. Każdy gest odzwierciedlał jej dumę, że w końcu się udało. Miałem nadzieję, że facet bierze ją na poważnie. Connie była kochanym, dobrym człowiekiem. Nie zasłużyła na to, żeby być wodzoną za nos.

– Jak Harry wpadł na pomysł z szantażem?

– Nie wiem. Nie mówił mi przecież o tym. Nieważne, musisz to podpisać.

Zaczęła grzebać w swojej śmiesznie małej torebeczce. Wypadł z niej pęk kluczy, na którym wisały dwa kluczyki z logo Mercedesa. Następnie wyciągnęła wielokrotnie złożone papiery. Rozłożyłem je, marszcząc brwi.

– Nie mogę nosić aktówki do tych butów. Rozumiesz, prawda?

Kiwnąłem głową. Rozwiązanie kontraktu pracy za obopólną zgodą. Utz złożył swój podpis. Musiałem się tylko podpisać. Wyjąłem długopis z szuflady w stole kuchennym i podpisałem się.

Connie popatrzyła na mnie.

– To wszystko? Harry myśli, że chcesz odprawę. Do tego dochodzi kwestia partnerstwa, w końcu pan von Zernikow zaproponował ci ją. Mówi, że możesz wyciągnąć z tego sporo pieniędzy.

– Czy Harry mówi coś jeszcze?

– Nie – odpowiedziała, ponownie złożyła dokument i schowała go do torebki. – To znaczy...

Connie spuściła ze współczuciem oczy ze zdjęcia półnagiego dziecka jedzącego chleb nad zlewem.

– Masz jeszcze jakieś dokumenty? Musieli włamać się do twojego biurka, żeby dostać się do dokumentacji sprawy Weinerta.

Pokręciłem głową.

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Dlaczego chce to wiedzieć? Czy chodzi o coś konkretnego?

Connie spuściła wzrok i wzięła kolejny łyk kawy.

– Nie. Jeśli mówisz, że niczego nie masz, to tak właśnie jest. Wierzę ci.

– A kto mi nie wierzy?

Connie spojrzała szybko na swój zachwycający zegarek.

– Muszę już iść. Znasz Felixa w Adlonie? Jeszcze nigdy tam nie byłam. – Westchnęła. – Wiesz, że ja naprawdę nie wiem, jak się je homara? Za każdym razem, kiedy wychodzimy, boję się, że będziemy jeść homary. Śni mi się to po nocach. Przecież to absurd. Jestem przeszczęśliwa i mam koszmary o homarach.

Nie byłem w stanie jej współczuć.

– Homary są passé. Tak samo jak wątróbki z gęsi i kawior. Ostrygi są jeszcze w modzie, ale tylko jako przekąska.

Przyłożyła dłoń do ust.

– One jeszcze żyją, kiedy je jemy.

Przytaknąłem.

– Czasami słyszy się cichy krzyk. Prawie jak pisk. – Zacząłem naśladować prosię. Connie popatrzyła na mnie i zaczęła się śmiać. Po raz pierwszy

wyglądała jak tamta dziewczyna z kancelarii.

– Szkoda, że już cię nie ma. Tęsknię za tobą.

Wstała, ja też się podniosłem. Wtedy wzięła mnie w ramiona i uścisnęła. Pachniała perfumami First od Van Cleef & Arpels. To był czysty, drogi zapach wyprasowanych ubrań i nieskażonego sumienia. Wzięła swoją torebkę. Odprowadziłem ją do drzwi. Odwróciła się jeszcze raz w moją stronę.

– Zabieram dokumenty ze sobą w takiej postaci, rozumiesz to? Żadnej odprawy, żadnej forsy?

Przytaknąłem.

Uniosła brwi.

– Okej, jak wolisz. Ach... ta sprawa z przeniesieniem zwrotnym w Grünau, gdzie ją położyłeś?

– Dokumenty są pod nazwiskiem Lehnsfeld w dolnej szufladzie.

– Wszystko tam jest? Bo właśnie nie znalazłam.

– Wszystko.

– I niczego nie brakuje? Żadnego dokumentu, żadnej kopii? Harry powiedział, że to ważne. Muszą się zacząć powoli przygotowywać, a sprawa jest pewnie niesamowicie skomplikowana.

– Niczego nie brakuje – zapewniłem ją.

– I nie zrobiłeś żadnych kopii i nie schowałeś ich pod swoim materacem? – Przechyliła głowę i uśmiechnęła się w moją stronę.

Zaprzeciłem.

– Okej, w takim razie wszystko jest w porządku. Jeszcze kiedyś przyjdę z wizytą. Nie masz nic przeciwko?

Przesłała mi całusa i poszła. Chwiała się nieco, ponieważ jej buty nie były przystosowane do tego rodzaju klatki schodowej. Pozostawiła po sobie zapach perfum.

Wróciłem do kuchni i wstawiłem kubki do zlewu. Przez dłuższy czas patrzyłem na leżący na talerzyku błyszczący filtr jej papierosa, niby z masy perłowej. Odbiła się na nim jasnoróżowa szminka. Tęsknota zdecydowanie nie była powodem jej wizyty. Rozwiązanie umowy można było wysłać pocztą. Oprócz tego śmieszne było to, że Connie nie mogła znaleźć jednego dokumentu. Nawet dobrze nie zacząłem sprawy o przeniesienie zwrotne. Pamiętałem, że wywiedziałem się w kwestii wypisów z księgi wieczystej. Nic więcej. Może Connie chciała się pokazać i być podziwianą. Nowa Connie z nowym samochodem.

Znacie się, powiedziała. On nie wie, że tutaj jestem.

Czy Connie zrobiłaby coś, co mogło rzucić cień na jej nowy związek?

Hałas na podwórku przybrał na sile. W międzyczasie wystawiono ławki i stoły, szła w najlepszą budowlę improwizowanej sceny. Zebrało się już z pięćdziesięciu ludzi, których jeszcze nigdy nie widziałem w tym domu i po których widać było, że mają zamiar przebalować tutaj całą noc.

Zamknąłem okna. W biurze Marie-Luise czuć było słaby zapach wody po goleniu. Za dużo bodźców dla mojego nosa. Zostawiłem u niej otwarte okna i skierowałem się do drzwi. Zadzwoiła moja komórka.

– Jakie kwiaty? – Marie-Luise, pijana.

– Gdzie jesteś?

– W miejscu, w którym zdecydowanie nie powinno mnie być. – Miała trudności z wyraźnym wypowiedzeniem zdania. – Możesz przyjechać, zanim popełnię jakiś kurewski błąd?

– Gdzie jesteś? – powtórzyłem.

– Na So-Sophienstrasse. W Kunsthöfe. Zabiję ją. Wszystkich zabiję!

To wymagało natychmiastowej interwencji. Zbiegłem na podwórko. Kevin siedział w kącie podwórza na odwróconej skrzynce na piwo. Koło niego leżała sterta listów, które miały już nie otrzymać stempelka z dzisiejszą datą. Rozmawiał z małym stworzeniem w spodniach wojskowych, które po bliższym przyjrzeniu dało się zidentyfikować jako kobietę. Wiedziałem, który z rowerów należy do niego. Stał nieprzypięty. Jego wina.

Choć pedałowałem jak szalony, na Sophienstrasse dotarłem dopiero po dwudziestu minutach. Kunsthöfe było bardzo elegancko odnowionym budynkiem z cegły klinkierowej z pasażem prowadzącym na Gipsstrasse. Znajdowały się tam delikatesy, liczni absurdalni projektanci, warsztat ceramiki z eksponatami zachwycającymi prostotą oraz galeria. W galerii trwała impreza. Marie-Luise znalazłem przed wejściem, z butelką wina w dłoni i dwoma pustymi u stóp.

Zatrzymałem się tuż przed nią. Zwróciła na mnie uwagę dopiero, kiedy zadzwoniłem dzwonkiem przyczepionym do roweru Kevina, spojrzała w górę i zmusiła się do zamazanego łzami uśmiechu.

– Ona jest tam w środku.

Nie musiałem pytać, o kogo chodzi. Postawiłem rower pod ścianą i usiadłem koło Marie-Luise. Podała mi butelkę, ale odmówiłem, dziękując. Nie interesowało mnie ciepłe, tanie, zaplute białe wino w gorącej letniej wieczór.

– Pewnie nie poszło za dobrze dzisiaj po południu.

Zamrugła.

– Co masz na myśli? Ruchanko czy to, co stało się później?

– A stało się coś później?

Zajrzała do swojej butelki i lekko w nią dmuchnęła.

– Mieliśmy rozmowę o naszym związku. Rozmowę o końcu naszego związku. Tymczasowe zarządzenie natychmiastowego zaniechania jakiegokolwiek kontaktu.

– Dlatego poszłaś na wernisaż jego żony?

– To jego żona. Nie on.

Tak wyglądała logika według Marie-Luise. Przez drzwi zobaczyłem ludzi, w większości ubranych na czarno, którzy ustawili się w grupkach przed obrazami. Z trudem mogłem je przez to dojrzeć, wyglądały na abstrakcyjne, dzikie i kolorowe. Nie mój gust. Jakaś bardzo elegancka kobieta po pięćdziesiątce z niesłychanie wzburzoną jasnoszarą szopą włosów wdzięcznym slalomem uwijała się między ludźmi; zagadała tu, roześmiała się tam i rzucała ukradkowe spojrzenia na szlochającą kupkę nieszczęścia przed jej drzwiami.

– To ona? Ta z siwymi włosami?

Marie-Luise kiwnęła głową.

– Powiedziała, że mam się wynosić. Że nie zostałam zaproszona. Że tu nie pasuję.

– Przypuszczalnie wie, kim jesteś.

Marie-Luise uniosła podbródek.

– Tchórzliwa świnia. Tym gorzej. Idę tam i powiem jej, co o tym sądzę. Przy wszystkich tych ludziach!

Podniosła się niepewnie, ja jednak dosyć stanowczo posadziłem ją z powrotem.

– Nie zrobisz tego. To nie jej wina, że jej mąż nie potrafi się zdecydować.

W tym momencie wyszedł zza winkła. Zdumiał się. Kołysząc się, powoli i ostrożnie stawiając stopy, kierował się w naszą stronę.

– Co ty tu robisz? – zapytał.

Marie-Luise bez słowa wsadziła palec wskazujący do szyjki butelki i uderzyła nią o stopnie z klinkierowej cegły. Schmiedgen dyskretnie zerknął do wnętrza galerii. Jego żona stała teraz zaledwie trzy metry od wejścia i patrzyła w naszą stronę. Wiedziała o wszystkim. Ewidentnie źle czuła się

z myślą, że za chwilę będzie musiała podzielić tę wiedzę z resztą towarzystwa. Schmiedgen nerwowo zaczesał rozwiane włosy za uszy. Przynajmniej pod względem fryzur w czasie wspólnego pożycia tych dwoje osiągnęło zadziwiające podobieństwo.

– Czego chcesz? – zapytał.

Ścisnąłem lekko rękę Marie-Luise.

Ona mnie jednak odtrąciła.

– Tylko zobaczyć – wymamrotała.

Schmiedgen podniósł brwi i popatrzył na mnie. Ruchem głowy dałem mu do zrozumienia, że najlepiej będzie, jeżeli jak najszybciej stąd zniknie.

– Mogę przejść?

Przeszedł koło Marie-Luise. Nie przesunęła się nawet o milimetr. Wszedł do środka i został przywitany przez swoją żonę chłodnym pocałunkiem w policzek.

– Chodź, pójdziemy stąd.

– Ja... nie... mogę... – jęknęła. Zrobiła zamach i z całą siłą roztrzaskała butelkę o schody. – Zabiję ją. Ich oboje. Tak jak tam stoją i się na mnie gapią. Kimże ja jestem? Kimże ja jestem?

Wykrzyczała ostatnie zdanie. W galerii zapanowała cisza. Wszyscy goście patrzyli w stronę drzwi. Pani Schmiedgen wzięła swojego męża pod ramię. Nie było do końca jasne, czy szukała oparcia, czy może chciała powstrzymać go od wyjścia na zewnątrz. Podciągnąłem Marie-Luise do pozycji stojącej i starałem się ją wyprowadzić. Oswobodziła się i podstawiła mi obtłuczoną szyjkę butelki pod nos.

– Kim ja jestem?! – wrzeszczała. – Że daję się tak traktować?

– Przestań – powiedziałem cicho. – Daj spokój. Tylko pogarszasz sytuację.

Dwóch barczystych mężczyzn w ciemnych garniturach i włosach przyglądanych na żel podeszło do drzwi.

– Możemy jakoś pomóc?

– Nie! – wrzasnęła Marie-Luise. – Nie możecie pomóc! Odwalcie się i powiedzcie tej... tej...

– Wszystko w porządku – powiedziałem. – Mamy stresową sytuację. To się czasami zdarza.

– Ale nie tutaj – powiedział młodszy z nich. Mieli opalone twarze i wyglądali na ludzi, którzy nic sobie nie robią ze sztuki nowoczesnej. – Spadajcie stąd.

Wczepiłem się w Marie-Luise i pomimo jej energicznych protestów wyciągnąłem ją na ulicę. Wymachiwała jeszcze trochę szyjką butelki, kopała i drapała, ale udało mi się ją utrzymać w uścisku. Powoli się uspokajała.

– Nie powinieneś tego robić – powiedziała w końcu przecnicę dalej i zwymiotowała.

Czekałem, aż skończy robić to, co nieuniknione.

– Mogli złożyć na ciebie doniesienie – powiedziałem.

– Trudno.

Jeszcze przez chwilę miała torsje, ale już nic więcej z niej nie wylatywało. Podałem jej jedną z moich ostatnich wyprasowanych chusteczek, w którą wydmuchała się bez pardonu, po czym wcisnęła mi ją zmiętą z powrotem do ręki.

– O Boże, ale mi niedobrze.

– Gdzie twój samochód?

– Z tyłu.

Oddała mi kluczyki i pokuśtykała za mną. Otworzyłem jej drzwi, a ona opadła z jękiem na siedzenie. I natychmiast zasnęła. Dojechawszy na Mainzer Strasse, wyciągnąłem ją z samochodu i zaniósłem na górę.

– Nie odchodź – wymamrotała. – Jakie kwiaty?

Zaniósłem ją do łóżka i przykryłem.

– Nie teraz.

Po chwili znowu spała.

Chciałem jeszcze wrzucić jej kluczyki samochodowe do skrzynki pocztowej, jednak okazja, żeby pojechać do Reinickendorfu, była idealna. Zostawiłem Marie-Luise karteczkę, wrzuciłem ją do jej skrzynki pocztowej, wsiadłem do samochodu i pojechałem do domu.

Rozdział 32

Zastałem moją mamę i drogą panią Huth przed telewizorem, który miał głos włączony na cały regulator. Obie spały. Obudziłem je, nacisnąwszy guzik na pilocie. Zapanowała cisza i spokój.

– Już wróciłeś? – zapytała mama, przecierając oczy. Mechanicznie sięgnęła po swój zegarek, który leżał przed nią na stoliku kawowym, założyła okulary i zlustrowała cyferblat.

– Dziesiąta!

Pani Huth zaszurała stopami w poszukiwaniu swoich kapci. Następnie podniosła się z jękiem.

– Chce pan jeszcze coś zjeść?

– Nie, dziękuję.

Pokazałem im kluczyki od samochodu Marie-Luise.

– Co powiecie na jutro przed południem? Reinickendorf?

– Uwierzę dopiero, jak tam będziemy – odparła droga pani Huth, nie mrugnawszy okiem. Zrobiła się bezczelna, biorąc pod uwagę, że niedawno uratowałem ją od misji dworcowej.

– Jutro przed południem? – zapytała mama. – W takim razie musimy... Trzeba jeszcze przygotować parę rzeczy. Kiedy?

Połowicznie pamiętałem terminy moich spotkań. Marie-Luise miała jutro przed południem reprezentować w sądzie spadkobierczynię Weinerta i postarać się załatwić to w delikatny sposób, o ile zdoła opanować swojego kaca. Kevin nie pojawi się przed dwunastą. Pewnie przyjdzie piechotą. Pierwsze wstępne przesłuchanie libańskiej bojowniczkii niepodległościowej miało odbyć się w piątek. Wszystkie inne sprawy zostały wszczęte i akurat sprawnie przedzierały się przez instancje sądownicze.

– Dziewiąta – zaproponowałem.

– To za wcześnie – zaprotestowała moja mama.

– Przykro mi. Muszę być w biurze o dwunastej. Jutro albo nigdy.

– W takim razie musimy wcześniej wyjść – uznała mama i zdjęła okulary. – Gdzie jest...

Przeszukała beznadziejnie zawalony stolik kawowy.

– Moje etui na okulary. Przecież leżało tutaj przez cały czas.

Zaczęliśmy szukać razem i znaleźliśmy je pod kanapą. Mama rozpromieniła się.

– A więc marsz do łóżka. Wstaniemy wcześniej rano. Lepiej godzinę za wcześniej niż minutę za późno.

Poszedłem do kuchni, podczas gdy obie panie z niezwykle celebrawą okupowały łazienkę i sypialnię.

– Jestem gotowa! – krzyknęła moja mama. – Dobranoc!

– Dobranoc! – odkrzyknąłem.

Znalazłem w lodówce otwarte pudełko z margaryną. Odsunąłem zjełczałą wierzchnią warstwę i powąchałem resztę. Następnie wrzuciłem pojemnik do kosza. Jutro czekały nas duże zakupy.

Poszedłem do swojego pokoju z sucharkiem posmarowanym resztką dżemu truskawkowego. Światło ulicznej latarni tworzyło jasny wzór na dywanie. Miałem wrażenie, jakbym nigdy się nie wyprowadził. Za chwilę usłyszę obok coraz bardziej uniesione głosy. Jak zawsze kiedy myślano, że śpię.

Drzwi do łazienki ponownie się otworzyły. Chwilę później usłyszałem odgłos spuszczonej wody. Jadłem sucharka i myślałem o Natalii i dziecku.

To dziecko kochało swoją matkę, tak jak wszystkie dzieci kochają mamy. Jednak ta matka prawie w ogóle nie zajmowała się swoim synem. Troszczyła się o niego opiekunka do dziecka, która prawie nie mówiła po niemiecku i została tutaj przywieziona ze wsi na Ukrainie. Dwoje dzieci podczas wojny. Zalęknione i samotne. Później chłopiec zostaje wysłany na Pomorze. Jest tam stosunkowo bezpieczny. Dziewczynka zostaje w Berlinie. Czy mieli prawo do siebie pisać? Mogli rozmawiać przez telefon? Co popycha chłopca do samotnej wyprawy z powrotem do miasta?

Niezależnie od motywacji, chłopiec dociera do Berlina i staje się świadkiem czegoś, co nie powinno się wydarzyć. Czy to była tylko kradzież? Może coś więcej? Podczas procesu chłopiec zeznaje przeciwko dziewczynce. Przeciwko komuś, kto był mu najbliższy, dla kogo podjął długą i uciążliwą drogę. Co czuł? Co widział?

Któregoś dnia w listopadzie 1944 roku Natalia zostaje skazana przez sąd doraźny. Sądy były bombardowane tak samo jak więzienia. Domy tak samo jak

ogrody. Nie było różnicy między pałacem a chatką. Podczas jednego z nalotów bombowych została zniszczona gilotyna w Plötzensee i trzeba było przesunąć egzekucje. Zwierzęta z zoo uciekały ze swoich popękanych klatek aż na Kurfürstendamm. Ryczące poranione lwy, zebry. Berlin płonął. Jest całkiem możliwe, że Natalia zdołała uciec.

Być może wierzy, że wszystko się przedawniło. Wyroki nazistowskiego sądownictwa są już nieważne. Sześćdziesiąt lat później zwraca się do Utza von Zernikowa o poświadczenie czasu swojej pracy przymusowej. Czekala z tym sześćdziesiąt lat. Jest bardzo starą kobietą. Musiała jednak liczyć się z tym, że została zapamiętana nie tylko jako opiekunka do dzieci, lecz także jako przestępczyni. Co było tak naprawdę jej winą?

Wpatrywałem się w płamę światła długo, aż rozboleły mnie oczy. Potem zasnąłem.

Obudził mnie zapach kawy. Spojrzałem na zegarek. Było krótko po siódmej. Drzwi do mieszkania otworzyły się i zamknęły, ktoś skradał się korytarzem. Wstałem godzinę później.

Mama i droga pani Huth nakryły stół do śniadania. Były bułeczki i kiełbasa szynkowa, która wyglądała na zadziwiająco świeżą.

– Byłyśmy już na zakupach – wyjaśniła mama, radośnie nucąc pod nosem, kiedy nalewała mi kawę. Uczesala się porządnie i włożyła jasnoniebieski kostium, który był trochę niemodny, ale świetnie na niej leżał.

Pani Huth jak zwykle była ubrana w coś workowatego o nieokreślonym, ciemnym kolorze. Obie jadły z apetytem, aż musiałem się pośpieszyć, żeby dostać jeszcze jedną bułeczkę.

W korytarzu stały dwie duże torby podróżne.

– Przeprowadzacie się? – zapytałem.

Mama pokręciła głową.

– Nie. Ale nie chcemy przecież przyjść z pustymi rękoma po tym, jak tak długo nas nie było.

Z jednej torby podróźnej wystawały liczne plastikowe torby z kwiatami doniczkowymi. W drugiej znajdowały się wiadro, łopatką i grabie. Wszystko składane.

– Sądzićie od razu wasze prezenty?

Pani Huth posłała w moją stronę zjadliwe spojrzenie.

– Jak nam pan pomoże, to nie będziemy musiały same odwalać całej roboty.

Wziąłem torby i zaniósłem na dół. Było wpół do dziewiątej. Dzień zapowiadał się parny i chmurny. I bardzo, bardzo gorący.

Po zamknięciu mieszkania mama z panią Huth pośpieszyły za mną najszybciej, jak tylko mogły.

– To ten? – zapytała mama i wskazała na volvo Marie-Luise. Liczyła na porsche. Do pewnego stopnia wszystkie dziewczyny są takie same, nieważne, ile mają lat.

– Ten albo żaden! – Przytrzymałem im drzwi, po czym ruszyliśmy.

Pojechaliśmy autostradą aż za Wittenau, następnie wybuchł chaos. Mama i droga pani Huth głośno kłóciły się, w którą stronę jechać dalej.

– Za Konradshöhe trzeba skręcić w prawo!

– W lewo! – upierała się pani Huth.

Miała rację.

Od dawna nie byłem w Konradshöhe. Była to wiejska dzielnica na północy miasta, otoczona gęstymi lasami. Przebieg ulic determinowała stara, odwieczna struktura wsi. Sklepy i małe domki, a na brzegu Haweli kilka imponujących willi. Gdzieś w pobliżu musiał znajdować się dom, w którym mama zawsze spotykała się na brydża. Przejechaliśmy jednak koło przystanku autobusowego w kierunku wyjazdu z miasteczka.

– W lewo! – krzyknęła mama prosto w moje ucho.

– Nie, po rozwidleniu tam przed nami w prawo! W prawo!

Zjechałem na bok i zgasilem silnik.

– Gdzie właściwie chcecie jechać?

– Na cmentarz – odparła pani Huth.

– Na jaki cmentarz? Kto tam mieszka?

Pani Huth spojrzała na mamę, mama na swoją torebkę ze sztucznej skóry.

– Na cmentarz? – spytałem jeszcze raz. Mama przytaknęła.

Uruchomiłem silnik i ruszyłem. Po kilku minutach dojechaliśmy do celu. Otoczony ceglany murem cmentarz w Konradshöhe znajdował się przy wyjeździe z miasteczka. Zaparkowałem przy szeroko otwartej bramie z kutego żelaza. Wysiadłem i pomogłem paniom wysiąść z samochodu. Na końcu wyjąłem torby z bagażnika.

– I co teraz?

Pani Huth i mama popatrzyły po sobie.

– Najpierw do Heidemarie.

Podniosłem torby i poszedłem za nimi.

W cieniu drzew panował błogi chłód. Szliśmy prostą, zwirowaną dróżką, od której na obie strony odchodziły ścieżki do pojedynczych grobów. Było w porządku, jeśli moja mama postanowiła najpierw odwiedzić grób zmarłej przyjaciółki od brydża. Musiało już upłynąć tyle czasu. Obie panie przede mną znowu zaczęły się kłócić i po kilku krokach skręciły w lewo. Sprzecząc się, wróciły na dróżkę i poszły w drugą stronę. Pośpieszyłem za nimi, taszcząc rośliny doniczkowe, wiaderko, łopatkę i grabie. Zatrzymały się przed niepozornym grobem.

– Nie do wiary, jak to wygląda! – oburzyła się droga pani Huth. – Co za bałagan!

Opuściłem torby. Pani Huth przyklękała i zaczęła wyrywać chwasty. Mama stała z boku i przyglądała się roślinom.

– Co myślisz o hortensji?

Pani Huth podniosła się, już cała spocona.

– Różowa? Przecież nigdy tego nie lubiła. Rododendron. Proszę.

Wyciągnąłem z torby właściwą roślinę i wydłubałem ją z doniczki. Mogły mi powiedzieć wcześniej. Miałem na sobie ostatni czysty garnitur.

Pani Huth wstała z jękiem.

– Czy może pan podciąć bluszcz?

Podziała mi nożyce ogrodowe, a ja zacząłem przycinać gąszcz, będąc surowo instruowanym przez dwie stojące za mną zawodowe ogrodniczki. W międzyczasie mama przyprowadziła taczkę, na którą wrzucaliśmy odpadki. Po półgodzinie miejsce spoczynku Heidemarie wyglądało przytulnie. Mama podlała rododendron i z zadowoleniem popatrzyła na swoje dzieło.

– A teraz do Ottona.

– Ottona?

– To niedaleko. Raptem kilka kroków stąd.

Położyłem torby podróżne na chwastach i podążyłem za nimi, pchając taczkę. Grób Ottona wyglądał trochę lepiej.

– Ciekawe, czy to ona się tym zajmuje? – zapytała pani Huth.

Mama zdecydowanie pokręciła głową.

– Przecież jeszcze za życia prawie w ogóle się o niego nie troszczyła. To pewnie ogrodnik.

– Ale tutaj, patrz...

W wazonie tkwił zwiędły bukiet czerwonych róż. Otto spoczywał w pokoju

od równo trzech lat. Pani Huth wyszarpnęła bukiet z wazonu i rzuciła na taczkę.

– Nie do wiary. Oszukiwała go, a teraz czerwone róże. Bezwstydnosc.

Poprosilem, zeby panie przesunely sie na bok, i rozpoczelam prace porzadkowe. Moje spodnie tak czy siak byly juz nie do odratowania, a moje buty pokrywala zaschnieta ziemia. Mama z panią Huth poszly napełnić konewkę wodą. Wyrwalem pare zdziebel trawy i odskrobalam nieco ziemie z nagrobka. Nie rozumialem, o co tutaj chodzi. Spodziewalem sie rundki brydza. Radosnych, starszych ludzi. Miłego przedpołudnia. Zamierzałem pójsć na spacer i później zaprosić je do cukierni. Zamiast tego szorowalem groby. Pamietalem jeszcze Ottona. Był uroczym, okrągłym mężczyzną, zawsze usmiechal sie do mnie przyjaźnie. Nie był to człowiek, nad którego grobem można by było odczuwać zazdrość. Chociaż...

Wróciła mama z panią Huth. Konewka była ciężka, więc wstałem, zeby ją od nich zabrać.

Po Ottonie przyszedł czas na niedawno zmarłą Martę, a na końcu był Gustaw. Kiedy wreszcie skończyliśmy, minęła jedenasta. Bolały mnie plecy, mój garnitur nadawał się do specjalistycznej pralni, ale mama i pani Huth, siedząc z błyszczącymi oczami na ławce koło mnie, trajkotały z podnieceniem. Dokładnie naprzeciwko nas anioł z piaskowca pochylał się na klęczkach ze złożonymi rękami.

– Brydź – powiedziałem, kiedy nastąpiła krótka przerwa w rozmowie.

Mama z panią Huth popatrzyły na mnie.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Wszyscy poumierali. Heidemarie, Otto, Marta i Gustaw. Znałem niektórych z nich. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Mama milczała; przyglądała się pięknym kwiatom na otaczających nas grobach.

– A kiedy? – odparła w końcu cicho. – Nigdy cię nie było. Nigdy nie miałeś czasu.

Przyleciało kilka szpaków.

Mama pogrzebała w torebce i znalazła keks w paczce, z rodzaju tych, które dostaje się w trzeciorzędnych cukierniach do kawy. Rozerwała celofanowe opakowanie i rzuciła okruszki szpakom.

– Wiedziałaś, że Marta umarła.

Obserwowałem, jak ptaki kłóć się o okruszki. Dokładnie takimi samymi kawałeczkami prawdy karmiła mnie matka. Drobne okruszki, zeby nikomu nie

stały w gardle.

Byłem spóźniony. Ale to nie było takie ważne. Przeszliśmy do bramy wejściowej i wpakowaliśmy torby do bagażnika. Następnie zawróciłem samochód. Zatrzymałem się przed kawiarnią. Wziąłem croissanta. Do tego kawa.

Rozmawialiśmy o tym, jak ładnie wyglądały teraz groby. Mama z kochaną panią Huth znowu zaczęły się kłócić o to, która z roślin jest bardziej wytrzymała – bluszcz czy rododendron. Czubiliśmy się przez całe gorące południe. Mało brakowało, a pani Huth wyjęłaby karty do skata.

– Nie chcę grobu – powiedziała moja mama w środku rozmowy. Po tym niewzruszona dopiła swoją kawę i ukradła jeszcze jeden łyżeczek z filiżanki pani Huth.

– Dlaczego nie? – spytałem.

Wzdrygnęła się.

– Jak sobie wyobrażam, że bluszcz wszystko przykrywa... Tak nie może być. Chcę anonimowy pogrzeb z urną.

Ostatni kęs frankfurterki nie trafił do szeroko otwartych ust pani Huth i wylądował z powrotem na talerzu.

– Chcesz, by cię spalono?

– Ogień oczyszcza – odparła moja matka. – Nie chcę gnić. Ty tak?

Pani Huth odsunęła nieco talerz od swojego biustu.

– Nie wiem. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. A pan?

– Ja? Ja też nie.

– A powinieneś – powiedziała mama. – Ja wszystko spisałam. Notatki leżą w szufladzie mojego stolika nocnego. Także co kto dostaje. Właściwie jesteście tylko wy dwoje.

– Nie chcę tego dłużej słuchać – wysapała pani Huth. Podniosła się i udała na poszukiwanie toalety.

Mama wzięła mnie za rękę.

– Tutaj. Weź.

Podsunęła mi coś pod stołem. Odwróciłem wzrok od kauczukowców obok baru kuchennego i przyjrzałem się czarno-białej fotografii. Mój ojciec, uśmiechnięty, z pucołowatym dzieckiem na rękę, które śmiejąc się, trzymało go za ucho.

Podniosłem zdjęcie, przyjrzałem się i oddałem mamie.

– Nie chcę go.

- Nie musisz na nie patrzeć. Tylko je mieć. Wtedy nic ze sobą nie wzięłeś. Energiczna ręka wystrzeliła zza mojego ramienia i zabrała fotografię.
- Hildegard! – zatrąbiła pani Huth. – Więc to był on? A ten maluch to pan?
- Tak – wycedziłem.
- Był pan słodkim chłopcem. Tak właśnie ludzie się zmieniają. – Klapnęła na swoje krzesło i podała mi zdjęcie. Rad nierad schowałem je.
- Pomachałem kelnerce, prosząc o rachunek. Znowu włączyłem moją komórkę i odsłuchałem dwie wiadomości, które w międzyczasie się nagrały.
- Tu Marie-Luise. – Jej głos odbijał się echem, tak jakby mówiła, siedząc na sedesie. – W cholerę mi niedobrze. Działo się coś jeszcze wczoraj? Nie wysłałam Milli żadnych kwiatów. Przynajmniej niczego takiego sobie nie przypominam. Jadę teraz do sądu, o ile mi się uda...
- Po tym nastąpił przerażający odgłos i kolejna wiadomość:
- Lehnsfeld, Aaron von Lehnsfeld. Przykro mi, że muszę pana niepokoić. Oczywiście może pan jeszcze zapłacić. Do wieczora. Później będzie niesympatycznie.
- Kelnerka przyniosła rachunek. Zostawiłem nietypowo wysoki napiwek i poprosiłem panie o pośpiech. Po dojechaniu na miejsce wniosłem jeszcze torby do domu.
- Jest poczta do ciebie – powiedziała moja mama. Podała mi kilka kopert. Adres Sigrun został skreślony, a zamiast tego wpisano adres mamy. Były to pisma od mojego doradcy podatkowego, operatora telefonii komórkowej oraz gruba koperta z urzędu ksiąg wieczystych. To musiały być dokumenty dotyczące sprawy przeniesienia zwrotnego. Minął moment, zanim zrozumiałem, dlaczego przyszły na mój prywatny adres. Na mojej wizytówce widniały oba adresy. Ktoś w urzędzie musiał je pomylić.
- O pierwszej znalazłem się w końcu w biurze. Trochę później pojawił się Kevin.
- Jakaś świnka ukradła mi rower.
- Spojrzałem na niego ze zdziwieniem.
- Niemożliwe! Przykro mi.
- Kevin odpalił komputer. Postanowiłem zajrzeć wieczorem jeszcze raz do Kunsthöfe. Jeśli rower nadal tam był, powinien dostać go z powrotem.
- Poczta rozesłana?
- Tak.
- Wczoraj czy dzisiaj?

– Wczoraj – skłamał, nie odwracając się.

Skinąłem głową.

– Dobrze. W takim razie możemy od razu kontynuować.

– No nie! Mam inne rzeczy do roboty!

– Co takiego? – zapytałem, po czym podyktowałem list do Centralnego Sądu Upominawczego. Kiedy skończyliśmy, Kevin musiał zapalić i zniknął w kuchni.

Otworzyłem kopertę z urzędu ksiąg wieczystych. Stary plan budowy, rysunek nowszej daty i liczne starsze kopie wyciągów. Przyjrzałem się dokładniej domowi.

Został wybudowany w typowym stylu kolonii willowej dzielnicy Grünau, ze zgrabną okrągłą wieżyczką i sielsko wyglądającą drewnianą werandą. Padła ona ofiarą przebudowy w latach pięćdziesiątych, kiedy zamiast niej dodano płaską, przypominającą bungalow przybudówkę. Powiększono piwnicę poprzez zburzenie ścianki działowej.

Spojrzałem na datę. Równie dobrze mógł to być rok 1945, jak i 1955. Stempel pochodził jednak z Izby Budowlanej NRD. Tak więc wszystko się zgadzało.

Dlaczego Connie tak bardzo zależało na tych dokumentach? Każdy mógł je sobie załatwić. Leżały w archiwach w co najmniej sześciu urzędach. Jeden telefon i można było je zobaczyć.

Zamknąłem kopertę i schowałem ją w moim biurku. Nie mogłem niczego zrobić z tymi planami. Nie należały do mnie. Należały do kancelarii.

Marie-Luise wtoczyła się chwiejnie do środka. Opadła na krzesło Kevina i położyła głowę na dłoniach.

– Chcę do łóżka – wycharczała. – Królestwo za łóżko i alka-seltzer.

Oddałem jej kluczyki od samochodu, które przyjęła bez komentarza.

– Jak poszło?

Podniosła wzrok.

– Dzięki twojemu łaskawemu ostrzeżeniu spadkobierczyni Weinerta zaprezentowała się jako najukochańsza ze wszystkich córek i porzuciła plan podważania testamentu przed sądem spadkowym. Za to dostała zachówek i jeszcze pięćdziesiąt tysięcy euro z majątku spadkodawcy.

To musiało zboleć Harry’ego i Georga.

– Gratulacje.

– Idę do domu.

Podniosła się.

– Coś się stało z kwiatami?

– Żadnych nowych wydarzeń. Horst się odezwie. Zwłaszcza gdyby pojawili się doręczyciele kwiatów.

– W takim razie wszystko w porządku.

Marie-Luise jęknęła krótko i złapała się za skronie.

– Przyniosę sobie szklankę wody.

Poszła do kuchni i wróciła chwilę później z rozpuszczoną aspiryną i karteczką.

– Możesz mi to wyjaśnić?

Odchodzi, widniało na karteczce. Kevin. Marie-Luise łyknęła mieszankę i ponownie usiadła na tym razem osieroconym krześle biurowym.

– Zwyczajnie tego nie pojmuję. Wszędzie, gdzie się pojawiaasz, pozostawiasz spaloną ziemię. Co się tym razem stało?

– Musiał pracować. To poważnie wyprowadziło go z równowagi i najwidoczniej pozostawiło traumę, pomoże mu jedynie terapia grupowa z odgrywaniem scenek biurowych. Albo podróż autobusem na następny Światowy Szczyt Gospodarczy.

Podniosła prawą brew.

– A teraz?

– Albo wróci, bo musi zaliczyć staż na swój następny semestr, albo zawieszysz karteczkę na uniwerku. Jutro będziesz miała przed sobą dziesięciu Kevinów.

– Świetnie. Wielkie dzięki. Czy są jeszcze jakieś wesołe wiadomości?

– Tak. Kevina nie ma.

Wstała bez słowa i wyszła.

– Swoją drogą wiem coś, czego ty nie wiesz – powiedziała, stojąc znów w drzwiach.

– Czyli?

Wykonała jeden krok do środka pokoju.

– Georg Schäffling za tobą tęskni. – Marie-Luise uśmiechnęła się. Aspiryna zaczęła działać. – Po rozprawie poszliśmy do kantyny coś zjeść. To znaczy on jadł, a ja piłam herbatę miętową. Przy okazji nie myśl sobie, że mnie zaprosił. Wydawał mi się lekko zagubiony. Tak nagle bez ciebie, zupełnie sam... – Podeszła do mojego biurka i podparła się rękami. – Powiedziałam mu, że nie mogłam porządnie skupić się podczas rozprawy tylko ze względu na jego

nieodparty urok. I tylko dlatego udało mu się uratować resztę majątku. Ale że tak czy siak jest fantastycznym adwokatem. A przynajmniej nim będzie, o ile Harry mu na to pozwoli. To dopiero niesympatyczny koleś.

Podeszła do okna i wyciągnęła papierosa.

– Może powinieneś się kiedyś spotkać z Georgiem.

Teraz się do niej uśmiechnąłem.

– *Never change a winning team*. Dotychczas świetnie ci to wychodziło.

– Zapomnij. Jeszcze nie poznałam mężczyzny, który podczas rozmowy ze mną tak często łapałby się za obrączkę.

Słowo „obrączka” przypomniało mi, że miałem jeszcze porachunki z Lehnsfeldami. Złapałem za słuchawkę. Znak dla Marie-Luise, żeby nie rozsiadała się zbyt wygodnie przy moim oknie i nie zadymiała mi całkowicie pokoju.

– Rozumiem – powiedziała i jak zawsze pstryknęła niedopałkiem do popielniczki wielkości dwanaście na dwanaście metrów znajdującej się pod nią. – Chcesz, żebym poświęciła się w imię prawdy i oddała się temu delikatnemu, śniętemu mężczyźnie. Swoją drogą, to jest twoja robota.

– Z Georgiem? Tego nie możesz ode mnie oczekiwać.

– Spotkaj się z nim. Wydaje mi się, że coś wie. W każdym razie jest teraz naszym jedynym powiązaniem z kancelarią Zernikowa. Mnie możesz z góry przekreślić. Idę się położyć.

Aaron wyłączył swoją komórkę, włączała się tylko poczta głosowa. Wyjaśniłem mu, że za jego ostatnią wiadomość grożą mu co najmniej dwa lata w zawieszeniu i że zawsze możemy spotkać się z Veroną, by załatwić sprawę przekazania pierścionka.

Oddzwonił chwilę później.

– Dwadzieścia tysięcy – brzmiały jego pierwsze słowa.

– Ani centa – odparłem.

– W takim razie robi się poważnie.

– Czy to jest groźba?

– Niech pan to traktuje, jak chce. Jak to wy, adwokaci, zawsze tak ładnie formułujecie? „Zastrzegamy sobie prawo do podjęcia stosownych kroków”.

– Chcę się zobaczyć z Veroną.

– Wie pan, co powiedziała ostatnim razem.

– Proszę jej przekazać, że nie ma żadnego świadka, który mógłby potwierdzić, że chodziło dokładnie o ten pierścionek.

- Ach – powiedział Aaron. – Jesteśmy podekscytowani.
 - W przyszłości będę rozmawiać tylko z pańską matką, jasne?
- Aaron rozłączył się.

Pot spływał mi po plecach. Powinienem był jeszcze wziąć prysznic w domu. Na całym ciele kleiłem się od kurzu i ziemi. W górze starych papierzyk pod kanapą w mieszkaniu przy placu Mierendorffa musiały znajdować się także stare gazety. Zaręczyny w Grunewaldzie. Zdjęcie Vereny. Duży zielony pierścionek na jej ręku. To powinno wystarczyć.

Rozdział 33

Kiedy późnym popołudniem ostatni goście – niektórzy na czworakach – opuszczali imprezę podwórkową, zaczęły się prace porządkowe. Było tak głośno, że musiałem zamknąć okno. Przypuszczalnie z tego powodu nie usłyszałem kroków na schodach. Około wpół do szóstej rozległo się dzwonienie do drzwi. Pomyślałem, że Marie-Luise zapomniała kluczy albo że przyszedł późny klient, i otworzyłem drzwi.

Do środka wdarło się dwóch zamaskowanych mężczyzn. Pierwszy natychmiast wymierzył mi cios w brzuch. Ból był obezwładniający i wydał mi się bardzo znajomy. Przypuszczalnie chodzili do tej samej szkoły co Milla.

Mężczyźni zatrzasnęli drzwi i zaciągnęli mnie do kuchni. Jeden posadził mnie na kuchennym krześle, drugi związał ręce i nogi. Nie powiedzieli ani słowa. Dostałem pięścią w brzuch i w twarz. Dokładnie w miejsce, które nie tak dawno temu było przedmiotem obróbki Milli. Nim zdołałem zwymiotować, straciłem przytomność.

Kiedy doszedłem do siebie, ktoś jednocześnie krzyczał i płakał. Następnie położono mi wilgotną ściereczkę na twarz i zerwano taśmę klejącą z ust. Chciałem otworzyć oczy, ale straciłem bezpośrednie połączenie z moim ciałem. Już nie działało.

– O mój Boże, mój Boże! Kto go tak załatwił?

Znałem ten głos. Kobięcy, ale nie wiedziałem, do kogo należał. Poleciałem do przodu, ktoś mnie złapał.

– Mój Boże! Mój Boże!

Albo była głęboko wierząca, albo rzeczywiście ktoś mnie nieźle urządził.

– Wszystko w porządku? – Marie-Luise. Znów poczułem wilgotną ściereczkę na twarzy. Wyczuwałem krew w ustach i chciałem poruszyć językiem. Ból był ostry i przeszywający. W czasie ataku musiałem ugryźć się w język. Jeden z siekaczy chwiał się. Poruszyłem ramionami i nogami. Niczego mi nie połamali. Jednak kiedy spróbowałem się wyprostować, ból okazał się niemal

nie do zniesienia.

– Połóżmy go na podłodze.

– O mój Boże! Kto mógł coś takiego zrobić?

Ktoś poklepał mnie delikatnie po policzku. Odepchnąłem rękę, ponieważ bałem się o mój siekacz.

– Musi trafić do lekarza! On może umiera! – Ekaterina.

– Chyba raczej nie. – Marie-Luise.

Próbowałem coś powiedzieć, ale okazało się to bezcelowe.

– Mogłabyś przynieść trochę lodu z lodówki? – spytała Marie-Luise.

Ekaterina poszła przynieść lód z zamrażalnika. Chwilę później poczułem worek z lodem na twarzy.

– Joachim, słyszysz mnie? – Marie-Luise.

Skinałem, mój mózg natychmiast przeszył ból.

– Okej. Jeden palec znaczy tak, dwa palce nie. Zrozumiałeś?

Uniosłem kciuk.

– Co się stało?

Jęknąłem i spróbowałem stanąć na nogach. Te dwie jak dla mnie zdecydowanie zbyt komplikowały sprawę. Pod moimi podszwami zachręściło. Udało mi się minimalnie otworzyć lewe oko. Moi niezapowiedziani goście wyrzucili wszystko z szafki z naczyniami. Wszędzie walały się skorupy. Wsparłem się na ramieniu Marie-Luise i utykając, wyszedłem na korytarz. Z regałów powyrzucano książki. Leżały porozrzucane beładnie na podłodze, w przypadku niektórych egzemplarzy ktoś zadał sobie trud, żeby powyrywać po kilka stron. Śmierdziało.

– Nasikali na książki – powiedziała Marie-Luise.

– O mój Boże!

Wolałbym, żeby Ekaterina trochę się powstrzymywała. To wszystko nie miało nic wspólnego z Bogiem. Pokuśtykałem do mojego biura. Biurko zostało przewrócone, wszystkie szuflady wyciągnięto, a ich zawartość wysypano na podłogę. Ktoś nadepnął na monitor mojego komputera. Na ten, na którym pracował Kevin, także.

– A u ciebie? – spytałem ostrożnie, półgębkiem.

– Podobnie – odparła Marie-Luise. Podniosła krzesło, które leżało koło mojego biurka, i ostrożnie mnie na nim posadziła.

– Dzwonię na policję. Cholera.

Sprawcy wyrwali ze ściany kable telefoniczne. Użyła swojej komórki.

Kwadrans później pojawili się dwaj funkcjonariusze i wyrobili sobie pogląd na to, jak wygląda sytuacja.

– Dwie osoby? – spytał jeden z dwóch. – Znał je pan?

– Nie wiem. Nie sądzę.

– Brakuje czegoś?

– Tego jeszcze nie wiemy – odpowiedziała Marie-Luise. – Musimy najpierw posprzątać.

– Może przychodzi panu do głowy, co mogłoby być przyczyną napaści?

W międzyczasie udało mi się nieco szerzej otworzyć oko. Wyglądało to na ślepy wandalizm. Mogło się jednak kryć za tym coś więcej.

– Nie – wymamrotałem. – Jak na razie nie.

Funkcjonariusz zwrócił się do Marie-Luise.

– Pani cztery lata temu padła już ofiarą napaści. Wtedy miała ona związek ze środowiskami skrajnie prawicowymi.

– To było co innego – odpowiedziała Marie-Luise. – Wtedy to były anonimowe telefony i kilka głupich świstków, a później trochę mi nawymyślano i szturchnięto. Ale to tutaj...

Zacięła się. Za mną usłyszałem Ekaterinę wzdychającą „mój Boże”. W moim brzuchu narastał palący ból. Zrobiło mi się niedobrze.

Funkcjonariusze pożegnali się. Chcieli jeszcze powypytywać mieszkańców domu.

Marie-Luise wygrzebała ze skorup w kuchni kilka zdalnych do użytku kubków i nastawiła wodę na herbatę. Ja, kulejąc, powoli chodziłem po pomieszczeniach i oceniałem rozmiar szkód. Nie licząc zniszczonych monitorów, niezbyt wiele się potłukło. Zmaltretowane książki w korytarzu były swego rodzaju pozdrowieniem na pożegnanie. Przedtem czegoś szukali. Koniecznie musiałem rozgryźć system, według którego czegoś szukali. Segregatory Leitz zostawili na miejscu. A więc to musiało być coś cieńszego. Wisząca teczka albo luźne dokumenty.

I szukali tego u mnie.

Marie-Luise przysłała do mnie z kubkiem herbaty.

– Rzuca ci się coś w oczy? Różnica między twoim a moim biurem?

Zaprowadziłem ją na korytarz.

– U ciebie opróżnili tylko regały. Efekt jest dramatyczny, żeby na pierwszy rzut oka odnosiło się wrażenie, że był to atak na kancelarię. Jednak spustoszenia w moim biurze mają jakiś sens. Czegoś szukali. – Podniosłem

teczkę z aktami z podłogi.

Marie-Luise podeszła krok bliżej.

– Być może szukali książeczek pracy. Masz je jeszcze, co?

Marie-Luise podniosła kilka leżących dokoła papierów i przyglądała im się bezradnie.

– Nie rozumiem tego. Tak nagle, jak grom z jasnego nieba. Zwykle wcześniej otrzymuje się ostrzeżenie, wskazówkę. Proszę trzymać się od tego z daleka albo stanie się to i to, coś w tym stylu. Jeśli to tutaj miałoby być ostrzeżeniem, powinni nas przynajmniej poinformować, od kogo.

– Ależ zrobili to.

Marie-Luise przestała dodatkowo powiększać chaos przez robienie zgiełku.

– Kiedy?

Opowiedziałem jej o artykule w „Berliner Tageszeitung” włożonym pod dywanik w samochodzie.

– Szukali czegoś. Nie poczekali, aż zapadnie noc, nie przyszli też wczoraj wieczorem, kiedy na dole na podwórku był tak okropny hałas, że można by było niezauważenie zburzyć dom. Przyszli do mnie. Pobili mnie. Przeszukali *moje* biuro.

I nagle zrozumiałem.

Opadłem na kolana. Wziąłem do ręki każdą kartkę, każdą obwolotę, każdą teczkę i przejrzałem wszystko.

– Mogłabym ci jakoś pomóc? – spytała Marie-Luise.

Pokręciłem głową. Na czworakach przeszukałem pomieszczenie, aż w końcu znalazłem kopertę. Leżała dwa metry od mojego biurka i wyglądała na nienaruszoną. Podniosłem ją i zaniósłem do kuchni. Marie-Luise i Ekaterina poszły za mną. Ostrożnie wyjąłem zawartość koperty.

– Co to jest? – spytała Marie-Luise.

Nie odpowiedziałem. Próbowałem przypomnieć sobie, w jakiej kolejności ułożyłem plany jeden na drugim. Najpierw plan z 1922 roku, potem z 1955, następnie kopie wyciągów z ksiąg wieczystych. Wszystko było w porządku.

– To plany związane ze sprawą przeniesienia zwrotnego, nad którą ostatnio pracowałem. Dom w Grünau.

– Pokaż.

Marie-Luise rozłożyła plan z 1922.

– Powiedzieć o tym dom to chyba drobne niedopowiedzenie. Willa jest położona bezpośrednio nad Sprewą. Czy to nie tam znajdują się te elitarne

kluby żeglarskie i wioślarskie?

– Oczywiście – odpowiedziałem. – To tradycja, która była dogłębnie pielęgnowana także w czasach NRD.

Spojrzała na mnie ze złością i rozpostarła drugi plan.

– Szacuję, że to przynajmniej kilka hektarów terenu i co najmniej tysiąc metrów kwadratowych powierzchni użytkowej. Kiedy się jeszcze wykorzysta piwnice. To może być dzisiaj warte całkiem niezłą sumkę.

Chciałem ją akurat wprowadzić w prawne okoliczności towarzyszące, kiedy zobaczyłem jej palec w miejscu pomieszczeń piwnicznych. Coś tu się nie zgadzało. Wielokrotnie porównałem plany, następnie położyłem jeden na drugim i uniosłem w kierunku lampy kuchennej.

– To niemożliwe! – krzyknąłem. – Ten plan jest fałszywy! Tutaj!

Wskazałem na piwnicę.

– Ona była większa. W dwudziestym drugim ona była większa! Popatrz na ścianę piwnicy tutaj.

Marie-Luise pochyliła się nad planem. Podeszła także Ekaterina, która dotychczas po cichu zajmowała się myciem nadającej się jeszcze do użytku zastawy stołowej i układaniem jej w szafce.

– Przebudowali – powiedziała Marie-Luise. – Brakuje ściany działowej między dwoma większymi pomieszczeniami.

Położyłem obok drugi plan.

– Nie. Tak! To znaczy tutaj. Piwnica jest mniejsza niż parter. Na obu planach.

Marie-Luise ze wzruszeniem ramion zwróciła się do Ekateriny.

– Nie znam się za bardzo na statyce. Może zawsze tak jest?

– Nie zawsze tak było – odparłem niecierpliwie. – W dwudziestym drugim piwnica była większa. W pięćdziesiątym piątym jest mniejsza. Zresztą czy dałybyście sobie rękę uciąć, że tutaj naprawdę jest napisane tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt pięć?

Marie-Luise i Ekaterina nachyliły się nad stołem.

– Mogłoby to być także tysiąc dziewięćset czterdzieści pięć. Grudzień tysiąc dziewięćset czterdzieści pięć. Nie rozumiem tego.

Usiadłem przy stole. Moje nogi drżały.

– W pięćdziesiątym piątym po prostu ponownie wykorzystano plan z czterdziestego piątego. I piwnica była na nim mniejsza. Mniejsza niż w dwudziestym drugim.

Obie spojrzały na mnie.

– No i? – spytała Marie-Luise.

– Nasi goście dziś wieczorem podmienili plany. Stare plany z tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego. Wiedzieli, że od razu bym zauważył, gdyby zniknęły wyciągi z ksiąg wieczystych. Dlatego podmienili tylko plan. Mając nadzieję, że jeszcze go sobie dokładnie nie obejrzałem. Sfałszowali plan z dwudziestego drugiego. Piwnica była większa. Dałbym sobie odciąć rękę. Tu po prostu brakuje jednego pomieszczenia.

– Okej. Wtedy była większa, teraz jest mniejsza. Co to znaczy?

Ekaterina usiadła przy stole.

– Pomieszczenie, które zniknęło, mogłoby być kryjówką. Ile mniej więcej miało powierzchni?

Otworzyłem szufladę kuchenną i chwyciłem długopis. Déjà vu: Connie siedząca przede mną w swoich drogich ubraniach, zadająca zagadkowe pytania. Także o te plany.

Zamknąłem szufladę i narysowałem na zarysie z 1922 pierwotny przebieg fundamentu.

– Mniej więcej tyle. Nie jest to naturalnie stuprocentowa dokładność. Ale ściana zewnętrzna po stronie wschodniej, patrząc od brzegu, pierwotnie przebiegała tutaj.

– Jakies trzy metry – mamrotała Marie-Luise. – Długość boku jedenaście metrów. To daje wąskie, długie pomieszczenie o powierzchni około trzydziestu trzech metrów kwadratowych.

– To mogłoby wystarczyć dla jednego człowieka – powiedziała Ekaterina. – Ale to nie musi jeszcze nic znaczyć. Być może na tej ścianie były uszkodzenia spowodowane wybuchem bomby. Albo była to piwnica na ziemniaki. Węgiel. Produkty żywnościowe.

– Jeśli to było takie niewinne – odparłem – to dlaczego plan został podmieniony?

Nieznośnie bolała mnie głowa. Wstałem i wziąłem dwie kolejne tabletki, które popiłem kilkoma łykami wody z kranu.

Marie-Luise zapaliła papierosa. Dym wydmuchiwała już tylko pro forma w kierunku okna.

– Inne pytanie: dlaczego mieliby wymieniać ten plan. Po co demolować całe biuro? I do tego jeszcze ciebie?

– Oni chcieli zapobiec temu, żebym dowiedział się o tym sekretnym pomieszczeniu.

– Oni – powiedziała Ekaterina. – Kim są oni? Do kogo należy ten dom? Czyje to plany?

– Należą do rodziny von Lehnsfeld.

Marie-Luise wydała z siebie cichy gwizd. W jej mniemaniu naraz okazało się, że mamy dwóch przeciwników. Zernikowów i teraz jeszcze Lehnsfeldów.

– Być może – powiedziała Ekaterina – istnieje jakieś powiązanie między tymi rodzinami. Znają się?

– Bardzo dobrze. I to od bardzo dawna. – Spojrzałem na Marie-Luise. – Musisz spróbować z Georgiem Schäfflingiem.

– Słucham? Co muszę?

– Pytanie brzmi, dlaczego przeniesienie zwrotne zostało zakwestionowane. Aaron w tym punkcie wyraził się bardzo mgliście. Chciał rozpocząć prace związane z przebudową i nawet je rozpoczął. Prace budowlane zostały zatrzymane, ponieważ nie jest jeszcze wyjaśniona kwestia roszczeń dawnych właścicieli, a poza tym nie zadeklarował, w jaki sposób dom ma być w przyszłości wykorzystywany. Wnioski i wszystkie dokumenty w sprawie o wydanie pozwolenia muszą znajdować się w kancelarii Zernikowa.

– I ja miałabym nakłonić Georga Schäfflinga, żeby umożliwił nam rzucenie na nie okiem?

– Chwileczkę, moment – przerwała Ekaterina. – Nie podejmujcie pochopnych decyzji. I nie wyciągajcie pochopnych wniosków. Jest pan pewny, że plan został podmieniony?

– W stu procentach.

– W takim razie była to przyczyna napaści. – Splotła dłonie na stole i spojrzała na nas, milcząc. Jej obecność dobrze nam robiła. Sprowadzała sprawę z poziomu gorączki spekulacji na grunt faktów. – Kto odniósłby korzyść, gdyby pan się o tym pomieszczeniu nie dowiedział? Komu by zaszkodziło, gdyby pan się czegoś o nim dowiedział?

Spojrzałem na Marie-Luise i wzruszyłem ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Naturalnie Lehnsfeldom – odpowiedziała Marie-Luise.

Ekaterina przyciągnęła do siebie plany.

– Podczas wojny zbudowano wiele schowków. Trzeba dojść do tego, na co był przeznaczony ten tutaj.

– I czy miała z tym coś wspólnego Natalia – powiedziała Marie-Luise. – Istnieje jakiś związek. Czuję to nosem. To jest coś, co nie powinno wyjść na

światło dzienne. Jedną osobę kosztowało to już życie, dwie kolejne zostały zaatakowane. Być może powinieneś o tym porozmawiać z twoją znajomą panią prokurator.

– Być może powinniśmy kiedyś obejrzeć sobie ten dom – stwierdziłem.

Ekaterina skinęła głową.

– Dobry pomysł. Ale już nie dzisiaj. Wygląda pan na nieco sfatygowanego, panie Vernau.

Marie-Luise spojrzała na swój zegarek.

– Wpół do jedenastej. Weź mój samochód i jedź do domu. Ja tu jeszcze trochę posprzątam.

– Jutro rano mamy początek procesu.

Marie-Luise jęknęła.

– Muszę znaleźć dokumentację. Muszę się jeszcze do niego przygotować. W zasadzie to jeszcze tego porządknie nie omówiliśmy!

Uspokoilem ją. Jak tylko uda nam się znaleźć akta, usiądziemy jeszcze razem na jakieś pół godziny.

Ekaterina pożegnała się. Połknąłem kolejną podwójną dawkę środka przeciwbólowego i zacząłem porządkować szuflady biurka.

Mieliśmy roboty na kilka godzin. Śmierdzące książki najpierw wyniosłem na podwórko. Przemyliśmy podłogę i uporządkowaliśmy resztę książek na regałach. Było krótko przed północą.

Wtedy pojawił się Kevin. Schował ręce do kieszeni spodni, podciągnął ramiona. Stał na korytarzu i zaglądał do mojego pokoju.

– Usłyszałem, co się stało – powiedział. – I zobaczyłem światło. Mógłbym jakoś pomóc?

Marie-Luise skinęła do niego zachęcająco.

– Cześć Kevin, to świetny pomysł. Zaczynaj w kuchni.

– Chwileczkę – powiedziałem. – Zwolnił się.

– No i co? – odparł Kevin. – Przecież można tu jeszcze do was zajrzeć.

– Nie ma ani ubezpieczenia społecznego, ani od następstw nieszczęśliwych wypadków. Powinien stąd wyjść.

Marie-Luise stanęła w obronnej pozycji przed Kevinem.

– Żarty sobie robisz? Możemy potrzebować każdej pomocy!

– Nie każdej. Kevin złożył wymówienie, a więc nie jest już członkiem biura. Tam są drzwi.

Kevin stał dalej jak wryty.

– Tego nie może zrobić – mruknął.

Marie-Luise nogą zgarnęła kilka leżących luzem kartek. Następnie zdecydowała się na to, co było jej największą siłą: lojalność.

– On ma rację. Bardzo mi przykro.

– Co mam teraz zrobić? W połowie letnich wakacji? Przecież żadna świnia mnie teraz nie weźmie! Dzwoniłem już wszędzie.

Było dla mnie oczywiste, że nie zjawił się w czystym odruchu ludzkiej solidarności. Usiadłem na krawędzi biurka i próbowałem wyglądać na zdrowego. Ale mamrotałem. Starłem się językiem nie naruszyć mojego chwiejącego się zęba.

– I wtedy pomyślałeś: a, zajrzę tak po prostu do nich. Dzisiaj przychodzę, jutro odchodzę. Tak to nie będzie wyglądało.

Kevin gapił się na podłogę. Walczył ze sobą.

– Bardzo mi przykro. To było dla mnie zbyt dużo stresu w ciągu ostatnich dni.

Marie-Luise spojrzała na niego takim samym spojrzeniem jak na mordowane foczki. Jednak współczucie nie robiło z Kevina jeszcze dobrego studenta prawa.

– Chcesz zatem coś zrobić? – spytałem.

Kevin przytaknął.

– Dobrze. W takim razie chciałbym, żebyś do jutra w południe coś dla nas załatwił. Wyrok i uzasadnienie wyroku Berlińskiego Trybunału Specjalnego przeciwko Natalii Czeredniczenkowej, wydane czternastego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku.

Zapisałem informację i datę na karteczce i wyciągnąłem ją w jego stronę. Kevin powoli wyciągnął rękę i w zwolnionym tempie podrapał się za uchem.

– Do jutra? – spytał sceptycznie.

– Jeśli to załatwisz, znów zostaniesz przyjęty.

Oboje spojrzeliśmy mu głęboko w oczy.

– A jeśli nie?

– Wtedy masz pecha – powiedziałem. – Spróbujesz w semestrze zimowym jeszcze raz.

Kevin jęknął.

– Człowieku! To przecież nie może być prawda! Jeszcze nawet nie mieliśmy nazistowskiego wymiaru sprawiedliwości. Tym zajmują się raczej historycy prawa. Jakim cudem mam to zdobyć w tak krótkim czasie?

– Dasz radę.

Zachęcająco klepnałem go w ramię.

Schował karteczkę do kieszeni i skierował się do wyjścia.

– Kevin? – spytała Marie-Luise. – Mógłbyś mimo wszystko zacząć od porządków w kuchni.

O pierwszej w nocy największy bałagan został opanowany. Usiadłem z Marie-Luise w jej biurze i poinstruowałem ją, z jaką strategią ma domagać się jutro natychmiastowego zwolnienia z aresztu szesnastoletniej narzeczonej gangstera. Marie-Luise skinęła głową i zapisała coś w swoim notesie.

– Dam już sobie z tym radę.

– Damy sobie z tym radę – poprawiłem ją.

Pokręciła głową.

– Ty nie zrobisz już nic, poza pójściem do łóżka. Z twoim wyglądem przez kilka dni nie powinieneś pokazywać się publicznie. A spokojnie mówić też nie jesteś w stanie.

Pomacałem mój łuk brwiowy. Marie-Luise wyciągnęła lusterko ze swojej aktówki.

– Obrzęk nieco się zmniejszy. Ale czerwień przekształci się w fiolet, potem pojawi się żółć i zieleń. A nie nadużywałabym tłumaczenia o upadku ze schodów.

Rozkwaszona górna warga i nabiegłe krwią opuchnięte oczy wystarczyłyby całkowicie. Jednak także krwiaki pozostawione przez Millę z powodu ponownej obróbki przez dwóch nieznajomych rozkwitły nowym bogactwem barw. Żeby pozostać w tematyce wypadków domowych: wyglądałem jak obity szczotką do froterowania. Marie-Luise miała rację. Jeszcze by mnie pociągnięto do odpowiedzialności za obrazę sądu.

Rozdział 34

Joachim, to ty?

Matka otworzyła uchylone drzwi do łazienki. Popełniłem błąd i odwróciłem się w jej stronę bez uprzedniego ostrzeżenia. Krzyknęła i zasłoniła sobie usta ręką.

– Już nie jest tak źle.

Podeszła bliżej.

– Kto to był?

– Nie wiem.

Usłyszałem kroki na korytarzu.

– Co tu się dzieje? – W drzwiach stanęła droga pani Huth. – Miał pan wypadek?

– Nie – mruknąłem. – Mógłbym się teraz w spokoju ogolić?

Wycofały się z łazienki. Śniadanie musiałem spożyć w formie półpłynnej. Pani Huth rozgniotła banana i zmieszała go z mlekiem. Na pierwszej łyżce umieściłem tabletkę przeciwbólową i połknąłem wszystko.

– Zostałem napadnięty – wyjaśniłem. Na ich pytania odpowiadałem monosylabami. W końcu dały mi spokój.

– Ale nie idziesz dzisiaj do pracy? – spytała matka.

– A jednak. Poza tym mogłybyście mi wyświadczyć przysługę: macie jeszcze gazety ze zdjęciami z przyjęcia zaręczynowego w Grunewaldzie?

Ponieważ okazane współczucie nie przekształciło się w żadnego rodzaju zapamiętanie, sam wzięłem się za poszukiwania. Znalazłem pisma w szafce na buty.

Krzyczące nagłówki, w środku Milla na noszach. Ja stałem obok i trzymałem ją za rękę. W tle barierki i schematyczne twarze gapiów. *Dlaczego o mnie zapomniałeś?* – pytała Milla. Biblijne pytanie. Dręczące pytanie. Rozpostarłem gazetę.

To były zdjęcia z zupełnie innego świata. Lekkie białe namioty w ogrodzie, eleganccy goście. Urzędujący burmistrz ramię w ramię z Sigrun, małżonka

ambasadora w rozmowie o mecenacie sztuki. Verena von Lehnsfeld w zażyłej pozie ze mną pod rękę. Jej ręka luźno leżała na moim rękawie, można było dostrzec pierścione. Przy dużym powiększeniu miałbym problem z głowy. Poszukałem podpisu z autorem zdjęć. *Fot. A. Dressler.*

Odrzuciłem gazetę do innych. Jednak po chwili pomyślałem, że sprawa byłaby warta spotkania. Być może przy okazji udałoby mi się od niego wyciągnąć, czego dowiedział się o Milli i Sigrun. Być może mógłby się nawet przydać Marie-Luise i mnie. Nie byłem już Sigrun nic winny. Znowm mogłem myśleć wyłącznie o sobie.

W biurze Marie-Luise Kevin siedział przy jedynym sprawnym komputerze. Nawet nie uniósł wzroku i jak opętany stukał w klawiaturę i klikał myszką. Zadzwoiłem do Dresslera. Odezwał się po czwartym dzwonku. Szybko przeszedłem od powitalnych frazesów do rzeczy.

– Zaoferował pan znajomemu dwa tysiące euro. Chciałbym wiedzieć za co.

Po drugiej stronie słuchawki usłyszałem świszczący oddech. Po chwili zajarzył, o co chodzi.

– Rosjanka? Kim pan jest?

– Znamy się, to wystarczy. Jakie informacje pana interesują?

– Niech pan posłucha, jestem akurat na kolegium redakcyjnym. Nie mogę teraz rozmawiać. Może byśmy się spotkali dziś w południe?

Umówiliśmy się na spotkanie w Hackescher Markt. Ledwie odłożyłem słuchawkę, kiedy wróciła Marie-Luise. Wyglądała na bardzo zmęczoną, co, biorąc pod uwagę ostatnią noc, nie było niczym dziwnym.

– Zawaliłam. – Usiadła, oparła ręce na łokciach i schowała twarz w dłoniach. – Prokuratura podtrzymała oskarżenie, a ta mała zostanie w areszcie śledczym. Serdeczne gratulacje, pani Hoffmann.

– Bardzo mi przykro. Co się stało?

Wyjęła papierosy. Dopiero jak zapaliła jednego i głęboko się zaciągnęła, spojrzała na mnie.

– Słuchaj, włóczęgo, zmiataj stąd i żebym cię tu więcej nie widziała!

Nie powinienem był otwierać okna. Skrzeczący głos kobiety, za którym nastąpiło niewyraźne mamrotanie. Musiał dochodzić z czwartego piętra oficyny z ogrodem. Kto tutaj mieszkał, miał wszystko za darmo: koncerty, dramaty rodzinne, amerykańskie seriale rodzinne...

– Sam się pieprz, słyszysz? Pieprz się! Pieprz się!

...oraz życzliwe porady.

Zamknąłem okno.

Marie-Luise wyjęła dokumenty ze swojej aktówki.

– Nie jestem dobrą adwokatką procesową. Nie uda mi się tego przeskoczyć. Jestem zbyt stronnicza, nie potrafię zachować dystansu. Po prostu znów zajmę się prawem rodzinnym i prawem pracy.

– Daj spokój. Od jednych nieudanych rokowań wstępnych świat się nie zawali.

Marie-Luise chodziła z kąta w kąt. Zgasiła niedopałek papierosa w papierowym koszyku, co pozostawiło okropną dziurę.

– Nie jestem taka jak ty. Nie potrafię podchodzić beznamiętnie do ludzkiego losu. Ty raz zagładasz do akt i szast-prast! Tutaj jest luka, tam robi się unik, tu się trochę podkreśli, tam nieco potarguje. Ja tak nie potrafię! Ty nie bierzesz tego do siebie i dlatego jesteś lepszy. Masz.

Rzuciła akta na stół i chciała opuścić pokój. W trzech krokach znalazłem się przy niej. Złapałem ją za ramiona i odwróciłem w moją stronę.

– Masz absolutną rację. Nie jesteś taka jak ja i nie jesteś też taka jak Schmiedgen. Prawda?

Nie patrzyła mi w oczy.

– Zagalopowałam się tam. On był taki niesamowity. Biła od niego taka żarliwość podczas jego mowy obrończej, jakby stanął w płomieniach. Niczym siedemnastolatka stałam tam i gapiłam się na niego. Ale nie zauważyłam tego całego show, które się za tym kryje.

Zaprowadziłem ją z powrotem do jej krzesła. Wziąłem akta i wyciągnąłem je w jej stronę.

– Ty będziesz to robić po swojemu, ja na mój sposób. Przełknij tę porażkę i rób dalej swoje.

Marie-Luise wzięła papiery i schowała do swojej aktówki.

– A poza tym masz już jakieś plany na dzisiejszy wieczór? – zapytałem.

– Nie – odpowiedziała. – Czy to będzie randka?

– Taka z latarkami i butami sportowymi. Kiedy zapadnie ciemność.

– Grünau? – zastanawiała się. – Czy to nie jest niebezpieczne? Tam może być założony alarm albo terenu pilnuje wytresowany do zabijania doberman.

– Przyjaciel – powiedziałem tylko.

Marie-Luise musiała się uśmiechnąć.

– Słusznie. Okej. Spróbujmy, co nam szkodzi.

W tym momencie pojawił się Kevin. W ręce trzymał kartkę papieru, którą

machał nam przed nosami.

– Mam tutaj coś, co może was bardzo zainteresować.

Przy tym wyszczerzył się od ucha do ucha, co sprawiło, że wyglądał bardzo sympatycznie.

– Co to jest? – zapytałem.

Ale Kevin był już z powrotem na korytarzu.

– Najpierw herbata, potem negocjacje! – krzyknął do nas. Poszliśmy za nim.

Kevin nastawił czajnik z wodą.

– Słyszeliście już kiedyś o prawie przeciwko podstępny atakom?

– Prawodawstwo nazistowskie? – spytałem.

Kevin przytaknął.

– Prawo to było wykorzystywane głównie podczas procesów przed trybunałami specjalnymi. Obniżanie zdolności obronnych kraju, defetyzm i tak dalej. Poleciliście mi zanurzyć się w niezłym szambie. Hibiskus, wanilia czy kenijska wanilia?

– Hibiskus – odpowiedziała Marie-Luise. – No i?

– Przypadki mniejszej wagi nazista mianowany na stanowisko prokuratora Rzeszy przekazał prokuratorowi generalnemu. Ten oddelegował je do Trybunałów Zdrady Stanu poszczególnych Wyższych Sądów Krajowych. Jeszcze teraz jest mi niedobrze.

Umieścił saszetki z herbatą w trzech kubkach, spośród których dwa nie miały ucha.

– Dalej – powiedziałem.

Kevin zaśmiał się.

– Najpierw musimy wyjaśnić warunki mojego powrotu do kancelarii. Stanowisko praktykanta do początku semestru i podwyższenie honorarium z zera do czterystu euro. *Così fan tutte*.

– Słuchaj, wrażliwy intelektualisto. Nie mam pieniędzy.

Marie-Luise zdjęła z ognia gwizdzący czajnik i nalała wrzątek do kubków.

– Wiedziałaś to dokładnie, kiedy tutaj zaczynałeś. A my nawet jeszcze nie wiemy, czy twoje informacje rzeczywiście są warte trzy razy po czterysta euro.

Przytaknąłem jej.

– No cóż. – Kevin wyciągnął kartkę w stronę palnika kuchenki gazowej. – W takim razie adieu, Natalio Czeredniczenkowa. Pokój jej duszy.

Marie-Luise wyłączyła palnik.

– Nie wiesz, o czym mówisz – odparła cicho.

Kevin cofnął kartkę. Przez chwilę wyglądał tak, jakby chciał się wytłumaczyć. Następnie wzruszył ramionami.

– Muszę też zobaczyć, gdzie zostaję.

Marie-Luise skrzyżowała ręce na piersiach.

– Z tego, co widzę, wy dwoje świetnie się uzupełniacie. Jak by to było, gdyby Joachim mianował cię swoim osobistym asystentem? Pod względem zamiaru angażowania się w działania zorientowane na sukcesy i myślenia o profitach jesteście zbieżni w stu procentach.

Kevin zwrócił się w moją stronę, ale ja chciałem teraz jak najszybciej doprowadzić rozmowę do konkluzji.

– Uważam, że powinien wyłożyć karty na stół – powiedziałem. – Wtedy się zastanowimy, ile są warte. Moim zdaniem, poprawcie mnie, jeśli się mylę, była mowa o powrocie do stanu poprzedniego, nie więcej. O tym możemy rozmawiać. Nie ulegniemy szantażowi.

– Okej, okej.

Kevin usiadł przy stole. Z kieszonki na piersi wyjął kartkę z odręcznymi notatkami.

– Natalia Czeredniczenkova została skazana na śmierć z powodu wykroczenia z paragrafu drugiego prawa przeciwko podstępny atakom, a także z paragrafu piątego ustęp pierwszy rozporządzenia o specjalnym wojennym prawie karnym. Wraz ze zmianą rozporządzenia o zakresie kompetencji z dwudziestego dziewiątego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego odpowiedzialność za karanie według paragrafu piątego rozporządzenia o specjalnym wojennym prawie karnym przeszła z trybunałów specjalnych na Trybunał Ludowy, który przekazał ją Trybunałom Zdrady Stanu.

Na moment uniósł wzrok.

– I? Dlaczego została skazana? – spytałem.

– Ukradła krzyżyk.

Podał mi kartkę. Była to odbitka z mikrofilmu wykonana w Berlin Document Centre. Do tego mógłbym dojść także samodzielnie. Jednak na kartce znajdował się tylko wyrok, nie było jego uzasadnienia.

– Pokaż. – Marie-Luise wzięła kartkę i przeczytała to, co było na niej napisane. – Krzyżyk?

– Nie wolno jej było chodzić do kościoła. Jej własny został jej odebrany w obozie. Twierdzi, że krzyżyk otrzymała od swojego pracodawcy... – znów

spojrzał na kartkę – Wilhelma von Zernikowa. Głupie jest tylko, że Wilhelm von Zernikow w tym momencie uchodził już za zaginionego. Była to złota biżuteria, którą nosiło się na szyi.

Marie-Luise odwróciła kartkę.

– Kto złożył zawiadomienie o przestępstwie?

– Anonim. Gestapo dostało cynk, przeszukało jej pokój, znalazło krzyżyk i od razu zabrało ją ze sobą. Należałoby jeszcze wspomnieć, że w przypadku tej biżuterii chodziło rzekomo o egzemplarz muzealny. Mały, stary i wartościowy.

– A co z synem? Został gdzieś wspomniany? – zapytałem.

Kevin uniósł swój kubek z herbatą.

– Powrót do stanu poprzedniego?

Przytaknęliśmy. Kevin poszukał informacji na swojej kartce.

– Utz von Zernikow. Wprawdzie złożył zeznanie, ale niewiele z tego pozostało. Zapewne tylko poświadczył, jak głęboko wierząca była ta kobieta. Że często się modliła.

– A baronowa?

– Kto? – spytał Kevin.

– Irene von Zernikow. Małżonka Wilhelma.

– Ach tak. Ona opowiedziała te same bzdury co zwykle o robotnikach ze Wschodu. Że ona od razu coś podejrzewała, ale co mogła zrobić, brakowało rąk do pracy, a krzyżyka nigdy nie widziała, ani żeby go Natalia Czeredniczenkowa nosiła, ani że był w jej posiadaniu, ponieważ ona nigdy nie wchodzi do pokoju opiekunki do dziecka, ponieważ było to niedopuszczalne z punktu widzenia polityki narodowej, podobnie jak kontrola jej rzeczy, i tak dalej, i tak dalej. Do tego stopnia umyła ręce i wybieliła się, że jeszcze dziś przed południem oślepiło mnie to.

– Byłeś tam?

Przytaknął.

– Oryginałów nie wydają. Mogłem tylko zrobić kopię. Do tego była jeszcze dołączona notatka do akt, że wyrok został wykonany następnego dnia rano. Przez powieszenie.

Zamilkł. Następnie na krótko zamknął oczy. Marie-Luise pogłaskała go delikatnie po ramieniu. Odstawił kubek.

– O co chodzi z tą kobietą? Dlaczego chcieliście się tego wszystkiego dowiedzieć? Już od dawna nie żyje. Nic tego już nie odwróci.

Wstałem.

– Dziękuję. To była świetna robota. Jesteś znowu na pokładzie.

Kevin uśmiechnął się niewyraźnie.

– Miałem oryginał w ręce. Z podpisem i wszystkimi bajerami. Ten dokument kiedyś leżał na stole. A dwa metry przed nim stała dziewczyna, która musiała umrzeć. Oskarżona o podkopywanie. Szkodnik interesu narodowego. Ona miała czternaście lat. Tyle, ile teraz ma moja siostra. Cały czas myślałem o mojej siostrze, jak słucha na odtwarzaczu CD swoich stukniętych gwiazd muzyki pop i jak głupio wygląda z aparatem na zębach. Gdyby ktoś zrobił coś takiego z moją siostrą...

– Bardzo nam pomogłeś. – Wziąłem od niego kartkę. – Ta dziewczyna nie umarła. Ona żyje. Chodzi o sprawdzenie wiarygodności. Walczy o odszkodowanie z funduszu odszkodowawczego niemieckiej gospodarki.

– I dlaczego go nie dostaje? Po wszystkim, co musiała przejść?

Marie-Luise spojrzała na mnie, jednak milczała.

– Musi przecież tylko udowodnić, że nie zmarła. W czym problem?

– Problem – powiedziała powoli Marie-Luise – polega na tym, że w Niemczech wciąż jeszcze są ludzie, którzy nie zamierzają ponieść odpowiedzialności. Nie byli przedsiębiorcami ani rolnikami, ale zatrudniali w domu robotników przymusowych. Jako pomoce domowe i opiekunki do dzieci. Niektórzy z nich zachowali się honorowo i szczerze starali się naprawić szkody. Większość jednak zapomniała. A niektórzy z tych nielicznych, którzy zostali poproszeni przez ostatnich ocalonych o poświadczenie faktu pracy przymusowej, po prostu odmawiają zrobienia tego.

– Pracujecie teraz nad tym?

Marie-Luise kiwnęła głową.

– On też?

Znów skinęła głową. Kevin głęboko odetchnął i oparł się plecami o oparcie krzesła.

– Chcę w tym wziąć udział. Także bez pieniędzy. Zapłacicie mi, jak będziecie mogli. Jak nie będziecie mogli, to machniemy ręką. Chcę, żeby ta kobieta znalazła sprawiedliwość.

Podał mu rękę, a on ją uściśnął. To był krótki uścisk dłoni. Nie patrzył mi przy tym w oczy. Bał się, że zauważyłbym, jak się zaczerwienił.

– Okej, w takim razie bierzmy się do roboty. – Marie-Luise wstała. –

Wydaje mi się, że Kevin mógłby się zająć Wilhelmem. Raz go nie ma, potem znów tu jest. Najwyższy czas zatem, by się dowiedzieć, co działo się z dzielnym oficerem frontowym. A poza tym przegapiliśmy coś. Coś bardzo ważnego.

Kevin i ja spojrzeliśmy na nią.

– W zasadzie to dlaczego nie wpadliśmy jeszcze na pomysł, by zapytać samą Natalię?

Zadawałem sobie to pytanie przez całą drogę do Hackescher Markt. Była to najbardziej naturalna, najprostsza sprawa świata. Jeśli rzeczywiście chcieliśmy się dowiedzieć, co wtedy się wydarzyło, powinniśmy z nią porozmawiać. W jej wspomnieniach tkwił klucz do wydarzeń, które jeszcze dzisiaj, ponad sześćdziesiąt lat później, prowadziły do zdrady i morderstwa.

Miałem kłopot ze znalezieniem miejsca do zaparkowania krążownika Marie-Luise, ale cieszyłem się, że poszukiwania skierowały moją uwagę w inną stronę. Za kilka minut miałem usiąść naprzeciw tego niesympatycznego tłuściocha. Musiałem wymyślić jakąś strategię, dzięki której mógłbym wyciągnąć od niego informacje, jakie udało mu się zdobyć, a ponadto żeby z pocałowaniem ręki udostępnił mi powiększenie swojej odbitki. I to wszystko bez oferowania mu czegokolwiek w zamian. Nie było to takie proste.

Umówiliśmy się w Cibo Matto. Chodnik był wąski, stoliki stały na zewnątrz tylko w jednym rzędzie. Miałem szczęście. Akurat kiedy przyszedłem, od stolika odeszła zakochana parka. Zająłem miejsce i założyłem okulary przeciwsłoneczne. Brakowało kilku minut do drugiej. Miałem przewagę. Byłem pierwszy.

Tak wielu pięknych, młodych ludzi. Byli ubrani zgodnie z najnowszą modą i emanowali niezwykłą radością życia. Ani na Kurfürstendamm, ani na Unter den Linden młoda kobieta nie odważyłaby się wyjść na ulicę w kapeluszu o średnicy rowerowego koła. Dziewczyna ubrana w ściśle przylegający do ciała kostium i komicznie wysokie buty na moment utknęła w szynach tramwajowych, jednak udało jej się w samą porę dotrzeć na drugą stronę. Obróciła się. Connie.

Pomachała komuś. Musiał siedzieć w jednym z samochodów, które wolnym tempem jechały Rosenthaler Strasse, ponieważ panował ogromny tłok i na długim odcinku nie było sygnalizacji świetlnej dla pieszych. Zatrzymał się

jaguar. Samochód baronowej? Zdjąłem okulary przeciwsłoneczne. Światło oślepiło mnie, poza tym samochód miał przyciemnione szyby. Nie byłem w stanie dostrzec, kto siedzi za kierownicą. Samochód podjechał do krawężnika, Connie otworzyła drzwi i wsiadła. Wstałem i próbowałem rzucić okiem na tablicę rejestracyjną. Wtedy stanął przede mną Dressler i zasłonił mi widok.

– Nieźle wygląda ta pańska maskarada – burknął. Staralem się spojrzeć obok niego, jednak samochód już ruszył, włączył się do ruchu i odjechał. Znow ciemny samochód, znow osoba, która została nim zabrana.

– Ale i tak pana rozpoznaję.

Dressler opadł na krzesło przede mną. Usiadłem.

– Kto wziął pana w obroty?

– Moja sprawa. – Martwiłem się. Connie nie przysłała do mnie dobrowolnie, ktoś ją przysłał. Być może osoba, która teraz siedziała za kierownicą. Powinienem ostrzec Connie. Ale z pewnością by mi nie uwierzyła. Była zakochana.

– Zawodowcy – mruknął Dressler. – Widzę na pierwszy rzut oka. Przypuszczalnie Albańczycy. Rosjanie bardziej skupiają się na nosie. Jeden Gin Fizz.

Kelnerka odwróciła się w moją stronę. Kolejna piękna młoda kobieta. To było lepsze niż kino.

– Wodę.

– Z czy bez... aspiryny? – Uśmiechnęła się.

– Z poproszę.

Rozpromieniła się, odwróciła i weszła do lokalu. Dressler w międzyczasie zmienił pozycję, żeby zapewnić swemu obfitemu ciału więcej komfortu.

– Najwyraźniej miał pan dla kogoś dużą wartość. Po pięć tysięcy euro na osobę, wśród przyjaciół. Przypuszczalnie dwóch, zgadza się?

Przytaknąłem. Wyglądało na to, że Dressler rzeczywiście jest dobrze zorientowany.

Wyszczерzył się.

– Bez obaw, to nie byłem ja. Chociaż jeśli sprawa z aparatem wkrótce się nie wyjaśni, być może zastanowię się nad tym.

– Przynajmniej zaoszczędzi pan dwa tysiące, które zaoferował pan w szpitalu osobie, która nie ma z tym wszystkim żadnego związku.

– Z czym nie ma związku?

Wyciągnął mały notes, poślinił palec wskazujący i szukał niezabazgranej jeszcze kompletnie strony. Dressler był rzeczywiście kuty na cztery nogi. Na ile to było możliwe z moimi oczami, przyglądałem mu się niewinnie, aż niecierpliwie zaczął stukać w swój notes.

– Przed kilkoma tygodniami u Zernikowów zjawiała się Ukrainka. Nazywała się Olga Warszenkowa. Zgadza się?

– Proszę mówić dalej. Odpowiem, kiedy pan skończy.

Mrugnął.

– Ta kobieta następnego dnia była już martwa.

Podjąłem próbę uniesienia ze zdziwieniem brwi. Nieprzyjemnie przypomniała o sobie świeża rana.

– Potem zniszczył mi pan aparat. A dwa dni później o czym się dowiaduję? Pan przy łóżku kobiety. Na oddziale intensywnej terapii. Także Ukrainka. A więc. Jak dla mnie istnieje jakiś związek. Mafia rosyjska. I to w domu pani senator.

Powinien wyłączyć z tego Sigrun. Sigrun nie miała z tym nic wspólnego. Ona mnie zdradziła i sprzedała, ale z tym nie miała nic wspólnego.

– I? – Starąłem się nadać swojemu głosowi obojętny ton. – To wszystko?

Dressler zamknął notes.

– Już samo to wystarczy na ciekawą story. Naturalnie wciąż jeszcze ze znakiem zapytania w tytule. Pańska przyjaciółka nie ma w tym momencie lekko.

Wskazał na plakaty Sigrun, które wisiały na słupie latarni. Ktoś rzucił w nie workiem z farbą. Trafił w lewą połowę twarzy. Nim farba wyschła, spłynęła niebieskimi strużkami.

– Poza tym przypominam sobie nieprzyjemny incydent podczas ogrodowego party. Rosjanka, uzbrojona. Została obezwładniona przez ochronę. Zaręczyny szlag trafił, impreza skończona. I pan wierny przy noszach. To wyglądało na bliskość. Dużą zażyłość.

– Nie przypominam sobie – odparłem.

Anioł wrócił i przyniósł na srebrnej tacy szklankę wody i aspirynę plus C.

– Zaraz przynoszę pański Gin Fizz.

Wrzuciłem tabletkę do wody i czekałem, aż się rozpuści. Dressler musiał odczuwać pragnienie. Mlaskał.

– Co to znaczy, że nie przypomina pan sobie? Mam to na zdjęciach. Pana i tę kobietę. A zatem. Chciałbym się teraz czegoś dowiedzieć. W przeciwnym

razie wstaję i odchodzę. I wtedy zrobi się nieprzyjemnie.

Wypiłem wodę jednym haustem.

– A co by było, gdyby kobieta na przyjęciu i kobieta w szpitalu okazały się jedną i tą samą osobą?

Dressler zapisał coś w swoim notesie.

– Nazwisko?

– To nie Rosjanka, lecz Ukrainka. Trzydzieści trzy lata. Potrącona przez nieznanego kierowcę. Ucieczka z miejsca wypadku.

– Nazwisko.

– Później.

Dressler spojrzał na mnie.

– Jak to później? Teraz. Mamy umowę.

– Muszę jeszcze raz rzucić okiem na zdjęcia, jakie pan wtedy zrobił. Z pewnością ma ich pan więcej niż trzy czy cztery klatki, które zostały wtedy wydrukowane.

– Naturalnie. Dlaczego chce je pan obejrzyć?

Wzruszyłem ramionami.

– Mam słabą pamięć. Zwłaszcza gdy chodzi o nazwiska.

– Coś pana z nią łączyło?

– To będę mógł powiedzieć dopiero, kiedy zobaczę zdjęcia. To była bardzo stresująca sytuacja. Wielu ludzi, moja narzeczona, ta kobieta...

Dressler otrzymał swój Gin Fizz.

– Jeszcze jeden! – wrzasnął za młodą kobietą. – Musi pan przecież wiedzieć, z kim poszedł pan do łóżka!

– Nie zawsze. Pan zawsze wie?

Wypił zawartość swojej szklanki i schował notes.

– A co potem? Przypomni pan sobie, kiedy zobaczy pan zdjęcia?

– Z pewnością.

Podrapał się ołówkiem po resztkę włosów z tyłu głowy.

– Dobrze. Teraz jednak zdradzi mi pan jedno. Dlaczego?

– Dlaczego co?

– Pański motyw. Pańskie przyczyny działania. Za tę kobietę... – znów wskazał na Sigrun – raz dał mi pan w mordę. Nie lubię tej baby. Nie lubię jej partii. A jej polityka śmierdzi mi na odległość. Ale nie muszę jej lubić. Przecież nie chcę się z nią żenić. Ale pan. Pan wie, co pan jej robi, kiedy to opublikuję. Dlaczego chce pan się do tego posunąć?

Milczałem. Mógłbym powiedzieć, że Sigrun mnie oszukała. Że jej rodzina była dla niej ważniejsza niż ja. Że ona, postawiona przed wyborem, zdecydowała się na kłamstwo. I że to ona miała ten wybór.

– Ach tak – powiedział Dressler i wyszczerzył się. – A więc tak to wygląda. Czysta pani senator. Też ma kogoś na boku?

Młoda kobieta przyniosła drugi Gin Fizz.

– Proszę mi pokazać zdjęcia. Albo jeszcze lepiej: proszę mi przysłać odbitki. Być może odkryję na nich coś, czego jeszcze pan nie widział.

– Co takiego? Jej kochanka?

Uśmiechnąłem się i poczułem się jak świnia.

– Gdzie mam je panu przysłać? – burknął Dressler. Kiedy uniósł głowę, ominął mnie wzrokiem i zrobił wielkie oczy.

Obróciłem się.

– Co za miła niespodzianka!

Kobieta nie była już taka młoda. Oczy schowała za nieproporcjonalnie wielkimi, błyszczącymi okularami przeciwsłonecznymi; wyglądała fantastycznie. Podała mi rękę. Następnie zwróciła się do Dresslera:

– Mariette Ducasse. Bardzo mi miło.

Dressler poderwał się szybciej, niż można się było spodziewać po człowieku jego tuszy. Wziął dłoń damy do ręki i złożył na niej pocałunek. Cofnęła rękę i dyskretnie otarła ją o marynarkę swojego kostiumu.

– Jak widzę, kupuje pan precjoza nie tylko w Grunewaldzie.

Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i zlustrowała mnie z tą niesamowitą wiarą w siebie, jaką mają tylko kobiety, którym rzadko można się oprzeć. Miejmy nadzieję, że okaże się dyskretna. Nie pomogłoby mojej sprawie, gdyby akurat teraz zaczęła mówić o pierścionku. Dressler zaoferował jej krzesło.

– O ile nie przeszkadzam?

– Ten pan i tak miał zamiar już iść – odpowiedziałem szybko, zanim mógłby się wtrącić.

– Adres – burknął Dressler.

Podyktowałem mu go.

– Odezwę się. – Wlał w siebie swój Gin Fizz i zniknął w tłumie.

– Chciałaby pani się czegoś napić? – spytałem ją.

– Nie, dziękuję, nie mam czasu. Poza tym muszę schować się przed tym upałem.

Położyłem na stole pieniądze za rachunek. Ponieważ oboje zaparkowaliśmy

w tym samym kierunku, kilka kroków szliśmy razem.

– Co pan tutaj robi? – spytała mnie.

– Pracuję w okolicy. A pani?

– Od czasu do czasu jestem wzywana do Muzeum Pergamońskiego jako rzeczoznawca. – Obejrzała się. – To niesamowite, jak tu się zmieniło w ciągu dziesięciu lat. To nowe miasto. Nowe centrum. Kompletnie wymienione społeczeństwo.

Doszliśmy do zaparkowanego volvo. Jeśli samochód w jakiś sposób ją rozbawił, to nie dała tego po sobie poznać. Podała mi swoją chłodną, gładką dłoń.

– Może spotkamy się jeszcze?

– Chętnie.

Wyjęła z torebki wizytówkę, ja dałem jej swoją.

– Och, kancelaria Zernikowa. Dobry adres.

– Już nie – odpowiedziałem. W tym momencie uświadomiłem sobie dwuznaczność mojego stwierdzenia. – Już tam nie pracuję. Usamodzieliłem się. Dopiero kilka dni temu. Ale numer telefonu komórkowego się nie zmienił.

Z uśmiechem wyjęła pióro i skreśliła inne numery.

– A kiedy najłatwiej pana złapać?

Zastanowiłem się chwilę. Nic nie przemawiało przeciwko temu, żeby się z nią znów zobaczyć. Sigrun uśmiechała się do mnie z plakatu na latarni, nieosiągalna, daleka od mojego życia. Pod jej okiem schowałem wizytówkę Marietty.

– Jutro wieczorem – powiedziałem.

Miałem czas, by zamknąć sprawy z Sigrun.

Rozdział 35

Natychmiast znaleźliśmy dom w Grünau. Znajdował się w dzielnicy, w której ulice miały nazwy takie jak Königseestrasse, Schlierseestrasse. Domy w większości zostały starannie wyremontowane. Budynek, którego szukaliśmy, rzucał się w oczy już z daleka: był wielki, piękny i był kompletną ruiną. Trzy kondygnacje, drewniane szczyty, wieżyczki. Teren odgradzały płoty budowy. Drzwi zagrodzone pomalowaną na kolor zielony blachą, wszystkie otwory okienne zabite dechami. Przez dziury w ścianach było widać wysokie sufity: po lewej stronie ozdobione stiukami, po prawej poszatowane dębowymi belkami. Siedzieliśmy w samochodzie i próbowaliśmy wypatrzeć inne wejście. Od strony lądu nie można się było dostać na posesję. Postanowiliśmy spróbować od strony wody.

Oboje włożyliśmy sportowe obuwie i ciemne ubrania. W sportowej torbie, którą wyjąłem z bagażnika, miałem kopie planów, dwie latarki, łom, młotek, przecinak i szczypce do drutu. Telefony komórkowe schowaliśmy do wodoszczelnych pokrowców. Uzgodniliśmy, że w razie komplikacji spotkamy się w samochodzie, a gdyby to było niemożliwe, na ulicy Dunckerstrasse.

Poszliśmy w dół Regattastrasse i skręciliśmy w Wasserportallee. Było stąd tylko kilka metrów do brzegu. Pomost z białymi balustradami prowadził do przystani BVG². Stąd odpływał prom na drugą stronę, do Wendenschloss. Marie-Luise studiowała rozkład kursów. Nie było jeszcze całkiem ciemno, uzgodniliśmy, że będziemy się zachowywać, jakbyśmy czekali na statek. Pływały w odstępach co dwadzieścia minut. Ostatni odbijał o dwudziestej trzeciej.

Prom BVG po tamtej stronie wypłynął i w ciągu kilku minut dotarł do nas. Ostatni wycieczkowicze sprowadzili swoje rowery na ląd, pasażerowie z naszej strony weszli na pokład. W powietrzu unosił się słabo wyczuwalny zapach oparów diesla. Nikt nie zwrócił na nas uwagi. Już nie taka bardzo młoda para, ubrana w egzystencjalną czerń, siedząca w milczeniu obok siebie

na ławce. Prom odpłynął.

– Wydaje mi się, że możemy ruszać.

Spojrzałem na zegarek: wpół do dziesiątej. Ostrożnie rozejrzeliśmy się dookoła. Z mariny po prawej docierały głosy rozmów i cicha muzyka. Ale nikogo nie było widać. Po lewej od nas brzeg spowijała ciemność i cisza.

– Okej.

Pierwsze ogrodzenie kończyło się pół metra od wody. Nie mieliśmy żadnego problemu, by wejść na posesję. Była to mała stocznia. Na stalowych rusztowaniach leżały żaglówki ułożone kilem do góry. Prześlizgnęliśmy się obok kadłubów i weszliśmy na następną działkę. Była to prywatna posesja, łagodnie opadająca łąka, prowadząca do brzegu. Bezpośrednio przed nami stał pomalowany na biało pawilon z kutego żelaza. Kiedy do niego dotarliśmy, usłyszeliśmy głosy. Z otwartego łuku pawilonu ostrożnie zlustrowałem otoczenie domu. Taras był oświetlony. Stali na nim ludzie i rozmawiali.

– Party przy grillu – szepnąłem i usiadłem na podłodze.

– Cholera. Czy ludzie nie mają nic innego do roboty? – Marie-Luise zawiązała sobie mocniej przemoczone sznurowadła. – I co teraz?

– Jeszcze cztery działki. Jedna za drugą. Mamy czas.

Znów zlustrowałem wzrokiem taras. Docierała do nas cicha muzyka. Do tego zapach węgla drzewnego i soczystych steków. Zaburczało mi w brzuchu. Powinniśmy byli przed naszą nocną eskapadą zjeść coś konkretnego. W tym momencie z kieszeni mojej kurtki zaczęło dobiegać przeraźliwe dzwonienie. Klnąc pod nosem, starałem się wymacać swoją komórkę. Na wyświetlaczu widniało „Mama”.

– O co chodzi? – ofuknąłem ją szeptem. Miałem cały czas taras na oku. Najwyraźniej nikt nie usłyszał dzwonienia.

– Chciałam tylko dowiedzieć się, czy dziś wieczorem zjawisz się jeszcze w domu. Jedzenie wystygło. Droga pani Huth specjalnie zrobiła klopsy königsberskie.

– Nie – odpowiedziałem cicho. – Zatrzymały mnie sprawy służbowe.

– A gdzie w ogóle jesteś? Znów musisz pracować? Martwimy się o ciebie. W sumie to powinieneś leżeć w łóżku.

Wyłączyłem telefon. Marie-Luise zrobiła to samo ze swoim. Dla bezpieczeństwa poczekaliśmy jeszcze chwilę.

– Teraz – powiedziałem.

Położyliśmy się na brzuchach i czołgaliśmy się, zasłonięci przez pawilon,

w stronę brzegu. Następnie zanurzyliśmy się w wodzie i popłynęliśmy. Po dwóch kolejnych działkach przylegających do wody i zamkniętym lokalu wycieczkowym znaleźliśmy się na wysokości willi.

Ta była zabezpieczona płótem także od strony wody. Jednak ogrodzenie było wykonane jedynie z siatki drucianej. Wylałem wodę z torby i wyciągnąłem nożyce do drutu. Naciąłem ogrodzenie od dołu na mniej więcej metr i rozchyliłem końce siatki. Przeszedłem jako pierwszy przez dziurę, potem pomogłem przejść Marie-Luise. Na ile się dało, z powrotem zamknąłem dziurę.

Dom stał w odległości około trzydziestu metrów od brzegu. Wtargnęliśmy na największą świętość, chroniony teren, niewidoczny od strony ulicy. Po lewej i po prawej granice były zamarkowane gęstymi zaroślami i wysokimi drzewami. Po lewej stronie zauważyłem koparkę. Pochyleni pobiegliśmy w górę terenu i dotarliśmy do tarasu. Między popękkanymi płytami kamiennymi rosło zielsko. Drzwi i okna piwniczne były zabite dechami. Sięgnąłem po łom i próbowałem poluzować którąś z desek. Nie udało mi się.

Marie-Luise stanęła w odległości kilku kroków i co chwila robiła „szszszszsz”.

– Przecież muszę jakoś spróbować! – syknąłem do niej.

Przyjrzała się uważnie drzwiom, potem oknom na pierwszym piętrze. Po tej stronie były w nich jeszcze szyby. Ale jak się do nich dostać? Spróbowaliśmy z oknami na parterze, ale nic nie osiągnęliśmy. Marie-Luise ruchem głowy wskazała, by pójść w lewo.

Przy tym narożniku do willi dobudowano wieżyczkę ze spiczastym dachem. Na górną kondygnację prowadziły wąskie schody. Wyglądały jak wejście dla służby. Wślizgnęliśmy się po schodach na górę i znaleźliśmy się przed żelaznymi drzwiami. Spróbowałem poluzować ościeżnicę łomem. Zrobił się hałas, a nic to nie dało.

– W zasadzie to po co wzięłeś to narzędzie, skoro nie potrafisz się nim posługiwać?

Marie-Luise cofnęła się o krok i spojrzała do góry. Pod naszymi stopami coś chrzęściło. Blaszane drzwi zostały pomazane graffiti, ekspresyjnym pismem, którego nie byłem w stanie odczytać.

– Przypuszczalnie tam u góry ktoś urządził imprezę – szepnęła. – A skoro im się udało wejść, to nam też powinno.

Wspięła się na balustradę schodów i wyciągnęła ręce do góry. Prawie udało

jej się dosięgnąć do parapetu.

– Pomóż mi.

Wspiąłem się do niej, ustawiłem się przy ścianie i splotłem dłonie tak, że mogła na nich oprzeć prawą stopę. Następnie podciągnęła się w górę.

– Uważaj na potłuczone szkło! – krzyknąłem do niej cicho. Wspięła się na parapet i zeskoczyła w dół. Usłyszałem ciche uderzenie. Potem zrobiło się cicho.

– Marie-Luise?

Brak odpowiedzi.

– Marie-Luise!

– Nie wrzeszcz tak!

Pojawiła się w oknie.

– Rzuć mi latarkę. Poszukam czegoś, po czym mógłbyś się tutaj wspiąć.

Wyciągnąłem latarkę ze sportowej torby, wycelowałem i rzuciłem. Marie-Luise złapała ją i znów zniknęła. Czekałem. Kiedy samochód zjeżdżał w dół ulicy, schowałem się za występem schodów. Światła reflektorów omiotły ścianę domu. Samochód oddalił się. W domu słyszałem kroki. Po chwili Marie-Luise cicho gwizdnęła. Wspiąłem się na balustradę.

– To jedyna rzecz, jaką udało mi się znaleźć.

Rzuciła w dół podłużny kawałek tkaniny, prastarą firanę.

– Spróbuj.

Przywiązała koniec firany do pustej ościeżnicy okna. Złapałem za drugi koniec i zacząłem wspinać się w górę po fasadzie. Brakowało tylko metra, ale sprawiło mi to kłopot. Marie-Luise schwyciła mnie za ramiona i pomogła mi się podciągnąć. Ciężko oddychając, wspiąłem się na parapet i wszedłem do środka.

– Jak mokry worek – powiedziała i wciągnęła firanę. Wziąłem latarkę i poświeciłem w głąb pomieszczenia. Zobaczyłem kwadratowy pokój z dwiema parami drzwi. Futryny były zrobione z ciemnego drewna, podobnie jak belki na suficie. Tapety odkleiły się od ścian. W jednym z kątów odkryłem ciemny toból. Wyglądał jak człowiek.

– Stare ubrania – powiedziała Marie-Luise. – Ktoś tu spał.

Przeszła przez przednie drzwi i zniknęła. Poszedłem za nią. Dostaliśmy się na szeroką galerię, z której mogliśmy spojrzeć na hol wejściowy. Przy każdym kroku pod naszymi stopami trzeszczały deski. Szerokimi schodami zeszliśmy na parter.

Prawdziwy dom duchów. Przed niektórymi zabitymi oknami wisały podziurawione firanki. Parkiet był wszędzie zmatowiały i napęczniały, stiuki tu i ówdzie poodpadały z wysokich sufitów. Śmierdziało stęchlizną. Nagle Marie-Luise chwyciła mnie za ramię. Natychmiast wyłączyłem latarkę. Koło willi przejechał samochód. Tym razem wolniej. Przez straszliwą sekundę wydawało się, jakby miał zamiar się zatrzymać. Potem pojechał dalej. Marie-Luise puściła moje ramię. Podeszedłem do ostatnich drzwi. Znajdowały się tuż koło wejścia i skrywały to, czego szukaliśmy: schody do piwnicy.

Były wąskie i zbudowane z kamienia, ciąg dalszy schodków z wieżyczki. Schodziliśmy po łuku w dół. Powietrze stało się bardziej wilgotne, ciemno było jak w grobie. Stożek światła tańczył przed naszymi stopami i rzucał na ścianę wyraźne cienie naszych groteskowo wydłużonych ciał. U stóp schodów oświetliłem korytarz.

– Plan – szepnęła Marie-Luise.

Sięgnąłem do torby i wyjąłem z niej rozmiękły kawałek papieru. Rysunek z 1945 roku, który Kevin uprzejmie skopiował w punkcie ksero na rogu. Porównaliśmy rzut poziomy z korytarzem przed nami.

– Drugie drzwi prowadzą do powiększonego pomieszczenia.

Poszedłem przodem.

– Psst!

Natychmiast wyłączyłem światło i zatrzymałem się. Marie-Luise macała w poszukiwaniu mojej ręki. Trwaliśmy nieruchomo w absolutnej ciemności przez dobrą minutę. W domu było cicho.

– Przepraszam. – Puściła moją rękę i głośno odetchnęła. – Wydawało mi się, że coś usłyszałam.

– Chcesz, żebym dostał zawału serca? – szepnąłem.

– Coś usłyszałam. Nad nami – zaprotestowała.

Po omacku ruszyliśmy dalej. Bez światła czułem się bezpieczniej. Jednak potem dotarliśmy do drzwi. Nacisnąłem kłamkę – nie były zamknięte. Marie-Luise od tyłu napierała na mnie. Cicho i ostrożnie otworzyłem drzwi na szerokość dłoni. W tym momencie coś przeleciało nad naszymi głowami, a Marie-Luise wydała z siebie histeryczny krzyk.

– Cicho! – Włączyłem światło. – To tylko nietoperz.

– Pomocy. Nie dam już rady. Wynosmy się stąd. – Jej głos drżał, wczepiła się we mnie.

Przytrzymałem ją przez chwilę, aż się uspokoiła.

- Możemy kontynuować?
- Okej. Róbnmy dalej swoje.

Pomieszczenie piwnicy pod względem wymiarów odpowiadało dokładnie planowi z 1945 roku. Prostokątne, z czterema świetlikami otwartymi na ogród. Było puste. Stał w nim tylko stół. Na nim leżała akumulatorowa wiertarka udarowa. Ściana po lewej była tą, która została przesunięta. Ktoś wybił w niej dziurę wielkości mniej więcej pokrywy studzienki ściekowej.

- Ceglana ściana.

Oświetliłem pierwszą ścianę, a potem znów skierowałem lampę w kierunku dziury.

- Z tyłu jest jeszcze jedna ściana.

Wyciągnąłem młotek i postukałem w cegły. Dudniły głucho.

- Podaj mi przecinak.

Podawała mi go, a ja zacząłem wykuwać zaprawę spomiędzy cegieł.

- Ciszej! – syknęła.

- Tutaj nikt nas nie usłyszy.

- W takim razie możesz od razu wziąć wiertarkę.

Kułem tak szybko, jak się dało. Jedna z cegieł poluzowała się. Postukałem w nią i próbowałem ją poruszyć. W końcu uderzyłem jeszcze dwa razy z pełną siłą w cegłę, a ta wpadła przez ścianę na drugą stronę. Wziąłem latarkę i poświeciłem nią przez dziurę do środka. Kurz, na ile mogłem zobaczyć. Naprzeciwko ściana.

- Co jest w środku?

- Nic – powiedziałem. Poświeciłem w lewo. – Czekał. Widzę drewno.

- Drewno?

– Skrzynki. Po lewej przy ścianie. I stos drewna. Więcej nie da się dostrzec. Musielibyśmy wybić jeszcze kilka cegieł.

Jakiś łoskot sprawił, że wzdrygnąłem się. O mało nie upuściłem latarki.

- Wyłącz światło! Natychmiast!

Zgasiłem latarkę. Staliśmy nieruchomo niczym słupy. Teraz wyraźnie słyszeliśmy kroki w ogrodzie. Powoli się zbliżały, ktoś podchodził do świetlików. Od jednego do drugiego. Kroki zbliżały się w naszym kierunku.

- Do ściany!

Odciągnąłem Marie-Luise od dziury. Przyłgnęliśmy do ściany piwnicy pod wąskimi okienkami. Kroki zatrzymały się bezpośrednio nad nami. Marie-Luise zaczęła szybciej oddychać. Osoba na zewnątrz także miała latarkę. Świeciła

nią przez szczeliny. Przywarliśmy jeszcze bardziej do ściany. Strumień światła drżał na murze naprzeciwko. Po chwili zniknął. Przez kilka sekund było absolutnie cicho. Kroki oddaliły się. Marie-Luise odetchnęła głęboko.

– Może to jakaś ochrona – szepnęła. – Oczekamy jeszcze kilka minut i będziemy kontynuować.

Nie poruszałem się.

– Łom. Zostawiłem go na górze.

Marie-Luise pobiegła do drzwi piwnicy. Rzuciłem się sprintem za nią, jednak już dało się słyszeć kroki nad nami. Ktoś schodził do holu wejściowego.

– Jest stąd jakieś drugie wyjście?

Starłem się przypomnieć sobie stary plan.

– Szybko!

Kroki dotarły do drzwi piwnicy. Skrzypnęły zawiasy.

– W prawo!

Pobiegliśmy w głąb korytarza aż do jego końca. W momencie kiedy kroki dotarły do korytarza piwnicy, otworzyłem jakieś drzwi, wciągnąłem za nie Marie-Luise i zamknąłem. Kroki słyszeć teraz było w pomieszczeniu z podwójną ścianą. Włączyłem latarkę.

Byliśmy w pralni. Jeśli była urządzona podobnie jak w willi Zernikowów, to powinna być wyposażona w palenisko i komin. Dostrzegłem otwór po lewej. Słyszeliśmy głosy mężczyzn. Byli w korytarzu i zaczęli otwierać jedne drzwi po drugich. Szybko się zbliżali.

– Właz tutaj – powiedziałem.

Zaświeciłem w otwór. Występy z żelaznych prętów, umożliwiające wspinanie się, prowadziły w górę w najmroczniejszą czerń, jaką kiedykolwiek widziałem. Marie-Luise zaczęła natychmiast piąć się w górę niczym wiewiórka. Ja wszedłem za nią i zamknąłem właz za nami. W tym momencie otworzyły się na oścież drzwi do pralni.

Wymienili między sobą kilka zdań. Nie zrozumiałem ani słowa. Czy tak brzmiał albański? Najwyraźniej uzgadniali, co dalej. Potem jeden z nich otworzył właz. Wiązka światła latarki ominęła o centymetry moją kostkę. Marie-Luise była dwa metry nade mną. Wstrzymałem oddech. Ramię z latarką wsunęło się głębiej, lada moment miał wcisnąć się do środka jego właściciel. Skoczyłem. Poczułem, jak pod moimi stopami pęka kość, następnie usłyszałem ochrypy krzyk bólu. Natychmiast wspiąłem się z największą możliwą

prędkością do góry. Z dołu dobiegały wrzaski. Jeśli mieli broń, ten drugi na pewno już trzyma ją w ręce. Wyciągnie swojego kumpla, sam wsunie się do komina, trzymając ją zwróconą ku górze, i po prostu będzie naciskał spust.

– Tutaj!

Marie-Luise chwyciła mnie za włosy i wyciągnęła z szybu. Coś świsnęło koło mnie, następnie poczułem palący ból w łydce, skoczyłem do przodu i upadłem na kamienną podłogę.

– Wstawaj!

Zignorowałem ból i utykając, wybiegłem za nią na zewnątrz. Znów znaleźliśmy się w holu wejściowym. Wbiegliśmy pędem po schodach i dotarliśmy do pokoju w wieżycze, przez który dostaliśmy się do środka.

– Skacz! – krzyknęła Marie-Luise. Wspięła się na parapet i podała mi rękę.

– Ty na prawo, ja na lewo – wydyszałem. – Spróbuj dotrzeć do samochodu. Odezwe się.

Skoczyliśmy równocześnie. Moja zraniona noga wysłała do mózgu impuls rozżarzonego do białości bólu.

– Zwiewaj stąd! – krzyknąłem do niej. Zbiegła po schodkach w dół, popędziła w stronę ogrodzenia budowy i wspięła się na nie. Tamci dotarli do pokoju w wieżycze. Pobiegłem w kierunku wody. Coś zaświszczało przy mojej głowie niczym oszalała osa. Słyszałem krzyki, ale nie oglądałem się, po prostu skoczyłem do wody. Jeszcze jedna kula przeleciała tuż koło mnie. Zacząłem płynąć kraulem w tempie, jakiego nigdy jeszcze nie osiągnąłem. Ale i tak oddalałem się zbyt wolno. Spojrzałem w tył. Dwie ciemne postacie dobiegały do brzegu. Zacerpnałem powietrza i zanurkowałem. Starłem się zachować właściwy kierunek ucieczki. Kiedy z bólem w płucach, dysząc, wynurzyłem się na powierzchnię, minąłem już pierwszą działkę przylegającą do wody. Płynąłem tak szybko, jak tylko byłem w stanie, na środek jeziora. Kiedy się obróciłem, nie dostrzegałem już nikogo na brzegu.

Po drugiej stronie jeziora odbijał ostatni prom. Płynął prosto na mnie. Złapał mnie skurcz w nodze. Płynąłem w stronę promu i wołałem o pomoc. Dopiero kiedy znalazłem się w stożku światła, zauważono mnie. Prom wydał z siebie głośny sygnał, silnik przełączono na całą wstecz, by zatrzymać jednostkę.

Starszy mężczyzna w zmiętym kaszkiecie wyszedł z kabiny i podszedł do relingu. Nieliczni pasażerowie cisnęli się za nim. Podpłynąłem do niego i chwyciłem się zewnętrznej krawędzi wejścia. Mężczyzna podał mi rękę i podciągnął mnie w górę. Pasażerowie cofnęli się o kilka kroków. Woda

wypływająca z moich nogawek spodni zabarwiała się na czerwono.

– Pochłało się, co? – Sternik pokręcił głową i wrócił do swojej kabiny. Silnik ponownie zaterkotał, prom ruszył w kierunku przystani. Wtedy go zobaczyłem. Początkowo tylko szary cień. Potem, kiedy prom zbliżył się, zobaczyłem, że nosi kapelusz i jasny płaszcz. Nieruchomo stał na przystani i czekał. Wpadłem w panikę. Otworzyłem drzwi do kabiny sternika.

– Nie przybijać! Niech pan zawróci!

– Odbiło panu? Proszę natychmiast usiąść!

Kapitan, czy jak tam się zwie sternika takiej łajby, chwycił za drzwi i chciał je zamknąć.

Byliśmy jeszcze oddaleni od przystani jakieś dziesięć metrów. Mężczyzna wynurzył się z cienia i wszedł na pomost. Kapitan zmniejszył obroty silnika, stateczek sunął dalej.

– Widzi pan tego mężczyznę tam? – spytałem kapitana tak spokojnie, jak to tylko możliwe. – Ma broń. Użyje jej. Proszę zawrócić!

Kapitan przyjrzał się ciemnej postaci na pomoście.

– On tylko kogoś odbiera.

Mężczyźnie nie umknęło, że na pokładzie trwa dyskusja. Uniósł rękę, w stożku światła promy błysnęła stal pistoletu.

– Z powrotem!

– Ależ nie ma takiej możliwości...

Kapitan chwycił mikrofon radia. Pierwsza kula rozbiła okno kabiny. Mikrofon upadł na pokład.

– Kryj się! – krzyknąłem.

Na promie wybuchła panika. Brzeg był oddalony jeszcze o pięć metrów. Mężczyzna stał na skraju pomostu i strzelał. Systematycznie dziurawił pociskami okna jedno po drugim. Pasażerowie krzyczeli i skuleni kurczowo wczepili się w siebie. Kapitan leżał na pokładzie i krwawił z rany na głowie.

Nachyliłem się nad nim.

– Wszystko w porządku?

– Ja... nie wiem. – Dotknął czoła i przyglądał się krwi na swojej ręce. Znów świsnęła kula nad naszymi głowami. Trzy metry do pomostu.

– Musimy odpłynąć – powiedziałem błagalnie.

Tamten cały czas strzelał, właśnie dziurawił kulami niewinny prom BVG. Zabiłby nas wszystkich. Kapitan wreszcie doszedł do siebie. Schyliwszy się, sięgnął do pedału. Silnik zawył. Zabrzęczało i zaklekotało. Stateczek jakby

stanął dęba, przez rozbite okna trysnęła piana, widziałem mężczyznę, jak przymierzał się, by wskoczyć na pokład, wtedy, w ostatnim momencie, prom zaczął się cofać. Kapitan zwiększył obroty, odpływaliśmy. Pasażerowie ostrożnie unieśli głowy. Po dłuższej chwili odważyłem się wyjrzeć przez rozbite okno. Mężczyzna zniknął.

– Blisko było – powiedziałem. – Dzięki.

– Dzięki! – wrzasnął mały kapitan. Miał ponad pięćdziesiąt lat, czerwoną twarz i w normalnym życiu zapewne zachowywał się równie przyjaźnie jak listonosz. Teraz był bombą z opóźnionym zapłonem tuż przed eksplozją. – Niech pan popatrzy na szkody! Mogliśmy wszyscy zginąć!

Nie miałem czasu na odpowiedź. Od brzegu w Grünau odbiła motorówka. Jej ryk przebił się przez terkotanie silnika promu, zbliżał się szybko.

– Szybciej. Musi pan płynąć szybciej! Są za nami!

– Za nami? Czy ja dobrze słyszę? Ja niczego nie przeszkrobałem. Wzywam policję wodną.

Motorówka zbliżała się po łuku. Akurat dotarliśmy na środek jeziora.

– Policja nie zdąży. Widzi pan tę łódź? Wzięła kurs dokładnie na nas.

Kapitan obrócił się.

– Do diabła – wymamrotał. Następnie chwycił za radio. – Torsten, obudź się! Torsten!

Zatrzeszczało i usłyszałem zaspány głos:

– Taak?

Kapitan rzucił mi wrogie spojrzenie. Następnie podniósł mikrofon do ust.

– Uwierz mi albo nie, ale właśnie zostaliśmy ostrzelani i jesteśmy ścigani. Widzisz motorówkę?

– Tak.

– W takim razie rusz dupę.

– Kto to jest Torsten? – zapytałem.

– Pływa zbiornikowcem – warknął kapitan.

Pasażerowie wciąż kulili się na pokładzie. Dwa rowery się przewróciły. Mniej więcej siedmioletnia dziewczynka kucnęła obok mnie. Starsza pani, pewnie matka, otoczyła dziecko ramieniem i nie spuszczała kapitana i mnie z oczu. Dziewczynka wydawała się raczej ciekawa.

– Czy to pościg? – zapytała.

– Coś w tym stylu – odpowiedziałem.

– Czy oni ścigają ciebie?

Przytaknąłem. Motorówka była bardzo szybka. Miała już do nas nie więcej niż pięćdziesiąt metrów. Prom dawał z siebie wszystko, ale nie było to wiele; dystans między nami kurczył się w oczach. Mieliśmy za sobą dwie trzecie jeziora. Widziałem już przystań po drugiej stronie, w Wendenschloss, ale nigdzie nie widziałem Torstena.

– Kręcisz film?

– Nie – odpowiedziałem. – To się dzieje naprawdę.

– Dlaczego oni cię ścigają?

– Ponieważ wiem coś, co sprawi, że trafią do więzienia.

Kobieta zasłoniła dziecku usta ręką.

– Bądź cicho.

Obserwowałem nerwowo, jak prom posuwa się wolno do przodu i jak szybko zbliżają się nasi prześladowcy.

– Połóż się – powiedziałem do dziewczynki w samą porę. Ołów znów uderzył w żelazo. – Wszyscy.

– No wreszcie! – krzyknął kapitan. Pomarańczowo-niebieski statek powoli odbijał od nabrzeża i kierował się w naszą stronę.

Motorówka za nami stanęła dęba i pomknęła po prawej stronie promu. To, co teraz na nas poleciało, to była cięższa amunicja. Kilka kul przebiło ścianki kabiny pasażerskiej. Nikt nie został ranny, ale starsza kobieta rzuciła się na dziecko i krzyczała:

– Przestańcie! Przestańcie!

Kapitan, leżąc na pokładzie, po omacku sterował w stronę drugiego brzegu. Motorówka pędem minęła nas i wzięła szeroki łuk. Barka transportowa w zwolnionym tempie zbliżała się do nas. Była od nas jakieś dwadzieścia metrów. Motorówka zawróciła. Dostrzegłem na jej pokładzie kilka postaci. Dwie miały broń w rękach. Ich łódź na chwilę stanęła w miejscu, tak jakby chciała skupić całą moc silnika, po czym ruszyła z impetem na nas, znów rozległy się strzały.

W tym momencie do promu dotarła barka. Wysunęła się przed nas. Za sterem stał młody człowiek. Obserwował dla nas już niewidoczną motorówkę i zrobił zwrot statkiem. Motorówka znów przemknęła obok nas niczym strzała, a o burty i urządzenia promu zagrzechotały kule. Jednak barka obróciła się po okręgu, tak że znów znaleźliśmy się osłonięci po jej zawietrznej. Brzeg znajdował się w odległości trzydziestu metrów. Silnik motorówki zawył, po czym zgasł. Z kierunku północnego po wodzie niosło się wycie syreny.

– Tutaj policja wodna – rozległ się w ciemności głos funkcjonariusza mówiącego przez megafon. – Proszę natychmiast przerwać ogień!

Motorówka przemknęła koło nas w przeciwnym kierunku i zniknęła.

– Oj chłopcze, chłopcze – jęknął kapitan. Zdjął czapkę z głowy i otarł sobie nią czoło. – Czegoś takiego jeszcze nie przeżyłem.

Łódź policji wodnej zbliżyła się. Teraz już nie miałem wyboru.

– Bardzo przepraszam.

Wypchnąłem kapitana z kabiny, zaryglowałem drzwi od środka, po czym wcisnąłem pedał gazu i chwyciłem za kierownicę.

– Ej! Nie może pan tego zrobić!

Wciąż jeszcze znajdowaliśmy się za osłoną barki. Dodałem gazu. Prom, terkocząc, popłynął wzdłuż Müggelheimer Ufer. Szukałem dogodnego miejsca, w którym mógłbym pożegnać się z odsieczą, która uratowała mi życie. Torsten najwyraźniej opisał zmianę sytuacji, ponieważ warkot silnika łodzi policji wodnej stał się głośniejszy.

Kapitan uparcie dobijał się do drzwi kabiny. Skoncentrowałem się na sterowaniu. W końcu zrobiło się całkiem ciemno. Skończyła się zabudowa na brzegu. Do tafli jeziora dochodził teraz las, na granicy wody kłębiły się gęste trzciny. Tutaj powinno się udać.

Zdjąłem nogę z pedału gazu i statek natychmiast zwolnił.

– Teraz to już naprawdę koniec – warknął kapitan, kiedy otworzyłem drzwi.

Pasażerowie wciąż siedzieli w kucki pośród podziurawionego kulami wyposażenia.

– Bardzo mi przykro – powiedziałem do nich. Następnie zwróciłem się do kapitana: – Proszę zadbać o to, żeby policja znalazła motorówkę. Ja nie jestem taki ważny.

Kapitan wyglądał, jakby najchętniej przywiązał mnie do masztu swojej łajby. Gdyby jakiś miał.

– Niech pan spokojnie zwiewa. Wyślę ich w innym kierunku.

Moja przyjaciółka dziewczynka. Wyszczrzyła się do mnie, pokazując przy tym kilka szczerb między zębami.

– Dziękuję – powiedziałem i skoczyłem do wody.

Płynąłem najszybciej, jak mogłem. Po kilku minutach dotarłem do brzegu. Obejrzałem się. Łódź policji wodnej kołysała się przy burcie promu. Trwały dyskusje. Po chwili łódź zakreśliła i ruszyła na południe. Dobra robota, mała.

Las, gdzie tylko spojrzeć. Przedarłem się przez zarośla i ruszyłem przed

siebie. Biegłem i biegłem. Drzewa stały zbyt gęsto, by można było dostrzec niebo. W oddali czekał pies. W końcu dotarłem do ścieżki leśnej i poszedłem nią. Ścieżka po paru minutach przekształciła się w szeroką drogę gruntową, która po kilku kilometrach doszła do nieoświetlonej ulicy. Na szczęście księżyc i gwiazdy dawały wystarczająco dużo światła, bym widział jej przebieg.

Pomacałem kieszenie w poszukiwaniu telefonu komórkowego i wyjąłem go z wodoszczelnego pokrowca. Działał. Marie-Luise zgłosiła się natychmiast.

– Co się dzieje? Gdzie się podziałeś? Czekam tu od godziny.

Wyjaśniłem jej, co się wydarzyło.

– Powtórz to jeszcze raz. Porwałeś prom BVG?!

– Nie dało się inaczej. Jestem po drugiej stronie jeziora na jakimś totalnym odludziu. Mogłabyś mi pomóc?

Poleciała mi dokładnie opisać drogę mojej ucieczki.

– A więc teoretycznie jesteś teraz w pobliżu Müggelberge.

– Nic nie widzę. Tu panują egipskie ciemności.

– Ale jesteś na ulicy?

Rozejrzałem się.

– Ulica to określenie nieco na wyrost. Ale posuwam się naprzód.

– Jak będziesz szedł dalej, powinieneś dotrzeć na ulicę Müggelheimer Damm. Wtedy idź w lewo. Wyjadę ci naprzeciw. Spróbuj nie rzucać się w oczy. Zdzwonimy się.

Z tym nierzucaniem się w oczy to niezły żart. Byłem mokry i wymazany błotem. Rana na łydce bolała i pulsowała tak, że z trudem kulejąc, szedłem dalej, trzymając się krawędzi drogi.

Trwało jeszcze pół godziny, nim rzeczywiście doszedłem do szerszej drogi. Zaledwie kilka metrów za skrzyżowaniem znajdował się przystanek autobusowy. Zadzwoiłem do Marie-Luise.

– Stoję na przystanku nadleśnictwo Köpenick. Wiesz, gdzie to jest?

– Bezpośrednio przy Kuhwall. Jesteś raptem pięć minut od Müggelsee. Zaraz tam będę.

Odsunąłem się kilka metrów od drogi, usiadłem na ziemi i potarłem sobie ramiona. Szczękały mi zęby, byłem całkowicie przemarznięty.

Dwadzieścia minut później zobaczyłem powoli toczący się ulicą samochód. Zatrzymał się przy przystanku autobusowym. Zadzwoił mój telefon. Wstałem i pomachałem do Marie-Luise.

Pomogła mi wgramolić się do samochodu.

– Wyglądasz okropnie – powiedziała. Sięgnęła za siebie i podała mi coś w rodzaju kołderki dla psa. – Masz.

Owinąłem się w nią.

Marie-Luise włączyła ogrzewanie i skierowała nawiew na mnie.

– Nie możesz w takim stanie pokazać się matce. Lepiej zawiozę cię do siebie.

Skinąłem głową. Na zmianę było mi to za zimno, to za gorąco, by gadać. Zasnąłem.

Marie-Luise obudziła mnie na Mainzer Strasse. Pokuśtykałem po schodach na górę, przed oczami tańczyły mi żarzące się kręgi. Rzuciłem się na sofę. Marie-Luise przyniosła nożyczki i rozcięła nogawkę spodni.

– Musisz jechać do szpitala.

– To tylko przestrzał – jęknąłem. – Jeśli pojedę na pogotowie, to mnie natychmiast złapią.

Przyznała mi rację. Poszła do łazienki i wróciła z bandażem i buteleczką jodyny.

– Będzie bolało.

– Teraz też boli.

Uklękła obok mnie i zaczęła oczyszczać ranę. Prawie straciłem przytomność z bólu. W końcu odstawiła jodynę i założyła na łydkę opatrunek.

– Możesz się rozebrać?

Skinąłem.

– Wszystko, co tu mam, należy do niego. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

Pokręciłem głową. Przyniosła piżamę, która była o dwadzieścia centymetrów za krótka, ale w pasie cztery numery za duża. Przynajmniej pachniała świeżym praniem. Znowu się położyłem. Przykryła mnie kołdrą. Następnie przyniosła po kieliszku stolicznej.

– Człowieku. Urowadzenie i wzięcie zakładników. To jest co najmniej pięć lat.

– Nie sądzę, żeby mnie ktoś rozpoznał. Pasażerowie większość czasu spędzili, leżąc na pokładzie. Jedyнным świadkiem jest kapitan.

Wskazałem na moją zmaltretowaną twarz.

– To najlepszy kamuflaż, jaki istnieje. Jeśli pewnego dnia znów będzie wyglądała normalnie, nikt mnie nie pozna.

Skinęła głową. Przez chwilę milczeliśmy.

– Ci mężczyźni. Kim oni byli? – Marie-Luise wpatrywała się w swój kieliszek.

Ostrożnie przeniosłem ciężar ciała na te jego części, które tak bardzo nie bolały.

– Nie mam pojęcia – powiedziałem. Byłem już bezpieczny. Nie chciałem dłużej się nad tym zastanawiać.

– Nie doceniliśmy ich – podjęła Marie-Luise. – Wiedzieliśmy, że nie mają skrupułów. Ale to było działanie na krawędzi. Prawie nas dorwali. Dlaczego? Co kryje się w tej piwnicy? Byliśmy już tak blisko.

– Nie jesteśmy jedynymi, którzy się tym interesowali. Zauważyłaś koparkę na łące? I wydobytą ziemię? To te prace, które musiały zostać przerwane. Po wschodniej stronie domu. Aaron chciał od zewnątrz dostać się do piwnicy.

– Dlaczego nie od środka? Tak byłoby przecież łatwiej.

– Dobrze byłoby uzyskać dostęp do akt znajdujących się w kancelarii Zernikowa. Zburzona ściana i nagłe powiększenie piwnicy w przypadku publicznego użytkowania budynku musiałyby zostać sensownie wyjaśnione. A więc próbowali dostać się od zewnątrz. Odkopać, włamać się, wydobyć zawartość, zamknąć.

– Kto? – spytała Marie-Luise. – Rozpoznałeś kogoś?

Uniosłem ręce w geście bezradności.

– To profesjonaliści. Przypuszczalnie Albańczycy.

– Znasz albański?

– Niebezpośrednio – ostudziłem jej rodzący się entuzjazm. – W każdym razie byli to zabójcy na zlecenie.

– Na czyje zlecenie?

Spojrzeliliśmy po sobie.

– Aarona – wymamrotała Marie-Luise. – Abel, Abraham, Aaron. W zasadzie to dlaczego imiona ich wszystkich zaczynają się na A?

– A jest dla pierwszego, B dla drugiego i tak dalej.

Marie-Luise się uśmiechnęła.

– Jak u koni i psów.

Nachyliła się i delikatnie poprawiła mi kołdrę.

– Ale zwierzęta zabijają tylko, kiedy są głodne. Co może być tak

wartościowego w tej piwnicy, że ludzie są gotowi za to zabijać?

– Deski i skrzynki – odpowiedziałem. – I sześćdziesięcioletni kurz.

[2](#) Berlińskich Zakładów Komunikacyjnych (przyp. tłum.).

Rozdział 36

Płynąłem, a ktoś podążał za mną. Poruszałem się coraz wolniej, jakbym wpadł do jeziora kleju, który powoli i nieubłagane ciągnął mnie w dół. Dno świeciło złotem. W świetle księżycy odbijało się coś błyszczącego. Pośrodku światła lśnił szmaragd... Obudziłem się zlany potem.

Było wpół do jedenastej. Marie-Luise już wyszła; zostawiła mi karteczkę na kuchennym stole. *Odezwij się, jak znów staniesz na nogi*. To mogło potrwać kilka miesięcy. Zadzwoiłem do niej, jak tylko wziąłem prysznic i opatrzyłem ranę na nodze.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. Masz jakieś wieści?

– Milla się obudziła i została przeniesiona na normalny oddział. Horst jest u niej i trzyma ją za rękę. Nie jest jednak jeszcze w na tyle dobrym stanie, by można ją było przesłuchać. Kevin poprzez Czerwony Krzyż poprosił o dostęp do zawiadomienia o zaginięciu Wilhelma von Zernikowa. Odrażający, spocony facet przyniósł ci kopertę, w której rzekomo są zdjęcia. I na dziś wieczór jestem umówiona z Georgiem Schäfflingiem. Zaprosiłam go, pewnie dlatego ten mały wyprysk przystał na propozycję.

Brzmiało to nieźle.

Spodnie i koszula były brudne i śmierdziały mułem. Musiałem pojechać do domu, żeby się przebrać. Zamiast pojechać autobusem, zamówiłem sobie taksówkę. Pół godziny później otworzyłem drzwi do mieszkania mojej matki.

Żadnej z pań nie zastałem w domu. Ucieszyłem się, że nie muszę odpowiadać na wścibskie pytania, i zacząłem szukać w szafie czegoś czystego do ubrania. Jednak nie miałem już żadnych czystych rzeczy. Zdołałem oczyścić jako tako szczołką garnitur, w którym przekopałem połowę cementarza w Konradshöhe. Pod marynarkę włożyłem T-shirt. Niewyprasowany, ale przynajmniej czysty. Tak ubrany pojechałem do kliniki Virchowa w dzielnicy Moabit.

Milla Czeredniczenkowa leżała teraz dwa budynki dalej, w ładnym jasnym pokoju z dwoma łózkami, ale tylko jej było zajęte. Spała. Horst siedział przy niej i rozwiązywał krzyżówkę w „Berliner Tageszeitung”. Kiedy mnie zobaczył, uśmiechnął się uradowany.

– Jest z nią coraz lepiej – szepnął.

Przyniosłem sobie drugie krzesło. Milla wciąż miała gruby opatrunek dookoła głowy. Lewa połowa twarzy była nieco obrzmiała, ale dziewczyna przypominała już siebie. Na stoliku nocnym stał dumnie bukiet róż.

– Żadnych nowych kwiatów? – spytałem.

Horst pokręcił głową i ostrożnie złożył gazetę. Mimo to szelest papieru był na tyle głośny, że Milla obudziła się. Zamrugła i próbowała dotknąć ręką twarzy. Następnie dostrzegła rurkę odprowadzającą i butelkę z roztworem soli fizjologicznej. W końcu zobaczyła mnie.

– Jo-jo – szepnęła. Próbowała się unieść, jednak delikatnie przycisnąłem ją z powrotem do poduszki.

– Nie. Nie ruszaj się za wiele.

Jej spojrzenie padło na Horsta. Skinęła na mnie lekko głową, żebym się przybliżył.

– Kim jest ten facet przy moim łóżku? Cały czas tutaj jest i mówi, że mnie nie opuści. Napędza mi tym stracha.

– Horst jest niegroźny – szepnąłem. – To twój narzeczony.

Znów się wyprostowałem.

– Czy mogę was sobie przedstawić? Milla Czeredniczenkowa – Horst Cahlow.

Horst się rozpromienił.

Milla uśmiechnęła się niepewnie.

– Róże... są od niego?

– Eee... tak – powiedziałem szybko.

Horst przytaknął niepewnie.

– Milla – powiedziałem. – Czy przypominasz sobie wypadek?

– Nie. W ogóle nie. Jakby to wszystko zostało wymazane z mojej głowy.

Dotknęła swojej skroni i pomacała opatrunek.

– Moje włosy. Czy mam jeszcze swoje włosy?

– Oczywiście – uspokoiłem ją. – Pomyśl, proszę, jeszcze raz. Co wydarzyło się wcześniej? W twoim hotelu powiedziano mi, że miałaś umówione spotkanie. Ktoś przyjechał po ciebie samochodem. Zgadza się?

Spojrzała na mnie. Jej oczy zaszkliły się łzami.

– Nie wiem, Jo-jo. Zastanawiam się nad tym i nie wiem. Zamykam oczy i budzę się w szpitalu, jestem zaręczona i nie znam swojego narzeczonego. Boję się, Jo-jo.

– Ale mnie sobie przypominasz.

– Tak – powiedziała ze słabym uśmiechem. – Źle wyglądasz. Pobiłeś się z kimś?

Horst chrząknął. Być może chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że nie miałby nic przeciw, gdyby także został włączony do rozmowy. Wskazałem na niego.

– Horst dzień i noc trzyma przy tobie wartę.

Milla podciągnęła trochę wyżej kołdrę i lustrowała go.

– To przyjaciel. Ściągnął cię do Niemiec. Czekał na ciebie i bardzo się o ciebie martwił.

– Tak? – W jej głosie wyczuwało się niedowierzanie. – Horst... Internet?

– Tak! – krzyknął Horst. – Przypomina sobie! Milla, teraz wszystko już będzie dobrze!

Milla przewróciła oczami.

– Wyślij go gdzieś – szepnęła.

Poprosiłem Horsta, żeby zaniósł róże do pokoju pielęgniarek.

Kiedy poszedł, Milla chwyciła mnie za rękaw i przyciągnęła bliżej.

– Zawsze lepiej jest nic nie wiedzieć. Nigdy nie można mówić wszystkiego, rozumiesz? Ktoś do mnie zadzwonił.

– Mężczyzna czy kobieta?

– Mężczyzna. Powiedział, że dostanę podpis. Miałam zadzwonić, kiedy będę miała czas, i podał mi numer telefonu. Chciał po mnie przyjechać.

– Rozpoznałaś go?

– Nie. Miał założone okulary przeciwsłoneczne.

– Był stary czy młody? Wysoki czy niski?

Zamknęła oczy.

– Nie wiem. To była dla mnie taka radość. Pojechaliśmy. Przez Kurfürstendamm. Byłam taka podniecona. Zatrzymał się i powiedział, że mam przejść na drugą stronę ulicy, bo tam ktoś na mnie czeka. Wysiadłam i... Bum.

Po policzku spłynęła jej wielka łza.

– To moja wina. Gdybym bardziej uważała, miałabym podpis i już dawno byłabym w Kijowie.

Pogłaskałem ją po dłoni.

– Czy przypominasz sobie jakieś cechy samochodu, który cię potrącił?

– Nie.

– W porządku. Nie myśl o tym więcej.

– Jestem taka głupia. Nie rozejrzałam się. Matka martwi się o mnie. Lekarz powiedział, że jestem tutaj już od tygodnia.

– To prawda. Mam zadzwonić do twojej mamy? Możesz podać mi jej adres?

Horst wrócił do pokoju i siadając, przysunął krzesło bliżej łóżka. Milla spróbowała uśmiechnąć się w nieco mniej zdystansowany sposób.

– Lekarz już się tym zajął. Był bardzo miły. Wszyscy tutaj są bardzo mili.

Pogłaskałem ją po ręce.

Horst gorliwie przytaknął.

– Mogę to potwierdzić. A jedzenie jest naprawdę dobre. – Jego spojrzenie przemknęło po butelce z roztworem soli fizjologicznej. – No, przynajmniej jedzenie w kawiarni.

– Millo – powiedziałem. – Czy mogę zobaczyć twój krzyżyk?

Pomacała swój dekolt i przestraszyła się.

– Nie zginął. – Horst wysunął szufladę stolika nocnego. – Umieścili go tutaj.

– Mogę?

Milla skinęła niepewnie. Wyciągnąłem szufladę. Krzyż był ze złota, bardzo mały i prosty, zdecydowanie nic wartościowego. Mimo to przyjrzałem mu się uważniej.

– Mam go od swojej matki.

Skinąłem i odłożyłem go z powrotem.

– Jak ważny jest dla ciebie ten krzyżyk?

– Bardzo ważny – szepnęła. – *Panie, Ty dla nas byłeś ucieczką, z pokolenia na pokolenie. Zanim góry narodziły się w bólach, nim ziemia i świat powstały, od wieku po wiek Ty jesteś Bogiem.*

Przeżegnała się i spojrzała na mnie. W jej spojrzeniu kryło się pytanie, na które nie mogłem odpowiedzieć. Wyczuła to i zagryzła wargi. Pogłaskałem ją łagodnie po policzku, ale odwróciła się ode mnie.

– Przyjdiesz jeszcze?

– Pewnie. – Uśmiechnąłem się do niej. – Ten lekarz, znasz jego nazwisko?

– Nie.

– Doktor Schulze albo coś podobnego. Meier albo Schulze – powiedział Horst. – Popularne nazwisko.

– Kiedy on tutaj był?

– Około jedenastej, myślę. Naprawdę bardzo miły człowiek. Chce się o wszystko zatroszczyć. I mówi, że jeśli będziemy trzymać się razem, to nic nas nie rozdzieli. Przecież ona tak się boi, że zostanie odesłana bez wesela.

Milla ściągnęła brwi, ale nic nie powiedziała.

Umówiłem się z Horstem, że dalej będzie nas informował na bieżąco, i poszedłem do pokoju pielęgniarek. Róże przez te dwa dni rozkwitły i wyglądały pięknie.

– Mam pytanie: byłaby szansa porozmawiać z doktorem Meierem albo Schulzem?

Pielęgniarka zmarszczyła czoło.

– Nie znam. A kto to niby ma być?

– Lekarz zajmujący się panią Czeredniczenkową.

– Chwileczkę.

Spojrzała na grafik wiszący na ścianie.

– To pani doktor Stubenrauch. Ale ona zjawi się tutaj dopiero koło czternastej. Jeśli pan chce, może pan na nią poczekać.

Podziękowałem serdecznie i pożegnałem się.

Przez całą drogę do kancelarii złościłem się z powodu przewagi, jaką bezmyślnie im daliśmy. Weszli w posiadanie adresu Natalii. Domyślałem się, jakie mieli zamiary.

Kiedy przyjechałem na Dunckerstrasse, było wczesne popołudnie. Na podwórku gromada nastolatków kopała piłkę. Kevin głowił się w biurze Marie-Luise przed komputerem i gryzł ołówek. Kiedy mnie zobaczył, rzucił go z hukiem na biurko.

– To jeszcze potrwa. Mają wszystko w centralnej kartotece. A do niej tak po prostu się nie dostanę. Nie mamy ani daty urodzin Wilhelma von Zernikowa, ani żadnych innych wskazówek, od kiedy dokładnie uchodzi za zaginionego. Nie mógłbyś o to zapytać jaśnie pani? To by nam wiele uprościło.

– Pomyślę o tym, kiedy znów się z nią zobaczę.

Poszedłem do swojego biura. Koperta leżała na biurku. Było na niej napisane *osobiste/poufne*. Otworzyłem ją.

Party w ogrodzie. Goście wysiadający ze swoich samochodów. Urzędujący burmistrz z Sigrun. Namioty, kwartet smyczkowy, bufet. Sigrun całująca małżonkę ambasadora, a raczej, dokładniej mówiąc, małżonka ambasadora całująca Sigrun. Sigrun i ja. Uśmiechaliśmy się do siebie.

Przyjrzałem się zdjęciu dokładniej w poszukiwaniu oznak tego, że między nami coś nie jest w porządku. Niczego takiego nie znalazłem. Staliśmy ramie w ramie i patrzyliśmy sobie głęboko w oczy. Nasze uśmiechy były szczere, nasze dotknięcia zażyłe. Dwie godziny później wszystko wyglądało inaczej. Milla na noszach pogotowia. Ja pochylony nad nią, zatroskany, Sigrun za mną, zepchnięta na bok, onemiała w tym momencie bezsilności i strachu.

Odłożyłem zdjęcie na bok. Verena von Lehnsfeld. Cudowne. Pierścionek połyskiwał na jej środkowym palcu. Na tym powiększeniu można było go zidentyfikować bez cienia wątpliwości. Wsadziłem zdjęcie do kieszeni marynarki.

Następnie zadzwoniłem do Ekateriny i zapytałem, jak szybko można dotrzeć na Ukrainę.

– Jako Niemiec? Musi pan pójść do ambasady, ale dzisiaj jest zamknięta. Może pan spróbować jutro przed południem, ale nie zdąży pan na samolot Ukrainian Airlines i Czech Airlines. To znaczy, będzie pan mógł wziąć bezpośredni lot Ukrainian dopiero w niedzielę i wyląduje pan około szesnastej trzydzieści w Kijowie.

Poprosiłem ją, żeby zrobiła w tej sprawie wszystko, co w jej mocy; obiecała, że się odezwie.

Do pokoju wszedł Kevin. Usiadł na parapecie okna i zajął się skręcaniem sobie papierosa.

– Słyszałeś o Eupen-Malmedy? – spytał i polizał bibułkę.

– Coś tam słyszałem, ale nie jestem w stanie powiedzieć, o co chodzi.

Kevin z czułością dopieszczał papierosa, rolując go między palcami, wygładzając go jeszcze i wyrównując, zanim zapalił.

– To belgijsko-niemiecki obszar graniczny, o który w trakcie negocjowania traktatu wersalskiego toczono zażarte spory. Wcześniej była to część niemieckiej Nadrenii i ziemie księstwa Limburg. W tysiąc dziewięćset dwudziestym tereny te przyznano Belgii. Musiało to być postrzegane jako wielka krzywda, w czterdziestym bowiem znów włączono je do Rzeszy Niemieckiej.

Zaciągnął się głęboko i wydmuchnął dym w moim kierunku. Żeby zrobić mi przyjemność, symbolicznie pomachałem ręką.

– Dalej.

– Wilhelm von Zernikow tam stacjonował. Mówiąc dokładniej, w St. Veith. Był kimś jakby pełnomocnikiem generalnym. Niezależnie od tego, jak było,

jedno jest osobliwe.

Znów wypuścił dym, a potem podziwiał wykonanego przez siebie skręta, jakby trzymał w ręce kubańskie cygaro Cohiba.

– Wilhelm von Zernikow jest uważany za zaginionego od trzeciego września czterdziestego czwartego. Nie orientuję się za dobrze, jak przebiegała druga wojna światowa. Kiedyś wszystko to przerabialiśmy w szkole. Ale o ofensywie w Ardenach, Dunkierce i Arnheim pamiętam nawet ja. A jestem pacyfistą. Faktem jest zatem, że dokładnie w momencie, kiedy zaginął Wilhelm, Bruksela i Antwerpia zostały zajęte przez brytyjskie jednostki pancerne. Eupen-Malmedy jednak dopiero tydzień później. Nie wydaje ci się absolutnie nieprawdopodobne, że w takim momencie ktoś może po prostu zniknąć i pojawić się w Berlinie? I że potem udaje się z powrotem do jaskini lwa? Wilhelm von Zernikow poległ osiemnastego grudnia czterdziestego czwartego w trakcie ofensywy w Ardenach.

– Brawo. Znalazłeś sobie nowe hobby?

Kevin wyszczerzył zęby.

– Internet. Kto szuka, ten znajdzie. Druga wojna dla początkujących, można powiedzieć. Człowieku, że też ja muszę się tym zajmować.

Napisałem mu coś na karteczce.

– Ponieważ tak dobrze ci idą ćwiczenia – sięgnąłem po karteczkę i długopis – miałbym dla ciebie jeszcze jedno zlecenie na porządną kwerendę. Abel von Lehnfeld. Urodzony około roku tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego. Chcę wiedzieć, gdzie był podczas wojny i co wtedy robił.

– Jeszcze coś? – spytał Kevin, zrywając się z miejsca.

Podąłem mu karteczkę.

– Spisałeś się doskonale. Dziękuję.

Ledwie Kevin zdążył wyjść, zadzwonił telefon.

– Dressler. No i co, otrzymał pan moje zdjęcia?

– Tak – powiedziałem, przeciągając zgłoski.

– I co? Rzuciło się panu coś w oczy?

– Prawdę powiedziawszy, nie.

Sapnął w słuchawkę jak mors.

– Ach tak. To interesujące.

Potrzebował chwili, by przetrwać fakt, że tym razem źle wyszedł na ubitym interesie.

– Być może powinienem jakoś pomóc pańskiej pamięci?

– Nie jestem zainteresowany.

Chciałem odłożyć słuchawkę.

– Köpenick – powiedział cicho.

Moja ręka, która już zmierzała w stronę widełek, zamarła.

– Köpenick? Co pan ma na myśli?

– Czy przypadkiem dziś w nocy pan gdzieś nie wychodził?

– Co podsunęło panu ten pomysł?

Dressler znów mlasnął do słuchawki. Przypuszczalnie akurat nie miał pod ręką szklanki z Gin Fizz.

– Byłem dzisiaj przed południem na konferencji prasowej policji. Jakiś wariat uprowadził prom BVG, który w konsekwencji został wściekle ostrzelany.

– Naprawdę? Przez kogo?

– Tego niestety akurat nie wiadomo. Sprawcy zdołali uciec. Zapewne ukryli się w jakimś kanale w Spreewaldzie. Ale porywacz, moim zdaniem, wykazuje znaczne podobieństwo do pańskiej pokiereszowanej facjaty.

W tym momencie weszła Marie-Luise. Położyłem palec na ustach i nacisnąłem przycisk funkcji głośnomówiącej, żeby mogła przysłuchiwać się rozmowie.

– Wiem, że jest pan zamieszany w sprawę promu. Czuję to. I dojdę prawdy. Wtedy pan i pańska czysta narzeczona będziecie skończeni.

– Nagraliśmy pańską wypowiedź. W tej chwili wypełnia ona znamiona przestępstwa, a dokładnie wymuszenia. Jeśli nie był pan dotąd karany, to już samo to...

Połączenie zostało przerwane. Odłożył słuchawkę.

– Kto to był? – zapytała Marie-Luise.

– Fotograf. Ten, który przyniósł kopertę. Od miesiący szuka haków na Sigrun. Wie, co stało się z Olgą i że istnieje jakiś związek z Millą.

– I z Köpenick. Czy cię rozpoznał?

Podniosłem się i poszedłem do kuchni. Tam stało jedyne funkcjonujące radio. Było tuż przed drugą. Kilka minut do wiadomości spędziłem, zaparzając kawę. Następnie wszyscy usiedliśmy przy stole. Marie-Luise, Kevin i ja. Wiadomości zaczęły się od zwyczajowych komunikatów o kryzysach z całego świata, dalej były informacje o kolejnych krokach oszczędnościowych senatu, wielkim pożarze w fabryce opon i – napaści na prom BVG między Grünau i Wendenschloss.

– Blisko było – powiedziała z ulgą Marie-Luise. – Ani słowa o włamaniu. A strzelali ci inni. Jak będziesz miał szczęście, będziesz mógł to wszystko przedstawić jako działania ratujące życie i jeszcze zostaniesz uczczony przez pasażerów jako bohater.

– Jedno pytanie – odezwał się Kevin. – To byliście wy?

Marie-Luise wyłączyła radio.

– Niczego nie widziałeś i o niczym nie słyszałeś, o niczym nie wiesz.

– Ile masz lat? – spytałem go.

– Dwadzieścia dwa.

– Jesteś zdecydowanie za młody, żeby można cię było w to wciągnąć.

– Ale ja już w tym siedzę. – Splótł ręce na piersi. – Życzy pan sobie krótkiej informacji o Ablu von Lehnsfeldzie? Działał jako handlarz dziełami sztuki i we własnej osobie krążył po całym terytorium nadętej Rzeszy, pracując na potrzeby gromadzonej w Linzu kolekcji megalomańskiego naczelnego dupka.

– Poproszę o tłumaczenie na język literacki – zażądała Marie-Luise.

– Konfiskował skarby sztuki, wyceniał je i dostarczał do kolekcji prominentnych nazistów. Dobre do garnczka, a złe...

– ...do piwnicy! – krzyknęliśmy równocześnie.

Marie-Luise poderwała się. Śmialiśmy się i obejmowaliśmy. Poklepałem Kevina po ramieniu.

– To było wspaniałe. Zrobiłeś super kwerendę.

– Mamy ich! – krzyknęła Marie-Luise. – Wreszcie ich mamy!

– Kogo? – spytał Kevin. – Kogo mamy?

– Dobre pytanie – stwierdziłem. Znów usiedliśmy. – Cholernie dobre pytanie.

Rozdział 37

Marie-Luise umówiła się z Georgiem Schäfflingiem o ósmej na Helmholtzplatz. W międzyczasie zadzwoniłem do Marietty i przekonałem ją, że najlepiej będzie, jeśli spotkamy się w jej domu aukcyjnym, zaraz po zamknięciu. Marie-Luise pożyczyła mi swoje volvo, dzięki czemu dotarłem do Grunewaldu punktualnie o wpół do siódmej.

Strażnik przezornie zastąpił mi drogę. Jednak Marietta zdążyła mnie już zobaczyć i od razu podeszła do drzwi z grubym pękiem kluczy.

– Dziękuję. Zajmę się resztą.

– Życzę miłego końca dnia – wymamrotał mężczyzna.

Marietta zaprosiła mnie do środka i zamknęła drzwi na cztery zamki. Musiała się bardzo nisko pochylić, by dosięgnąć do ostatniego, a miała na sobie wyjątkowo obcisłą spódniczkę.

– A więc – powiedziała, uporawszy się z drzwiami. – Teraz jesteśmy już tylko w swoim towarzystwie. Szampana?

– Z chęcią.

Przeszła przez pomieszczenia części sklepowej i zniknęła za kosztowną zasłoną z tkaniny gobelinowej.

– Rozgość się! – zawołała w moją stronę. Usiadłem w jednym ze skórzanych foteli w kremowym kolorze na tyłach jednego z pomieszczeń wystawowych. Na ścianach wisiały starannie oświetlone duże obrazy o niewątpliwie impresjonistycznym charakterze.

Wróciła ze srebrną tacą, na której postawiła dwa kieliszki szampana.

– Wyprzedajemy właśnie pewną kolekcję – wyjaśniła. – Niesamowite, co teraz pojawia się na rynku. Doskonała jakość. Wszystko gromadzone przez dziesięciolecia. Po pewnym czasie do głosu dochodzi jednak aspekt przemijalności i nikt już nie chce tego mieć. Muzea są zalewane zapytaniami, dzieci chciałyby raczej otrzymać pieniądze, dzieło życia zostaje rozszarpane na kawałki i znika.

Podniosła kieliszek.

– Za nas. Za ponowne spotkanie.

Stuknęliśmy się kieliszkami. Szampan był wyśmienity i utrzymany w odpowiedniej temperaturze. Marietta usiadła na skórzanej kanapie naprzeciwko mnie.

– To znaczy, że znasz się na tych rzeczach?

– Rzeczach? Jakich rzeczach?

– Kolekcjach, które powstały w dwudziestym wieku.

Odstawiła kieliszek.

– Można powiedzieć, że to moja specjalność. Trzeba nie tylko być wyśmienitym historykiem sztuki, lecz także mieć doskonałe wyczucie. Niektórym łamie to serce. Ale co mają zrobić z tymi nagromadzonymi skarbami? Tylko nieliczni są w stanie zbudować sobie prywatne muzeum. A już naprawdę nieliczni mają więcej niż dwa domy w mieście, trzy posiadłości na wsi i kilka apartamentów w najważniejszych metropoliach. Liczba ścian jest ograniczona. Tak więc wiele z tych skarbów jest deponowanych.

– Dlaczego z pocałowaniem ręki nie biorą tego wszystkiego muzea państwowe? Wszyscy skarżą się przecież, że nie mają pieniędzy.

Marietta uśmiechnęła się.

– Nie każdy kolekcjoner jest znawcą. Poza tym posiadanie to też odpowiedzialność. Także dla muzeum. Kuratorzy i dyrektorzy mają własne wyobrażenie tego, co chcą zachować dla potomności. To nie zawsze pokrywa się z tym, co ma do zaoferowania kolekcjoner. Nie każdy jest Berggrünem, Marxem, Ludwigiem czy Flickiem. Ci ludzie to szczęśliwy zbieg okoliczności dla miasta, któremu udostępniają swoją kolekcję. Większość uważa się za wielkich kolekcjonerów, ale często posiadają dużo plew, a mało ziarna. Trudno powiedzieć im to w twarz. Dlatego też likwidacje kolekcji są zawsze drażliwą kwestią. Ale znajdują się też perełki. Jak na przykład ta.

Wskazała na obraz za mną. Był to krajobraz ze wzburzonym morzem, w którym akurat chciała utopić się nieszczęśliwa dziewczyna.

– Skandynawscy ekspresjoniści. To już osuszony obszar kolekcjonerski. A jednak nieustannie znajduje się małe skarby.

– Czy często się zdarza, że ktoś oferuje skradzione obrazy?

Jej odprężenie znikło. Wyprostowała się.

– Rzadko. I szybko to odkrywamy. Poza tym jest coś takiego jak szeptana

propaganda. Jeżeli gdziekolwiek dojdzie do kradzieży dzieł sztuki, wiemy o tym i jesteśmy czujni. Wzorowo współpracujemy z odpowiednimi urzędami. Zadowolony?

Przysiadłem się do niej.

– Kolekcje, które ci zaoferowano... Czy była wśród nich jakaś, która powstała w nie do końca legalny sposób?

– Sprecyzuj proszę. – Dolała szampana i skorzystała z okazji, żeby się troszeczkę ode mnie odsunąć.

– Na przykład podczas drugiej wojny światowej wiele dzieł sztuki zostało skonfiskowanych. Podejrzewam, że niektóre prywatne kolekcje wyjątkowo na tym skorzystały.

Marietta podała mi mój kieliszek.

– Chcesz korepetycji z historii sztuki?

– Można tak powiedzieć. – Wypiłem łyk i patrzyłem na nią ponad krawędzią mojego kieliszka.

Westchnęła i oparła się wygodniej.

– Poruszasz bardzo drażliwy temat. Nie mam nic wspólnego ze zrabowanymi dziełami sztuki. Mogę ci dać numery do fachowców...

– Nie chodzi mi o zrabowane dzieła – odparłem. – Biżuteria, obrazy, rękopisy, które zostały skonfiskowane przez nazistów. Czy te rzeczy zawsze były archiwizowane?

– Nie. – Obiema rękami zaczesła sobie włosy do tyłu. Po raz pierwszy zauważyłem u niej ten gest, ale wydał mi się wyjątkowo dobrze znany. – Największymi rabusiami byli Hitler i Goebbels. Były też dziesiątki tysięcy innych, którzy wcale nie byli o wiele gorsi. Nie chcę wiedzieć, co się kurzy na niektórych strychach. Podczas samego ukrywania dóbr kultury dla zabezpieczenia ich przed nalotami bombowymi zaginęły całe wagony z najcenniejszymi zbiorami bibliotecznymi i wyposażeniem pałaców. Legenda o złocie w Königssee. Pociągi w tunelu Tauern. Bursztynowa Komnata. To są największe zaginione skarby. Nikt nie liczył tych mniejszych.

Wyjąłem zdjęcie Vereny i Aarona i podałem je Marietcie.

Popatrzyła na nie i oddała je z powrotem.

– Czy to pierścionek, który niedawno mi pokazałeś? Co z nim?

– Chciałbym się dowiedzieć, skąd pochodzi.

Roześmiała się.

– A skąd ja mam to wiedzieć?

– Myślałem, że masz kontakty. Nie ma takiej możliwości, żeby dowiedzieć się, czy ten pierścionek został skradziony? Może w czasie drugiej wojny światowej?

– Ach tak. – Wstała, sięgnęła po butelkę i ponownie napełniła kieliszki. – Więc to jest powód, dla którego się widzimy.

– Nie. Nie tylko. – Wyjąłem jej kieliszek z dłoni i odstawiłem go. Następnie przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem. To był dobry pocałunek. Delikatny, później intensywniejszy, na koniec prawie namiętny. Była profesjonalistką w dobrym całowaniu. Otworzyłem oczy.

– Nie tylko, ale częściowo – powiedziała. – Masz go przy sobie?

Wyjąłem etui, które mi dała. Przyjrzała się pierścionkowi i w zamyśleniu przejechała końcem języka po wargach. Szmaragdy odbijały się w jej oczach.

– Czy próbowałeś już przez Lost Art?

– Co to jest?

Poprowadziła mnie za zasłonę do pomieszczeń biurowych. Ściany pokrywały regały z katalogami i segregatorami. Biurka były idealnie wysprzątane. W większym z dwóch pomieszczeń znajdował się okrągły stół, wokół którego ustawiono cztery krzesła z podłokietnikami. Pierwszorzędna secesja, musiały kosztować majątek.

Marietta otworzyła jedną z szuflad biurka i wyjęła małą tackę obitą aksamitem i lupę. Położyła pierścionek na tacce i włączyła komputer.

– Lost Art – wyjaśniła, gdy komputer się uruchamiał – to strona internetowa federacji i krajów związkowych, przez którą można szukać zaginionych dóbr kultury, na której wystawiane są dzieła wątpliwego pochodzenia w celu odnalezienia prawowitych właścicieli. Chodzi przede wszystkim o rzeczy i skarby sztuki, które zostały wywiezione, przeniesione lub też odebrane w kontekście prześladowań w czasie drugiej wojny światowej i despotycznych rządów narodowych socjalistów.

Wpisała hasło, a kiedy na monitorze pokazała się witryna wyszukiwarki, wzięła tackę i podstawiła sobie lupę pod prawe oko.

– No, mój malutki, pokaż, co tam masz. Złoto, szmaragd i brylanty. Mniej więcej sześć gramów, osiemnaście karatów. Okej.

Wpisała słowa kluczowe do wyszukiwarki. Od razu otworzyło się nowe okienko. Marietta odwróciła się w moją stronę.

– Na stronie faktycznie znajduje się podobny egzemplarz, który został wymieniony jako zaginiony. Nie mogę jednak zidentyfikować go na sto

procent. Musisz zwrócić się do działu obiektów sztuki w Wyższej Dyrekcji Finansowej. – Wyłączyła komputer. – Nie ma już więcej pytań?

Drugi pocałunek zaczął się tam, gdzie zakończył się pierwszy.

– Boli cię? – Ostrożnie dotykała ran i całowała delikatnie niebieskie plamy na mojej twarzy. Pogłaskałem ją czule po twarzy. Była chłodna i ciepła, delikatna i domagająca się, była dokładnie tym, czego teraz potrzebowałem. Była jak skok do czystego górskiego jeziora po gorącym, zakurzonym dniu w mieście. Usiadłem na biurku i przyciągnąłem ją do siebie.

– Tutaj? – zapytała ochrypłym głosem.

– Mieszkam jeszcze u mamy – wyszeptałem z twarzą w jej włosach.

Zaśmiała się cicho.

– Nie mówisz poważnie.

– A jednak. I proszę, nie rozmawiajmy o mojej matce.

Od lat nie dotykałem nikogo poza Sigrun. Marietta inaczej pachniała i poruszała się inaczej, była jak ponownie odkryta książka, którą dawno temu odłożyło się na półkę. Jej ciało było delikatniejsze od ciała Sigrun, było dla niej niczym dobrze znany instrument, na którym świetnie grała. Ja zaś czułem, że jestem sztywny i niezdarly. Moje dłonie nie trafiały tam, gdzie powinny, i nie odnajdywały dróg, które bez zastanowienia znajdowały u Sigrun. Nie chciałem myśleć o Sigrun, jednak jej obraz ciągle pojawiał się między nami.

– Nie wiedzie ci się najlepiej – wyszeptała Marietta. Zauważyła niebieskie sińce na moim ciele i wskazała na bandaż na łydce.

Kiwnąłem głową.

– Przepraszam.

– Nie masz za co. Naprawdę. – Objęła mnie delikatnie, jednak jej pocałunek nie był już namiętny.

– Przy dobrej opiece za tydzień będziesz jak nowo narodzony. Może spróbujemy wtedy jeszcze raz.

– Marietta, ja...

Położyła mi palec na ustach.

– Nic nie mów. Wszystko jest w porządku.

Ubraliśmy się. Marietta uśmiechnęła się do mnie. Wiedziałem, że nie powinno mi być głupio. Mimo wszystko byłem jednak niezadowolony. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio mi się to przytrafiło. Z Sigrun mogłem zawsze. Sigrun. Zapewne wykastrowała mnie psychicznie, a to był fizyczny skutek.

Marietta otworzyła drzwi.

– Mam jeszcze robotę – powiedziała.

Kiwnąłem głową.

– Joachim, czy ty masz coś wspólnego z rabunkiem dzieł sztuki?

– Nie – odpowiedziałem poważnie. Czubkami palców odgarnąłem jej włosy z twarzy. – Ale jeśli coś znajdę, to dam ci znać.

– Jeszcze jedna sprawa. – Strzepnęła niewidoczny pyłek z rękawa. – To jest mała dzielnica. Wie się to i owo. Jeszcze z nią jesteś?

– Nie wiem – odparłem.

– Ach, to też nie jest tak bardzo ważne – odpowiedziała szybko.

– A jednak. Jest. Dowiem się tego.

Pocałowałem ją na pożegnanie.

– Zadzwoń do ciebie. W tym tygodniu może będę musiał wyjechać. Odezwe się, jak wrócę.

Skinęła.

– Byłoby miło.

Jeszcze raz się przytuliliśmy. Nasze biodra zetknęły się i nagle pożądanie wróciło. Wyczuła to przez swoją ciasną spódniczkę i pocałowała mnie. W każdym innym momencie zostałbym. Tym razem jednak poszedłem do samochodu i pojechałem z powrotem do Mitte. Na randkę, której – mimo całej mojej przyjaźni – życzyłem jeszcze mniej szczęścia niż mojej własnej.

Rozdział 38

Było trochę po ósmej, kiedy wreszcie znalazłem wolne miejsce parkingowe, ale musiałem drałować pół kilometra do Helmholtzplatz. Znajdowało się tam skupisko najróżniejszych lokali. Niektóre z nich były urządzone z fantazją, inne prezentowały styl retro-chic i właśnie w jednym z nich znalazłem Marie-Luise i Georga. Przekradłem się za jego plecami, żeby nie mógł mnie zobaczyć. Marie-Luise zauważyła mnie od razu i prawie niezauważalnie skinęła w moją stronę. Wszystkie stoliki były już zajęte, usiadłem więc przy barze centralnie pod psychodeliczną lampą sufitową, licząc, że nie stracę wzroku. Zamówiłem małe piwo i wziąłem gazetę z półki. Schowałem się za nią i czekałem.

Georg pił wino i jadł z apetytem. Marie-Luise prawie nie tknęła swojej wody mineralnej, grzebała w talerzu, w końcu odłożyła widelec i bardzo uprzejmie zwróciła się do swojego towarzysza. Georg wytarł usta serwetką i lekko się podniósł. Marie-Luise wstała i skierowała się w moją stronę.

– Chodź do damskiego kibla – szepnęła.

Ostrożnie zwinąłem gazetę i rzuciłem jeszcze jedno spojrzenie w kierunku Georga. Nadal spokojnie jadł. Do toalet prowadził długi, wąski korytarz. Zastukałem do drzwi z siedzącą dziewczynką. Marie-Luise otworzyła i szybko się rozejrzała.

– O rany, ale nudziarz. Nawet nie zachciało mu się siku.

– Co teraz?

– Ty jedź, ja zostanę. Poświęcam moje życie i ciało dla ojczyzny.

Chwyciła mnie za rękę i położyła mi na dłoni pęk kluczy.

– Jak ci się to udało?

– Nie pytaj. Nie teraz. Ale wyświadczyć mi przysługę: pośpiesz się. Nie wiem, jak długo uda mi się go przetrzymać.

Schowałem klucze do kieszeni marynarki. Marie-Luise precyzyjnie się koło mnie i wróciła do sali. Poczekałem jeszcze minutę, po czym wróciłem do baru, spokojnie zapłaciłem za moje piwo i bez pośpiechu opuściłem restaurację.

Biegiem puściłem się dopiero za rogiem.

Kiedy dojechałem do Grunewaldu, było już po dziewiątej. Zmrok jeszcze nie zapadł. Obsadzona bukami ulica emanowała spokojem, wyglądała jak opuszczona. Przeszedłem koło willi dwa razy, nim zdecydowałem się na wejście.

Najciszej, jak mogłem, wsunąłem klucz do ciężkich drzwi wejściowych, przekręciłem i wszedłem do kancelarii. Wszędzie panowała cisza. Otworzyłem biuro Georga i poszedłem prostu do pokoju Harry'ego. Nacisnąłem klamkę, masywne drzwi ustąpiły.

Wystarczyło mi jedno spojrzenie, żeby rozpoznać, w którym archiwum Harry przechowuje aktualne sprawy. Przeszukałem literę „L”. Nic. Wyciągnąłem parę teczek. Nic. Dochodziło wpół do dziesiątej.

Znowu zacząłem się pocić. Okna były zamknięte, ciepło minionego dnia skumulowało się w tych starych, grubych murach. Dałem sobie jeszcze pięć minut.

Biurko. Otworzyłem górną szufladę i znalazłem akta adwokackie zatytułowane *v. Lehnsfeld, Grünau*. Eureka.

Straciłbym cenny czas, czekając, aż rozgrzeje się ksero. Poza tym było to zbyt niebezpieczne. Usiadłem więc przy biurku i otworzyłem akta.

Aaron von Lehnsfeld próbował bez pozwolenia na budowę wybrać ziemię przy fundamentach od strony jeziora. Rzekomo miał tam powstać garaż.

Przyciągnęło to uwagę policjanta dzielnicowego, którego zirytowała nagła aktywność budowlana po latach spokoju. Funkcjonariusz poinformował urząd do spraw gospodarki nieruchomościami, gdzie także przecierano oczy ze zdumienia, ponieważ sprawa przeniesienia zwrotnego była w zawieszeniu od śmierci starego Abla. Lehnsfeldowie nie wysunęli jak dotąd żadnej konstruktywnej propozycji dalszego wykorzystywania budynku. Na dobrą sprawę willa należała do nich już tylko na papierze.

To Aaron chciał dostać się do piwnicy.

Nie baronowa. Nie albańska mafia zajmująca się kradzieżami dzieł sztuki.

Aaron von Lehnsfeld. Ten samotny, zwariowany wyławiacz skorup.

Rozmiary piwnicy. Powinienem je sobie utrwalić w pamięci. Jednak pokój był pograżony w niemalże całkowitych ciemnościach. Dodatkowo okno było zasłonięte przez korony drzew. Tak czy siak nie mogłem zapalić żadnego

światła. Ale przypomniałem sobie, że Harry rzucił palenie zaledwie dwa lata temu. Przeszukałem środkową szufladę i rzeczywiście odkryłem pudełko zapalek, wciśnięte w jej najdalszy kąt. Rozłożyłem plany domu i zapaliłem zapalkę.

– Potrzebujesz światła?

Zapaliła się lampa sufitowa, oślepiając mnie do tego stopnia, że musiałem zmrużyć oczy. Płomień zapalki dotarł do moich palców, przestraszony rzuciłem ją na perski dywan.

– Co ty robisz w biurze Harry’ego? – W drzwiach stała Sigrun.

Popatrzyłem na nią i starałem się uśmiechnąć.

– W ogóle nie usłyszałem, jak się zbliżasz.

To zdecydowanie nie było to, co chciała usłyszeć Sigrun.

– Czy to jest włamanie?

– Nie. Nie do końca.

Zrobiła krok do przodu, po czym znowu się cofnęła.

– O co chodzi? Czy powinnam zadzwonić po policję?

– Najpierw wejdź – odparłem.

Niezdecydowana spojrzała na korytarz. Najbliższy telefon znajdował się koło mnie.

– Możesz też krzyknąć – zaproponowałem. – Może przyjdzie Walter i przyniesie ci twój pistolet.

– Mam go przy sobie. – Uniosła aktówkę, którą trzymała w lewej ręce.

– Od kiedy nosisz przy sobie broń?

– Od kiedy włamujesz się do ludzi, którzy byli twoją rodziną? – Weszła do środka i zamknęła drzwi.

Odetchnąłem. Ukradkiem rzuciłem okiem na plany domu. To były oryginały. 1922 – duża piwnica, 1945 – mała piwnica.

– Co to jest? – Sigrun odstąpiła od drzwi i zbliżyła się do biurka. Trzymała przy tym swoją aktówkę przy piersi.

– Plany budowlane – odparłem. – Spójrz na to. Tutaj. Ta piwnica jest większa od tej. Co o tym myślisz?

Obeszła biurko, uniosła okładkę akt i rzuciła na nie jedno spojrzenie.

– Ach, Lehnsfeld. Po rodzinie kolej na przyjaciół. Według mnie rozmiar piwnicy nie świadczy o prawości człowieka. A może znowu podejrzewasz jakieś tajemnicze powiązania?

– W rzeczy samej.

Miała sińce pod oczami, schudła. Prosty nos jeszcze wyraźniej odznaczał się na jej twarzy. Nie było już kobiety z plakatów wyborczych. Wokół ust pojawiły się zmarszczki. Na tej twarzy nie gościł już wesoły, otwarty uśmiech.

– Co u ciebie? – zapytałem cicho.

Uniosła głowę.

– Serio pytasz?

Kiwnąłem głową. Powoli podeszła do fotela, który stał przy oknie. Ostrożnie postawiła koło siebie aktówkę i usiadła.

– Świetnie – odparła. – Odrobiliśmy pół procent. Wyborcy są zdania, że przyzwoicie wykonujemy swoją robotę. Za pięć tygodni będziemy wiedzieć więcej. A tobie jak się powodzi?

– Wyśmienicie. – Ponownie usiadłem za biurkiem. – Zostałem napadnięty i pobity w swoim biurze. Przy okazji podmieniono kopie tych właśnie planów. Potem byłem ścigany i zostałem postrzelony. Milla Czeredniczenkova opuściła oddział intensywnej terapii i pamięta, że została odebrana przez jakiegoś mężczyznę w ciemnym samochodzie. Powiedział jej, że Utz podpisał zaświadczenie.

Sigrun zasłoniła oczy ręką.

– Twój ojciec. Nie uciekł z Łeby w styczniu czterdziestego piątego, ale już w październiku czterdziestego czwartego. Kłamał co do czasu ucieczki i kłamał, kiedy podawał powód, dla którego chciał wrócić do Berlina. Przybył dokładnie w momencie, kiedy Natalia została aresztowana i skazana.

Wyglądziłem leżące przede mną papiery.

– Te plany są dowodem na to, że stary Lehnsfeld dobudował w swojej piwnicy sekretne pomieszczenie. Przez dziesięciolecia można się było nie martwić tym, co zostało w nim ukryte. Potem zrobiło się zamieszanie z przeniesieniem zwrotnym. Lehnsfeldowie otrzymali teren, aczkolwiek zostały na nich nałożone surowe zobowiązania. Aaron się ich nie trzyma i zaczyna kopać. Gdzie? Tutaj. Przy zewnętrznym murze sekretnego pomieszczenia.

– O co tu chodzi? – przerwała mi znużona. – Po co mi to wszystko opowiadasz?

Wstałem, podeszedłem do niej i usiadłem przed nią na podłodze.

– To oznacza, że w tej piwnicy mogą znajdować się bardzo wartościowe dzieła sztuki. Oznacza, że Natalia dowiedziała się o tym przez przypadek i dlatego miała umrzeć. To była ukartowana gra między twoją babcią, Wilhelmem i Ablem. A w samym środku tego wszystkiego znajduje się dwójka

dzieci, twój ojciec i Natalia.

Sigrun pochyliła się z zamkniętymi oczami i pchnęła mnie. Wzięłem ją za rękę.

– Dwie niewinne osoby. Niemalże utracony majątek. I jeden świadek, o którym myślano, że nie żyje. Świadek, który ponownie pojawił się w najmniej dogodnym momencie.

Przestąpiła nade mną i podeszła do biurka. Ostrożnie dotknęła planów.

– Kto twierdzi, że w tej piwnicy w ogóle coś jest? Wojna, bomby. Może jest pełna gruzu.

– Nie – odparłem i wstałem. – Tam są skrzynie. Widziałem je.

Sigrun pokręciła głową. W trzech szybkich krokach znalazła się przy swojej aktówce i porwała ją.

– Nie wiem jeszcze, czy powiem ojcu o twoim włamaniu. Ale jedno jest pewne: oszczędzę mu opowiadania o twoich majakach.

– Strzelali do mnie, Sigrun.

– Ja prawie też to zrobiłam. Może trzeba liczyć się z tym ryzykiem, kiedy się włamuje do cudzych domów.

Odwróciła się i podeszła do drzwi.

– Mają adres Natalii. Pojadą do Kijowa i ją zabiją.

Odwróciła się na pięcie.

– Dowody! Pokaż mi jeden prawdziwy dowód! Przecież to są tylko przypuszczenia.

Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem pierścionek Vereny.

– Proszę. Znasz go?

Zlustrowała pierścionek, a kiedy ponownie wyzywająco wyciągnąłem go w jej stronę, wzięła go do ręki.

Opowiedziałem jej, w jaki sposób znalazłem się w jego posiadaniu. Po Sigrun nie dało się nic poznać. Żadnego rozczarowania, żadnego bólu. Zaciśnęła usta i słuchała mnie. Kiedy skończyłem, oddała mi go.

– Ten pierścionek znajduje się w rejestrze dzieł sztuki zaginionych w czasie drugiej wojny światowej. W Trzeciej Rzeszy Abel von Lehnsfeld był kimś w rodzaju państwowego rabusia sztuki. To pozwoliło mu także wzbogacić się prywatnie. Swojemu wnukowi Aaronowi zostawił w spadku dom wraz z instrukcjami, gdzie i co można znaleźć. Przekazał mu także dwie inne godne pożałowania przywary: brak cierpliwości i chciwość. Gdyby Aaron nie próbował dodatkowo wymusić ode mnie pieniędzy, kiedy chciałem oddać mu

pierścionek, nigdy nie wpadłbym na te powiązania.

Sigrun podeszła do okna. Długo patrzyła w milczeniu na ciemny ogród.

– Dlaczego oddałaś jej klucz?

Nie odpowiedziała. Wtedy zobaczyłem, że jej ramiona drżą. Nadal nie słyszałem żadnego odgłosu.

– Sigrun! Powiedz mi, dlaczego to zrobiłaś.

Nagle złożyła się jak scyzoryk. Rzuciłem się w jej kierunku i pociągnąłem ją do tyłu, tak że znalazła się w pozycji prawie w kucki, na wpół leżąc na mnie. Szlochała tak, że całym jej ciałem wstrząsały dreszcze. Przycisnąłem jej głowę do piersi i trzymałem w objęciach. Minęła wieczność, zanim łkanie ucichło. Przez cały czas głaskałem ją po głowie, nie mogąc uwierzyć w to, że znajduje się w moich ramionach, a ja mogę wdychać zapach jej włosów.

– Od kiedy używasz Issey Miyake? – Odsunęła mnie od siebie. Jej twarz była zalana łzami. – To są damskie perfumy. A więc kto to jest? Twoja adwokatka?

Znowu stanęła na nogach. Podniosłem koszulkę i powąchałem ją. Delikatny powiew Marietty. Nigdy bym tego nie zauważył. Ale ona od razu to wyczuła.

– Sigrun... – zacząłem, ale ona uciszyła mnie jednym ruchem dłoni.

– Idziemy do niego. Teraz.

– Do Utza?

Kiwnęła głową.

– Powinam była zapytać go o to już dawno temu. Ale w głębi serca pozostajemy dziećmi przez całe życie. Mali chłopcy, małe dziewczynki. Co mogłoby być gorsze dla tych małych dzieci niż zwątpienie we własnych rodziców? Nie zadajemy im żadnych pytań, ponieważ boimy się odpowiedzi.

Znów podeszła do okna i spojrzała w dół na ciemny ogród. Milczeliśmy. Miała rację: istniały pytania, których nie mogliśmy zadać naszym rodzicom. Czy kiedykolwiek kochałeś moją matkę? Czy kogoś zabiłeś? Czy oddałyś za mnie życie?

– Twój ojciec nie jest niczemu winien.

– Tym bardziej musimy z nim porozmawiać. Zna swoją matkę dłużej niż ja.

Podeszła do drzwi.

Poszedłem za nią i mocno złapałem ją za ramię. Chciałem jej powiedzieć, że dla mnie zaczęło się robić bardzo niebezpiecznie i że powinna być ostrożna. Że nigdy nie zapomnę jej zdrady, ale mogę wybaczyć. Że chciałbym cofnąć czas i zacząć od momentu, w którym się zagubiliśmy. Spojrzałem jej w oczy

i zrozumiałem, że ona to wszystko we mnie widzi i że jest już za późno.

Zgasła światło. Wyszliśmy z pokoju Georga na korytarz, a ja zamknąłem drzwi. Potem weszliśmy po schodach na kolejne piętro. Do prywatnego skrzydła Zernikowów.

Rozdział 39

Pokój był urządzonej inaczej niż reszta pomieszczeń. Okna zasłaniały ciemne aksamitne story. Zielone jak mech tapety, ciemnoczerwone dywany. Masywne dębowe meble nadawały pomieszczeniu grawitacyjną stabilność. Jedyne światło pochodziło z mosiężnej lampki stojącej na małym stoliku koło fotela. Rzuciła mocno zarysowany krąg światła, przez co reszta pokoju była pogrążona w półmroku.

W fotelu siedział Utz. Na jego kolanach leżała otwarta książka. Spał.

– Chcesz go obudzić? – wyszeptalem. Sigrun skinęła głową.

Cicho podeszliśmy do starego mężczyzny. Był co prawda ubrany w koszulę i spodnie, ale zarzucił na nie kaszmirowy szlafrok. W dłoniach nadal trzymał okulary. Sigrun wyjęła mu je z rąk ostrożnie, tak samo jak książkę, i położyła wszystko na stoliku.

– Tato?

Utz zamrugał. Uśmiechnął się sennie. I wtedy zobaczył ślady łez na jej twarzy. W następnym momencie mnie rozpoznał. Jeszcze nie do końca obudzony, od razu wyprostował się jak świeca.

– Dobry wieczór – powiedziałem. – Przepraszam, że kłopotczę cię o tak późnej porze.

Utz odchrząknął i parę razy przeczesał włosy. Przykro mi było widzieć go w tym stanie. Jednak zadziwiająco szybko doszedł do siebie.

– To musi być ważny powód, skoro Sigrun wpuściła cię do naszego domu.

Usiedliśmy naprzeciwko niego w dwóch niskich skórzanych fotelach.

Utz zapiął górny guzik swojej koszuli.

– Słucham.

Sigrun spojrzała na mnie. Jej ręka szukała mojej; złapałem ją i mocno trzymałem.

– Chcę wiedzieć... Chcemy wiedzieć, co się wydarzyło wtedy, w listopadzie czterdziestego czwartego.

– Ach tak. – Utz odchylił się na oparcie i zamknął oczy. – O to chodzi.

Sigrun dotknęła delikatnie jego kolana. Cofnął je z irytacją.

– Dlaczego? – zapytał i spojrzał na nią.

Ścisnąłem jej dłoń.

– Bo to jest ważne. Chcę wiedzieć, co wydarzyło się w naszej rodzinie. Nie chcę samych heroicznych opowieści. Chcę poznać też te inne. Te złe. To, co jest ciężkie do zniesienia i było tak długo przemilczane. Jestem częścią tej rodziny i mam prawo znać prawdę.

Utz prychnął z niezadowoleniem. Sigrun nieświadomie trochę się skurczyła. Na moich oczach dorosła kobieta, zastępczyni burmistrza stolicy tego kraju i senator reprezentująca młodzież i rodzinę, zmieniała się w posłuszną i przestraszoną córkę.

– Zginęli ludzie – powiedziałem cicho. – A inni znajdują się w niebezpieczeństwie. Teraz, w tym momencie. Co się wtedy stało?

Utz machnął ręką. Oczy miał zmęczone, wydawał się zagniewany. Może jednak to tylko wspomnienia były zbyt wyczerpujące. Prawdziwe wspomnienia, nie te opowiastki, które klepał przez dekady. Tak długo, aż sam w nie uwierzył.

– Trwała wojna. Byłem dzieckiem. Wiwatowałem, kiedy maszerowali, i płakałem, kiedy spadały bomby. Wywrzaskiwałem głupie piosenki i wierzyłem w bzdury. Do czasu, aż wszystko legło w gruzach. Tak było. To są moje doświadczenia. Naprawdę myślisz, Sigrun, że mogłabyś je ze mną dzielić?

– Mogłabym spróbować.

– Nie. Niczego nie zrozumiesz! Tego nie można zrozumieć, jeżeli nie brało się w tym udziału.

Pogrzebał w kieszeni swojego szlafroka, wyjął chusteczkę i wytarł sobie czoło.

– Inne pytania?

Sigrun przygryzła wargi i zwiesiła głowę. Utzowi udało się sprawić, że jego córka się zawstydzila. To mnie zdenerwowało.

– Dlaczego wróciłeś z Łeby do Berlina?

Utz przeniósł spojrzenie z Sigrun na mnie. Jego ciemne, krzaczaste brwi ściągnęły się, twarz spochmurniała.

– Nie widzieliście zdjęć? Długie kolumny piechurów, bombardowanie portów i statków? Czołgi, które kosiły wozy z końmi? Płonące domy?

Krzyczące kobiety i zamarznęte dzieci?

– Widziałem te zdjęcia. Ale ciebie tam nie było.

Sigrun jednym ruchem zabrała rękę.

– Utza tam nie było – powtórzyłem. – Powiedz jej.

Nie byłem z nim spokrewniony. Nie musiałem mu współczuć. A już tym bardziej go szanować. Odpowiedziałem za niego.

– Twój ojciec wybrał się w podróż pod koniec września, na początku października. To na pewno nie była łatwa podróż. Przeżyłeś i widziałeś straszne rzeczy. Ale nie było cię w kolumnach uciekinierów. W listopadzie dotarłeś do Berlina, do miasta, które wszyscy opuszczali. Dlaczego?

Utz potarł twarz dłońmi. Jego oczy poczerwieniały. Nie odpowiadał.

– Czy to miało związek z twoim ojcem? – spytałem. – Czy Natalia go tutaj widziała?

– Natalia? – wyszeptała Sigrun. – Natalia Czeredniczenkowa?

– Alias Paula – odparłem. – Przecież tak ją nazywaliście. Bo tak było prościej i brzmiało bardziej swojsko. Jak ty ją nazywasz, kiedy o niej myślisz?

Utz spojrział na swoje dłonie i westchnął.

– Dobrze – powiedział zdecydowanym głosem. – Chcecie usłyszeć prawdę? Całą prawdę? Będziecie musieli ją znieść. Naprawdę jesteś na to gotowa, Sigrun?

Była taka blada. Taka szczupła i zmęczona. Kiwnęła jednak głową. Ponownie złapałem ją za rękę. Tym razem jej nie cofnęła.

– Twój dziadek, Sigrun, był dezserterem i złodziejem. Twoja babcia była kurwą, która zabawiała się z każdym, kto nosił mundur. A ja byłem zagorzałym członkiem Hitlerjugend, który w pełni identyfikował się z Führerem i ojczyzną. To jest twoja rodzina. Banda egoistycznych, chciwych barbarzyńców. Ty jesteś pierwszym dobrem od bardzo dawna, które rodzina Zernikowów wydała na świat. Czy naprawdę chcesz to wszystko wiedzieć?

Wstał z wysiłkiem i podszedł do ciemnego kredensu. Wziął butelkę z ozdobnej galeryjki i nalał sobie czegoś do już stojącego tam kieliszka. Opróżnił go jednym haustem.

– Idźmy stąd – wyszeptała Sigrun. – Nie dam rady oglądać go w takim stanie. Pokręciłem głową.

– Dlaczego wróciłeś?

Utz z hukiem postawił kieliszek na tacy. Nóżka odpadła z brzękiem.

– Bo tęskniłem za domem?! – krzyknął. – Bo się nudziłem? Bo tęskniłem za

matką, która cieszyła się, że mnie nie ma, dzięki czemu mogła bez skrępowania przyjmować kochanków?

Ze złością otworzył drzwiczki kredensu i wyciągnął kolejny kieliszek. Wstałem i podszedłem do niego. Jego dłoń za bardzo drżała, nie mógł sobie nalać. Wziąłem od niego butelkę dobrego starego koniaku i nalałem na dwa palce. Nie patrząc na mnie, wziął kieliszek i wypił jego zawartość. Kiedy znowu chciał chwycić butelkę, zabrałem ją.

– To nic nie da, jeżeli się teraz upijesz. A każdy szczegół, który pamiętasz, może być ważny. – Nachyliłem się w jego stronę. – Już raz przez ciebie Natalii groziła śmierć. Wydaje mi się, że jesteś jej coś winny.

– Jestem jej coś winny? – zapytał Utz. Odwrócił się do Sigrun. – Ja jestem jej coś winny?

Dowlóknął się do swojego fotela i opadł na oparcie. Wciągnął głęboko powietrze i skupił wzrok na Sigrun.

– Zawdzięczam jej życie. Zawdzięczam jej to, że w ogóle mogłem jeszcze raz pokochać. Twoją matkę, Sigrun. I ciebie. Zawdzięczam jej to, że o mnie dbała, kiedy byłem chory. Zawdzięczam jej to, że śpiewała mi piosenki, by zagłuszyć dźwięki, które dochodziły z sypialni mojej matki. Zawdzięczam jej tak dużo. Nigdy nie będę w stanie spłacić tego długu.

– Dlaczego w takim razie nie zareagowałaś, kiedy potrzebowała twojej pomocy?

Utz milczał. Jego ręce wciąż drżały. Splótł dłonie. Sigrun wstała i usiadła na podłokietniku jego fotela. Ostrożnie położyła dłoń na jego ramieniu, tak jakby się obawiała, że za chwilę ją straci. Utz nie spojrzał na nią. Ale zaakceptował dotyk.

– Sześćdziesiąt lat – powiedział ochryplym głosem. – Przez sześćdziesiąt lat myślałem, że nie żyje. Miałem to na piśmie. Widziałeś ten dokument, Joachimie. To państwo umiało zabijać perfekcyjnie. Dlaczego miałbym w to wątpić?

Sigrun prawie niezauważalnie kiwnęła głową. Chciała, bym mu uwierzył.

– Miałem dziewięć lat, kiedy zobaczyłem ją pierwszy raz. Moja matka przyprowadziła ją z urzędu pracy i wepchnęła do kuchni. Natalia Czeredniczenkowa. Ze wsi Prowery na Ukrainie. Mówi wam coś nazwa Prowery? – Spojrzał na swoje splecione dłonie. – Prowery zostały spalone przez Niemców. Mieszkańcy uciekli do pobliskich lasów. Młodzi ludzie zostali wyłapani, załadowani do pociągów i wysłani do Starej Rzeszy.

Ówczesnej tak zwanej Rzeszy Niemieckiej, jeśli mam to określić poprawnie politycznie. Upierasz się przy tym? – Spojrzał na Sigrun.

Uśmiechnęła się i lekko pokręciła głową.

– Dziękuję. Na niektóre rzeczy nie ma nowych określeń. Nie wiedziałem, jak mam to inaczej określić. Wybaczcie mi więc, jeżeli będę mówił innym językiem. To był inny kraj i czasami mam wrażenie, że zupełnie inni ludzie. Koniaku? – Popatrzył na nas zachęcająco.

Zgodziliśmy się. Kiedy podszedł do szafki i wyjmował kieliszki, dałem Sigrun znak ręką, który oznaczał: daj mu mówić. Musiałem się mieć na baczności. On opowiadał to, co chciał opowiedzieć, a nie to, czego chcieliśmy się dowiedzieć.

Utz porządnie nalał i przyniósł nam kieliszki.

– Za nas. Za to, że ze sobą rozmawiamy.

Usiadł. Za chwilę mieliśmy się dowiedzieć, co nas czeka – godzina bajek czy prawdy.

– Do naszego domu wraz z Natalią przyszło narodowościowe wyzwanie. Stała tam w swojej szarej pikowanej kurtce i butach z cholewami, z dwoma warkoczami kołyszącymi się po obu stronach głowy, miała wielkie oczy i wąską twarzyczkę. Zastanawiałem się wtedy, jak ona ma tutaj pracować, musi przecież najpierw coś zjeść, a my sami nie mieliśmy dużo. W torbie miała jeszcze kilka sucharków i swoją książeczkę pracy. Bała się wszystkiego: radia, toalety, elektryczności. I nas. Nie знаła słowa po niemiecku. Spała na pawlaczu w kuchni.

Pawlacz w kuchni. Znajdował się dokładnie nad spiżarnią. Wysoki na półtora metra, szeroki na metr dwadzieścia i długi na dwa metry. Małe okrągłe okienko u wezgowia. Nieocieplany. Raz się na niego wspiałem, ponieważ pewnego wieczora baronowa zażyczyła sobie bardzo konkretnej zastawy stołowej; uderzyłem się w głowę. Zatem to było królestwo Natalii.

– W tamtym czasie mieliśmy jeszcze kucharkę. Co prawda nie było prawie nic do gotowania, ona jednak miała wyjątkowy talent do przygotowywania czegoś z niczego. Nazywała się... Emma. Wszystkie nasze kucharki nazywaliśmy Emma. Pochodziła ze Lwowa. Moja matka bardzo pilnowała, żeby wszystkie przepisy dotyczące pracowników cudzoziemskich były surowo przestrzegane. Oznaczało to, że Natalia musiała nosić swoją opaskę przybysza ze Wschodu, kiedy opuszczała dom, nie miała prawa chodzić do kościoła i do kina, pracowała od piątej rano do dwudziestej drugiej wieczorem,

przesiadwała w kuchni, gdzie było ciepło w zimie, a my siedzieliśmy w salonie, gdzie z zimna widelec wypadał mi z ręki. Była to dla nas niedogodność, jednak z punktu widzenia narodowościowego wszystko było w jak najlepszym porządku. Tak. Tak to wyglądało w twoim rodzinnym domu.

– Byłeś dzieckiem – powiedziała cicho Sigrun.

Utz roześmiał się krótko.

– W tamtym czasie nie mogłabyś mi tego powiedzieć na głos. Byłem jednym z pierwszych w Jungvolk. Poza tym miałem ojca, który dbał o dyscyplinę i porządek w Belgii, nawet jeśli w domu przypomniano sobie o nim tylko wtedy, gdy przychodziły paczki z czekoladą. Był wysokim mężczyzną o mocnym głosie. Był dla mnie wzorem. Pewnie dlatego, że tak rzadko był na miejscu. Moja matka wykorzystywała jego obecność na swój sposób. Byłem wtedy zmuszany, żeby zostać z Paulą i Emmą w kuchni. Emma przygotowywała z mąki i wody naleśniki z syropem buraczanym i śpiewała polskie piosenki. Natalia śpiewała piękne pieśni ukraińskie. A ja śpiewałem *chorągiew wznieś, szeregi mocno zwarte*.

Spojrzał Sigrun w oczy. Zareagowała dokładnie tak, jak tego oczekiwał – i co sam sprowokował.

– Śpiewałeś *Pieśń Horsta Wessela*?

– Ktoś w końcu musiał to śpiewać – odparł gorzko Utz. – Byliśmy nazistami. Nazistami! Czy teraz wreszcie to rozumiesz? Czego oczekiwałaś? Ruchu oporu? Grup opozycyjnych w spiżarni? Jesteś naiwna, Sigrun. Tę pieśń śpiewały miliony. Oczywiście po wojnie nikt nie chciał się do tego przyznać. Ale skąd niby wzięły się te tysiące ludzi w Pałacu Sportu? Kim były te setki tysięcy ludzi na zjazdach NSDAP? Ktoś musiał przecież wywieszać te flagi, które powiewały w każdym oknie. To byliśmy my. Byłem jednym z nich.

Widać było, że Sigrun miała trudności ze zrozumieniem.

– Miałaś jedenaście lat – powtórzyła jeszcze raz cicho.

– Śpiewałem *Pieśń Horsta Wessela* – oświadczył twardo Utz. – Wierzyłem w te wszystkie bzdury. Wierzyłem w ustawy rasowe i szczucie na Żydów, w całą tę gadaninę o podludziach i w brednie o narodzie bez przestrzeni. Wojna totalna to nie była tylko wykrzyczana i wypluta mowa Goebbelsa. To była postawa duchowa, stan, jedna wielka wspólnota. Mój ojciec walczył już w pierwszej wojnie światowej. Traktat wersalski dla Niemców był hańbą. Więc śpiewałem też i te piosenki. A co innego miałem śpiewać? Pieśni religijne? Nie chodziliśmy do kościoła. Nie miałem lekcji religii. I byłem za

młody na twórczość Zarah Leander.

Sigrun wypięła łycezek koniaku. Utz na moment dotknął jej dłoni.

– Trudno ci tego słuchać. Ale chciałaś usłyszeć całą prawdę. Nadal tego chcesz?

Sigrun kiwnęła głową.

– Tak. Mów dalej.

– Zachorowałem. Dur brzuszny albo tyfus plamisty. Śmierdziałem, wymiotowałem, zasrałem całe łóżko. Mieliśmy kontakty, więc dostałem też leki. Nie wiadomo, co było z nimi nie tak. Być może były rozcieńczone. Albo oszukane. Nie polepszyło mi się, wręcz przeciwnie. Wołałem moją mamę, ale ona nie przychodziła. Była co prawda w domu, ale miała towarzystwo. Wstydziła się mojej choroby i w końcu wysłała do mnie Paulę. Paula... Natalia została ze mną. Całą noc. Dostałem drgawek. Nie chciały przejść. Nigdy nie było mi tak zimno. Byłem przekonany, że umrę. Natalia weszła do mojego łóżka i przytuliła mnie. A kiedy gorączka znowu zaatakowała, wycierała mnie wilgotnymi ręcznikami. Przychodziła do mnie przez dwie noce, nie zmrużywszy oka choćby na godzinę. Moja matka nie pojawiła się w tym czasie przy moim łóżku ani razu.

Utz zamilkł. Milczeliśmy. Ominął główny temat szerokim łukiem, ale coraz bardziej się do niego zbliżał.

– I tak staliśmy się przyjaciółmi – powiedział w końcu.

Przerwał na chwilę, aby pomyśleć, zanim wrócił do swojej historii.

– Przyjaźń nie trwała długo, ponieważ w czterdziestym trzecim na dobrą sprawę zamknięto wszystkie szkoły i w lecie tego roku matka postanowiła oddać mnie do Kinderlandverschickung³.

– Do Łeby – dodała Sigrun z ulgą. – Do majątku.

– Nie – do domu pobytu. Sale sypialne, apele poranne, kilometrowe marsze po wydmach, zawody sportowe, obóz służby wojskowej, święto przesilenia letniego.

– Ale – spojrzała na niego – twoi dziadkowie? Majątek?

Utz uśmiechnął się.

– Tego nigdy nie było. Cała rodzina baronowej von Hollwitz była rozproszoną zbieraniną ludzi biednych jak myszy kościelne. Oczywiście nikt nie mógł się o tym dowiedzieć. Dlatego też zawsze mówiło się, że chłopiec jest w naszym majątku na Pomorzu. Rzeczywiście tam byłem, ale w bardziej

spartańskich warunkach, aniżeli mogłabyś to sobie wyobrazić.

Biedna Sigrun. Kolejna karta jej biografii została wyrwana jednym zdaniem. Śliczny mały pałacyk na polskim wybrzeżu rozplynął się w powietrzu.

– To dlatego wróciłeś? Nie mogłeś tam wytrzymać?

– Tak i nie – odparł Utz.

Teraz nas torturował. Znowu był górą w tej potyczce. Obrócił kieliszek w dłoni i spojrzał na złocistobrazową ciecz.

– Dostałem list od Natalii. Nie wiem, jak się jej to udało, ponieważ robotnikom ze Wschodu nie wolno było wysyłać listów i paczek. W każdym razie dostałem ten list okrężną drogą. Napisała, że widziała mojego ojca. W Berlinie. W domu Lehnsfeldów.

Odstawił kieliszek na stolik.

– Mój ojciec uchodził za zaginionego. A to mogło oznaczać wszystko. Śmierć albo jakiś cud. Nagle rzekomo znów miał pojawić się w domu. Październik czterdziestego czwartego. Kiedy w końcu połączyłem się z moją mamą przez telefon, zaprzeczyła wszystkiemu. Jeszcze nigdy nie była taka zła.

Znowu zamilkł na moment i zdawał zbierać się w sobie. W końcu powiedział:

– Z tego powodu też odtąd już jej nie wierzyłem.

– I wtedy ruszyłeś w podróż – powiedziała Sigrun.

Utz przytaknął.

– Czteryście sześćdziesiąt kilometrów. Kraj właściwie przestał już istnieć, rozpadał się. Mimo to strzelało się do wszystkiego, co pokazywało się tyłem. Sprawiałem wrażenie starszego niż jedenaście lat. Przez cały czas bałem się, że zostanie mi przydzielone jakieś ostatnie, straceńcze zadanie. Wszędzie czarne, dymiące ruiny. Im dłużej to trwało, tym straszniejsze były meldunki z frontu. Dwa miesiące po inwazji wszystko się załamało. Armia Czerwona odzyskała Krym i stanęła pod Kijowem. Wiedziałem, że Natalia bała się Rosjan, bała się ich zemsty, ponieważ mówiła po niemiecku i pracowała u Niemców. Chciałem zobaczyć mojego ojca. I chciałem ją ochronić. Być może to był najważniejszy powód.

– Jak Natalia znalazła się w Grünau u Lehnsfeldów?

Zaskoczony Utz podniósł wzrok.

– Została wypożyczona. Oczywiście nieoficjalnie, pod stołem. Nie mieliśmy dużo pieniędzy. Ten dom był wilgotnym, zimnym pudłem, wiele mebli sprzedaliśmy już na czarnym rynku. Moja mama oczywiście posiadała jeszcze

kilka wartościowych przedmiotów. Suknie, futra, biżuterię, wszystko, w czym można było dobrze wyglądać, jeśli sprawy miałyby przybrać poważny obrót. Poza tym posiadała coś cennego, zdobytego z trudem: pomoc domową, którą mogła wypożyczać, a w zamian dostawała artykuły spożywcze lub pieniądze.

Skrzyżowałem ramiona.

– Po wojnie całkiem szybko stanęliście na nogi, jak na taką biedę.

– Moja matka posiadała umiejętność dostosowania się do każdej sytuacji. Amerykanie także nosili mundury.

– Co dokładnie widziała Natalia u Lehnsfeldów?

– Nic – odparł Utz krótko. – Ja sam byłem z nią na zewnątrz. Tej nocy Berlin znowu był bombardowany, spędziliśmy więc noc w piwnicy. Lehnsfeldowie byli dla nas bardzo mili. Dom został trafiony, ale istniało drugie wyjście, dzięki czemu wszyscy się uratowaliśmy.

– Co było w piwnicy? – zapytałem.

– Słucham?

– Co było w piwnicy? Przypominasz sobie coś?

– Woda, jedzenie... Oczywiście skrzynie. Lehnsfeld zniósł do piwnicy część swojego wyposażenia domowego. Obrazy, meble... Czy to takie ważne?

– Czy Natalia nosiła krzyżyk?

Utz zastanowił się.

– Tak – odpowiedział w końcu. – Nosiła krzyżyk. Mały, złoty. Bardzo ładny. Później mówiło się, że ukradła go Lehnsfeldowi. Tego nie wiem. Byłem rozczarowany, bo mojego ojca tam jednak nie było. Moja matka zabroniła mi zadawać pytania na jego temat. I wtedy przysły te straszne naloty bombowe. Lehnsfeldowie pocieszali Natalię i mówili jej, że niedługo będzie w domu. Przynajmniej dla niej wojna skończy się dobrze. To tym bardziej wyprowadzało mnie z równowagi. Nie chciałem, by odeszła i zostawiła mnie samego. Następnego dnia w drzwiach stało Gestapo i zabrało ją. Jakiś mężczyzna przesłuchał mnie w kuchni. Był bardzo miły. Bałem się jego munduru, ale moja matka powiedziała, że mam powiedzieć wszystko, co wiem. To miało pomóc Natalii, która powinna była wrócić tego samego wieczora. Siedziałem przy oknie i czekałem na nią. Przez całą noc, aż do południa następnego dnia. Wtedy przyszedł posłaniec, który przyniósł pismo z sądu.

Znowu splótł dłonie. Za bardzo drżały.

– To wszystko potoczyło się tak szybko. Tak szybko! Ktoś podszedł za blisko

koła zębatego tej straszliwej maszyny, a ta połknęła go w całości. Rano szczęśliwie razem wyłoniliśmy się z piwnicy, dobę później nie żyła.

Spuścił głowę.

– Zachorowałem. Lekarz uznał, że to gorączka spowodowana stresem. Matka powtarzała przez cały czas, że mam o niej zapomnieć. Miałem udawać, że nigdy jej nie było. Było, minęło. Tak radzono sobie w tamtych czasach.

Słyszałem te dwa słowa z ust i mojej matki. Było, minęło. Nic nie można było zrobić, trzeba było się z tym pogodzić. Dobrze rozumiałem Utza. Tęsknota sprowadziła go z powrotem do Berlina, gdzie wielokrotnie się rozczarował. Jego ojciec pozostał duchem, a Natalia go zostawiła.

– Często wątpiłem, czy dobrze zrobiłem, wracając – powiedział. – Gdybym nie wrócił do Berlina, być może nic by się nie stało. To najbardziej bolało. Chciałem ją chronić, a zamiast tego sprowadziłem na nią nieszczęście.

– Natalia była zgubiona w momencie, w którym wysłała ten list – powiedziałem. – Nie mogłeś jej uratować. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że faktycznie widziała twojego ojca?

– Nie. Nigdy. Dwa tygodnie później przyszła wiadomość, że poległ. W Ardenach. Jak mógł być w Berlinie chwilę wcześniej?

Coś w opowieści Utza było istotne. Może jakieś poboczne zdanie, krótka uwaga.

– Zasady postępowania na wypadek ataków lotniczych zakazywały używania piwnic w roli składów. Zastanawiam się, dlaczego Lehnsfeldowie odstawili tam swoje całe wyposażenie. Być może było to coś zupełnie innego niż meble. Czy to możliwe, że przez przypadek staliście się świadkami rabunku dzieł sztuki na wielką skalę?

Zaskoczony Utz spojrział na Sigrun, która nadal trzymała rękę na jego ramieniu.

– Rabunek dzieł sztuki?

– Czy jest też możliwe – ciągnąłem – że Lehnsfeldowie, chcąc to zatuszować, następnego dnia donieśli na Natalię?

Sigrun popatrzyła na mnie w osłupieniu. Zauważyłem, że pobladła.

– Teraz posuwasz się zdecydowanie za daleko – powiedziała cicho.

Popatrzyłem na nich, na ojca i córkę.

– Pójdę nawet dalej. A co, jeśli w tym czasie, kiedy obowiązywało hasło ratuj się, kto może, Wilhelm von Zernikow, który oficjalnie uchodził za zaginionego, dostał zlecenie od najwyższej postawionego rabusia dzieł sztuki

i podróżował, by wywieźć z piwnic i kopalni soli kilka ciężarówek cennych dóbr i zdeponować je w bezpiecznym miejscu? Wilhelm daje Natalii w prezencie krzyżyk i zobowiązuje ją do milczenia. Jednak Natalia wie, jak bardzo Utz tęskni za swoim ojcem, i pisze, że jest on w Berlinie. Kiedy Utz się pojawia, Lehnsfeldom grunt zaczyna palić się pod nogami. Wiedzą, skąd jest krzyżyk, który nosi Natalia. Wygadała się Utzowi. Być może nieświadomie widziała więcej niż to, co zobaczyła przez tych kilka godzin w piwnicy. Musieli ją uciszyć, stąd ten donos. Abel von Lehnsfeld przeciwko pracownicy ze Wschodu. Każde dziecko wie, jak to się skończy. Utzowi daje się do zrozumienia, że dał się nabrać na kłamstwo. Jego ojciec nie wrócił do domu, Natalia go okłamała albo się pomyliła. A ponieważ wszystko inne jest niewyobrażalne, Utz dusi w sobie wątpliwości i w końcu sam wierzy w to, co mu powiedziano. Idealnie.

Wszystko świetnie do siebie pasowało. Utz słuchał mnie bez mrugnięcia okiem. Dopiero kiedy wspomniałem o krzyżyku, drgnął mu kącik ust. Nie przerwał mi jednak. Sigrun co chwila kręciła głową.

– Później wydarzenia potoczyły się następująco: nadchodzą Rosjanie, Abel ma jedynie czas na to, żeby wybudować ścianę w piwnicy i sporządzić nowy plan budynku, a zaistniałe zmiany tłumaczy koniecznością dokonania napraw po bombardowaniach. Potem musi już uciekać. Nie ma szans na to, żeby dostać się do skarbu przez te wszystkie bolesne lata enerdowskie. Potem upada komunizm. Abel żąda przeniesienia zwrotnego, zapomina jednak, że dom od dawna należy do społeczności. Także elitarne kluby wioślarskie są stowarzyszeniami sportowymi, które cieszą się specjalną ochroną. Procesuje się przez parę lat i dochodzi do wniosku, że jego własny syn jest mięczakiem. Nie może powierzyć mu łupu wojennego. Od razu oddałbym wszystko pierwszemu lepszemu muzeum. Jest jednak wnuk. Aaron jest ulepiony z tej samej gliny co stary. Świetnie się rozumieją. W swoim testamencie pisze, gdzie Abel ma kopać.

Utz i Sigrun słuchali mnie. Nie protestowali, nie dementowali tego, co mówiłem, tylko słuchali.

– Jednak – kontynuowałem – Aaron nie jest tak bystry jak jego dziadek. Nie potrafi czekać. Po prostu zaczyna kopać. Oczywiście zostaje przyłapany i urząd do spraw gospodarki nieruchomościami nakazuje przerwanie prac budowlanych. Aaron się wścieka. Chodzi przecież o miliony. Jest już tak blisko. On jeden wie, co kryje się w piwnicy. Po cichu próbuje nawet dostać

się do niej za pomocą wiertarki udarowej. Wtedy jednak zdarza się niemożliwe. Pojawia się uznana za zmarłą Natalia. Świadek.

Nabrałem powietrza. Pasowało. Wszystkie poszlaki złożyły się w całość, każda część układanki znalazła swoje miejsce. Powinienem to wszystko zapisać. To byłby idealny akt oskarżenia. Państwo przeciwko Aaronowi von Lehnsfeldowi.

Coś jeszcze wisiało w powietrzu. Jedna niedopowiedziana myśl, ważna wskazówka. Wiedziałem, że czegoś jeszcze brakuje, i nie mogłem tego uchwycić. Spojrzałem na piec kaflowy w rogu pomieszczenia. Coś mi świtało, jednak nie wiedziałem dokładnie co.

– Jedyne świadek – powiedziała Sigrun.

Kiwnąłem głową.

– Jedyna osoba, która wie, skąd naprawdę pochodzi krzyżyk. Być może widziała nawet, co wtedy zostało przeniesione do piwnicy.

Utz milczał. Miałem nadzieję, że kiedyś uda mu się znaleźć współczucie dla wykorzystanego i zmanipulowanego dziecka, którym kiedyś był. Że w końcu odnajdzie spokój i wybaczy sam sobie. Tak wiele zostało ukryte pod grubą warstwą milczenia. Żył i kochał, ale połowicznie, hamowany przez coś niewypowiedzianego, co zrobiło z niego niezamierzonego sprawcę. Jednak dopiero teraz uświadomił sobie coś, co bolało najbardziej: też był ofiarą.

– Aaron zabił Olgę – kontynuowałem. – Pewnie liczył na to, że po domniemanym wypadku zapanuje wreszcie spokój. Ale pojawiła się Milla. Nie wiedziała, co się stało. Chciała tylko podpisu. Działała niekonwencjonalnie i przez to Aaron miał kolejny problem na głowie. Próbował rozwiązać sprawę tak samo jak z Olgą. Atak nie powiódł się, ale przynajmniej zyskał trochę na czasie. Po raz drugi ta sama metoda. Po raz drugi te same powiązania: z wami i Lehnsfeldami.

Sigrun niecierpliwie stukała palcami w oparcie krzesła.

– Wtedy wtajemniczyłeś w to swoją przyjaciółkę adwokatkę, która z radością rzuciła się w wir walki klas. Dlaczego nie porozmawiałeś najpierw z nami?

– Słucham? – Rodzina Zernikowów była niesamowita. – Przecież próbowałem! Gdybyś trochę bardziej panowała nad swoją zazdrością, nie musiałbym teraz wyglądać jak skrzyżowanie Frankensteina z dynią na Halloween.

– Zazdrość? – spytała Sigrun. – Nie było cię w domu całymi nocami.

A kiedy przypadkowo wpadałam na ciebie rano pod prysznicem, zmywałeś z siebie tanie perfumy z drogerii. Nie wmawiaj mi, że do niczego między wami nie doszło.

– Błagam – wtrącił Utz.

– Daj mi powiedzieć! – Zwróciła się teraz do mnie, używając tego samego tonu, który na zjazdach partii był zarezerwowany dla opozycji: ostrego i zimnego. – Wiesz, co jest najlepsze? Za moimi plecami rozmawiasz z tym grubym fotografem. Opowiadasz mu o mnie kłamstwa. Kazesz sobie przynosić zdjęcia, żeby zacząć jakąś brudną kampanię przeciwko mnie. Jesteś dokładnie na tym samym poziomie co ten potwór, który codziennie do mnie dzwoni i mnie obraża.

– Błagam! – Utz podniósł obie ręce w pojednawczym geście.

Ale ja też jeszcze nie skończyłem.

– Te zdjęcia są mi potrzebne jedynie jako dowody, ale ty nie jesteś już w stanie tego odróżnić. Verena nosiła pierścionek, który ewidentnie pochodzi z rabunku dzieł sztuki. I gdybyś w końcu zaczęła mnie słuchać, tobyś to wiedziała. Ale dla ciebie wszystko od razu staje się kwestią lojalności wobec rodziny.

– Koniec! – Utz wstał. – Nie mogę już tego dłużej słuchać. Idźcie już. Chcę iść spać.

Sigrun odgarnęła włosy do tyłu.

– Masz rację. To nie jest odpowiedni moment.

Popatrzyłem na zegarek. Po jedenastej. Marie-Luise mnie zabije.

– Przykro mi – wymamrotałem.

Nie mogłem pójść. Chciałem jeszcze o coś spytać. Wszystko było jasne, ale na tej podstawie żaden prokurator nie wniósłby aktu oskarżenia. Nie dostalibyśmy nawet prawa do przeszukania domu. Mieliśmy tylko poszlaki. Brakowało dowodów. Patrzyłem na piec kaflowy, wspaniałą robotę secesyjną z Velten. Został przywieziony do Berlina na wozie zaprzęgniętym w konie, kiedy boom budowlany na początku dwudziestego wieku przyniósł temu małemu miasteczku, położonemu za północną granicą miasta, krótki okres rozkwitu. Drzwiczki pieca były zrobione z mosiądzu, na jego szczycie znajdował się mały aniołek, który z radością dął w trąbkę.

– Muszę jeszcze raz zejść do piwnicy.

Sigrun, która podnosiła swoją aktówkę, zamarła.

– Teraz?

– Musimy wiedzieć, co tam jest. Inaczej wszystko pójdzie na marne. Jeśli Aaronowi uda się opróżnić piwnicę, nie będziemy mu mogli niczego udowodnić. Jadę z powrotem do Grünau.

Sigrun opuściła torbę i spojrzała na swojego ojca.

– Czy wierzysz w to, co on mówi?

Oczekiwałem, że moja argumentacja ją przekona. Teraz jednak znowu stała przede mną przedstawicielka rodziny von Zernikow. Utz stał przy drzwiach i wyglądał tak, jakby tego wieczora interesowało go już tylko łóżko.

– Nie wiem – odparł w końcu.

Odwróciłem się. Im nie można było już pomóc. Usłyszeli wszystko i teraz przejdą nad tym do porządku dziennego.

– Naprawdę nie wiem – powtórzył Utz. Sigrun zabrała swoją aktówkę i ruszyła triumfująco do wyjścia.

– Poczekaj – powiedział do niej.

Sigrun zatrzymała się.

– Może ma rację, może nie...

– No pięknie! – krzyknąłem. – Rzućcie mi jeszcze jakiś ochłap.

– ...ale jeśli istnieje choćby najmniejsze prawdopodobieństwo, że ma, to nie możemy tego nie sprawdzić i dać uciec mordercom.

– A to znaczy? – zapytała Sigrun.

Utz odwrócił się w moją stronę.

– Idę z tobą.

[3](#) Kinderlandverschickung (KLV) – organizacja zajmująca się wysyłaniem dzieci na wieś (przyp. tłum.).

Rozdział 40

Sigrun zdecydowanie nie podobał się nasz plan. Przypomniała nam o późnej porze, o chorobie Utza, o naruszaniu miru domowego, o skandalu i w końcu o wyborach. To wszystko nie powstrzymało jej ojca przed zamienieniem szlafroka na luźną wiatrówkę i włożeniem solidnych butów.

– Podpłyniemy do domu od strony Langer See – powiedziałem. – Włóż coś wodoodpornego.

– Jesteście szaleni! – Sigrun opadła na fotel. – Czego wy się spodziewacie tam na dole? Szkiców Dürera? Ostatniego obrazu van Gogha? Ołtarza Tilmana Riemenschneidera?

– Sigrun – wydyszał Utz, który akurat wiązał sznurowadła – chcę poznać prawdę.

– Trochę poniewczasie.

Utz podniósł wzrok.

– Popełniłem błędy. Cierpiałem przez to. Jeśli teraz nie pójdę, będę sobie to już zawsze wyrzucać. – Wstał z wysiłkiem. – Nie powinnaś była angażować się w politykę.

Sigrun przygryzła wargi.

– Okej – powiedziała w końcu. – Poczekajcie na mnie. Tylko się przebiorę.

– Nie.

Stałem jej na drodze.

– To jest zbyt niebezpieczne. Utz jest jedynym z nas, który tak naprawdę ma prawo wejść do tej piwnicy. Zostań tutaj.

– On ma siedemdziesiąt dwa lata. Zapomniałeś o tym? – Ominęła mnie i ruszyła po schodach w dół. Odwróciłem się do Utza.

– Aaron nie działa sam. Ma przynajmniej dwóch pomagierów, którzy wiedzą, jak porządnie dowalić.

Utz kiwnął głową. Najwidoczniej moja twarz była przekonującym dowodem, ponieważ podszedł do kredensu i otworzył jedną z szuflad. Przetrzęsnął ją

i przeklął pod nosem, nie znalazłszy od razu tego, czego szukał. W końcu mruknął: – Ach tak – zamknął szufladę i odwrócił się w moją stronę. Czarny taurus PT 2. Najwidoczniej każdy w tym domu posiadał broń. Wsunął pistolet za pasek spodni, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie.

– Gotowy – powiedziała. – Ruszamy?

– Jeszcze chwila.

Włączyłem komórkę. Trzyście nieodebranych połączeń. Wszystkie od Marie-Luise.

– Ty podła świnio! – wysyczała, kiedy oddzwoniłem. – Czy ty oszalałeś, żeby mnie tak zostawić na lodzie?

– Gdzie jest? W twoim łóżku?

Utz uniósł brwi. Odwróciłem się, żeby mnie nie widział, co było kompletnie bez sensu, bo nadal mógł mnie słyszeć.

– Jest u mnie w domu – powiedziała ze zdenerwowaniem. – W końcu jakimś cudem mi uwierzył, że zgubił klucze. Wiesz, co teraz robi? Dzwoni po pomoc drogową, która zawiezie mu samochód pod sam dom. Żeby nie wpadł w ręce jakichś niepoważnych znalazców.

– W takim razie wszystko w porządku – uznałem.

– Oho. Groźba utraty mojej cnoty najwidoczniej już cię nie niepokoi. W takim razie może przynajmniej przestraszy cię ta wiadomość: Milla zniknęła. W klinice Virchowa mówią, że została wypisana na własne życzenie. Masz trzy strzały, żeby zgadnąć, kto ją zabrał. No? Nasz kochany, godny zaufania Horst.

To były złe wiadomości. Pozostało nam mało czasu.

– Pojedź na Kaiserin-Augusta-Allee i postaraj się dowiedzieć, gdzie on mieszka.

– Z chęcią – odparła Marie-Luise. – Metro jeszcze jeździ, dzięki czemu spokojnie dojadę stąd w dwie godzinki. Masz mój samochód, pamiętasz, jasne?

– Momencik. – Przykryłem słuchawkę dłonią i odwróciłem się do Utza. – Muszę pojechać jeszcze do Friedrichshain. Milla zniknęła. Marie-Luise stara się dowiedzieć, gdzie się podziała. Potrzebuje mojego samochodu.

– Marie-Luise to ta dama, o której mówiła Sigrun?

– Tak.

Utz kiwnął głową.

– Pojedziemy razem. To jest po drodze. Możesz dać jej samochód, a później

pojechać z nami.

– Dobrze.

– Wszystko słyszałam – warknęła Marie-Luise po drugiej stronie słuchawki.
– Samochód nadal należy do mnie, wiesz? Zabierz w końcu dupę w troki. Z kim ty właściwie rozmawiasz? Kto z tobą idzie? I gdzie?

Nabrałem głęboko powietrza.

– Sigrun i jej ojciec. Jedziemy do Grünau.

Marie-Luise miotnęła przekleństwem, którego jako wykształcony mieszkaniec Europy Środkowej wolałem niedosłyszeć, po czym odłożyła słuchawkę. Akurat gdy Utz zamykał drzwi, Sigrun wyjechała jaguarem z garażu. Miała na sobie ubranie do joggingu i kalosze. Utz usiadł z tyłu.

– Musimy się jeszcze na chwilę gdzieś zatrzymać – wyjaśniłem Sigrun. – Pojadę przodem.

Było trochę przed wpół do dwunastej. Miasto ucichło po tym gorącym dniu. W ogródkach piwnych i na ulicach przed restauracjami ustawiano do góry nogami krzesła na stolikach. Na Liezenburgerstrasse jak zwykle o tej porze kręcili się już tylko wariaci, mocno podrasowane samochody średniej klasy z przyciemnianymi szybami i subwooferami zajmującymi cały bagażnik. Mimo to dosyć szybko dojechaliśmy na Potsdamer Platz. Wysokie budynki były oświetlone, po ulicach nadal spacerowali ludzie. Popędziliśmy przez Leipziger Strasse aż do Alexanderplatz i skręciliśmy w końcu w Karl-Marx-Allee.

Marie-Luise czekała przed drzwiami domu. Zaparkowałem nieprzepisowo i wyjąłem z bagażnika nasze wyposażenie, które zostawiliśmy po pierwszym wypadzie. Marie-Luise zauważyła jaguara i powoli do niego podeszła. Przejechała dłonią po przednim błotniku i stanęła przy drzwiach kierowcy. Sigrun miała włączoną klimatyzację, dlatego też okno było zamknięte. Teraz opuściła je wolno. Spojrzała w górę na Marie-Luise. Jej twarz niczego nie zdradzała, nawet braku zainteresowania. Zamknąłem bagażnik i podszedłem, trzymając sprzęt.

– Marie-Luise Hoffmann – przedstawiła się. – A pani musi być Sigrun Zernikow, kobieta bez przedrostka von.

– Zgadza się – odpowiedziała Sigrun.

Marie-Luise pochyliła się, żeby lepiej widzieć wewnątrz samochodu.

– A to tutaj to jest czcigodny pan tatuś.

– To tutaj – powtórzyła Sigrun zupełnie spokojnym głosem – to mój ojciec.

Utz von Zernikow. Pora karmienia zwierząt minęła. Zoo jest zamknięte.

Okno zamknęło się.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Cięta ironia Marie-Luise była aż nadto dobrze słyszalna. Walka dwóch żołą na Mainzer Strasse. Otworzyłem tylne drzwi jaguara.

– Czy tobie już kompletnie odbiło? – spytała Marie-Luise. – Nie możesz ich ze sobą zabrać. Przecież w tym siedzą.

– Nie bardziej niż my – odparłem.

Marie-Luise złapała mnie za ramię, nie pozwalając wejść do samochodu.

– A co, jeśli ona i dupek z biblijnym imieniem są w zмовie?

– To zawsze jeszcze mam ciebie jako świadka. Nie martw się.

Wcisnąłem jej klucze w dłoń.

Im dalej odjeżdżaliśmy od centrum miasta, tym spokojniejsze stawały się ulice. W końcu widać było już tylko świecące tablice reklamowe stacji benzynowych i przystanki kolejki miejskiej w drodze do Adlershof.

Utz wyglądał w milczeniu przez okno. Może myślał o Natalii, a może o Sigrun. Wiedziałem, że jedno zdanie zabolowało ją bardziej od wszystkich innych. Nie powinnaś była angażować się w politykę. To była jej porażka, jej czarna karta, moment, w którym zawiodła oczekiwania swojego ojca. Kiedy studiowała prawo, przez pewien czas była mowa o tym, że pewnego dnia przejmie kancelarię. Utz nigdy nie pogodził się z faktem, że obrała inną drogę.

– Milla – przerwał milczenie Utz – jej córka... Co się z nią dzieje?

– Miała wypadek. Jestem pewien, że Aaron rozmyślnie ją potrącił. Dzięki Bogu jest na drodze ku wyzdrowieniu. Wypuścili ją z intensywnej terapii i ulokowali na normalnym oddziale. I właśnie stamtąd zniknęła.

Miejmy nadzieję, że nie odebrał jej nikt w ciemnym samochodzie.

– Czy grozi jej niebezpieczeństwo? – Jego twarz znajdowała się w cieniu. Pasma światła przecinały wnętrze samochodu tylko wtedy, gdy przejeżdżaliśmy koło latarni.

– Obawiam się, że tak.

Utz zamknął oczy i milczał. Z radia płynęła cicha muzyka klasyczna. Sigrun zerknęła od czasu do czasu w tylne lusterko. Starła się nie patrzeć na mnie. Wątpiłem, żeby ten wieczór zrobił z niej lepszą panią polityk. Poprawi jedynie jej umiejętności taktyczne.

– Wydaje mi się, że ktoś nas śledzi – powiedziała.

Utz i ja odwróciliśmy się. Za nami jechał samochód. Przednie światła oślepiły nas, przez co nie dało się rozpoznać marki ani zidentyfikować osoby siedzącej za kierownicą. Sigrun zjechała na najbliższą stację benzynową. W tym momencie od drugiej strony do dystrybutorów szybko podjechały dwa auta i zasłoniły nam widok na ulicę. Wysiedli z nich młodzi, roześmiani ludzie. Z otwartych drzwi płynęła głośna muzyka. Sigrun precyzyjnie się koło nich i tak docisnęła gaz, że ciężki samochód wystrzelił nad krawężnikiem od razu na ulicę. Na szczęście nikogo za nami nie było. W przeciwnym razie nie przeżyłby zderzenia.

Po kwadransie dotarliśmy do Grünau i teraz już powoli jechaliśmy Regattastrasse.

– Teraz w lewo – powiedział Utz. – Znowu wszystko rozpoznaję.

Zaparkowaliśmy kawałek dalej przy placu zabaw, za dużym samochodem ciężarowym, żeby nikt nie mógł rozpoznać jaguara z ulicy. Utz poszedł nad brzeg jeziora i spojrział na wodę. Dookoła panowała cisza. Po drugiej stronie jeziora cumowały promy i jeden frachtowiec. Tym razem musieliśmy sobie poradzić bez jednostki pływającej BVG.

– Zaczynamy? – zapytałem. Utz kiwnął głową.

Pierwszy wszedłem do wody, potem pomogłem Sigrun, a na końcu oboje podparliśmy Utza. Tym razem nikt w pobliżu nie urządzał grilla. Trzymaliśmy się blisko brzegu i brodząc, posuwaliśmy się do celu najciszej, jak mogliśmy. Dziura nie zniknęła, wyglądała tak, jak ją zostawiliśmy z Marie-Luise. Precyzyjnie się przez nią i przekradliśmy się na suchy brzeg.

Utz przystanął na zarośniętym trawniku i spojrział na drzewa.

– Tam – powiedział cicho.

Zwrócił się w kierunku dębów, rosnących na prawym krańcu działki. Stare, wysokie drzewa. Było ich pięć albo sześć. Utz tupał w ziemię, aż w końcu przykucnął.

– Możesz poświecić? – poprosił mnie.

Wyjąłem latarkę i skierowałem snop światła na ziemię.

– Jeśli mi pomożecie, to pójdzie szybciej.

Położyłem latarkę na trawie. Razem z Sigrun zaczęliśmy kopać.

– Co tu jest? – zapytałem.

– Klapa – odparł Utz. – Drugie wejście do piwnicy. W tamtych czasach wiele domów takie miało. Miejmy nadzieję, że przejście jest jeszcze

w porządku.

– Cicho – wyszeptała Sigrun. – Słyszę coś.

Wyłączyłem latarkę. Zamarliśmy w zupełnym bezruchu.

Odgłos dochodził od strony brzegu. Cichy ruch w wodzie przebijał się przez regularny plusk fal. Ktoś wyszedł z wody. Utz sięgnął po pistolet, ale położyłem dłoń na jego ramieniu. Wyciągnąłem z torby łom. Zgięta postać zakradła się do brzegu, po czym się wyprostowała. Dałem znak Utzowi i Sigrun, żeby schowali się za drzewami. Sam też przyłgnałem do najbliższego pnia. Postać szła prosto na nas. Kiedy zrównała się ze mną, skoczyłem i powaliłem ją na ziemię. Wydała z siebie krótki, zduszony krzyk.

– Marie-Luise!

Zakaszła i splunęła.

– Nie musisz mnie od razu zabijać!

– Jak tutaj przyjechałaś?

– Samochodem oczywiście.

Utz i Sigrun wyszli ze swoich kryjówek.

– Co to ma znaczyć? – zapytała Sigrun. – Czy pani nas śledzi?

– Ona tak na serio? – zwróciła się do mnie Marie-Luise.

– Czy to pani kierowała samochodem, który nas śledził?

Marie-Luise otrzepała spodnie.

– Nikogo nie śledzę. Pojechałam za wami, żeby nikt nie próbował się tutaj obłowić.

– Co za bezczelność!

– Dosyć! – wysyczałem. – Wystarczy. Weźcie się w garść. Marie-Luise, co z Millą?

– Tym zajmuje się Kevin. Sprawdza właśnie mieszkanie Horsta.

– Dobrze jest mieć przyjaciół. – Sigrun odwróciła się na pięcie i wróciła do Utza, który nie marnował czasu na bezsensowne utarczki, tylko kopał dalej.

– Niezłe ziółko – wyszeptała Marie-Luise. – Wszystkiego najlepszego. Pasujecie do siebie.

– Trzymaj.

Wcisnąłem jej łom do ręki.

– Pomóż mi i trzymaj buzię na kłódkę.

Utz odkopał klapę. Była zrobiona z zardzewiałej blachy stalowej, na której wytłoczono coś w rodzaju ciągłego wzoru kurzej stopki. Skierował na nią latarkę.

– Widzicie to?
Wskazał na błyszczące w świetle latarki rysy.
– Ktoś tu nie tak dawno był.
– Idźmy stąd – poprosiła Sigrun. – Tutaj jest strasznie. Poza tym dopuszczamy się czynu karalnego.
– Proszę bardzo – mruknęła Marie-Luise. – Wyjście jest za panią. Proszę pozdrowić od nas swoje sumienie. Pewnie czeka w domu.
Wcisnąłem w szczelinę łom i wspólnymi siłami podnieśliśmy kłapę. Na małym podeście leżał pręt, którym mogliśmy ją podeprzeć. Skierowałem światło do środka. Długie schody prowadziły do szybu.
– Wejść pierwszy.
Ostrożnie zszedłem po schodach i dotarłem do niskiego, betonowego korytarza. Ściany były popękane i mokre, przejście miało może metr wysokości. To wszystko nie budziło zaufania. Przyklęknąłem. Za mną przyszedł Utz.
– Czy przejście jest bezpieczne? – zapytałem.
Utz rozejrzał się.
– Powinno wytrzymać. Oczywiście nie wiem, czy nie oberwało podczas wojny.
Zacząłem się czołgać i zobaczyłem, że Sigrun poszła w ślady Utza. Zawołałem do Marie-Luise, żeby opuściła za nami kłapę.
– To tylko dwadzieścia metrów – powiedział znajdujący się za mną Utz. Jego głos mnie uspokoił. Czołgałem się dalej, aż dotarłem do półokrągłych żelaznych drzwi. Pod prostą klamką znajdował się staromodny zamek.
– Łom – wyszeptałem.
Utz przekazał moje polecenie dalej i po chwili miałem w ręku żelazny pręt. Wcisnąłem go w szparę i szarpnąłem, jednak drzwi nawet nie drgnęły.
– Daj, ja spróbuję. – Marie-Luise przepchała się przed Sigrun.
– Moment.
Utz nacisnął na klamkę i pociągnął. Drzwi otworzyły się z przenikliwym piskiem. Sypnęło kawałkami rdzy. Zaświeciłem przez szparę.
– Możecie cofnąć się o pół metra?
Teraz mogłem otworzyć drzwi. Prowadziły bezpośrednio do sekretnego pomieszczenia piwnicznego.
– No i? – zapytała Marie-Luise. – Co widzisz?
Oświetliłem ściany. Podłogę. W końcu poświeciłem nawet na sufit. W końcu

dotarło do mnie, że to nie halucynacja.

– Nic – odparłem. – Piwnica jest pusta.

Wszedłem do pomieszczenia, a reszta ostrożnie poszła w moje ślady. Świecąc sobie latarką, przeszukałem każdy kąt. Nic, tylko na zakurzonej betonie prostokątne kontury skrzyń.

– Gratulacje. – Sigrun skrzyżowała ręce na swojej niegdyś białej kurtce do joggingu. – Czyli w takim razie kwestia została wyjaśniona?

– Popatrzcie na to. – Poświeciłem na ślady na ziemi. – Tu stały skrzynie. A tam leżały deski. Przecież nie zwariowałem. Wczoraj jeszcze były, a dzisiaj już ich nie ma. Ktoś je zabrał.

– Utz, sam powiedziałeś, że ktoś tutaj był.

Utz podrapał się po brodzie.

– Tak, tak. Ale czy był tutaj wczoraj, czy przed paroma tygodniami, tego nie można ustalić.

Marie-Luise kopnęła kamyczek leżący na ziemi. Sigrun podeszła do zardzewiałych drzwi prowadzących do sekretnego korytarza.

– Proponuję, żebyśmy już opuścili to miejsce.

Rzuciłem łom, z ogłuszającym łoskotem potoczył się w kąt.

– Aaron tutaj był. On i ten drugi człowiek.

– Ach tak, ten nieznajomy. – Sigrun miała nie lada frajdę; triumfowała. – Pewnie jest już w drodze do Kijowa.

– Tak – powiedziałem cicho. – Pewnie już jest.

Marie-Luise spojrzała na mnie. Sigrun, wzruszywszy ramionami, wyszła z pomieszczenia. Z ciężkim sercem patrzyłem, jak najpierw Utz, a później Marie-Luise poszli w jej ślady. Jako ostatni przeczołgałem się do przejścia i zamknąłem za sobą drzwi.

Wtedy usłyszeliśmy to – nie brzęczenie, raczej drgania ziemi nad nami. Marie-Luise zastygła i spojrzała przestraszona w górę.

– Co się dzieje?

Drgania przybrały na sile i wtedy usłyszałem krzyk Sigrun.

– Przejście się zapada! Szybko!

Jednak w tej panice niczego nie można było zrobić szybko. Przepychaliśmy się rękoma i nogami, parliśmy i pchaliśmy do przodu, przyciskaliśmy się nawzajem do wilgotnych, betonowych ścian.

– Sigrun! – krzyknął Utz. – Uwaga!

Za późno. Masy ziemi zwały się na Sigrun. Utz chwycił ją za nogi

i pociągnął z powrotem. Kaszłała i pluła. Oświetliłem korytarz. Przez otwartą klapę wsypywała się ziemia. Dużo ziemi. Hałas nad nami nieco przycichł, znów się nasilił, przetoczył nad naszymi głowami i kolejne zwały ziemi runęły do korytarza.

– Co się dzieje? – krzyknęła Marie-Luise.

Wcisnąłem jej latarkę w rękę i zacząłem jak wariat kopać gołymi rękami. Utz mi pomagał. Kobiety z tyłu nie mogły nic zrobić, korytarz był zbyt wąski. Do środka nieustannie sypała się ziemia. Warkot przybliżył się.

– Uważaj! – krzyknął Utz i pociągnął mnie do tyłu. Kolejne masy ziemi zsunęły się i przysypały mnie po biodra.

– O mój Boże! – krzyknęła Sigrun. – Co oni robią, co oni robią? Przestańcie!

To nie miało sensu. Ziemia zasypała już stopnie, wejście i część korytarza. Szalenciec nad nami nie przestawał. Spadały na nas kawałki betonu. Z pęknięć na suficie sypał się pył.

– Z powrotem! – krzyknął Utz. – Wracajcie do piwnicy. Róbcie, co mówię!

Sigrun i Marie-Luise zaczęły się wycofywać. Kiedy mieliśmy już za sobą mniej więcej połowę drogi, zawalił się strop korytarza. Bryły betonu spadały tuż koło mnie. Sigrun i Marie-Luise dotarły już do piwnicy i wyciągnęły nas z korytarza. W ostatniej chwili zdołaliśmy zamknąć drzwi, blokując drogę napierającym zwałom żwiru. Oświetliłem latarką ściany. Nie było tu żadnych okien.

Wyciągnąłem komórkę. Brak zasięgu. Telefon Marie-Luise pokazywał to samo. Usiedliśmy pod ścianą, utyłani i milczący. Zgasilem latarkę. Ogarnęły nas czarne ciemności. Najbardziej nieprzenikniony mrok, taki, jaki znają tylko niewidomi.

– Koparka – powiedziałem. Słyszeliśmy tłumiony przez ściany warkot, świadczący o tym, że szalenciec nadal pracuje, usypując zapewne kopiec nad wyjściem.

– Cholera jasna! Cholera! Cholera! – klęła Marie-Luise, uderzając pięściami w posadzkę.

– Gdyby pani zrobiła to, o co prosił Joachim, nasza sytuacja nie byłaby taka skomplikowana – odezwała się Sigrun z przyganą.

– Skomplikowana? – zmałpowała ją natychmiast Marie-Luise. – Skomplikowana? Sytuacja jest do dupy, moja droga bez von. Poza tym ja nie należę do kobiet, które robią to, co mówi Joachim.

– Weź się w garść, Sigrun. – Utz zorientował się, że córka jest bliska

załamania. – Wykorzystuj tlen, by odżywiać mózg. Musimy wymyślić, jak się stąd wydostaniemy.

– Cegły. – Marie-Luise włączyła latarkę i poszukała strumieniem światła miejsca w murze, w którym uprzednio wybiłem cegłę. Cegła znów była na swoim miejscu, porządnie unieruchomiona zaprawą, która zdążyła już mocno się związać. Została osadzona od wewnątrz pomieszczenia, w którym się znajdowaliśmy. Świeża zaprawa wyraźnie odróżniała się od starej.

– Okej – powiedziała Marie-Luise – No to jesteśmy do tego jeszcze zamurowani. Przypuszczalnie udusimy się. Znikąd nie dociera tu powietrze.

Podniosłem leżący w kącie łom i spróbowałem poluzować nim cegłę. Nie ruszyła się ani na milimetr. Marie-Luise stała obok mnie i trzymała latarkę.

– Ta świnia – mruzczała. – Ten flejtuch. Niech no ja go dorwę. – Jej oczy błyszczały, po chwili po jej policzku potoczyła się łza.

– Damy radę – powiedziałem. – Wydostaniemy się.

Marie-Luise otarła łzę. Kątem oka dostrzegłem poruszenie. Sigrun skrzyżowała ręce przed sobą i wpatrywała się w podłogę. Kołysała się przy tym w przód i w tył, jak w transie.

– Rób dalej swoje – powiedziała cicho Marie-Luise.

Podszedłem do Sigrun i chwyciłem ją pod brodę. Odepchnęła moją rękę.

– To twoja wina. To ty nas tutaj ściągnąłeś. Wszyscy umrzemy, słyszycie? Umrzemy tutaj!

Potrząsałem nią. Potylicą uderzyła w mur. Jęknęła z bólu i jeszcze bardziej się skuliła.

– Sigrun – powiedziałem. – Oddychaj głęboko i powoli. Wdech i wydech. Skoncentruj się na swoim oddechu. Dzięki temu zapanujesz nad paniką.

– Zostaw mnie w spokoju! Och, żebym tak po prostu nigdy cię nie poznała.

Utz usiadł obok niej. Poklepał ją uspokajająco po ramieniu, tak jak to robią między sobą mężczyźni. Na Sigrun jednak to nie podziało. Odsunęła się od niego. Nagle skoczyła na równe nogi, rzuciła się na Marie-Luise i wybiła jej latarkę z ręki.

– Chcę się wydostać! – wrzeszczała. – Nie chcę tutaj umrzeć!

Uderzyła ręką w mur, po czym osunęła się na posadzkę i się rozszłochała.

Marie-Luise schyliła się bez słowa i podniosła latarkę.

– Cicho – powiedziałem.

Nie było już słyhać warkotu silnika koparki nad nami. Najwyraźniej nasz prześladowca się oddalił.

– Może to wszystko było przez pomyłkę – szepnęła Sigrun. Podniosła się i zaczęła krzyczeć: – Hej! Jesteśmy tutaj! Pomocy!

Objąłem ją ramieniem. Szlochała, kołysała się w przód i w tył i mówiła do siebie jak dziecko.

– Wszystko będzie dobrze. Wszystko znów będzie dobrze. Wierz mi.

W końcu położyła się obok Utza, skulona w pozycji embrionalnej. Ucichła. Marie-Luise nadal próbowała poluzować cegły.

– Jak myślisz, kiedy się zorientują, że coś jest nie tak?

– Kevin i Ekaterina? – spytałem.

Skinęła.

– Najwcześniej koło dziesiątej, jedenastej przed południem. Ekaterina będzie próbowała się do nas dodzwonić w sprawie biletów na samolot. Zgłosi się do Kevina. W końcu oboje będą musieli zorientować się, że coś jest nie w porządku.

Marie-Luise spojrzała na zegarek.

– Jest trochę po północy.

Sigrun jęknęła.

– Nie wytrzymam tu dłużej niż dziesięć sekund. Zwariuję tutaj, jeśli nic się nie wydarzy. Potrzebuję papierosa. Pali pani przynajmniej?

Marie-Luise znieruchomiała na chwilę.

– Przykro mi, zamokły.

Światło latarki wyraźnie osłabło. Postawiliśmy ją na sztorc przy ścianie, żeby każdy mógł skorzystać z resztek światła, jakie nam pozostało.

– Uporamy się z tym tutaj razem z godnością – powiedział Utz. Jego głos zabrzmiał dziwnie wysoko. Przypomniałem sobie, że jako dziecko już kiedyś był tu przysypany.

– W zasadzie jak można było to przetrzymać podczas wojny? – spytałem.

Z wysiłkiem zmienił pozycję.

– Graliśmy w człowieku nie irytuj się⁴.

Sigrun zaśmiała się. Popatrzył na nią krótko.

– Albo opowiadaliśmy sobie historie. A niekiedy rzeczy, jakich w żadnej innej sytuacji się sobie nie mówi. Chciałbym cię serdecznie przeprosić, Sigrun. Za to, co wcześniej powiedziałem. To nie była prawda. Jestem z ciebie dumny. Chcę, żebyś to wiedziała.

Sigrun skrzyżowała ręce na piersiach.

– Godzina prawdy. Czy teraz wszyscy powinniśmy wypowiadać się ze swoich kłamstw? Wy dwoje możecie już z tym zaczynać. Co jest między wami? Co was łączy, czemu nie zdołałam stawić czoła?

Marie-Luise odrzuciła łom. Przeszła kilka nerwowych kroków, wróciła, podniosła łom i pracowała dalej. To było bez sensu, nie zdołała zrobić więcej niż kilka rys na ceglach. Ale przynajmniej miała zajęcie.

– Halo! Rozmawiam z wami. – Głos Sigrun był ostry, przeszywający. – Chcecie mi wmówić, że nic? Powiedzcie mi po prostu. To zdarza się przecież nawet w najlepszych rodzinach.

Zmęczony Utz zamknął oczy.

Głęboko zaczerpnąłem powietrza.

– Zostaw to.

– Chcę wiedzieć, dlaczego mnie oszukałeś!

– On pani nie oszukał.

Marie-Luise opuściła głowę.

– Cały próbował ochronić panią przed największymi szkodami. Ale na ciasne horyzonty nie ma lekarstwa.

– Jesteśmy przyjaciółmi – powiedziałem. – Nie więcej, ale i nie mniej.

Oczy Sigrun zwęziły się w wąskie szparki.

– Cudownie. Cóż można na to powiedzieć? Serce i dusza. A ty, tatusiu? W jaki sposób wywiodłeś mnie w pole?

– Co masz na myśli?

Sigrun kopnęła w ścianę.

– Cała ta gadka o naszej absolutnie demokratycznej, przyzwoitej rodzinie. O majątku na Pomorzu. Czyż nie chcieliśmy zawsze tam pojechać? My oboje?

Spojrzała ojcu prosto w twarz.

– Natalia. Natalia Czeredniczenkowa. Największe kłamstwo ze wszystkich. Do dzisiejszego wieczora nie powiedziałeś mi o niej ani słowa.

– To było tak dawno temu. To już nie jest ważne.

Sigrun pokręciła głową.

– Jest dla ciebie ważniejsza niż wszystko inne razem. Bardziej niż ja. Od kiedy wiesz, że żyje.

Potarła sobie oczy, ale to nie pomogło. Łzy pociekły jej po policzkach.

– Teraz to ja chcę wiedzieć. Co się wtedy stało?

Utz odwrócił się od niej. Ledwie widziałem jego profil. Latarka dogorywała.

– Co by to było, gdybyś tę nigdy nieopowiedzianą historię teraz w końcu przedstawił najlepiej, jak potrafisz? Co się wtedy wydarzyło?

Marie-Luise upuściła łom na podłogę – w końcu się poddała. Przysunęła się nieco w moją stronę i oparła o ścianę. Siedzieliśmy teraz w półokręgu. Po raz pierwszy, od kiedy zostaliśmy tutaj uwięzieni, nie byliśmy podzieleni na różne obozy. Patrzyliśmy na Utza.

– To ja – powiedział Utz cicho. – To ja ją zdradziłem.

Zamilkł. Po pewnym czasie podjął opowieść.

– Był bardzo ciężki nalot. Moja matka zamknęła piwnicę, jak często się zdarzało, kiedy nocą podjeżdżał samochód i coś wyładowywano. Byliśmy zapewne kimś w rodzaju najbardziej szanowanego pasera w Grunewaldzie. Piwnica pozostawała zamknięta, aż przyjechał inny samochód, by zabrać to, co zostało tam złożone. Ale naloty bombowe zdarzały się coraz częściej, a moja matka coraz rzadziej przebywała w domu. W ten wieczór bombardowanie było tak straszne, że Natalia wbrew wszelkim poleceniom wyłamała drzwi do piwnicy, żebyśmy mogli znaleźć bezpieczne schronienie. Mieliśmy olbrzymie szczęście. To wtedy w kartofle spadł niewybuch.

W bladym świetle latarki mogłem dostrzec, że Sigrun lekko się uśmiechnęła. Przynajmniej ta rodzinna legenda okazała się prawdziwa.

– Wyszliśmy z piwnicy bez szwanku. Ale byłem ciekawski. W nocy zakradłem się tam jeszcze raz. Były w niej ukryte obrazy. Te mnie nie interesowały. Ale szkatułka na skarby...

Znów zamilkł na chwilę i przyjął wygodniejszą pozycję.

– Prawdziwa szkatułka na skarby. Z pierścionkami, łańcuchami, monetami, złotą biżuterią i małym złotym krzyżykiem. Od razu wiedziałem, że Natalia przyjęłaby taki prezent. Nic innego. Nie chciałem, żeby nas opuściła, kiedy wojna się skończy. A więc wziąłem krzyżyk i podarowałem jej. Kiedy przyjechała do Grünau, Lehnsfeldowie odkryli, że go ma. Dzisiaj wiem, że wszyscy wtedy pomyśleli, że Natalia dowiedziała się o intratnym interesie, jaki prowadzili w swoich piwnicach. Przestraszyli się. Donieśli na Natalię. A ona zrobiła coś, czego do dzisiaj nie pojmuję. Milczała. Nikomu nie zdradziła, od kogo otrzymała krzyżyk. Do domu przyszło Gestapo. Zostałem przesłuchany. Już samo to wystarczyło, żebym szcząkał zębami ze strachu. Natalię już zabrali, więc nic nie powiedziałem. Nie przypuszczałem, że milczenie będzie miało takie konsekwencje. Dla mnie do końca życia. Wina to najmroczniejszy loch, jaki można sobie samemu wykopać.

Nikt nic nie mówił. Ogarniało nas obezwładniające zmęczenie, powietrze robiło się coraz gęstsze i w którymś momencie miało nas łagodnie zadusić, jeśli wkrótce nie zjawi się pomoc.

W końcu światło emitowane przez latarkę zmieniło się w ledwie żarzący się drucik żarówki. Patrzyłem, jak powoli blednie, i przyszła mi do głowy myśl, że to ostatnia rzecz, jaką być może widzę w życiu. Marie-Luise od czasu do czasu uderzała łomem w mur, aż powiedziałem jej, że powinna oszczędzać tlen. Usiadła koło mnie. Objąłem ją i przyciągnąłem do siebie.

Poddaliśmy się.

Sigrun leżała po lewej. Wtuliła się w swojego ojca jak małe dziecko. Od czasu do czasu szlochała. Głaskałem ją po plecach. Utz oddychał głęboko i równomiernie. Wkrótce mieliśmy zasnąć i nigdy więcej się nie obudzić. Przyszłe pokolenia odkryją kiedyś cztery zagadkowe szkielety, zwinięte w kłębek. Zastanawiałem się jeszcze, czy nie powinniśmy wyryć czegoś na ścianie. Może pożegnanie skierowane do matki albo nazwisko mordercy. Nie było nikogo na zewnątrz, komu miałbym coś do powiedzenia. Prawie wszyscy ważni w moim życiu ludzie byli tu ze mną, a matka i beze mnie znalazłaby drogę do Reinickendorfu. Nachyliłem się ku Sigrun. Pogłaskałem ją po włosach, na więcej sobie nie pozwoliłem. Pomacałem jeszcze wokół siebie w poszukiwaniu Marie-Luise. Złapała mnie za rękę. Ścisnąłem jej dłoń. Potem zasnąłem.

Marie-Luise szturchnęła mnie w bok.

– Słyszysz?

Nie chciałem się już budzić. Chciałem spać. Tak mało spałem w ostatnim czasie.

– Hej, obudź się! Posłuchaj!

Potrząsnęła mną gwałtownie, ale nie zareagowałem. Nawet w trakcie umierania ta kobieta działała mi na nerwy. Coś jej się pomyliło, nie było nic słyszać, tylko Utz ciężko oddychał.

Po chwili jednak usłyszałem: Bum, bum, bum.

Marie-Luise przepęłza przeze mnie i potrząsnęła za ramię Sigrun.

– Obudźcie się! Ktoś wali w ścianę. Posłuchajcie. Obudźcie się!

Przepęłza z powrotem, mało delikatnie naciskając przy tym moje klejnoty. Ból wyrwał mnie ze snu, z pachnącej świeżością delikatnej pościeli.

Bum, bum, bum.

– Z której strony dochodzi ten odgłos? – szepnęła Marie-Luise i uderzyła mnie w ramię. – Hej, obudź się wreszcie!

Obróciłem się na czworakach i zacząłem z trudem posuwać się wzdłuż ściany. Była długa niczym chiński mur. Bum, bum, bum. Macając po posadzce, znalazłem latarkę. Zastukałem nią w ścianę. Trzy szybkie, jedno po drugim, krótkie uderzenia. Nic. Niewłaściwa ściana.

– To może być tylko ta ceglana ściana – zachrypiała Marie-Luise gdzieś bardzo daleko. Zastukała, używając do tego łomu. Trzy szybkie, trzy rzadsze.

Cisza. Tylko dźwięczący łoskot, kiedy upuściła łom.

– No proszę, proszę – szepnęła.

– Nie słyszą nas – powiedziałem. Podniosłem łom i spróbowałem jeszcze raz. SOS. *Save our souls.*

I nagle odpowiedzieli. Trzy szybkie, trzy rzadsze. Trzy szybkie.

Dłoń Marie-Luise zacisnęła się na mojej.

– Usłyszał! – Zaszlochała. Zaczęliśmy walić razem ile sił w mur. Bum-bum-bum, bum, bum, bum, bum. Nieznany odpowiedział: bum-bum-bum, bum, bum, bum.

Energicznie potrząsnąłem Utzem i Sigrun. Sigrun obudziła się, Utz nie.

– Tam na zewnątrz ktoś jest. Stukaniem dajemy sygnał.

Marie-Luise znów zastukała, jednak tym razem nikt nie odpowiedział.

– O co chodzi? – spytała. – Dlaczego przestał?

Stukała dalej. I znowu nikt nie zastukał w odpowiedzi. Sigrun próbowała wstać. Potknęła się i poruszała się dalej na czworakach, tak jak ja. Ciężko oddychając, dotarliśmy do ściany.

– Co się dzieje? – szepnęła Sigrun.

– Słyszeliśmy stukanie w mur.

Nasłuchiwaliliśmy, przyciskając uszy do ściany. Coś szumiało przeciągle; brzmiało to znajomo, jak słyszany z dużej odległości odgłos z gabinetu dentysty.

– Znalazł wiertarkę! – powiedziałem.

Teraz mogliśmy już tylko leżeć na podłodze, zużywać resztki tlenu i nasłuchiwać, jak nadchodzi ratunek.

Wiercenie skończyło się, zastąpione przez walenie młotem, i nagle ze ściany wypadła cegła. Wylądowała na podłodze zaledwie parę centymetrów od mojej głowy.

– Halo, jest tam ktoś?

Kevin.

Uruchomił wiertarkę i poluzował kolejne cegły. Dziura powiększała się. Do środka wniknęło światło, a z nim powietrze z zewnątrz. Nie za wiele, ale już było o wiele lepiej. Podczołgałem się do Utza i spróbowałem go podnieść. Marie-Luise i Sigrun pomogły mi. Wspólnymi siłami podciągnęliśmy i przenieśliśmy Utza bliżej otworu. Wydał z siebie potężne chrapnięcie i przebudził się.

– Wytrzymacie jeszcze chwilę? – zapytał Kevin. – Wyciągnę was stamtąd. Tylko bez paniki.

Nikt nie wpadł w panikę, na to byliśmy zbyt wyczerpani. W końcu znów zobaczyliśmy jego głowę.

– Hej – powiedziałem. – Dzięki, Kevin.

– Nie ma za co.

Był blady i bardzo zdenerwowany. Włączył wiertarkę i odkuwał kolejne cegły. W końcu dziura była wystarczająco duża, żeby Sigrun mogła się przez nią precyzyjnie przesuwać. My pchaliśmy, Kevin ciągnął, wylądowała bezpiecznie, choć trochę się zachwiała. Następnie pomogliśmy wydostać się Marie-Luise. Zataczała się, więc Kevin podpierał ją tak długo, aż była w stanie stać samodzielnie.

– Utz, dasz radę?

Utz skinął głową. Kevin poluzował jeszcze dwie cegły, potem Utz precyzyjnie przeszedł przez otwór, na koniec przeszedłem ja.

Był jasny dzień. Promienie słońca wpadały przez świetliki i oślepiały nas tak, że mogliśmy patrzeć, tylko mocno mrużąc oczy. Przesiedzieliśmy w ciemności dwanaście godzin.

Wyszliśmy z domu i usiedliśmy wyczerpani na łące. Za naszymi plecami wznosiły się pagórki usypane nad naszym niedoszłym grobem.

– Martwiłem się – powiedział Kevin. – I jak na was patrzę, to widzę, że nie bez powodu.

Utz poklepał go po ramieniu.

– Dobrze się spisałeś, chłopcze.

– Marie-Luise powiedziała mi, że chcecie się tutaj wybrać jeszcze raz. Przez całą noc nie mogłem się do nikogo dodzwonić. Rano próbowałem nawet złapać panią w Izbie Deputowanych, w pani sekretariacie. Ale oni nic nie wiedzieli, też się niepokoiłi, bo nie zjawiała się pani na spotkaniu wyborczym w Marienfelde.

Popatrzył niepewnie na Sigrun. Wyrzebywała sobie akurat małą bryłkę betonu z włosów i rzuciła krótkie spojrzenie do góry.

– Następnie tak długo błagałem Ekaterinę, aż opowiedziała mi o domu tutaj i planach. Także o piwnicy. No to przyjechałem tutaj. Dzwoniłem do domów obok i pytałem, czy ktoś czegoś nie zauważył. O mało nie poszczuli mnie psami. Najpierw harmider z samochodem do przeprowadzek, potem koparka, trzeba by być głuchym, żeby niczego nie słyszeć, tak powiedzieli. Ktoś nocą jeździł sobie po ogrodzie koparką. Kiedy potem zobaczyłem, jak to wygląda, zacząłem się martwić naprawdę.

Wskazał na już nieistniejący trawnik. Same doły, dziury i koleiny. Tam, gdzie do domu prowadził korytarz, ziemia nieznacznie się zapadła.

– Najpierw pomyślałem, że może to robota Marie-Luise. Po niej można spodziewać się wszystkiego.

Marie-Luise uniosła rękę, by go spoliczkować, ale zrezygnowała, ponieważ wszyscy się roześmialiśmy. Tylko Sigrun się nie dołączyła.

– Ale to wszystko wydało mi się bardzo dziwne. Wszedłem do środka przez okienko w wieżyczce i zszedłem do piwnicy. Poszedłem tam, gdzie i wy chcieliście się dostać. Widziałem plany, wiedziałem, że jest to ukryte pomieszczenie.

Sigrun zadrżała.

Marie-Luise obróciła się do niej.

– To już za nami – powiedziała przyjaźnie. – Już nigdy więcej się nie zdarzy. To tylko szok.

Sigrun kiwnęła głową i zabrała się do oczyszczania kaloszy. Był to daremny trud, ale ona skrobała i skrobała bez końca. Powinna jak najszybciej trafić do lekarza. Jednak najpierw Kevin przeżywał swoją chwilę chwały.

– A następnie pomyślałem, że na próbę zastukam. – Rozejrzał się dumny dookoła.

– Rany boskie, co za historia! – Marie-Luise położyła się plecami na ziemi i rozpostarła ramiona. – Przy pierwszym stukaniu pomyślałam, że dopadły mnie urojenia. Najgorszy był moment, kiedy przestałeś odstukiwać.

– Wtedy dzwoniłem do Ekateriny. Powinna się tu lada moment zjawić. Odchodziła od zmysłów, tak się o was martwiła.

Ledwie skończył zdanie, ktoś zaczął wykrzykiwać imię Marie-Luise. Ekaterina. Stała za płotem otaczającym działkę i pomachała energicznie rękami. Potem weszła do wody, przeszła przez dziurę w ogrodzeniu

i podbiegła do nas. Wpadliśmy sobie w ramiona, klepaliśmy się po plecach i gratulowaliśmy sobie wzajemnie.

Tylko Sigrun stała z boku, nieco zagubiona. Ekaterina przyniosła gorącą herbatę, którą piliśmy po kolei z aluminiowego kubka. Kiedy przyszła moja kolej, podszedłem do Sigrun i podałem go jej. Patrzyła w ziemię.

– Nie spisałam się specjalnie dziś w nocy.

Wzięłem głęboki oddech. Świeże letnie powietrze. Sigrun miała gęsią skórę. Wyciągnąłem rękę, żeby pogłaskać ją po ramieniu, jednak ona się cofnęła.

– Wstydzę się. Tak bardzo się bałam.

– Daj spokój, wszyscy się baliśmy.

Ekaterina podeszła do nas.

– Chcecie zadzwonić na policję?

Sigrun podniosła wzrok.

– Oczywiście. Jakoś będziemy musieli wyjaśnić, jak się tutaj znaleźliśmy. Powinniśmy również przeprosić Lehnsfeldów.

Sigrun wskazała na olbrzymi pagórek usypany przez koparkę.

– Nie wierzę, że ktoś zrobił to z premedytacją. W końcu byliśmy w środku także ja i mój ojciec. To było przez pomyłkę.

Marie-Luise wytrząsnęła z kubka ostatnią kroplę herbaty.

– Rozumiem, że to, co stałoby się z Joachimem i ze mną, nie ma znaczenia. Mógłbyś jakoś się do tego odnieść?

Nie miałem nic do powiedzenia Sigrun. Utz zrobił krok w stronę córki.

– Chwileczkę. – Wszyscy spojrzeliśmy na Kevina. – Nie jestem dokładnie wtajemniczony w sprawę, ale dla mnie jedyna rzecz, jaka z tego wszystkiego wynika, to zgłoszenie się na policję z powodu naruszenia miru domowego. Dotyczy to was wszystkich tutaj.

– Ma rację – powiedziała Ekaterina. – Nie mamy żadnych argumentów na swoje usprawiedliwienie. Niczego.

– Przecież mówię to cały czas! – krzyknęła Sigrun. – Niczego.

– A Milla? – spytała Marie-Luise. – Ona też jest niczym?

– Została wypisana ze szpitala na własne życzenie – zauważył Kevin.

– Ale nie ma jej u Horsta Cahlowa. – Ekaterina wyszła na środek. – W ogóle nikogo w mieszkaniu nie ma. I sąsiedzi mówią, że tak jest od kilku dni. Byłam tam wczoraj wieczorem.

Kevin zmarszczył czoło. Z wprawą zwijał kolejne skręty – Marie-Luise,

Sigrun. Nawet Utz wziął jednego.

– A więc podsumujmy i dodajmy dwa do dwóch. Piwnica jest pusta, Milla zniknęła. Ten, kto wam to zrobił dziś w nocy, nie ma skrupułów. Przyjmijmy, że nie wiedział, kogo za jednym zamachem załatwia. Ale to właściwie bez znaczenia. Posunął się już tak daleko, że musi dokończyć to, co zaczął. To znaczy zabrać dzieła sztuki i usunąć świadków. Najlepiej obie rzeczy za jednym zamachem.

– Ciężarówka do przeprowadzek – powiedziałem. – Staliśmy za nią naszym samochodem.

Marie-Luise pobiegła pierwsza, ja za nią. Z daleka było widać, że samochód ciężarowy zniknął. Mimo to obeszlśmy pusty parking, mając nadzieję, że znajdziemy jakieś ślady.

– Jest już za górami, za lasami. – Marie-Luise ze złością kopnęła tylne koło naszego auta. Sigrun obserwowała ją uważnie. Wyjęła kluczyki z kieszeni spodni i otworzyła drzwi jaguara. Utz opadł ciężko na fotel.

– Musi wrócić do domu. Nie możemy tu dłużej zostać.

– Okej – powiedziałem. – Odwieź go. A my w międzyczasie postaramy się coś wymyślić.

Sigrun już chciała zamknąć drzwi, kiedy Utz uniósł się nieco na fotelu.

– Poczekaj.

Podał mi swój pistolet.

– Nigdy nie został użyty. Wolałbym, żeby tak pozostało.

– Dziękuję.

Sigrun zatrzasnęła drzwi, ale nie uruchomiła silnika. Wyglądało na to, że chce coś jeszcze powiedzieć. Jednak najwidoczniej przemyślała to sobie, bo uruchomiła silnik i odjechała. Marie-Luise puściła za nią całuska.

– Wielkie dzięki za ratunek. To było bardzo miłe z państwa strony. Niech Bóg wam wynagrodzi. A jeśli się pośpieszę, to zdążę jeszcze na rozdawanie róż dziś po południu w domu seniora w Rudow.

– Daj jej spokój – powiedziałem. – Dziś w nocy sporo się na nią zważyło, dużo się dowiedziała. Pewnie głównie o sobie. I wcale nie jestem taki pewny, że w ogóle jest w stanie to wszystko znieść.

– No, najważniejsze, że my jesteśmy. Mnie też mógłbyś kiedyś tak sympatycznie pocieszać. Przecież ona prawie że sfiksowała tam na dole.

Westchnąłem.

– Właśnie. Ciesz się, że ty jesteś inna.

– To co teraz robimy? – spytał Kevin. – Pojedźcie we dwoje razem czy muszę się liczyć z tym, że po drodze wysadzicie jeszcze w powietrze Ring-Center?

Uśmiechnąłem się do Marie-Luise i otoczyłem ją ramieniem. Niechętnie jakoś się z tym pogodziła.

– Przy okazji powiedz Sigrun, że nie powinna parkować zaraz za samochodem swoich morderców. Aaron bardzo dobrze wiedział, że ona jest tam na dole.

– Jest jeszcze coś. – Podeszła do nas Ekaterina. – Nie zdążyłam załatwić dla was wiz. Będziecie mogli polecieć dopiero w poniedziałek.

– Cholera. – Marie-Luise uwolniła się spod mojego ramienia i zaczęła szukać kluczyków od samochodu. Wiedzieliśmy, co to znaczy.

– To pilne – powiedziałem. – Musimy dowiedzieć się, dokąd Aaron odstawił ciężarówkę. Jeśli rzeczywiście chce polecieć do Kijowa, jaki samolot może wybrać?

– Przypuszczam, że Ukrainian – odpowiedziała Ekaterina. – Szesnasta dwadzieścia.

Za niecałe cztery godziny.

– Musimy się pośpieszyć.

– A ja? – spytał Kevin.

Nie mogłem wysłać go do domu. Nie po tym, co dzisiaj dla nas zrobił. Ale chciałem także, żeby zszedł z linii strzału.

– Pojedziesz do kancelarii. Nie spuszczaj z oczu telefonu. Będiesz naszym człowiekiem kontaktowym. Dzwon do nas co pół godziny. Jeśli się nie zgłosimy, poinformuj policję.

Zrobiłem przy tym nadzwyczaj poważną minę. Kevin skinął głową.

– Weź ze sobą Ekaterinę i pokaż jej zdjęcia Aarona. Ekaterina, pojedziesz potem na lotnisko. Jeśli go zobaczysz, a jeszcze nie będzie za późno, zrób coś. On nie może odlecieć.

Ekaterina i Marie-Luise padły sobie w ramiona. Następnie pobiegliśmy do jej samochodu i odjechaliśmy.

⁴ Człowieku nie irytuj się – niemiecka nazwa popularnej gry planszowej, w Polsce zwanej chińczykiem (przyp. tłum.).

Rozdział 41

Connie powiedziała mi kiedyś, że w jej domu na Akazienstrasse niedawno został otwarty sklep z wełną. Bardzo dziwiła się temu, że ludzie, mimo kosmicznych cen kłębka o wadze pięćdziesięciu gramów, znów zaczęli robić na drutach.

– Szukaj sklepu z materiałami do robótek ręcznych – poprosiłem Marie-Luise; jechałem ruchliwą ulicą tak wolno, jak to możliwe.

– Tam! – krzyknęła.

Zatrzymałem się na drugim pasie, co wywołało zgodny ryk klaksonów i wiązaną przekleństw jadącego kolarzówką mężczyzny. Marie-Luise w pośpiechu wślizgnęła się za kierownicę i udała się na poszukiwanie miejsca parkingowego. Ja zadzwoniłem do drzwi. Była sobota, wczesne popołudnie. Część sklepów była jeszcze otwarta, większość ludzi, nie mając większych zmartwień, robiła ostatnie weekendowe zakupy.

– No, najwyższy czas!

Drgnąłem, kiedy usłyszałem głos Connie przez domofon. Zabrzęczało, drzwi otworzyły się, wszedłem. Connie mieszkała na czwartym piętrze. Bez windy. Stała ze spiętymi wysoko włosami, w śnieżnobiałych butach sportowych. Kiedy mnie zobaczyła, uśmiech zniknął z jej twarzy.

– To ty? Jak ty wyglądasz? Jestem umówiona na tenisa. Nie mam zbyt wiele czasu.

Stałem przed nią, ciężko oddychając.

Popatrzyła na mnie niepewnie.

– Trochę sportu dobrze by ci zrobiło.

– On... nie przyjdzie – wydyszałem.

Connie chwyciła za drzwi, pewnie żeby mi je zatrasnąć przed nosem. Błyskawicznie zrobiłem krok do przodu.

– Coś się stało?

Przecisnąłem się koło niej do korytarza małego mieszkania w starej

kamienicy. Ściany były pomalowane na kolor pomarańczowy i żółty, w otworach drzwiowych wisiały orientalne zasłony z idiotyczną kreską z piór, jakie w sklepach New Age sprzedawano za duże pieniądze jako łapacz snów. Pachniało aromaterapią. Pink Grapefruit lub Nirvana Delight, coś uspokajającego.

– Dziś w nocy próbował nas zabić. Sigrun, Utza, moją koleżankę i mnie.

Connie powoli zamknęła drzwi.

– Kto?

– Twój nowy przyjaciel.

Oparła się plecami o drzwi mieszkania, zabręczała delikatnie złota bransoletka.

– Jak na coś takiego wyglądasz na bardzo ożywionego. Ale to mnie wcale nie dziwi. Wiem, że kłamiesz. Ostrzegał mnie przed tobą. Ale że posuniesz się aż tak daleko...

– Gdzie on jest?

Wyśmiała mnie.

– Może się tu zjawić w każdej chwili. Wtedy sam będziesz mógł mu wszystko opowiedzieć.

Jak na zawołanie rozległ się dzwonek. Connie przycisnęła guzik otwierający drzwi. Czekaliśmy, aż kroki na schodach będą wystarczająco blisko. Connie otworzyła drzwi i osłupiała.

– Hoffmann – usłyszałem głos Marie-Luise. – On i ja jesteśmy razem. Czysto zawodowo oczywiście.

Wciągnąłem ją do mieszkania.

– Ona nam nie wierzy.

Marie-Luise wystarczył jeden rzut oka, by wiedzieć, że Connie nie jest przeciwniczką. Podeszła więc do sprawy łagodnie.

– Aaron jest pani kochankiem, tak?

Connie zerknęła na zegarek.

– Moglibyście zdjąć buty? Strasznie tutaj wszystko pobrudzicie.

Marie-Luise jęknęła.

– Ale opowiedziałeś jej o wszystkim?

Przytaknąłem.

– I w tych okolicznościach pani nam nie pomoże? Co w takim razie musiałyby się stać?

Odciągnąłem Connie od drzwi wejściowych do mieszkania i poprowadziłem

do kuchni.

– O której byliście umówieni?

Connie patrzyła na podłogę.

– O dziesiątej.

– Nigdy nie czekałam na faceta pięć godzin – powiedziała Marie-Luise od drzwi kuchennych. – Wszystko powyżej piętnastu minut to zwykle marnowanie czasu.

Connie spojrzała na nią.

– Może coś mu się stało?

– Może coś nam się stało – powiedziałem nieco głośniej. – Może chce, zamiast grać w tenisa, najpierw troszeczkę się obłowić i przy okazji popełnić ze dwa morderstwa?

– On taki nie jest – szepnęła.

Głęboko zaczerpnąłem powietrza.

– Ty już wykonałaś swoje zadanie, Connie. Wyszpiegowałaś mnie i opowiedziałaś mu to, czego chciał się dowiedzieć. Gra dobiegła końca. Gem, set i mecz dla Aarona von Lehnsfelda.

– Nie. – Connie stanęły łyzy w oczach. – To nieprawda.

Marie-Luise przysunęła sobie lakierowane na biało metalowe krzeselko.

– On panią wykorzystał, a teraz panią rzuca jak gorący kartofel. Niech nam pani pomoże. Musimy go znaleźć.

– Nie – powiedziała Connie jeszcze raz. Wielka łza oderwała się od jej rzęsy i potoczyła się wzdłuż nosa w dół. Otarła ją sobie wierzchem dłoni.

– To nieprawda, że cię szpiegowałam. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. Przecież to wiesz. Nawet tego nie potrafię – szeptała. – To Harry mnie do ciebie wysłał.

– A Aaronowi później wszystko opowiedziałaś. Tak mimochodem. Przy homarze, łososiu i kawiorze. Czy w klubie Felix pytał cię o plany Grünau?

Spuściła wzrok, po policzku potoczyła się druga łza.

Z wolna straciłem cierpliwość.

– Musimy się dowiedzieć, gdzie mógłby teraz być. Czy jest jakieś miejsce, którego nie znamy? Miejsce, w którym mógłby coś ukryć? Ludzi? Samochód ciężarowy z ładunkiem skrzyń?

Connie nie słuchała. Palcem wskazującym malowała na kuchennym stole fantazyjne wzorki.

– Connie!

Nie zareagowała. Marie-Luise położyła dłoń na ręce Connie.

– Dlaczego on to robi? – spytała Connie przyduszonym głosem. – Dlaczego mówi, że mnie kocha i że według niego jestem super, nawet jeśli nie potrafię jeść homara? Przecież chciałam się nauczyć, ale powiedział, że w ogóle nie o to chodzi. Powiedział, że jestem kimś wyjątkowym. Nieoszlifowanym diamentem, który trzeba tylko oszlifować... – Umilkła i wzruszyła ramionami.

– Śpiącą królową, którą trzeba przebudzić pocałunkiem? – Marie-Luise skinęła w jej kierunku.

Być może Connie oczekiwała drwiny. Ale Marie-Luise tylko ścisnęła jej rękę.

– Wiem, o co pani chodzi – powiedziała. – Znam wiele historii o nieodkrytych tajemnicach, jakie się w nas kryją. I nienawidzę siebie za to, że naprawdę w nie uwierzyłam. Ponieważ nie wyobrażałam sobie, że mężczyzna, którego kochałam, mógł tak mnie okłamać.

Connie powoli cofnęła rękę. Spojrzała na zegarek.

– Nie da się go złapać. A jego matka nie chce ze mną rozmawiać. Nie znosi mnie.

– Proszę nam powiedzieć, co pani wie. To nie zdrada, Connie. Pani sama została zdradzona.

Connie słabo się zaśmiała.

– Właściwie pomyślałam, że to będzie koniec. – Wstała. – Jest domek weekendowy nad jeziorem. Nie pamiętam, jak się nazywa. Byłam tam tylko raz. Jest tam wielki parking i bezpośrednio za nim po prawej leśna droga prowadzi nad jezioro. Sto metrów od brzegu po lewej jest szlaban. Odgałęzienie prowadzi bezpośrednio do domu. – Zaszlochała. – Jest dość duży. Zaraz za nim w lesie stoi szopa na drewno i narzędzia. W ubiegłym tygodniu całkowicie ją opróżnił. Chciał mieć miejsce na swój samochód.

– Które to jezioro, Connie?

Złapała się za głowę.

– Nie wiem. To gdzieś za Wandlitz. Nie zapamiętałam drogi zbyt dokładnie.

– Masz może mapę Brandenburgii?

Skinęła głową i wyszła.

– Eureka – szepnęła Marie-Luise. – Teraz go dorwiemy.

Nie знаła Connie.

– Mam ją.

Rozpostarliśmy mapę na stole i zaczęliśmy szukać na północ od Berlina.

– Wandlitzer See? Werbellinsee? Grimnitzsee? – spytałem.
Connie pokręciła głową.
– Mniejsze.
Szukaliśmy mniejszych jezior. Briesensee, Lübelowsee, Templiner See.
– Nie koło Templina. Jeszcze mniejsze.
– Jak małe? – burknęła Marie-Luise. – Czy jest na mapie, tylko kiedy się na nią plunie?
Connie totalnie się zaplątała. Próbowwała się skoncentrować. Drżącymi rękami jeździła po mapie.
– Zastanów się – zachęcałem ją. – Parking. Czy było coś w pobliżu, co mogłoby nas naprowadzić na to miejsce? Restauracja, leśniczówka?
– Karin – szepnęła. – To miało coś wspólnego z Karin.
Marie-Luise przewróciła oczami.
– Któż znowu?
Connie dalej przeszukiwała mapę.
– A może Karinsee? Niedaleko był punkt nurkowania. On nawet coś znalazł. Stare skorupy i takie tam.
– W Marchii Wkrzańskiej? – spytałem.
Przypomniałem sobie skorupy z biura Aarona. Oczywiście założyłem, że znalazł je tam, skąd pochodziły: w basenie Morza Śródziemnego, w Egei albo w Aleksandrii. Nie przyszło mi do głowy, że mógł je wyłowić w jakimś bajorze w puszczy Schorfheide. Zadzwoiła moja komórka.
To był Kevin, z pytaniem, czy wszystko u nas w porządku. Poprosiłem go, by usiadł przy komputerze i coś dla nas znalazł.
– Hasło: nurkowanie, Karinsee – Schorfheide.
Kevin przeszedł z telefonem do sąsiedniego pomieszczenia. Czekaliśmy.
– Nic – zameldował minutę później. – Nie da się nieco dokładniej? Właściwie to czego szukacie?
– Dokładniej – powiedziałem do Connie.
– Polowanie? – spytała z wahaniem.
– Polowanie – powtórzyłem pokornie Kevinowi. – Nurkowanie, jezioro, Karin, Marchia.
Trzydzieści sekund później otrzymaliśmy odpowiedź.
– Bingo. Grosser Döllnsee. Oddalone około pięćdziesięciu kilometrów od północnej granicy miasta.
Zakończyłem rozmowę. Teraz należało się pośpieszyć.

– Bardzo nam pomogłaś – powiedziałem.
Connie pokręciła głową.
– Zrobił ze mnie szpicla. Tego nie wolno mu było robić.
Marie-Luise otworzyła drzwi.
– Kiedy już będzie po wszystkim, zajrzę jeszcze do pani, dobrze?
– To nie jest konieczne. – Connie się zaśmiała. – Proszę mu przekazać ode mnie piękne pozdrowienia. W łóżku nie jest nawet nieoszlifowanym diamentem. Żadne szlifowanie mu nie pomoże.

Nie było to łatwe w letni weekend wyjechać z miasta, i to w dodatku w kierunku Prenzlau. Ledwie zjechaliśmy z autostrady, mogliśmy się posuwać jedynie w żółtym tempie po obsadzonych drzewami drogach Marchii.

– Ona pochodzi ze Wschodu – powiedziała Marie-Luise. – Zawsze jestem jeszcze w stanie to rozpoznać. Jakoś wciąż pozostaliśmy wiernymi, naiwnymi zajaczkami. Martwię się o nią.

– O Connie? – spytałem. – Ona jest jak podbiał. Zawsze dochodzi do siebie.

Marie-Luise pokręciła głową i zredukowała bieg, kiedy dojechaliśmy do kolejnej wioseczki. Mieszkańcy wystawili przed domy składane stoliki, na których było ustawione wino owocowe, bukiety kwiatów i przetwory domowe. Na ostrym zakręcie cudem uniknęliśmy zderzenia z kilkoma skrzynkami ziemniaków i jabłek.

– Ona wie, co to znaczy, kiedy inni kimś manipulują. Ponieważ ona sama została wykorzystana. Jest delikatną rośliną. Żadnym tam podbiałem. Nie można wiecznie po niej deptać.

Być może Marie-Luise miała rację. Connie próbowała tak rozpaczliwie stać się kimś wyjątkowym. Jej adaptacja kolejnych stylów życia, za pomocą których starała się ukryć swoją prostoduszność; jej unikanie doświadczeń, które mogłyby narazić ją na ryzyko, że kiedyś się pomyli. Tak bardzo się starała, a mimo to nie udawało jej się, ponieważ z całych sił starała się nie być sobą.

– Döllnsee – wymamrotała Marie-Luise. – I Karin. Jeszcze jedna nieznajoma.

Nieznajoma. Obca. Teraz mnie olśniło. To, co przez cały czas kołatało mi po głowie. Utracone wspomnienie czegoś bardzo, bardzo ważnego. Komin z drzwiczkami. Złamana ręka.

Marie-Luise jechała tak szybko, jak się dało, jedyną drogą, która prowadziła przez obszar ochrony natury Schorfheide. Gęste lasy. Modrzewie i brzozy. Piaszczyste wydmy.

Zadzwoiłem do Ekateriny.

– Pojawił się już?

– Nie – odpowiedziała. W tle usłyszałem zapowiedź lotu do Londynu. – Okienko do odprawy linii Ukrainian jeszcze nie jest otwarte. Macie jeszcze dwie godziny.

– Albańczycy – powiedziałem.

Marie-Luise spojrzała na mnie krótko, następnie znów skupiła uwagę na marchijskiej alei.

– Drugi mężczyzna, który był wtedy w czasie napadu u nas w biurze. Złamałem mu rękę.

– Lewą czy prawą? – spytała Ekaterina tak spokojnie, jakby była pielęgniarką na izbie przyjęć.

– Tego nie wiem. Ale gdyby do samolotu do Kijowa wsiadał ktoś, kto ma rękę w gipsie, to będzie on.

– Będę miała szeroko otwarte oczy. Gdzie jesteście?

Wyjaśniłem jej, dokąd jedziemy.

– Bądźcie ostrożni – poprosiła. – Czy nie powinnam jednak poinformować policji?

– Jeszcze nie. Dopiero kiedy go dorwiemy.

Schowałem telefon do kieszeni kurtki. Przejeżdżaliśmy akurat koło drogi dojazdowej do wybiegu dla dzikich zwierząt. Chwilę później Marie-Luise zredukowała prędkość, ponieważ na leśnej polanie przed nami pojawił się wielki parking.

– W lewo jest droga do bazy nurkowej – przeczytała Marie-Luise na szyldzie. – W prawo do hotelu. Leśna droga musi być gdzieś tutaj.

Było wiele leśnych dróg. Dziesiątki. Ale nasza musiała być wystarczająco szeroka, by mógł ją przejechać samochód ciężarowy. Przeprowadziliśmy kilka prób, w końcu trafiliśmy na tę właściwą. Kawałek dalej zatrzymaliśmy się przed pomalowanym w białe i czerwone pasy szlabanem. Marie-Luise ustawiła samochód w gęstych zaroślach, wysiedliśmy.

Sprawdziłem, czy pistolet bezpiecznie tkwi za paskiem moich spodni i czy w razie potrzeby będę w stanie wystarczająco szybko po niego sięgnąć. Ruszyliśmy.

Ściółka była wysuszona na popiół. Igły modrzewiowe pokrywały ją niczym jasnobrązowy dywan. Mimo usilnych starań, by iść cicho, co chwilę nadeptywaliśmy na drobne gałązki, które głośno trzaskały. W końcu zeszedliśmy z drogi i zaczęliśmy przekradać się za pniami drzew. Po jakichś stu metrach gęsty las się skończył i wyjrzeliliśmy z krzaków na dużą leśną polanę.

Stała na niej mała chata myśliwska z ciemnego drewna, z niskim dwuspadowym dachem i czerwono-białymi firankami. Nad drzwiami wisiało poroże wspaniałego jelenia dwunastaka. Szopy nie dostrzegliśmy. Słyszeliśmy natomiast głośny warkot.

– Musi być za domem – szepnąłem.

Marie-Luise skinęła głową. Obserwowaliśmy przez dłuższą chwilę dom i polanę, w końcu pochyleni ruszyliśmy w stronę wejścia do chaty. Przycupnęliśmy pod jednym z okien i przywarliśmy do drewnianej ściany. Nic się nie poruszyło. Marie-Luise ostrożnie zajrzała do środka.

– Nic – szepnęła. – Idziemy dalej.

Przekradliśmy się za róg domu i wtedy zobaczyliśmy ciężarówkę. Zaparkowana dokładnie za chatą, zasłaniała widok na szopę. Silnik pracował spokojnie i równomiernie, jednak nikt nie siedział za kierownicą.

Zasugerowałem Marie-Luise, żeby poczekała, a sam najciszej, jak mogłem, podszedłem do samochodu. Następnie spróbowałem otworzyć drzwi do przestrzeni ładunkowej.

– Nic z tego.

Obróciłem się i zobaczyłem najpierw wylot lufy, a następnie zaczerwienioną z emocji twarz dziecka. Aaron von Lehnsfeld.

– Czy mogę spytać, czego pan i pańska czarująca towarzyszka bez pozwolenia szukacie na mojej posesji i ziemi? – Machnął pistoletem w kierunku chaty. – Młoda damo, czy zechciałaby nam pani towarzyszyć?

Marie-Luise z wahaniem wyszła z ukrycia.

– Trochę szybciej. Nie mam nieskończenie dużo czasu. I czy byłaby pani uprzejma, pan też, unieść swoje ręce?

Zrobiliśmy, co nam kazano.

– O tak. A teraz proszę, żebyście się powoli odwrócili. Ręce na drzwi.

Od razu znalazł mój rewolwer. Schował go. Wyłączył nasze komórki i wyrzucił je w krzaki. Następnie obmacał Marie-Luise. Bardzo dokładnie.

Kiedy po raz drugi dotknął ją między nogami, wbiła mu łokieć w brzuch. Aaron zatoczył się. To była nasza szansa: rzuciłem się na niego, on jednak szybko odskoczył. Złapał przy tym Marie-Luise za włosy i przyciągnął ją do siebie, przytykając jednocześnie lufę swojego pistoletu.

– Jeden fałszywy ruch – wysyczał – i ona będzie martwa. Niech pan jej daruje jeszcze kilka minut.

Podszedłem do ciężarówki, Aaron popchnął Marie-Luise w moim kierunku.

– To byłoby czwarte morderstwo – powiedziałem. – Nadążam jeszcze z rachunkami? – Musiałem nakłonić go do mówienia. Każdy przestępca jest dumny ze swoich dokonań i chce poczuć satysfakcję, że jego plan się powiódł. Mówiłby i mówił, a w tym czasie Ekaterina złapałaby drugiego człowieka na lotnisku, a Kevin zacząłby coś podejrzewać. Kevin miał dzwonić. Co pół godziny. Ile czasu minęło od ostatniego telefonu?

Aaron zaczął się śmiać.

– Nie jestem aż taki szybki. Pozostała dwójka cieszy się jak najlepszym zdrowiem. Aczkolwiek nie mogę powiedzieć, jak długo to potrwa. Może godzinę? Dwie?

– Gdzie oni są?

– Niedaleko, skoro to pana tak niepokoi. Nie umrą osamotnieni.

– Proszę uważać – powiedziałem. – Nie byłbym tego taki pewien, zważywszy na pański dyletantyzm.

– Ach tak. – Aaron odbezpieczył broń. Sig sauer, taki sam jak Sigrun. Pewnie mieli tego samego dostawcę. – Próba generalna miała miejsce dzisiaj, prawda? Jak właściwie udało się wam stamtąd wydostać?

– Dzięki odpowiedniemu planowi i jego inteligentnemu wykonaniu – odparła szorstko Marie-Luise. – Jest pan za głupi na takie przestępstwo.

Oczy Aarona zwęziły się. Mnie się nie udało, ale Marie-Luise zaszła mu za skórę.

– W takim razie powiedz mi, ty ruda cipo, jak się tutaj znaleźliście? Bo umiecie obsługiwać system nawigacyjny? A może ktoś wam pomógł? – Podszedł do niej i wolno przejechał lufą pistoletu od jej brody aż do piersi.

– Wystarczy dodać dwa do dwóch – powiedziałem.

– Tak? Jestem bardzo ciekawy.

– Chciał pan się dostać do piwnicy. I do tego, co się tam znajduje. Czy to się przynajmniej opłacało?

Aaron uśmiechnął się i wskazał pistoletem na szopę.

– Rączki ładnie w górze. Tak jest dobrze. Pozwolę wam jeszcze rzucić okiem na to, co osłodzi moje życie, a będzie kosztować wasze.

Na jego polecenie Marie-Luise otworzyła drzwi.

– Możecie wejść. Proszę bardzo. Podziwiającie ostatnią tajemnicę Carinhall.

Szopa nie miała okien, ale przez szpary między deskami wpadało trochę światła. Potknąłem się o jedną ze skrzyń, które widziałem przez dziurę w ścianie w Grünau. Aaron podniósł z ziemi starodawną lampę naftową i podał mi ją.

– Zapalić.

Marie-Luise wyjęła swoją zapalniczkę. Podniosłem szkło, a ona drżącymi rękoma podetknęła płomień pod knot. Światło nie było jasne, jednak nasze oczy szybko się do tego przyzwyczyły. Podniosłem lampę i oświetliłem scenę, która wyglądała jak przeprowadzka dziesięcioosobowej rodziny.

– Carinhall? – zapytałem. – Co to jest?

Aaron kazał nam przejść na środek pomieszczenia. Sam usiadł na stercie desek, które przy dokładniejszych oględzinach okazały się ramami obrazów.

Jedna ze skrzyń była otwarta. Wystawała z niej wełna drzewna.

– Czy mogę?

Aaron skinął głową w moją stronę. Świetnie, chciał, żebyśmy podziwiali jego śmiałe przedsięwzięcie. Wyjąłem statuetkę z brązu. Mały, puciołowaty amerek tańczący na czubkach palców, z napiętym łukiem w rękach.

– Niezły kicz – powiedziałem. – Reszta też taka jest?

– Kicz? – Aaron zerwał się na równe nogi. Chwycił pierwszy obraz ze sterty. – Proszę. Flamandzkie arcydzieło, połowa osiemnastego wieku, niderlandzka, francuska, włoska klasyka. Obrazy, tapiserie, a tutaj... – Oparł nogę na skrzyni, o którą się potknąłem. – Czerwone wino.

– Czerwone wino? – spytałem. Odwróciłem się do Marie-Luise. – Czy istnieje czerwone wino, za które warto zabić?

– Nie mam pojęcia – odparła. – Ja kupuję zawsze takie w kartonie.

– To nie jest zwykłe czerwone wino! – Aaron splunął. – To wino feldmarszałka Göringa.

– Ty brunatny gnoju! – Marie-Luise czubkiem buta kopnęła w skrzynię stojącą koło niej. – Teraz rozumiem. Carinhall.

– Widzę, że coś się klaruje. Czyżby pani możliwości matematyczne jednak przekraczały poziom szkoły podstawowej?

– Carinhall zostało zrównane z ziemią – powiedziała Marie-Luise. –

Narodowa Armia Ludowa wyrównała teren i posadziła drzewka. Niczego już tam nie ma. Temu, kto wierzy, że coś tam jeszcze zostało, nie można już pomóc.

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, o co chodzi? – spytałem.

Aaron spojrzał na mnie.

– Pańska urocza towarzyska pod względem wiedzy o ojczystym kraju jest wyraźnie lepsza niż pan, Vernau. Carinhall było rezydencją myśliwską Göringa, nazwaną tak od imienia jego żony, baronowej Karin von Fock. Znajdowała się tam największa prywatna kolekcja sztuki w Rzeszy Niemieckiej. Göring interesował się przede wszystkim wczesnymi mistrzami z krajów nordyckich.

Marie-Luise odchrząknęła. Aaron nonszalancko skierował na nią pistolet.

– Nie jestem nazistą. Trochę więcej dumy i miłości do ojczyzny, nieco mniej anarchii i pseudoliberalizmu to tak. Mniej obcokrajowców, więcej dzieci niemieckich, orzecznictwo sądowe, które szanuje prawo... To mi wystarczy.

– Mnie też – odparła Marie-Luise. – Rzygać się chce.

– Nie podzielam też jego gustu artystycznego. Za dużo nagich, grubych kobiet. Ja wolę raczej szczupłe i wysportowane. Takie jak pani. Kobiety, które potrafią utrzymać się w siodle. Rozumie pani, co mam na myśli?

– Starczy tego – powiedziałem i zrobiłem krok w jego kierunku. Kula wbiła się w ziemię tuż przed moimi stopami.

Aaron wycelował nieco wyżej.

– To ja decyduję o przebiegu rozmowy – powiedział. – Ostatni człowiek renesansu, jak lubił mówić o sobie Göring, uwielbiał osobiście pokazywać gościom swoją kolekcję. Na zakończenie Mussolini, Hoover czy Windsorowie dostawali jeszcze łyk szlachetnego trunku z piwnicy z winami. Spróbujemy?

– Jasne – odparłem. Wszystko, co go rozpraszało, było mi na rękę.

– Nie, dziękuję – odparła Marie-Luise.

Nie rozumiała, o co mi chodziło. Mogłem już liczyć tylko na to, że Ekaterina złapała Albańczyka na lotnisku.

Aaron wzruszył ramionami.

– Nie wiecie, co tracicie. Później wypiję za wasze zdrowie. Żeby wam się powiodło, gdziekolwiek wtedy będziecie.

– Co stało się z Carinhall? – spytałem.

– Rosjanie sforsowali Odrę. Göring nie chciał, żeby Carinhall wpadło w ręce wroga. Zarządził bombardowanie...

– W ten sposób niewątpliwie wyświadczył światu wielką przysługę. –

Marie-Luise po prostu nie umiała się powstrzymać.

– ...jednak rozkaz został wykonany dopiero po tym, jak wysłał swoją kolekcję dzieł sztuki, wartą sześćset milionów reichsmarek, do Berchtesgaden. Dwa wagony nigdy tam nie dotarły. Zostały skierowane gdzie indziej. Do Belgii.

Aaron skrzyżował ramiona. Niestety broń nadal trzymał skierowaną w moją stronę.

– Przejął je Wilhelm von Zernikow. Kiedy alianci zajmowali Belgię, razem z zaprzyjaźnionym urzędnikiem kolei wysłał wagony z powrotem do Berlina. Ich zawartość powędrowała do piwnicy mojego dziadka i została uznana za zaginioną. Kradzież idealna.

– Z jedną małą rysą – odparłem. – Natalia widziała Wilhelma.

Aaron zmarszczył czoło.

– Natalia. Opiekunka do dzieci. Tak.

Wolną ręką podniósł pierwszą z brzegu ramę.

– Co to jest? Tintoretto? Rembrandt? Van Dyck?

Rzucił obraz w naszą stronę. Marie-Luise złapała go.

– Lucas Cranach Starszy – wyszeptała.

Obraz nie był duży. Widniała na nim Dziewica Maria, z uśmiechem patrząca na małego Jezusa siedzącego na jej kolanach.

– A to?

Marie-Luise musiała puścić Cranacha, by uratować kolejny obraz przed roztrzaskaniem się na podłodze.

– Tycjan – wyszeptała. – To jest Tycjan! Siódma Wenus!

Aaron przytaknął.

– Rozejrzyjcie się dokoła. Vermeer, Courbet, Tischbein. Miedzioryty Dürera, Skąła Lorelei Caspara Davida Friedricha. Zaginionej arcydzieła. Bezcenne. Majątek.

Z śmiechem przechadzał się od skrzyni do skrzyni.

– Złote monety, srebrna zastawa. Rodzinna biżuteria wielkich książąt. Może nawet jeszcze jedna Biblia Gutenberga? To trochę jak Boże Narodzenie i urodziny. Nie mogę się doczekać, żeby to wszystko rozpakować.

Odchyliłem dużą ramę, która znajdowała się przy mnie oparta o ścianę, i spojrzałem na obraz znajdujący się po drugiej stronie. Była to żywa kompozycja świecących barw spektralnych.

– Ach, to tutaj – powiedział Aaron. – To jest towar na wymianę, pewnie

przeznaczony dla Lucerny albo biura Mühlmanna. Pozostałość po wystawie sztuki wynaturzonej.

Zbliżył się do nas o krok. Odwróciłem obraz i oświetliłem go.

– Franz Marc, *Wieża niebieskich koni*. Arcydzieło, prawda? Jest wart spokojnie dwadzieścia milionów. Z tyłu znajduje się jeszcze trochę dzieł ekspresjonistów oraz kilka Pissarrów i Cézanne’ów. A teraz proszę mi zdradzić, moja droga lewicowa, gardząca dobrym czerwonym winem damo: dlaczego cały świat mówi o paleniu książek, a nie o tym, co dwudziestego marca tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego uczyniono sztuce?

Marie-Luise prawie go nie słuchała, wpatrzona w obraz.

Aaron usiadł na jednej ze skrzyń i obserwował ją.

– Siedemnaście tysięcy skonfiskowanych obrazów. Tysiąc z nich spalono w ramach ćwiczeń na dziedzińcu berlińskiej głównej komendy straży pożarnej. Reszta zachowana po to, by później wymienić je za granicą na kilka grubych flamandzkich kobiet. Czy nie uważacie, że uwolnienie ich z tej piwnicy jest aktem łaski i sprawiedliwości?

– Pod warunkiem, że odda je pan prawowitym właścicielom.

– To jest bezpieczne dobro, porzucone przez historię. Dlaczego nie zadacie tego samego pytania Amerykanom, którzy splądrowali Berchtesgaden? Dlaczego nikt nie żąda od Rosjan zwrotu ich łupów wojennych? Dlaczego nasze władze nadal oferują prawdziwym złodziejom odszkodowania i są zbyt tchórzliwe, żeby nazywać je okupem? Niczego nie ukradłem. Ja tylko znalazłem.

– Z kim dzieli się pan łupem? – spytałem.

Aaron oderwał w końcu wzrok od Marie-Luise i zwrócił się w moją stronę.

– Dzielić? A po co?

– Nie przeprowadził pan tej operacji sam. Ktoś panu pomagał. Kto to był?

– Parobki – zaśmiał się Aaron. – Niestety, chcą gotówkę. Rysunek Dürera ich nie zadowoli. – Zrobił krok w kierunku wyjścia.

– Krzyżyk Natalii – powiedziałem – też pochodził z rabunku?

– Jaki krzyżyk? – spytał Aaron. Uniósł broń i ruchem lufy skierował nas do drzwi. – Nic nie wiem o jakimś krzyżyku.

– Utz podarował Natalii złoty krzyżyk, który znalazł w piwnicy. Później pański dziadek zarzucił jej kradzież i złożył na nią donos. Została skazana.

Aaron zamknął wieko jednej ze skrzyń.

– A tak, przypominam sobie. To było żenujące. Dziadek mi o tym

opowiedział. Moje dzieciństwo było przyćmione jego przerażającymi historiami z czasów obu wojen światowych. Dziewczyna zwyczajnie znalazła się w złym miejscu w nieodpowiednim czasie. Jestem przekonany, że nawet nie wiedziała, co wtedy zobaczyła. Oni jednak pewnie nie mieli innego wyjścia. – Pogłaskał po pupie cherubinka z brązu. – Ja też nie miałem wyboru. Ta stara kobieta, ta Rosjanka, która przyszła do Zernikowów w związku z tym głupim zaświadczeniem... Kiedy pojawiła się u starego, naprawdę myślałem, że opiekunka wróciła. Wierzcie mi, nienawidzę krzywdzić starszych pań.

Marie-Luise odwróciła się w jego stronę.

– Serce mi się łamie.

Aaron zamachnął się i uderzył ją w twarz. Z nosa buchnęła jej krew. Zanim zdołałem ruszyć jej z pomocą, wycelował broń w moją pierś.

– Uwaga – powiedział cicho. – Uwaga. Nie znoszę, gdy ktoś staje między mną a moim spadkiem.

– Został skradziony – powiedziałem. – I opłacony krwią.

Aaron podał Marie-Luise chusteczkę. Śnieżnobiały, świeżo wyprasowany batyst.

– Nikogo to nie będzie interesować. Rynek jest mały, ale dyskretny. Zresztą wydaje mi się, że już wystarczająco dużo zobaczyliście.

– Niech pan przynajmniej zostawi w spokoju Natalię i Millę – powiedziałem. – Nic nie zrobiły i o niczym nie wiedziały.

Aaron pokręcił głową.

– Nie mogę podjąć takiego ryzyka. Utz będzie jej szukał. Chce się z nią zobaczyć, odkąd wie, że żyje. Nie rozumiem tego. Stara Ukrainka. Nie znam nikogo, kto z chęcią wspomina swoją opiekunkę. Ale Utz chce do niej pojechać. Nie mogę do tego dopuścić. Będzie miała wypadek. Wypadnie... – Obrócił się wokół własnej osi. Niestety za szybko. Stał niczym Lucky Luke i szczyrzył zęby. – Wypadnie z okna. Wiedzieliście, że w Moskwie więcej ludzi umiera, wypadając z okna, niż z powodu samobójstwa? Chodzi o ich mieszkania. Są kosztowne, a starzy nie chcą ich oddać. Kiedy zawiodą wszystkie inne metody, przychodzą wypychacze. Ten zawód wreszcie zaczął być doceniany w niektórych kręgach. Żadnych pytań, żadnych świadków. Chwilowy zawrót głowy podczas mycia okien, ktoś za bardzo się wychylił i po problemie.

Marie-Luise trzymała zakrwawioną chusteczkę pod nosem.

– Jest pan odrażający.

– Wiem. – Aaron wyszczerzył zęby. – Drodzy państwo, tędy proszę.

Postawiłem lampę tuż przy węlnie drzewnej. Była stara i mocno wysuszona. Jeśli zajęłaby się ogniem, chwilę później wszystko buchnęłoby jasnym płomieniem. Musieliśmy zyskać czas, w jakikolwiek sposób. Miałem wielką nadzieję, że gorąco lampy wystarczy.

Aaron niczego nie zauważył. Opuściliśmy szopę.

Wtedy to usłyszałem. Odgłos silnika. Leśną drogą z dużą prędkością nadjeżdżał jakiś samochód.

Aaron też go usłyszał. Rozdął nozdrza, jakby chciał węchem poznać, kto nadjeżdża. Po chwili pośpiesznie podszedł do drzwi ciężarówki i otworzył je.

– Do środka. Szybko.

Na podłodze leżały dwa ciasno związane tobołki. Ze środka buchnął smród spalin.

– Ty świnió! – krzyknęła Marie-Luise. – Ty podła, brudna...

Uderzył ją pistoletem w skroń. Upadła.

– No już, podnieś ją.

Obejrzałem się na chatkę myśliwską.

– No już. – Przycisnął mi lufę pistoletu do karku.

Uklęknąłem i pochyliłem się nad Marie-Luise.

– Nie!

Krzyk dobiegł od strony chatki. W naszą stronę szybkim krokiem zmierzała Connie.

Aaron cofnął się i opuścił broń.

– Co ty tutaj robisz?

Jeszcze nigdy w życiu nie ulżyło mi tak bardzo na widok Connie.

– Niech pan się podda, panie Lehnsfeld. Pięć morderstw to już naprawdę przesada. Nawet ja nie mógłbym panu pomóc.

Connie stanęła i zakryła usta dłonią.

Pochyliłem się nad Marie-Luise. Oddychała płytko. Mała strużka krwi wypływała z rany na skroni i chowała się we włosach. Ułożyłem ją w pozycji bocznej i chciałem wejść do ciężarówki, aby pomóc innym.

– Proszę ją wnieść do środka. – Aaron znowu wymierzył we mnie broń. Wolną rękę wyciągnął do Connie. – Chodź tu.

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, jednak Connie faktycznie poczłapała ku niemu. Miała na sobie białą jedwabną sukienkę. Brakowało tylko kapelusza i rękawiczek, żeby Aaron mógł zabrać ją ze sobą na mecz polo. Otoczył ją

ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Zapomniałem o naszej partyjce tenisa – powiedział. – Zapraszam cię za to do restauracji. W porządku?

Connie kiwnęła głową.

– A co tu się dzieje? – spytała głosem, który w każdej chwili mógł się załamać. – Martwiłam się. Dlaczego silnik jest włączony? A ci ludzie w środku, o co tu chodzi?

Aaron złożył pocałunek na czubku jej głowy.

– Nic z tego nie zrozumiesz. Bądź grzecznym dzieckiem i wejdź do domku. Ja tu już wszystko załatwię.

– Connie – powiedziałem – on chce nas wszystkich zabić. Nie możesz się temu po prostu przyglądać.

– Ona nie ma na to patrzeć – odparł Aaron. – Idź już. To nie potrwa długo.

Connie niepewnie wyswobodziła się z jego objęć.

– Aaron, kochasz mnie?

Patrzyłem na nią z otwartymi ustami. Aaron tak samo.

– Nie! – krzyknąłem. – On cię nie kocha! Robi z ciebie współpracę, nie widzisz tego?

– Kochasz mnie?

Dla Aarona ewidentnie za długo to trwało.

– Idź do środka! – wrzasnął.

Connie stała z drżącymi ustami. Niestety nie na linii strzału. A była naszą ostatnią szansą.

– Ciebie też zabije – powiedziałem. Nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Aaron wycelował w moją stronę.

– Zamknij mordę, dupku. Wpakuj w końcu tę rudą dupę do środka. A ty spieprzaj wreszcie do chałupy. W tej chwili, bo jak nie, zaraz możesz dołączyć do reszty.

– Kiedy ludzie się kochają, zawsze można znaleźć wyjście. Powiedz to. Tylko ten jeden raz.

Aaron wycelował broń w Connie, potem znowu we mnie. Nie mógł się zdecydować.

– Ty głupia krowo! Boże, jak ty mi działasz na nerwy.

– Nie... nie mówisz chyba poważnie? – wyjąkała.

– Wypierdalaj stąd! Nie rozumiesz po niemiecku? Wy-pier-da-laj!

W tym momencie z szopy zaczął wydobywać się dym. Wełna drzewna zajęła

się ogniem. Zobaczyłem płomienie w oczach Aarona, które powiększyły się ze strachu.

– Do kurwy nędzy! Co jest?

Popędził do szopy. Płomienie zaczęły już lizać drewniane skrzynie.

– Zrób coś! – wrzasnął do Connie. – Rusz w końcu tę swoją głupią dupę! Przynieś wodę!

Connie jednak stała jak wrośnięta w ziemię. Aaron wpadł do szopy. Próbował zdeptać płomienie, starając się przy tym nadal trzymać mnie na muszce sig sauera. To była moja jedyna szansa. W trzech krokach dopadłem drzwi szopy i chciałem je zamknąć.

Wtedy usłyszałem strzał i poczułem silne uderzenie w klatkę piersiową, które zatrzymało mnie w pół ruchu. Potknąłem się i upadłem twarzą na trawę.

Jeszcze jeden strzał. Aaron zachwiał się. Z otwartymi ustami wpatrywał się w Connie. Jak przez mgłę zobaczyłem ją – trzymała w dłoni broń Utza. Musiała odebrać ją Aaronowi, kiedy przyciągnął ją do siebie.

Ciemnoczerwona plama rozlewała się coraz szerzej na jego piersi. Dowłókł się do drzwi szopy i uchwycił framugi. Śmiał się i kaszłał jednocześnie.

– Ty... ty... głupia...

Connie opróżniła cały magazynek. Aaron upadł pół metra ode mnie. Jego oczy były martwe, zanim jego głowa uderzyła o ziemię.

Mogłem już tylko leżeć i starać się nie umrzeć. Nagle zrobiło mi się zimno. Nie czułem już nóg.

Connie uklękła przy Aaronie. Objęła jego głowę i przytuliła do siebie. Kiwała się przy tym w przód i w tył, patrząc nade mną na szopę. Nie mogłem obrócić głowy, ale słyszałem, jak ogień pożera drewno, płótno i farby. Czułem smród płonącego sukna. W oczach Connie odbijały się płomienie. I wtedy wszystko pochłonęła ciemność.

Rozdział 42

Ktoś uderzył mnie w twarz.

– Słyszysz mnie pan?

Głosy. Wiele głosów. Krzyki. Błyskające niebieskie światło. Dwóch mężczyzn w białych kitlach. Jeden pochylił się nade mną i poświecił mi prosto w oczy. Zamrugałem.

– Ach tak. A zatem. – Mężczyzna chwycił kroplówkę, która musiała być ze mną połączona. Spróbowałem się podnieść, jednak mężczyzna mnie przytrzymał. – Proszę się nie ruszać. Stracił pan dużo krwi. Czekamy na helikopter. To nie potrwa długo.

Zakaszlałem. Moje ubranie i włosy pachniały spalenizną, nie potrafiłem jednak ocenić, jak daleko znajdował się ogień.

– Jo-jo. – Milla pochyliła się nade mną. Była tak blada, że cienie pod jej oczami wydawały się prawie czarne. – Dobrze się czujemy? To był, jak to się mówi... ratunek w ostatniej sekundzie.

– Gdzie Marie-Luise? A Horst? Pomóż mi.

Uniosła mnie nieco i w końcu mogłem zobaczyć, co się dzieje.

Znajdowaliśmy się po lewej stronie chatki myśliwskiej. Ubrani na biało technicy kryminalistyczni badali kabinę kierowcy samochodu ciężarowego. Z tyłu dymiły resztki szopy. Strażacy wciąż jeszcze dogaszali ogień. Zwłoki Aarona wkładano właśnie do czarnego pokrowca. Connie i Marie-Luise siedziały koło siebie na pniu drzewa owinięte w koce. Rozmawiało z nimi dwóch policjantów i jedna kobieta. Pielęgniarka robiła Connie zastrzyk. Connie płakała. Koło domku stały dwa radiowozy. Kobieta pomogła Connie wstać i prowadziła ją do samochodu. W pół drogi Connie zatrzymała się i skierowała w moją stronę. Ciemne plamy krwi pstrzyły jej białą sukienkę. Jej oczy świeciły nienaturalnym blaskiem. Zapewne środek uspokajający właśnie zaczął działać. Niepewnie stawiała jedną stopę za drugą i pocierała swoje ramiona.

– To wszystko tak głupio wyszło – powiedziała w końcu. – Jak się czujesz?
Nie mogłem się zdecydować. W końcu to przez nią leżałem tutaj półżywy na noszach. Aczkolwiek też dzięki niej nie byłem całkiem martwy.

– Dobrze – wycharczałem. – A ty?

Connie spuściła głowę. W tym momencie przeniesiono koło nas nosze z czarnym pokrowcem i wsunięto je do samochodu techników medycyny sądowej.

Spojrzała w tamtym kierunku.

– Bez obaw. Nie przeszłabym na jego stronę. Chciałam go przekonać. Myślałam, że mnie posłucha.

Samochód wykręcił z niejakim trudem i powoli odjechał. Pielęgniarka podeszła do nas.

– Musimy iść – powiedziała cicho.

Connie skinęła głową.

– Kochał mnie. Wiem to. Mimo tych wszystkich podłych rzeczy, które powiedział. Teraz to wiem. W przeciwnym wypadku przecież by mnie zastrzelił, prawda?

Patrzyła na mnie zrozpaczona.

– Kochał mnie na swój sposób, prawda?

Kiwnąłem głową.

– Tak, na swój sposób tak.

Co innego mogłem powiedzieć?

Pielęgniarka delikatnie chwyciła Connie pod ramię i zaprowadziła ją do radiowozu. Odgłos dochodzący z nieba przybierał na sile. Zrobiło mi się niedobrze.

– Jo-jo? – powiedziała Milla. – Jo-jo?

Znowu otworzyłem oczy. Przychodziło mi to z wielkim trudem. Jednak to, co zobaczyłem, pozwoliło mi na chwilę zapomnieć o złym samopoczuciu. Marie-Luise i Horst szli w moją stronę. Ramię w ramię, nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

Milla uśmiechnęła się.

– Był cały czas przy mnie. Nie zostawił mnie na pastwę losu. To dobry człowiek.

Horst zdjął swój koc z pleców i owinał nim Millę.

– Jakoś to będzie – powiedział. – Rzygaliśmy cztery razy, aż pozbyliśmy się tlenu węgla. Niebiosa, ale mi niedobrze. Jest tu gdzieś jakiś sznaps?

Milla skinęła mi na pożegnanie i oboje wsiedli do drugiego radiowozu. Marie-Luise miała spuchnięty nos i bandaż na głowie.

– A więc nie Horst – powiedziałem.

Marie-Luise spojrzała za tą dwójką.

– Ja też podejrzewałam go przez moment.

– No to kto?

Opatuliła się szczelniej kocem.

– Walter. Ekaterinie udało się go jeszcze złapać, choć przeszedł już kontrolę paszportową.

– Walter jest Albańczykiem?

– Oczywiście, że nie. Kto wpuścił cię w te maliny? Jest Łużyczaninem. I czasami nawet tak mówi.

Marie-Luise zlustrowała mnie.

– Podziękuj przede wszystkim Kevinowi. To on zaalarmował policję. Trochę to jednak potrwało, zanim mu uwierzyli. Ja się obudziłam, kiedy nadjechał pierwszy radiowóz. Szopa płonęła już na dobre. No cóż. Jeden trup, jedna wariatka, dwoje nieprzytomnych rannych na trawie i dwie na wpół uduszone osoby w ciężarówce to były dopiero przekonujące argumenty. Kurde. *Wieża niebieskich koni* Franza Marca. Nie chce mi się nawet o tym myśleć.

Hałas stał się nie do zniesienia. Nie mogłem zobaczyć helikoptera, ponieważ zasłaniał go dom. Jednak wierzchołki drzew przechyliły się niebezpiecznie. Podeszli do nas sanitariusze. Zapięto mnie i podniesiono. Marie-Luise szła koło mnie.

– Powiedz mojej mamie...

– Co? – krzyknęła Marie-Luise.

Na polanie przed chatką myśliwską stał helikopter. Nieliczni gapie przedostali się jakoś przez las i stali teraz za taśmami odgradzającymi. Policjanci przeszukiwali teren. W pogrążonym w mroku lesie rozstawili wielkie reflektory. To wszystko wyglądało jak scena z filmu.

– Co mam jej powiedzieć?

Jakiś policjant próbował ją przytrzymać, jednak ona jakoś się do mnie przedarła.

– Powiedz jej, żeby nie czekała na mnie z kolacją. – Spróbowałem się uśmiechnąć. Reszta to dwa tygodnie bólu.

Rozdział 43

W szpitalu starano się odpowiednio dobierać gazety i przynoszono mi tylko niegroźne egzemplarze. Udało mi się jednak wytargować od pacjenta z pokoju obok ulubioną berlińską bulwarówkę. W końcu, zwłaszcza dzięki wyśmienitemu materiałowi fotograficznemu niejakiego Alexandra Dresslera, dowiedziałem się, co się stało.

Co się stało z Sigrun.

Wywrócili całą willę do góry nogami. Na dobrą sprawę żaden cenny obraz czy też kosztowny mebel nie należał już do Zernikowów. Rzeczy, których pochodzenia nie potrafili udokumentować, zostały skonfiskowane. Dressler przyłapał spedycję policyjną akurat w chwili, gdy zabierała z biura Utza obraz z widokiem parku Wörlitz.

Baronowa oczywiście o niczym nie wiedziała. Utz przeniósł się do hotelu Kempinski i tam kontynuował pracę w nieco ogołoconej kancelarii.

U Lehnsfeldów także dokonano konfiskaty, jednak nie na aż tak dużą skalę. Wyglądało na to, że stary Abel faktycznie ukrył dużą część skarbu w piwnicy. Większość z tego spłonęła w Carinhall.

Baronowa, jak się okazało, zaraz po wojnie sprzedała część rzeczy z udziału Wilhelma, zapewniając sobie w ten sposób wygodne życie. Twierdziła oczywiście, że była wtedy przekonana, jakoby dzieła sztuki zostały nabyte legalnie. Nagłe bogactwo Zernikowów po reformie walutowej nie wiązało się więc tylko z dobrą wolą umundurowanych Amerykanów. Istniały jednak podejrzenia, że za ich sprawą niektóre przedmioty dotarły do Stanów Zjednoczonych i tam zniknęły. Tym, co zostało, baronowa udekorowała willę. I to teraz przywiodło ją do zguby.

Döllnsee – fatum sztuki niemieckiej? – brzmiał tytuł artykułu w „Berliner Tageszeitung” dwa dni później. Dressler przeczłogał się po podszyciu i sfotografował modrzewie i kilka cegieł. Jego kolega Brettschneider wyprodukował patetyczny artykuł, w którym porównywał – tak jak kiedyś

Göring – Carinhall z pałacem Nerona. Odnalazł nurka, który rzeczywiście parę lat temu wyłowił z jeziora dwie statuetki z brązu. Burmistrz najbliższej parafii narzekał, że śmiałkowie nieustannie przeczesują las w poszukiwaniu ostatnich niewyjaśnionych tajemnic...

Dressler przyłapał Marie-Luise, kiedy opuszczała wydział zabójstw. Widziała skarb na własne oczy, rozpisywał się Brettschneider w swoim tekście, jako ostatnia trzymała w rękach bezcenne obrazy. *To było niesamowite! Franz Marc! Tycjan! Trzymałam w rękach największe dzieła zachodniego malarstwa.*

Tak to się skończyło. Straż pożarna dotarła za późno, żeby uratować Tycjana i Cranacha, z wielkim trudem opanowano pożar lasu. Srebro się stopiło, w popiołach znaleziono jedynie nieliczne cherubinki i kandelabry z brązu. Oprócz tego nic nie zostało. Być może dopiero teraz trawa pokryje ostatnie cegły Carinhall.

Lehnsfeldów czekały ciężkie czasy. Odpowiedzialność za zamordowanie Olgi starano się zepchnąć na Waltera, tak samo jak zamach koparką w Grünau. Walter wyparł się wszystkiego, po czym otrzymał podobno najlepszego adwokata w mieście i zamilkł jak grób. Milla i Horst złożyli obszernie zeznania, nie potrafili jednak podać rzetelnego opisu sprawcy. Zamaskowany posłaniec z kwiatami zmusił ich do opuszczenia wraz z nim szpitala. Potem ich uśpił. Tyle pamiętali.

Verena strapiona i cała w czerni. Wspierał ją Abraham. Było to pierwsze zdjęcie pokazujące tę dwójkę razem. Dwa tygodnie później wysłałem anonimowo pierścionek do referatu do spraw kradzieży dzieł sztuki senatu berlińskiego i napisałem do Vereny kilka słów z informacją, gdzie może go odebrać. Raczej z niego zrezygnowała.

Długo dyskutowałem z Marie-Luise o tym, czy tych dwoje wiedziało, jak zgubne dziedzictwo dziadek zostawił wnukowi. Marie-Luise zdecydowanie się z tym nie zgadzała. Argumentowała, że na świecie nie ma ani jednej matki i ani jednego ojca, którzy naprawdę by wiedzieli, do czego zdolne są ich dzieci. Ja uważałem, że nie chcieli wiedzieć. W końcu uznaliśmy, że rezultat jest taki sam.

Ktoś zapukał.

Marie-Luise wetknęła głowę przez uchylone drzwi. W trzech krokach znalazła się przy mnie.

– To jest szkodliwe! – krzyknęła i wyrwała mi gazetę z ręki.

– Pokaż no – powiedziałem i złapałem ją za rękę. Łapy, które dotykały Tycjana.

Wyswobodziła się.

– Chcesz najpierw usłyszeć złą czy fatalną wiadomość? Zniknęło twoje porsche.

To zabolalo. W porównaniu z moim porsche Tycjana miałem w głębokim poważaniu.

– Ukradli?

Przyciągnęła sobie krzesło.

– Neee. Było wzięte w leasing i Sigrun kazała je odholować.

Wiedziałem, że nie muszę zadawać kolejnego pytania. Mimo wszystko zrobiłem to.

– Odezwała się?

– Nie. Prognozy wyborcze są katastrofalne. Są o dwa procent w tyle. Nic dziwnego, skoro dom głównej kandydatki został wywrócony do góry nogami i wywieziono z niego całe ciężarówki ze skradzionymi dziełami sztuki. Do tego groźny przestępca, który odwalił całą brudną robotę, w roli głównego pomocnika w domu. I ona niby o niczym nie wiedziała?

– Za późno zaczęła zadawać pytania – powiedziałem cicho.

– Nie chciała znać odpowiedzi, tak było.

Marie-Luise wymieniła moją gazetę na wysoce intelektualne lewicowo-liberalne pismo literackie.

– Tak czy siak spadła na cztery łapy. Od razu ustąpiła ze wszystkich urzędów i wycofała swoją kandydaturę. W nagrodę dostanie mandat do Bundestagu. Tam będzie mogła przeczekać w tylnych ławach, aż sprawa przycichnie.

Pocałowała mnie szybko w policzek.

– Nie czytaj za dużo na ten temat. To tylko przyprawia o ból głowy. Możesz już wstawać?

– Tylko z pomocą uroczej pielęgniarki.

– À propos uroku – baronowa złożyła skargę. Chce odzyskać część obrazów. Jej adwokat twierdzi, że sprawa nie wygląda źle. Tak się szepcze w kuluarach.

– Kto ją reprezentuje?

Marie-Luise wyjrzała przez okno.

– Schmiegeden. – Wzruszyła ramionami. – Mówi, że potrzebuje pieniędzy, bo galeria słabo sobie radzi.

– Rozmawiacie ze sobą?

Marie-Luise z zainteresowaniem wpatrywała się w czubki swoich butów.

– Chyba nie zaczęliście znowu...

– Nie. Spotkałam go w sądzie. Spytał o sprawę Weinerta i zaproponował mi swoją pomoc.

– I co? Przyjęłaś ofertę?

Marie-Luise spojrzała na mnie i uśmiechnęła się szelmowsko.

– Powiedziałam, że pracuję tylko z najlepszym adwokatem, jakiego znam. I że to zdecydowanie nie jest on.

Otworzyła aktówkę i położyła kilka dokumentów na pościeli.

– To są propozycje dla ciebie. Dwadzieścia tysięcy euro za historię na wyłączność w różnych pismach ilustrowanych, liczne zaproszenia do talk-show, a jedna prywatna stacja chce zrobić film i życzy sobie ciebie jako naocznego świadka.

Oddałem jej papiery.

– Odmów wszystkim.

Jak już sobie poszła, włączyłem telewizję. RBB robiła podsumowanie ostatnich dni i informowała o nowych wydarzeniach. Jakiś reporter stał przed willą Zernikowów i relacjonował, że Walter Herzog został powiązany także z uprowadzeniem promu BVG i strzelaniną na Langer See.

Następnie pokazano dworzec Lichtenberg. Milla stała koło pociągu, Horst pomagał jej wnosić bagaże.

– Pobierzemy się – powiedział radośnie do kamery. – A później powinna o wszystkim jak najszybciej zapomnieć.

Milla uśmiechnęła się i pocałowała Horsta. Następnie pokazała dokument do kamery. Poświadczenie, że jej matka pracowała u Zernikowów jako robotnica przymusowa. Reporter słusznie podejrzewał związek z ostatnimi wydarzeniami.

– Minie dobrych kilka dni, nim technicy kryminalistyczni skończą badać popioły nad Döllnsee. Druga podejrzana, dwudziestosześcioletnia Cornelia Schumacher, nadal nie jest w stanie pozwalającym na jej przesłuchanie. Została przeniesiona do szpitala więziennego w Moabicie. Zarzuca się jej, że kilkoma strzałami zabiła Aarona von Lehnsfelda, rzekomego inspiratora kradzieży dzieł sztuki. Prokuratura zakłada, że była to obrona własna.

Mało mnie szlag nie trafił, kiedy zobaczyłem następne zdjęcie, moje własne. Był to fragment jednego ze zdjęć Dresslera z przyjęcia w ogrodzie.

– Dwoje adwokatów, którzy w czasie ataku także przebywali nad Döllnsee,

to najprawdopodobniej pierwsze osoby, które wpadły na trop największej powojennej kradzieży dzieł sztuki.

Zdjęcie Marie-Luise w momencie, kiedy opuszczała szpital trzy dni temu. Następnie powrót do Willi w Grünau.

– Posiadłość Lehnfeldów, w której piwnicy przechowywano dzieła sztuki przez ostatnie sześćdziesiąt lat, zostanie przypuszczalnie przekazana w ręce Jewish Claims Conference. Klub wioślarski Eintracht Grünau zapowiedział już, że wniesie sprzeciw wobec takiej decyzji.

Reporter przekazał głos do studia. W zasadzie były to dobre wiadomości. Adwokatom przez jakiś czas nie będzie brakować pracy.

W następnych dniach odwiedziło mnie wiele osób. Przede wszystkim funkcjonariusze policji kryminalnej. Przyznałem się do porwania promu, po tym jak mniej więcej obiecano mi, że nie zostanę ukarany. Liczyłem na to, że moje zeznania przyczynią się do tego, że Walter nie zostanie przedstawiony jako jedyny winny.

Mama i droga pani Huth także przychodziły kilka razy w ciągu dnia. Kazały sobie ciągle opowiadać kolejne detale historii. Czytały mi na głos szczegółową relację o „mężczyźnie, który spalił dzieła sztuki”. Brettschneider, który w międzyczasie stał się głównym wrogiem rodziny, przeprowadził wywiad i powiadomił zainteresowaną opinią publiczną, że lubiłem słuchać Kim Wilde i już w wieku lat sześciu spaliłem wieniec adwentowy.

O wpół do dziewiątej wieczorem ostatniej doby mojego pobytu w szpitalu w pokoju pojawił się Utz z butelką dobrego koniaku.

– Mogę z tobą chwilę porozmawiać?

Wskazałem mu krzesło. Mogłem już siedzieć i ulokowałem się naprzeciw niego przy kwadratowym szpitalnym stoliku.

– Jeszcze cię boli?

– Nie bardzo – odparłem.

Utz wyjął pakiet listów z wewnętrznej kieszeni swojej marynarki i położył je na stole koło butelki koniaku.

– Znaleźli to, kiedy przeszukiwali dom.

Były to stare listy na cienkim pośliskim papierze, z rosyjskimi znaczkami. Nie miały nadawcy. Widniały na nich niezgrabne staroniemieckie litery: *Utz von Zernikow, Guntherstrasse, Berlin-Grunewald*.

– Od Natalii – powiedział Utz. – Nie mogę ich przeczytać. Są po rosyjsku.

– Niestety, ja też nie znam rosyjskiego. – Oddałem mu listy.

Starannie schował je z powrotem.

– Lecę jutro do Kijowa. Wysłałem jej wiadomość przez Ukraińską Fundację Narodową. Chce się ze mną zobaczyć.

– I co, cieszysz się?

Utz podszedł do okna.

– Nie wiem. Minęło tyle czasu. Co mam jej powiedzieć? W jakim języku? Czuję się winny za coś, czego nigdy nie chciałem. Jak mam jej to wyjaśnić? Nadal o niej myślę. O tej dziewczynce, Pauli. Mam nadzieję, że ta dziewczynka Paula kiedyś wybaczy młodemu Utzowi.

Popatrzyłem na butelkę koniaku i pomyślałem, że nigdy więcej się ze sobą nie napijemy.

– Jestem za stary na przyjaciół. Ale ty byłbyś dobrym partnerem – powiedział cicho Utz. – I boli mnie to, że straciłem cię jako syna.

– W takim razie postaraj się, żeby nie stało się tak z twoją córką.

Utz odwrócił się z uśmiechem.

– W jednej chwili bawi się na twoich kolanach, w drugiej odchodzi i staje się obcym człowiekiem. To nie rodzice podejmują taką decyzję. To dzieci.

Chwilę później pożegnał się i wyszedł.

Dużo myślałem o tym, co Utz powiedział na koniec, zanim pojechał odwiedzić starszą panią w Kijowie, która znaczyła dla niego więcej niż jego własna matka. Przez całe życie byłem przekonany, że koniec końców to rodzice są winni skazywania nas na bycie dziećmi aż do ich śmierci. Myślałem, że trzeba wstać i odejść, żeby dorosnąć.

Ale to nieprawda. Człowiek dorasta dopiero wtedy, gdy potrafi naprawdę pokochać swoich rodziców. I wtedy wiadomo, że wykonali dobrą robotę.

Nigdy się nie dowiedziałem, czy misja Utza się powiodła. Dla Ekateriny już sam fakt, że doszło do spotkania, był sukcesem.

Kontrola wiarygodności sprawy Natalii została rozstrzygnięta bardzo szybko. Z niemieckiego funduszu odszkodowawczego otrzymała jednorazową wypłatę w wysokości dwóch tysięcy trzystu osiemdziesięciu euro plus dodatkowe pięć euro renty miesięcznie.

Sigrun spotkałem dopiero wiele tygodni później. Przechodziła przez Unter den Linden w kierunku Reichstagu i śpieszyła się. Przeszliśmy koło siebie i zanim zdążyłem się zdecydować, czy mam do niej zagadnąć, była już po

drugiej stronie. Minęło sporo czasu, zanim odkryłem, że nie ona była moją największą stratą, tylko iluzja, którą stworzyłem o nas obojgu.

Po feriach semestralnych Kevin wrócił na Uniwersytet Humboldtów i z zadziwiającym zapałem rozpoczął studia magisterskie. Zdecydował się na historię prawa.

Walter Herzog został skazany na wiele lat więzienia. Nie można było mu udowodnić, że zamordował Olgę. Za to odkryto jego odciski palców w ciężarówce. Został skazany za kradzież i współsprawstwo. Milczał uporczywie w sprawie Aarona, co zwiększyło jego karę. Ponieważ niczego mu nie brakowało ani w areszcie śledczym, ani w więzieniu, doszliśmy z Marie-Luise do wniosku, że będzie mu się powodzić także po wypuszczeniu na wolność. Już nie u Zernikowów, ale u Lehnsfeldów. Pociąg zatem nadal jechał po torach.

Dwa miesiące po tym, jak opuściłem szpital, znalazłem sobie małe mieszkanie w Wilmersdorfie. Marie-Luise co prawda się krzywiła, ale ja nie chciałem mieszkać we wschodniej części miasta. Wystarczyło mi, że tam pracowałem.

Zajmowaliśmy się wykroczeniami drogowymi i koncentrowaliśmy się na kodeksie postępowania karnego. Jak wcześniej, nie powstrzymywało to Marie-Luise przed dopatrywaniem się wrażliwości u notorycznych dilerów heroiny i głębokiej poezji w działaniach kleptomąńskich band dziewczęcych. Nigdy jej nie znalazła. Jednak nigdy nie porzuciła nadziei. Ja pozostałem realistą i zważałem na to, żeby koszty adwokackie były opłacane. W razie potrzeby o trzeciej nad ranem przed dyskoteką w Neukölln.

Poza tym ciężko pracowaliśmy nad tym, żeby nie zostać zbyt bliskimi przyjaciółmi.

Z mamą i panią Huth często jeździłem do Reinickendorfu. Czasami graliśmy też ze sobą w brydza. Wtedy z chęcią zostawałem trochę dłużej. A kiedy otwieraliśmy drugą butelkę ajerkoniaku, zaczynały opowiadać. Ich oczy roziskrzały się i chichotały niczym młode dziewczyny. Zauważyłem, że słuchanie jest najlepszym środkiem pobudzającym. Nie dla słuchającego. Dla tych, którzy opowiadają.

Podziękowania

17 grudnia 1999 roku w gazecie „Berliner Tagesspiegel” pojawił się artykuł z nagłówkiem *Wyrazić sprzeciw wobec nikczemnej małoduszności*.

Czytelnicy gazety, wzburzeni zachowaniem niektórych wielkich przedsiębiorstw – o historii splamionej współpracą z nazistami – w stosunku do inicjatywy utworzenia fundacji niemieckiej gospodarki, wezwali do prywatnej pomocy dla robotników przymusowych i opisali swoje przeżycia związane z polskimi i ukraińskimi opiekunkami do dzieci w rodzinnych gospodarstwach domowych.

Do tego momentu sądziłam, że robotnicy przymusowi pracowali wyłącznie w fabrykach, instytucjach publicznych lub w rolnictwie. Tutaj przeczytałam o najczęściej bardzo młodych kobietach, które zostały wywiezione z okupowanych terytoriów do nazistowskich Niemiec i z wielkim oddaniem i czułością opiekowały się niemieckimi dziećmi. Pewna czytelniczka, jedno z tych dzieci, napisała, że jej polska opiekunka „zajmowała się nią czule także wtedy, gdy jej własna matka brzydziła się nią z powodu choroby”. Inni pisali na temat tych „niewolnic w niemieckich gospodarstwach domowych”, że to one były tymi, które „śpiewały nam przed snem, karmiły nas, głaskały i kochały”.

Postanowiłam znaleźć te kobiety.

To, że w styczniu 2003 roku dane mi było porozmawiać z pięcioma z nich, to zasługa Mariny Schubert i organizacji Berliner Verein Kontakte e.V. To jedyna znana mi instytucja, która troszczy się o los tych kobiet, z których wiele z powodu często skomplikowanej sytuacji prawnej do dzisiaj czeka na odszkodowanie.

Marina Schubert jest kobietą, którą podziwiam za jej bezgraniczny idealizm i energię, z jaką każdy pojedynczy przypadek czyni swoją osobistą sprawą i wciąż od nowa podejmuje walkę z wiatrakami biurokracji.

Z wielką sympatią i głębokim szacunkiem dziękuję:

Anastazji Sidorenko, lat 80,
Walentyńie Siergiejewnej, lat 77,
Marii Jimilianowej, lat 78,
Hanie Bondar, lat 76,
Piełagii Iwanownej, lat 76.

Bez ich otwartości i odwagi, z jaką w długich rozmowach wspominały czas spędzony w Niemczech i swoje skrajnie odmienne doświadczenia, ta książka na pewno by nie powstała.

Co zdumiewające, często na pytanie, co tym kobietom pomogło przetrwać czas spędzony w nazistowskich Niemczech, przywoływano Psalm 90, który zacytowałam w kilku miejscach.

Dziękuję Nadzieździe z Ukrainńskiej Fundacji Narodowej i będącej naszym kierowcą Nelli, która odnajdowała najbardziej nieprawdopodobne adresy w najdziwniejszych miejscach Kijowa.

Należałoby sobie życzyć, między innymi ze względu na podeszły wiek tych kobiet, by w końcu tym niemal zupełnie zapomnianym rozdziałem niemieckiej historii zajęli się także historycy.

Dziękuję Anke Veil, która – tak jak w przypadku mojej pierwszej książki – często musiała dość długo czekać na kontynuację historii i swoim zainteresowaniem, ciekawością, pochwałami, a także swoją krytyką mobilizowała mnie do dalszego pisania.

Za życzliwe i uważne przeczytanie i skontrolowanie tekstu, za wsparcie i rady z zakresu prawa przy przedstawionych w tej książce sprawach prawniczych szczególne podziękowania należą się adwokatom Nicole Poppe-Rosin i Udo Rosinowi.

Martin Weinhold trzynaście lat temu zaprowadził mnie do Rauchfangserder, Sassnitz i do Plänterwald. Skrzypieniu skorup pod naszymi stopami poświęciłam rozdział o Berlińskich Zakładach Komunikacyjnych (BVG) w Grünau. Dziękuję także Barbarze Weinhold. Bez niej ta książka wyglądałaby inaczej.

Bez Renate i Gerda Balke pewnie nie skończyłabym do dzisiaj. Tylko dzięki ich pomocy udało mi się napisać tę książkę w dwa lata.

Erwin Zernikow wspomniałomyślnie użył swojego nazwiska na potrzeby tej powieści. Chcę w tym miejscu zapewnić wszystkich innych Zernikowów

i resztę świata: wszystkie postacie w tej książce są wymyślone.

Nie są zmyślone fakty historyczne. Za zainteresowanie i pomocne uwagi dziękuję bardzo profesorowi Jörgowi Friedrichowi.

Z kolei Andreas Jöhrens zainspirował mnie niezliczonymi pomysłami, wskazówkami i informacjami z dalszego tła, dotyczącymi labiryntów berlińskiej polityki krajowej.

Moim rodzicom, Loni i Friedrichowi Herrmannom, dziękuję za liczne rozmowy, wspomnienia i odpowiedzi. Są oni źródłem niewyczerpanych pokładów mądrości życiowej, z których nieustannie chętnie czerpię. Albo, mówiąc słowami mojego głównego bohatera: wykonaliście kawał cholernie dobrej roboty!

Na koniec, ponieważ jest dla mnie najważniejsza w życiu, dziękuję mojej córce Shirin. Za to, że jest.

Berlin, 15 maja 2005

Spis treści

[Wstęp](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Podziękowania](#)